

ANDRIUS TAPINAS

# Wileczya Godzina

*Pełna rozmachu, zachwyca  
od pierwszych stron.*

ADAM WIECZORNIK, Interia



SON  
KAPITAŁ



ANDRIUS  
TAPINAS

WILEŁA  
GODŹINA

TŁUMACZENIE:  
Laurynas Candravičius

Kraków 2017

Dedykuję swoim rodzicom, Violecie i Laimonasowi, oraz babci Valeriji – którzy bardzo wcześnie pomogli mi zrozumieć, jaką radością jest czytanie.

Dziękuję też innym członkom rodziny – Rasie, Vasarze i Vakarasowi, którzy wierzyli we mnie nawet wtedy, gdy sam zaczynałem wątpić.

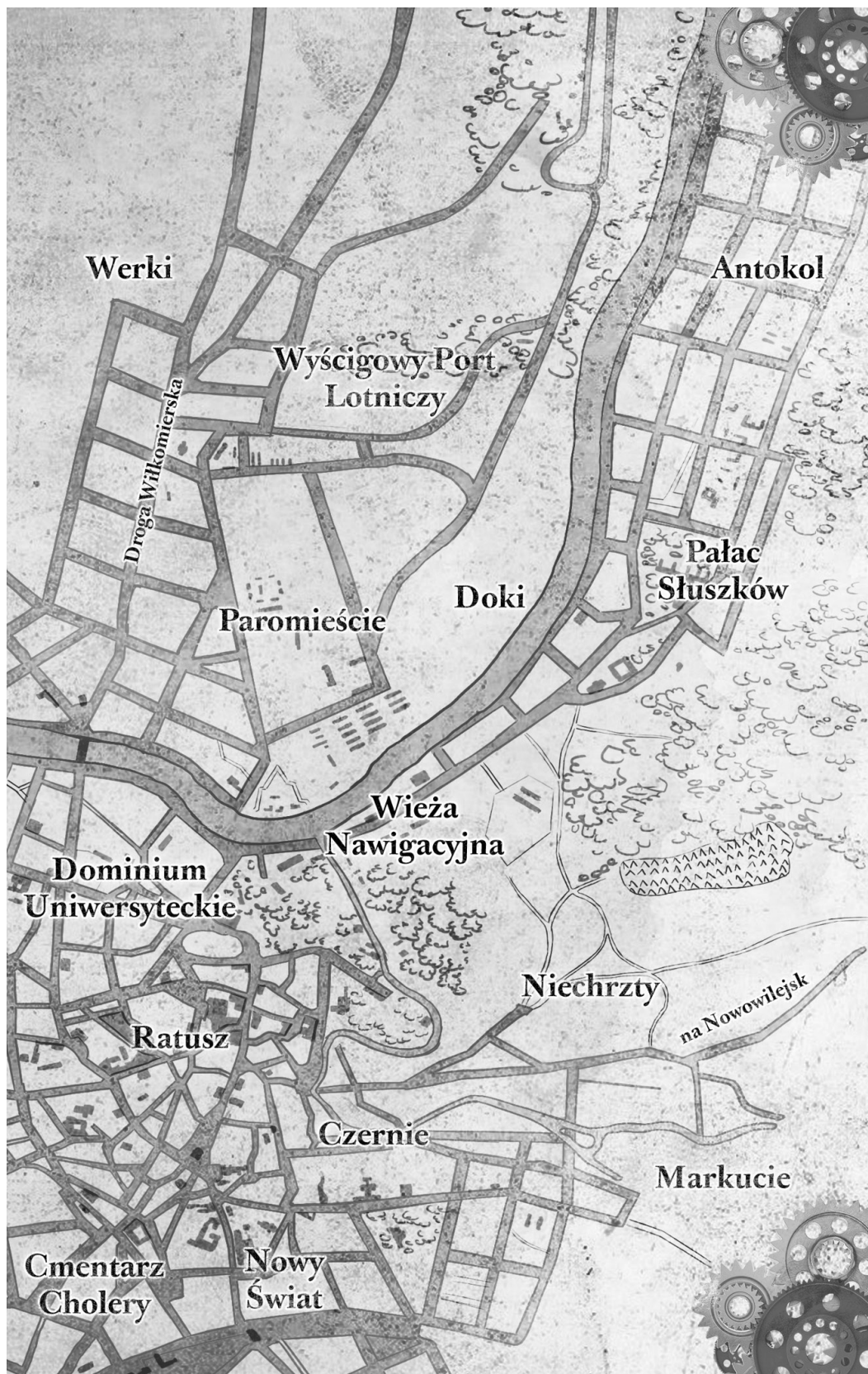


WOLNE MIASTO  
ALIANSU

# WILNO

A.D. 1905





## DROGI CZYTELNIKU,

może właśnie stoisz w księgarni, a może już jesteś w domu, wygodnie usadowiłeś się w przytulnym kąciку i jesteś gotowy, by przewrócić pierwszą stronę.

W obu przypadkach czuję się w obowiązku cię ostrzec.

*Wilcza godzina* NIE JEST powieścią historyczną.

Jedni bohaterowie są wymyśleni, inni wyglądają inaczej niż w szkolnych podręcznikach, a trzeci mówią i ubierają się, jakby zstąpili z ulic początku XX wieku. Większość wydarzeń jest fikcyjna, a jakiegokolwiek podobieństwo do aktualnych w tamtym czasie sytuacji to przypadek, jednak kto mógłby zanegować, że historia się powtarza?

*Wilcza godzina* to powieść fantastyczna. Alternatywne Wilno 1905 roku jest takie, jakie moje najukochańsze miasto mogło wtedy być: wolne, dumne, otwarte, romantyczne i pełne mrocznych tajemnic. Dzielę się z Tobą historią o takim Wilnie, powinieneś się więc pogodzić z tym, że tu wszyscy mówią po litewsku, że nad głowami fruwały wielkie sterowce, generałowie carskiej armii, którzy otoczyli miasto żelaznym pierścieniem, zgrzytają z bezsilności zębami, a w podziemiach i w drewnianym dworku w Markuciach snuje się spiski i intrygi.

Ile jest w powieści fantazji, a ile faktów, możesz sprawdzić, odwiedzając poświęconą książce stronę internetową: [www.vilkovalanda.lt](http://www.vilkovalanda.lt) oraz mój profil na Facebooku.

Ostrzegłem? Nie wystraszyłem?

Znaczy, że wypełniłem swój obowiązek. A teraz naprzód – przygody w wolnym Wilnie czekają!

# DRAMATIS PERSONEA

## **Alchemicy i mechanicy**

Jan BASANOWICZ (lit. *Jonas Basanavičius*), kierownik katedry alchemii  
Dominium Uniwersytetu Wileńskiego, radny alchemii

Nikodem Franciszek TWARDOWSKI (lit. *Nikodemas Pranas Tvardauskis*), uczonego odludek

MIŁA, przybrana córka Twardowskiego

KOŁOMBINA, PIERROT, SKARAMUSZ, zabawki Miły

MARTA, gospodyni Twardowskiego

Piotr WILEJSZYS (lit. *Petras Vileišis*), przewodniczący Gildii  
Mechaników, radny pary

## **Legion Wileński**

Antoni SREBRO (lit. *Antanas Sidabras*), legat wileński, radny porządku

Alojzy NUNEWICZ (lit. *Alijošius Nunevičius*), nadzorca maszyny nr  
5 Legionu Wileńskiego

Teofil RADZIŃSKI (lit. *Teofilis Radzinskis*), ekspert medycyny

Justyn WAGNER (lit. *Justas Vagneris*), porucznik Legionu Wileńskiego

Michał WIELHOLSKI (lit. *Michalas Vielholkis*), porucznik Legionu  
Wileńskiego

## **Rada Wileńska i radni**

Witold WENŚLAWSKI-WENSKUS (lit. *Vytautas Venslauskis-Venskus*),  
burmistrz Wilna

Faina FRYZEL, radna wędrowców

Stanisław GIMBUTT (lit. *Stanislovas Gimbutas*), rektor Dominium  
Uniwersytetu Wileńskiego, radny oświaty

Prałat Teodor MASALSKI (lit. *Teodoras Masalskis*), przywódca Rycerzy  
Katedry, radny ducha

Gerhard von OTTO, poseł Rothschildów w Wilnie, radny finansów

Roman RYMKIEWICZ (lit. *Romanas Rimkevičius*), radny zdrowia

Fiodor SZCZERBAKOW (lit. *Fiodoras Ščerbakovas*), radny kierunku

## **Pobyty tymczasowy w Wilnie i okolicach**

Waneczka SKORYK, albo Iwan SKOROCHODOW, ślusarz czwartej



kategori

Milton MABREY, kapitan korwety „Gwiazda Świętego Jerzego”

Charles FINLEY, kadet Akademii Sandhurst

Edward O’Braitis, kadet Akademii Sandhurst

Aleksander Ignatiewicz GOLICYN, rzeczywisty radny państwa rosyjskiego

EMILIA, agentka i kochanka Golicyna

Michał SUSŁOW, prowodyr zamieszek

Stefan RICKUS (lit. *Stepas Rickus*), podniebny pirat, kapitan sterowca „Pogrzebacz”

Gaston TYSZKUS (lit. *Gastonas Tiškus*), podniebny pirat, prawa ręka Rickusa

KUZAWA, ZARĘBA, CZECZKO, JAKUB, podniebni piraci

MIKELIS i SIMUTIS, dzielne chłopaki z Pernarowa

### **Wskrzesiciele**

Konrad von WITTGENSTEIN, Wielki Mistrz Praskiej Łoży Wskrzesicieli  
STARZY (lit. *Vyresnysis*), brat URT, brat GUSTAW, członkowie Wileńskiej Łoży Wskrzesicieli

Franciszek BALTRUS (lit. *Pranciškus Baltrus*), naukowiec

Tomasz UJEJSKI (lit. *Tomašas Ujeiskis*), finansista wileńskich wskrzesicieli

### **Uczestnicy Szczytów**

Teofil DELCASSÉ, francuski minister spraw zagranicznych

Karl von EINEM, pruski minister wojny

Władimir LAMSDORF, rosyjski minister spraw zagranicznych

Izzet PASZA AL ABED, sekretarz sułtana Imperium Osmańskiego

Henry PETTY-FITZMAURICE, minister spraw zagranicznych imperium brytyjskiego

Natan ROTHSCHILD, zarządca miast Aliansu

László SZŐGYÉNY-MARICH, ambasador Austro-Węgier w Aliansie

Hayashi TADASU, ambasador Japonii w imperium brytyjskim

### **Wilnianie**

Małgorzata BERG (lit. *Margarita Berg*), kierowniczka sierocińca na Biedach

EFRAIM, stary wileński Żyd, szewc i gawędziarz

Chaja FEIGELSON, właścicielka domu pobłażliwości

Maciej LEWY (lit. *Motiejus Kairys*), król wileńskich zbrodniarzy  
Salomon KLEIN, graficiarz  
KNIAŻ, albo FÜRST, zegarmistrz z Czerni  
Anton KOLWA (lit. *Antonas Kolva*), Jan KRAŽAS (lit. *Jonas Kražas*),  
Eustachy PUGIS (lit. *Eustachijus Pugys*), liderzy wspólnot pracowniczych  
Piotr KORSZUN (lit. *Petras Koršunas*), dziennikarz „Wileńskiej Prawdy”  
Siostra ŁUCJA, zakonnica z sierocińca  
Icek LUPETA, właściciel domów pobłażliwości  
Mariusz PELIKAN (lit. *Marijus Pelikanas*), prognostyk pogody  
z Dominium Uniwersyteckiego  
Feliks PORCYJANKO (lit. *Feliksas Porcijanka*), księgowy z Paromieścia  
RÓŻA Z BIED (lit. *Bėdų Rožė*), szalona wileńska żebraczka  
MARIJOSZIUS, NARIMANTAS, RYKS, karczmarze  
Jan SYMASZKO (lit. *Jonas Simaška*), lider wspólnoty Promiennych  
Bracia WĘGRZY, krętacze  
Leib WOŁYŃSKI (lit. *Leibas Volynskis*), redaktor „Wileńskiej Prawdy”  
Jadwiga ZAIC (lit. *Jadvyga Zaic*), Girsza SZYBUK (lit. *Girša Šibukas*),  
CYPA (lit. *Cipa*), uczestnicy zamieszek

### **Inni**

Wasył CHARDIN, starszy lekarz Szpitala Psychiatrycznego  
w Nowowilejsku  
CZARNA KRAWCOWA (lit. *Juodoji Siuvėja*), ostatnia praska wyrocznia

Sankt Petersburg  
marzec 1870 roku

Marszałek Rady Państwowej imperium rosyjskiego wielki książę Konstanty Nikołajewicz ciężko westchnął. Ściągnąwszy binokle, potarł ściśnięty przez nie nos, odwrócił się od okna i spojrzał na mężczyzn siedzących w miękkich fotelach.

– Co jeszcze, Dymitrze Martynowiczu? – zwrócił się do sekretarza państwowego, długobrodego Solskiego. – Muszę się śpieszyć na posiedzenie Rady, już się niecierpliwią.

– Ostatnie pytanie, Wasza Imperatorska Wysokość – pośpieszył z odpowiedzią Solski – ostatnie, ale najbardziej... – Doświadczony dyplomata w samą porę się zamknął i nie wypaplał czegoś niepotrzebnego. Skierował wzrok na Michaiła Christoforowicza Reiterna, ministra finansów imperium, beztrąsko bawiącego się srebrnym otwieraczem do listów. Lepiej, żeby on mówił.

Minister Reiter podniósł głowę, odłożył srebrną zabawkę i poprawił białą muszkę dopasowaną do swojej śnieżnobiałej koszuli.

– Wciąż nieomówione pozostało zagadnienie przekazania miast, Wasza Imperatorska Wysokość – przemówił spokojnym głosem. – A to ważne, już dłużej tego odkładać nie możemy.

– Czyżby? – zagrzemiał groźnie wielki książę, ciężko siadając na krześle. – My, imperium, czegoś nie możemy? Ktoś nam, imperium, nie pozwala? Wstrzymuje naszą rękę? I kto jest tym nikczemnikiem?

Poza Konstantego Nikołajewicza wskazywała, że jest bardzo niezadowolony. Jakby przytakując gospodarzowi, ukochany spaniel księcia, przeciągnąwszy się na miękkim perskim dywanie, uniósł łeb i szczeknął.

Siedzący w fotelach mężczyźni drgnęli z niepokojem. Jedynie minister Reiter zachował spokój. Już prawie dwadzieścia lat był jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi wielkiego księcia i wiedział, kiedy należy milczeć, a kiedy można otworzyć usta.

– Ruble, Wasza Imperatorska Wysokość, ruble – powiedział. – A jeśli pozwolicie sprecyzować, to ich brak nie pozwala nam działać. Wszyscy tu

obecni doskonale wiedzą, że reformy ekonomiczne Jego Imperatorskiej Mości Cara Aleksandra II, niech go chroni Bóg, kosztowały kraj całkiem... niemało. Nasz handel chyli się ku upadkowi i jeśli szybko nie wspomozemy rubla, wkrótce nic z niego nie zostanie. Dług państwowy jest nie do udźwignięcia. Póki co zagraniczne banki jeszcze udzielają nam pożyczek, ale do rąk własnych otrzymujemy jedynie połowę sumy, a procent płacimy od całości. Produkcja...

– Ykhn... – chrząknął z niezadowoleniem minister spraw wewnętrznych Aleksander Jegorowicz Timaszew. W przeciwieństwie do Reiterna nie odznaczał się ani taktem, ani skromnością. I obecnie, naśladowując wielkiego księcia, siedział w fotelu z piersią obwieszoną migoczącymi orderami. – Pozwólcie spytać, Wasza Imperatorska Wysokość, kto jest za to odpowiedzialny? – Timaszew skrzywił się półgębkiem. – Czyż nie minister finansów? Czy to nie on miał zadbać, by w skarbcu nie zabrakło pieniędzy?

Reitern puścił tę uwagę mimo uszu.

– Możliwości produkcyjne maleją – powiedział spokojnie. – A nasze przereklamowane koleje żrą pieniądze jak chłop, który nie jadł od trzech dni.

– A co nie będzie żreć, gdzie nie będą! – przerwał mu znów Timaszew i podskakując długimi susami, zaczął przemierzać gabinet.

Wielki książę Konstanty Nikołajewicz podążył wzrokiem za stawiającym wielkie kroki mężczyzną. Sekretarz państwowy Solcki schował się za stosem papierów, tylko Reitern wydał z siebie jakikolwiek dźwięk – delikatnie zakaszłał i przyłożył do ust serwetkę, tym samym pokazując, iż jego przemowę przerwał napad kaszlu, a nie ten parweniusz, minister spraw wewnętrznych.

– A gdzie nie będą, jeśli każdy urzędas jest akcjonariuszem jakiejś kompanii i pobiera państwowe pieniądze – zaryczał Timaszew. – Co tam urzędas! – Zatrzymał się naprzeciw Reiterna. – Może zapomnieliście aferę Łamańskiego, ministrze? Przewodniczący Banku Państwowego staje się jednym z założycieli w kilku przedsiębiorstwach kolejowych, następnie rozdziela im kredyty państwowe. Tak zachowuje się głowa Banku Państwowego! Któż to widział? W kilku firmach się urządził, prawda? W pięciu? W siedmiu?

Reitern ukradkiem spotkał się spojrzeniem z przewodniczącym Państwowego Departamentu Gospodarki, uczestnikiem spotkania, który póki co nie zabrał głosu. Obaj mężczyźni zanurzyli łapy w rwącej rzece pieniędzy, jak zresztą wielu innych urzędników. Dlatego ze skarbcza wypływały setki milionów rubli przeznaczonych na przedłużanie trakcji kolejowej, skup zbóż z urodzajnego Krasnodaru i tym podobne priorytetowe inwestycje. Grupa



zgrupowana przez Reiterna i Abazę zwinnie dzieliła koncesje państwowe i dbała o budowę osiemnastu nowych linii kolejowych. Jednak wystarczyło im rozumu, by działać za pośrednictwem protegowanych, a niejaki Łamański, kompletny gamoń, nie zechciał się dzielić pieniędzmi, postanowił na wszystkim położyć łapy sam – i wpadł.

– Złodziej, bez wątpienia, będzie gnić w więzieniu – znalazłszy okazję, dumnie odrzekł Reiter. – A kto jest za to odpowiedzialny? Czyż nie wy sami, ministrze? Zresztą nie zbaczajmy z tematu... Jak już mówiłem, skarbiec jest pusty.

– A pieniądze z Alaski? – zaburczał Timaszew. – Od mateczki Rosji oderwali część ziem i sprzedali jankesom. Gdzie zaprzepaściliście zarobione wtedy dolary? Całe siedem milionów!

Reiter zacisnął zęby i uśmiechnął się kącikiem ust. Aktywnie uczestniczył w sprzedaży Alaski, jednak powrót do tego tematu nie był mu na rękę.

– Dolary zyskane i już wydane – odparł oschle. – I nie zapominajmy o państwowych projektach. Nowa rezydencja rodziny carskiej jedynie w tym roku uszczupliła skarbiec...

Wielki książę Konstanty Nikołajewicz poruszył się w krześle.

– Dość, dość, wszystko jasne – zaburczał, zupełnie jakby sam narzekał na przepych, choć osobiście zatroszczył się o budowę swojej rezydencji. – Co mam więc powiedzieć Radzie?

Minister finansów wstał. Znalazł się bardzo blisko największego sukcesu swojego życia. Wszystko zostało już omówione, postanowione i uzgodnione, ale jeśli wielki książę chciał jasności... Reiter zakaszał i przemówił:

– Kilka lat temu, gdy była mowa o zaciągnięciu nowych kredytów dla imperium rosyjskiego, korporacja Rothschildów zaproponowała ciekawy sposób finansowania. Uwzględniono nasze doświadczenie z... – zerknął na Timaszewa i znów zwrócił się do wielkiego księcia – z Alaską. Rothschildowie pielęgnują dziwną ideę, chcą złączyć kilka miast w sojusz, Alians[1], i tam prowadzić badania naukowe, zajmować się alchemią[2] i inną abrakadabrą. Szaleństwem, krótko mówiąc. Interesują ich Rewel[3] i Wilno. W zamian za nie obiecują wymazanie wszystkich długów imperium i gwarantują zerowe oprocentowanie od kredytów przez najbliższe trzydzieści lat. Rothschildowie planują połączyć Rewel i Wilno z Krakowem, który i tak uznaje się za wolne miasto. Z Austriakami już się dogadali co do Pragi, a z Imperium Osmańskim co do możliwości częściowego panowania nad Konstantynopolem.

Minister Timaszew zmarszczył brwi.

– Mówiłem to już nie raz i jeszcze powtórzę: to NIE-MOŻ-LI-WE! – ryknął przez cały pokój. – Jeśli uwolnimy te miasta, będzie to równoznaczne z otwarciem drogi do rewolucji.

– Jeszcze kilka lat posiedzimy tak bez pieniędzy i rewolucja wybuchnie sama z siebie – odrzekł Reiter, a Abaza przychylnie skinął głową. – Jakich miast tak bronicie, Wasza Wysokość? Komu potrzebny Rewel, gdy nad morzem mamy Petersburg? Po co nam Kraków, gdy jest Warszawa? Po co nam wynędzniałe Wilno z zamkniętym uniwersytetem i szlachtą w walących się chatach? Alaskę sprzedaliśmy jankesom i nic złego się nie stało. Alaskę, panowie! A tu co? Dwa marne miasta. – Odwrócił się do ministra spraw wewnętrznych. – Może obawiacie się tego tworu Żydów, Aliansu? Przecież obiecali zadbać o to, żeby w Wilnie i Krakowie nie wybuchły zamieszki. Wcale nie tak dużo czasu minęło od ostatniego powstania Polaków. I może zapomnieliście, że wszystkie ziemie dookoła tych miast są nasze? Nie mnie was pouczać, Aleksandrze Jegorowiczu, ale jeśli będzie trzeba, ściągniecie wojsko i otoczycie ten cały Alians żelaznym pierścieniem, tak że nawet nie pisną. Odetniecie wszystkie drogi, wszystkie tory. Pozwólcie, że spytam, jak oni wtedy będą się przemieszczać do innych miast czy państw? Może w powietrzu? – Reiter roześmiał się demonstracyjnie.

Abaza poparł go milczącym gestem, poruszyły się wąsy wielkiego księcia. I nagle ta jeszcze przed chwilą oburzająca myśl stała się już możliwa do zaakceptowania. W końcu Rosji (i wielkiemu księciu) pieniądze są bardzo potrzebne. Bardzo!

Timaszew nieco rozwarł usta, ale zaraz je zamknął, runął na krzesło i chusteczką do nosa zaczął polerować order. Domyślał się, jaka decyzja zostanie podjęta, ale chciał dogryźć Reiterowi, swojemu zniechęconemu konkurentowi, i jeszcze raz mu pokazać, że on, Timaszew, zawsze jest nastawiony przeciw niemu i chronionym przez niego układom. „A żeby tylko Reiter się potknął, już ja zadbam, by wyszedł na głupka”, pomyślał Timaszew.

– Niech będzie – rzekł wielki książę. – Najpierw zatwierdzimy tę sprawę w Radzie, następnie dam ją do podpisania carowi. On i tak ma teraz co innego na głowie.

Sekretarz państwowy Solski, do tej pory siedzący cicho za papierami, nagle ożył.

– Wszystkie dokumenty są już przygotowane, Wasza Imperatorska

Wysokość – przemówił cienkim głosem. – Przedstawiciel Rothschildów Chaim Rivkind czeka na dole. Gdy tylko Rada zatwierdzi decyzję Waszej Wysokości, będzie można go zaprosić, żeby odebrał...

– Na pewno nie będzie można! – zagrział Konstanty Nikołajewicz i tak mocno uderzył pięścią w stół, że podskoczył nawet masywny granitowy kałamarz. – Być może lizusy Rothschildów liczą na to, że zagoniły Rosję w kozi róg, ale Rosja nigdy się nie poniża! – Wstał i spojrzał na portrety ojców państwa w złotych ramach zawieszane na ścianach. – Nikt, kto popiera Żydów, nigdy nie wkroczy do sali Wielkiego Ermitażu. Sień to wszystko, co zobaczy. Jego miejsce jest w stajniach! – Księżę odwrócił się do sekretarza państwowego. – Decyzję zatwierdzimy, a papier niech mu ktoś ciśnie w ryj!

Zawsze zachowujący zimną krew Reitern o mało nie złapał się za głowę, nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji – wielki księżę znany był jako wyśmienity dyplomata. W mgnieniu oka zapomniawszy o niezgodzie, ministrowie spojrzeli po sobie zmieszani. Niespodziewanie na pomoc przybył sekretarz państwowy Dmitrij Martynowicz.

– Jeśli Wasza Imperatorska Wysokość pozwoli, znam doskonale miejsce, gdzie moi czynownicy mogliby przekazać dokumenty posłańcowi Rothschildów. – Solski podkreślił słowo „czynownicy” i zrobił odpowiednią pauzę. – Myślę, że do tego najlepiej się nada Pałac Aleksandrowski.

Wielki księżę przez kilka chwil wpatrywał się w sekretarza, próbując zrozumieć, co ten ma na myśli, po czym gromko się roześmiał.

– Może i jest z ciebie gryzipiórek, Dmitriju Martynowiczu, ale głowę na karku masz z pewnością – pochwalił mężczyznę, z lekka odzyskując dobry nastrój. – Naszemu ukochanemu carowi Aleksandrowi ta myśl bardzo się spodoba. – Zachichotał. – Niech chłopczyk Rothschildów poczuje, czym pachną pieniądze. No dobrze, wyrzuć go stąd, niech idzie do Pałacu Aleksandrowskiego. Tylko zadbaj o to, by dokumenty przekazała mu jakaś miernota.

Sekretarz Solski uklonił się, pokazując, że wszystko świetnie zrozumiał. Wielki księżę wstał i poprawił wiszące na piersi ordery.

– Cóż, panowie, wszystko dla Rosji i dla Jego Imperatorskiej Wysokości – bąknął. – Wy jesteście wolni, a na mnie czeka Rada. – Obrócił się w stronę sekretarza. – Solski, bierz papiery i idziemy!

Na te słowa mężczyźni podskoczyli, uklonili się, a wielki księżę udał się do Białej Sali, gdzie z niecierpliwością wyczekiwali go członkowie Rady. Za księciem, niosąc stos papierów, pośpieszył sekretarz Dmitrij Martynowicz.

Gdy wyszli, minister spraw wewnętrznych wbił wzrok w Reiterna, który z trudem ukrywając radość, wpatrywał się w portrety przodków księcia.

– No, Michaile Christoforowiczu, wygraliście bitwę – chrząknąwszy, przerwał ciszę Timaszew.

– Jaka tam wygrana, Aleksandrze Jegorowiczu – odpowiedział Reiter. – Po prostu okoliczności zmuszają wybierać mniejsze zło. Jak powiedział wielki książę, to dla Rosji i dla Jego Imperatorskiej Wysokości – rzekł, ale pomyślał coś innego: „Chciałeś sobie ogrzać ręce, gołąbku, oj chciałeś, ale rozum zbyt mały. Umiesz tylko anarchistów za kołnierz trzepać, nic więcej”.

Ministrowie spojrzeli jeden na drugiego, prawie niezauważalnie przytaknęli i jednocześnie ruszyli ku drzwiom, które usłużnie niczym lokaj otworzył na oścież Aleksander Abaza, ziemianin mołdawski, przewodniczący Departamentu Gospodarki Państwowej, który przez całą rozmowę nawet nie otworzył ust. Chwilę później w gabinecie siedział już tylko spaniel wielkiego księcia. Leniwie ziewnął, okazując tym samym całkowitą obojętność na wydarzenia wagi państwowej, których był właśnie świadkiem. Wskoczył na fotel, zwinął się w kłębek i błogo zasnął.

Gdy ministrowie opuścili salę obrad, doskoczyli do nich adiutanci, do tej pory cierpliwie oczekujący w przestronnym, wyłożonym marmurowymi płytami holu Wielkiego Ermitażu w Sankt Petersburgu.

Minister Timaszew, w obstawie dwóch ordynansów, skierował się do potężnych drzwi prowadzących na wewnętrzne podwórze, gdzie zostawił karete. Póki przemierzał korytarze, ciężko rozmyślał, ale znalazłszy się na podwórzu, machnął jednemu ze swoich adiutantów i szepnął mu coś na ucho. Ten stanął na baczność i stuknął piętami.

– Tak jest, Wasza Dostojność!

– W Petersburgu nie jest zbyt bezpiecznie dla przybyszów – dodał sucho Timaszew. – Umowy już nie odwołasz, ale przynajmniej na świecie będzie o jednego żydka mniej. Tylko pamiętaj, to ma wyglądać na nieszczęśliwy wypadek.

– Oczywiście, Wasza Dostojność!

Minister spraw wewnętrznych kiwnął podkomendnemu i wślizgnął się do karety.

Reiter i Abaza postanowili zatoczyć koło i zejść innymi schodami, znajdującymi się po tej samej stronie, gdzie ulokowała się Rada Państwowa.

– Gratuluję, Michaile Christoforowiczu – zamruczał Abaza, stawiając niemal bezszelestne kroki.



– Dziękuję, mój drogi – rzekł Reiter i spojrzał na przewodniczącego Departamentu Gospodarki Państwowej. – Sam też mogłeś zabrać głos zamiast odgrywać postać z teatru mimów. – Zobaczywszy, że Abaza z poczuciem winy wlepił wzrok w buty i o mało nie zahaczył o dywan, dodał z pobłażaniem: – Dobrze, było, minęło. Jak najprędzej przekaz wiadomość Rothschildom. Powiedz, że wszystko idzie według planu, pociąg ruszył. Przypomnij im, żeby się pośpieszyli i oddali nam naszą część. I jeszcze ostrzeż tego miernotę, jak mu tam... Chaima, że Pałac Aleksandrowski jest... – Minister nagle zamilkł i machnął ręką. – Nieważne, wystarczy, nie zawracaj sobie głowy.

Dwaj najpotężniejsi przedstawiciele rosyjskiej gospodarki zeszli po schodach ozdobionych marmurem i kolumnami, wyszli z Wielkiego Ermitażu, nawet nie spojrzawszy na samotną postać siedzącą u dołu schodów i podpierającą twarz na dłoniach.

Poseł Chaim Rivkind zdążył się już przyzwyczaić do czekania. Zajmując się sprawami korporacji Rothschildów i układając mozaikę Aliansu, przyszło mu czekać wszędzie – i w Pałacu Beylerbeyi w Konstantynopolu, i w wiedeńskim Ballhaus przy rezydencji Habsburgów, i w poczekalni w Londynie, u sekretarza państwowego hrabiego Granville'a. Cichy, przygarbiony człowieczek, podobny do wymęczonego kruka, cierpliwie czekał na odpowiedź – czasami przez wiele godzin, a niekiedy nawet kilka dni. Tak więc teraz, w Ermitażu, umościł się w kąciuku holu, obok, na krześle, położył czarny melonik i zmrużywszy oczy, zachwycał się szerokimi dwustronnymi schodami z białego marmuru ozdobionymi potężnymi kolumnami wydrążonymi z czerwonego porfiru, podziwiał grube purpurowe dywany, poręcze wykute przez wspinających mistrzów, antyczne rzeźby na szczycie i po bokach schodów.

Zobaczywszy przewodniczącego Departamentu Gospodarki i ministra finansów schodzących po schodach, uniósł głowę, ale ani trochę się nie zraził, gdy ci dwaj przeszli obok, nawet nie spoglądając w jego stronę. Obu rosyjskich finansistów poznał jako obszarpańców i starał się przypomnieć sobie, kiedy i ile pieniędzy zostało przelanych na osobiste konto ministra Reitera w szwajcarskim banku, a ile jeszcze trzeba będzie przelać.

Owych płatności było wcale niemało, dlatego w trakcie liczenia Chaim nieco stracił poczucie czasu. W głowie posła z początku układały się sumy rzędu dziesiątków tysięcy, następnie setek tysięcy, ale nagle ćwiczenia pamięci przerwało suche kasznięcie. Chaim Rivkind wzdrygnął się i podniósł wzrok. Stał przed nim sekretarz Solski.

– Kancelaria Państwowa cieszy się, mogąc poinformować, że zgadza się na waszą prośbę – wystrzelił Solski. – I jednocześnie żałuje, że nie może zaprosić was do siebie. Rada i jej przewodniczący są bardzo zajęci. – Solski pomachał Rivkindowi przed nosem papierkiem, który trzymał w ręce. – Dokumenty zatwierdzające naszą decyzję zostaną wam przekazane w miejscu szczególnie odpowiednim dla takiego szanownego gościa. Oto adres.

Solski wypuścił papierek z ręki, a ten, powiewając, spadł Rivkindowi na połę marynarki. Sekretarz zwinnie obrócił się na pięcie i bez pożegnania udał się w swoją stronę.

Chaim odprowadził go wzrokiem i nie spiesząc się, przeczytał adres. Wstał, poprawił surdut, założył melonik, po raz ostatni zerknął na wytworne schody i przez stróżówkę wyszedł na plac Pałacowy; dopiero wtedy cicho zachichotał. Rosjanie wydawali mu się jeszcze śmieszniejsi od Turków czy Austriaków.

Chaim Rivkind rozejrzał się i skrzywił w lewo. Miał niespotykaną pamięć wzrokową. Wystarczało mu pół godziny dokładnego studiowania mapy nieznanego miasta, by po przybyciu do niego czuć się jak w domu. Osłaniając się od dość ostrego wiatru wiejącego od Newy, skierował się Nabrzeżem Pałacowym w stronę mostu Troickiego. Celem posta był budynek znajdujący się na skrzyżowaniu prospektów[4] Kamiennoostrowskiego i Kronwerskiego.

Po niedługim czasie Rivkind doszedł do zielonego skweru, gdzie powinien się znajdować Pałac Aleksandrowski, i nagle stanął jak wryty. Pałac był wytworny, ale w porównaniu z innymi wręcz miniaturowy, nad głównymi drzwiami widniał napis: „Willa wspólnego użytku”, jak określano publiczną toaletę.

Oprzytomniawszy, zachował się dokładnie tak jak w Ermitażu: wszedł do małej poczekalni, rozejrzał się i usiadł w kąciку na twardym krześle. Zapachy nie należały do najprzyjemniejszych, w tę i z powrotem biegali mężczyźni w kapeluszach, lecz poseł nie zwracał na nich uwagi. Nigdy wcześniej nie był w tym budynku. Dopiero teraz przypomniał sobie krążące o nim plotki.

Przed kilkoma laty petersburska arystokracja, pokładając się ze śmiechu, dyskutowała o romansie Aleksandrowa, kupca pierwszej gildii, niezwykle bogatego człowieka, właściciela między innymi domu uciech. Aleksandrow po uszy zakochał się w baronowej Gonczarowej i obsypywał ją podarunkami. Ona zaś chętnie przyjmowała prezenty, ale zakochanemu kupcowi pozwalała tylko pocałować swą rączkę. Aleksandrow długo skakał wokół pociągającej kobiety, lecz koniec końców cierpliwość mu się skończyła. Przycisnął damę

do muru – zażądał szczególnej uwagi względem własnej osoby. Gonczarowa odrzekła na to: „Tyś prostak, a ja baronowa. Możesz pocałować rękę, nic więcej”. Wściekły kupiec obiecał się zemścić na grymaśnej pani. Niedługo potem pod oknami pałacu baronowej wyrósł śliczny zameczek z wieżyczkami i ozdobnymi daszkami – kopia letniej willi Gonczarowej, do której baronowa wpuszczała tylko gości z najwyższych sfer. W tym miniaturowym pałacyku Aleksandrow urządził publiczną toaletę, którą nazwał „Willą wspólnego użytku”. Dogłębnie urażona baronowa przeprowadziła się do innego pałacu, lecz za sprawą kupca w nowym miejscu również wyrosła identyczna willa. Gonczarowa przeprowadziła się po raz trzeci, jednak Aleksandrow nie odpuszczał – postawił trzeci szalet. Jak zakończyła się ta historia, tego Chaim nie wiedział, ale dopiero teraz pojął, że Pałac Aleksandrowski to owa publiczna toaleta. Do takiego miejsca sekretarz Solski skierował jego – posła Rothschildów.

Do tego przyszło mu znowu długo czekać. Gdy do willi zawitał rejestrator kolegium w towarzystwie żandarma, za oknami zapadał już zmierzch. Urzędnik podszedł do posła Rothschildów, ale nawet nie raczył się przywitać. Chaim Rivkind nie spieszył się więc, by wstać.

– Fuj, ale miejsce sobie wybraliście. – Rejestrator wykrzywił się, rozwiązując sznurki grubego skoroszytu. Puścił oczko do żandarma i obaj mężczyźni głośno się roześmiali. – Ale waćpan chyba już przyzwyczajony – dodał. – Jak to się mówi, pachnie domem, czyż nie?

Rivkind uśmiechnął się delikatnie.

– *Pecunia non olet* – wypowiedział cicho.

Rejestrator zmarszczył brwi.

– Słucham? – Wsunął ku posłowi skoroszyt z dokumentami. – Proszę, weźcie. Podpiszcie, że otrzymaliście, i przypieczętujcie.

Chaim wziął papiery i niespiesznie zaczął je czytać, przesuwając palcem po papierze, sprawdzał każde słowo, każdą linijkę, niemal wodząc nosem po tekście, badał każdy podpis i każdą pieczęć.

– Panie, można szybciej? – Rejestrator nie wytrzymał. – Trochę tu, że tak powiem, cuchnie.

Jednak Chaim sprawiał wrażenie, jakby w ogóle Rosjanina nie usłyszał. Dopiero gdy się upewnił, że wszystko zostało spisane poprawnie, a niezbędne podpisy znalazły się na swoich miejscach, wyciągnął zza pazuchy pudełeczko z pieczęcią, podmuchał na nie i niespiesznie zaczął składać pieczęć z herbem Rothschildów – pięść na czerwonej tarczy ściskającą pięć strzał.

Skończywszy, schował pieczęć ponownie za pazuchą. Dopiero wtedy wstał i zwrócił Rosjaninowi umowy, zostawiwszy dla siebie ich kopie.

– *Pecunia non olet* – powtórzył. – Pieniądze nie śmierdzą. Tak mawiał cesarz rzymski Wespazjan. Ten, który opodatkował rzymskie toalety publiczne – dodał z uśmiechem, po czym odwrócił się i zostawił osłupiałych Rosjan samych w Pałacu Aleksandrowskim.

Zatrzymał się w motelu Zorza Polarna znajdującym się nieopodal, nad Małą Newą. By się tam znaleźć, musiał przejść niewielki odcinek przez Park Aleksandrowski. Nadeszła już noc, park wydawał się pusty i nieprzyjazny, ale poseł pewnym krokiem, nie oglądając się na boki, maszerował zwirową ścieżką. Ledwo zdążył wkroczyć do parku, z jednej z bram wyłoniły się cztery ciemne postacie.

– Trochę się zasiedziało – wyszeptał któryś z nadchodzących mężczyzn.

– Dobrze, że już się ściemniło – wymamrotał drugi. – Dobrze dla nas. Widzisz, jak jakiś głupek spokojnie sobie idzie przez park. Bierzemy go, a potem do kanału, koniec, kropka.

– Tylko nie zapomnijmy zabrać papierów – przypomniał trzeci typ. – Działajmy po cichu.

– Panowie, rozdzielamy się – odezwał się znów pierwszy. – Spotykamy się w środku parku.

Postacie znacząco po sobie spojrzały, rozproszyły się w różne strony i zniknęły w cieniach drzew.

„Rosjanie są jeszcze bardziej prymitywni niż Turcy”, pomyślał Chaim, zmierzając w głąb parku. Zatrzymał się. Schylił się, po czym podniósł z ziemi bryłkę gliny i zaczął ją obracać w dłoni. „Tamci przynajmniej zachowali się elegancko: wykwinęta uczta, zatrute wino, a ci... Ech, jaskiniowcy. Bandytów z nożami wysłali. Dziki kraj. Czego się spodziewałem po barbarzyńcach?”

Chaim Rivkind był doświadczonym posłem: z jednej strony domyślał się, co go czeka, ale z drugiej sam lubił reżyserować wydarzenia. Dlatego przybywszy do Petersburga, każdemu, kto się nim zainteresował, tłumaczył, że mieszka w Zorzy Polarnej i lubi spacerować po Parku Aleksandrowskim. Odsiadka w „Willi wspólnego użytku” była mu na rękę – w ciemności napastnicy mogli jeszcze bardziej uwierzyć w swoje siły.

Skreślił odrobinę w lewo i po chwili znalazł się w zmierzającej do środka parku alei obrosniętej gęstymi, wysokimi krzakami. Mgła delikatnie się wzniosła, otuliła blado świecące gazowe latarnie. Rivkind popatrzył na nie z zachwytem i się uśmiechnął.



Nagle krzaki zaszeleściły, a zza nich wyszły dwie postacie. Pochyliwszy głowę, Chaim zauważył dwie kolejne. Jeśli spróbuje ratować się ucieczką, zastąpią mu drogę. Cienie niespiesznie się zbliżały. Samotny podróżnik w parku tonącym w półmroku wydawał im się łatwą zdobyczą.

Chaim zatrzymał się i westchnął. Rozkruszył w dłoni bryłkę gliny, po czym wymówił cicho:

– *Im ba l’hargekha, hashkem l’hargo.*

Krzaki znów zaszeleściły. Napastnicy zatrzymali się wstrząśnięci. Oczy rozszerzyły im się z podziwu, a szczęki jednocześnie opadły.

Zza drzew wyłoniły się dwie olbrzymie postacie, zbliżyły się do posła i stanęły po obu jego bokach. Były całkiem nagie, nie posiadały jakichkolwiek cech płciowych, a ich skóra miała kolor ochry. Na ciałach błyszcząco po kilka metalowych płytek, które z daleka wyglądały jak łaty. Nie miały ani nosów, ani ust, tylko oczy jarzyły im się czerwonym ogniem. Golemy – prezent dla Rothschildów od praskich wskrzesicieli.

– *Im ba l’hargekha, hashkem l’hargo* – powtórzył Chaim. – Jeśli ktoś przychodzi, by cię zabić, wstań wcześniej i zabij go pierwszy.

Wreszcie jeden z napastników oprzytomniał, doskoczył do olbrzyma chroniącego Chaima i wbił mu nóż w klatkę piersiową. Ostrze z łatwością wbiło się aż po sam trzonek, ale golem stał, jakby tego nie zauważył. Podniósł ogromną pięść z wykutymi z metalu knykciami i uderzył bandytę prosto w głowę. Dłoń potwora w mgnieniu oka zanurzyła się w przesiąkniętą krwią kaszkę zmiażdżonych kości i mózgu. Golem odwrócił się w stronę kolejnych dwóch drabów próbujących podkraść się od tyłu i wyciągnął rękę. Coś grzmotnęło i niewielki iskrzący się pocisk, który wyleciał z przytwierdzonego do ręki miniaturowego działa, trafił w jednego z napastników. Ten zaskoczony łypnął na otwierającą się w klatce piersiowej dziurę wielkości pięści i nie zdążywszy nawet jęknąć, osunął się na ziemię. Golemy zwróciły się w stronę dwóch pozostałych mężczyzn i zaczęły kroczyć w ich kierunku. Gdy stawiały kroki, żwir rozpryskiwał się na boki jak woda. Bandyci nie czekali chwili dłużej, puścili się biegiem, skąd przyszli, i zniknęli w ciemności, pozostawiając po sobie jedynie szelest liści.

Kiedy park na powrót otuliła cisza, golem wróciły do Rivkinda. Jedyne, co im pozostało, to odprowadzić posła na koniec parku, kryjąc się w cieniach, a następnie – zastygnąć między drzewami. Rano służący Chaima zapakują je w wielkie skrzynie, które opiszą czerwoną farbą „Ostrożnie! Szkło!”, i wyślą do Pragi.

Rivkind zerknął na dwa leżące na ścieżce zmasakrowane trupy.

– Petersburskich żandarmów czeka zagadka nie do rozwiązania, mnie podróż do domu i krótki odpoczynek, a Rothschildów największa awantura stulecia – zamruczał do siebie.

Rothschildowie od dawna marzyli, by przyłączyć Wilno i Rewel do Aliansu, stworzyć wielki łuk miast: Rewel – Wilno – Kraków – Praga – Konstantynopol.

– *Abducet praedam, qui occurrit prior*[\[5\]](#) – szepnął Chaim Rivkind i ruszył w stronę motelu Zorza Polarna.

Wilno,  
późny wieczór i noc  
21.04.1870

Waneczka Skoryk bardzo chciał wrócić do domu. Wiadomo, nie do tej chałupy w królikarni, którą utrzymywała Zofia, gdzie wiecznie śmierdziało kocim moczem, przypalonymi ziemniakami i potem, a szczególnie – parą. Tak, nią najbardziej.

Waneczka tak naprawdę nie miał nic przeciwko niej – w domu często chadzał do sauny i rozciągnawszy się na drewnianym leżaku, cieszył się gorącą parą. Stary sauniarz Matwiejus rozsypywał na podłodze drobno porąbane sosnowe gałęzie, na rozgrzane kamienie lał wodę, a dookoła rozprzestrzeniały się kłęby pary. Ach, cudowna rosyjska sauna! Obcokrajowcy, którzy przybyli do Rosji, gapili się na nią z rozdziawionymi ustami, a po powrocie do siebie czym prędzej otwierali podobne. Tylko tej wileńskiej pary Waneczka wprost nienawidził. Gdy wzmógł się wieczorny wiatr, nad Paromieściem rozprzestrzeniały się szare kłęby cuchnące metalem, sadzą, olejem i przekleństwami dozorców. Nad Czerniami powiewał ledwie wyczuwalny opiumowy czad, a nad Dominium Uniwersyteckim – siarka. Obłoki pary tułały się ponad miastem i w końcu, ociążałe od ogromniej ilości komponentów, osiadały na Biedach. A tam, według krętaczy, miejscowi, nabrawszy ich w gary, gotowali z nich zupę.

– Ej, rusku, znowu połowę śrub zniszczyłeś! To zaboli twoje kopiejki na koniec tygodnia – wrzasnął jeden z podmistrzów, przekrzykując dudniące maszyny, ale Waneczka udał, że nie usłyszał tej drwiny.

Nienawidził swojej pracy. Gdyby tylko podmistrzowie wiedzieli, kim tak naprawdę jest Waneczka Skoryk, samouk, ślusarz czwartej kategorii, natychmiast ugryźliby się w język. Ale póki co harował w Odlewni Żeliwa Zimmermanna sterczącej w samym centrum wileńskiego rejonu przemysłowego nazywanego Paromieściem, nieumiejętnie szlifował śruby i cierpliwie znosił drwiny starszych podmistrzów.

Po hali rozeszło się wycie syreny oznaczające koniec zmiany i wielkie żelazne tłoki, które cały dzień kiwały głowami w górę i w dół, zaczęły

zwalniać, aż całkiem zastygły w bezruchu. Waneczka tylko na to czekał – od razu rzucił robotę i wyslizgnął się na ulicę z mroku hali produkcyjnej. Zmrużywszy powieki, stał na niej przez chwilę, dopóki oczy nie przyzwyczyły się do światła słonecznego, po czym popatrzył w niebo. Choć do zachodu słońca zostało już niewiele czasu, uznał, że zdąży załatwić swoje sprawy.

Szedł przez obce miasto, rozglądając się na boki, z trudem krył obrzydzenie na widok biegających po ulicy Litwinów i Polaków oraz Żydów sterczących w drzwiach sklepików i zachwalających swoje towary.

– Obrzydliwe! – burknął i splunął na bruk. – Pomyśleć tylko! Wolne miasto Aliansu. Raczej anegdota. Nie ma już porządku na świecie, jeśli ci bogacze, Żydzi, mogą bezkarnie odebrać carowi trzy miasta, zawalić je fabrykami, wypuścić w powietrze straszidła i jeszcze bezczelnie nazywać siebie wolnymi. Ech, ani porządku, ani rozumu.

Zerwał z siebie brudną chustę pracowniczą i cisnął ją pod krzak. Do diabła z nią, niech ją odliczą od wypłaty.

Skoryk mieszkał w Wilnie od trzech miesięcy. To był drugi raz, gdy miał coś do załatwienia w tym mieście. Za pierwszym jeszcze jako młody chłopiec przyjechał tutaj przed prawie czterdziestoma laty, gdy miasto, które dopiero się uspokoiło po powstaniu, raczył odwiedzić Jego Imperatorska Wysokość Car Wszechrusi Aleksander II. Wtedy wszędzie trzepotały flagi z dwugłowymi orłami, oko cieszyły wypisane cyrylicą slogany z pozdrowieniami, a wymusztrowani mieszczanie gromko skandowali: „Hura!”. Jeśli wówczas ktoś odważyłby się nazwać Waneczkę ruskiem, koledzy Skoryka z pewnością zgotowaliby takiemu śmiałkowi kilka lat piekła. „Cała odwaga zaraz by wyparowała z tych nieudaczników”, pomyślał Waneczka i uśmiechnął się z satysfakcją.

Szybkim krokiem skierował się Ósmą Ulicą aż do porzecza i rozejrzał. Po lewej, plując jasnymi kłębami pary, buchały Wielkie Sauny Paromieścia, w których pracownicy z fabryk mogli się umyć raptem za trzy kopiejki, a jeśli rzucili o dwie więcej, dostawali nawet własną miotełkę z liści. Jeszcze dalej, za saunami, dniami i nocami stali przybysze i uchodźcy szukający pracy w wolnym Wilnie. Oficjalna giełda pracy na Paromieściu odbywała się gdzie indziej, ale to tutaj składali podania o papiery i wypytywali o nieprzyjemne sprawy.

Zamiast wejść do sauny Waneczka zszedł nad Wilię, starannie umył brudne od smaru ręce i dołączył do licznej grupki pracowników zmierzających z Paromieścia w stronę Zielonego Mostu. Nie było mu szkoda trzech kopiejek



dla sauniarza, tylko czasu.

Po długim dniu w fabryce ludzie snuli się z opuszczonymi głowami, marząc jedynie o ciepłej kolacji i kuflu piwa w którejś z oberży w pobliżu domu. Waneczka jako jedyny wyróżniał się w tym tłumie wyglądem. Elastyczny chód Skoryka, wyprostowane barki i podniesiona głowa świadczyły, że dla niego dzień dopiero się zaczynał. Osoba postronna, rzuciwszy na niego okiem, nie dałaby mu więcej niż czterdzieści lat, ale siwe skronie i głębokie zmarszczki dookoła oczu świadczyły, że Waneczka widział w życiu znacznie więcej wiosen. Jego imię zupełnie do niego nie pasowało, ale tak go przezwiała staruszka Zofia, a z nią wolał się nie spierać.

Niedaleko mostu tłum się przerzedził. Więcej zarabiający i najbardziej zmęczeni pracownicy wskoczyli do parowego tramwaju, inni sunęli powoli przez Zielony Most, a następni – między nimi i Skoryk – skręcili w zawiłe uliczki Śnipiszek, które wydawały się takie, gdy się tam trafiło po raz pierwszy, ale w porównaniu do labiryntu na Biedach stawały się zwykłymi prospektami. Skoryk nie czuł się w tym miejscu nowicjuszem, szybkim krokiem przeszedł kilka brudnych chodników, skręcił w lewo i rozejrzawszy się, czy nikt go nie śledzi, wszedł do drewnianego domu przez drzwi, nad którymi bujał się obszarpany szyld „Enzelman. Tabaka i cukiernia”.

Po chwili wkroczył do niewielkiego pomieszczenia z brudnym oknem, drewnianą ladą, półkami przy jednej tylko ścianie i stosem skrzyń przy drugiej. Żadnego zapachu tortów ani ciasteczek posypanych cukrem. Zamiast tego przestrzeń wypełniały różnorakie torebeczki i pudełeczka sterczące na półkach. Całe pomieszczenie cuchnęło tabaką – przez lata ten zapach wsiąknął w ściany. Za wytartą ladą siedział rosły, acz zgarbiony staruszek i pieczołowicie skręcał sobie papierosa. Skoryk skinął starem milcząco, a ten w odpowiedzi zwinnie położył na ladzie niewielki klucz. Wziąwszy go, Waneczka skierował się do stosu skrzyń. Za nimi znajdowały się ukryte drzwi, a za drzwiami – schody.

Wszedł na pierwsze piętro. Ciągnął się tu długi korytarz z drzwiami po obu stronach, panowała w nim niemal całkowita ciemność, niewielka strużka światła wpadała tylko przez okienko na końcu holu, ale Waneczka doskonale wiedział, których drzwi szuka. Otworzywszy je, wszedł do szarego od pleśni pokoju bez okien. Na półkach stało tu mnóstwo skrzynek i skrzyneczek. Klienci Enzelmana chowali w nich swoje skarby, które przeważnie zdobywali w sposób daleki od praworządności.

Stary sklepikarz miał dwie zalety: przyjmował na przechowanie obcy

majątek, nie zadawając żadnych pytań, i wiedział, ile dać w łapę drobnym strażnikom porządku. A Legionu Wileńskiego, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w mieście, przemytnicy nie obchodzili.

Z masy chowanych tu skrzyneczek kilka należało do Waneczki Skoryka. Pozostałą część swojego majątku poukrywał w podobnych sklepikach w różnych częściach miasta, wedle przysłowia mówiącego, że niemądrze trzymać wszystkie jaja w jednym koszyku – prędzej się stłuką, niż usmażysz omlet.

Waneczka zdjął z półki jedną skrzyneczkę, z kieszeni wyciągnął kilka kluczy i sprawnie znalazł ten właściwy. Odblokował zamek, otworzył pudełko, po czym wyjął i położył z boku jakieś papiery z przypiętymi do nich wyblakłymi zdjęciami, w końcu wyciągnął kupkę czerwońców (w Wilnie wciąż były w obiegu ruble) i polizawszy sobie czubki palców, ze skupieniem zaczął liczyć pieniądze: dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt... Odliczywszy setkę czerwonych banknotów – trzyletnią pensję ślusarza czwartej kategorii – upchnął pieniądze w materiałową sakwę i schował za pazuchą. Pozostałe ponownie ukrył w skrzynce pod dokumentami.

Po kilku minutach spędzonych na górze Waneczka zszedł po schodach, wkroczył do sklepiku i cisnął klucz na ladę. Staruszek Enzelman jak siedział wcześniej, tak siedział i teraz, tylko dodatkowo z błogością palił papierosa, wypuszczając z ust szary cuchnący dym. Skoryk łypnął na starego i nie powiedział ani słowa, opuścił cukiernię.

Znalazłszy się na ulicy, poprawił wilgotną marynarkę uszytą z materiału szarego jak mysz i jak gdyby nigdy nic ruszył z powrotem w stronę Zielonego Mostu. Po załatwieniu sprawy na Śnipiszkach czekał go marsz w jeszcze mniej przyjemny rejon.

Nie śpieszył się. W okolicy kościoła Świętego Rafała kupił sobie za trzy kopiejki gorące ciastko z mięsem, a dołożywszy jeszcze jedną kopiejkę – szklankę kwasu chlebowego. Wkroczył na Zielony Most, oparł się o barierkę i zaczął jeść, obserwując dzieciaczki i kilku dorosłych pluskających się w niezwykle ciepłej jak na koniec kwietnia Wilii. Z Paromieścia, znajdującego się nieco wyżej, spływało rurami do Wilii nie mało różnorodnych odpadów, ale wilnianie kąpali się bez obaw, bowiem niedaleko Zielonego Mostu alchemicy Dominium Uniwersyteckiego postavili mechaniczne sieci, które czyściły Wilię z niepożądanych prezentów Paromieścia.

Powoli zaczynało się ściemniać. W wieży nawigacyjnej na Górze

Giedymina zapaliły się światła. Mieszczące się tam centrum kontroli nawigacji statków powietrznych różnokolorowymi sygnałami świetlnymi wskazywało drogę niezdarnie poruszającemu się sterowcowi ładunkowemu lądującemu w Wyścigowym Porcie Lotniczym. Ciężki cień padał na miasto, ale mało który wilnianin uniósł głowę – przez kilka dziesiątek lat przyzwyczaili się do tych cudownie wyglądających maszyn.

Waneczka skończył żuć ostatni kęs, wytarł w marynarkę obtłuszczone palce i ruszył do centrum miasta na piechotę. Zwykle natrętni kierowcy parowych dyliżansów nie zainteresowali się nim, sądząc, że robotnik nie może sobie pozwolić na luksus przejażdżki ich pojazdem.

Wzdłuż ulicy Wileńskiej zapaliły się gazowe latarnie. Ich niebieskie płomyczki przypominały silnego młodego mężczyznę opróżniającego kufel piwa Šopenas. Owe latarnie – wynalazek wileńskich alchemików – niegdyś przyciągały tłumy gapiów, a pieniądze producentów piwa sączyły się do miejskiego skarbcza. Ale te czasy odeszły w zapomnienie, teraz płomyczkami zachwycali się chyba tylko turyści. Waneczka, nie oglądając się na boki, szybkim krokiem przemierzał ulicę Wileńską. Przechodząc przez prospekt Świętego Jerzego, zaklął półgłosem, gdy o mało co nie potracił go monocykl.

Niedaleko Teatru Wielkiego, w którym w tych dniach dawał przedstawienia słynny wędrujący cyrk konny Baumana, stanął na skrzyżowaniu. Z lewej strony biegła w stronę placu Pałacowego ulica Odlewnicza, ale Waneczka skręcił w prawo – na Pohulankę.

Tam zawsze było wesoło – przy popularnej restauracji Harmonia grała orkiestra, a kelnerzy ledwo nadążali obsługiwać ogródkowe stoliki okupowane przez grono głodnych i spragnionych gości. Dziś pogoda dopisywała, dlatego we wszystkich pohulankowych gospodach dało się słyszeć gwar, nawet w godnej pożałowania Dolnej Karczmie, o której rozwodnionym piwie i jedzeniu wartym nocnika krążyły po całym Wilnie anegdoty. Przy stołach na zmianę brzmiały języki polski, rosyjski, niemiecki i nawet angielski, jednak większość rozmawiała po litewsku. Z zarządzenia Aliansu w Wilnie był to język urzędowy, a rektor Dominium Uniwersyteckiego Stanisław Gimbutt z przyjemnością dbał o to, żeby wypełniano to rozporządzenie. Były wileński generał-gubernator Murawjow przewróciłby się w trumnie na taką wiadomość.

Waneczka zdążył się już najeść, dlatego minął gospody i niedługo potem znalazł się na samym skraju Wilna. Przy Białych Słupach Pohulanki stali dwaj znudzeni mężczyźni ubrani w niebieskie uniformy Legionu Wileńskiego. Legat

miasta nie raz zaznaczał: „My odpowiadamy tylko za bezpieczeństwo w Wilnie, a Wilno kończy się przy Białych Słupach Pohulanki”.

A za nimi... Za nimi zaczynały się Biedy.

Jak mawiał legat, Biedy to już nie wileńska bieda. A ci dwaj legioniści stali tu tylko po to, by przestrzec przechodniów, że za chwilę wkroczą do najniebezpieczniejszej dzielnicy miasta, a właściwie na jego przedmieścia. Lecz wilnianie sami doskonale wiedzieli, czego można się spodziewać po Biedach, dlatego strażnicy lenili się, czekając na koniec zmiany.

Zaraz za Słupami krajobraz kompletnie się zmieniał. Na początku Bied rozciągał się niebrukowany Mokry Plac, który zimą i latem zalewały wielkie, głębokie kałuże. Z tego miejsca niczym ostre promienie w głąb Bied wbijało się pięć ulic. Obok placu розміściło się kilka gospód, w których dało się coś szybko przekąsić lub dla odwagi wypić jednego czy dwa głębsze. Poza tym na Mokrym Placu zawsze kręcili się proponujący swoje usługi krętacze. Chcesz trafić do najbliższego kasyna – zwróć się do krętacza, chcesz do domu pobłażliwości, ale boisz się zarazić syfilisem – i tu krętacze pomogą wybrać przyzwoitszą instytucję. Chcesz poczuć wiatr we włosach i poszaleć na Biedach, ale boisz się, że stracisz zarówno włosy, jak i portfel – kilku umiędzionych krętaczy za drobną opłatą będzie cię ochraniać przez całą noc, a nad ranem na rękach zanoszą cię pod Białe Słupy i nawet zadbają o to, żeby parowy dyliżans bezpiecznie dostarczył do domu twoje bezwładne ciało. Niegdyś kilku przedsiębiorczych krętaczy założyło tu spółkę o nazwie Tramwaj Wykrętu. Otwartym tramwajem wozili przybyszów po najciekawszych biedowskich miejscach, ale Rada Wileńska szybko to przedsięwzięcie ukróciła, ponieważ przez pierwsze dwa tygodnie wycieczkowicze zostali czterokrotnie obrabowani. Krążyły plotki, że właściciele pojazdu osobiście maczali w tym palce.

Krętacze byli dla miasta prawdziwym wrzodem na tyłku. Rada długo rozważała, jak zmusić ich do okazania wiarygodnych papierów i płacenia podatków, ale ostatecznie urzędnicy machnęli na to ręką. Tak więc wraz ze zwiększającą się liczbą mieszkańców Wilna kwitły i nielegalne interesy krętaczy.

Waneczka wkroczył na Biedy z tysiącem rubli w kieszeni marynarki, ale skorzystać z usług krętaczy nie zamierzał. Zresztą nawet najbardziej wnikliwemu cwaniakowi nie przyszłoby na myśl, żeby obrabować takiego łachmytę.

Skręcił w Zaulek Żarłoków, gdzie rozstawiono wiele lad, na których ich

właściciele całą dobę coś siekali, warzyli, dusili, marynowali i głośno zachwalali swoje potrawy. Postronnemu przechodniowi krętacze (oczywiście za opłatą) podszeptywali, które pieczenie są z prawdziwej baraniny, a które ze szczurów złapanych dziś rano przez żwawych biedowskich chłopców, ale i to mogło się okazać kręctwem – nie należało ślepo wierzyć w udzielane tu rady.

Zaułek Żarłoków znany był z jednej dobrej cechy – tutaj nie trzymano się typowej na Biedach tradycji wylewania na głowę przechodnia zawartości nocnika z okrzykiem „Uwaga, śmierdzielu!”. Z drugiej strony uliczkę bardzo upodobali sobie kieszonkowcy, dlatego Waneczka przezornie przycisnął rękę do serca w miejscu, gdzie za pazuchą ukrył swój majątek.

Za zaułkiem rozciągały się prawdziwe Biedy – dziesiątki błędnie przeplatających się uliczek, w jednym miejscu łączących się, w innym prowadzących na dziwne podwórza, a czasami kończących się zupełnie niespodziewanie. Waneczka nie należał do znawców biedowskiego labiryntu, ale drogi do wyznaczonego miejsca spotkania nauczył się z mapy, dlatego bez żadnych wątpliwości skręcił w lewo i zwinnie przeciął drogę dwóm pijanym pracownikom żeglugi rzecznej, łypiąc na solidnego jegomościa prowadzonego przez krętacza do palarni niealchemicznego opium. Mężczyzna miał rozpięty kołnierz koszuli i Waneczka zauważył złoty łańcuszek. Mógłby się założyć, że następnego ranka świecidełko będzie już w rękach krętacza. W końcu Skoryk znalazł się pod szyldem przedstawiającym nastroszonego puchacza żłopiącego piwo.

W gospodzie zabawiała się ta sama kompania co zazwyczaj.

– Nu wot i ja jej mówię: gdzie twój, rozum, babo? – mówił głośno zadowolony z uwagi Icek Lupeta[6], stały bywalec Żelaznego Puchacza i właściciel kilku domów pobłażliwości. – Po co werbowałaś szlundry[7] koło studni na wprost okien posterunku? Jakby w mieście nie było innych miejsc, gdzie się gromadzą te kury.

Słuchacze zarżeli tak przenikliwie, że zadrżały kufle piwa. Icek pokazał swoje dziurawe zęby i opowiadał dalej:

– Jasne, zaraz wylazł ten ponurak przystaw[8] Smutkiewicz, widzę, już przymierza się zgarnąć moją Malkę. Mówi: „Pani Knopp, jest pani arestowana za nielegalną próbę zatrudnienia dziewcząt”. Myślę sobie, może tę głupią Malkę naprawdę zostawić na parę dni w ciupie, żeby nabrała rozumu? – Icek oparł się o stół, siorbnął piwa i rozłożył ręce. – Ale przecież wy mnie znacie, ja mam miękkie serce. No to co, trzeba babę ratować.

Wyciągnąłem nożyk, zaszedłem go od tyłu i mówię: „Smuteczku, czego się tu pań czepiasz, życie ci się znudziło?”

– A on co? – zapytało kilka głosów jednocześnie.

– Co on... – Lupeta wzruszył ramionami i się wyszczerzył. – Z czym ten Smutniałek do prawdziwego mężczyzny? Wymamrotał coś i puścił moją Malkę. Jeszcze chciałem zażądać, żeby przeprosił damę, ale nie miałem czasu. A was wszystkich zapraszam do wypróbowania moich nowych ślicznotek. Dla klientów Puchacza taniej, dacie pół rubla i dziewczynki są wasze.

Kompani od kieliszka, przytakując, rąbali kuflami nad stołem, a Icek po cichu się cieszył, że żaden z nich nie był wtedy przy studni i nie wie, dlaczego nagle mu zabrakło czasu. Po tym, jak pokazał się jeden z wileńskich legionistów, i Malka, i on sam odwrócili się na pięcie i galopkiem, najszybciej, jak się dało, uciekli przez podwórka i ogródki. Z legionistami nie ma żartów.

Niespodziewanie drzwi gospody otworzyły się i do środka wszedł nigdy wcześniej niewidziany tu człowiek. Lupeta od razu wbił w niego wzrok i wyszczerzył zęby, przez co przypominał szczura. W Żelaznym Puchaczu nieznanymi byli nieszczególnie pożądanymi gośćmi.

Przybysz stanął w progu i rozglądał się, jakby kogoś szukał. Jedną rękę trzymał w kieszeni, druga zwisała mu przy boku. Icek zmierzył wzrokiem przybłędę – jego wyliniałą marynarkę i tanie buty, po czym ześlizgnął się z krzesła.

– Ej, wujaszku, pyle marny, czy przypadkiem nie zabłądziłeś? – zagrział, zbliżając się do Waneczki Skoryka nadal tkwiącego przy wejściu. – To porządny zajazd, plebs nie jest tu mile widziany, czyż nie, panowie?

– Jo, jo! – zaskandowali towarzysze Icka, a ten, zagrzany przez entuzjastyczne wsparcie, podszedł do Waneczki i mocno pchnął go w klatkę piersiową. I o mało co nie zaskomlał z bólu, gdy jego łokieć błyskawicznie znalazł się w stalowym uścisku. Icek nawet nie zdążył zakląć, a Skoryk pochylił się i coś mu szepnął do ucha. Dobrze wiedział, jak się obchodzić z takimi osobnikami.

Nagle twarz Lupety się zmieniła – cała odwaga zaraz z niego wyparowała, a w jej miejsce pojawiło się lękliwie spojrzanie utkwione na ściśniętym łokciu. W gospodzie zapanowała cisza.

Waneczka znów się pochylił i wyszeptał Lupecie do ucha:

– Jeśli nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, że żaden z ciebie chojrak, a na widok byle legionisty bierzesz nogi za pas, teraz głośno się zaśmiej,



poklep mnie po plecach, nazwij kumplem i poproś, żebym się poczęstował piwem. – Zwolnił uścisk.

Icek natychmiast posłuchał. Mimowolnie pocierając łokieć, zarzął niczym koń, zarzucił Skorykowi łapska na barki i zawołał:

– Ej, kolego! A niech cię! Nie poznałem cię. Ja tu tak... Chyba będziesz bogaty. No, chodź, napij się piwka.

Skoryk odwrócił się do karczmarza i podniósł dwa palce, po czym obaj, wraz z Lupetą, usadzili się przy jednym z ustronniejszych stolików. Goście gospody wzruszyli ramionami i wrócili do swoich spraw. Po kilku minutach karczmarz postawił przed Waneczką dwa kufle i miskę solonych obwarzanków. Nie wiedząc, jak się zachować, Icek zezował to na piwo, to na Skoryka. Ten pochylił się ku niemu.

– Teraz na dwa hausty wypij piwo i zniknij mi z oczu – szepnął do Icka. – Jeśli tego wieczoru zobacze cię snującego się w Puchaczu lub w pobliżu, zabiję cię – uprzedził uprzejmie.

Biedy odwiedzały dwa rodzaje ludzi – ci, których można popychać, i ci, którzy popychają innych. Waneczka Skoryk bez dwóch zdań należał do tych drugich, Lupeta – do pierwszych, tak więc szybko opróżnił kufel, jakby pił wodę, i grzecznie usunął się z gospody.

W mgnieniu oka zapomniawszy o problemach, Waneczka popijał piwo i wcinał obwarzanki. Wtedy znów zaczęła go gryźć tęsknota za domem. Kiedy w końcu będzie mógł wrócić do rodzinnej Moskwy i być prawdziwym sobą?

Waneczka Skoryk tak naprawdę nie był żalosnym ślusarzem, a żołnierzem carskiej armii, filerem[9] Trzeciego Departamentu Zwiadu, tajnym agentem: Iwanem Skorochodowem, przed trzema miesiącami wysłanym do Wilna. Po prawdzie ta misja szpiegowska nieszczególnie go cieszyła, ale wojskowi nie kwestionują rozkazów. Skorochodow dość dobrze mówił po polsku, ponieważ już nie raz bywał w Wilnie. Przybył tu, udając zbiegłego carskiego rekruta (jak wielu innych), przedstawiał się jako ślusarz samouk Waneczka Skoryk. Skorochodowowi obiecano, że to jego ostatnie miejsce przydziału. „Od serca odpracuj co twoje dla cara i ojczyzny, a potem jedź na zasłużony odpoczynek i rób, co tylko zechcesz – słuchaj słowików albo rozmyślaj pod chwiejącymi się brzożami Zamoskworzecza, twoja sprawa”. Filerę zazwyczaj odwoływano, wyłącznie gdy ten dokonał czegoś niezwykle ważnego – tylko w takich sytuacjach pilnie wyciągano go z obcego miasta. A jeśli okazywał się bezużyteczny, siedział na misji i kilka lat.

Tak więc w Wilnie Skorochodow próbował znaleźć bryłę złota –

intensywnie szukał czegoś szczególnie ciekawego, a pracował w pocie czoła. Niektóre kontakty dostał od odwołanego już filera, innych ludzi zwerbował sam. Był na tyle inteligentny, by nie kręcić się legionistom pod nosem.

Miał się zająć pewnym anarchista, który znalazł azyl w Aliansie, co wywoływało niepokój Trzeciego Departamentu. Teraz karmił rybki w stawie w Kolonii Wileńskiej. Ale wielkie szczęście uśmiechnęło się do rosyjskiego szpiega całkiem niedawno. Iwan wywęszył co nieco o grzesnym związku pewnej pary i teraz oba gołąbki trzymał na krótkiej smyczy, grożąc upublicznieniem ich skandalicznych stosunków, czym zyskał nowych agentów na swoich usługach. Wolne Wilno było wyrozumiąłym miastem, ale i tu sodomici nie mieli lekko. Całkiem niedawno jedno z tej parki, może mąż, a może żona (już tylko na myśl o tym Iwan się krzywił), poinformowało, że jest w stanie zdobyć ściśle tajne szkice pewnych projektów. W zamian zażądało pieniędzy i zostawienia go w spokoju. Iwan się ucieszył – bryła złota sama wpadła mu w łapy. A Trzeci Departament cholernie się zaciekawiał, jakież to szkice kreślone są w mieście mechaników i alchemików.

Iwan Skorochodow bardzo chciał wrócić do domu i właśnie znalazł się blisko swego celu. Teraz z niepokojem wyczekiwał i snuł domysły: przyjdzie, nie przyjdzie, przyniesie szkice czy nie przyniesie? W Puchaczu wszyscy, poza karczmarzem, zdążyli już o nim zapomnieć.

Iwan wziął piwo i obwarzanki, ruszył w głąb sali, po czym usadowił się przy dogodniejszym jego zdaniem stoliku. Dwie ozdobione rzeźbą poczerńiałe drewniane kolumny nie tylko chowały go przed wzrokiem postronnych, ale i chroniły przed fruującymi kuflami czy szalonymi gośćmi lokalu. Bójki w Puchaczu to chleb codzienny, tradycja.

Iwan mimowolnie wsadzał rękę w wewnętrzną kieszeń marynarki, gdzie trzymał imienny zegarek z połączonym cyferblatem, ale oprzytomniawszy, krzywo się uśmiechnął. Rosyjski agent Skorochodow, który zasłużył sobie na wysoki stopień wojskowy, mógł się chełpić zegarkiem, ale skromny ślusarz Waneczka Skoryk wyglądałby z nim bardzo dziwnie i zaraz zwróciłby czyjąś uwagę.

Do Puchacza zaszedł dużo wcześniej, niż się umówił, dlatego zanurzył się w rozmyślaniach i wolno popijał piwo. Gospoda była przepełniona, zamawiający piwo goście starali się przekrzyczeć jeden drugiego, ale bójka jeszcze nie wisiała w powietrzu. W takich sprzyjających okolicznościach, choć lekko spóźniony, pojawił się człowiek, na którego z niecierpliwością czekał Iwan.

Wkroczywszy do Puchacza, paromiejski księgowy Feliks Porcyjanko chwilę podreptał przy drzwiach i kręcąc głową, zaczął przedzierać się przez tłum. Zagapiwszy się kilkakrotnie, potraçał obsługę, która podnosiła wysoko kufle i zwinnie lawirowała między stołami. Księgowy energicznie przedzierał się przez zastępy pijaków, aż w końcu zauważył Iwana. Skinął mu i po chwili runął na krzesło przed Skorochodowem.

– Strzeż nas, panie, przed takimi miejscami – westchnął z niezadowoleniem księgowy. – Czy nie mogliśmy się spotkać gdzieś indziej? Nie na Biedach, a w przyzwoitszym rejonie?

Iwan nie miał ochoty słuchać skomlenia.

– Może w stołówce w twojej gildii? – odburknął. – Mógłbyś przedstawić mnie swoim kolegom. I ich wciągnęlibyśmy w nasze interesy. Jak ci się podoba taki plan, co? – Łypnął na rozmówcę. – Chcesz ukryć drzewo, wyhoduj las, chcesz się ukryć między ludźmi, idź na Biedy, jasne? Nikogo tu nie obchodzisz, nikt cię tu nie zna – dodał, specjalnie przemilczając incydent z Ickiem Lupetą.

Porcyjanko z poczuciem winy wymalowanym w oczach spuścił głowę, chwyciwszy przyniesiony przez obsługę dzban, nalał pełny kufel piwa i zaczął je zachłannie siorbać.

Iwan spojrzał na mężczyznę: otyły, z bujnymi czarnymi wąsami, cały wypachniony, z kieszeni marynarki wystawała mu chustka do nosa, zupełnie nie pasował do środowiska Puchacza. Bardzo się pocił, zapewne ze strachu, a aromat jego wody kolońskiej mieszał się z paskudnym zapachem potu. Mimo to dla Skorochodowa ten człowiek był jak manna z nieba. Feliks Porcyjanko za dnia zajmował się porządkowaniem rachunków Gildii Mechaników, a nocą dzielił łóżko z Tomaszem Ujejskim, jednym z finansistów wileńskich wskrzesicieli. Niełatwo znaleźć tak użytecznego człowieka, ale gdy się już miało takiego w garści, wszystko szło jak po maśle. Iwan wybrał Żelaznego Puchacza nieprzypadkowo – takie miejsce miało nastraszyć rozpieszczonego Feliksa. A im więcej będzie rozmyślał i im bardziej będzie drżał w obawie o swoją skórę, tym mniej będzie z nim problemów.

Skorochodow chwycił dzbanek i nalał piwa aż po sam czubek w dopiero co opróżniony przez Porcyjankę kufel.

– Nie martw się, Feliksie, wszystko w porządku – uspokajał grubaska.

– Na pewno? – spytał księgowy z niedowierzaniem.

Iwan skinął głową.

– Tak. Pieniądze mam ze sobą. Poza tym jutro wyjeżdżam do Rosji, więc

więcej mnie nie zobaczysz, a twoje sprawy łózkowe nie będą już nikogo interesować. Ale, Feliksie... – głos Skorochodowa nagle zabrzmiał jak stal – pod jednym warunkiem.

Grubasek wytrzeszczył oczy.

– Jakimże? – Wypuścił powietrze z płuc.

– Jeśli nie przyniosłeś kopii szkiców, biada ci. – Iwan wymówił te słowa powoli, by mocno podkreślić ich wydźwięk.

– Przyniosłem, przyniosłem! – Porcyjanko pokiwał głową.

Postawił kufel i zza pazuchy wyciągnął plik papierów złożonych kilka razy. Przebierał po nich drżącymi palcami.

Skorochodow wyciągnął rękę.

– No daj – zachęcał go. – Nie bój się, obaj nikogo tu nie obchodzimy.

Feliks obejrzał się i podał szkice. Skorochodow wziął je, rozłożył i rzucił na nie okiem.

Na szczęście księgowy nawet się nie domyślał, że ten moment to słaby punkt w planie Iwana Skorochodowa. Feliks mógł mu przecież wcisnąć szkice opakowań pasty do butów Zaks z opisem jej produkcji, a Rosjanin nie odróżniłby ich od tajnych szkiców, które miał nadzieję dostać. Czytał bardzo kiepsko, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Szczególnie siedzącemu naprzeciw beznadziejnemu mięczakowi.

Żeby się nie zdradzić, Iwan jak zwykle wykorzystał psychologiczny chwyt. Podniósł wzrok znad kopii dokumentów i chłodno zapytał:

– Alians naprawdę może to stworzyć?

Porcyjanko nie opanował się i parsknął w złożone dłonie.

– Alians? Rothschildowie jedynie opłacają rachunki, to wskrzesiciele tworzą.

Wskrzesiciele... Oto jeszcze jeden powód, dla którego Waneczka Skoryk, a właściwie Iwan Skorochodow, nienawdził Wilna. Tak jak wszystkie wolne miasta Aliansu, to także było gniazdem os pełnym intryg, w którym każdy walczył o wpływy i pieniądze. Wskrzesiciele, alchemicy, mechanicy, hipnomanci, Rycerze Katedry, Legion Wileński... Tak dużo trutni, że trudno się w tym połapać.

Skorochodow poczuł na sobie wzrok Feliksa, zrozumiał, że palnął głupotę.

– Która to kopia? – zapytał.

– Trzecia. Pierwsza jest w siedzibie łoży wileńskich wskrzesicieli, druga w Pradze, u ich Wielkiego Mistrza.

„To znaczy, że tajemniczy wynalazek to naprawdę poważna sprawa. Carscy

inżynierowie będą mieli co robić”, pomyślał Iwan i skinął głową.

– Dobra. Transakcja się dokonała. Dostajesz tysiąc rubli i święty spokój. Jutro wyjeżdżam i już nikt się nie zainteresuje, komu pokazujesz swoją dupę – zapewnił go, krzywo się uśmiechnąwszy.

– A gwarancja?

– Słowo carskiego żołnierza. Nikt ci lepszej nie zaproponuje.

Skorochodow wyciągnął zza pazuchy materiałową sakiewkę, położył ją na stole i pchnął w stronę księgowego. Ten chwycił zapłatę i już zamierzał przeliczyć pieniądze, ale Rosjanin go powstrzymał.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – rzekł. – Goście Puchacza wyczują nawet rubla, a co dopiero kupkę czerwonych piękności.

Feliks zarumienił się i pospiesznie schował sakwę za pazuchę. Sięgnął po kufel.

– Jeszcze jedna rada – kontynuował leniwym głosem Skorochodow, patrząc na salę. – Lepiej pośpiesz się z wyjściem, bo zaraz się zacznie bójka.

Porcyjanko w mgnieniu oka zapomniał o piwie, podskoczył jak poparzony i huknął głową o żeliwny świecznik wiszący nad stołem. Chwilę potem był już przy karczmarzu, zamienił z nim kilka słów, po czym piorunem wmieszał się w tłum i bez uszczerbku wymknął się z Żelaznego Puchacza.

Skorochodow wyrównał dłonią pogięte szkice. Oczywiście, można było zadbać i o to, by Feliks został na Biedach na zawsze, nieszczęśliwe wypadki to tutaj codzienność, a sakiewka wróciłaby do skarbca Trzeciego Departamentu Zwiadu. Ale departamentowi pieniędzy nie brakowało, a poza tym nie warto zarzynać kury, jeśli możesz w przyszłości spodziewać się jeszcze jednego czy drugiego złotego jajka. Z usług Porcyjanki Skorochodow oczywiście już nie skorzysta, ale może grubasek będzie przydatny agentowi, który zastąpi Iwana.

Mężczyzna wsadził szkice do wewnętrznej kieszeni marynarki i rozejrzał się po Puchaczu. Pewien miejscowy watażka trzęsący okolicą już się zabawiał – pchał jakiegoś biedaka i wrzeszczał:

– A ty Finka znasz?!

Skorochodow rzucił na stół wyłowione z kieszeni kilka hrywien za piwo i pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Zdecydował się na opuszczenie tego przybytku w samą porę – ledwo zamknął za sobą drzwi, w gospodzie rozpoczęła się istna walka kogutów.

Zrobiło się już późno, księżyc górował na gwieździstym niebie. Po paru metrach Skorochodow zatrzymał się zamyślony. Do motelu mógł wrócić

dwiema drogami: albo przez Białe Słupy, ale wtedy nadrobiłby spory kawałek, albo krótszą trasą – przez Cmentarz Cholery.

– Drogi panie, może bylibyście tak mili i dali kopiejkę starej biedaczce?

Usłyszawszy skrzypiący głos, Skorochodow aż się wzdrygnął. Nawet nie zauważył, jak podeszła do niego nieznajoma trzymająca w ręku obdarty biały parasol. Jaskrawa spódnica staruszki i policzki zaróżowione tanimi kosmetykami świeciły nawet w półmroku. Iwan łypnął na żebraczkę przez miejscowych nazywaną Różą Bied i nie powiedziawszy ani słowa, skręcił w stronę cmentarza. Teraz zależało mu tylko na tym, by jak najszybciej ukryć szkice w bezpiecznym miejscu, dlatego wybrał krótszą drogę, która większości wydawałaby się tą gorszą.

Wilno już nie raz cierpiało z powodu epidemii. Tylko w dziewiętnastym wieku spustoszyły je trzy, a po nich, niczym ropniaki na ciele miasta, powstały trzy cmentarze cholery. Śmierć kosła ludzi tysiącami, na nic się zdała wydana przez profesora Strawińskiego książeczka *Dla biednych ludzi, jak się trzeba chronić przed cholera*. Gdy Wilno wyrwało się z uścisku Rosji i stało się częścią Aliansu, nowa władza miasta – Rada Wileńska – zaczęła poważnie walczyć z chorobami: nie żałując pieniędzy, przebudowała wodociągi, zatrudniła najlepszych zagranicznych specjalistów, zdołała nawet zmienić nawyki higieny u mieszczan. Gdy epidemie się skończyły, pierwszy cmentarz został zrównany z ziemią, a działkę sprzedano budowlańcom, na drugim pomyślnie utworzono wytwórnię piwa Šopenas. Natomiast trzeci – Cmentarz Cholery – znajdujący się między Biedami a niespokojnym Nowym Światem, w którym gromadzili się przybysze, uchodźcy i poszukiwacze lepszego życia, pozostał nienaruszony. Krążyły plotki, że na cmentarzu straszy, dlatego ludzie nawet w dzień starali się obchodzić go łukiem, a w nocy nikt by się nie odważył postawić na nim stopy.

Skorochodow nie zwracał jednak uwagi na plotki i wymysły. Dobrze znał najkrótszą drogę na Nowy Świat, pod jednym nagrobkiem zrobił sobie nawet schowek na broń.

Po dziesięciu minutach Iwan niczym duch przemknął przez zardzewiałą żelazną bramę cmentarza i teraz lawirował między pomnikami. Nad głową czerniło się niebo, dookoła na piaskowych kopcach migąły wykrzywione, spróchniałe drewniane krzyże, na których w dzień dało się dojrzeć wyryte liczby, świadczące o tym, ilu ludzi zostało wrzuconych w grobową dziurę. Żadnych imion i nazwisk, tylko liczby.

Z przodu coś się poruszyło i zaszeleściło, ale Skorochodow nie zwalniał



tempa. Wiedział, że to poruszane przez wiatr wierzby smagały wyższe krzyże. Najważniejsze to nie zboczyć ze ścieżki ledwo widocznej między pokrywami sięgającymi do pasa i nie wlecieć w jakiś dół. Podczas ostatniej epidemii władza carska z początku paliła zmarłych, ale wiatr niósł cuchnący dym w stronę miasta i wilnianie zaczęli się temu sprzeciwiać. Dlatego trzeba było wrócić do starej tradycji – kopać głębokie doły i zakopywać w nich truchła. I to wiązało się z kolejną niestworzoną historią. Mówiło się, że niektóre doły wcale nie zostały wykopane na pochówek ofiarom cholery, że można przez nie trafić do podziemnego labiryntu tuneli ciągnącego się od samej katedry.

Gdy Skorochodow pokonał połowę drogi, w oddali zamigotały latarnie Nowego Świata. Nagle zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. To, co usłyszał, nie było szelestem drzew. Ktoś poza nim przedzierał się między pomnikami. Rosjanin rozejrzał się, a palce natychmiast zacisnął na schowanym pod marynarką, wiszącym u pasa niedługim, ale ostrym nożu. Czyżby śledził go jakiś odważniak z Bied skuszony łatwym łupem?

Przyśpieszył kroku. Przeczucie mu podpowiadało, że Biedy przygotowały mu prezent na pożegnanie. Tylko że prezencik boleśnie się zawiedzie, poczuwszy ostre zęby planowanej zdobyczy. Choć Iwan kończył już szóstą dekadę życia, siłą i wigorem przewyższał niejednego młodzika. Miał przed sobą wąż – doskonałe miejsce na zasadzkę. Przemknął przez ostatnie piaskowe kopce z krzyżami, zsunął się po cichu do pustego dołu i przytulił do jednej z jego ścian.

Kilka chwil i nad głową dało się słyszeć ciężkie kroki. Dochodzący go dźwięk wydawał się jakiś taki dziwny, ale przez odgłosy nocnych cykad Iwan nie mógł go dokładnie dosłyszeć. Coś było nie tak. Jednak Rosjanin nie miał czasu się zastanawiać. Zwinnie wysunął ostrze i wsparłszy się na rękę o skraj dołu, wyłonił się z dziury, mając nadzieję, że zaskoczy nieprzygotowanego przeciwnika.

– A to co? – Oślupiał i rozdziawił usta, zobaczywszy wbite w siebie świecące oczy. Zawahał się, chciał biec i wrzeszczeć, coś zrobić, jakoś się obronić, ale nogi miał jak z ołowiu.

Napastnik podciął mu gardło. Wytrzeszczywszy oczy, Iwan obiema rękoma złapał się za szyję, jakby miał nadzieję, że powstrzyma tryskającą krew. Pociemniało mu przed oczami i osunął się na ziemię.

Waneczka Skoryk bardzo chciał wrócić do domu, ale nie było mu to przeznaczone.

Gdy po półgodzinie na Cmentarzu Cholery pojawiła się samotna postać

pchająca taczkę, po tajemniczym napastniku nie pozostał nawet ślad. Postać spojrzała na trupa i choć widok ten nie należał do najprzyjemniejszych, niewzruszona oskubała go do ostatniej nitki. Chwilę później zjawily się jeszcze dwie osoby i rozglądając się na boki, pospiesznie obmacywały kieszenie nieszczęśnika, ale niczego już nie znalazły.

Wilno,  
ten sam dzień, troszkę wcześniej  
21.04.1905

Warsztaty i audytoria katedry Dominium Uniwersytetu Wileńskiego opustoszały wyjątkowo wcześnie, studenci pośpieszyli skorzystać z wiosennego ocieplenia. W hałaśliwej dzielnicy Niechrzty, znajdującej się za Wilenką, karczmarze wytaczali z piwnic beczki z piwem, zwinnie wynosili na dwór stoliki, które natychmiast zajmowali klienci.

W kwartale żydowskim na Czerniach dzieci w podskokach podążyły za starym długobrodym Żydem Efraimem, mistrzem wileńskich gawędziarzy i bujd. Pomiaukując jak kociaki, domagały się kolejnej fantastycznej historii. Jednak Efraim tylko się uśmiechał i kręcił głową – starzec o czcigodnym wieku musiał wracać do swej małej budki, w której wieczorami naprawiał buty.

Na Starówce, na placu Katedralnym, wyrosło szapito. Chcący zobaczyć wieczorny występ w cyrku tłoczyli się w długiej kolejce. Mieszczanie, wzbudzając niesamowity zgiełk, dzielili się ostatnimi pogłoskami o zbliżającym się Szczycie – szczególnie ważnym alianckim wydarzeniu. To jeden, to drugi machali zwinnym żydowskim kupcom szalejącym dookoła na monocyklach z wielkimi koszykami na przedzie załadowanymi lodami, kanapkami z kiełbasą, frytkami i szczególnie lubianymi przez wilnian zimnuszkami, które bulwarowe czasopismo „Wileńska Prawda” nazwało największym wynalazkiem wszech czasów, stworzonym przez alchemików Aliansu i Dominium Uniwersyteckiego. W puszkach wielkości kubka chlupotało schłodzone parą piwo. Handlujący kefirem i owocami w rozstawionych dookoła pawilonach nie byli zachwyceni, że sprzedaje się tu zimnuszki.

Nagle zza katedry wyłonił się pułk mężczyzn ubranych na czarno, a zgromadzeni na placu wilnianie jak na komendę ucichli i się zachmurzyli. Dobry nastrój rozwiął wiatr. Rycerze Katedry – fanatycy religijni, ciężka pięść Kościoła. Dwunastu mężczyzn szło w szeregu po trzech, noga w nogę niczym w wojsku, a wiatr trzepotał ich sięgającymi do ziemi płaszczami.

Każdy miał zawieszony na szyi wielki biały krzyż, głowy zgolono im na łyso. Na czele pułku kroczył rosły rycerz o wielkim krzywym nosie – surowy prałat Masalski, sprawujący w Radzie Wileńskiej obowiązki radnego ducha. Kręcił głową we wszystkie strony jak jastrząb szukający ofiary. Przechodnie na ich widok pośpiesznie spuszczały wzrok i udawali, że niezwykle interesuje ich brukowa kostka. Żydki na monocyklach nagle wyparowały.

– Alkohol to grzech! – ryknął prałat, nie zwalniając kroku. Jego gromki głos rozszedł się po placu niczym uderzenie miedzianego dzwonu. – A pijaństwo w świętym miejscu to na dodatek przestępstwo.

Zimnuszki w mgnieniu oka ukryły się w kieszeniach wilnian. I tylko dwaj mężczyźni w niebieskich uniformach, stojący niedaleko szapito, nachalnie gapili się na prałata Masalskiego.

– Ej, łysole, patrzcie pod nogi, nie nadepnijcie na trawę! – wrzasnął jeden z nich. – Wtedy to naprawdę będzie przestępstwo i trzeba was będzie zaaresztować.

Konflikt między Legionem Wileńskim i Rycerzami Katedry był stary jak świat i nigdy niegasnący. Prałat udał, że nie widzi i nie słyszy legionistów, by nie doszło do bijatyki. Białokrzyżowcy przeszli plac i pomaszrowali w stronę kościoła Świętej Anny. Ale legionistom udało się najwyraźniej sprowokować przywódcę rycerzy, bo specjalnie przecięli drogę linii tramwajowej numer dwa. Rozwścieczony, że musi czekać, motorniczy tramwaju zagwizdał parowym gwizdkiem tak głośno, że dźwięk zagłuszył nawet zegar dzwonnicy katedralnej, która zaczęła wybijać godzinę szóstą. Jednak gwizdkowi szybko zabrakło pary i na ulicach Starego Miasta znów królowały uderzenia dzwonów.

Kierownik katedry alchemików Dominium Uniwersyteckiego Jan Basanowicz zerknął na cyferblat parometru i pokiwał głową. Dostał go z okazji jubileuszu, był z niego bardzo dumny i wielokrotnie podkreślał, że tylko ten przyrząd pokazuje prawidłowy czas, a dzwony to już przeżytek, być może wystarczający mieszkańcom za czasów Stefana Batorego, ale nie teraz, a na pewno nie tu – w wolnym Wilnie. Obecnie parometr pokazywał, że do godziny szóstej zostało jeszcze kilka minut, a dzwony już się drą jak stare prześcieradło. Basanowicz od dawna próbował namówić Radę Wileńską, by zleciła Gildii Mechaników stworzenie największego w Europie parometru i zainstalowanie go na dzwonnicy katedralnej, ale sprzeciwił się temu prałat Masalski, czcigodny radny ducha.

– Nauka i brudne od smaru wynalazki to jedno – zaznaczał – a odwieczne duchowe wartości to zupełnie co innego.

– Nie całkiem, nie całkiem – odpowiadał Basanowicz i pstryknąwszy pokrywą, wciskał parometr do specjalnie w tym celu przyszytej kieszeni w surducie.

Alchemik sprawdził, czy na pewno zamknął główne drzwi swojego laboratorium. Zamek zasyczał i czerwona lampeczka zamrugała, dając znak, że jego świątynia jest bezpieczna.

Wyszedł przez tylne drzwi na niewielki korytarz. Tam znajdowały się kręte drewniane schody, tak stare i skrzypiące, że chodząc po nich, za każdym razem obiecywał sobie, że dopieści je na starość – wysmaruje przywiezioną z Paromieścia oliwą najwyższej jakości. Ale złożywszy przyrzeczenie, zaraz o tym zapominał. A może po prostu podobało mu się to skrzypienie, było niezwykle, zupełnie inne niż u najnowszych mechanicznych i alchemicznych arcydzieł.

Schody kończyły się przy włączu. Przez niego Basanowicz przeszedł na płaski dach. Tutaj założył sobie niewielką prywatną cieplarnię alchemiczną, w której otoczone troskliwą opieką rosły werbeny, nagietki, wilcze jagody, uczepy, wilcze aloesy oraz tak egzotyczne rośliny jak mandragory. Oczywiście w porównaniu z wielkim uniwersyteckim ogrodem alchemików ten wydawał się karłowaty, jednak Basanowiczowi w zupełności wystarczał. Niemniej tym razem jego oczy odwróciły się od roślin i skierowały gdzie indziej. Na dachu stał najnowszy twór Basanowicza – wielki trzepotacz, czule nazywany „Ważką”, z wielką literą B na ogonie (Basanowiczowi, jak i większości alchemików, nieobca była próżność).

Przez kilka dziesiątków ostatnich niespokojnych lat wilnianie przyzwyczaili się do wielu rzeczy, ale na pewno nie z wszystkich byli zadowoleni. Gdy „Ważka”, trochę podobna do wozu, po raz pierwszy wzniosła się na próbny lot, w mieście wybuchła panika – kobiety, wrzeszcząc przeraźliwie, chowały się w bramach, a mężczyźni zdenerwowani pokrzykiwali: „Gdzie ci przekłeci legioniści? Diabeł wie, co się dzieje w mieście, a oni nic nie widzą”. Tylko dzieci, zobaczywszy lecącą w powietrzu maszynę podobną do gigantycznego owada, radośnie machały do pilota. Kilkoro mieszczan napisało listy z zażaleniami do Rady Wileńskiej, prosząc, by w końcu zdyscyplinować tego „szaleńca Basanowicza” i jego alchemików, bo w Wilnie nie da się już normalnie żyć przez te ich straszdyła. Jednak Rada nie zwracała na te skargi najmniejszej uwagi, a jakby tego było mało, alchemikom i mechanikom

Dominium Uniwersyteckiego przyznała niemały fundusz, ponieważ Alians chciał czym prędzej zacząć masową produkcję samolotów przystosowanych do lotów wewnętrznych. A i legat wileński naciskał Radę, by szybciej zakończyć prace, gdyż od dawna marzył o mobilnej latającej kompanii legionistów. Jednak póki co osiągnięcia przedstawiały się raczej marnie – „Ważka” ledwo unosiła jednego człowieka, do tego bez lądowania przelatywała tylko dwadzieścia wiorst. Takie osiągi umożliwiały baterie w postaci butli z parą. Mechanicy zachęceni do szybszej pracy walili do alchemików drzwiami i oknami, a ci rozkładali ręce. Nadzieje na przyspieszenie produkcji najwytrwalsi pokładali w cudownym prometylu napędzającym wielkie sterowce, lecz na ich małe samolociki był za drogi, a i używanie go zbyt skomplikowane. Tak więc w Wilnie na razie został wyprodukowany zaledwie jeden trzepotacz – „Ważka”. Latał nim sam Jan Basanowicz, twierdząc, że ma alergię na tramwaj parowy.

Prawda, po tym jak „Ważka” została wykorzystana do ugaszenia pożaru na Pohulance, złość mieszczan trochę zmalała. Ale jak będzie w przyszłości, nie wiadomo, gdyż maszyna latała tuż przy ziemi. Sterowce wznosiły się wysoko, stały się widoczne, dopiero gdy lądowały w Wyścigowym Porcie Lotniczym, a unoszącej się „Ważki” prawie dało się sięgnąć ręką.

Drewniany korpus trzepotacza z dwoma kółkami, dwa pełne gracji skrzydła obciążone niepękającym belgijskim płótnem najwyższej jakości, koła zamachowe poruszane niewielką parową turbiną, której komin wystawał za siedzeniem pilota – ot, cały geniusz „Ważki”. Przy pomocy sprężonej pary i liny pilot mógł poruszać skrzydłami. Podobny ornitopter naszkicował Leonardo da Vinci. Skrzydła pomagały urządzeniu oderwać się od ziemi i pozwalały utrzymać się w powietrzu, ale „Ważka” długo latać nie mogła – nie wystarczało pary.

Katedra alchemików kierowana przez Basanowicza nieustannie udoskonalała szkice trzepotaczy. Naukowcy złączyli turbinę z zamontowanym na przedzie śmigłem, które pozwoliło ornitopterowi utrzymać się w powietrzu. Później pojawił się ster, nawigacyjne szkło powiększające na żurawiu i niewielki parasol chroniący pilota od deszczu lub oślepiającego słońca.

Basanowicz wszedł na pokład „Ważki” i wygodnie usadowił się w fotelu pilota obitym filcem. Szarpnąwszy za liny, poruszył skrzydłami, złapał za uchwyt i gwałtownym ruchem wbił metalowe trzpienie w szyjki baterii. Para z sykiem ruszyła z baterii prosto do silnika. Śmigło zawarczało i zaczęło się kręcić – na początku powoli, później coraz szybciej. W tym czasie alchemik



wprawnym ruchem napinał i popuszczał liny, a „Ważka”, zatrzepotawszy skrzydłami, niespiesznie uniosła się z dachu uniwersytetu. Znalazszy się w powietrzu, Basanowicz zwinnie owinął liny ze skrzydeł na specjalnym pręcie przytwierdzonym do rączki steru, a żeby się nie odwiązały, przymocował je do metalowych kabli. Mocy silnika wystarczyło tylko na start i jeszcze kilka wznoszących manewrów, pozostałą robotę musiały wykonać skrzydła.

Basanowicz łamał sobie głowę, jak uczynić baterie parowe pojemniejszymi lub jak zamontować ich więcej, by silnik zyskał moc, ale za każdym razem dochodził do martwego punktu. Najwyraźniej ornitopterowi najlepiej odpowiadałby cudowny prometyl. Silnik Aliansu – tak ckliwie nazywali go alchemicy. Prometyl stworzony w laboratoriach alchemicznych Aliansu (lżejszy od wodoru i nie tak łatwopalny, łączony z gorącym powietrzem, a nawet z gorącą parą) był jednym z największych wynalazków minionego wieku. Gdyby sterowce zaczęły z niego korzystać, stałyby się bezpieczne, szybkie, mogłyby dźwigać ciężkie ładunki i latać na dalekie odległości. Formuły prometylu alchemicy strzegli jak oka w głowie, wytwarzali go tylko w miastach Aliansu, a jego cenę ustalali Rothschildowie. Prometyl i Alians stały się nierozłączne i wielu sądziło, że Rothschildowie, targując się z Rosjanami, Turkami i Austriakami o wolne miasta, wiedzieli już, jaki skarb stworzą alianccy alchemicy. Wielkie państwa europejskie gorączkowały się – czuły się oszukane, ale ich wywiadam i tak nie udawało się poznać tajemnicy produkcji prometylu. Stworzyć alternatywy również. Ani niedawno odkryty hel, ani próby napędzania sterowców prądem czy węglem nie mogły się równać z promylem. Był więc szalenie drogi i przeznaczony tylko dla wielkich powietrznych olbrzymów. A takie karzełki jak trzepotacz Basanowicza musiały się zadowalać parą.

Zostawiając za sobą biały dym wydobywający się przez komin uniwersytetu, „Ważka” przeleciała obok wieży kościoła Świętych Janów i zanurkowała w dal. Wieczne słońce świeciło Basanowiczowi prosto w oczy, więc założył przyciemniane gogle i zasłonił się parasolem. Drugiego lotu tego wieczoru nie planował, dlatego nie szczczędząc pary, podkręcił obroty silnika, starając się czym prędzej wznieść na największą możliwą wysokość.

Wiatr porwał trzepotacza i wypchnął go powyżej dopuszczalnej granicy. Zamocowany na rączce sterującej altymetr zapikał ostrzegawczo. Machina zaczęła się trząść, ale Basanowicz nie zwracał na to uwagi – zapomniawszy o swoich przeszło sześćdziesięciu latach i chorobach, zachwycał się

rozciągającymi się pod nim, już nie raz widzianymi, lecz wciąż nienudzącymi się widokami – Wilią płynącą przez miasto, wieżami kościołów błyszczącymi złotem, czerwonymi dachami budynków, zielonymi łatami skwerków. Na dole śmignął ratusz, z boku leżały wąskie, ściśnięte Czernie i zaczął się Nowy Świat, który bezustannie rozszerzał się z powodu napływających przybyszów. Pozostali mieszkańcy wolnego miasta nie kochali tej dzielnicy, wśród ludu nazywanej wileńskim podbrzuszem, bowiem walały się tu góry śmieci widoczne nawet z powietrza.

Basanowicz przechylił rączkę steru w lewo i „Ważka” poleciała w przeciwną stronę, w kierunku pełnego przepychu Antokolu. Tutaj rzeka, wijąc się między wzgórzami, które szczególnie uwielbiali wczasowicze i guwernantki z dziećmi, była czyściutka, jakby dopiero co się umyła.

Alchemik obrócił trzepotacza, znalazł się nad kokardą rzeki i poleciał z nurtem. Po prawej rozciągała się duma miasta, a zarazem jego wielki niszczyciel i ból głowy – Paromieście. Przed trzydziestoma laty aż dotąd rozciągały się ospałe Śnipiszki, nie tak daleko zielenił się Park Tuskulański, zaś teraz sterczał tu przemysłowy potwór, nieprzerwanie wypuszczający do rzeki zanieczyszczenia i zakrywający tafłę wody grubym kozuchem z oleju. Wilnianie powinni dziękować Basanowiczowi i jego alchemikom za zamontowanie przy Zielonym Moście mechanicznych sieci niwelujących zanieczyszczenia i oczyszczających rzekę.

Alchemik wzniósł „Ważkę” jeszcze wyżej. W oddali oświetlone przez słońce promieniowały koparki, z wysoka podobne do żuczków z jednym czułkiem. Wilno zabierało się do odnowienia handlu z niemieckim Memlem, poszerzenia i pogłębienia koryta Wilii w celu otworzenia jej dla dużych statków ładunkowych. Nie żałując ani czasu, ani pieniędzy, Alians zaczął wprowadzać w życie swój plan. Setki ludzi i potężnych maszyn robiły to, co wcześniejsze pokolenia nazwałyby szaleństwem – pogłębiały i poszerzały koryto Wilii. Carscy oficerowie kręcili palcami przy skroniach, ale prac nie przerywali.

Spojrzenie Basanowicza podążyło jeszcze dalej. Oczy alchemika zwilgotniały, mocno zacisnął usta. Za granicą miasta rozpościerała się Litwa – swoja własna, ale okupowana przez imperium rosyjskie kraina. Rosja została zmuszona, by tolerować wolne Wilno i cały Alians, ale tego pogranicza strzegła bardzo gorliwie. Specjalnie w tym celu pociągniętymi dookoła Wilna torami kursowały opancerzone rosyjskie pociągi, a rozkaz generała-gubernatora mówił, że za jakąkolwiek próbę nielegalnego przedostania się do

Wilna i innych miast Aliansu grozi kara śmierci przez rozstrzelanie. Oczywiście do Wilna dało się dostać w sposób legalny – jednym z rejsowych sterowców lub pociągiem, ale ich pasażerów starannie sprawdzano, a i byle kogo nie było stać na poświęcenie miesięcznej pensji na miejsce w sterowcu czy pożegnanie się z czerwonce, by wsiąść do pociągu. Pomimo to liczba mieszkańców Wilna szybko wzrastała – ludzie zmierzali tam pieszo, wozami, a sprytniejsi przyczepiali się do zawieszenia pociągu. Pragnienia zamieszkania tu nie stłamsiły nawet częste egzekucje wykonywane na pograniczu.

– Długo to nie potrwa, zobaczycie – powiedział pod nosem Basanowicz, może do zachodzącego słońca, a może sam do siebie.

Altimetr znów zapikał ostrzegawczo i alchemik spojrzął na przyrządy. Po osiągnięciu najwyższego pułapu należało opanować „Ważkę” – nie pozwolić, by miotał nią wiatr. Alchemik powoli zaczął zmniejszać ilość pary w obu turbinach. Machina przestała się wznosić i poszybowała naprzód.

Przed dziobem pokazał się Zielony Most. Zanim tam dotrze, musi zrobić to, co robią piloci wszystkich urządzeń latających – nawiązać połączenie z wieżą nawigacyjną na Górze Giedymina. (Książę Giedymina zapewne przewróciłby się w grobie, gdyby odkrył, że jego zamek stał się centrum kontroli lotów). Lotnicy z wyścigowych biplanów i szybkich sterowców nazywali ten wymóg nawigatorów wymysłem wieżowych szczurów, ale większość pilotów, tak jak Basanowicz, pilnie trzymała się nakazów. Alchemik prawą ręką przycisnął ster, a lewą zaczął kręcić zamontowane na żurawiu olbrzymie szkło. Złapawszy promień słońca, założył na szkło soczewkę z koordynatami planowanego lotu i skierował przyrząd w lewo, w stronę wieży.

Po chwili odpowiedziano mu trzema krótkimi żółtymi sygnałami świetlnymi, co znaczyło, że koordynaty zostały zatwierdzone, a korytarz powietrzny był dostępny. Basanowicz dobrze wiedział, że najbliższy rejsowy sterowiec pasażerski znajdujący się w przestrzeni powietrznej pojawi się nad Wilnem dopiero o dziewiątej wieczorem i przyleci z Krakowa, dlatego sam dbał o to, by nie znaleźć się na drodze takiego olbrzyma, a sygnał z wieży traktował jako czystą formalność, przyjacielskie mignięcie do starego znajomego. Jednakże czasami wieża organizowała prawdziwą fiestę kolorowych świateł – na przykład gdy witano tu po raz pierwszy zagraniczny prywatny statek powietrzny lub rejsowy sterowiec, którego piloci nie bardzo orientowali się w wileńskich przestworzach. Mieszczanie doskonale pamiętali wielobarwne fajerwerki sprzed dwóch lat, gdy do Wilna zawitał „Karol Wielki”, olbrzymi zeppelin kompanii Kruppa.

Po skontaktowaniu się z wieżą Basanowicz zaczął się rozglądać za celem swej podróży. Dzielnice Wilna różniły się od siebie jak dzień od nocy. W dobrze prosperującym Antokolu królowała atmosfera drzemki, na umiłowanych przez studentów Niechrtach – szal, na Paromieściu – surowość, a na Nowym Świecie – chaos. Na Czerniach całą dobę harowali rzemieślnicy i zagraniczni handlowcy, a na Biedach grasowali złodzieje i oszuści. Ale poszczególne części miasta zlewały się w spójny obraz – gdyby choć jednej z nich zabrakło, pejzaż zdawałby się niedokończony.

W tym tyglu wyróżniała się zwłaszcza jedna dzielnica, jakby mimo wszystko niepasująca do pozostałych – Zwierzyniec. Pętla Wilii niczym ściana oddzieliła ją od wiecznie śpieszącego się, tworzącego, budującego, kupującego i sprzedającego Wilna. Zwierzyniec sprawiał wrażenie, jakby pozostał w minionym wieku, gdy pod stuletnimi lipami polowali tu na sarny możnowładni Radziwiłłowie i ich goście. Nie było tu żadnych manufaktur czy fabryk, żadnych hałaśliwych zajazdów i restauracji. Nawet domy pobłażliwości, pozamykane na cztery spusty, ukryte przed ciekawskimi oczami za wysokimi ogrodzeniami, gęstymi żywopłotami, oknami zakrytymi ciężkimi aksamitnymi zasłonami, udostępniały swe pokoje jedynie wyjątkowym klientom.

Dusza Zwierzyńca, *raison d'être*, jak mawiali miejscowi, uwidaczniała się w długie, duszne letnie wieczory. Wtedy życie tutaj zupełnie się zatrzymywało i nikt nie żądał, by zaczęło się toczyć. Na zwirowych ulicach leniwie kładły się zmęczone dziennym upałem psy, po parkowych alejkach przechadzały się guwernantki z dziećmi, których rodzice, mieszkający w niewielkich willach, machali pedałużącemu na trzykołowcu, wiozącemu w bidonie piwo młodemu Żydowi, a już chwilę później raczyli się słodkawym Šopenasem. W cieniu domów Zwierzyńca można było zobaczyć staruszków pół godziny kłócących się o politykę, a drugie pół grających w karty. Bardziej spostrzegawcze oko mogło zauważyć też zakochanych, to całujących się, to pijących kruszona.

Oczywiście i na Zwierzyniec docierały wiadomości o wielkiej polityce. Karciarze czasami w swoje zawzięte dyskusje wplatali wątki dotyczące decyzji Aliansu i przyszłości wolnego miasta, ale ogólnie życiem Wilna mieszkańcy Zwierzyńca interesowali się tyle, co wylegający się na ulicy Skarpowej bezpański pies Mitek interesował się sterowcami. Gdy padał na niego cień olbrzymiego statku powietrznego płynącego po niebie, przez chwilę leniwie szczekał i tyle. Zwierzyniec żył własnym życiem. Żyłkę łączącą go z miastem stanowił most zaczynający prospekt Świętego Jerzego, uznawany

przez mieszkańców Zwierzyńca raczej za pomyłkę niż początek lepszego świata. W pewnym momencie Spółka Wileńskich Tramwajów Parowych wykazywała chęć pociągnięcia torów na Zwierzyniec, ale miejscowi zareagowali na ten pomysł z przejmującą obojętnością, więc zarzucono go. Zresztą przy obecnych układach obie strony pozostawały zadowolone.

Na Zwierzyńcu na nowych lokatorów patrzono nieufnie, dlatego mało komu przychodziło do głowy, by tu zamieszkać. A jednak Nikodema Franciszka Twardowskiego ta wieczna podejrzliwość tylko zachęciła, by się tu urządzić. Gdy ów człek, jeden z najbardziej znanych wileńskich uczonych, kierownik katedry mechaniki na uniwersytecie, niespodziewanie zrezygnował z obiecującej kariery naukowej, plotkarze krztusili się, zapewniając, że profesor Twardowski bez wątplenia zamierza osiągnąć jeszcze wyższe szczeble. „Ciepłe miejsce w radzie miasta go widocznie nie interesuje, najpewniej przymierza się do wysokiego stanowiska w alianckim Ministerstwie Stosunków Międzynarodowych, przysiadł sobie w jakimś bardzo miękkim fotelu i Wilno przypomina sobie tylko z lekką nostalgią”, gadano na mieście.

Nazwisko Twardowskiego odmieniano przez wszystkie przypadki od Konstantynopola po Rewel. Alians liczył miliony, które zarabiał na sprzedaży opatentowanych mechanicznych wynalazków profesora. Chociażby taki śpiewający automat z wymienną listą piosenek. Krakowskie fabryki nie nadążały z produkcją, a właściciele zajazdów i gospód obgryzali paznokcie w długich kolejkach, oczekując na wymarzony aparat.

Twardowski był przystojnym mężczyzną – wysokim, o posiwiałych skroniach, modnie się ubierającym. Podobał się kobietom, zapraszano go na salony wileńskiej arystokracji. Opowieści o jego podróżach i przygodach przenosiły się z ust do ust. Niejeden był przekonany, że w niedalekiej przyszłości Twardowski zostanie burmistrzem miasta, o ile, rzecz jasna, wyrazi taką chęć. Tymczasem Nikodem Franciszek Twardowski dobrowolnie umościł się na Zwierzyńcu i zaczął majstrować zabawkowe żołnierzyki, co wywołało niemały szok w środowisku akademickim.

„Zmęczył się, wyczerpał”, poszeptywali niektórzy. „To z powodu nieszczęśliwej miłości, pewnie kogoś oszukał”, paplały wredniejsze ozory. Czasopismo bulwarowe „Wileńska Prawda”, które poświęciło osobie profesora całą pierwszą stronę, odejście Twardowskiego nazwało zagadką Nikodema, ale powodów, dla których ta osobistość odmówiła wspaniałej kariery, wywęszyć nie zdołało. Tak więc zagadka pozostała nierozwiązana.

Gdy profesor zniknął z przestrzeni publicznej, rozpoczął się sezon zabaw i plotek, przyleciał sterowiec Kruppa, hrabiego Derewińskiego żona zastała w łóżku z inną kobietą, Petersburg postawił Aliansowi jeszcze jedno ultimatum, legionieści zaaprobowali wprowadzanie w Niechrtach godziny spokoju, studenci wywoływali zamieszki, a imperium brytyjskie obiecało wojskowe wsparcie miastom Aliansu, więc wilnianie wkrótce zapomnieli o Nikodemie Franciszku Twardowskim. Tylko starszyzna uniwersytecka i dawni przyjaciele wciąż wspominali tego czcigodnego człowieka. Ci ostatni sądzili też, że nieźle znają Nikodema i z tego powodu dziwny blask w oczach profesora w niejednym wzbudzał niepokój.

Tak więc uczony zamieszkał na Zwierzyńcu i obecnie przesiadywał na tarasie przy nakrytym stole, próbując wydlubać z cukierniczki ciekawskie mrówki. Mieszkańcy Zwierzyńca szybko zrozumieli, że Twardowski to odludek, więc przyjęli go jak swojego. Zaproszony, by wychylić razem po kuflu piwa, uczony zawsze uprzejmie odmawiał, a sam nigdy nikogo nie zapraszał. Jednak gdy na podwórzu profesora zauważono stolik nakryty dla dwóch osób, miejscowi również nie byli zdziwieni – wiedzieli, co to za gość czasami spada na podwórko Nikodema prosto z nieba.

Cały wytarzany w kurzu i wygodnie rozwalony na środku ulicy Mitek, usłyszawszy burczenie, otworzył jedno oko i już chciał zacząć szczeakać, ale rozpoznawszy, kto zmącił jego spokój, szeroko ziewnął i znów zapadł w psie marzenia.

Zbiorniki paliwa „Ważki” były już puste, dlatego Jan Basanowicz, jako doświadczony pilot, zwinnie zonglując linkami, z gracją posadził trzepotacza w tym miejscu co zwykle – na niewielkiej polance, którą od domu Nikodema Franciszka Twardowskiego dzieliły bujne kwitnące krzewy dzikiej róży. Gdy maszyna uderzyła o miękką ziemię, mocno przechyliła się do przodu i o mały włos przewróciłaby się, ale pilot zgrabnie wyskoczył z pokładu, całą swoją wagą zawisł na ogonie „Ważki” i uspokoił ją. Następnie przesunął gogle na czoło i zaczął otwierać zastawki, żeby uwolnić pozostałe resztki pary. Zapas baterii parowej przeznaczony na podróż do domu alchemik przezornie trzymał u Twardowskiego.

– Jesteś spóźniony – zabrzmiał głos za plecami Basanowicza.

– Nie jesteś bankiem, Nikodemie, żebym musiał pojawiać się na umówioną sekundę – odpowiedział alchemik, nawet nie wysilając się, by na niego spojrzeć. – Zasiedziałem się w katedrze. Prorektor żąda dokładniejszych raportów. A właśnie, póki nie zapomniałem – dodał, odpinając kask. –



Dopytywał się, czy jeszcze ci się nie znudziło zajmowanie się głupotami i konstruowanie swoich zabaweczek.

Alchemik w końcu uwolnił się od skórzanego kasku i odwróciwszy się, wyciągnął do starego przyjaciela obie ręce.

– I co mu powiedziałaś? – spytał Nikodem, uśmiechając się i ściskając dłoń przyjacielowi.

– Że gdy tylko doktorzy ogłoszą, iż gorączka mózgu i tymczasowe zaćmienie umysłu minęły, znów staniesz pod sztandarami uniwersyteckimi i zaśpiewasz *Vivat Academia*.

– Nie podobasz mi się, gdy jesteś taki poważny – zaśmiał się Twardowski.

– Nie jestem zupą pomidorową, żeby mnie wszyscy lubili – odrzekł Basanowicz i lekko się uśmiechnąwszy, pogładził się po bujnej brodzie. – Ale wiedz, że uniwersytetowi bardzo na tobie zależy, dotkliwie odczuli twój brak – powiedział z powagą.

– Odczuli nie mój brak, tylko brak pustej sławy. A może po prostu robią się uprzejmi jak gospodarze, którzy nareszcie wyprosili irytującego dziadka i teraz zastanawiają się, kiedy zamierza wrócić. Przekaż im, żeby się nie martwili. Z Dominium pożegnałem się na zawsze i jestem bardzo zadowolony ze swoich nakręcanych żołnierzyków.

– Których? – zapytał Basanowicz cicho.

Przyjaciele znacząco wymienili spojrzenia. Nikodem się roześmiał.

– Nie zawracajmy sobie głowy takimi głupotami – rzekł. – Szczególnie gdy żołądek pusty, a gardło suche. Chodź, Marta naharowała się dzisiaj w kuchni, myślę, że cię zdziwi. A ty mi opowiedz miejskie plotki. W końcu żyjemy prawie jak za granicą. Tylko... – Nikodem zamilkł na chwilę, a potem ostrzegł: – Uważnie patrz pod nogi.

Basanowicz uniósł brwi zdziwiony, ale nie powiedziawszy słowa, podążył za przyjacielem.

Nagle zza krzewu wyszedł człowieczek o wzroście kilku piędzi i w zabawny sposób podnosząc kolana, zanurkował alchemikowi pomiędzy nogi.

– Do diabła! A to co znowu? – wrzasnął alchemik zaskoczony.

Nikodem zerknął przez bark i się zaśmiał.

– To Sobiepan.

– Sobiepan? – powtórzył za nim Basanowicz, gdy człowieczek zniknął w krzewie dzikiej róży.

– Zainstalowałem mu na barkach baterię słoneczną i teraz może sobie

biegać choćby i cały dzień – wyjaśnił Nikodem. – Wszystkie te kluczyki, mechanizmy zegarowe, sprężyny i twoja para to żart w porównaniu z mocą słoneczną. Sobiepan to dziecko słońca, rozumiesz?

– Ty naprawdę masz coś z głową – odburknął Basanowicz, ale zaczął stąpać ostrożniej, wbiwszy oczy w ziemię.

Przyjaciele weszli na taras i zasiedli przy nakrytym stoliku. Po chwili, niosąc talerze, pojawiła się gospodyni Nikodema – Marta, otyła pięćdziesięcioletnia kobieta. Wokół rozeszły się smakowite zapachy. Mężczyźni pochwycili sztucce i rzucili się na pieczeń z kurczaka z marchewką, brokułami i pieczonymi ziemniaczkami doprawioną sosem z kurek. Basanowicz podejrzewał, że Twardowski chce mu powiedzieć coś ważnego, ale nie pośpieszał druha.

Powoli zaczynało się ściemniać. Na podwórzu Twardowskiego rozpostarły się długie cienie. Na niebie zabłysły reflektory sterowca pasażerskiego z Krakowa zmierzającego południowo-zachodnim korytarzem. Do wieży nawigacyjnej dotarł promień wysłany przez soczewkę. Latająca machina skierowała się na drugą stronę Wilii, na Wyścigowy Port Lotniczy, i wkrótce dookoła znów zrobiło się spokojnie.

Gospodyni Marta posprzątała po posiłku ze stołu i postawiła na nim dwie staromodne lampy, dookoła których zaraz zaczęły się gromadzić nocne owady. Kobieta przyniosła czajnik, karafkę z krupnikiem i jeden kieliszek dla Nikodema. Wiedziała, że nie ma sensu proponować czegoś mocniejszego przyjacielowi właściciela – i tak odmówi.

Nikodem długo siedział w milczeniu, spoglądając w ciemniejące niebo. Basanowicz niespiesznie mieszał łyżeczką herbatę i czekał. W końcu naukowiec odludek sięgnął po kieliszek z krupnikiem, spróbował trunku i spojrzał na gościa.

– Miła wraca do Wilna – rzekł cicho.

Alchemik uniósł ze zdziwieniem głowę, po czym jeszcze przez chwilę mieszał herbatę i dopiero podniósł filiżankę do ust.

– Myślisz, że to rozsądne, Nikodemie?

Twardowski wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie. Ale tak będzie najlepiej.

– Dlaczego? Przecież nam obiecywano, że w Krakowie będą ją chronić przed praskimi wskrzesicielami najlepsi ludzie i...

– Chronili, ale nie uchronili – przerwał mu Twardowski. – Zdarzyło się nieszczęście, Janie. Kilka dni temu zakonnice udały się do kościoła Świętej

Agnieszki w Miechowie, to około trzydzieści wiorst od Krakowa, a gdy znalazły się w świątyni, wewnątrz wybuchł pożar. Drzwi wejściowe się zatrzasnęły, pięć zakonnice spłonęło żywcem, pozostałe udało się uratować, ale stan kilku z nich jest ciężki.

– A Miła?

– Miła... – Twardowski zaśmiał się niewesoło. – Miła postąpiła tak, jak postępuje zawsze. Nie było jej w tym kościele. Oszukała przełożone i stróżów, w ostatniej chwili odesłała do Miechowa w zastępstwie inną zakonnice, a sama po kryjomu wyruszyła do Krakowa szukać wrażeń. Nikt nawet nie zauważył, że zniknęła. Teraz jest bezpieczna, legioniści nie spuszczają z niej oka, ale nie możemy tego dłużej ciągnąć.

Basanowicz zapatrzył się w mrok. W myślach ujrzał języki płomieni, miotające się zakonnice, roztrzaskiwane przez ratowników drzwi. Przypomnił sobie inny tragiczny pożar. Po nocnym szturmie wysłanych przez wskrzesicieli morderców razem z Twardowskim i z Miłą uciekł z Pragi do Konstantynopola, a potem do Warny – miasta, które wydawało się takie bezpieczne. Jednak to tam płomienie odebrały mu Gabrielę Eleonorę, a w sercu pozostawiły niegojącą się ranę.

– Mówisz, że drzwi kościoła się zatrzasnęły? Czyżby nieprzypadkowo? – spytał wreszcie.

Twardowski przytaknął.

– Cóż, długo ją ukrywaliśmy. Ale, jak widać, znalazł się zdrajca, którego skusiły obiecane mu sumy, a może został zastraszone. – Machnął ręką. – Co zrobisz. Póki będziemy próbować dokopać się do prawdy, wskrzesiciele będą wynajdywać nowe sposoby na pojmanie Miłej i odkrycie jej sekretu.

– Czyli na razie ukryjemy ją w Wilnie?

Nikodem Franciszek Twardowski pokręcił głową i uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie. Dość tego ukrywania się. Poza tym w Wilnie nie da się ukryć. Wskrzesiciele wiedzą, że obaj tu mieszkamy, szybko się połapią, że jest z nami Miła. I niech tak będzie. Dam dziewczynie wolność. Wileńscy wskrzesiciele są słabi, to nie praska łoża z nowym mistrzem, nie ma co porównywać. Nam też odwagi nie brakuje. Tu mieści się nasza twierdza i wskrzesiciele będą się musieli bardzo postarać, by ją zdobyć.

– Kiedy Miła tu będzie?

– Przyleci najbliższym sterowcem z Krakowa. Jutro albo pojutrze. Legat wileński Srebro obiecał, że po drodze na krakowskie lotnisko legioniści

ukryją Miłę, a w sterowcu będzie jej pilnował nasz człowiek. Do ochrony przydzielił swoją najbardziej zaufaną osobę. Zresztą co się może stać podczas lotu?

Po tych słowach obaj mężczyźni ucichli i długo siedzieli zatopieni we własnych rozmyślaniach.

Nagle coś zazgrzytało i przyjaciele aż podskoczyli zaskoczeni. Z różanego krzewu wylazł Sobiepan, który, trzeszcząc niemiłosiernie, przeszedł kilka kroków i dostojnie przewrócił się na bok.

Praga,  
pięć dni wcześniej  
16.04.1905

Cała Praga dosłownie płynęła. Deszcz zaczął nieprzerwanie, obracając żwir w błoto. Stuletnie kamienie w bruku obmywał tak mocno, że zaczynały się chwiać. Spływał po ulicach rwącymi strumieniami. System ścieków był przestarzały, niewystarczający na taką ilość wody, dlatego wszędzie wokół pojawiło się pełno kałuż. Mieszczanie lawirowali między nimi – nigdy nie wiadomo, może zachłapie się tylko same kalosze, a może wpadnie aż po pas. Prascy staruszkowie kręcili głowami, spoglądając na Wełtawę, która wezbrała jak nigdy, a zarządcy miasta z niepokojem decydowali, kogo ratować najpierw, gdyby doszło do takiej powodzi, jaka spustoszyła stolicę przed piętnastoma laty. Tylko golemom, chroniącym bram miasta, deszcz był zupełnie obojętny. Niewzruszone olbrzymy patrzyły w dal, z trudem wyciągając nogi z lepkiej błotnistej masy pełnej grudek, dopiero gdy opuszczały posterunek.

Czarna karetą parowa bez pieczęci, bez marki, bez niczego, co by pozwoliło ją zidentyfikować, ze ślepo zaciągniętymi zasłonami, terkotała, pokonując kolejne metry bruku i rozbryzgując wodę na boki, a tym samym zmuszając przechodniów do przyłgnięcia do ścian domów. Jeden czy drugi posyłał w stronę karety niecenzuralne słowa, ale kierowca, który zaciągnął na głowę skórzany kask, niczego nie słyszał. Ze skupieniem regulował ciśnienie w kotle parowym, gapił się na drogę przez gogle zakrywające mu prawie pół twarzy i machał kierownicą, próbując wyminąć niebezpieczne dziury, raz po raz trąbiąc na jakiegoś psa czy gamonia, który w najmniej odpowiednim momencie postanowił przejść przez ulicę.

Karetą podróżował niestary, szczupły, wysoki mężczyzna o długim jak dziób bociana nosie. Na wpół leżąc, wygodnie wyciągnął w niej swoje niezwykle długie nogi hrabia Konrad von Wittgenstein, Wielki Mistrz Praskiej Łoży Wskrzesicieli, pan golemów, a według nieprzychylnych, ale ostrożnych języków – nekromanta. Mężczyzna siedział z zamkniętymi oczami, słuchał, jak krople deszczu dudnią o dach karety, i ciężko rozważał, czy postępuje

właściwie.

Niegdyś loże wskrzesicieli były częścią Gildii Alchemików. Legendarny szesnastowieczny mag Faust, średniowieczny prorok Nostradamus i nawet praski rabin Löw ben Becalel tworzyli homunkulusy, istoty podobne do ludzi, i wierzyli, że alchemia może tchnąć w nie życie. Współcześni im ludzie nazywali ich dziwakami, ponieważ żyli w samotności, balansując na granicy szaleństwa. I na golemy kiedyś patrzono krzywo.

Te czasy dawno minęły, ale doświadczenia wskrzesicieli nie włożono do szuflady. Po oddzieleniu się od alchemików i utworzeniu się Aliansu nowi wskrzesiciele, hojnie zasilani pieniędzmi Rothschildów, stali się wyjątkowo potężną organizacją. Ich loże działały we wszystkich wolnych miastach Aliansu i znaczniejszych metropoliach Europy, ale największe wpływy i możliwości mieli w swej kolebce – Pradze. Tu loża wskrzesicieli *de facto* rządziła miastem.

Już od średniowiecza wskrzesiciele łamali sobie głowy, usiłując w swoje twory tchnąć nie tylko życie, ale i umiejętność myślenia oraz samodzielnego podejmowania decyzji. W połowie minionego wieku, gdy powstał Alians i jego wolne miasta, nagle stali się bardzo ważni. Posiadając magiczny gaz – prometyl, Alians najprawdopodobniej dążył do uczynienia konstruowanych przez mechaników automatonów (sztucznych mechanizmów, jakie kiedyś tworzył bóg-kowal Hefajstos) tworamii żywymi, bionicznymi, myślącymi, posiadającymi jeszcze więcej wyjątkowych, zapierających dech w piersiach umiejętności. Mogłyby się one stać żołnierzami posiadającymi kluczowe znaczenie w przebiegu bitwy, robotnikami mogącymi wywołać jeszcze jedną rewolucję przemysłową, badaczami nielekającymi się ani zimna, ani ciemności, ani głodu. A zatem wskrzesiciele zakasali rękawy i jeszcze gorliwiej zabrali się do pracy – tworzyli i eksperymentowali, od czasu do czasu łamiąc prawo, chwilami za nic mając życie ludzkie, ale twardo wierząc, że jeśli osiągną sukces, świat padnie im do stóp.

Jednak jakimś sposobem sukces wciąż omijał ich wielkim łukiem, a eksperymenty kończyły fiaskiem. Potwory wyjące nieludzkimi głosami, które były ich rezultatem, zamykano w głębokich podziemiach Pragi. Wielki Mistrz z trudem przyznawał, że wskrzesiciele znaleźli się w ślepym zaułku.

Hrabia Konrad von Wittgenstein zaśmiał się niewesoło. „I któż mógłby pomyśleć, że do przełomu dojdzie pod nosem, w samym sercu loży? Tutaj, w Pradze”.

Pięć lat temu podczas milenijnego balu, jeszcze jako zwykły członek

Praskiej Łoży Wskrzesicieli, przypadkowo spotkał młodą dziewczynę imieniem Miła, której towarzyszyło kilka zabaweczek – automatonów. Myślących automatonów! Mogły się zachowywać, jak chciały! Hrabia doznał szoku. Gdy oprzytomniał, natychmiast ruszył ku Wielkiemu Mistrzowi, by zdać mu relację ze swego odkrycia, a ten bezzwłocznie zaczął działać. Zaciągnięcie dziewczyny w pułapkę za pomocą jakichś niedorzecznych obietnic wydawało się z początku całkiem łatwe, ale szybko się okazało, że nie mają do czynienia z głupią trzpiotką. Hrabia zmarszczył brwi, to nie było miłe wspomnienie. Wciąż nie mógł sobie darować potknięć, jakie stały się jego udziałem w tamtych dniach. Najpierw wskrzesiciele prześladowający dziewczynę jałowymi staraniami próbowali pojmać ją w Pradze, ale ona wraz ze swoimi dwoma opiekunami – jak się dowiedział, ważnymi alianckimi uczonymi – zdołała uciec. Po roku udało się ją odnaleźć w Konstantynopolu, gdzie podczas balu maskowego usiłowano ją porwać w pałacu sułtana, ale i tu plan się nie powiódł. Kolejny rok później zauważono ją w Warnie, jednak i tam wskrzesiciele niczego nie wskórali. Ich agenci rozniecili pożar, w wyniku którego powstały wyłącznie straty. To wówczas zginęła żona alchemika Basanowicza, a łoża zyskała śmiertelnego wroga. Dziewczyny i tak nie udało się złapać, a cierpliwość członków łoży wskrzesicieli skończyła się ostatecznie. Wielki Mistrz musiał odejść, a dokładniej mówiąc, zniknął bez śladu. I nigdy nie zostanie odnaleziony. Konrad von Wittgenstein, który zajął jego jeszcze ciepły stołek, nie mógł się nadziwić głupotą poprzednika. A mówi się, że wskrzesicielami zostają tylko najinteligentniejsi.

Do tego teraz jeszcze jeden absurdalny pożar w kościele pod Krakowem. Przemoc rodzi przemoc, akcja powoduje reakcję. Hrabia von Wittgenstein potrafił czytać między wierszami, umiał dostrzec subtelne niuansy, dlatego od razu stało się dla niego jasne, że dziewczyna jest chroniona. Ktoś otoczył ją nieprzenikalną tarczą. Przypadki nie istnieją. Wielki Mistrz nie wątpił, że profesjonalni mordercy mogliby bez wysiłku dopaść dziewczynę w jakimś ślepym zaułku czy na ciemnym podwórzu, ale wtedy strzeliłby piorun, rozwarłaby się ziemia, spadłby sterowiec albo stałoby się Bóg wie co jeszcze i dziewczyna zdołałaby uciec.

Z drugiej strony po raz pierwszy od długich stuleci wskrzesiciele ujrzeli światełko w tunelu. Odnaleźli drzwi, za którymi kryje się spełnienie marzenia. Dlatego teraz Konrad von Wittgenstein sam przed sobą złożył przysięgę, że znajdzie sposób na dorwanie dziewczyny. Nawet jeśli trzeba będzie podjąć środki, które nie spodobają się członkom łoży. Nawet jeśli przyszłoby wzywać

na pomoc śmiertelnych wrogów.

Kareta się zatrzymała, ale woźnica nie zamierzał otwierać drzwi – jak było mu przykazane, pozostał na koźle. Hrabia wygładził dłonią prosty czarny płaszcz z wyszytymi u dołu językami płomieni, zarzucił na głowę kaptur dobrze skrywający twarz i zarazem chroniący przed deszczem, po czym wysiadł z powozu. Pogoda była jak na zamówienie – zdawało się, że deszcz wypłukał nie tylko ulice, ale i przechodniów, nawet w oknach nie pojawiły się żadne ciekawskie twarze. Zmarszczył brwi i dwoma palcami ścisnął się za nos. Znajdował się w nie najlepszej dzielnicy Pragi – o kanalizacji nie było tu mowy, ulicą razem z deszczówką spływała gnojówka i zawartość nocników. Na domach nie widniały żadne numery, ale cel jego podróży został mistrzowi opisany bardzo klarownie: między mięsnym a zielonym domem z zabitymi okiennicami.

Wielkimi krokami mijał kałuże, jego długie nogi bez trudu pokonywały nawet te największe. Zobaczywszy przymocowany koło łąku drewniany szyld z napisem „Usługi krawieckie. Szyję, ceruję, wyszywam”, uśmiechnął się ponuro i wkroczył na duże podwórze. Tu spotkała go banda wygłodniałych, mokrych kotów, prądkowanych, czarnych, pstrokatych, kiedyś może nawet złocistych. Zgodnym miauknięciem przywitały przybysza. Konrad von Wittgenstein rozejrzał się badawczo, spodziewając się ujrzeć w oknach ciekawskie twarze, ale domy otaczające podwórze z trzech stron pozostały ślepe. Koty umilkły, stłoczyły się w kupie i jedynie wzrokiem podążyły za intruzem z ciekawością badającym fasady budynków.

Hrabia podszedł do pierwszych drzwi, a właściwie do czarnej dziury, i znalazł się w domowym korytarzu. Panujący tu zapach nie był ani trochę przyjemniejszy niż ten na ulicy. Przegniłe schody skrzypiały, otwory okienne na pierwszym piętrze zostały zamurowane, dlatego mistrz poruszał się po omacku. Przypadkowy przechodzień pewnie pokręciłby palcem przy skroni – kto by włąził w taką dziurę szukać krawca? Ale hrabia wiedział, co robi.

Szczęśliwie dotarłszy na drugie piętro, Wielki Mistrz naciągnął kaptur na oczy i pchnął jedne z drzwi. Otwarte. Wszedłszy jednak do środka, od razu zapragnął wynieść się z powrotem na dwór, ponieważ uderzył go duszny, przesłodzony zapach, jakby wąż owinął mu się dookoła szyi i groził uduszeniem. Hrabiego zlał pot.

Nagle zapaliło się światło. W kącie pokoju coś się poruszyło. Hrabia wbił wzrok w kupę łachmanów.

– A kogóż to kot na ogonie przywłókł. – Spod sterty gałganów dało się



słyszeć skrzeczący głos przywodzący na myśl starowinkę z laską. – Cóż za niespodziewany gość!

Mistrz zamrugał, a jego oczy natychmiast przywykły do światła, którego źródłem okazała się wielka kryształowa kula stojąca na podłodze obok posłania. Od niej, niczym z laseczki kadzidła, rozchodziły się macki żółtawego dymu i zbliżały się do Konrada von Wittgensteina.

– Wskrziesiciel? – zaskrzeczał głos. – No, i co powiesz, wskrziesicielu? Jak ci się podoba moja bariera, hm?

Spod łachów wypełzła pomarszczona ręka i opuściła się na kulę. Ta rozbłysła jeszcze mocniej, a dym przybrał prawie namacalną postać. Mistrzowi zaczęło się ścisnąć gardło. Nie było sensu dalej się ukrywać, zrzucił kaptur.

Schowana pod łachami gospodyni głośno nabrała powietrza w płuca i przysiadła na posłaniu.

– Oho, Wielki Mistrz we własnej osobie – rzekła z drwiną. – Nie wierzę własnym oczom.

Hrabia zawiesił spojrzenie na staruszce o zapadniętych policzkach i rzadkich, potarganych, siwych włosach. Światło kuli odbijało się w jej oczach, które teraz wydawały się żółte, podobne do kocich. Obok posłania wałało się kilka opróżnionych, zielonych, prostokątnych butelek po absyncie. Pokój był prawie pusty. Poza posłaniem stały tu tylko stolik, jedno krzesło i stara maszyna do szycia, na której leżały przeżarte przez rdzę nożyczki. Staruszka nigdy nie pracowała jako krawcowa, z pewnością nie odróżniłaby krynoliny od chińskiej krepy, a damy trzęsłyby się z przerażenia na samą myśl, że ta dziwna istota zbliżyłaby się do nich, by pobrać miarę. A jednak cała Praga przychodziła do staruszki – i wyniosłe panie, i bogaci kupcy, i pijacy, którzy sięgnęli już dna – choć rzeczywiście nie po to, by uszyć nowy frak czy suknię.

Czarna Krawcowa bezbłędnie przepowiadała przyszłość. I nienawidziła wskrziesicieli. W średniowieczu topili w rzekach takie jak ona, palili je na stosach, nazywali fałszywymi wieszczkami, łączącymi wyroczniami, czarownicami. Prześladowane wyrocznie doskonaliły się jednak bezustannie i poza sekretami przepowiadania przyszłości z pokolenia na pokolenie przekazywały sobie magiczne zaklęcia pozwalające na tworzenie barier chroniących je przed niepożądanymi gośćmi. Wskrziesiciele wiedzieli o tym, dlatego żadnemu z nich, pozostającemu przy zdrowych zmysłach, nie przyszłoby do głowy wstąpić do wyroczni, a tym bardziej zwrócić się do niej

o pomoc. Nikomu poza Wielkim Mistrzem, który zwyczajnie nie miał innego wyjścia.

– Ja nic złego nie robiłam, nie złamałam żadnych zasad – wyszeptała staruszka, z zainteresowaniem wpatrując się w przybysza. – Wynoś się, Wielki Mistrzu. I wyprowadź swoją zgraję, jeśli nie chcesz się przekonać, co potrafią moje bariery.

Hrabia rozłożył ręce.

– Przybyłem sam – zamruczał i nagle zacharczał, czując, jak niewidzialne ręce ściskają mu gardło.

– Ach, w takim razie w porządku – odrzekła już spokojnie staruszka i niewidzialne ręce w mgnieniu oka zniknęły.

Mistrzowi wydawało się, że kula reagowała na jej głos.

– Chcesz, żebym przepowiedziała przyszłość? – rzekła rozbawiona i pogrzebawszy w łachach, wyciągnęła na w pół pustą butelkę. Opadłszy ponownie na swe zabałaganione łoże, upiła duży łyk.

Mistrz milczał, zacisnął zęby, kula niepewnie migotała. Staruszka głośno beknęła, postawiła butelkę na ziemi i wymierzyła w przybysza wskazujący palec.

– A co dasz w zamian? Zielone niebo, piwny deszcz? Dzięki, niczego nie potrzebuję. – Chwilę milczała. – Jeśli przyszedłeś sam, Wielki Mistrzu, to i odejdziesz sam – dodała zupełnie innym głosem, nie skrzypiącym i kwaczącym, a dźwięcznym i przejrzystym. – Jestem ostatnią z wyroczni, tak łatwo mnie nie zwyciężysz. Odejdziesz i nie wracaj.

Światło kuli znów stało się jaśniejsze, ale mistrz nie miał zamiaru ustąpić.

– Weź złoto i powiedz mi prawdę – wypowiedział zakłęcie stare jak świat wolno, ale pewnie.

Staruszka skuliła się, jakby została zdzielona batem, ale sięgnęła po butelkę.

– A tyś mądry, Wielki Mistrzu – powiedziała. – Przecież mogłeś mi grozić. Albo wywieźć mnie do swoich podziemi. Wiele mogłeś zrobić. Ale jesteś mądry. – Znów wychyliła z butelki, po brodzie pociekł jej zielony ciągnący się płyn.

„Dziwny ten absynt”, pomyślał mistrz.

Staruszka drżącym palcem znów wymierzyła w nieproszonego gościa.

– Dobrze, Konradzie von Wittgensteinie, wezmę twoje złoto i powiem prawdę.

Kula nagle zgasła, dym się rozpląnął. Hrabia ostrożnie zrobił kilka kroków do przodu, spod płaszcza wyciągnął sakiewkę z pieniędzmi i fotografię młodej

dziewczyny, położył oba przedmioty na stoliku obok maszyny do szycia. Czarna Krawcowa leniwie wygramoliła się z posłania. Nie rozstając się butelką i krzywo patrząc na przybysza, podeszła do maszyny i zwała się na krzesło. Na woreczek ze złotem nawet nie zerknęła. Mistrz cofnął się w stronę drzwi.

– To Gritzner z Saksonii – pogłaskała maszynę do szycia i zamruczała jakby sama do siebie. – Ich znak to pajak na pajęczynie. Dobra firma, solidna.

Mówiąc to, wyciągnęła z szufladki nóż o finezyjnym w kształcie ostrzu i zadziwiająco czystą chustkę. Wcisnęła ją pod igłę, po czym uniosła do oczu fotografię Miły.

– Ładne dziewczę. Ale nie dla ciebie, wskrzesicielu – oceniła Czarna Krawcowa, zaśmiała się z własnego dowcipu, po czym zabrała się do pracy.

Najpierw wypila obfity łyk trunku, a potem pociągnęła nożem przez wyciągnięty nadgarstek. Natychmiast zaczęła z niego cieknąć ciemnoczerwona krew, wielkie krople rozbryzgiwały się na zdjęciu Miły i spłynąwszy po jego krawędziach, wsiąkały w białą chustkę. Konrad von Wittgenstein mógłby przysiąc, że w tej krwi dostrzegł skrzące się zielone punkciki.

Krawcowa zlizwała krew z ręki, z butelki wylała zielony płyn na ranę, a ta zaczęła się goić w oczach. Następnie położyła fotografię na chustce, opuszkami palców dotknęła okrągłej rączki maszyny i zamknęła oczy. Maszyna nagle ożyła: głośno trzeszcząc, z szaloną prędkością igła zaczęła skakać w górę i w dół, a wciśnięta pod nią biała chustka kręciła się jak żywa. Następnie maszyna ucichła, a igła zastygła w miejscu. Czarna Krawcowa jeszcze przez jakiś czas siedziała w bezruchu, potem otworzyła oczy i chwając się, wstała. Długo patrzyła na mistrza, ale koniec końców podała mu chustkę. Z fotografii został jedynie kawałek podziurawionego papieru.

– Szukaj klucza do serca dziewczyny – rzekła staruszka. – Dopiero gdy go znajdziesz, zdobędziesz ją. – Złapała butelkę i powoli przemieściła się na posłanie, a potem odwróciła się do hrabiego i dodała: – Wzięłam twoje złoto i powiedziałam ci prawdę. A teraz idź sobie i nigdy nie wracaj.

Nagle kula olśniewająco zabłysnęła, a wijące się węże dymu znów zaczęły zmierzać ku hrabiemu. Ściskając w dłoni chustkę, cofnął się w stronę drzwi. Uchylił je, ale jeszcze na progu odwrócił się w stronę staruszki. Bariera ochronna działała teraz z pełną mocą i mistrz musiał skoncentrować wszystkie swoje siły, ponieważ czuł się, jakby usiłował podnieść kamień trzykrotnie cięższy od siebie. Wyrocznia wpatrywała się w niego, nie mrugając, wbiła w niego swoje żółte oczy. Mistrz poczuł ucisk w klatce piersiowej, oddychał

ciężko. Powietrze w pomieszczeniu stało się trujące jak opary żywego srebra. Zebrawszy ostatnie siły, wyciągnął spod płaszcza pistolet z długą lufą i wycelował w staruszkę. Węże z dymu niczym drapieżniki owinęły się wokół jego ręki, jednak zdążył strzelić sekundę przed tym, nim pistolet wypadł mu z dłoni. Staruszka skuliła się, a upuszczona butelka potoczyła się po podłodze.

Nagle czary się rozmyły, kula zaczęła przygasać. Mistrz nabrał powietrza w płuca. Łapiąc dech jak ryba wyjęta z wody, wyrocznia wyciągnęła rękę i sięgnęła po butelkę, próbując połączyć ranę zielonym płynem. Jednak ciężki but wykopał flaszkę. Mistrz pochylił się nad staruszką i z zimną krwią wystrzelił po raz drugi, odwrócił się na pięcie i zniknął z nory Czarnej Krawcowej, zostawiwszy na stoliku woreczek ze złotem.

Znalazłszy się na korytarzu, usłyszał dziwny lament, pełen żalu i złości. Każdy inny człowiek natychmiast wziąłby nogi za pas, gdyż pełna grozy pieśń rozdzierała serce, ale nie Wielki Mistrz Praskiej Łoży Wskresicieli. Konrad von Wittgenstein spokojnym krokiem wyszedł na podwórze. Tam ze wszystkich zakamarków wpatrywały się w niego koty. Stały z wygiętymi grzbietami, najeżoną sierścią, w oczach żarzyły im się krwiożercze płomienie, a z gardeł wydobywało się to dziwne, przypominające lament miauczenie. Gdy wyszedł na podwórze, miauczenie przekształciło się we wściekły syk, jednak koty nie ważyły się zbliżyć do oprawcy. Mistrza otoczyło niewidzialne koło, którego stworzenia nie mogły przekroczyć.

Konrad von Wittgenstein schował pistolet pod płaszczem, zaciągnął na oczy kaptur i zostawiwszy czworonożne paskudy w żałobie, wymknął się przez łęk na ulicę, gdzie czekała na niego karetka.

– Do łoży! – rozkazał, wkroczywszy do środka. – Prędko.

Kierowca natychmiast zwiększył ciśnienie w silniku, rozległ się ostry gwizd i powóz ruszył. Wciąż zwiększał prędkość, mknął prosto przez pryskające kałuże, ale kierowca nie zwracał na to uwagi – gorliwie wypełniał rozkaz.

Mistrz zapatrzył się na zaciągnięte zasłony pojazdu, a potem wbił wzrok w chustkę. Nie wiedział, co czynić – wściekać się na siebie czy się śmiać. Udając się do Czarnej Krawcowej, postawił na jedną kartę nie tylko swoje życie, ale i prestiż. A przepowiednia staruszki okazała się zwykłym banałem. Na przesiąkniętym krwią kawałku materiału były wyszyte dwa zwyczajne przedmioty – serce i klucz. Klucz do serca. „Szukaj klucza do serca dziewczyny. Dopiero gdy go znajdziesz, zdobędziesz ją”. To znaczy, że nie potrzeba przemocy ani czarów, ani morderstw. Wszystko jest proste jak dwa plus dwa – musi tylko zdobyć serce Miły.

Mistrz z obrzydzeniem rzucił chustkę na podłogę, znów umościł się na wpół leżąc i zamknął oczy. Martwić się i dręczyć z powodu przeszłości – to zupełnie nie w jego stylu. Co się stało, to się nie odstanie, trzeba patrzeć do przodu. Czas utkać nową pajęczynę.

Po chwili karetka wróciła do centrum Pragi i minawszy katedrę Świętego Wita, wtoczyła się przez bacznie strzeżone wrota umieszczone w grubym murze. Czarno i biało otynkowane ściany wyglądały jak zrobione z małych piramidek. Wielki pałac Schwarzenbergów, centralna siedziba praskich wskrzesicieli, stanowił groźną twierdzę, którą przechodnie obchodzili szerokim łukiem. Na ogromnym zegarze spoczywał symbol wskrzesicieli – pomarańczowy feniks z rozpostartymi skrzydłami, a dookoła niego umieszczono na dachu plujące deszczówką gargulce o zniekształconych pyskach.

Wysiadłszy z karety, hrabia miał już nowy plan.

– Przygotujcie pokój opiumowych luster – rozkazał władczo sługom, którzy dopadli do niego, jak tylko wszedł do pałacu. – Będzie mi potrzebna Wileńska Loża Wskrzesicieli... – Zamilkł na chwilę zamyślony. – Nie, zostawimy ich w spokoju. Przyda nam się pomoc naszych wyjątkowych przyjaciół fetchów[10]. Zadbajcie o kontakt z Londynem.

Hrabia wszedł do garderoby, ściągnął mokry płaszcz, rozebrał się i okrył miękkim perskim szlafrokiem. Następnie poszedł do pokoju opiumowych luster, upił trochę dopiero co podanej mu gorącej herbaty z bergamotką i rozciągnął się na miękkim łóżku. Nad jego głową zaczęły się rozprzestrzeniać drobne pasemka dymu.

„Miłosne intrygi. Jakież to romantyczne!”, pomyślał i zanurzył się w alchemiczne sny.

Sandhurst (Anglia)  
18.04.1905

Do Anglii nareszcie przyszła wiosna, ale dało się to dostrzec dopiero po wyjeździe z Londynu. Drzewa na ulicach stolicy imperium brytyjskiego zawsze były spowite dymem wypływającym przez olbrzymie fabryki East Endu, dlatego ledwo się tam dostrzegało listowie puszczające pąki. Poza tym żyjący w wiecznym pośpiechu londyńczycy nie mieli kiedy przyglądać się drzewom, nie zatrzymywali się nawet w parkach Regent's czy Saint James's, gdzie pachniało hiacyntami i zawilcami. Być może tylko latem wielkie miasto, pogrążone w gorącu, odpinało białe kołnierze, zdejmowało fartuchy, brudną od sadzy ręką wycierało pot z czoła i nareszcie pozwalało sobie trochę odpocząć.

Tęskniący za przyrodą londyńczycy toczyli się pociągami do przepelnionego ogrodami hrabstwa Kent, cieszyli się orzeźwiającym morskim powietrzem na plażach Brighton albo udawali się na polowania do gęstych lasów hrabstwa Surrey. W wagonach zmierzających w kierunku zachodnim (do Oksfordu) i północnym (do Cambridge) rozbrzmiewał gwar studentów z niecierpliwością czekających na koniec sesji egzaminacyjnej. Zakochane pary ciągnęły nad Tamizę, by spędzić romantyczne popołudnie, wiosłując w małych łódeczkach. Wielka angielska rzeka, która póki co uniknęła brudnego od smaru dotyku Londynu, nieśpiesznie płynęła przez bajeczne i piękne wioski z pijalniąmi piwa pielęgnującymi stuletnie tradycje, kuszącymi ciemnym napojem i cieniem wierzb o długich gałęziach. Nawet największy niecierpliwiec, znalazłszy się w tym miejscu, zdołałby odpocząć i racząc się widokiem, z przyjemnością wychyliłby jedną czy dwie pinty.

Wczesnym rankiem z dworca Charing Cross przybył do Reading pociąg Południowej Kompanii Kolejowej. W jednym z wagonów panował niesamowity harmider wzbudzany przez młodych pragnących wypoczynku maruderów. Zdawało się, że zaczęli świętowanie, ledwo co opuścili Londyn. Cieszyli się z całego serca i śmiali się na całe gardło z żartów, które bawiły chyba tylko ich. Robili tak wielki hałas, że kilka par i rodzin z dziećmi, nie mogąc go znieść, przeniosło się do spokojniejszego wagonu. I tylko jednemu

jedynemu człowiekowi, który umościł się w kącie wagonu, cały ten zgiełk kompletnie nie przeszkadzał. Skulony, wciśnięty w kąt, zaciągnął na oczy czarny kapelusz, być może usiłując chronić się przed porannym słońcem wpadającym przez brudne okno, a może nie chcąc mieć nic wspólnego z rozbawioną zgrają. Jednak w różnorodności wiosennych barw jego czarny kapelusz i staromodny płaszcz w tym samym kolorze kłuły w oczy.

– Halo, szanowny panie, czy przypadkiem nie zmierza pan na pogrzeb? – Jeden z szyderców podszedł do niego i porozumiewawczo puścił oczko kompanom.

– A może nawet na własny? – wtrącił się inny. – Nie ma się co śpieszyć.

Mężczyzna w kapeluszu powoli podniósł wzrok.

– Całkiem możliwe, że na pogrzeb – odpowiedział półgłosem i zdjął kapelusz. Głowę miał całkiem łysą i gładką jak kula bilardowa.

Spojrzał na jednego z wesołków, potem na drugiego i chęć na żarty nagle im przeszła. Ten pierwszy miał jeszcze zamiar coś powiedzieć, ale nagle zamknął usta tak szybko, że szczęknął zębami. Raptem pociemniało mu przed oczami, poczuł się, jakby spadał z wielkiej wysokości. Zdawało mu się, że ziemia przybliżyła się z wielką prędkością, a w gardle poczuł ucisk, jakby zawiązano na nim gruby pakułowy sznur. Drugi dowcipniś złapał się za serce, które biło teraz tak szybko, jakby chciało się wznieść i wylecieć przełykiem. Obaj chłopcy chwycili się za głowy, a ich towarzysze stali wstrząśnięci, nie rozumiejąc, co się dzieje z kolegami.

Mężczyzna w czerni wziął głęboki oddech, wygodnie rozsiadł się na siedzeniu i znów zamknął oczy. Nie interesowała go ani ta zgraja, ani przemykające za oknem obrazy. Nie lubił wiosny, zieleni i najchętniej zostałby w Londynie, gdyby nie wieść o porażce w Krakowie, którą otrzymał przez opiumowe lustra, i gdyby nie nowe zlecenie, które musiał wykonać.

W głowie człowieka, który znalazł się w nieprzyjemnym położeniu, myśli zazwyczaj kręcą się wokół jednego, wciąż zadaje sobie te same pytania: co by było gdyby, co robić dalej, czy wszystko dobrze przemyślałem? Jednak pasażer udający się pociągiem do Reading nie należał do zwykłych ludzi. Prawda, wytyczne, jakie otrzymał, były dość dziwne, a dostępne środki nietypowe, ale miał cel i plan działania, a to mu zupełnie wystarczało. Czuł się spokojny.

Po przejechaniu prawie czterdziestu mil od Londynu pociąg zatrzymał się na obskurnej stacji. Na czerwonych ceglach budynku widniał napis „Blackwater”. Mężczyzna w czerni wstał i nawet nie spojrzawszy na uciszonych

młodzieńców, przeszedł przez wagon i wysiadł z pociągu. Razem z nim opuściło wagony jeszcze kilkadziesiąt osób, więc na niewielkim peronie od razu zrobiło się tłoczno. Ludzie ciągnęli za sobą skrzynie z narzędziami, wielkie, nie wiadomo czym wypchane wory, a nawet klatki z gęsiami.

W samym Blackwater również było niezwykle głośno. Miasteczko szykowało się do corocznego targu. Na słupach powiewały kokardy, stolarze stukali młotkami, kończąc sklekanie pawilonów dla handlarzy, bydłęta przechodzące obok muczały przeciągle. Na głównym rynku miasteczka kręciła się parowa karuzela, ze wszystkich stron otoczona przez dzieci, nieopodal właściciel strzelnicy sprawdzał strzelby, trochę dalej tabor włóczących się Cyganów rozstawiał różnokolorowe namioty.

Przybysz bez większego zainteresowania obejrzał targowe atrakcje, lecz tak naprawdę szukał czegoś innego. Zobaczywszy drewniany, piętrowy, pomalowany na zielono budynek z szyldem „Świnia i gwizdek. Karczma i noclegi”, skierował swoje kroki w jego stronę.

Wszedł do karczmy, zdjął kapelusz i zbliżył się do młodej karczmarki w niezbyt czystym fartuchu, która nudziła się za długim stołem.

– Chcę pokój – wymruczał i rozejrzał się po prawie pustej sali. Godzina libacji jeszcze tu nie wybiła.

Dziewczyna spojrzała obojętnie na mężczyznę.

– Pan żartuje? – zabuczała. – Jest targ, wszystkie pokoje zostały zarezerwowane kilka tygodni temu.

I już miała zamiar się odwrócić, ale twarda ręka ujęła ją za łokieć, a karczmarka prawie jęknęła. Dotyk był zimny, a uścisk żelazny.

– Chcę pokój – powtórzył spokojnie mężczyzna.

Jego łysa czaszka lśniła w świetle lampy, a oczy patrzyły prosto na dziewczynę.

– Eee... tak, oczywiście. – Pogrzebała pod stołem i wyciągnęła mosiężny klucz do pokoju przeznaczonego dla mającego przybyć nazajutrz znanego kupca bydła. – Proszę. Pokój numer trzy na pierwszym piętrze, panie...

– Fetch – odburknął po chwili milczenia.

– Proszę, sir Fetch – powtórzyła karczmarka jak papuga. – Czy przygotować kolację?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie trzeba.

Droga za Blackwater wiła się między wrzosowiskami, które w wieczornym



półmroku wyglądały tak groźnie, że wydawało się, jakby nie były to łąki południowej Anglii, a ponure bagna północnego Yorkshire. W oddali majaczyły ciemne lasy. Droga przechodziła nad przyjemnie szumiącą rzeczką Blackwater. Tutaj, na niewielkim moście, na podróżników czekała niespodzianka – z budki ustawionej tuż przy moście wyskakiwał barczysty mężczyzna w wojskowym mundurze, ledwie dostrzegłszy w oddali człowieka, i uprzejmie, ale surowo pytał, dokąd ten zmierza i jaki jest cel jego podróży. W tych stronach obcy nie byli mile widziani.

Droga zdążyła leśną przesieką i kończyła się wielką bramą, w której czuwało kilku strażników. Dalej biegła wąska ścieżka obsadzona rododendronami, która zmierzała w stronę kamiennego mostku łączącego dwa obrosnięte drzewami jeziora – Górne i Dolne. Jeszcze kawałek dalej znajdował się długi, brzydki, kamienny piętrowy budynek. Miejsce to nazywało się Sandhurst. Tutaj została utworzona Królewska Akademia Wojskowa, kolebka żołnierzy armii imperium brytyjskiego.

Nad obskurnym budynkiem wisiało czyste wiosenne niebo, a promienie słońca z ciekawością zaglądały przez okno do niewielkiego audytorium, w którym student ostatniego roku, Edward O'Braitis, stał na baczność przed komisją egzaminacyjną. Był ubrany w mundur kadeta z białoniebieską naszywką – znakiem rozpoznawczym uczniów Akademii – a wypolerowane guziki iskrzyły się niczym diamenty.

– ...i jestem święcie przekonany, że takie reformy dla armii Jej Wysokości są niezbędne – skończył swe przemówienie Edward i wyprostowany stuknął obcasami.

Siwy przewodniczący komisji egzaminacyjnej, generał Joseph Joffrey, zmarszczył brwi, jakby słońce świeciło mu prosto w oczy.

– Mhm, mhm – odchrząknął i odwrócił się do siedzącego obok kolegi, starszego kuratora, majora Stana McDermotta, noszącego nienagannie skrojony mundur. – Interesujące trendy tu u was, w Sandhurst, panują – rzekł, krzywo się uśmiechając. – Święcie przekonany... Niezbędne reformy... Do czego niby tym sposobem dojdziemy? Może i wasi dowódcy zaraz zaczną tłumaczyć królewskim inżynierom, jak należy budować wojskowe sterowce?

Starszy kurator mocno zacisnął usta i spojrzał na kadeta O'Braitisa ze złością. A generał Joffrey ani myślał się powstrzymać.

– Zapychacie im głowy wszelakimi głupotami: geometrią, topologią, alchemią, językiem, chroń nas Panie, niemieckim. A gdzie szacunek do przełożonych? Gdzie skromność? Dyscyplina? Stąd się właśnie biorą różni

reformatorzy. – Generał denerwował się coraz mocniej, a twarze trzech pozostałych członków komisji coraz bardziej pochmurniały. – Za czasów moich studiów nie było takiej swawoli. Percy – odwrócił się na chwilę do stojącego za plecami adiutanta, który natychmiast pochylił się, jakby tylko czekał na polecenie – wiesz, co dzisiaj widziałem w stołówce? Afisz teatralny! I na tym spektaklu zjawia się nie tylko pustogłowi kadeci, ale i żołnierze! Cyrk w Sandhurst! Któż to widział?!

Słowa te zawisły w powietrzu i w końcu przestało być jasne, kto tu jest egzaminowany – kadet O’Braitis czy jego nauczyciele, członkowie komisji. Z trudnego położenia wyprowadził ich sam Edward.

– Czy szanowni panowie mają do mnie jeszcze jakieś pytania? – upewnił się, przedtem dźwięcznie stuknąwszy obcasami.

McDermott tylko pokręcił głową i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie zwracaj sobie głowy, kadecie”.

O’Braitis zasalutował, odwrócił się i wymaszerował z audytorium. Znalazłszy się w długim korytarzu, wcisnął palce za kołnierz i tak go napiął, że o mało co nie wyleciały z niego metalowe guziczki. Wtedy głęboko odetchnął i złapał się za głowę. Przez otwarte okna wiał rześki wiaterek, ale Edwardowi i tak brakowało powietrza w płucach. Prawie biegiem zdążył w stronę schodów, zszedł na dół i udał się na wewnętrzne podwórze akademickie. Z tego miejsca dało się szybko dostać do kościoła Chrystusa, zbudowanego z czerwonej cegły i otoczonego przez zieleniący się sad, którego zadaniem oprócz wywoływania wrażeń estetycznych było także oddzielenie pogrążonego w ciszy budynku szkoły od stajni i pola do trenowania jazdy konnej oraz strzelnicy, gdzie kadeci, przy krzykach niecierpliwych instruktorów, ćwiczyli oko, strzelając ze strzelb i rewolwerów. Jednak dziś z rozkazu przewodniczącego Akademii i tu panowała nieskazitelna cisza – odbywały się bowiem egzaminy końcowe. Był to ostatni dzień studiów, nikt nie miał prawa zakłócać spokoju.

Młodszy kadeci rozeszli się do pokoi, powtarzając zadania, spacerowali po parku bądź chowali się w ustronnym kącie i zastanawiali się, jak oszukać strażników i unikając kary, dotrzeć na zaczynający się tego wieczoru coroczny targ w Blackwater, czego kadetom surowo zabroniono, szczególnie po zeszłorocznym skandalu, gdy oskarżyli właściciela koła fortuny o oszustwo, wrzucili go do rzeki i wszczęli bójkę.

Edwardowi O’Braitisowi na wypadzie do Blackwater nie zależało. Poszedł do przykościelnego ogrodu, znalazł sobie ustronną ławeczkę, usiadł na niej

i pograżył się w myślach. Na pierwszy rzut oka ten błękitnooki kadet wyglądał, jakby się urodził, by zostać żołnierzem: wysoki, potężnie zbudowany, o prostolinijnym spojrzeniu, lecz w Sandhurst wyróżniał się jak biały kruk, ponieważ nie chciał – i nie bardzo umiał – dowodzić. Zamiast rozkazywać, starał się przekonywać i dla wielu takie zachowanie było niezrozumiałe. Przez trzy lata studiów instruktorzy nie zdołali wybić mu z głowy chęci zawziętego bronienia swojego zdania ani nauczyć subordynacji i uznawania dyscypliny wojskowej. Inni kadeci również patrzyli na Edwarda krzywo – uczył się zbyt dobrze, a w studenckich uciechach uczestniczył zbyt rzadko. Nie był lekkoduchem – nie donosił na kolegów, którzy wymknęli się do grot Devil's Pound znajdujących się na granicy Sandhurst, by palić papierosy, czy włóczących się nocami po miasteczku Blackwater. Sam jednak nigdzie nie wybywał, a w wolnym czasie najczęściej chodził do stajni i zagadywał konie lub doskonalił na strzelnicy swoje umiejętności. Ale największą wadą Edwarda w oczach jego kolegów było to, że nie jest Anglikiem.

Rodzice Edwarda O'Braitisa urodzili się na Litwie. Ojciec, Petras Abraitis, razem z żoną Sofią wyemigrował do Londynu, gdy syn miał zaledwie trzy lata. Oboje znaleźli pracę w domu spokojnej starości – przystanku pośrednim na drodze do nieba. Matka pielęgnowała ciężko chorych, a ojciec, który na Litwie pracował jako maszynista parowozu, zatrudnił się w kotłowni w roli palacza. Dziecko wyrosło na przystojnego, zdolnego, mówiącego wspaniale po angielsku mężczyznę, który jednak w dzieciństwie napatrzył się na cierpienia starców, przez co stał się zamknięty w sobie i nigdzie nie umiał się przystosować. Starając się jakoś zakorzenić wśród obcych, wstąpił do Królewskiej Akademii Wojskowej. Wcześniej, do 1871 roku, i tu nie byłoby mu lekko, ale wtedy zabroniono kupowania stopni i przydziałów w brytyjskiej armii. Gdyby nie to, Edward w najlepszym wypadku mógłby się spodziewać stopnia sierżanta lub kaprała i służby w jakimś nieistotnym batalionie wojsk lądowych. A on, pierwszy uczeń w Akademii, marzył o Królewskim Korpusie Powietrznym, o sterowcach, biplanach, zeppelinach, korwetach i rajderach. Egzaminami teoretycznymi z topografii wojskowej, prawa wojny, administracji, języków obcych i innych przedmiotów zdawał celująco. Kolegów z roku prześcigał na strzelnicy i w jeździectwie, okazał się doskonale przygotowany fizycznie i stał się dobrym artylerzystą. Zdaniem prawie wszystkich instruktorów O'Braitis był bezsprzecznym kandydatem do Medalu Królowej Wiktorii, którym nagradzano najzdolniejszych studentów, i mógł liczyć na

najlepszy przydział w Korpusie Powietrznym, jaki wolno nadać kadetowi, który dopiero ukończył akademię.

– Gdyby tylko nie to potknięcie – wyszeptał Edward, siedząc na ławeczce w ogrodzie Akademii.

– Mnie to ani trochę nie dziwi – rozległ się głos gdzieś bardzo blisko i chłopak dopiero pojął, że ostatnią myśl wymówił na głos.

Kadeci w Sandhurst byli dobrze wytrenowani pod kątem reakcji na zaskoczenie, dlatego przydybany O’Braitis nawet nie drgnął, dopiero po chwili odwrócił głowę do mówiącego, który nie prosząc o pozwolenie, przysiadł się do studenta.

– Tak, Williamie, możesz się cieszyć, znów masz rację – zaburczał Edward.

– No tak – odpowiedział William Dalvell, niewysoki, dobrze zbudowany kadet o niespotykanej białej skórze i ogromnym jabłku Adama. – Oczywiście, mam rację, a ty nigdy mnie nie słuchasz. Wiesz, czym my dwaj się różnimy? Ja nieważę rację tylko wtedy, gdy jest to na moją korzyść, ty zaś zawsze chcesz być mądrzejszy od wszystkich, wypychasz innym swoje opinie, jakby były jedynymi słusznymi na świecie. Może i jesteś ulubieńcem McDermotta, ale chyba nie sądziłeś, że tak zuchwale mówiąc podczas egzaminu, zrobisz wrażenie i na tym starym pierdzielu Joffreyu? Zaczynam podejrzewać, że ty, gołąbku, masz jakąś poważną chorobę umysłową i swoje dni skończysz w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Świętego Andrzeja.

William wyciągnął z kieszeni garść suszonych śliwek i zaczął je jeść, wypluwając pestki na trawę.

Edward spojrzał na chłopaka bez złości. Dalvell był właściwie jego jedynym przyjacielem w Sandhurst. Poza tym mówił prawdę, nawet jeśli nieprzyjemną. Edward skierował wzrok na wieżę kościoła i podrapał się po potylicy.

– Nie wiedziałem, że w komisji będzie generał Joffrey – powiedział w końcu.

William się skrzywił.

– To może spadł z nieba? Albo zjawił się w audytorium podczas twojej przemowy jak ten niewidzialny człowiek Herberta Wellsa? – William pochłonął kolejną śliwkę, po czym odwrócił się w stronę Edwarda i wymierzył palcem w jego klatkę piersiową. – Panie, widziałeś go pan przed egzaminem. I doskonale wiedziałeś, kim jest. Ty tylko miałeś odpowiedzieć na pytanie, pochwalić króla Edwarda, imperium brytyjskie, jego niezwyciężoną armię, odważnych dowódców i wyszedłbyś stamtąd odprowadzany przez

oklaski. Ale gdzie tam! Edward O'Braitis tak nie postępuje. On koniecznie musi wyrazić swoje zdanie. Wiedźcie, iż on osobiście zreformuje armię brytyjską i sam jeden wygra wojnę na Krymie, w Zabulistanie, Birmie czy gdziekolwiek indziej, gdzie tylko zostanie wysłany. Mówię ci, na ciebie czekają w wariatkowie.

Edward nic nie odpowiedział, zmrużył tylko oczy i William zrozumiał, że pozwolił sobie na trochę za dużo, że zranił przyjaciela.

– No, nie złość się – burknął. – Może dziad tylko pohałasuje i się uspokoi. Twoje oceny są tak wysokie, że nie musisz się martwić o przyszłość. Choć egzamin z trzymania języka za zębami bez wątplenia byś oblał.

– Za to ty jesteś prawdziwym liderem w dyscyplinie pocieszania. – Edward nie wytrzymał i odciął mu się, co wywołało promienny uśmiech na twarzy rozmówcy. – Jak by nie było, wszystko okaże się dopiero jutro podczas ceremonii.

William trącił kumpla pięścią i puścił do niego oczko.

– A dzisiaj wieczorem czeka na nas Blackwater i najlepsze w całej Anglii śliwkowe ciasto Capnera. Ostatni egzamin zdany, więc teoretycznie już nie jesteśmy kadetami.

– Teoretycznie może i nie, ale praktycznie jesteśmy nimi do jutra do jedenastej – zauważył Edward i wstał. – Ty oczywiście możesz ryzykować, ale mnie już wystarczy nieprzyjemności. Pójdę na strzelnicę. Kapitan Parker obiecał mi pokazać nową trójlufkę Lee-Metforda.

– Oho, Edward O'Braitis stara się uniknąć nieprzyjemności? – zakpił William. – Cały czas się doskonalisz, koleżko.

Jednak mimo ostrożności na O'Braitisa i tak czekały nieprzyjemne skutki jego postępowania. Ledwo po tym, jak wyszedł z ogrodu, przyczepiła się do niego grupka kadetów z jego rocznika.

– Oto i on, wielki reformator i mieląca ozorem nadzieja Anglii – zaśpiewał Charles Finley.

Trzej koledzy stojący za jego plecami gromko się zaśmiali.

Akademia Sandhurst była dziurawa jak sito, plotki roznosiły się tu szybciej, niż leciały kule z dubeltówki, a skarżenie stało się fachem – pracujący w akademii sierżanci rezerwy pozwalali w ten sposób wykupić się kadetom, którzy już wpadli. Dlatego O'Braitis wcale nie był zdziwiony, że wieść o niezadowoleniu generała Joffreya dotarła do uszu Finleya.

Chłopcy nie zgadzali się ze sobą już od pierwszych dni w Akademii. Charles Finley, latorośl bogatych arystokratów, nie błyszczał talentami, ale

wcale się tym nie przejmował. Zebrał sforę zawadiaków podobnych do siebie i zajmował się tym, co umiał najlepiej – bezlitośnie niszczył życie innym kadetom. „Najlepsi”, jak nazywała siebie ta zgraja, już dawno powinni zostać wydaleny ze szkoły, ale Finley z łatwością się wykupywał. Do tego jego rodzice wychodzili ze skóry, żeby syn ukończył szkołę, a potem dostał najlepszą służbę.

Edward O’Braitis również mógł zgromadzić wokół siebie grupę zwolenników i otwarcie mu się przeciwstawić, ale to nie było w jego stylu. Teraz tylko spojrzął ze złością na szyderców i poszedł dalej, nie powiedziawszy ni słowa.

Gdy nadszedł wieczór, Najlepsi z Charlesem Finleyem na czele pili już piwo w Blackwater w karczmie Świnia i Gwizdek. Siedmiu mężczyzn siedziało w pogrążonej w półmroku sali przy długim drewnianym stole i śpiewało piosenkę.

*My, dzielni kadeci, mężczyźni jak mury,  
Niestraszne nam choćby i piekielne progi.  
Witaj, jak leci? Nie bądź już tak ponury  
I czym prędzej zawijaj się z naszej drogi.*

Ostatni wers Najlepsi wywrzeszczeli na całe gardło, stuknęli się kufkami, opróżnili je do dna i zaczęli walić nimi o stół, żądając więcej piwa. Ich młoda wrząca krew domagała się przygód, dlatego jeden z mężczyzn, imieniem Frank, odwrócił się do przywódcy zgrai, zamierzając zaproponować pójście na główny rynek, by się trochę zabawić.

– Charlesie, może pora komuś poprawić uśmiech? – rzekł, ale nagle zmienił dalszy ciąg swej kwestii: – Widział ktoś Charlesa? Gdzie on zniknął?

– Na pewno przygarnął sobie jakąś spódnicę – odpowiedział inny mężczyzna i zaśmiawszy się, ryknął: – Czy ktoś przyniesie tego piwa, do cholery!

W tym czasie Charles Finley siedział w najciemniejszym kącie karczmy przy drewnianym stole przeznaczonym dla czterech osób i gapił się na nieznanego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu.

– Znaczy, że pan to ten człowiek, o którym mnie poinformowali rodzice? – spytał Finley i głupkowato się wyszczerzył. – W telegramie pisali, że może mi pan pomóc. Że czyni pan cuda.

Nieznanomy pokręcił głową.

– To zależy, jakiego cudu sobie pan życzy – odpowiedział chrapliwym głosem mężczyzna.

Charles trzasnął dłonią w stół.

– O, szybki pan jest. Przyleciał pan jak użądłony. Ile obiecali moi staruszkowie?

Nieznajomy nie miał zamiaru odpowiedzieć, tylko z zainteresowaniem wpatrywał się w Charlesa, jakby chciał dojrzeć każdy szczegół jego twarzy.

– Jak się pan nazywa? – dopytywał się natarczywie kadet. – Nie lubię mieć do czynienia z bezimiennymi.

– Proszę mnie nazywać Fetch.

Finley wybuchł śmiechem.

– Doskonały żart, panie Upiorze – rzekł. – Dobra, powiem, jakiego chcę cudu. Sławy i pieniędzy. Chcę przydziału do Królewskiej Kawalerii.

Ubrany na czarno mężczyzna patrzył w milczeniu na kadeta.

– Tak – powiedział w końcu.

Charles Finley nagle poczuł, jak po plecach przebiegają mu dreszcze.

– Ale rodzice chyba wspominali, że w akademii idzie mi... eee... no powiedzmy, że moje oceny nie są zbyt... – dukał niezdecydowanie, ale Fetch mu przerwał.

– Chodźmy, odprowadzę pana – powiedział chłodno i wstał z krzesła. – Porozmawiamy po drodze.

Nieoczekiwanie ten arogancki zawadiaka natychmiast posłuchał i nie pożegnawszy się z kolegami, wyszedł z karczmy. Czuł się, jakby ktoś ciągnął go na smyczy, ale nic nie mógł na to poradzić.

Wkrótce latarnie Blackwater zostały w tyle i dookoła zrobiło się ciemno. Zerwał się wiatr, przy nogach zaczęła się snuć lecąca znad rzeki mgła i idącemu za Fetchem przez wrzosowiska Finleyowi zrobiło się nieprzyjemnie. Co rusz zostawał w tyle i rozglądał się, szukając jakiegoś kija, żałował, że nie wziął pistoletu, choć zasady akademii tego zakazywały.

– Panie Finleyu – wyszeptał mężczyzna przy samym uchu kadeta, a chłopak zadrżał zszokowany, Fetch szedł bowiem nie obok niego, ale na przedzie, prześcigając go o kilka kroków. – Proszę się nie martwić o cenę. Proszę się o nic nie martwić.

– Świetnie – zamruczał Finley i zatrzymał się. – W takim razie oddaję się pod pańską opiekę.

Fetch również przystanął i odwrócił się, podszedł do kadeta i wyciągnął obie ręce w geście pożegnania.

Charles radośnie je chwycił i...

Zapewne najgorszym koszmarem jego dzieciństwa był piknik w lesie pewnego spokojnego lata. Mama z guwernantką i młodszymi siostrami naciągały obrus i szykowały przekąski, a Charles poszedł zbadać okolicę. Przysiadł na ziemi, oparł się o pień wielkiego drzewa i pogrążywszy się w marzeniach, zaczął obserwować przepływające obłoki. Potem obrócił się, oparł się ręką o ziemię i poczuł coś obrzydliwie ciepłego i oślizgłego. Zdziwiony spojrział na dłoń i zaczął wrzeszczeć. Dotknął gnijącego truchła dawno zdechłego kreta. Nieważne, jak starannie młody Finley mył i wycierał ręce, nie mógł zapomnieć tego wywołującego wymioty uczucia.

A teraz poczuł to samo. Tylko że obrzydzenie było jeszcze mocniejsze, zupełnie jakby w zwłoki kreta wsadził całą głowę. Przerażony Charles chciał uwolnić się od mężczyzny, ale jego ręce tkwiły w uścisku jak uwięzione w kajdanach.

Fetch przyciągnął go bliżej.

– Ty jesteś w naszych rękach – wyszeptał i przyssał się do ust Finleya.

Po chwili twarz łysego jegomościa zaczęła się zmieniać.

Sandhurst zmieniło się przez noc. Wczoraj na podwórzu akademickim królowała cisza, natomiast dziś od wczesnego ranka w tę i z powrotem krzątali się ogrodnicy, kwiaciarze, stajenni, sprzątacze i pomywacze. Młodszy kadeci po śniadaniu zabrali się do pracy – jedni, nastroiwszy instrumenty, pośpieszyli na próbę, inni udali się do kościoła Chrystusa, by pomóc kapelanowi, który niedawno się tutaj przeniósł i było to jego pierwsze absolutorium kursantów akademii. Pierwszorocznym przypadły najmniej przyjemne prace – uprzątnięcie stajni i asystowanie kucharzom. Lecz nikt się nie skarżył, w powietrzu dało się wyczuć świąteczny nastrój.

Edward O’Braitis po śniadaniu wyszedł na podwórze i głęboko westchnął. W ogrodzie pachniało wilgocią i rododendronami. Przeciągnął się i starając się nie przeszkadzać pracownikom, omijając wazon z kwiatami, biegiem udał się na żwirową ścieżkę. Spał zadziwiająco dobrze – jego nerwy ukoili książka i herbata lipowa z miodem, a może w szczególności jego przyjaciel William, który przyszedł do niego wieczorem. Przyniósł ze sobą nie tylko manierkę dobrego koniaku, ale i wspaniałą wiadomość: stary Joffrey odpuścił i Medal Królowej Wiktorii, przyznawany najlepszemu kadetowi, na pewno trafi do niego, Edwarda O’Braitisa.

To ostatni raz, gdy Edward wyszedł pobiegać, dlatego wybrał najdłuższą



trasę – chciał odwiedzić miejsca, które przez trzy lata studiów zdążył naprawdę polubić. Do fanfar obwieszczających początek święta pozostało wystarczająco dużo czasu, więc nie zamierzał się śpieszyć.

Porządek dnia był dzisiaj inny niż zwykle. Do południa mieli się zjechać wielmożni goście. Na początek uroczystości zaplanowano uhonorowanie najlepszego kadeta i krótki koncert, a później – przydzielenie służb w wielkiej sali. Następnie wspaniały obiad i pokaz Królewskiego Korpusu Powietrznego Eskadry Farnborough. Farnborough dzieliło od Sandhurst zaledwie kilka mil, a łączyły przyjacielskie stosunki. Dowódcy pozostałych części wojska już nie raz publicznie wyrażali swe niezadowolenie, że najlepsi kadeci Królewskiej Akademii Wojskowej zapraszają tych parweniuszki z Korpusu Powietrznego, a nie niezawodną artylerię, wojsko lądowe czy królewskich inżynierów, ale dowódcy z Farnborough tylko uśmiechali się pod wąsem i troszczyli się o to, by przed absolutorium asy eskadry przygotowały program robiący jak największe wrażenie.

I na tym uroczystości się kończyły. Dostawszy przydział, kadeci powinni czym prędzej stawić się na miejscu służby, dlatego na koniec dnia z podwórza akademickiego wytoczy się sznur wynajętych bryczek, które zawiozą absolwentów akademii do Blackwater czy na którąś z pobliskich stacji kolejowych.

Edward, wróciwszy do budynku szkoły, od razu wybrał się pod prysznic. Tam niespodziewanie spotkał Charlesa Finleya. Na jego widok zmarszczył brwi – bardzo nie chciał psuć sobie nastroju z samego rana. Finley wyglądał, jakby całą noc zabawiał się w Świni i Gwizdku. Oczy miał podkrążone, twarz obdrapaną, usta wykrzywione. Z całą pewnością męczył go kac. Edward już myślał, że usłyszy jakąś złośliwą odzywkę, ale Finley niespodziewanie szeroko się uśmiechnął i wyciągnął rękę.

– Dzień dobry, Edwardzie! – przywitał się. – Czy może słyszałeś już plotki o laureacie Medalu Królowej Wiktorii? – zaczął, jakby spotkał najlepszego przyjaciela. – Szkoda, że wczoraj nie byłeś w karczmie, oblalibyśmy z kumplami twój sukces. Oczywiście grzmią mi przez to w głowie działa, ale było warto. – Skrzywił się i wytarł sobie czoło.

O’Braitis ze zdziwieniem słuchał życzliwej przemowy Finleya i zastanawiał się, co może ona oznaczać. Herszt Najlepszych poklepał go po plecach i dodał:

– Trzymaj się, bracie. I nie zapomnij, że jesteśmy twoimi kumplami. – Puścił oczko do Edwarda i odszedł, zostawiając za sobą smród zwietrzałego

piwa, proszku do czyszczenia zębów i nie wiadomo czego jeszcze.

Gdy dochodziło południe, do Sandhurst zjechały się karety, które przywiozły z dworców kolejowych zaproszonych gości. Niedługo po tym wszyscy zebrali się na placu przed Królewską Akademią Wojskową i zasiedli przy prostokątnych stołach, a na schodach uczelni ustawił się chór kadetów.

Dzień był słoneczny, w lasach śpiewały ptaki, goście, między którymi znalazł się i dowódca Królewskiego Korpusu Powietrznego, żywo dzielili się nowinami, ale nagle wszystkie głosy uciszył donośny dźwięk fanfar ogłaszający początek absolutorium.

Chór kadetów odśpiewał dwie pieśni o ojczyźnie i miłości, po czym starszy kurator studiów, major Stan McDermott, wygłosił słowo powitalne. Gdy skończył przemowę, na przód wyszedł przewodniczący komisji egzaminacyjnej, generał Joseph Joffrey, i z dumą ogłosił, że nadszedł czas na wręczenie Medalu Królowej Wiktorii najlepszemu kadetowi. Generał rozejrzał się po zebranych i szeroko się uśmiechnął.

– A zatem zapraszam... – zrobił retoryczną pauzę – kadeta Edwarda O’Braitisa po odbiór zasłużonego odznaczenia.

Gdy uroczysta część się skończyła, Edward szedł przez podwórze, nogami nie dotykając ziemi, radując się Medalem Królowej Wiktorii błyszczącym na piersi i ciesząc się niezmiernie, gdy przyjmował gratulacje od przyjaciół, których nagle mu przybyło. Jednym z pierwszych do uściśnięcia mu ręki był Charles Finley. Za jego przykładem, chcąc nie chcąc, podążyli niektórzy kadeci z jego paczki. Kroczący obok Edwarda William już miał zamiar o coś zapytać, ale najlepszy kadet Królewskiej Akademii Wojskowej tylko machnął ręką. Sam nie rozumiał, co się dzieje, ale nie miał chęci tego wyjaśniać.

Teraz kadeci grupką zmierzali do wielkiej sali, żywo dyskutując i domniemywając, do jakiego miejsca zostaną przydzieleni na służbę. Królewska Akademia Wojskowa zaopatrywała w żołnierzy prawie całą armię imperium brytyjskiego, z wyjątkiem Królewskiej Floty. Przez trzy lata studiów instruktorzy oceniali zdolności i talenty kursantów i według tego dobierali im przedmioty i dyscypliny praktyczne. Dlatego większość studentów bez trudu domyślała się, gdzie będzie służyć w przyszłości – w wojsku lądowym, w Królewskim Korpusie Inżynierskim, w artylerii czy w Korpusie Powietrznym. Ale mimo to dokładne miejsce służby znało niewielu szczęśliwców – ci, którzy mieli kontakty lub wpływowych rodziców. Handlowanie przydziałami zostało zabronione, ale przewyciężyć utrwalony przez stulecia nawyk nie było łatwo.

Głowę zawadiaków – Charlesa Finleya – w Akademii zaliczano do największych leni, ale jego rodzice mieli i pieniądze, i kontakty. Edward O’Braitis, marzący o Królewskim Korpusie Powietrznym, został ogłoszony najlepszym studentem, ale nie miał ani kontaktów, ani pieniędzy.

– Kadeci, stać! Baczość! – Rozległ się głos porucznika-instruktora i stu dwudziestu siedmiu kadetów podskoczyło z krzeseł i zastygło, po raz ostatni oddając cześć wchodzącym do wielkiej sali dowódcom, nauczycielom oraz gościom.

Po krótkiej przerwie na przód wyszedł major McDermott, wziął ze stołu pierwszą teczkę, otworzył ją i rzekł donośnym głosem:

– Wzywam kadeta Edwarda O’Braitisa.

Edward wstał i zasalutował.

– Kadet Edward O’Braitis obecny, sir – zameldował.

– Kadecie, czy przedłożyliście prośbę o służbę w Królewskim Korpusie Powietrznym? – zapytał McDermott.

– Tak jest, sir.

Major milczał przez chwilę. Wszyscy w sali ucichli.

– Bardzo dobrze, kadecie. Wasza prośba została spełniona. Jesteście przydzieleni jako adiunkt w sterowcu klasy korweta o nazwie „Gwiazda Świętego Jerzego”. Jego misja: chronić i utrzymać porządek w mieście Aliansu, Wilnie. Wasz urlop jest odwołany. Do jutra do południa macie się stawić w Wojskowej Bazie Sił Powietrznych w Farnborough. Są pytania, kadecie?

Edward pokręcił głową, zasalutował i usiadł z powrotem na krześle. Ledwo się powstrzymał, by nie złapać się za głowę. Spodziewał się służby w Brytanii albo jeszcze lepiej, w jakimś gorącym punkcie świata, a tu proszę, wysyłają go do jakiejś niecki, żeby chronić miasto Aliansu, z którym Brytania utrzymuje przyjacielskie stosunki. I to jeszcze do kraju, z którego jego rodzice wzięli nogi za pas. Jakiś beznadziejny zacofaniec, niemający kręgosłupa moralnego, mógł na to oczywiście liczyć, ale nie najlepszy kursant z Medalem Królowej Wiktorii na piersi. Generał Joffrey prawie niezauważalnie poruszył głowę i uśmiechnął się półgębkiem. Zawiedziony Edward siedział, gapiąc się w podłogę, a w tym czasie inni kadeci, którzy uczyli się gorzej od niego, dostawali dużo lepsze stanowiska.

– Wzywam kadeta Charlesa Finleya Juniora – ogłosił major McDermott.

Oprzytomniawszy, O’Braitis podniósł głowę. Zobaczył, jak inni kursanci oczekują w napięciu. Finley już dawno wszystkim rozpowiadał, że marzy

o Królewskiej Kawalerii. Dowodzący nią lordowie bardziej niż umiejętności taktyczne cenili pochodzenie i pieniądze. Tak więc do kawalerii przymierzały się wszystkie latorośle arystokratów.

– Kadet Charles Finley Junior obecny – zameldował przywódca bandy Najlepszych. Wyglądał lepiej niż rano, ale oczy nadal miał podkrążone.

Major McDermott wsadził nos w teczkę i nagle zmarszczył brwi. Kilka razy rzucił okiem po papierach, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiał, po czym uniósł głowę i spojrzał na spiętego Finleya.

– Kadecie, czy przedłożyliście prośbę o służbę w Królewskim Korpusie Powietrznym?

– Dokładnie tak, sir.

Przez całą salę przetoczyły się szepty:

– Moment, chwila, a co z kawalerią?

– Kadecie, wasza prośba... – McDermott znów zerknął na papier – została spełniona. Jesteście przydzieleni jako drugi adiunkt w sterowcu klasy korweta o nazwie „Gwiazda Świętego Jerzego”. Jego misja: chronić i utrzymać porządek w mieście Aliansu, Wilnie. Wasz urlop jest odwołany. Do jutra do południa macie się stawić w Wojskowej Bazie Sił Powietrznych w Farnborough. Są pytania, kadecie?

– Nie, sir – wesołym głosem odpowiedział Finley, zasalutował i usiadł.

McDermott zmarszczył czoło, jakby nijak nie mógł uwierzyć w to, co sam przeczytał, ale po chwili zwłoki wziął kolejną teczkę.

Kursanci, którzy skończyli naukę, otrzymali przydziały i opuszczali akademickie podwórze, a zaraz za bramą uczelni wyciągali trzymane na tę okazję pachnące cygaro i wypalali je, z zadowoleniem mrużąc oczy. Ta przyjemność była w Sandhurst surowo zakazana. Jedynym miejscem, gdzie kursanci mogli zaciągnąć się dymkiem bez obawy, że wpadną, były groty Devil’s Pound znajdujące się na samym skraju Sandhurst. Tam strażnicy rzadko zaglądali, a jeśli już się tam wybrali, kadeci zawsze zdążali wyciągnąć podręczniki i udawali, że czytają.

Dwaj drugorocznicy właśnie przybiegli do jednej z grot, żeby raczyć się dymem i przedyskutować nowiny dnia. Niepowodzenie Edwarda O’Braitisa wielu zaskoczyło, ale za bardziej szokujące wszyscy uznali, że Charles Finley został przydzielony do sił powietrznych i nawet – co jest szczególnie dziwne – do tego samego sterowca, na którym będzie służył O’Braitis.

Drugorocznicy palili cygara, żarliwie dyskutując o wydarzeniach absolutorium. Nie mieli pojęcia, że na końcu groty pod starannie ułożoną kupą

kamieni spoczywa ciało ich niedawnego kolegi – kadeta Charlesa Finleya Juniora.

Gdzieś niedaleko Trok  
20.04.1905

Ciało leżało na ziemi, a dookoła jego głowy powoli powiększała się kałuża krwi.

– A niech to wsza zapluta! Roztrzaskał się.

Stefan Rickus wpatrywał się w sporawy kamień leżący obok trupa. Splunął i podciągnął spodnie. Nie nosił paska, a spodnie odebrane pewnemu pechowemu kupcowi, które Rickus ozdobił metalowymi guzikami w kształcie czaszki, były sporo za duże, dlatego stale musiał je podciągać, żeby się z niego nie zsunęły.

– Roztrzaskał się – potwierdził Zaręba. Klęczał, przyłożywszy ucho do klatki piersiowej byłego kolegi, następnie wstał i zaczął czyścić ubrudzone kolana. Zanim przyłączył się do opium, pracował w Kownie jako felczer, dlatego w sforze Rickusa pełnił ważne obowiązki medyka. – Śmiertelnie się roztrzaskał.

– Ot, wężu, wężu – zamruczał Rickus. – Przecież mówiłem wyraźnie: raz, dwa, trzy, ciągniesz za sznur i wiatrołap się rozkłada. Na co ten biedaczyna czekał?

Zmarłego otoczyli pozostali członkowie watahy. Niektórzy kuśtykali – i oni opuścili się niezbyt pomyślnie.

– Dyk jon ze Żmudzi – wtrącił się Jakub. – To może nie zdążył parachować da trzech, pakul ta prześciaradła się nie rozłążyła.

Jakub niedawno dołączył do szajki, mówił dziwną mieszanką kilku języków i nie zawsze dało się zrozumieć, co chce przekazać towarzyszom. Rickus często prosił go, by powtórzył, co ma na myśli. Za to strzelał bardzo celnie, dlatego wszyscy szybko przywykli do tego dziwaka.

– A może zły wiatrołap mu się trafił? – dorzucił swoje trzy grosze Czeczko, łysy mężczyzna, którego potylicą przypominała pokryte brązowymi plamkami spoczone przepiórcze jajo.

Rickus ze złością spojrzął na kamrata. Czeczko zawsze jako pierwszy robił w gacie, gdy coś się działo, i zawsze był z czegoś niezadowolony.

– Zamknij mordę, Czeczko – zagrzmiał Rickus, bo wiatrołapami zajmował

się osobiście. – Wiatrołapy są doskonałe. Untulis, mój dobry przyjaciel z czasów armii, gówna na pewno by nie dał. Może Kuzawa nie umiał policzyć do trzech, ale to jego problem. – Rickus rozejrzył się po załodze, wskazał na kilku mężczyzn. – Teraz ty, ty, ty i ty, włączcie do kosza, wykonacie drugi skok. I postarajcie się nie roztrzaskać jak ten tutaj. – Skinął na leżącego w kałuży krwi trupa. – A ty, Czeczko, zajmij się Kuzawą.

– Jak mam się nim zająć? – Mężczyzna rozdziawił usta.

– Jak chcesz – odpowiedział ze złością Rickus. – Zakop, utop, spal, nakarm nim świnie. A może sam chcesz do kosza, wszo zapluta?

Czeczko już miał zamiar coś odpysknąć, ale usłyszawszy ostatnie słowa wodza, zwarł szczęki tak szybko, że szczęknął zębami. Spojrzył krzywo na trupa i ruszył w stronę wioski, żeby pożyczyć o łopatę. Czwórka wyznaczona przez Rickusa niechętnie skierowała się do chyboczącego się na wietrze kosza.

Rickus rozejrzył się. Jego zgraja – siedmiu mężczyzn – przyleciała w wielkim koszu powietrznym i wylądowała koło wsi Buda na wzgórzu obrośniętym trawą. Widoki mieli tu ładne – w oddali rozciągało się wielkie jezioro Galwe, nad którym sterczały ruiny zamku na wyspie, z lewej, obok murowanego folwarku, tłoczyło się kilka wiejskich chat, za nimi rozciągał się las, a po niebie płynęły wielkie okrągłe obłoki. Ale piękno przyrody nie poprawiło Rickusowi humoru.

„Nic dobrego”, myślał, patrząc na mężczyzn. „Mogę się spodziewać tylko rozróby”.

Złe przeczucie męczyło go od feralnego spotkania na Żmudzi w starej gospodzie w Użwentach.

– Jest poważna robota do wykonania – szeptał do Rickusa Weksler, oślizgły Żyd przygarniający zrabowane fanty i zawsze rozliczający się od razu. – Gdyby nie była poważna, to bym nie proponował, ale ty mnie przecież znasz – ciągnął. – I pieniądze też będą dobre.

Stefan Rickus, kapitan sterowca „Pogrzebacz”, cieszył się reputacją dobrego grabieżcy i przyklejonym przez gryzipiórków przezwiskiem „Podniebnego Pirata”, ale zrzucanie z powietrza bomb w przejeżdżające karety to jedno, a zrobić to, o co prosi odpychający typ przedstawiony mu przez Wekslera i nazywający siebie panem Fetchem Seniosem – to zupełnie co innego. Oj, nie spodobał się Rickusowi ten człowiek, od razu mu się nie spodobał. Łysy, z oczami czarnymi jak bagno, ubrany w czarny płaszcz z sukna najwyższej jakości. Z daleka widać, że to nie miejscowy.

Ledwo Weksler zdążył mu pokazać tego typa w gospodzie, nieznajomy błysnął oczami i Żyd się oddalił. Rickus już chciał splunąć na tę sprawę i trzasnąć za sobą drzwiami, ale Fetch popchnął przez stół sporą sakiewkę ze złotymi rublami.

– To awans – zamruczał. – Wykonasz robotę, a dostaniesz pięć razy tyle.

Rickus aż zagwizdał. Za obiecaną sumkę mógł się stać poważanym przez społeczeństwo obywatelem w jakiejś Brazylii czy gdzieś dalej. Albo powozić się dobrym, niech już będzie, że nawet nie pierwszej nowości, sterowcem i zabawić się na całego.

Osobie postronnej Stefan Rickus mógł się wydawać niedołączny i głupawy, ale tak naprawdę był rdzennym Żmudzinem posiadającym zwierzęcą intuicję. Zwykł mawiać: „Nie pchajmy się tam, gdzie nie trzeba”. Kupcy, miejscowi kramarze, zagubiony w lesie bojar czy ciemięga, który poniewczasie wzniósł się w powietrze na hulanki – to jego klientela, którą z przyjemnością się zajmował. Jednakże olbrzymie alianckie sterowce omijał wraz ze swoimi koleżkami z daleka. „Może i podróżują nimi bogaci panowie, ale niech oni latają sobie, a my sobie”. Poza tym Rickusowi zajęć nie brakowało.

W politykę się nie zagłębiał, ale domyślał się, skąd przybył panicz proszący na przykład o podłożenie bomby w pociągu toczącym się z Rewla do Wilna za dobre wynagrodzenie. Tutaj śmierdziało albo niemieckim kajzerem, albo ojczulkiem Rosji – carem, a Rickus za takie zlecenia się nie zabierał. Jednak tym razem postanowił inaczej. Tym razem zaoferowano mu wyjątkowo duże pieniądze. Do tego nieznajomy jasno dał do zrozumienia, że Rickus nie może odmówić. Nie, ten typek nawet nie groził – Rickus po prostu poczuł, że musi mu się podporządkować. Dlatego teraz trzeba będzie odwalić wyjątkowo nieprzyjemną robotę: spuścić się na wiatrołapach z „Pogrzebacza” na aliancki sterowiec, rozprawić się z załogą i jakąś damulką.

– Moi chłopcy nie bardzo umieją skakać z wiatrołapami – próbował jeszcze jakoś się wykręcić.

– Niech wejdą do powietrznego kosza i się uczą – odrzekł sucho łysy i wyszczerzywszy się, dodał: – Im więcej twoich nie trafi w sterowiec, tym mniej ich będzie do podziału wynagrodzenia.

Rickus westchnął. I oto Kuzawie złote ruble już są niepotrzebne. Choć jeśli jeszcze któryś z nich się rozkwasi, to z pewnością żadne ruble tu nie pomogą. Podciągnął spodnie i poszedł sprawdzić, czy druga grupa już wgramoliła się do kosza. Wątpił, że mężczyźni zdołają odliczyć do trzech i rozłożyć wiatrołap w odpowiednim momencie. A czasu na ćwiczenia mieli niewiele – sterowiec



pasażerski z Krakowa będzie tu za trzy dni.

Wilno,  
ranek  
22.04.1905

– „Nie krzywdź mnie, wielki piracie, prosz, o co chcesz, moi rodzice oddadzą wszystko”, błagała młoda dziewczyna, ale zły pirat tylko się wściekle zaśmiał. „Nie potrzebne mi są skarby twoich rodziców, dziecinko, za to ty jesteś mi wręcz niezbędna!”, wrzasnął. Bracia dziewczyny nawet nie zdążyli podnieść strzelb, nim pirat chwycił niewiastę w objęcia, wyskoczył z latającej maszyny i runął w dół, ku twardej ziemi.

Dzieci, które usiadły potulnie w trzech rzędach, a nawet kilku dorosłych, jęknęły jednym głosem.

– I co dalej? – zapytał drżącym głosem najmłodszy ze słuchaczy, przełknąwszy ślinę. – Pirat i dziewczyna zabili się na śmierć?

Stary Efraim zaśmiał się chrapliwie i pogłaskał malca po głowie.

– Cierpliwości, cierpliwości, dziecko – powiedział, mrugnawszy okiem. – Słonko przypieka, sił już brak, gardło wyschło, oj, jak chce się pić.

Mali słuchacze historii Efraima od razu zrozumieli sugestię, zaczęli szperać po kieszeniach, doskonale wiedząc, że nic w nich nie znajdują, dlatego zwrócili główki w stronę stojących obok dorosłych. Jeden z nich, pogrzebawszy w portkach, wyciągnął pięć kopiejek i podał dziecku. A ono nie zwlekając ni chwili, pobiegło szukać sprzedawcy z kwasem chlebowym.

Gruby pręgowany wileński kot rozłożył się wygodnie w rogu placu Ratuszowego i zaspanymi oczami obserwował przejeżdżający wóz ciągnięty przez jednego konia, po czym zapatrzył się na wróble dziobiące niedojedzoną przez niego bułkę. Kocia natura i instynkt zachęcały go, by się ruszył i ukarał zuchwałę wróble, ale ciepłe wiosenne słońce tak przyjemnie i usypiająco głaskało mu futro, że tylko machnął ogonem i cicho zamruczał. Jednak po kilku sekundach zjeżył się, bowiem błogą ciszę przerwał skrzekliwy gwizdek parowego tramwaju, a przed samym nosem przeleciał mu bosy chłopiec. Przestraszone wróble natychmiast wzbiły się w powietrze. Jeden z nich uniósł się ponad plac, zatoczył koło i przysiadł na gzymsie ratuszowego okna na pierwszym piętrze. Dziobem przeczesał sobie piórka, pokręcił łebkiem

i z zadowoleniem zaćwierkał, ogłaszając wszem wobec, że życie mimo wszystko nie jest takie złe.

Za oknem ratusza zebrani w sali dostojni panowie w towarzystwie jednej damy ćwierkali wcale nie gorzej od wróbli.

– Proszę o spokój, spokój, panowie radni! To nie targ – zagrzmiał burmistrz Wilna Witold Wensławski-Wenskus i straciwszy ostatecznie cierpliwość, grubą książką uderzył o stół.

Oburzeni radni od razu ucichli, a burmistrz poczuł się lepiej, odzyskawszy uwagę. W domu za taki wyskok pani Wenskiene[11] pokazałaby mu, gdzie raki zimują, ale na szczęście w ratuszu jej nie było.

– Bez wątpienia pan Buksza, Buksza, nasz... eee... były kolega, zachował się nierozważnie, nierozważnie, lecz... – jąkał się burmistrz. Swoją karierę zaczął od stanowiska wywoływacza w sądzie i do tej pory nie pozbył się denerwującego nawyku, by po kilka razy powtarzać te same słowa.

– Nierozważnie? – prychnęła radna wędrowców Faina Fryzel, w Radzie Wileńskiej odpowiedzialna za Żydów, Tatarów, Karaimów, Węgrów, Francuzów i inne mniejszości, których w wolnym Wilnie było mnóstwo. – Nierozważnie to można nastąpić bosą stopą na gwóźdź, a Buksza przywłaszczył sobie należące do miasta przychody z dwóch folwarków. Poza tym dużą część tych pieniędzy przynieśli moi ludzie. Więc teraz niech Buksza stanie przed katedrą z tabliczką na brzuchu „złodziej”. Bo to szczerza prawda!

Faina była skandalistką, za plecami nazywano ją pustym garem, problemy mniejszości i pozostałych radnych wcale jej nie obchodziły.

Radni popatrzyli po sobie. W Wilnie panował zwyczaj, wedle którego ci, którzy przesadzili z gorzałką, w nocy pokutowali w ciemnicy, a następnego ranka, z okropnym bólem głowy, zawieszali sobie na szyi długą linę z drewnianą tabliczką z napisem „łotr” i pół dnia klęczeli przed kościołem Piotra i Pawła. Wścibscy wilnianie odwiedzali tę świątynię z największą przyjemnością.

– Może nie mieszajmy w to katedry, dobrze? – zaproponował radny ducha, przywódca Rycerzy Katedry, prałat Masalski. Ubrany był na czarno, ogoloną na łyso głowę przykrył fioletową piuską, a z szyi zwisał mu ciężki srebrny krzyż. Od mężczyzny biło takim chłodem, że siedzący obok radny zdrowia, doktor Rymkiewicz, przesunął się ze swoim krzesłem na bok, zostawiając prałata w samotności. – Już dawno mówiłem, czas skończyć z tymi barbarzyńskimi karami na placach przy kościołach. Chcecie, żeby bolało duszę, oddajcie człowieka moim rycerzom. Oni wysłuchają spowiedzi i dadzą

pokutę.

Wszyscy zebrani wiedzieli, że w posępnych podziemiach katedry okrutni rycerze nie tylko słuchają spowiedzi i nakazują zdrowaśki, ale z szacunku do prałata nikt nie powiedział tego na głos.

Radny oświaty i rektor Dominium Uniwersyteckiego Stanisław Gimbutt wyciągnął karafkę i nalał sobie wody do szklanki. Sala, w której przy wielkim okrągłym stole siedzieli urzędnicy, była przestronna i nieprzeładowana meblami, ale z powodu panującego napięcia powoli zaczynało się robić duszno.

– Cokolwiek zrobił z tymi pieniędzmi, Buksza przecież pełnił funkcję radnego, tak jak my – przemówił rektor. – Czyżbyśmy chcieli, żeby imię radnego zostało w mieście obrzucone błotem, a na każdego z nas padł nieprzyjemny cień? Buksza zwróci pieniądze, zrzeknie się stanowiska z powodu... dajmy na to zdrowia. Jest gotów opuścić Wilno i nigdy nie wrócić. Czy potrzeba jeszcze publicznych kar, spowiedzi i sądów? Niech sobie jedzie.

Prałat Masalski prychnął ze złością.

– No... tak to tak, ale... – zająknął się burmistrz Wensławski-Wenskus. – Mimo to nie należy zapominać... nie zapominajmy, że... – Już zaczynał zapuszczać się w długie wywody, w których labiryntie często sam się gubił i przez to mylił słuchaczy, jednak szybko mu przerwano.

– Panowie radni, rozumiem, że sprawy pana Bukszy na pewno was obchodzą, ale dzisiaj zamierzaliśmy omówić troszkę ważniejsze zagadnienie – rzekł siedzący przy stole niewysoki mężczyzna o krzywych zębach.

Gerhard von Otto, miejski radny finansów i oficjalny poseł Rothschildów w Wilnie, wystroił się jak na bal. Mówił bardzo cicho, lecz gdy tylko przemawiał, w sali zawsze zapadała pełna szacunku cisza, jakiej burmistrz Wensławski-Wenskus nigdy się nie doczekał. Nieśpiesznie zmierzył wzrokiem członków rady – gorączkujących się awanturników i resztę neutralnych radnych, którzy pozostali z boku.

– Do Szczytu zostało kilka dni – mówił dalej von Otto. – Większość państw już poinformowała, kto będzie je reprezentował. Niektórzy przybędą naprawdę z daleka. – Ucichł i spróbował się uśmiechnąć. – Zapewne już udają się w podróż, żeby zdążyć na czas, dlatego uważam, że najwyższa pora zapomnieć o intrygach oraz miejscowych skandalikach i postarać się, żeby Wilno przyjęło gości, jak należy.

W spotkaniu na Szczycie – corocznym zjeździe alianckim – uczestniczyli

wysokiej rangi posłowie z różnych państw. Prezentowano wówczas nowe wynalazki, kupowano i sprzedawano technologie, odbywały się licytacje, rozgrywano różnego rodzaju zakulisowe gry. Nastrój rozjaśniały bale maskowe i owiane legendami wieczorki wędrujących arlekinów. Odbywały się wielkie targi, przemarsze, na ulicach grali muzykanci, wystawiano bezpłatne przedstawienia lub pokazywano nowe wynalazki, na przykład ruszające się obrazy. W ostatnią noc alchemicy organizowali święto ognia – puszczali w niebo kolorowe fajerwerki. Niektórzy dostojni panowie na spotkania na Szczycie jeździli wyłącznie dla rozrywek. Co roku powtarzały się zawzięte kłótnie, w którym wolnym mieście odbędzie się to niezwykle ważne wydarzenie. Tym razem zaszczyt ten spotkał Wilno.

Wszyscy obecni na sali cieszyli się z tego wyróżnienia, z wyjątkiem mistrza Rycerzy Katedry, prałata Masalskiego.

– Skoro zdecydowaliście się zamienić miasto w Sodomę i Gomorę, niech będzie – rzekł skrzywiony i kościstym palcem wskazał na burmistrza. – Ale wiedzcie, że grzechy bezbożników i nieochrzczonych spadną wam na głowy. Porządni ludzie w tym czasie będą się modlić w kościołach. Jako ich reprezentant chciałbym wiedzieć, czy w te dni będzie w mieście bezpiecznie. Oto o czym musimy porozmawiać najpierw. Ale radnego porządku, jak widać, takie sprawy nie interesują. Nie ma go między nami. Gdzie on się podział, panie burmistrzu?

Witold Wensławski-Wenskus wzdrygnął się, rozejrzał po sali i wzruszył ramionami.

Gdy posiedzenie się skończyło, radni rozeszli się każdy w swoją stronę. Gerhard von Otto zszedł po szerokich schodach ratusza i zatoczywszy koło, podążył ulicą Jatkową, po czym wszedł w Szpitalną. Na niewielkim skwerku zauważył sporą grupkę ludzi i podszedł do nich bliżej.

Staruszek Efraim, nie zwracając uwagi na otaczającą go niepokojącą się publikę, z przyjemnością zamknął oczy i pił zimny kwas chlebowy. Poczawszy badawcze spojrzenie, rozwarł powieki i skierował wzrok na radnego miejskiego. Ów wystrojony pan skinął staruszkowi i palcem przeciągnął przez elegancko ogolony policzek. Efraim, obszarpany szewc, odpowiedział mu ledwie dostrzegalnym przytaknięciem, a radny odwrócił się i ruszył dalej przed siebie. Gawędziarz opróżnił szklanekę i wytarł rękę.

– Gdzie to ja skończyłem? – spytał.

– Pirat z dziewczyną pod pachą wyskoczył z latającego okrętu – przypomniało mu kilka niecierpliwych głosików.

Wilno,  
po południu  
22.04.1905

Radny porządku, legat wileński Antoni Srebro podczas długiej i pomyślnej kariery legionisty widział wiele trupów. Zastrzelonych, ściętych, zatrutych, zarżniętych, utopionych, uduszonych czy jeszcze w inny sposób wysłanych w zaświaty. Do śmierci niektórych przyczynił się on sam, ale nie wstydził się tego – na tym polegała jego praca. Jednak ciało leżące na Cmentarzu Cholery, na skraju dołu, przy którym na klęczkach czuwał ekspert medycyny doktor Radziński ubrany w nie pierwszej czystości kitel, wywarło na legacie spore wrażenie.

Radziński wstał, stękając, i zaczął czyścić ubrudzone ziemią kolana.

– Robota jakiegoś nowicjusza – westchnął i odwrócił się do Srebra. – Rana jest brudna, cięcie nierówne, krawędzie poszarpane. Wygląda na to, że morderca nie bardzo wiedział, ile powinien przycisnąć. Ale narzędzie miał wspaniałe, nóż naostrzony jak ta lala! Może nawet skalpel, dlatego krew tak ładnie wypłynęła. – W głosie eksperta zabrzmiała nutka pochwały. – Jeśli ktoś by mnie zapytał, powiedziałbym, że to robota jednego z naszych, znaczy medyka.

– Medyka? – zdziwił się Srebro.

– Skalpele w Wilnie nie walają się po ziemi. – Radziński nadgarstkiem przetarł czoło. – Ale ręki bym sobie uciąć nie dał, wasza dostojność. Bardzo kiepski by to musiał być medyk, skoro zadał taką ranę, a nie ją łatał.

– Wciśnijcie sobie swoją dostojność, gdzie słońce nie dochodzi – wymruczał z niezadowoleniem Srebro. – Nie raz mówiłem, dostojnościami nazywajcie szefów policji, którzy przez swój brzuch nie widzą butów. A ja jakoś się obejdę bez tytułów.

Srebro burczał tylko ot tak, jego myśli były zajęte zupełnie czym innym – wędrował wzrokiem po miejscu zbrodni, po butwiejących powykrzywianych krzyżach.

„Śladów walki nie widać, gardło podcięte, okrutna zbrodnia, niecodzienna. Dobrze, że chociaż miejsce morderca wybrał na uboczu”, myślał ponuro. Gdy

Legion Wileński zabrał się za pilnowanie porządku w mieście, liczba morderstw wyraźnie zmalała, a ponieważ zbliżał się Szczyt, ważne wydarzenie w Aliansie, takiego skandalu legat potrzebował najmniej.

– Trafił się twardy orzech do zgryzienia – powiedział gruby przystaw w mundurowej marynarce.

Gdy powstał Alians, nowi przywódcy wolnych miast szybko pojęli, że z otyłych, pazernych, rozumiejących tylko głupią musztrę szefów policji i przystawów – pozostałości po carskiej Rosji – pożytek jest niewielki, dlatego rok później ulice zaczęli patrolować legionieści. Byli to najemnicy, których do pracy przygotowywali najlepsi instruktorzy armii brytyjskich i amerykańskich. Alians wypłacał legionistom zadowalające wynagrodzenia, a wymagań stawiał niewiele: czyste główne ulice i czyste sumienie. Wypchnięci ze stanowisk starzy szefowie policji i przystawowie stali się drugorzędnymi strażnikami, zajmowali się niemającymi znaczenia zakurzonymi sprawami i byli stale niezadowoleni, bo nie mogli dodatkowo zarobić nawet nędznego półrubla. Na legionistów patrzyli jak na strupy na skórze, ale niczego nie mogli zmienić. Ponieważ nie umieli wykonywać innej pracy, zacisnęli zęby i pogodzili się z poniżeniem. Za to z całego serca cieszyli się z każdego niepowodzenia legionistów.

Legat wileński Antoni Srebro pogardliwie spojrzął na przystawę, ale brzuchacz miał rację – trafił im się naprawdę twardy orzech do zgryzienia.

– Czy można już ładować? – zapytał doktor Radziński.

– Tak. – Legat skinął i zaczął obserwować, jak pomocnicy medyka owijają ciało zmarłego w czarne prześcieradło.

Niedługo potem trupa zapakowano do karetki ciągniętej przez dwa konie. Nowa technologia parowa jeszcze nie dotarła do wileńskich szpitali. Radziński trzasnął drzwiami powozu, pomachał do Srebra na pożegnanie i karetka potoczyła się w stronę centrum. Prystaw z Pohulanki również zniknął, nawet się nie pożegnawszy, i Srebro został sam. Stał dokładnie tam, gdzie dopiero co leżał denat, i zaczął się rozglądać. Wiedział, że pod wieczór dostanie dokładny raport odnośnie do nieboszczyka, ponieważ doktor Radziński, najemnik taki sam jak legionieści, pracował bardzo dokładnie i odpowiedzialnie.

„Zwłoki nierozpoznane, w kieszeniach nie znaleziono dokumentów, właściwie niczego nie znaleziono”, rozmyślał Srebro. „Nieszczęśnik zmierzał z Bied. No tak, im mniej się tam kręcisz, tym lepiej dla ciebie”.

Antoni Srebro wbił wzrok w pagórek obrośnięty gęstymi krzakami.

– Khe, khe, powodzenia i zdrowia, panie srebrny – zaskrzypiał mu za plecami jakiś głos.

Legat z zaskoczenia aż się wzdrygnął, ale zaraz się uśmiechnął. Prawdę mówiąc, już się zastanawiał, czy nie byłoby warto odwiedzić tej wszędobylskiej, wszystkowiedzącej i wszystkosłyszającej istoty, jednak ta okazała się szybsza i przywlekała się do niego pierwsza.

Srebro odwrócił się i skinął z powściągliwością.

– I tobie dobrego dnia, Rózo.

Róża Blanik niegdyś była jedną z najbardziej pożądaných wileńskich piękności. Nie tylko wileńscy, ale wszelacy młodzieńcy z północnego zachodu kraju marzyli o tym diamencie. Tymczasem Róża kwitła – uczestniczyła w modnych zabawach towarzyskich, flirtowała, mrugała oczkami, słuchała świergotania o miłości z uśmiechem wymalowanym na twarzy, ale wszystko puszczała mimo uszu i nawet bratanek Marcina Straussa, byłego przewodniczącego Wilna, nic nie wskórał. Jednakże pewnego dnia w mieście pojawił się młody architekt, Bernard Schultz, i trafiła kosa na kamień. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ci dwoje zrozumieli, że są sobie przeznaczeni. Namiętny romans skończył się weselem. Architekt Schultz był prawdziwym dzieckiem szczęścia: w Dominium Uniwersyteckim stał się jednym z najmłodszych profesorów, jego usług oczekiwali najbogatsi kupcy i dostojnicy, a gdy wracał do domu, czekała na niego piękność – żona Róża. Gdy Wilno miał odwiedzić car Aleksander II, to właśnie Bernardowi Schultzowi zostało powierzone skonstruowanie ślicznej altanki i postawienie jej w Lasku Łukiskim, niedaleko Pałacu na Zakręcie, na brzegu rzeki. Mieli w niej obiadować najważniejsi goście miasta. Oczywiście zaproszenie otrzymał też architekt z żoną Różą. Teraz już nikt nie pamiętał, jakież to błąd popełnił, ale gdy goście spożywali posiłek w altance, nagle zerwały się dwie kolumny pomocnicze podtrzymujące brezentowy dach, a na zebranych pod nim ludzi zważyło się ciężkie płótno. Wybuchła panika, próbujące wydostać się spod brezentu osoby zaczęły po sobie deptać. Ratownicy znaleźli piękną Różę stratowaną, ledwo żywą, leżącą w rogu altanki, a Bernard Schultz przepadł jak kamień w wodę. Mężczyzny szukano długo i rzetelnie, dopiero po tygodniu ktoś znalazł w Wilii jego kapelusz, który ugrzązł w zaroślach rzeki. Najlepsi wileńscy lekarze przez kilka dni walczyli o życie Róży. Jeszcze w szpitalu kobieta dowiedziała się, że jej mąż zaginął. Zamartwiała się tak bardzo, że ze szpitala wyszła nie tylko ze złamanym sercem, ale i pomieszanym rozumem. Od tamtej pory codziennie szukała swojego Bernarda. Na ulicy



zawsze pokazywała się wystrojona, z mocnym makijażem. Jej powierzchowność wzbudzała współczucie nawet w zatwardziałych sercach. Sam król wileńskich zbrodniarzy, Maciej Lewy, surowo zakazał komukolwiek tknąć ją palcem. Włóczyła się więc po Biedach – wszystko widząc, wszystko słysząc, żebrząc o kopiejki, życząc powodzenia i zdrowia, a tych, co ją odepchnęli, zranili czy pożałowali jej jałmużny, według plotek traktowała złowróbnym spojrzeniem.

Srebro usłyszał o Róży z Bied zaraz po przybyciu do Wilna. Gdy spotkał ją po raz pierwszy, nie pożałował oddanych jej trzech rubli. Nie zapominał o kobiecie, dlatego Róża, która nie znosiła poprzednich strażników porządku, legatowi okazywała życzliwość.

Patrząc gdzieś na bok, przydreptała do Srebra. Miała na sobie jaskrawą, żółtą sukienkę, na wierzchu zapięła trochę krótszą, czerwoną, wzorzystą spódnicę, na plecy zarzuciła zieloną połatana marynarkę, a na głowę zatknęła czarny, przetarty, bogato zdobiony koralikami kapelusz. Twarz pokryła grubą warstwą pudru, na policzki nałożyła róż, dlatego bardzo trudno było odgadnąć jej wiek choćby w przybliżeniu. W ręce trzymała obszarpany, niegdyś biały parasol, na którym podpierała się jak na lasce.

– To najprawdziwsze nieszczęście – zaskrzeczała, parasolem pokazując dokładnie miejsce, gdzie wcześniej leżały zwłoki. – Był taki silny, miał w sobie tyle życia. Mógł jeszcze żyć a żyć, dlaczego więc nas opuścił?

Kobieta uniosła głowę i wbiła wzrok w legata. Gdy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna nie po raz pierwszy zwątpił, czy aby na pewno jest poczytalna. Srebro mógłby przysiąc, że w głębi serca Róża się uśmiecha, a w jej oczach zabłysnęła radość z cudzego nieszczęścia.

– Rózo – rzekł, patrząc na staruszkę – czy wiesz, co tu się stało?

– Skąd mam wiedzieć, sokole srebrzysty – zaśpiewała Róża. – Wszędzie dookoła tylko cmentarz. Proszę, tylko ci nieboszczycy wiedzą.

– Rózo, nie wykręcaj się – przerwał jej legat. – Przecież wiesz, że tutaj został zabity człowiek. Ty wiesz wszystko – dodał. – Może na przykład kto to taki?

Róża w końcu wywróciła oczami i Srebro odetchnął z ulgą – nawet jemu nie było łatwo wytrzymać jej spojrzenie.

– Skąd mam wiedzieć, świergotku? Kim dla mnie był ten pan? Ni rodziną przecież, ni przyjacielem. A i zajęty był. Mnie, starej, kopiejki pożałował. – Umilkła i teraz już z przebiegłością patrzyła na swego rozmówcę.

Legat wyciągnął z kieszeni metalowego półrubla i milcząc, wręczył go

Róży.

– A dziękuję, gołąbku srebrzysty, otucho moja, blasku mych oczu. – Kobieta znów zaśpiewała, a pieniądz zniknął w kieszonce szerokiej, wzorzystej spódnicy. Nagle Róża z Bied się zmieniła. Machnęła do Srebra, by ten się pochylił. – Nie znam go – wyszeptwała. – Chyba nie był częstym gościem na Biedach. I ci twoi też niczego nie znajdują. Przyszedł wczoraj do Puchacza, wystraszył Icka, tego padalca z burdelu na Tatarskiej, potem spotkał się z jakimś grubaskiem. Widziałam go, cały spocony, oddawał się złu. Wyleciał z gospody i zaczął wołać krętaczy, żeby go odprowadzili do domu. A ten nieszczęśnik poszedł na cmentarz.

– I co potem? – wypytywał Srebro.

Róża z Bied rozłożyła ręce.

– Nie wiem, gołąbku. Dla mnie jest zbyt strasznie na Cmentarzu Cholery nocą. Dobrzy ludzie tutaj nie chodzą. I teraz przyszedłam tylko po to, żeby ci, srebrniutki, pomóc. I pomogłam, prawda? – Kobieta uśmiechnęła się szeroko, pokazując kilka metalowych zębów, między którymi ziały ciemne przerwy.

– Pomogłaś, pomogłaś – wymamrotał legat bez złości, z kieszeni wyciągając jeszcze jednego półrubla. – Powiedz, gdzie tego Icka mógłbym znaleźć.

– Obejdź wieczorem dom pobłażliwości na Tatarskiej, aniołku – rzekła Róża z odrobiną złośliwości, Icek był jej znienawidzonym wrogiem. Zachłannie chwyciła wręczaną jej monetę. – No, powodzenia i zdrowia ci życzę, sokole srebrzysty.

– Pilnuj się, Rózo – odpowiedział legat.

Gdy kobieta się oddaliła, z zadowoleniem potarł ręce. Żaden ze zwerbowanych przez niego biedowskich informatorów nie dowie się nawet połowy z tego, co właśnie powiedziała mu Róża. A powiedziała wiele.

„Więc dwaj niemiejscowi postanowili się spotkać na Biedach. Ciekawe czemu?” Srebro w myślach zaczął łączyć wątki. „Na pewno nie po to, by się napić piwa. Zamordowany przestrasza miejscowego raptusa. To też jest dziwne. I ostatecznie trafia tu, na Cmentarz Cholery. Ktoś mu podcina gardło, co czyni nieprofesjonalnie, ale używając profesjonalnego narzędzia. To też niezwykle”.

Srebro widział oczami wyobraźni długi, kręty i ciemny tunel dochodzenia zakończony ślepym zaułkiem. Przekáže śledztwo przystawom, a może się pożegnać z prawdą. Taki przyciągnie jakiegoś biedaka z Czerni, pobije go do utraty przytomności i ten się przyzna. „Dlaczego podciąłeś gardło? Byłem

pijany. Dlaczego skalpelem? A co to jest skalpel?” To znaczy, że dochodzeniem musi się zająć osobiście. Tym bardziej, że gdy informacja o trupie z podciętym gardłem znalezionym obok dołu na cmentarzu się rozprzestrzeni, w Radzie zaraz podniesie się straszny hałas. A jeśli w Wilnie pojawił się maniakałny morderca, to lepiej, żeby zastąpił mu drogę nie jakiś niedoświadczony świniopas, tylko sam Antoni Srebro.

Legat zerknął na zegarek kieszonkowy. Było już po południu, na Biedach równało się to wczesnemu rankowi. Czas na niespodziewane wizyty.

„Najmądrzej byłoby wrócić na Pohulankę do Białych Słupów i wezwać na pomoc stróżujących tam legionistów”, rozważał legat. Szefowie policji, przystawowie i poprzedni wileński radny porządku tak by zrobili. Oni na Biedach pojawiali się tylko przyciśnięci przez konieczność i to z bogatą obstawą. Jednak Srebro przyzwyczał się już do chodzenia w pojedynkę po tej dzielnicy, dlatego teraz postanowił udać się tam prosto przez Cmentarz Cholery. Może po drodze zauważy jakąś drobnostkę, która pomoże w dochodzeniu.

Przed kilkoma laty starzy mieszkańcy Bied niezwykle się zdziwili, gdy pewnego dnia na ich włości wtargnął samotny, postawny legat. Kilku gwałtownych rzezimieszków postanowiło dać mu nauczkę i go obrabować, jednak ta konfrontacja zakończyła się przykrą porażką miejscowych, która zaowocowała jednym złamaniem ręki, dwoma rozkwaszonymi nosami i mnóstwem różnokolorowych siniaków. A legat dalej, jak gdyby nigdy nic, przychodził na Biedy, rozglądał się i nasłuchiwał, ale z gwizdka nie korzystał, porządku nie zaprowadzał, właściwie niczym się nie zajmował. Po prostu łąził i tyle. Mieszkańcy Bied powoli do niego przywykli – do pierwszego strażnika porządku od wielu lat. Krążyły nawet plotki, jakoby ktoś widział legata przy kuflu piwa rozmawiającego z samym królem zbrodniarzy, Maciejem Lewym. Jednak plotki pozostały tylko plotkami.

Przechadzka przez Cmentarz Cholery okazała się daremna. By przeszukać wszystkie pagórki, groby i groty, trzeba by zwołać niewielką armię. A nie mając do tego pojęcia, czego należy szukać, łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana niż jakąś poszlakę wśród mogił tej nekropolii. Legat jednak wiele się nie spodziewał, dlatego dziarsko wkroczył na Biedy. Drogę znał doskonale, wkrótce znalazł się przy gospodarze Żelazny Puchacz.

W świetle dnia Puchacz wyglądał byle jak: drewniane ściany budynku były powykrzywiane i pokryte zielonkawą pleśnią, a okna, zasłonięte kozuchem brudu, stawały się odrobinę czystsze tylko wtedy, gdy obmył je deszcz. Nawet

puchacz na szyldzie wyglądał na brudnego i zmęczonego – jakoś inaczej niż nocą. Dookoła roznosił się straszny smród. Ślady po piwie wypitym przez wczorajszych gości znajdowały się w każdym kącie gospody. Nawet głuchy i ślepy niemowa z łatwością znalazłby Puchacza. Wystarczało do tego sam węch. Właściciel gospody, niejaki Marijoszius, starał się tłumaczyć gościom, że nie wolno sikać przy budynku, że lepiej to robić w najbliższym zaułku, ale dla pijaczynów przyciśniętych potrzebą te kilkanaście sążni stawało się nie do pokonania.

Srebro pchnął drzwi gospody i wszedł do środka. Jak zawsze w zwykły dzień Puchacz był prawie pusty, tylko kilku przemęczonych nocną hulanką stałych bywalców zostało aż do teraz, rozwalili się na drewnianych ławkach na końcu wielkiej sali i drzemali. Na takich nikt tutaj nie zwracał już uwagi, budzili się na wieczór, dochodzili do siebie i znów celebrowali niekończące się święto życia. W pewnym sensie Żelazny Puchacz pełnił rolę noclegowni.

Przy dwóch stołach sączyło piwa kilku czekających wieczoru ulicznych handlarzy i migający się od pracy robotnicy. Karczmarz Marijoszius siedział na beczce za ladą i ziewając, przeglądał pogniecioną „Wileńską Prawdę”. Co rusz podnosił znad niej wzrok i zerkał na chłopaka starannie szorującego utyłaną podłogę. Zobaczywszy, kto wszedł do jego gospody, skrzywił się, ale odłożył gazetę na bok. Legat podszedł do baru i runął na krzesło.

– Ja mogę wszystko wyjaśnić, wasza dostojność. – Karczmarz w mgnieniu oka znalazł się obok radnego. – Oni sami są winni, to oni zaczęli tę rzeź. Wszyscy wiedzą, że u mnie zbierają się tylko porządni ludzie. Ale obcych nikt tutaj nie lubi. Skoro się tutaj pchają, to sami są sobie winni, co ja mogę zrobić, jeśli... – Marijoszius zamilkł na chwilę. – Ale wy tutaj chyba nie z powodu wczorajszej masakry, wasza dostojność, czyż nie?

Srebro zerknął krzywo na chłopca szorującego podłogę. Nawet w najczystszym miejscu dało się dostrzec pozostałe na podłodze ślady krwi.

– W twojej gospodzie zjawił się wczoraj pewien człowiek – przemówił legat. – Trochę starszy, ale nieźle wyglądający. Nosił byle jakie ubrania. Z kimś się spotkał. Rozmawiali. Opowiedz mi o nim. – Srebro nawet nie spytał, czy karczmarz cokolwiek sobie przypomina. Dobrze wiedział, że jego uwadze rzadko coś umykało.

Upewniwszy się, że legata nie interesuje nocne mordobicie, karczmarz odetchnął z ulgą. Nawet zrobił się trochę weselszy. Pochylił się do gościa, a ten poczuł od gospodarza nieprzyjemny odór cebuli i skwarków.

– Ludzie mówią, że legionieści płacą całkiem nieźle za przekazane im

informacje.

Srebro ciężko westchnął. Stale powtarzał radnemu finansów i rozdzielającemu w Wilnie pieniądze Rothschildów Gerhardowi von Otto, że hasło „Wy nas nie przekupicie, to my przekupimy was” ma, jak każdy kij, dwa końce. Nie raz to powtarzał, ale rzucał grochem o ścianę – nikt go nie słuchał. I oto rezultat.

Ręka legata nagle wystrzeliła w górę, chwyciła karczmarza za potargane włosy. Karczmarz boleśnie uderzył głową o stół, po czym legat przyciągnął go do siebie.

– Ludzie mówią, że boli jeszcze bardziej, gdy się uderzy nosem – wykrztusił przez zęby. – Jak myślisz, czy można wierzyć we wszystko, co ludzie mówią?

– Nie wiem, nie wiem – zapiszczał Marijoszius. – Ludzie gadają byle co, mają rozwiązłe języki. Ja w takie bzdury nie wierzę, wasza dostojność. Pomogę, jak mogę.

– Mężczyzna. Podstarzały. Poszarpane ubrania – przypomniał Srebro, puszczając karczmarza. – No, wykładaj.

Marijoszius przełknął ślinę i przytaknął.

– Był jeden taki wczoraj. Przyszedł pod wieczór. Icek Lupeta zaczął do niego startować, ale później wszystkim wyjaśniał, że to rzekomo jego kumpel. – Z tonu karczmarza dało się wyczuć, że sam nie bardzo w to wierzył. – Postawił Ickowi piwo, potem usiedli w głębi sali, o tam... – Marijoszius machnął ręką. – Niedługo potem Icek się zmył, a przyszedł jakiś grubas i obaj przez jakiś czas mełli ozorami. Grubasek podał temu drugiemu jakieś papiery, tamten je przejrzał i wcisnął za pazuchę.

– Co ty pleciesz? Jakie papiery?

– Nie wiem, wasza dostojność. – Karczmarz zaczął się bronić. – Nie dojrzałem. Ludzi w Puchaczu opanował istny diabeł, ledwo nadażalem nalewać piwa. Gdyby nie Icek, w ogóle nie zwróciłbym uwagi na tego koleśia, różni obcy do nas zachodzą, w końcu jesteśmy bardzo popularni. – Rzecz jasna przemilczał, że zazwyczaj tych obcych stali bywalcy wyganiają precz bez dania racji.

– Spróbuj sobie przypomnieć – poprosił Srebro. – Jakie to były papiery? Listy, dokumenty, pocztówki?

Karczmarz pokręcił głową.

– Nie, nie pocztówki. Większe, poskładane. Naprawdę nie widziałem – zamruczał.

Legat przytaknął.

– No dobra. Co było potem?

– Potem... Potem ten koleś przejrzał papiery i podał grubaskowi sakiewkę. Naprawdę nie widziałem, co to za sakiewka – natychmiast zapewnił Marijoszius, uprzedzając pytanie legata. – Potem grubasek przyszedł do mnie. „Wezwij jakiegoś krętacza, żeby mnie odprowadził do wozu, pomóż znaleźć jakiego ochotnika”, powiedział i wcisnął mi rubla.

Okazało się, że karczmarz wszystko dokładnie zapamiętał, i już wiadomo dlaczego.

– Jeśli posłałeś go do swoich bandytów... – groźnie warknął Srebro, ale Marijoszius energicznie pokręcił głową.

– Co wy, co wy, dostojny panie, jakich bandytów? Ani mi to przyszło na myśl. Poza tym tutaj się istna rzeź zaczęła, więc i tak bym nie zdążył... – Karczmarz nagle się zamknął. Legat uśmiechnął się krzywo, ale na szczęście dla Marijosziusa nic nie powiedział. – Bracia Węgrzy zawsze się kręcą po okolicy, często odprowadzają jakiegoś tchórza do domu. I tego grubaska też bezpiecznie odprowadzili.

Srebro wyprostował się, rozsiadł na krześle i zamyślił. Przy zamordowanym nie znaleziono żadnych dokumentów, zatem ktoś je zabrał. Czy to możliwe, że zabito go tylko ze względu na te papiery? Być może. Tylko po co zabijać w taki dziwny sposób? Biedowscy odważniacy nie lubili patrzeć ofiarom w oczy, dlatego do tej pory raczej wbijali nóż w plecy. I dlaczego napastnik zostawił zwłoki na widoku, gdy na Cmentarzu Cholery jest pełno otwartych grobów i dziur? Wystarczy zawlec tam ciało i nawet pies nie szczeknie. Co to za papiery, że specjalnie dla nich trzeba się pchać aż na Biedy, ryzykując utratą głowy lub przynajmniej portfela? Czy to podrobione dokumenty? Kompromitujące listy? Pisma dłużnicze? A jeśli to coś poważniejszego? A jeśli morderstwo nie ma nic wspólnego z tymi dokumentami? W takim razie kto i po co je zabrał?

Srebro dowiedział się w Puchaczu całkiem sporo, ale w dochodzeniu nie posunął się do przodu ani o milimetr. Wciąż nie znał nawet imienia ofiary.

– Czy jeszcze czegoś potrzeba, wasza dostojność? – spytał ostrożnie karczmarz.

Legat uniósł rękę, wstał i bez pożegnania skierował się w stronę drzwi. Nie wypowiedział nawet tradycyjnego „Jeśli jeszcze coś sobie przypomnisz...”. Nie było sensu, mieszkańcy Bied dobrowolnie nigdy sobie niczego nie przypominali.

Oddaliwszy się od Puchacza o kilkadziesiąt sążni, nagle się zatrzymał. Za

dnia ulice były tu puste, dało się zauważyć najwyżej jednego, dwóch przechodniów, a i ci unikali rosnącego mężczyzny z oznaczeniem legionisty na piersi i z ciężką pałką u boku. Rozważywszy kilka opcji, ruszył dalej labiryntem biedowskich uliczek. Po kilku zakrętach usłyszał hałas i podążył w jego stronę. Jego uszu dobiegały nieczęste na Biedach odgłosy – dźwięk odbijanej piłki, śmiech dzieci, a gdy podszedł bliżej, dosłyszał i krzyki w stylu: „On pierwszy zaczął!”.

Srebro znalazł się obok murowanego domu otoczonego wysokim kamiennym ogrodzeniem z ostrymi metalowymi igłami na górze. Jedyne drzwi w murze sierocińca założonego przez Kongregację Sióstr Miłosierdzia wykonano z mocnego drzewa i okuto metalem – odparłyby nawet cios rozpedzonego byka. Srebro chwycił za kołatkę i kilka razy zastukał, mając nadzieję, że przebije się przez głośny krzyk dzieci wydobywający się zza bramy. Czekał kilka chwil, nim otworzyło się okienko w drzwiach. Za nim przemknęła twarz i zasuwą znów się zamknęła, ale dało się słyszeć skrzypienie zawiasów. Gdy drzwi się otworzyły, Antoni zobaczył starą zakonnice w brązowym habicie, białym czepcu i o cerze pomarszczonej jak pieczone jabłko.

– Panie Antoni, miło was widzieć. – Na twarzy zakownicy zabłysnął szczery uśmiech.

– Mnie również przyjemnie, siostró Magdaleno. – Legat ukłonił się wytwornie. – Czy mogę zajść? Czy zastałem Małgorzatę?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała zakonnica. – Jest w ogrodzie. Zaprowadzę was.

– Dziękuję, nie trzeba, siostró – powstrzymał ją Srebro. – To nie pierwszy raz, nie zgubię się.

Zakonnica odsunęła się, wpuszczając legata do budynku sierocińca. Urzędnik znalazł się w długim ciemnym korytarzu z mnóstwem drzwi po obu stronach i z łukiem na jego dalekim końcu. Drzwi z ręcznikiem za nim zamknięto. Srebro ruszył w stronę ogrodu i źródła hałasu. Łuk był tak niski, że przechodząc pod nim, musiał się schylić. Ledwo znalazł się na przestronnym podwórku, został zauważony przez zgraję wychowanków sierocińca.

– Legat, legat! – Kilkanaścioro dzieci w różnym wieku, dotąd biegających po podwórku lub siedzących na huśtawkach, podbiegło do radnego.

Mimo troskliwości sióstr głównym opiekunem biedowskich dzieci była ulica. Często nie doczekiwały nawet dziesięciu lat, nim zostawały uznane za dojrzałych mieszkańców Bied i zaczynały zbierać kopiejki, pomagać starszym bandytom, a nieco podrosnąwszy, w najlepszym wypadku stawały się

krętaczami lub dołączały do którejś zgrai i marzyły o trafieniu pod opiekę Macieja Lewego. Nauka i uczciwa praca biedowskie dzieci raczej mało obchodziła.

Przed kilkoma laty Wilnem wstrząsnęła przejmująca sprawa „Aniołków fabrykantek” – na Nowym Świecie i na Biedach w ciągu roku przy drogach znaleziono dwadzieścia pięć zamarznętych, uduszonych lub zabitych ciosem w głowę noworodków. Po długim dochodzeniu legioniści wyjaśnili, że niezamężne dziewczyny – służące, ptaszki z domów pobłażliwości czy po prostu mieszkanki Bied – opiekę nad niemowlęciem powierzały trzem, jak je nazywały, dobrodziejkom. Za ich usługi płaciły wedle swoich możliwości. Jednakże owe dobrodziejki ani myślały zajmować się niemowlęciem, a tym bardziej je adoptować, jak sugerowały niektóre matki. Brały pieniądze, a dzieciaka się pozbywały. Podniosła się wielka wrzawa. Rada miejska napędce otworzyła na Biedach sierociniec, który oddała w opiekę Kongregacji Sióstr Miłosierdzia, i to tutaj ulokowano dzieci z ulicy, tutaj przybywały niechciane niemowlęta. Niestety w tym miejscu dobra wola urzędników się kończyła – pieniędzy na sierociniec przeznaczano tyle, co kot napłakał, a prałat Masalski wysłał tu stare zakonnice, które dotąd bezużytecznie przesiadywały w szpitalach. Mieszkańcy Bied nieszczególnie cieszyli się z tej instytucji, którą nazwali przytułkiem, i nawet grozili, że puszczą czerwonego kura. Krótko mówiąc, było to ciemne i ponure przytulisko, przeznaczone bardziej dla dogorywających staruszek niż dla dzieci. Na miłosierdzie nie starczyło miejsca.

Pierwszym aniołem stróżem przytułku stała się Małgorzata Berg, niezamężna, dobiegająca trzydziestki córka dość bogatego kupca. Gdy odwiedziła sierociniec i zobaczyła, w jak żalosnym jest stanie, zapaliła się, by ulżyć części rezydentek tej instytucji. Uprosiła Radę Wileńską o pozwolenie na pracę w sierocińcu jako wolontariuszka, a prałat Masalski z przyjemnością się na to zgodził. Wtedy kobieta przekonała swojego ojca, by wspomógł sierociniec finansowo. Kupiec Berg okazał się hojny, a Małgorzata gorliwie zabrała się do pracy. Wkrótce zniknęły stąd ciemne i wilgotne karcery, w których za najmniejsze przewinienie zamykano dzieci, zaprzestano trwającego godzinami odmawiania pacierza, zamiast płynnej szarej polewki i kromki suchego chleba na śniadanie i kolację dzieci dostawały zupę, mleko, kaszę, mięso i bułeczki. Małgorzata wzywała nauczycieli, by ci nie tylko kształcili uliczne bękarty, ale też by uczyli je dyscypliny. Odtąd, gdy dziecko coś przeskrobało, nie kazano mu klęczeć przez kilka godzin, tylko wrzucić



trzydzieści kamieni do wysoko zawieszzonego wora po ziemniakach.

Dzieciom zaczęło się podobać w przytułku. Za dnia często uciekały na Biedy, ale wieczorem wracały i przyprowadzały ze sobą nowych wychowanków. Jednak mieszkańcy Bied, którzy stracili młodych rekrutów, nie przyjęli tego stanu rzeczy z zadowoleniem. Z ich ust Małgorzata wysłuchiwała niejednej groźby. Lecz uparta dziewczyna tylko kręciła głową i robiła swoje. Mało tego, nocami chadzała po ulicach Bied i szukała zagubionych dziecięcych dusz.

Bandyci już się szykowali, by przejść od słów do czynów, ale niespodziewanie znalazł się drugi anioł stróż – nowy legat wileński Antoni Srebro. Gdy zaczął pełnić swoje obowiązki, nie tylko odwiedził przytułek, gdzie poznał się z Małgorzatą Berg, ale i wszystkim legionistom nakazał z miesięcznego wynagrodzenia przeznaczyć po jednym rublu na sierociniec. Podkomendnym wydawało się to do przyjęcia, ponieważ wielu z nich dorastało w podobnych instytucjach. Poza tym legat zdołał przekonać miejskiego radnego finansów i przedstawiciela Rothschildów – Gerharda von Otto, żeby opodatkować organizatorów rozrywek publicznych oraz domy pobłażliwości, a uzyskane w ten sposób fundusze przeznaczono na sierocińce, między innymi przytułek na Biedach. Karczmarze i właściciele domów pobłażliwości zamierzali wywołać zamieszki, ale niespodziewanie po stronie legata stanął radny ducha, prałat Masalski, i zagroził, że przy każdej gospodzie i przy każdym domu pobłażliwości postawi po zakonniku, żeby rejestrował przychodzących tu katolików, których nazwiska zostaną odczytane podczas mszy. Solidarność prałata Masalskiego z legionistami wprawiła w osłupienie burmistrza i mieszczan, gdyż Rycerze Katedry i Legion Wileński pozostawali przez długie lata wrogami, niezgadającymi się prawie we wszystkim.

Biedowskim rzeźmieszkom legionieści powiedzieli jasno: za każdym razem, gdy zagrożą Małgorzacie Berg, spróbują podpalić przytułek, obrobić go czy w inny sposób mu zagrozić, z pewnością zostaną znaleźni, a potem powieszni za jaja na słupie. Kropkę na końcu tej sprawy postawił długo milczący przywódca zbrodniarzy Maciej Lewy, który ogłosił przytułek i jego dzieci nietykalnymi.

Za każdym razem, gdy Srebro trafiał na Biedy, starał się wpaść choć na chwilę do sierocińca – sprawdzał, jak się mają dzieci, przynosił im upominki, starszym chłopcom pokazywał chwytty ze wschodnich sztuk walki. Dzieci wprost ubóstwiały legata. A pocztą pantoflową niosła się wieść, że przyciągał go tu jeszcze jeden bardzo silny magnes – Małgorzata Berg, panna,

sympatyczna dziewczyna, która nie złożyła świętych ślubów.

Dzieci natychmiast otoczyły legata.

– Zobaczcie, zobaczcie, co nam przyniósł Olmeris! – Olmeris, jeden z młodszych legionistów, niewiele starszy od najroślejszych rezydentów sierocińca, również był podrzutkiem. – Piłkę, piłkę! Prawdziwą piłkę! Ze skóry!

Legat wziął wciśnięty mu do ręki skórzany przedmiot, z miną znawcy pokiwał głową i kopnął piłkę w powietrze. Poleciała wysoko, prawie ponad dach przytułku, i chłopcy, trajkocząc, polecili ją łapać.

Srebro rozejrzał się wokół, szukając Małgorzaty. Ujrzał ją pod wielką jabłonią, która jakimś cudem przetrwała na podwórzu. Siedziała przy stole zawalonym książkami i bardzo skupiona, pisała coś w zeszycie. Wrzawa na podwórzu w ogóle jej nie przeszkadzała.

– Łączycie koniec z końcem? – zapytał Srebro, podszedłszy do niej.

Małgorzata uniosła głowę, odgarnęła z czoła jasne włosy i mężczyzna zatonął w jej błękitnych oczach. Serce Antoniego zaczęło bić szybciej.

– Póki co łączymy. – Dziewczyna westchnęła, zamknęła książkę i wstała. – Ale jeśli dalej tak będzie, nie wiadomo, jak przeżyjemy. – Spojrzała na mężczyznę. – Antoni, co się dzieje z tymi ludźmi? Nikt już nie chce wychowywać dzieci. Ciągłe nam przynoszą kolejne noworodki. A to stracili pracę, a to nie są w stanie wyżywić, a to mają za dużo obowiązków i brakuje im czasu, by się nimi zająć, a to wyjeżdżają do Ameryki, by szukać szczęścia. Na dodatek chłopcy wieczorami przyprowadzają za rękę coraz to nowe piszczałki znalezione na ulicy. – Małgorzata pokręciła głową. – Czasami wydaje mi się, że wpadliśmy jak z deszczu pod rynną. Ludzie ciągną w nasze strony niczym do rajów, a co znajdują? Biedę, bezrobocie, rozpacz. I maszyny, wszędzie maszyny... Niedługo w ogóle nie będziemy potrzebni, wszystko będą robić automaty. Nawet dzieci wychowywać.

Srebro milczał. Cóż mógł powiedzieć – sam widział, że Wilno przepełniają imigranci szukający tu szczęścia.

– Wszędzie jest niespokojnie. Rosja też się wierci – odezwał się wreszcie.

– Rosja jest wielka i powolna, Antoni. – Małgorzata zaczęła chodzić w tę i z powrotem. – Zanim w Rosji iskra obróci się w płomień, minie dziesięć lat, albo i więcej. A u nas? Ile czasu potrzeba, żeby na naszą beczkę prochu spadła iskra? Rok? Pół? Miesiąc? Przecież słyszę, co mówią ludzie. Nie na Antokolu, dookoła ratusza czy na Paromieściu, gdzie rządzi się Wilejszys, tylko tu, na Biedach. Tak samo na Popławach, Czerniach, Nowym Świecie. Wszyscy są

niezadowoleni, narzekają na życie. Czyż nie ludzie tam mieszkają? Nie wilnianie? Gdy wstąpiliśmy do Aliansu, dostaliśmy wolność. Tylko co z tej wolności, skoro dzieciom nie ma za co kupić mleka?

– Małgorzato... – zaczął Srebro. Poczł się, jakby został wciągnięty w wir wodny, nie wiedział, jak powinien się zachować. – W Wilnie naprawdę nie jest tak źle jak... – próbował tłumaczyć, ale widząc minę kobiety, umilkł.

Burza, która nagle rozpełtała się w sercu Małgorzaty, tak samo nagle ucichła. Spojrzała na zmieszanego legata i podszedłszy do niego, pogłaskała go po ręce.

– Wybacz, za bardzo się tym wszystkim przejmuję. Ludzie są źli, gdy w kieszeni hula wiatr. Gdyby nie pomoc twoich legionistów, marnie by z nami było. – Potrząsnęła głową. – Wpadłeś przy okazji pobytu na Biedach czy masz jakąś sprawę? Usiądź, braciszku, pod jesionem, dam ci jabłuszko – dodała i zaśmiawszy się zawadiacko, sama przycupnęła na ławce.

– Mam sprawę. – Srebro usiadł przy stole naprzeciwko dziewczyny, ale jabłka grzecznie odmówił, dobrze wiedział, że zakonnice odliczają każdy kęs jedzenia. – Dziwną sprawę... – przyznał. – Pomyślałem, że może wy coś będziecie wiedzieć.

Legat pośpiesznie opowiedział, w czym rzecz, nie pomijając żadnego szczegółu, nawet spotkania z Różą z Bied i karczmarzem Marijosziusem. Małgorzata uważnie słuchała. Gdy skończył, splotła ręce i zamyśliła się.

– I ty uważasz, że morderstwo i zaginione papiery się ze sobą nie łączą? – spytała.

– Brzmi to dziwnie, ale moje przeczucie mi podpowiada, że tak jest. Okraść martwego mógł przecież ktokolwiek.

Małgorzata pokręciła głową.

– Nie ktokolwiek, a najprędzej Sanitariusz.

Srebro z zaciekawieniem pochylił się do przodu.

– Sanitariusz? Nie słyzałem o kimś takim.

– Skąd mielibyście słyzeć, skoro sterczycie przy Białych Słupach, zbijając bąki – poirytowała się dziewczyna. – On mieszka na Biedach, to taki na wpół szalony starzec. Wszyscy nazywają go Sanitariuszem. Nie wiadomo jak i skąd, ale zawsze znajduje się pierwszy przy hulaszczycach ludziach.

– Hulaszczycach ludziach?

– No tak, hulaszczycach. Pijakach, którzy się przewrócili i uderzyli głową o kamień czy po prostu zasnęli gdzieś na rogu. Którzy pobili się do utraty przytomności. Albo, jak ten twój, leżą z poderżniętym gardłem. Sanitariusz

w mgnieniu oka zjawia się przy takim delikwencie i obiera go do gołej skóry. Póki co nikomu nie udało się go prześcignąć, jakby czuł nosem tych hulaków.

– Gdzie on mieszka? – zainteresował się Srebro.

Małgorzata rozłożyła ręce.

– Wszędzie i nigdzie. Poproszę swoich, żeby popytali, ale nie spodziewaj się wiele. – Chwilę się zastanowiła. – Może porozmawiaj też z braćmi Węgrami?

– Prawdę mówiąc, Małgorzato, dziękuję ci, że mi o nich przypomniałaś. – Wstał i odwrócił się, by odejść, ale przystanął jeszcze na chwilę. – Powiedz swoim piłkarzom, żeby poważnie trenowali. Olmeris zamierza zebrać drużynę i zapisać się do miejskiej ligi.

Kierowniczka przytułku uśmiechnęła się, wypowiedziała ciche „dziękuję” i odprowadziła wzrokiem mężczyznę, który oddalał się przez podwórze i wkrótce zniknął za łukiem. Potrząsnęła głową i znów zagłębiła się w papierach.

Przypiekało upalne wiosenne słońce, ale Mokry Plac, na który wmaszerował legat, wciąż był zalany wielkimi kałużami. Z jednej z nich chłptało wodę kilka zabiedzonych kundli, nazwanych przez wilnian biedopsami. Poza tym mężczyzna zastał tam tylko kilku żydowskich handlarzy grzebiących przy swoich towarach i szykujących się na wieczór. Po krętaczach ani widu, ani słyhu. Jednak legat wcale nie spodziewał się ich tu znaleźć – jeśli noc trafiała się przychylna i pracowita, odpoczywali cały dzień, a na placu pojawiali się dopiero po zmroku.

Srebro podążył ku Białym Słupom Pohulanki. Dwaj czuwający tu legionieści, którzy dotychczas się wałkonili, zobaczywszy szefa, natychmiast się wyprostowali.

– Zajmujecie się głupotami? – zapytał przyjacielsko Srebro.

– Tak jest, legacie! – zameldowali strażnicy.

Srebro się lekko uśmiechnął.

– Teraz słuchajcie. – Pomachał mężczyznom przed oczami. – Gdy na placu pojawią się krętacze, znajdźcie dwóch, tych, którzy nazywają siebie braćmi Węgrami. Przekażcie im, że legat wileński chce się spotkać i porozmawiać. Nie straszcie ich za bardzo, nie proście ich nawet o papiery. Powiedzcie, że trzeba porozmawiać, i tyle.

Legioniści przytaknęli.

– Tak jest, legacie. Jakie miejsce spotkania mamy wskazać?

Srebro przez chwilę się zastanowił.

– Powiedzcie, że czekam na nich w domu pobłażliwości madame Chai Feigelson na Tatarskiej. Dzisiaj o jedenastej wieczorem. Myślę, że będą wiedzieli, gdzie to jest – rzekł i uśmiechnął się krzywo.

Wilno,  
późny wieczór  
22.04.1905

Okolo dziesiątej wieczorem Srebro wkroczył do przybytku madame Feigelson – jednego z ekskluzywniejszych domów publicznych, znajdującego się na rogu ulic Tatarskiej i Garbarskiej, które starsi wilnianie z przyzwyczajenia nazywali Tatarskaja i Kożewienaja. Niegdyś władza carska usiłowała zlikwidować burdele, ale walczyła z nimi bardziej na pokaz. Alians zdecydował o zaprzestaniu walki, po prostu przymknął oko.

Dom pobłażliwości madame Feigelson wyróżniał się nie tylko droższymi dziewczętami i mniejszym prawdopodobieństwem zarażenia się chorobą francuską, ale i wystrojem. Tu nawet w westybulu urządzono na wpół zamknięte pokoiki, w których stały po dwa miękkie fotele obite czerwonym pluszem. Gdy klient wygodnie usadowił się w fotelu, pojawiała się pomocniczka madame Chai i wypytywała, czego pan sobie życzy. Po kilku minutach przyprowadzała kilka dziewczyn, klient wybierał którąś, płacił i już razem z nią wędrował na pierwsze piętro po schodach pokrytych grubym, miękkim dywanem.

Srebro rozsiadł się w wygodnym fotelu, ziewnął i zadzwonił stojącym na stoliku melchiorowym dzwonkiem. Po chwili do pomieszczenia weszła młoda asystentka właścicielki. Widocznie pracowała tu od niedawna, ponieważ nie poznała legata.

– Dobry wieczór panu – zaczęła, racząc go szerokim sztucznym uśmiechem. – Miło was widzieć w domu madame Chai Feigelson. Kogo sobie życzycie? Brunetki, blondynki? Fania, o niej na pewno słyszeliście, obecnie jest niestety zajęta, ale jeśli życzycie sobie poczekać...

– Dzisiaj chciałbym chłopców – przerwał jej Srebro. – Dwóch – dodał wesoło, patrząc na młodą panienkę wystrojoną jak sikoreczka, a ta wytrzeszczyła ze zdziwienia oczy.

– Ale my... my... A może ktoś wam coś źle przekazał? U nas... my chłopców nie mamy – wydusiła roztrzęsiona.

– To nic – uspokoił ją Srebro. – Przyprowadzę sobie własnych.

Oczy dziewczyny zrobiły się wielkie jak spodki, kilka razy na przemian rozdziawiała usta i zamykała je, a legat obserwował ją z szerokim uśmiechem.

– Tak, oczywiście, jak sobie życzyacie – wybełkotała w końcu czarująca ptaszyna. – Zamówić panu pokój? Na drugim piętrze mamy wspaniałe apartamenty z wanną i...

– Nie, nie – zaprzeczył legat. – Zostaniemy tutaj.

Jeśli ktoś kiedyś wpadłby na pomysł, by wydać podręcznik sutenerstwa, z całą pewnością nie zawarłby w nim rozdziału, jak postępować w takim wypadku. Dla pięknej sikoreczki tego było już za wiele. Odwróciła się, zamierzając biec po pomoc, ale Srebro ją powstrzymał.

– Dobrze, dobrze, żartowałem – powiedział. – Prawdę mówiąc, chciałbym dziewczynę. Na pół godziny.

Na ustach młodej panienki od razu zakwitł uśmiech. Chyba uznała, że każdy klient jest inny i że nie od razu można pojąć wszystkie żarty.

– Tak, oczywiście. Brunetkę czy blondynkę? – spytała. – A jak znajdujecie Fanię? Cena potrójna, ale dziewczyna jest tego warta...

– Biorę na pół godziny – przerwał jej Srebro. – Niech przez ten czas usmaży mi w kuchni jajecznicę z trzech jaj, z boczkiem i dużą ilością cebuli. Do tego ćwiartka chleba. I jeszcze prosiłbym wielki kufel piwa Šopenas.

Gdy wymieniał kolejne elementy upragnionej kolacji, zaczęło mu burczeć w brzuchu. Lubił zjeść, a kilka wieprzowych szaszłyków, które spałaszował w Zaułku Żarłoków, już dawno znikło mu z żołądka. Jednak czarująca ptaszyna już go nie słuchała – poleciała jakby niesiona wiatrem, a po chwili wróciła razem z madame Feigelson, wystrojoną przysadzistą damą o wypudrowanej twarzy i kręconych, upiętych wysoko włosach. Towarzyszył jej ochroniarz podobny do szafy, mający zamiar ustawić do pionu zbłąkanego szaleńca. Lecz gdy tylko ujrzał gościa, natychmiast się oddalił. Madame Chaja postąpiła wprost przeciwnie, ze złością spojrzała na dziewczynę i kołysząc się całym ciałem, zbliżyła się do Srebra, a następnie z wdziękiem przysiadła na foteliku.

– Ładnie to tak, panie legacie? – powiedziała z wyrzutem. – Przychodzicie, ale nie korzystacie z naszych usług, tylko ludzi straszycie.

– Jak to nie korzystam? – odciął się mężczyzna. – Dopiero co zamówiłem jajecznicę. Z trzech jajek, z boczkiem i cebulą. – Zobaczywszy, że madame Feigelson już chce coś powiedzieć, od razu ciągnął dalej: – Przyjdą do mnie dwaj mężczyźni. Chcę w spokoju z nimi porozmawiać. Dobrze będzie nawet tu, gdzie siedzimy, ale w kabinie naprzeciwno musi być pusto. Długo nam nie zejdzie, biznesu wam nie popsujemy.

Twarz madame Feigelson upodobniła się do psa myśliwskiego, który niespodziewanie wywęszył zdobycz. Wiedziała, że robi przysługę Legionowi Wileńskiemu, niech będzie, że niewielką, ale zawsze przysługę.

– Jak pan legat sobie życzy – przytaknęła i wstała, by odejść.

– Nie zapomnijcie o ćwiartce bochenka chleba do jajecznicy – krzyknął za nią Srebro.

Bracia Węgrzy pojawili się w domu pobłażliwości o umówionej godzinie – równo o jedenastej wieczór. Leniwie przekroczyli próg przybytku, rozejrzeli się i usiedli na krzesłach przygotowanych przez madame Chaję. Na twarzach mieli wypisane, że nie spodziewają się po rozmowie niczego dobrego.

Srebro, nie śpiesząc się, kończył jeść naprawdę smaczną jajecznicę, piętą chleba wytarł talerz do czysta i odsunawszy go w końcu od siebie, spojrzał na Węgrów. By ich scharakteryzować, wystarczyłoby opisać wygląd tylko jednego z nich: młody, niewielki, czarnowłosy kłębek o wąskich oczach i niezwykle wielkim nosie, noszący spodnie z czarnego sukna i brudną przemoczoną marynarkę. O drugim nie warto nawet wspominać, wyglądał jak odbicie w lustrze pierwszego. Bliźniaczy bracia wydawali się dumni z tego podobieństwa (jak i ze swojego pochodzenia – wielki książę Olgierd ulokował tu ich przodków, Węgrów wziętych w niewolę), a co ważniejsze, owo podobieństwo wykorzystywali do ogłupiania naiwniaków, którzy zabłądzili na Biedy. Używali też swojego przezwiska (prawdziwego nazwiska nie pamiętali, a może nawet nie znali) i niezadowolonemu, naciągniętemu klientowi udowadniali, że są Węgrami – a nie wszyscy krętacze są Węgrami.

– Dziękuję, że przyszliście – podziękował legat. – Przepraszam za wybór lokalu, ale właśnie tutaj miałem do załatwienia jedną sprawę.

Bracia jednocześnie skinęli głowami, dając tym do zrozumienia, że dom pobłażliwości całkowicie im odpowiada, a nawet że miejsce to jest bardzo dobre, po prostu wspaniałe, bez porównania z całą śledczą w pałacu Słuszków.

– Proszę odpowiadać jasno i dokładnie. – Srebro przeszedł do rzeczy. – Nie wykręcajcie się i nie kłamcie. – Zmienił ton. Nie mówił już jak żartowniś, który w domu pobłażliwości zamówił jajecznicę, a jak legat wileński, którego surowość i spostrzegawczość była znana w każdym najmniejszym zakamarku miasta. – Czy robiliście wczoraj w nocy na Biedach?

– Tak – jednym głosem odpowiedzieli bracia Węgrzy.

– Niedaleko Żelaznego Puchacza?



– Tak.

– W nocy zwracał się do was mężczyzna, klient Puchacza. W średnim wieku, niewysoki, dość gruby.

Węgrzy popatrzyli po sobie.

– Tak.

– Dobra. – Legat zabrzmiał bardziej przyjacielsko. – Czego chciał ten człowiek, gdzie go zaprowadziliście, gdzie go zostawiliście, ile pieniędzy od niego wzięliście, co jeszcze zauważyliście? Wykładajcie wszystko, co wiecie.

– No to... znaczy się, było tak... – przemówił jeden z braci, na którego policzku, pod lewym okiem, Srebro dojrzał ledwie dostrzegalne znamię, jakiego nie posiadał jego brat bliźniak. – Kręciliśmy się koło Puchacza, nie było żadnego święta, więc roboty nie mieliśmy wiele. Patrzymy, wychodzi grubasek. Idzie prosto do nas. Mówi, że Marijoszius mu przekazał, żeby nas znaleźć. Poprosił o pomoc, nie znał Bied, a chciał znaleźć wóz, który zawiezie go do domu. Obiecał hojnie nas wynagrodzić i podał czerwońca. A brat – mężczyzna szturchnął bliźniaka bez znamienia, który póki co nie przerywał tej tyrady – mówi mu, że za tego czerwoniaczka to my go sami na rękach do łóżka zaniemiemy. To on, że na rękach nie trzeba. Tylko do wozu. Więc zrobiliśmy, jak chciał, zadbaliśmy, żeby włos mu z głowy nie spadł, wsadziliśmy go do karety, a czerwońca do kieszeni. Zasłużenie, żeby nie było.

Legat zagryzł wargę i wbił wzrok w braci. Cisza się przeciągała. Węgier ze znamieniem nie wytrzymał napięcia.

– Jeśli ten Feliks to jakiś złoczyńca, złodziej czy oszust, wasza dostojność, to tego czerwońca możemy zwrócić. Obcego dobra naprawdę nam nie potrzeba, a i problemów nie chcemy. – W jego głosie zabrzmiała ledwo słyszalna nadzieja, że urzędnik nie odbierze im zarobku. Nie każdego dnia klienci krętaczy rzucali czerwońcami.

– Mówisz: Feliks? Skąd znasz jego imię?

– On sam powiedział, wasza dostojność – wystrzelił Węgier. – A dokładniej sam z sobą rozmawiał, gdy wsadzaliśmy go do karety. Powiedział: „No i trafiło ci się, Feliksie, jak ślepej kurze ziarno. Taka zdobycz”.

– A przewoźnika zapamiętaliście?

Zrozumiawszy, że czerwonec legata nie obchodzi, Węgier zyskał pewność siebie.

– Jakbyśmy mieli nie zapamiętać, wasza dostojność. Kuternoga Jacek. Do niego już nie raz odprowadzaliśmy zmęczonych panów. Zaufany człowiek,

zawiezie tam, gdzie trzeba, nie okradnie, nie zabije.

Srebro potarł skroń. Po długim dniu marzył choćby o godzinie snu, nie miał ochoty uganiać się po całym mieście za Jackiem kuternogą.

– Niech wam będzie – rzekł pobłaźliwie. – Możecie sobie zatrzymać czerwońca. Powiedzmy, że się wam poszczęściło. – Bracia zaczęli potakiwać jak nakręcane mechaniczne pieski na oparciach tylnych siedzeń powozów, a legat ciągnął dalej: – Jednakże za te pieniądze dzisiaj pracujecie dla mnie. Znajdźcie Jacka kuternogę i przyprowadźcie go do pałacu Słuszków. Jutro z samego rana. Jasne?

– Jasne, wasza dostojność – odpowiedzieli jednym głosem bracia Węgrzy.

– No i świetnie. Będę na was czekać, was trzech – rzekł. – Spróbujcie jajecznicy Fani. Wprost rozpływa się w ustach – dodał na odchodne.

Farnborough,  
Baza Królewskiego Korpusu Powietrznego,  
wczesny ranek  
23.04.1905

Od samego rana lało jak z cebra. Przemoczeni dyżurni i pracownicy zrywający ze ścian wczorajsze plakaty, żegnający startujący sterowiec „Niezwyciężony”, raz za razem spoglądali w górę i po cichu klęli na taką wiosnę. Chmury całkiem zakryły niebo i nie było widać nawet najmniejszego prześwitu, przez który mógłby się przebić choćby promyk słońca.

„Jeszcze jeden angielski dzień. Ostatni...”, pomyślał adiunkt Edward O’Braitis. Stał na podwyższeniu, opierając się o poręcz, i patrzył na hangar lotniska wojskowego w Farnborough, gdzie schowano przed deszczem jego sterowiec – „Gwiazdę Świętego Jerzego”. W porównaniu z innym hangarem, z którego wczoraj po szynach wytoczył się „Niezwyciężony”, ten wyglądał jak karzełek, ale, jak mówi się w armii, każdy musi znać swoje miejsce.

Dumny „Niezwyciężony” poprzedniego dnia został odprowadzony z fanfarami, wiwatami, błyskami migawek aparatów fotograficznych. Czekąca go wielka misja w Afryce Południowej, gdzie wciąż jeszcze nie ustawało podniecenie po niedawno zakończonej drugiej wojnie burskiej. Brytyjczycy ugrzęźli tam naprawdę głęboko, prawie co dzień bezprzewodnikami informowali o możliwości rozpętania się kolejnej wojny. Nowy powietrzny krążownik „Niezwyciężony” miał przechylić szalę na korzyść imperium brytyjskiego.

Ale to było wczoraj. Dzisiaj wyruszała „Gwiazda Świętego Jerzego” – stara zwiadowcza korweta. Wystartuje na swoją ostatnią misję, o której w najlepszym wypadku napisze dwie linijki miejscowy brukowiec „Kroniki Hampshire”, a wyprowadzi go tylko znudzony dyżurny z wieży nawigacyjnej, który zaraz tę czynność wyrzuci z pamięci i zagłębi się z powrotem w najnowsze wyniki wyścigów konnych.

Czy Edward wolał odlecieć na „Niezwyciężonym”? Który z kadetów w Sandhurst by tego nie chciał? Edward wolałby służyć gdziekolwiek, udałby się nawet do latarni morskiej na Hebrydach Zewnętrznych, żeby tylko nie

gnuśnieć w tym latającym korycie. „Gwiazda Świętego Jerzego” różniła się od „Niezwyčajzonego” jak wieśniacki wózek od pociągu – ani nowoczesności, ani wygody, ani wdzięku, ani piękna. To jeden z najstarszych sterowców Królewskiego Korpusu Powietrznego i w czasach pokoju byłby już spisany na straty. Ale imperium brytyjskie gasiło pożary w przeróżnych dalekich zakątkach świata, dlatego ceniło każdy okręt powietrzny, który mógł się jeszcze wznieść w powietrze.

O’Braitis spojrział na ołowiane niebo, odwrócił się na pięcie i ruszył do baraku, by obudzić Milтона Mabreya, kapitana „Gwiazdy Świętego Jerzego”.

Z biegiem dnia deszcz jeszcze bardziej przybrał na sile – jakby chciał zmyć ze świata cały kurz. W stronę placu startowego powoli toczyła się „Gwiazda Świętego Jerzego”. Kapitan Milton Mabrey, podstarzały Szkot o nadętych od wiatru policzkach i bujnych wosach, stał prawie w tym samym miejscu, gdzie rano sterczał Edward, i włożywszy pod pachę skórzane rękawice, ostrożnie popijał gorącą kawę. Przed deszczem chroniła go długa skórzana kurtka sięgająca prawie do kolan i kask z naciągniętymi na niego awiatorskimi goglami. Gardło owinał sobie białym szalikiem, atrybutem lotników, a na piersi zawiesił niewielki metalowy medalion. Na pasku przypiął rewolwer Webley, kaliber czterdzieści pięć. Jego garderobę dopełniały wypolerowane na błysk oficerki. Szkot wystroił się nie ot tak sobie. Jeszcze miesiąc temu wydawało mu się, że czeka na niego wyłącznie zasłużona emerytura, ale obecnie bardzo brakowało doświadczonych kapitanów i dowództwo Królewskiego Korpusu Powietrznego uznało, że da Mabreyowi jeszcze jedną szansę, by stanąć przy sterze. Dlatego, nie zwracając uwagi na naprzykrzający się deszcz, kapitan miał doskonały humor, oglądał się to na powoli zbliżający się sterowiec, to na stojącego obok młodego adiunkta O’Braitisa, który wyglądał, jakby sprzedał ziemię. Mabrey wiedział, że Edward O’Braitis nie pali się, by wsiąść na tę łajbę, ale przez trzydzieści lat służby widział niejednego takiego młodzieńca. Kapitan chciał jak najprędzej wyczuć, cóż z niego za ptaszek, gdyż dla smarkaczy czy płaczkliwych chłoptasiów nie było miejsca na powietrznym okręcie Milтона Mabreya.

– Edwardzie, jak ci się podoba mój sterowiec? – zapytał wreszcie.

– Bardzo ładny, sir – odpowiedział O’Braitis bez przekonania.

Mabrey roześmiał się gromko i o mało co nie oblał się kawą.

– Ładny? Dobrze sobie! Szczurzy zadek jest ładniejszy od dziada! Ale ja i ta łajba dobrze do siebie pasujemy, jeszcze mamy pary na ostatni marsz.

W oczach kapitana błysnęły swawolne iskierki. Edward zrozumiał, że ta wyprawa, ostatnia w życiu Mabreya, odjęła kapitanowi przynajmniej dwadzieścia lat i sam poczuł się trochę lepiej.

Ciągnięty po szynach sterowiec dosięgnął platformy do wsiadania i oblazła go brygada techników wykonująca ostatni przegląd przed lotem. Mabrey wlał sobie do gardła resztki kawy, palcami zakręcił wąsy i rzekł:

– Idziemy, Edwardzie. Kapitan i adiunkt muszą wsiąść jako pierwsi.

Wspinając się za kapitanem po schodach maszyny, Edward dostrzegł czekającego na dole drugiego adiunkta – Charlesa Finleya. O’Braitis zmieszany zmarszczył brwi. Nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego zachowanie Finleya zmieniło się w tak nieoczekiwany sposób. Teraz chłopak, jeszcze niedawno znany jako bezczelny zawadiaka, przy każdej okazji demonstrował swoją przyjacielskość, a nawet przywiązanie. Po absolutorium w akademii chłodno życzył powodzenia swoim najlepszym kumplom i udawał, że nie widzi ich wydłużonych ze zdziwienia twarzy. Jakby tego było mało, zadbał, by obaj, on i Edward, przyjechali do Farnborough najlepszą kareta, a podczas tej krótkiej podróży gadał tak wesoło, jakby naprawdę bardzo się cieszył z otrzymania przydziału na „Gwiazdę Świętego Jerzego”. Podczas ćwiczeń na orientację, już po przybyciu do Farnborough, również był niemożliwie uprzejmy. Stanowił teraz ucieleśnienie przyjacielskości i usłużności.

Edward nijak nie mógł tego rozgryźć. Znał się już trochę na ludziach i umiał ich przejrzeć, dlatego szybko zrozumiał, że Finley wcale nie udaje i nie wysiła się dla niejasnych celów. Ten mężczyzna naprawdę się zmienił, wyglądał jak zupełnie inny człowiek. „A może w akademii widziałem tylko maskę?”, rozważał O’Braitis. „A teraz, gdy już nie trzeba się przyrównywać do większości arystokratów, pokazał swoje prawdziwe oblicze?” Właściwie Edwarda to cieszyło. Szczególnie że czekała go beznadziejna służba. Dzięki towarzystwu przyjacielskiego Charlesa i kapitana Mabreya dalekie Wilno już nie wydawało się takie odpychające.

– Czekają na nas, panowie – oświadczył Finley, przeskakując z nogi na nogę i strząsając krople deszczu z przesiąkniętego kaptura płaszcza.

Sterowiec „Gwiazda Świętego Jerzego”, przez wszystkich nazywany po prostu „Gwiazdą”, rzeczywiście nie błyszczał urodą. Jako jeden z pierwszych okrętów powietrznych wyprodukowanych w Newcastle zasilił flotę wojskową imperium brytyjskiego. Milton Mabrey był pierwszym i jedynym kapitanem „Gwiazdy”, potrafił palcem wskazać każdą łatę, każdy szew i opowiedzieć, jak powstały: „Tu uderzyły armaty wściekłych obrońców Chartumu, to zostało

po nocnej burzy podczas ucieczki z Sawakinu, a ta dziura to pamiątka po wybuchu ulatniającego się gazu”.

„Gwiazda” była napędzana węglem, niedawno odkrytym helem i w końcu – cudownym prometylem alchemików. Problem w tym, że po wynalezieniu prometylu statki powietrzne bardzo się zmieniły, stały się dużo zwinniejsze, zgrabniejsze, szybsze. „Gwiazda” nie mogła się z nimi równać. Poza tym o korwetach lotnicy mówili z nutką pogardy w głosie, uważając, że podobno siła wystrzału z nich jest dużo mniejsza niż z krążowników czy fregat. Korwety były wolniejsze i nie tak zwrotne jak rajdery, nie wspominając o statkach zwiadowczych. „Ale za to mogą zmieść wroga ręcznymi karabinami maszynowymi albo pościgać się w szalonych podniebnych wyścigach”, tłumaczyli starsi kapitanowie korwet, dumnie wypinający pierśi obwieszane medalami zdobytymi za zasługi w dawno zapomnianych bitwach. „I nie nadają się do niczego innego” – odpierali szydery.

Trzej brytyjscy żołnierze weszli na platformę hydrauliczną, ustawioną na wielkiej metalowej nodze, a ta, stęknąwszy, zaczęła się podnosić. Gdy wojskowi znaleźli się na statku, nie powiedziawszy ani słowa, każdy udał się w inne miejsce. Mabrey skierował się na mostek kapitana, Finley – do maszynowni, żeby zamienić kilka słów z mechanikiem i ustalić kurs z nawigatorem, a Edward został na pokładzie i czekał na pozostałych członków załogi.

W oficjalnych papierach napisano, że „Gwiazda Świętego Jerzego” odbędzie misję wojskową. Mabrey zebrał swoją załogę, mając to na uwadze. Dlatego teraz na okręcie znajdowali się nie tylko obligatoryjni na każdym sterowcu nawigatorzy, inżynierzy, mechanicy, operatorzy bezprzewodnika, kucharz i – po tym, jak „Gwiazda” zaczęła używać prometylu – alchemik, ale i grupa szturmowa dopiero co zgromadzonych Podniebnych Żołnierzy (dumy Królewskiego Korpusu Powietrznego) oraz królewscy inżynierzy-artyleryści.

„Gwiazda” została wyposażona w lekkie hotchkissy i kilka cięższych vickersów oraz w dwie lekkie haubice. Gdy inżynierzy nareszcie wymyślili, jak w sterowcach zainstalować lekkie działa, wydawało się, że koniec bitwy będzie można przesądzić jednym celnym strzałem w sterowiec nieprzyjaciela. Niestety rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. Z lekkich dział dało się dokładnie wycelować, tylko znalazłszy się bardzo blisko przeciwnika, a przedziurawienie balonu sterowca pełnego gazu, gdy samemu jest się blisko – to zwykle samobójstwo. Dlatego sterowce nadal trzymały się taktyki celowania tylko w gondole i likwidowania załogi wroga. A do tego świetnie

się nadawały celne i szybkie karabiny maszynowe, zaś dział częściej używano do strzałów ostrzegawczych. Atakowano pociskami wypełnionymi mieszanką alchemiczną, które olśniewająco rozświetlały niebo.

Mabrey z podnieceniem obserwował, jak do „Gwiazdy” wkraczają Podniebni Żołnierze ubrani w iskrzące się czerwone mundury i stukający błyszczącymi oficerkami. Jego serce łomotało tak szybko, jakby szykował się na pierwszą randkę.

– „Gdzież ten księżę, który pokryje swoją ziemię wojskami niezliczonymi, by z nieba się opuściwszy, dziesięć tysięcy mężów nie uczyniło mu krzywdy niezmierzonej?” – zamruczał.

– Barnes? – spytał Edward, który pojawił się na mostku kapitana. Zdążył już zauważyć zamiłowanie kapitana do szkockiej poezji.

Za plecami O’Braitisa wyrósł Charles Finley.

– Nie, tym razem Benjamin Franklin – zaśmiał się Mabrey i potarł dłonie. – Cóż, panowie, szykujemy się do startu, Wilno czeka.

Kraków,  
wczesny ranek  
23.04.1905

W oknie wieży bazyliki Najświętszej Marii Panny pojawiła się złota postać i krakowski rynek na Starym Mieście ponownie zalała melodia hejnału, ogłaszająca nadejście kolejnej godziny. Czysty dźwięk trąbki wzniósł się w niebo i nagle ucichł – dokładnie tak, jak ponad sześćset lat temu, gdy w gardło krakowskiego trębacza trafiła strzała oblegających miasto Tatarów. Po chwili dźwięk trąbki zabrzmiał z innego okna, ale znów został przerwany.

„Całkiem jak moje życie”, pomyślała Miła, ciemnowłosa dziewczyna o pięknej buzi i zimnych oczach. „A to dźwięcznie brzmi, a to cichnie niespodzianie”.

Siedziała w dylizansie i przez przezroczyście zasłonki obserwowała, jak służący pakują walizki na dach pojazdu. Miła odziedziczyła urodę po matce, ale w jej oczach czaił się chłód, który pojawił się jako efekt wielu życiowych prób. Dzień, który Wszystko Zmienił... starcie z praskimi wskrzesicielami, prześladowanie w Konstantynopolu i wciąż towarzyszące jej wspomnienie pożaru w Warnie. Kraków zdawał się portem wewnętrznego spokoju, miejscem odpowiednim, by zarzucić kotwicę i zacząć życie od nowa, ale oto pakują jej bagaże, nie opuszczają jej na krok zaufani alianccy legionści i znów wyrusza w podróż.

Miła westchnęła i odwróciła się od okna. Natychmiast wbiły się w nią trzy pary oczu.

– Je-edzie-emy? – zainteresował się jeden ze współpasażerów.

– Ach, jaki ja jestem nieszczęśliwy – westchnął inny.

Dziewczyna uśmiechnęła się i lód w oczach troszeczkę stopniał.

– Jedziemy, najmilsi. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała trzy głowy.

Zaraz została za to nagrodzona delikatnym mručeniem.

„Wygląda na to, że klapy głosowe są zatkane i koniecznie trzeba będzie sprawdzić poziom oleju”, przeszło przez myśl dziewczynie.

Ktoś zapukał do drzwiczek. Miła je uchyliła.

– Bagaże załadowane, proszę pani, możemy ruszać. Potowarzystymy wam



do portu lotniczego i przekazemy w opiekę załodze „Ikara”. Na lotnisku powinniśmy być za pół godziny – zameldował po polsku potężny mężczyzna noszący zielony mundur. Do piersi miał przypięty metalowy znaczek z trzema wieżami na czerwonej tarczy, symbol krakowskich legionistów.

Miła skinęła roztargniona. Wiedziała, że wujek Nikodem zadba o każdy najdrobniejszy szczegół. Najemnik starannie zamknął drzwi, usiadł na koźle obok woźnicy i kazał mu jechać. Dylizans ruszył, a woźnica od razu uwolnił gardło, starając się utorować sobie drogę przez Rynek Główny pełen ludzi nawet o tak wczesnej porze. Miłą zachwycała energia Krakowa i nawet teraz, pomimo bardzo złego humoru, nie mogła oderwać oczu od okna.

Rynek był olbrzymi, dobiegało do niego aż jedenaście ulic. Już od trzynastego wieku odbywał się tutaj targ. Szczególnie przyciągał uwagę robiący wrażenie murowany budynek, ozdobiony wyszczerzonymi maskarami. Nazywany Sukiennicami, mieścił wiele kramów zgromadzonych pod jednym dachem.

Wilno było miastem alchemików i inżynierów, w Pradze rządili wskrzesiciele, w Konstantynopolu – mistycy i hipnomanci, w Rewlu z szyn ześlizgiwały się fantastyczne morskie konstrukcje. Lecz, jak żartowano w gospodach, za wszystko płacił Kraków – portmonetka Aliansu. Status wolnego miasta Kraków miał już wówczas, gdy Alians był tylko ciekawym pomysłem rozprzestrzeniającym się po salonach bankowych w całej Europie. Szlachcice Potoccy ustanowili jasne zasady: żadnych ceł, niewielkie podatki i zamknięte oczy przy łapaniu przemytników. Wielkim sąsiadom – Austrii, Prusom i Rosji – taka polityka bardzo się nie podobała i po niedługim czasie wolny Kraków najpewniej znalazłby się pod okupacją. Rothschildowie doskonale to rozumieli, rozumieli to i szlachcice Potoccy, dlatego nieszczęśliwie się opierali, gdy ich trzy wieże znalazły się w herbie Aliansu obok pięści Rothschildów z pięcioma strzałami. Prawda, Alians zawzięcie walczył z przemytem w Krakowie, ale podatki jeszcze bardziej zmalowały, a do miasta napłynęły tysiące rzemieślników, kupców i manufakturzystów. Kraków kwitnął, stał się główną osią finansową wolnych miast.

Gdy dylizans toczył się wzdłuż Sukiennic, jeszcze bardziej zageściło się od ludzi i niejeden przechodzień obijał się o karete. Załadowane na dachu bagaże niebezpiecznie się kołysały. Legionista pilnujący Miły zwinnie zeskoczył z kozła, stanął na przedzie dylizansu i rozpychając się łokciami, torował drogę, raz po raz dmuchając w gwizdek. Wielu z popchniętych ludzi odwracało się, by odwdziżyć się pięknym za nadobne, ale zobaczywszy

zielony mundur, szybko zmieniali swe zamiary.

W końcu dylizans wymknął się z garści Rynku Głównego i ulicą Floriańską potoczył się w stronę bramy o tej samej nazwie, przez którą prowadziła droga wyjazdowa ze starego Krakowa. Woźnica zatrzymał konie, przepuszczając nowoczesny tramwaj elektryczny, po czym, zostawiwszy za plecami Bramę Floriańską, ruszył szeroką aleją prowadzącą do Rakowic i utworzonego tam portu lotniczego dla sterowców.

Kraków rozwijał się tak szybko, że wprost połykał pobliskie miejscowości i wsie. Architekci nie wysilali się, formując nowe dzielnice – zostawiali stary plan, tylko kilkoma pociągnięciami ołówkiem zaznaczali miejsca, gdzie wszystko ma zostać zburzone, by poprowadzić kolej. Dlatego nowy Kraków nie odznaczał się szczególnym urokiem, a Nowa Huta, gdzie biło przemysłowe serce miasta, wyglądała wręcz strasznie: postawione na szybko domki dla robotników, olbrzymie fabryki plujące dymem i nieprzerwane ciągi tramwajów, pociągów, dylizansów i innych środków transportu.

Miła zmarszczyła nos i popsikała dookoła siebie mgiełką zapachową, żeby zamaskować smród przepełnionego sadzą powietrza, metalu i skóry. Gdy przejechali przez Nową Hutę, widok się nie zmienił – wolny Kraków się rozciągał, poszczególne części nie łączyły się ze sobą, tworząc dziury, miasto przyciągało mirażem łatwiejszego życia i musiało za to coś poświęcić. Miejscowi niewesoło żartowali, że Kraków jest jak cebula: Stare Miasto to trzon, który otacza warstwa zielonych Plant, następnie domy nowobogackich mieszczan, za nimi fabryki Nowej Huty, jeszcze dalej labirynt szop, chałup, trzęsących się domków czy po prostu pudeł, gdzie zamieszkali ci, którzy w Krakowie szczęścia jeszcze nie znaleźli, ale wciąż nie tracili nadziei. Niedługo zmiotą ich nowe place budowy i ci biedacy, niosąc swój marny dobytek, będą musieli się wynieść, by stworzyć kolejną, jeszcze bardziej oddaloną warstwę Krakowa. Tak jak w innych miastach Aliansu legioniści prawie nigdy nie zapuszczali się na osiedla pełne ruder, dlatego tutaj ludzie żyli według własnych prawideł i można się było spodziewać rabunku w każdej chwili. Ale jedna zasada w Krakowie była żelazna, niezmienna dla każdego – drogi są nietykalne. Muszą być czyste, szerokie, łatwo przejezdne i bezpieczne. Kraków pieczołowicie chronił wielkie arterie, rabunki na drogach stanowiły rzadkość nawet w środku nocy, a mieszkańcy osiedli pełnych ruder długo i uważnie rozglądali się w obie strony, zanim odważyli się przejść na drugą stronę szerokiej ulicy.

Gdy karetka przejechała wielkie skrzyżowanie w Nowej Hucie, obok drogi

pojawiły się tory łączące dzielnicę fabryczną z portem lotniczym w Rakowicach i znajdującymi się za nim kopalniami soli. Przez okrągłą dobę po tych torach przetaczały się huczące smutno pociągi, wożące niezliczone ilości soli.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedziała Miła, zobaczywszy przez okno wieże rakowickiego lotniska.

W karecie powstało poruszenie. Jeden ze współpasażerów Miły podskoczył i machnął metalowym mieczem.

– Ja jestem gotowy, moja pani.

– Ju-u-uz? – spytał drugi i Miła znów przypomniała sobie, że trzeba sprawdzić poziom oleju.

– Ach, jaki ja jestem nieszczęśliwy – smutnym głosem powiedział trzeci podróżnik.

– O-on znó-ów je-est nieszczę-ęśliwy. I-ile mo-ożna?

Miła dźwięcznie się zaśmiała.

– Pierrot po prostu jest nierozgrzany i ty to dobrze wiesz, Kolombino – powiedziała. – Dzisiaj kolej Skaramusza.

Skaramusz znów machnął mieczem.

– Dokładnie tak, jestem gotów na wędrówki i przygody, moja pani – zapewnił, ale dyliżans w tym samym czasie podskoczył i chwacki wojownik zleciał na podłogę. – Ojoj, moja pani, wygląda mi na to, że nas atakują – mruknął.

Miła schyliła się, podniosła Skaramusza i ułożyła go na siedzeniu, co wcale nie było trudne – wszyscy jej trzej przyjaciele byli wielkości szczeniaka, a każdy ważył zaledwie kilka funtów.

Dziewczynie towarzyszyły jej zabawki – automatony – wymyślone i skonstruowane przez nią samą wyłącznie dla przyjemności, które nie tak dawno stały się ogromnym problemem, ponieważ z niewiadomych przyczyn zainteresował się nimi podczas balu noworocznego w Pradze pewien wskrzesiciel i teraz jego ludzie zapragnęli za wszelką cenę zdobyć jej zabawki oraz pojmać ją samą, ich twórczynię. W pamięci Miły znów zatańczyły języki płomieni i jej oczy z miejsca stały się zimne jak lód.

Odsłoniła zasłonki i zaczęła wpatrywać się w coraz bliższe lotnisko.

Można być doświadczonym podróżnikiem czy badaczem, poszukiwaczem przygód czy wędrującym naukowcem, można odbyć dziesiątki lotów, ale ujrzenie portu lotniczego w Rakowicach wszystkim odejmowało mowę. Port został utworzony w pobliżu nieczynnych kopalń soli, dwie jego strony opierały

się o olbrzymie, wznoszące się ku górze, szaro-czarne skały. Budowniczcy stwierdzili, że świetnie nadadzą się one do powstrzymywania wiatru, wroga wylatujących i przylatujących okrętów.

Dużą część portu przeznaczono dla sterowców ładunkowych i przez to wrażenie było jeszcze silniejsze. Potężne ładunkowe olbrzymy cumowały nie na ziemi, a w powietrzu. Linami przywiązywano je do czterech metalowych słupów, z których jeden, najmasywniejszy, posiadał metalową platformę. Towary ze sterowców przeładowywano na tym podwyższeniu, a następnie transportowano je do wagonów, a te po metalowych szynach sunęły prosto do głównego punktu przeładunkowego. Ułożone na wysokości kilkudziesięciu metrów szyny wiły się, krzyżowały, zmieniały kierunek, a pasażerowie nie mogli się nadziwić genialności inżynierów i mechaników – nie pojmowali, jak cała ta struktura z tonowymi ładunkami nie wali się na ziemię czy nie roztrzaskuje kogoś na swojej drodze.

Sterowce pasażerskie w Rakowicach były niczym pasierby. Ich kapitanowie Kraków i Rakowice obdarzali nieszczególnie przyjemnymi epitetami, bowiem niewielka to przyjemność ciemnym wieczorem czy w deszczu manewrować między groźnie sterczącymi skałami, starając się nie zahaczyć o zacumowane w powietrzu ładunkowe rupiecie, nie potrafić poruszających się po torach wagoników i szczęśliwie wylądować na ziemi, gdzie sterowce cumowano w tradycyjny sposób – przywiązując do masztu sznurami pomocniczymi i specjalnymi linami. Jednak Aliancki Departament Transportu zadbał, by na krakowskiej wieży nawigacyjnej pracowali najlepsi z najlepszych, dlatego nieszczęść, póki co, udawało się unikać.

Dyżurny zatrzymał się na niewielkim placu. Woźnica bacznie obserwował robotników, którzy zaczęli ściągać z dachu walizki i układać je na ziemi. Ktoś znów zapukał do drzwiczek. Miła machnęła ręką i wszystkie trzy zabawki posłusznie zamarły w bezruchu.

– Dojechaliśmy, panienko – poinformował legionista, który wcisnął głowę za drzwi. – Można już wsiadać do „Ikara”. Woźnica zajmie się bagażami, a ja niebieskim korytarzem odprowadzę was do sterowca i przekażę czekającej na pokładzie ochronie. – Legionista starał się mówić nieprzesadnie uprzejmie, ale nie mógł powstrzymać nutki zdziwienia, nie rozumiał bowiem, kimże jest ta dziewczyna, że dano jej aż tyle przywilejów, łącznie ze specjalną ochroną. Córka jakiegoś miejscowego bogacza? I dla takiej panny to zbyt wiele.

– Dziękuję – rzekła Miła i przeprosiwszy, zamknęła drzwiczki, by schować zabawki do wielkiego koszyka.

Kolombina i Pierrot usadowili się w nim bez większego żalu, ale Skaramusz się zaparł.

– Sam będę szedł – zaznaczył, zmrużywszy oczy, i znów machnął mieczem.

Miła westchnęła, ale nie zamierzała się kłócić. Jedną ręką chwyciła koszyk, drugą – Skaramusza, wysiadła z dyliżansu, postawiła zabawkę na ziemi i rozejrzała się, wolną ręką ochraniając oczy przed porannym słońcem, które dopiero wzniosło się ponad skały. Port póki co był prawie pusty, wielkie statki ładunkowe przybywały po południu, a wylatywały wieczorem, dlatego w powietrzu wisiały tylko dwa przycumowane giganty. W jednym z nich trwały prace ładunkowe. Trochę niżej liny przytrzymały cztery mniejsze sterowce. Pierwszy z nich, „Julien”, szykował się już do startu – pracownicy lotniska odwiązywali od wielkich szpul cumy. Dwoma kolejnymi były zwiadowcze sterowce, z których korzystały Alianckie Siły Bezpieczeństwa. Przy czwartym rozciągała się długa kolejka ludzi – pasażerski statek powietrzny „Ikar” zaczynał przyjmować pasażerów.

– Niebieski korytarz – przypomniał zamyślonemu Mile legionista.

Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco, ukłoniła i przekręciła kluczyk wystający z pleców Skaramusza. Zabawka ożyła i zaczęła się kręcić. Legionista odwzajemnił uśmiech i pomaszerował przodem, a Miła ruszyła za nim. Procesję zamknął zabawnie podnoszący nogi Skaramusz, któremu towarzyszyły krzyki zdziwienia ludzi śpieszących na statki.

– Automatonik? – jęknęła przechodząca z boku pani. – Jaki uroczy. Katarzynie też by się taki przydał.

Skaramusz już otwierał buzię, chcąc odpysknać coś do kobiety, ale Miła ostrzegawczo przyłożyła palec do ust i żołnierzyk się zamknął, tylko w złości pomachał mieczem.

Wkrótce wkroczyli do przestronnego pomieszczenia. Znajdowały się tu cztery przedziały, przy każdym stali jeden kontroler i żołnierz bezpieczeństwa sił powietrznych obserwujący pasażerów. Ciągająca się przez salę kolejka po dosięgnięciu przedziałów dzieliła się na kilka części. Towarzysz Miły bez wahania podszedł do skrajnego przedziału, gdzie kolejki nie było.

– Klasa specjalna – powiedział.

Stary wąsaty kontroler uważnie zmierzył dziewczynę wzrokiem.

– Wasze dokumenty, panienko.

Miła pogrzebała w koszyku i poczuła, jak porcelanowa rączka podaje jej małą damską torebkę. Serce dziewczyny znów przepełniła radość i uśmiechając się, podała kontrolerowi paszport obywatela wolnych miast

Aliansu, na którego kartonowej okładce dumnie widniał czerwony herb Rothschildów otoczony przez herby Rewla, Wilna, Krakowa, Pragi i Konstantynopola. Do środka wciśnięto też złożone kilka razy pozwolenie na podróż i bilet na „Ikarę”. Kontroler pobieżnie przejrzał papiery, znów spojrzął na Miłę i machnął ręką, żeby iść. W tym czasie do dziewczyny zbliżył się jeszcze jeden legionista – również wysoki, zwały, w krótko ściętych włosach, tylko że noszący niebieski mundur ze znacznikiem, na którym na czerwonym tle widniały srebrne skrzydła.

– Panienko, przekazuję was służbie ochrony „Ikarę” – powiedział krakowski legionista. – Oni zadbają, by wasza podróż do Wilna była bezpieczna i przyjemna. – Mężczyzna ledwo zauważalnie się uklonił, po czym odwrócił się i po chwili zniknął w tłumie.

Nowy towarzysz również nie należał do rozmownych. Wskazał Miłę kierunek i pomaszerował za nią, pozostając w niewielkiej odległości i rozglądając się na boki.

Pasażerowie sprawdzeni przez kontrolę znów złazi się w jedną kolejkę – kierowali się do dwóch najnowszych elektrycznych dźwigów marki Otis transportujących pasażerów do znajdującej się na wysokości trzydziestu metrów metalowej platformy umocowanej na masywnym słupie.

– Po cztery, panie i panowie, do dźwigu tylko po cztery osoby! – krzyczał spocony nadzorca windy i energicznie machał rękoma.

Gdy Miła doczekała się na swoją kolej, złapała Skaramusza i weszła do kabiny. Zaraz za nią wemknął się jej cichy towarzysz. Dziewczyna uprzejmie skinęła dwóm pasażerom, a ci odpowiedzieli tym samym. Starszy pan nawet ściągnął kapelusz i nisko się uklonił, o mało nie zahaczając o przysadzistą matronę, która nie doczekała się tyle uwagi. Ostatni wcisnął się nadzorca, zamknął kraty, kilka razy zakręcił uchwytem i pociągnął go w dół. Dźwig zaskrzypiał i bujając się, zaczął się powoli podnosić. Po kilku minutach powolnej podróży zatrzymał się, kraty zostały odciągnięte i pasażerowie weszli na platformę. Tu przywitali ich stewardzi w żółto-niebieskich uniformach.

– Witajcie na „Ikarze”, panie i panowie – pozdrowił pasażerów po litewsku jeden z nich.

– Idziemy, panienko, pokażę wam kajutę, tak będzie szybciej – odezwał się wreszcie legionista towarzyszący Miłę i pierwszy wszedł do sterowca. Podobnie jak steward posługiwał się litewskim.

Podróże rejsowymi sterowcami były dość drogie, nie każdy mógł sobie na

nie pozwolić, a latające kompanie starały się pozostawić po locie jak najlepsze wrażenie. „Ikar” miał dwa pokłady – otwarty górny, na którym wydzielono osobne hermetyczne pomieszczenie dla palących, co stanowiło rzadkość na sterowcach, i zamknięty pokład dolny. Tu znajdował się salon, a pasażerowie, którzy umościli się w miękkich fotelach przy stole z czerwonego drewna, zajadając się przekąskami i popijając orzeźwiające napoje, mogli gapić się przez jeden z wielu iluminatorów. Podczas wieczornych i nocnych lotów grało mechaniczne pianino, a nawet odbywały się tańce, choć stewardzi uważnie pilnowali, żeby tancerze za bardzo się nie rozbrykali. Za salonem mieścił się korytarz z kajutami, posiadacze droższego biletu mogli zostawić tu swoje rzeczy, odpocząć lub się zdrzemnąć.

Miła tylko zerknęła na kajutę, do której powędrowały jej bagaże, po czym złapała w objęcia wszystkie trzy swoje skarby i ruszyła do salonu, gdzie usiadła się przy iluminatorach, położywszy zabawki, tak by i one mogły widzieć start „Ikara”.

Statek powietrzny niespiesznie wzniósł się ponad skały, na chwilę zawisnął w jednym miejscu i zamierzając się na górne prądy, skręcił w północno-wschodnim kierunku – do Wilna.

Pod spodem, u podnóża skał niedaleko drogi, stał łysy mężczyzna ubrany w nierzucający się w oczy, lecz drogi, ciemny kostium. W ręce trzymał kapelusz i z uniesioną ku niebu głową obserwował wznoszącego się „Ikara”. Upewniwszy się, że sterowiec skręcił w tym samym kierunku co zazwyczaj, wyciągnął z kieszeni marynarki przedmiot podobny do kobiecej puderniczki i odkrywszy wieczko, powoli przeciągnął przez nie palcem. Lustrzany metal zachmurzył się i zaczął pulsować niczym żywe srebro.

– Dama wyleciała – powiedział mężczyzna, przyłożywszy usta do wieczka.

Puls pochłonął głos, zamienił go w fale i po chwili na metalowej obudowie odbijały się już tylko rakowickie skały.

W tym czasie na „Gwieździe Świętego Jerzego”, sterowcu lecącym w kierunku Wilna, drugi adiunkt Charles Finley również pstryknął wieczkiem podobnego urządzenia i uśmiechnął się tajemniczo. Zabrał się do przydzielonej mu pracy, lecz całą podróż starał się trzymać blisko bezprzewodowego aparatu.

Wilno,  
ranek  
23.04.1905

Pałac Słuszków wybudowany na lewym brzegu Wilii od dawna wzbudzał w wilnianach niepokój. Posiadał bogatą historię, wzniesiono go w siedemnastym wieku na polecenie wojewody połockiego Dominika Słuszki. Aby dało się go postawić w tym miejscu, należało wcześniej przygotować plac i przesunąć bieg Wilii, a następnie usypać wzgórze oddzielające Antokol od miasta. Niegdyś pałac otaczał piękny park ze stawami, a w jednej z sal był szklany sufit, ponad którym umieszczono wielkie akwarium. Podczas wojny północnej w pałacu zatrzymał się imperator rosyjski Piotr I. Później budynek przeszedł w posiadanie pijarów, a w kolejnych latach prowadzono w nim browar i tartak. Po powstaniu 1831 roku władza carska utworzyła tu fortecę, a następnie więzienie, z którego droga wyjściowa wiodła tylko w jednym kierunku – na katorgę.

Zarządcy związku wolnych miast długo się nie zastanawiali, do czego wykorzystać ten opustoszały pałac. Zajął go Legion Wileński. Groźny duch Słuszków odpowiadał tej organizacji. Mieszkańcami niewielkich cel szybko stali się złodzieje, mordercy, rewolucjoniści i szpiedzy, zaś o podziemnych pokojach przesłuchań krążyły tak straszne legendy (szerzone przez samych legionistów), że mieszkańcom Wilna, którzy igrali sobie z prawem, pałac Słuszków śnił się jako najgorszy koszmar. Nocni dyżurni pilnie harowali, sortując dostarczanych do pałacu gości: jednych wysyłali do cel, drugich – do pokoi przesłuchań, trzecich – na plac przed kościołem Piotra i Pawła, gdzie pokutowali za zbrodnie na klęczkach.

Cele i pokoje przesłuchań były ponure, ale wygod w pałacu też nie brakowało. Legioniści, jako najemnicy, nie wojskowi, uważali, że zasługiwali na nie za swoją sumienną pracę. Przeznaczoną dla nich część budynku urządzono z przepychem. Ciurkały tu fontanny, w parkach odgradzonych żywopłotami mogli uprawiać sporty, jeździć konno, łowić ryby w stawach, grać w rugby, ćwiczyć rękę na strzelnicy, gimnastykować się na sali. Kucharz sprowadzony z Francji dbał o wyborne jedzenie.



Jednemu z alianckich architektów przyszło do głowy, żeby stworzyć swój własny niezależny legion zamiast trzymać się starych strażników porządku czy wzywać francuskich najemników. Wynajęci żołnierze, którzy służyli w Gabonie czy na Madagaskarze, wymęczeni przez malarię, czerwonkę lub głód, lgnęli do alianckich legionistów jak ćmy do światła. Dla nich służba w Wilnie przypominała synekurę[12]. Alians zaś mógł przebierać w najlepszych.

Osobiste pokoje legata wileńskiego zostały urządzone wspaniale, niczym apartament w hotelu Bristol, ale Antoniemu Srebro cały ten przepych był zbędny. Jego, byłego piechura po ogromnych połaciach Ameryki, który walczył w wojnach hiszpańsko-amerykańskich, życie nauczyło cieszyć się każdym dniem, choćby pod głowę miał podłożony tylko szynel, a pościelić sobie musiał gwieździstym niebem rozciągającym się nad zatoką Guantánamo. Ale o tym nie lubił rozmawiać.

Legat przechadzał się po swoim pokoju w okropnym humorze. Zatrzymał się przy zdobnej kotarze i spojrzął przez okno. Wczorajszą piękną i ciepłą pogodę jakby ktoś wytarł mokrą szmatą. Niebo przedziurawiło się z samego rana i nieliczni przechodnie, zmierzający do domu po porannej mszy w kościele Piotra i Pawła, z niepokojem spoglądali na ponuro majaczące szare korpusy pałacu Słuszków.

Rankiem legat spojrzął na pierwszą stronę „Wileńskiej Prawdy” i mało nie opluł się herbatą. Gruby czarny nagłówek wrzeszczał: „Wstrząsające morderstwo na Cmentarzu Cholery! Legat jest bezsilny!”. Dziennikarz o nazwisku Korszun z rozkoszą opisywał trupa z poderżniętym gardłem. Ofiary nawet nie widział na oczy, dlatego szczegóły raczej słabo odpowiadały rzeczywistości. Niedługi tekst kończył się pytaniem retorycznym: „Kto i za ile nas chroni?”.

Antoni Srebro miał ochotę rzucić filiżanką o ścianę. Nienawidził tych krwiopijców – ptasich mózdków pracujących w „Wileńskiej Prawdzie” i im podobnych. O upublicznienie informacji mógł podejrzewać doktora Radzińskiego, pod którego opieką denat spędził całą noc, ale wątpił, by medyk dla kilku nędznych rubli ryzykował awanturę z legionistami. Bardziej prawdopodobnym zdrajcą wydawał się przystaw, który uczestniczył w oględzinach zwłok. Poleciał zapewne do karczmy, gdzie zbierają się gryziopórki z „Wileńskiej Prawdy” i tanio się sprzedał.

Srebro zdawał sobie sprawę, że to był załedwie początek nieprzyjemności. Rano pojawili się bracia Węgrzy i posłusznie przyprowadzili kuternogę Jacka.

Woźnica gniótł w rękach czapkę, jęczał, wył, jękał się, ale ostatecznie wystękał, że jednego takiego grubaska zawiózł do bloków na Paromieściu. Konkretnego domu nie potrafił jednak wskazać, bo pasażer wysiadł na środku ulicy i zniknął między bramami. To musiało wystarczyć.

Srebro ciężko westchnął. Podziękował Węgrom i posłał dwóch młodszych legionistów, by wraz z woźnicą obejrzelі tę nieszczęsną bramę, rozkazał też wypytać miejscowych o „grubaska Feliksa”.

Gdy Węgrzy i kuternoga się wynieśli, listonosz wrzucił z dylizansu pocztowego do plecionego wietrznego kosza piorunującą depeszę z ratusza – przerażony burmistrz natychmiast chce usłyszeć wyjaśnienia legata odnośnie do artykułu w „Prawdzie”. A wyjaśnić nie za bardzo było co.

Krótko mówiąc, dzień zaczął się paskudnie.

Gdzieś koło Trok,  
poobiedzie  
23.04.1905

Zachodni wiatr zaszumił ulewą. Deszcz bezlitośnie płucał głowę Stefanowi Rickusowi, ale mężczyzna nawet nie ścierał wody z twarzy, tylko się oblizywał, bowiem obiema rękami przyczepił się do wyświechtanej drewnianej poręczy. Z niepokojem spojrzął w niebo. Deszcz i ciemne chmury – doskonała przykrywka, ale poważniejszej burzy „Pogrzebacz” może nie wytrzymać.

Niegdyś ten sterowiec był cudem techniki. Nazywał się „Nr 6”, stworzono go, by dostarczać tajne ładunki. Gdy odsłużył swoje, został spisany na straty i kwatermistrz carskiej armii, w którego kompetencji leżało gospodarowanie wojskowym mieniem, przegrał go w karty z doświadczonym rozbójnikiem Stefanem Rickusem. Przynajmniej tak opowiadali kumple dowódcy „Pogrzebacza”. Podniebny pirat uważał, że sterowiec, nieważne jak stary by był, jest dużo lepszy niż konie, a i strzelać przyjemniej z powietrza, bo na zadku nie robią się odciski. Zaufani złotoręcy mistrzowie wyremontowali statek powietrzny, na polecenie Rickusa zamontowali działa (otrzymane jako prezent z wojskowych magazynów) i „Nr 6” stał się „Pogrzebaczem”, postrachem paniczek oraz przejezdnych kupców na północnej Żmudzi.

Rickus postępował rozsądnie – „Pogrzebacz” miał tylko przstraszyć, a rabowali jeźdźcy. Kto by zechciał się sprzeciwić, gdy nad głową wisi sterowiec z wycelowanym w ofiary działem? Wystraszony paniczek nie zauważał nawet, że okręt jest krzywy, pozszywany drutami utrzymującymi dno maszyny, a kopuła to mozaika łąt.

Dziś „Pogrzebacza” czekała wielka próba – musiał zmierzyć się z nowym, zmodernizowanym, tylko odrobinę mniej uzbrojonym sterowcem. Dla Rickusa to było wyzwanie i co chwilę kłął na życie, w którym zawsze musi być ten pierwszy raz. Ale przypomniawszy sobie obiecane mu za tę akcję pieniądze, jeszcze mocniej przywarł do poręczy i zasepiony rozglądał się po niebie.

Ulewa miała się przysłużyć Rickusowi, który przygotował na tę okazję swoją najskuteczniejszą broń – zaskoczenie. Już dawno nikt nie atakował

alianckich rejsowych sterowców i rabusie mieli nadzieję, że jego załoga nie będzie przygotowana na atak z nieba. Oczywiście jeśli tylko sam „Pogrzebacz” się wcześniej nie rozpadnie.

– Druhi poziom – krzyknął nawigator Jakub z drewnianej kabiny, skleconej nad pokładem. – A już unosimsia na wierch, Stefek? Da miesca niedaleko.

„Stefka” Rickus puścił mimo uszu. Jakubowi można było stać nad głową z pałką i uczyć go zwracania się z szacunkiem do wyższego rangą – ale to by nic nie pomogło.

Dowódca odwrócił się na przód sterowca i ryknął:

– Czeczko, dawaj w górę, wszo osmolona!

Stojący przy sterze łysy mężczyzna wyciągnął lewą rękę na znak, że zrozumiał polecenie, a prawą otworzył zastawkę rezerwuaru, przez którą natychmiast zaczęły przeciskać się białe kłęby z iskrzącymi się zielonymi punkcikami. Zazwyczaj napędzali „Pogrzebacza” najtańszym helem przemycanym z Królewca, ale tym razem Rickus nie pożałował szeleszczących papierków, zwrócił się z prośbą do starego przyjaciela kwatermistrza i z jego pomocą zasilił sterowiec prometylem.

„Pogrzebacz” zadrżał tak silnie, że Rickus ledwo utrzymał się na nogach, a smagany przez porywy deszczu i wiatru okręt powietrzny zaczął się wznosić prosto w ciemne niebo. Sterowiec, który już dawno nie wykonywał takich manewrów, stęknął, a jego deski drżały załodze pod nogami, grożąc rozejściem się na boki. Mimo to „Pogrzebacz” wspinał się w górę. Dookoła zrobiło się zupełnie ciemno – rabusie znaleźli się w chmurze burzowej.

– Mamy wysokość! – ryknął z góry Jakub.

Rickus skinął i podniósł skrzyżowane ręce. Sterujący Czeczko zrozumiał sygnał, zamknął zastawki i gwałtownie skrzywił sterem.

O bąbelkowych pławikach pomagających uniknąć gwałtownych ruchów przy zmianie wysokości załoga „Pogrzebacza” mogła tylko pomarzyć, dlatego teraz, przekręcając się na bok, okręt zanurkował nosem w dół. Ale Rickus wytrenował na takie okazje swoich ludzi i znajdujący się na rufie szturmowcy zdążyli chwycić się lin przytrzymujących gondolę. „Pogrzebacz” złapał spodni wiatr i wyrównał poziom.

– Siedem cztery adzin. – Nie zwracając uwagi na zacinający w twarz deszcz, Jakub wystawił głowę i wyrzeczył koordynaty. – Dziesięć minut na piętaju – dodał.

Rickus obiema rękami zaczepił się o liny, wychylił się przez poręcz i spojrzał w dół. „Pogrzebacz” znalazł się we właściwym miejscu i czasie,

dokładnie tam, gdzie miał się znaleźć wedle rozkazu tajemniczego, acz hojnego zleceńodawcy. Pozostało tylko się dowiedzieć, czy starania nie idą na marne.

Pod spodem dało się dostrzec jedynie ciemne gałgany chmur i gdzieniegdzie wyszarpnięte zasłony deszczu. Sterowiec znów zajęczał, ostrzegając, że długo w tej pozycji nie wytrzyma. Rickus zaklął, wychylił się jeszcze bardziej i wgapił się w ziemię.

– Siedem cztery dwa, siedem cztery trzy – zawył Jakub. Jeszcze trzy podziałki i „Pogrzebacz” przesunie się ze wskazanego położenia, a to będzie oznaczało, że ktoś się pomylił, albo tajemniczy mężczyzna, albo nawigator „Pogrzebacza”. – Siedem cztery cztery, siedem cztery pięć, siedem cztery...

W tym momencie wiatr jeszcze się wzmógł, przeciął zasłonę z chmur, a pod nimi pojawił się...

– Jest! Jest, wsza zasmolona! – ryknął Rickus z całych płuc. – Czczko, dawaj! Panowie, szykujcie się do skoku!

Sternik zakręcił kołem, odwracając sterowiec bokiem. Gaston Tyszkus, który przewodził atakowi, prawa ręka Rickusa, zawahał się, czy skoczyć na ślepo w burzową chmurę – gdyby oprzeć się tylko na obliczeniach, wyglądało to na samobójstwo. Złapał jednak wiatrołap, który wcześniej zarzucił sobie na plecy, chwycił sznur, soczyście zaklął i ruszył w stronę burty.

– Dawać złoto, parszywcy! – wrzasnął, przeskoczył przez burzę i zanurkował w przestworzach.

Zaraz za nim, ściskając sznurki wiatrołapu, poleciało jeszcze ośmiu podniebnych piratów.

Nasilający się deszcz zagonił pasażerów „Ikara” do kajut i salonu, gdzie popijali grzane wino i spoglądali przez iluminatory. Zatwardziali miłośnicy papierosów i cygar przesiadywali w hermetycznym pomieszczeniu na końcu sterowca. Otwarty górny pokład opustoszał. Tylko samotny steward, który zarzucił na siebie nieprzemakalny brezentowy płaszcz z kapturem, zbierał naczynia. I to właśnie on stał się pierwszą ofiarą latających piratów.

Jeden z kamratów Rickusa rozłożył wiatrołap chwilę za późno, nie zdążył zmniejszyć prędkości upadku i wrzeszcząc, runął na nieszczęsnego stewarda. Obaj wylecieli przez burzę, splątani przez sznury wiatrołapu. Dołączyli do nich dwaj kolejni rabusie z „Pogrzebacza” którzy nie trafili w pokład i niemiłosiernie się wydzierając, zniknęli w kłębach chmur. Na sterowcu szczęśliwie wylądowało więc wraz z Tyszkusem tylko pięciu piratów.

Ledwo stanąwszy na nogach, wcisnęli wiatrołapy w lekkie plecaki i rzucili

je pod burtę, po czym wyciągnęli strzelby. Zwabiony przez dziwne odgłosy kolejny steward wystawił głowę zza drzwi, ale natychmiast osunął się na podłogę uderzony lufą strzelby w czoło. Gaston Tyszkus rozejrzał się, by zyskać pewność, czy jest bezpiecznie, po czym posłał trzech mężczyzn na koniec górnego pokładu. Pozostali ściskali w dłoniach strzelby i czekali przy drzwiach gotowi uderzyć w każdego, kto by się tu pojawił.

Tyszkus podszedł do burty latającego statku, osłonił oczy przed silnym deszczem i wystawił głowę spod kopuły, by spojrzeć w górę. „Pogrzebacz” wyłonił się z chmury, a z jego dna strumieniami leciała woda. Sterowiec manewrował, starając się przetrzeć przez poręcze grube konopne cumy, by pozostając w powietrzu, znaleźć się jak najbliżej pokładu „Ikar”. Sternik Czeczko opuścił „Pogrzebacza” jeszcze niżej i czekający na sterowcu lecącym z Krakowa piraci złapali liny, po czym mocno przywiązali je do poręczy burty. Gdy wiatr potrząsnął „Pogrzebaczem”, cumy się napięły. Jako pierwszy zjechał po nich Stefan Rickus.

– Doskonale – rzekł, stawiając pierwsze kroki na „Ikarze”.

Wyciągnął zza paska dwa pistolety, machnął kamratom, by szli za nim, i ruszył w stronę salonu. Jednym kopnięciem wyważył drzwi.

– Dobry wieczór, panie i panowie. Mam nadzieję, że nie przeszkodził mi? – powiedział, machając pistoletem.

Pasażerowie wpadli w panikę. Rozległ się wrzask i tupot stóp. Uciekający tłukli kieliszki i karafki, inni szukali schronienia pod stołami, a jeszcze inni próbowali się wymknąć przez boczne drzwi. Jednak Rickus nie zwracał na nich uwagi. Interesowała go tylko młoda dziewczyna o czarnych jak krucze pióra włosach i towarzyszący jej aliancki legionista w niebieskim mundurze.

Cokolwiek powiedział mu wcześniej tajemniczy zleceniodawca, Rickus chciał się obejść bez ofiar. Oczywiście Alians nie pogłaszcze go po główce za napad na sterowiec pasażerski, ale jeśli zabije legionistę, będą na niego polować niczym rozwścieczone psy i nie popuszczą mu, choćby się ukrył na skraju świata.

Doświadczeni podniebni piraci, zaatakowawszy obcy statek, najpierw zabiliby łączników, żeby ci nie posłali sygnału alarmowego. Ale zleceniodawca, nie wiadomo czemu, nie wydał im takich rozkazów. Dlatego po chwili z „Ikar” rozniosło się wołanie o pomoc:

– Do wszystkich, do wszystkich, do wszystkich, tu „Ikar”, zaatakowali nas piraci, prosimy o szybką pomoc.

Finley odetchnął z ulgą, usłyszawszy informację otrzymaną dzięki bezprzewodnikowi. Wyprzedził łącznika i rzucił się w stronę mostka kapitana. Zaraz za nim, niosąc kartkę z koordynatami, zjawił się i łącznik.

– A to co znowu? – Kapitan Mabrey zaklął i zerknął na kartkę. – Przecież jesteśmy całkiem blisko. – Zwinnym ruchem chwycił rurkę do rozmów. – Uwaga, do wszystkich! Otrzymaliśmy wezwanie o pomoc z alianckiego sterowca rejsowego „Ikar”. Zmieniamy kurs, szykujemy się na starcie zbrojne – rozkazał i zaczął dyktować nowe koordynaty stojącemu przy sterze nawigatorowi.

W korytarzach „Gwiazdy” rozległy się kroki. To Podniebni Żołnierze i artylerzyści spieszyli na swoje pozycje. Sterowiec powoli zaczął się obracać, po czym ruszył nowym kursem.

Finley uśmiechał się zadowolony. Przed startem okrętu niezauważenie skorygował odrobinę kurs, dlatego „Gwiazda” znalazła się w tym miejscu o dokładnie przewidzianym czasie.

Za swoim przywódcą do salonu „Ikara” wtargnęli jego uzbrojeni kamracy. Gaston Tyszkus niczym piorun zaatakował legionistę w niebieskim mundurze i złamał mu rękę.

– Nie zajmujemy wam zbyt dużo czasu, panie i panowie – wyniośle poinformował Gaston. – Oddajcie portfele, biżuterię, kamienie szlachetne, obejrzymy wasze kajuty i po przyjacielsku się rozstaniemy.

Pasażerowie posłusznie wręczali rabusiom swój majątek, podczas gdy Stefan Rickus rozglądał się gorączkowo, poszukując prawdziwej przyczyny napadu. Jeśli dziewczyny tu nie ma, trzeba będzie sprawdzić kajuty. Jak zmusić zbójów łaknących złota, żeby wszystko porzucili i ruszyli na poszukiwania jakiejś dziewczyny? Uwagę Rickusa przyciągnęła pewna damulka, która poczuwszy wbity w siebie wzrok pirata, zemdląca z gracją i upadła na podłogę, zakrywając sobie twarz gąszczem pofarbowanych na żółto włosów. Nie, to nie ta, której szukał.

Nagle Rickus poczuł ostry ból w goleni, zupełnie jakby ją ktoś przekłuł.

– Wsza zasmolona! – zawył i spojrział w dół.

Przy jego nodze stał zabawkowy żołnierz i szarpał swój metalowy mieczyk, próbując wyciągnąć go z goleni Rickusa. Wściekły rozbójnik wymierzył pistoletem w natrętnego automatona.

– Nie! Skaramuszu, nie! – krzyknęła czarnowłosa dziewczyna i podbiegła do Rickusa.

– Dziewczynko, czy towarzyszy ci jakiś zuch w niebieskim mundurze?

Miła mimowolnie spojrzała na legionistę, którego ręce ze skupieniem związywał Tyszkus, i zmarszczyła brwi. Za to Rickus uśmiechnął się szeroko.

– A widzisz? Jak ślepej kurze ziarno, wężu opierzony! – W mgnieniu oka zapomniał o bólu i żołnierzyku. Podniósł lufę pistoletu ku górze i zatrzymał ją przy piersi Miły. – To ciebie szukaliśmy, dziewczynko.

– Czyżby? – Miła nie wyglądała na przerażoną. Nie zwracając uwagi na wymierzony w nią pistolet, ruszyła do przodu i schyliwszy się, wzięła na ręce Skaramusza. Następnie znów spojrzała na Rickusa. – No to mnie znalazłeś. I co teraz zrobisz, bohaterze ze spadającymi spodniami?

Rickus się speszył. Kobiety z Użwentów na Żmudzi czy damulki zaatakowane w karetach nie zachowywały się tak odważnie. Spojrzał na spodnie, a Miła zaśmiała się drwiąco. Pirat poczuł, jak policzki palą go ze złości. Odwróciwszy pistolet, podszedł do dziewczyny, zamierzył się, chciał ją nauczyć, jak należy rozmawiać z mężczyznami, ale nie zdążył – rozległ się stanowczy głos wzmocniony przez mechaniczną syrenę:

– Tu Milton Mabrey, kapitan „Gwiazdy Świętego Jerzego”, korwety Jego Królewskiej Mości. Daję napastnikom atakującym z „Ikara” dziesięć sekund na złożenie broni i wyjście z podniesionymi rękoma na otwarty pokład. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Rickus złapał Miłę za łokieć, razem z nią doskoczył do iluminatora i spojrzał na zewnątrz. Ciężkie vickersy zdążyły już roztrzaskać ubogie działa „Pogrzebacza”. Stojący przy nich piraci ledwo padli na pokład, a już po kilku sekundach kołysali się niczym trzciny, wysoko wyciągnęli ręce i mrugali oślepieni magnezowymi lampami błyskowymi bijącymi z „Gwiazdy”.

Rozprawiwszy się z „Pogrzebaczem”, brytyjski sterowiec wojskowy zawisł nad „Ikarem”. Podniebni Żołnierze szykowali się do spuszczenia na cumach. Artylerzyści zastygli przy haubicach.

– Co robimy, Stefek? – spytał Tyszkus.

– Połóżcie na ziemi swoje działa i podnieście ręce. Z nimi nie ma żartów. – Rickus wzruszył ramionami.

– A ty?

– A ja was znajdę, gdy odsiedzicie swoje – rzucił towarzyszom na pożegnanie. Nie miał zamiaru trzeci raz trafić do więzienia.

Korsarz przyłożył Miłe pistolet do gardła, a drugą ręką sprawdził zarzucony na siebie plecak z wiatrolapem. Pociągnął zakładniczkę, która z zainteresowaniem obserwowała całe widowisko i w ogóle nie stawiała



oporu, do ustronnych bocznych drzwi.

Kamraci Rickusa ponuro rzucili broń na ziemię i odprowadzani przez drwiące spojrzenia pasażerów, posłusznie skierowali się na otwarty pokład „Ikara”. Skorzystawszy z zamieszania, Rickus wymknął się przez boczne drzwi. Wiedział, że ma tylko kilka chwil, nim pasażerowie poinformują swoich ratowników o jeszcze jednym podniebnym piracie, który porwał dziewczynę.

– Mam nadzieję, że nie najadłaś się zacierki – rzucił Rickus w stronę Miły. – W innym wypadku dosięgniemy ziemi szybciej, niż byśmy chcieli.

Miła w końcu się zaparła i spróbowała się wyrwać z uścisku Rickusa, niestety nie dała rady napastnikowi, który chwycił ją za kołnierz tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Do tego obronę utrudniał jej bezwładnie dyndający w ręce Skaramusz.

Wymknąwszy się na zewnątrz, Rickus skierował się prosto na burtę. Wyrwijacą się Miłę przycisnął do siebie, niczym lalkę zwinnie owinał ją przepaską z klamrą, wspiał się na poręcz i chybotając się od powiewów wiatru, lewą ręką zaczął wyciągać wystające z plecaka sznurki, starając się nie patrzeć na majaczącą gdzieś w dole ziemię.

Finley wraz z adiunktem O’Braitsem i jeszcze jednym stróżującym żołnierzem obserwowali całą akcję z pokładu „Gwiazdy”. Gdy spuścili się z niej na „Ikara” uzbrojeni w karabiny Lee-Enfield Podniebni Żołnierze, oczy wszystkich skierowały się na pokład szturmowanego sterowca, na którym z rękami podniesionymi do góry zbierali się przestępcy. Jedynie Finley, zmrużywszy oczy, patrzył trochę bardziej na lewo, mając nadzieję, że zobaczy dwójkę ludzi, którzy go interesowali. Nie zawiódł się – dokładnie tam, przez boczne drzwi wymknął się przywódca zgrai, Stefan Rickus, który ciągnął za sobą Miłę. Nie spuszczać wzroku z parki, Anglik złapał za przymocowaną do burty cumę i na oko ocenił odległość. Prawdziwy Finley nigdy nie odważyłby się na takie szaleństwo, zaś ten mocno uczeplił się liny, wziął rozbieg i skoczył przez burtę „Gwiazdy”.

– Charlesie, co ty robisz? – wrzasnął Edward, ale Finley już leciał w stronę Rickusa zamierzającego razem z Miłą wyskoczyć z „Ikara”.

Po kilku chwilach opuścił się tuż obok pirata i jeszcze w powietrzu zdzielił go nogą w twarz. Puścił z rąk cumę, sprawnie odpiął klamrę i wyrwał Miłę ze szponów oprawcy, po czym złapał Rickusa i podniósłszy go niczym ździebełko, wyrzucił za burtę. Przywódca piratów wrzasnął i zniknął w chmurze.

– Proszę wybaczyć, panienko – rzekł Charles Finley, odwróciwszy się do Miły – ale nie mogłem pozwolić wam opuścić sterowca, nie upewniwszy się, czy posiadacie wiatrołap.

Przemoczona, zziębnięta i szczękająca z przerażenia zębami dziewczyna, usłyszawszy te słowa, uśmiechnęła się mimo woli i z wdzięcznością wyciągnęła rękę do swojego wybawiciela.

Gdy piraci zostali przeniesieni na pokład „Pogrzebacza”, związani linami i osadzeni w kajutach, Finley usunął się w ustronne miejsce, wyciągnął z kieszeni urządzenie w kształcie puderniczki i przyłożywszy je do ust, zameldował:

– Robota wykonana, jest kontakt.

Wilno,  
późne poobiedzie  
23.04.1905

Oparłszy policzek o pięść, legat Antoni Srebro patrzył przez okno karety na mokre Wilno i w myślach starał się ułożyć mozaikę elementów zbrodni. Jego spojrzenie natrafiło na ściany wysmarowane farbami. Deszcz sprawił, że napisu nie dało się już odczytać, ale od tego wcale nie zrobiło mu się lżej. Po mieście już jakiś czas szalała zgraja ulicznych malarzy, którzy rewolucyjnymi i zachęcającymi do przemocy hasłami oszpecali najważniejsze wileńskie budynki. Ludzie Stefana Małachowskiego, człowieka odpowiedzialnego za czystość miasta, nie nadążali ze ścieraniem tych malowideł.

Kareta się zatrzymała. Srebro westchnął i chwilę później, krzywiąc się, wmaszerował do ratusza. Tu czekał na niego zniecierpliwiony burmistrz Wensławski-Wenskus.

– Srebro, rzućcie inne prace i czym prędzej wyjaśnijcie, kto zabił tego nieznanego jegomościa – rzekł burmistrz bez słowa wstępu, potrząsając szpiczastą bródką. – Czy rozumiecie, co to będzie, jeśli „Prawda” dalej będzie pisać o tym, że w mieście, które zaraz odwiedzą najważniejsze osoby Aliansu, w biały dzień podrzyna się ludziom gardła?

Legat nie miał zamiaru tłumaczyć, że morderstwo nie nastąpiło w biały dzień. Przytaknął tylko zrezygnowany.

– A wandale niszczący elewacje zabytków? Co zrobić z nimi?

Burmistrz aż zaklaskał.

– Zapomnijcie o nich. Kogo teraz obchodzą takie nicponie? Do Wilna zjadą się następcy tronów, ministrowie, lordowie, generałowie, rozumiecie? A u nas co? Trupy z podciętym gardłem!

Srebro już otworzył usta, by coś odpowiedzieć, lecz rozwarły się drzwi gabinetu i stanął w nich zasapany młodszy sierżant legionu.

– A to co za... – zaczął zdenerwowany burmistrz, ale młodszy sierżant wyprostował się i zameldował:

– Do Wilna zbliżają się trzy sterowce. Rejsowy „Ikar”, brytyjska wojskowa korweta „Gwiazda Świętego Jerzego” oraz złom należący do podniebnych

piratów wziętych w niewolę.

Kilka minut później burmistrz i legat wileński zbiegali po schodach ratusza. Wyskoczywszy na ulicę, wdrapali się do karet i potoczyli do Wyścigowego Portu Lotniczego.

Sterowce nieśpiesznie zbliżały się do Wilna. „Ikar” leciał jako pierwszy, lekko w tyle podążała „Gwiazda Świętego Jerzego”, a za nimi ciągnął się leniwie „Pogrzebacz”. Jego załoga siedziała zamknięta w kajutach, a przy sterze stał drugi sternik „Gwiazdy”.

Więści o ataku piratów na „Ikar” ledwo dotarły do Wilna, a już zaczęły się rozprzestrzeniać niczym pożar lasu. Nie zważając na deszcz, na ulice wyszli ludzie i unieśli głowy ku niebu, obserwując ciąg okrętów powietrznych, który wisiał właśnie nad Zielonym Mostem, czekając na wytyczne z wieży nawigacyjnej. Ta odpowiedziała bukietem barw i wszystkie trzy sterowce ruszyły w stronę lotniska.

Gdy „Ikar” szykował się do lądowania, jego pasażerowie tradycyjnie ścisnęli się na otwartym pokładzie. Między nimi przemykały czerwone brytyjskie mundury – kapitan Mabrey pozwolił kilku swoim ludziom zostać na pokładzie, był wśród nich i Charles Finley. Kapitan wezwał ponadto Edwarda O’Braitisa i poznał go z Miłą. Teraz dwaj młodzieńcy jako strażnicy chwały stali po obu stronach dziewczyny.

Miła zamyślona patrzyła na rozciągające się pod spodem miasto, które wydawało jej się obce, mimo że powinna nazywać je swoim. Doskonale pamiętała dom wujka Nikodema Twardowskiego, jego laboratorium w piwnicy i aromat dzikich róż przepełniający podwórze, lecz samo Wilno, jego ulice i podwórka tkwiły w pamięci niby bezkształtne cienie.

Edward O’Braitis w Wilnie był tylko raz jako dziecko. Mieszkający tu dziadkowie zaprowadzili go na wielki Jarmark Kaziukowy[13]. Słodki obwarzanek i ludzie depczący mu po nogach – to wszystko, co zachował w pamięci z tego dnia.

Charles Finley również spoglądał na miasto, ale spojrzenia, które rzucał w stronę Miły, podpowiadały, że myślami błędził zupełnie gdzie indziej. Dziewczyna zauważyła ukradkowe spojrzenia chłopaka i uroczo się uśmiechała.

Wileński Wyścigowy Port Lotniczy nie robił tak wielkiego wrażenia jak krakowskie lotnisko. Kiedyś mieścił się tu hipodrom, sterowce lądowały więc na placu głównym. Otaczające go trybuny zostały zrównane z ziemią, a w ich

miejscu postawiono urząd celny, punkt kontroli paszportowej i niewielką poczekalnię z bufetem. Podciągnięto tu też jednotorową kolejkę do dostarczania ładunków, łączącą lądowisko ze Śnipiszkami i Paromieściem. Nieco dalej wyrastały z ziemi wielkie hangary dla statków powietrznych.

Lądowały tu sterowce pasażerskie, które przybywały z Krakowa, Pragi, Rewla, a także statki latające rzadziej – z Kowna, Królewca, Berlina i Sankt Petersburga. Pasażerów, którzy kierowali się z lotniska w stronę miasta, witała olbrzymia rzeźba – żelazny wilk unoszący łeb do nieba, prezent od Gildii Mechaników dla Wilna. Monument służył też jako zegar – co godzinę jego pysk się rozwierał i rozlegało się pełne grozy wycie. Przerazało ono okolicznych mieszkańców, więc zwrócili się do radnego ducha, prałata Masalskiego, żeby nakazał usunięcie wyjącego potwora.

Dawniej wilnianie z zafascynowaniem śledzili lądujące i startujące sterowce. Całe rodziny przyjeżdżały tu tramwajem parowym, wysiadały na przedostatnim przystanku i zajmowały miejsce na porośniętym trawą wzgórzu, z którego Wyścigowy Port Lotniczy było widać jak na dłoni. Lecz z czasem zachwyty nowością przygasł i teraz mało kto przychodził tu podziwiać podniebne wieloryby.

Jednak dziś na wzgórzu zebrał się tłum. A i dookoła samego portu tłoczyły się setki gapiów pragnących zobaczyć na własne oczy statek piratów i brytyjską wojskową korwetę, która go przejęła. W poczekalni i wokół lotniska pilnowała porządku grupa legionistów. Utworzono dwa korytarze. Jednym mieli przejść piraci, których z utęsknieniem wyczekiwało więzienie w pałacu Słuszków, a drugim pasażerowie „Ikara” i załoga „Gwiazdy”. Zdążyli przybyć prawie wszyscy radni wileńscy, z burmistrzem Wensławskim-Wenskusem na czele, by przywitać zacnych gości. Na przedzie tłumy przepychali się dziennikarze i fotografowie, którzy wyciągnęli wielkie migawki, oraz bliscy pasażerów.

Nikodem Twardowski przystanął na uboczu i zmrużywszy oczy, rozglądał się, oczekując na lądowanie „Ikara”. Legat wileński Antoni Srebro wybrał miejsce między dwoma korytarzami i właśnie rozdzielał rozkazy dwóm sierżantom, raz po raz rzucając ponure spojrzenie na migawki aparatów fotograficznych.

– Więźniów od razu do bryczek i prosto do Słuszków – nakazał. – Macie nie przepuszczać gryzipiórków. Szczególnie tych szczurów z „Prawdy”. Niech sobie zagadują bohaterów w czerwonych mundurach. – I splunął, gdyż szczególnie lubił brytyjskich żołnierzy.

Jako pierwszy wylądował „Ikar”. Sterowiec zawisł między dwoma grubymi słupami. Pracownicy lotniska czekający na platformie chwycili rzucone im cumy i zwinnie niczym żonglerzy przymocowali je do wielkich haków. Pasażerowie „Ikara” nagrodzili ich oklaskami. Do gondoli pasażerskiej dopchnięto szeroką platformę. Natychmiast po otwarciu drzwiczek w burcie najbardziej niecierpliwi wycieczkowicze rzucili się na platformę, a ta, stękając od przeciążenia, powoli zjechała w dół.

Kiedy pasażerowie z Krakowa ustawiali się w kolejce do kontroli paszportowej i do urzędu celnego, na skraju portu lądowały „Gwiazda Świętego Jerzego” i „Pogrzebacz”. Legioniści otoczyli piratów i sprawnie wcisnęli ich do powozów z kratami. Burmistrz wypiął pierś na widok kapitana „Gwiazdy” Milтона Mabreya i jego żołnierzy.

– Witajcie w Wilnie, wielcy żołnierze! – pozdrowił Brytyjczyków po angielsku. Zamierzał w tymże języku wygłosić całe przemówienie, ale przezorni radni przekonali go, by tego nie robił, bowiem wiedzieli, że daleko mu do płynności. Wensławski-Wenskus kontynuował więc po litewsku, a stojący obok radny finansów Gerhard von Otto zakończył wypowiedź burmistrza:

– Jesteśmy bardzo wdzięczni, że znaleźliście się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Dlatego pozwólcie wręczyć wam symboliczny prezent w postaci klucza do miasta.

I w tej kwestii radni próbowali wpłynąć na burmistrza, ale tym razem Wensławski-Wenskus nie dał za wygraną. Wiedział, że bez tego gestu jego zdjęcie nie trafi na pierwsze strony gazet. Burmistrz wręczył Mabreyowi wielki klucz i odwrócił się w stronę fotografów.

– To dla nas wielki zaszczyt, panie burmistrzu. – Doświadczony brytyjski żołnierz nie zdradził swojego zdziwienia. – „Gwiazda Świętego Jerzego” przybyła, by chronić wasze wspaniałe miasto, i możecie być spokojni: dopóki jesteśmy w chmurach, dopóty żadni piraci nie odważą się zbliżyć do alianckich sterowców.

Gdy Gerhard von Otto przetłumaczył słowa Mabreya, tłum zaczął klaskać.

Legat wileński Srebro również uczestniczył w tej ceremonii, ale tylko uścisnął dłoń kapitanowi Mabreyowi i przeprosiwszy, pośpieszył do pilnowanych przez strażników podniebnych piratów.

Miła, Charles Finley i Edward O’Braitis jako jedni z pierwszych przeszli przez kontrolę paszportową, pasażerowie uprzejmie ich przepuszczali. Dziewczyna wyszła z poczekalni i rozejrzała się dookoła, szukając w tłumie

znajomych twarzy. Wreszcie dostrzegła czekającego z boku tego zgiełku Twardowskiego i szybko do niego podeszła.

– Wujku Nikodemie! – zawołała i uwiesiła mu się na szyi.

– Spokojnie, spokojnie, dziecko, nie mam już trzydziestu lat, a i ty nie masz szczęściu – zaśmiał się Nikodem. – Uspokój się, bo mi połamiesz stare kości.

Miła pocałowała Nikodema w oba policzki.

– Wujku, przestańże, w ogóle się nie zmieniliście.

– Za to ty bardzo się zmieniłaś – wesoło odciął się Twardowski. – Czyżbyś miała jakichś niezapowiedzianych towarzyszy?

Dziewczyna odwróciła się do śpieszących za nią Charlesa Finleya i Edwarda O’Braitisa.

– Wujku, poznajcie się, to Charles. To on mnie uratował przed piratami! A to Edward, pochodzi z Litwy, z Kowna. Obaj są adiunktami kapitana „Gwiazdy”.

Chłopcy uprzejmie się uklonili.

– Pochodzę z tym ziem, ale mam pewien kłopot – odezwał się O’Braitis po angielsku. – Nie mówię po litewsku.

– Za to ja zaraz będę świetnie mówił. Już się nauczyłem *labas dienas*<sup>[14]</sup> – wtrącił się Charles i szeroko się uśmiechnął.

Twardowski wypuścił siostrzenicę z objęć i podszedł do mężczyzn.

– Przyjaciele Miły są moimi przyjaciółmi – powiedział po angielsku, długo potrząsając ich dłońmi. Gdy się przywitał, na jego ustach zakwitł zagadkowy uśmiech.

– Na nas już pora – powiedział O’Braitis. – Żołnierze powinni być blisko swego kapitana, poza tym wasze służby bezpieczeństwa będą miały do nas masę pytań.

– Nie tylko oni, dziennikarze także – znów wciął się Charles. – Edwardzie, nie zapomnij, że kapitan Mabrey unika prasy jak diabeł krzyża. Więc szastać językiem będziesz musiał ty, Litwin.

– Czy zobaczymy się jeszcze? – zapytała Miła i odwróciła się do Twardowskiego. – Wujku Nikodemie...

– Zapraszamy was obu na obiad. – Twardowski natychmiast zrozumiał sugestię dziewczyny. – Może moglibyście odwiedzić nas pojutrze?

Mężczyźni z zadowoleniem przyjęli zaproszenie. Gdy Twardowski podał adres, pożegnali się i pośpieszyli w stronę migawek i podnieconych głosów unoszących się nad tłumem.

Nikodem objął Miłę w pasie i poprowadził do swojej karety, gdzie czekał

na nich Jan Basanowicz, który zdążył już przywitać brytyjskiego kapitana wraz z pozostałymi radnymi. Teraz obserwował, jak tragarze ładują na dach walizki.

– Miło, gdy cię widzę, dzień wydaje się jaśniejszy – rzekł uprzejmie i objął dziewczynę.

– Wasza broda, wujku Janie, urosła jeszcze dłuższa. Czyżby w Wilnie już nie było fryzjerów? – zażartowała.

Basanowicz puścił tę uwagę mimo uszu, posadził Miłę w karecie i odwrócił się do Twardowskiego.

– No i? – spytał cicho. – Jest?

– A jakże. – Po uśmiechu na ustach Twardowskiego nie pozostał ani ślad. – Jest. Dasz wiarę, że to Litwin? Do tego przykleił się jak mokry liść.

– Powiedziałaś Mile?

– Nie. I na razie jej nie powiem. Póki nie będę mieć stuprocentowej pewności, że jest agentem wskrzesicieli, nie puszczę pary z ust.

Basanowicz przytakująco skinął głową i ścisnął przyjaciela za łokieć.

Gdy piraci znaleźli się w pałacu Słuszków, a brytyjska załoga udała się do Bristolu, tłum zaczął rzednąć. Legat wileński Antoni Srebro ruszył do swojej karety, strzeżonej przez nudzącego się sierżanta, zostawionej poza terenem lotniska obok niewielkiej skarpy. Już zamierzał wskoczyć do powozu, gdy nagle oślepiła go magnezowa lampa błyskowa.

– „Wileńska Prawda”, dziennikarz Piotr Korszun, legacie. – Słowa wysypywały się z ust młodego mężczyzny o czarnych, potarganych włosach i wystającym, nieprzyzwoicie wielkim jabłku Adama niczym groch z dziurawego worka. – Jak posuwa się dochodzenie w sprawie wstrząsającego morderstwa?

– Dochodzenie jest w toku – odpowiedział sucho Srebro. – Nie mam nic więcej do dodania.

Dziennikarz stanął na palcach, był prawie o połowę niższy od legata.

– Z informacji „Prawdy” wynika, że dochodzenie stanęło w martwym punkcie. Nie macie podejrzanych, nie znacie nazwiska ofiary. Krótko mówiąc, niewiele działaliście.

– Powiedziałem już wszystko – warknął Srebro przez zęby.

– Zatem w mieście szaleje maniackalny morderca, a legioniści są bezsilni? – napierał Korszun, plując śliną. – Ach, rzeczywiście nie macie nic do powiedzenia.



– Dla waszej gazety nie mam – odciął się legat.

– Czy to znaczy, że boicie się wolnego słowa „Prawdy”?

Srebro zmarszczył brwi.

– Prawdy się nie boję. A waszą „Prawdą” podcieram sobie tyłek – ryknął rozwścieczony i w tym momencie został oślepiony przez magnezową migawkę.

– Czemu się tak denerwujecie, legacie? – Korszun wyszczerzył się z zadowoleniem i puścił oczko do fotografa, szczupłego drągala o bladej twarzy.

– Może pomóc? – spytał sierżant, który właśnie podszedł do Srebra i rzucił mu znaczące spojrzenie.

Legat milczał przez chwilę, wlepiając wielkie oczy w dziennikarza „Wileńskiej Prawdy”. Korszunowi zrobiło się nieprzyjemnie, a fotograf, wyczuwszy coś niedobrego, schował magnezową lampę i po cichu zaczął się wycofywać.

Nagle Srebro doskoczył do fotografa i wytrącił mu z rąk aparat. Asystujący mu sierżant zwinnie złapał prostokątne pudło, a legat w tym czasie dopadł do dziennikarza Korszuna, chwycił go za kark, dźwignął jak kociaka i w trzech podskokach poniosł do wysokiej skarpy, pod którą rozciągał się płytki, obrośnięty wodorostami zbiornik wodny. Po chwili nogi Korszuna dyndały w powietrzu nad urwiskiem obrośniętym ostrożniami i pokrzywami.

– Pomocy! Duszą wolne słowo! Puśćcie mnie! – zakwicział z przerażenia dziennikarz.

– Skoro o to prosisz... – rzekł Srebro i rozluźnił uścisk.

Posłaniec „Prawdy” sturlał się w dół zbocza i z pluskiem wpadł do zazielenionej wody. Zaraz za nim do stawu poleciała czarna skrzynka aparatu.

Srebro odwrócił się do sierżanta, a ten szeroko się uśmiechnął.

– Zmoczył się poszukiwacz prawdy – powiedział. – Następnym razem niech się zwraca pod inny adres.

– Takiej hienie inaczej nie wytłumaczysz – odrzekł Srebro i nagle zmarszczył brwi.

„Pod inny adres? Oczywiście! Adres – oto co zaprowadziło mnie w ślepy zaułek”, przemknęło mu przez myśl.

– Co się stało, legacie? – zapytał sierżant zaintrygowany zmianą wyrazu twarzy dowódcy.

– Nie pod tym adresem – zamruczał Srebro. – Co za głupiec podałby krętaczom czy nocnemu woźnicy swój prawdziwy adres. Grubasek Feliks nie jechał do siebie, dlatego nasi nie znaleźli żadnego Feliksa – powiedział

półgłosem i spojrzał sierżantowi w oczy. – Właśnie tak... Wyślij patrol na Paromieście, niech odwiedzą wszystkie babulki siedzące pod blokami, niech przepytają wszystkich najemców. Mają się dowiedzieć, czy ktoś nie zna niewysokiego, przysadzistego faceta o imieniu Feliks. Idę o zakład, że on gdzieś tam ma panienkę i to u niej się ukrył.

– Tak jest, legacie. – Sierżant zasalutował i odmaszerował, by wykonać rozkaz.

Zasnuty szarymi chmurami dzień powoli ustępował miejsca wieczorowi. Wilnianie śpieszący do domów potrząsali mokrymi parasolami i wsiadali do tramwajów parowych. Na ulicach zapalały się gazowe latarnie, które otuliły się przezroczystą woalką z kropli deszczu.

Legat Srebro siedział w swoim gabinecie i czytał pierwsze protokoły przesłuchań. Korsarze Stefana Rickusa najwyraźniej dopiero teraz zrozumieli, czym może się dla nich skończyć atak na aliancki sterowiec. Uwięzieni w celach śpiewali niczym nakręcone kanarki. Oczywiście o zaplanowanie akcji oskarżali przywódcę, Rickusa, ale jego nie udało się pojmać. Piraci twierdzili, że wypadł z pokładu z wiatrołapem, więc może zdążył go rozłożyć i bezpiecznie opuścić się na ziemię, lecz bardziej prawdopodobne, że roztrzaskał się jak placek. Odkrycie prawdy nie było jednak możliwe, bowiem „Ikar” został zaatakowany niedaleko Trok, na terytorium imperium rosyjskiego. Siły alianckie nie były tam mile widziane.

Uwagę legata przykuła linijka raportu, którą drobiazgowy śledczy podkreślił czerwoną kredką. Pojmani zeznali, że Rickus nie wymyślił sam ataku na „Ikar”, a został o to poproszony przez jakiegoś tajemniczego zleceniodawcę. Kilku mężczyzn twierdziło, że widzieli człowieka wychodzącego z Rickusem z gospody – wysokiego, łysego mężczyznę w czarnym stroju. Śledczy pisał: „Drżący bandyta, który przedstawił się jako medyk Zaręba, błagał o dawkę opium, a gdy ją dostał, śliniąc się, powiedział wszystko, co wiedział. Według niego łysy kazał zaatakować sterowiec koło Trok i porwać kogoś z pokładu”. Kogo miał porwać Rickus, oprych rzekomo nie wiedział, ale śledczy zanotował, że to akurat nie brzmiało wiarygodnie.

Srebro wstał, potarł bolącą głowę i nalał sobie do wysokiego szkiełka miodowej nalewki o kolorze bursztynu – swojego lekarstwa na ciężkie zagwozдки. Następnie podszedł do okna i spojrzał na Wilię otuloną zmierzchem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – rzekł legat, nie odwracając się.

– Legacie, jakiś gość do was – zameldował dyżurny.

Srebro spojrział na niego zdziwiony. Do pałacu Słuszków zazwyczaj przyprowadzano ludzi siłą, bardzo rzadko ktokolwiek zjawiał się tu z własnej woli i do tego niewzywany.

– Zaprosić? – spytał dyżurny.

– Nie, zejdę do sali przyjęć. – Legat za jednym zamachem dopił nalewkę i wyszedł z gabinetu.

Na dole było pełno ludzi. Legioniści właśnie wprowadzali uczestników kolejnej bójki z rozkwaszonymi nosami i rozdartymi ubraniami, dlatego Srebro swego gościa wypatrzył nie od razu.

Nagle przed nosem zadyndał mu biały parasol.

– Dobry wieczór, żołnierzyku czcigodny – zaskrzyphiał znajomy głos i parasol się złożył. – Zdrowia i szczęścia ci.

Róża z Bied przysłała do Słuszków wystrojona, jakby wybierała się na wieczorek taneczny – w czarną, długą spódnicę usianą błyskotkami i jasną, ozdobioną kwiatami marynarkę, która mogłaby świecić w ciemności. Twarz zakrywał jej czarny kapelusz z szerokim rondem i woalką.

– Doskonale wyglądasz, Rózo – pochwalił legat. – Czyżbyś się wybierała na randkę?

– O, to na pewno – kwęknęła Róża. – Mój miły dawno na mnie czeka, ciemna woda faluje. – Staruszka podparła się na parasolu. – Ale tym razem na randkę pójdziesz ty, sokoliku srebrzysty. Człowiek chce widzieć twoją nieskałaną twarz.

– Jaki człowiek? – zdziwił się Srebro.

– Sam wiesz jaki, sokoliku, sam wiesz. Dzisiaj przed północą będzie na ciebie czekał w gospodzie Smolianka. Powiedział mi: „Przeproś legata, że jest tak pilnie wzywany”. Tylko bądź sam, sokoliku, inaczej wybuchnie niepokój. A mnie, starej kobiecie, kopiejeczki za przyniesioną wiadomość nie pożałuj.

Legat wyciągnął z kieszeni półrubla i wręczył go Róży z Bied. Ta poczęła dziękować, życzyć zdrowia, a potem wyszła, torując sobie drogę parasolem. Zamyślony Srebro podrapał się po podbródku. Po co wzywa go wileński król zbrodniarzy Maciej Lewy?

Już zamierzał wrócić do swoich pokoi, kiedy jego wzrok natrafił na jeszcze jedną znajomą postać. Stary szewc Efraim siedział w sali przyjęć na ławce ze złożonymi przed sobą dłońmi i wolno bujał się to w przód, to w tył. Na jego ustach wykwił uśmiech.

– Co tu robi Efraim? – zapytał Srebro, machnąwszy do dyżurnego. – Co się stało?

Wszyscy wilnianie wiedzieli, że ten stary gawędziarz nie skrzywdziłby nawet muchy.

– A nie, nic – szybko uspokoił go dyżurny. – Przyniósł podkute i połatane buty, które chłopcy oddali do naprawy. Na dworze mocno pada, więc poprosił, żeby pozwolono mu posiedzieć tutaj, dopóki się nie uspokoi.

– Rozumiem, niech siedzi. Poczęstuj go herbatą – rzucił przez ramię, odchodząc. – Inaczej będą gadać, że jesteśmy niegościnni.

Zamyślony stary Efraim nie zważał na otoczenie. Zamrugał szybko kilka razy i kiwał się dalej, niewzruszony.

Ziemie carskiej Rosji niedaleko Wilna,  
wieczór  
23.04.1905

Nadchodził wieczór, gdy niewielki dwuosobowy biplan potoczył się łąką, odbił od ziemi i wystrzelił w górę. Pilot zakreślił w powietrzu koło i pomachał ludziom ustawiającym na łące lampy, które oświetlały okrętowi powietrznemu drogę. „Witiaz”, biplan należący do rosyjskich sił powietrznych, wystartował z dzikiego lotniska zorganizowanego w pobliżu Wyścigowego Portu Lotniczego. Rosyjskie biplany „Witiaz” nie były mile widziane na oficjalnym lądowisku, a do najbliższego rosyjskiego portu lotniczego było zbyt daleko. Jednak pilot wiedział, co robi, i pewnie skierował samolocik w górę.

Na fotelu pasażera siedział starszy redaktor „Wileńskiej Prawdy”, a obok niego jeden z jej właścicieli – Leib Wołyński. Nerwowo przełknął ślinę, starając się nie patrzeć w dół na szybko oddalającą się ziemię. Wolał myśleć o czymś przyjemnym, na przykład jutrzejszym wydaniu gazety. Afera w browarze Lipskiego, gdzie w cysternach znaleziono martwe szczury, została stłumiona w zarodku – redakcję odwiedzili dziarscy chłopcy Lipskiego z pakietkami trzyrublówek i temat, krótko mówiąc, wyczerpał się samoistnie. Historia byłego radnego wileńskiego Bukszy i zaginionych pieniędzy z folwarku nadal budziła ciekawość czytelników, ale to skandal na lotnisku okazał się najsmaczniejszym kąskiem. Kiedy świeżo zatrudniony w redakcji dziennikarz Korszun przykleił się do maszyny do pisania, nie dało się go od niej odciągnąć, dopóki nie wysmarował swojego dzieła przeznaczonego na pierwszą stronę. Nazajutrz o szalonym wileńskim legacie i tajemniczym mordercy będą krzyczeć na każdym rogu chłopcy Małachowskiego sprzedający gazety – całe Wilno będzie o tym huczeć. Pasażer biplanu aż się oblizał na tę myśl i nieostroźnie wychyliwszy się w dół, o mało nie pożegnał się z dopiero co zjedzonym obiadem.

Leib Wołyński lubił się spotykać ze zleceniodawcami przy lampce wina w hotelu, najlepiej w Bristolu lub Genewie. Ma się rozumieć, jeśli rachunek pokrywali jego towarzysze. Ale z umówionym na dziś zleceniodawcą było

inaczej. Dla niego Leib rzucił wszystkie prace i złapawszy za makietę pierwszej strony jutrzejszego wydania „Prawdy”, na której figurowała wykrzywiona ze złości twarz legata wileńskiego Antoniego Srebro, wskoczył do dylizansu i wyjechał z miasta. Leib zwykł mawiać: „Kto płaci, temu grają na życzenie”, więc szybko się przyzwyczaił do nocnych spotkań w przydrożnych gospodach czy w cieniu lasu. A mimo wszystko ten wieczorny lot wybił go z rytmu.

Wołyński wbił oczy w kask pilota i znów spróbował wrócić myślami do czegoś przyjemnego, na przykład wynagrodzenia za to kaskaderskie poświęcenie.

Biplan zanurkował w miękkie chmury, które zmieniły się w groźne, czarne olbrzymy, po czym zostawił je w dole. Gdy samolot zwiększał wysokość, oczy redaktora „Wileńskiej Prawdy” nagle stały się wielkie jak talerze, dostrzegł bowiem przed sobą największy sterowiec, jaki kiedykolwiek widział. Był kilka razy masywniejszy od alianckich okrętów rejsowych, po obu stronach miał przymocowanych po kilkanaście śmigieł, które kręciły się jak szalone, utrzymując to monstrum na ogromnej wysokości. Wołyński znał się trochę na sterowcach i wiedział, że zazwyczaj poruszają się na wysokości kilkuset metrów, gdyż na wyższych pułapach bardzo się zwiększa zużycie prometylu. Mógł się jedynie domyślać, jak wielką ilość gazu zżerał ten potwór, mogący podnieść się na wysokość kilku kilometrów. I nie tylko gazu – para napędzająca śmigła tryskała ze wszystkich stron, białą falą głaszcząc spód sterowca. Jednak Leib wytrzeszczał oczy także z innego powodu. Boki sterowca spajały szerokie, giętkie metalowe pasy, trzymające – redaktor nie mógł uwierzyć własnym oczom – urządzone na powierzchni kopuły pas do lądowania oświetlony lampami. Z boku stało na nim kilka biplanów. Leib dopiero teraz zrozumiał, dlaczego mały „Witiaz” nie szukał kawałka ziemi do lądowania – lotnisko znajdowało się ponad ich głowami.

Pilot zawrócił biplan i zaczął kręcić kółka wokół sterowca. W cieniu olbrzyma wyglądał jak zabawkowy samolocik. Redaktor miał okazję obejrzeć długi, otwarty pokład, przeznaczony nie do romantycznych spacerów, lecz do zrzucania bomb, i zamontowane nad pasem startowym gniazda karabinów maszynowych.

Samolot wykonał ostatni długi zwrot i zaczął pikować w dół, w stronę pasa do lądowania. Leib zamknął oczy, by nie zobaczyć, jak rozbijają się o stojący na końcu hangar lub wbijają się w kopułę wieży nawigacyjnej. Ale doświadczony pilot w samą porę zmniejszył prędkość i miękko posadził biplan na pasie.

Okręt zatrzymał się, nie dosięgnąwszy drzwi hangaru, a Leib dopiero teraz pojął, że przez cały manewr lądowania nie oddychał.

– Witajcie na „Ilji Muromiecu” – przemówił po rosyjsku pilot.

Leib Wołyński wysiadł z biplanu i od razu skulił się pod wpływem ostrego wiatru. Zrozumiał, że stoi na wysokości kilometra, a może jeszcze wyżej, na szczycie kopuły. Wykorzystując wszelkie zapasy odwagi, postawił pierwszy drżący krok. Gościa powitał matros w mundurze Rosyjskiej Wojskowej Floty Powietrznej, a pilot małego „Witiazia”, pogwizdując, zaczął szykować się do powrotnego lotu.

Prowadzony przez matrosa Wołyński wkroczył do niskiego i ciemnego hangaru. Z boku statku stał dźwig hydrauliczny, którego wszystkie ściany, sufit i podłoga były wykonane z krat. Żołnierz zaprosił gościa do środka, po czym sam wszedł do windy i zatrzasnął żelazne kraty. Leib o mało nie zemdleł, gdy zobaczył ciemną otchłań nieba. Przywarł do kąta, modląc się, żeby ten koszmar czym prędzej się skończył.

Matros szyderczo spojrział na trzęsącego się redaktora, wymruczał coś po rosyjsku i pociągnął za uchwyt. Dźwig zaczął się powoli opuszczać. Z powierzchni kopuły biło gorąco, słychać było klekotanie kręcących się po bokach śmigieł, dookoła nóg zaczęły im się plątać strużki pary. W końcu dźwig zaskrzypiał i stanął, a matros odepchnął kraty. Wołyński odetchnął z ulgą. Czując wysychający zimny pot, który zalał jego ciało, wkroczył do wnętrza „Ilji Muromieca”.

Długi wąski korytarz oświetlały jęczyczki salamandry, wynalazek alianckich alchemików – szklane naczynka dające blade zielonkawe światło. Żywy ogień stanowił zbyt duże zagrożenie na sterowcach. Po obu stronach korytarza ciągnęły się szeregi drzwi, zapewne były to kajuty i składziki. Na końcu znajdowały się jeszcze jedne drzwi, a przez szparę pod nimi przebijało się ostrzejsze światło. Matros otworzył je i machnął do gościa, by wszedł, a sam został na korytarzu.

Pomieszczenie, do którego wkroczył Wołyński, wyglądało jak jadalnia lub wspólny pokój spotkań. Wewnątrz zastał samotną postać zwróconą przodem do wielkiego okrągłego iluminatora.

– A więc jesteście! – wesoło przywitał gościa Aleksander Ignatiewicz Golicyn, rzeczywisty radny państwa rosyjskiego, odpowiedzialny za niegojącą się ranę północno-zachodniej części kraju, czyli wolne miasto Aliansu. – Mam nadzieję, że podróż was nie zmęczyła.

Golicyn był młody, ledwo przekroczył trzydziestkę, co zaskakiwało

wszystkich przy pierwszym spotkaniu z tym wysoko postawionym urzędnikiem. „Na pewno przez znajomości się gówniarz wybił”, myśleli sobie niektórzy. I nie do końca mijali się z prawdą. Golicyn był mądry, energiczny, pełen pomysłów i całym sercem oddany tezie Machiavellego głoszącej, że cel uświęca środki. Przystojny brunet o piorunującym spojrzeniu pomyślnie wspinał się po szczeblach kariery w Sankt Petersburgu i łamał serca arystokratycznych dam. Aleksander pragnął działać. Nęciło go przebywanie w wielkim centrum wynalazków i odczuwanie pulsu postępu. Romantyk i patriota, szczerze wierzył, że wielka Rosja powinna stać na czele rodzącego się na nowo świata.

Leib od razu zrozumiał, że ma do czynienia z ważną osobą, choć oko w oko spotkał się z nią po raz pierwszy. Rezydenci niższej rangi lub zwykli pośrednicy zazwyczaj po prostu zlecali przekazy i wypłacali pieniądze.

– Podróż była niespodziewana, wasza szlachetność – lakonicznie odpowiedział redaktor „Prawdy”, który już w szkolnej ławie wykuł na pamięć, jak i do kogo należy się zwracać.

Golicyn z zadowoleniem pokręcił głową.

– Oczywiście, „Ilja Muromiec” nieczęsto pojawia się w tych stronach. Ale teraz odbywają się manewry, dlatego pomyślałem, że was, przedstawiciela prasy, powinno interesować zapoznanie się z nowymi osiągnięciami rosyjskiej awiacji.

– Manewry? – zdziwił się Leib.

– Tak. A co? Jesteśmy przecież na terytorium Rosji. Nie bójcie się, waszego Wilna na pewno nie będziemy bombardować – roześmiał się. – A wizyta u nas powinna być interesująca dla wolnej prasy, którą bardzo szanujemy. Proszę się czuć jak u siebie. – Wskazał na stolik w rogu kajuty.

Na blacie stało wiaderko z chłodzącą się w lodzie butelką wódki i kilka talerzy z zakąskami – czerwonym i czarnym kawiozem, smakowicie pachnącym boczkem przekładanym przezroczystą krajanką i francuskimi ogóreczkami. Golicyn umiał przyjmować gości.

Niespodziewanie od ściany odkleił się cień jeszcze jednej postaci, której redaktor dotąd nie zauważył. Steward w ciemnym uniformie zbliżył się do Leiba.

– Czego sobie życzycie, panie redaktorze? – zapytał Aleksander Ignatiewicz. – Czerwonego kawioru czy może czarnego?

– I jednego, i drugiego – nieostrożnie kłapnął redaktor, po czym strasznie się zmieszał, ale Golicyn tylko się roześmiał.



Pstryknął palcami i steward – Wołyński dopiero teraz spostrzegł, że to automat – zabrał się do pracy. Przed Leibem w mgnieniu oka znalazł się kieliszek pełen schłodzonej czystej, nadziany na widelec ogóreczek i talerzyk z kanapeczkami.

– Za postęp! – Radny państwa rosyjskiego podniósł swój kieliszek.

Mężczyźni stuknęli się, po czym wypili do dna. Steward zaskrzypiał i nalał następną kolejkę.

– Oto nasz „Muromiec”. – Golicyn rozłożył ręce. – To pierwszy sterowiec mogący unosić samoloty. Niepotrzebne mu żadne lotnisko. Da się nim wznosić i lądować w dowolnym miejscu. Odległości znikają, od tej pory awiacja będzie mogła rozwijać się w zupełnie inny sposób. A to jeszcze nie wszystko. – Młody radny miał przyływ natchnienia. – Nasz „Ilja” posiada duże zapasy bomb i może wznieść się na wysokość czterech, pięciu kilometrów. Baterie karabinów maszynowych zapewne widzieliście przy lądowaniu. Jeśli, nie daj Boże, wybuchłaby wojna, dzięki tej maszynie bitwy powietrzne wyglądałyby zupełnie inaczej.

Redaktor rozdziawił usta i zamrugał. Nawet się nie domyślał, że Golicyn to i owo przemilcza. „Muromiec” był wielki, niezgrabny, do tego żarł drogi prometyl jak niekarmiony trzy dni prosiak. Przy próbach wzniesienia się na wysokość czterech kilometrów potrzebował balonów z tlenem dla omdlewającej załogi. Posadzone na nim malutkie „Witiazie” według prawie wszystkich parametrów ustępowały francuskim i angielskim biplanom, a wyprodukowane w Tule karabiny Diegtiarowa pozostawały daleko w tyle za maximami czy vickersami. Rozkaz imperium był surowy: wszystko tutaj ma być rosyjskie. Jednak takich szczegółów dziennikarz nie powinien poznać.

– Zapiera dech – rzekł Leib, pośpiesznie przełykając kęs, choć dech zaparł mu nie geniusz sterowca, a drugi kieliszek niezwykle gorzkiej wódki, która właśnie wędrowała do jego żołądka.

– Nie inaczej – z zadowoleniem przytaknął Golicyn. – Nie mogę, niestety, pozwolić na fotografowanie, ale możecie rysować. Z pamięci. I pisząc, wspomnijcie, że nowy rosyjski sterowiec umożliwia lądowanie na swoim pokładzie, że niedługo rozpocznie się masowa produkcja i że to będzie ostatnie słowo we współczesnym lotnictwie. No ale nie chciałbym was pouczać. Zaznaczcie jednak koniecznie – Rosjanin podniósł palec wskazujący – że ten sterowiec początkowo był przeznaczony do pokojowych ekspedycji i badań naukowych.

Mężczyźni roześmiali się z tego żartu i po przyjacielsku wychylili po

trzecim kieliszku.

– Wróćmy do naszych spraw – zaproponował radny państwowy. – Słyszałem, że ciekawe rzeczy dzieją się w Wilnie.

– Zgadza się, wasza szlachetność – przyznał redaktor i z żalem postawił na stoliku na wpół pusty talerz. Podniósł teczkę i wyciągnawszy z niej kilka kartek, wręczył je Rosjaninowi. – Tak będzie wyglądać jutrzejsza pierwsza strona „Prawdy”.

Legat wileński Srebro patrzył ze zdjęcia, jakby to on był mordercą zamierzającym wyrządzić wszystkim mieszczan. „Tajemnicze morderstwo! Skonsternowany legat atakuje prasę!”, krzyczał nagłówek. Pod nim umieszczono także fotografię mokrego Korszuna, który wróciwszy do redakcji, znów oblał się wodą, specjalnie do tego zdjęcia.

Golicyn zgrabnie wyciągnął z kieszeni binokle – nosił je tylko dla dodania sobie powagi, wzrok miał doskonały.

– Nieźle, nieźle – ocenił. – Tylko wydaje mi się, być może, być może...

– Powiedzcie, nie krępujcie się – zachęcił go redaktor. – Wszystko możemy jeszcze poprawić, tylko powiedzcie, co być może?

Na twarzy Golicyna odbiło się twórcze cierpienie i powątpiewanie.

– Naprawdę nie mnie decydować, wy jesteście mistrzem w swym fachu – zaczął – ale być może lepiej byłoby w nagłówku zaakcentować nie tego legionistę, którego mało kto rozpoznaje, a fakt, że morderstwo jest niewyjaśnione, że najpewniej maniak nie spocznie i kolejną ofiarą może się stać każdy wilnianin. Może „Przed Szczytem miasto obezwładnia strach” zabrzmiałoby groźniej, ale to już sami wymyślicie lepiej.

– Wiadomo, wiadomo – zgodził się Leib ze wszystkim. – Wspaniały pomysł, wasza szlachetność. Tak, tak będzie ciekawiej, sprzedamy więcej gazet, będzie większa korzyść i dla nas, i...

– Dla ludzi – przerwał mu Golicyn. – Oni przecież muszą znać prawdę, powinni wiedzieć, co się dzieje w mieście, czyż nie?

– Dokładnie tak! – Redaktor nie zamierzał się przeciwstawić niezaprzeczalnej prawdzie. Wcisnął papiery z powrotem do teczki.

– Michaille Saweliewiczu – zwrócił się Rosjanin z pełnym szacunkiem do sztucznego stewarda. – Pomóżcie naszemu gościowi. Weźcie jego dokumenty. – Następnie skierował wzrok na redaktora. – Moi ludzie zatroszczą się, żebyście, szanowny panie, opuścili „Ilję Muromieca” z upominkami. To jeszcze po jednym, jak to się mówi, na odchodne – dodał.

Kieliszki zabrzączały, a po kilku minutach bardzo zadowolony z siebie

redaktor „Prawdy” pożegnał się z Golicynem i chwiejnym krokiem wyszedł na korytarz, gdzie czekał już na niego matros.

Golicyn odczekał, aż drzwi się zamkną, i przeciągnął obiema rękami po twarzy, jakby chciał zdjąć niewidzialną maskę.

– Z jakimi śmieciami trzeba pracować! – mruknął i dodał do tego soczyste rosyjskie przekleństwo nieprzystające do powagi radnego państwowego. Następnie nalał sobie kieliszek – już piąty – wychylił go, odpiął kołnierz i podszedł do drzwi, za którymi znajdowała się kajuta przeznaczona dla wyjątkowych gości.

Tu wystrój znacznie się różnił od urządzonego po spartańsku „Muromieca”. Podłoga była wyłożona dywanami, pachniało egzotycznymi kadzidłami, cicho grał gramofon, lampka świeciła przyjemnie bladym światłem. Ale najcenniejszym zdobieniem kajuty okazała się leżąca na szerokim łóżku kobieta. Skubała winogrona i w zamyśleniu wpatrywała się w iluminator. Gdy Golicyn przekroczył próg pomieszczenia, leniwie odwróciła głowę, w ogóle się nie przejmując prześcieradłem, które zsunąwszy się, obnażyło jej niewielką pierś o idealnym kształcie.

– Nakarmiłeś wolną prasę? – spytała drwiąco kobieta.

– Aż nadto – odpowiedział Golicyn, sadowiąc się na skraju łóżka i odpinając spinki mankietów. – Jak mnie denerwują, Emilio.

– Spinki czy dziennikarze? – spytała i nie czekając na odpowiedź, przysiadła na kolanach. Prześcieradło opadło i Golicyn zobaczył to, czego niezamężna kobieta nie powinna demonstrować obcemu mężczyźnie. – Pozwól, że pomogę – zamruczała.

Radny wysunął ręce, nie odrywając wzroku od rysującego się w półmroku alabastrowego ciała.

– Hej, hej, wasza szlachetność, nie zapominamy się – zarechotała Emilia. – Mam rozumieć, że szczury wykonają swoją robotę?

– Tak. „Prawda” roznieci iskrę paniki, a ta niczym pożar rozprzestrzeni się po mieście. Ten dzieciak ze swoimi anarchistami, jak mu tam... Salomon, również szaleje, maże ściany tak szybko, że tamci nie nadążają zmywać, poza tym teraz graficy nie interesują legionistów. To morderstwo bardzo nam się przysłużyło, zupełnie jakbyśmy sami je zamówili. – Golicyn westchnął. Nie dlatego, że na Cmentarzu Cholery został zamordowany jakiś niedojda, ale dlatego, że Emilia, uporawszy się ze spinkami, pomogła mu pozbyć się koszuli i wsunęła smukłą dłoń w jego spodnie. – Jeszcze kilka dni i podczas Szczytu to miasto obróci się w beczkę prochu. A wtedy, moja miła, lontem staniesz się ty.

I będziesz musiała się bardzo postarać, jeśli chcesz, żeby... och...

– Póki co bardziej chcę się postarać dla tego lonciku – zamruczała Emilia i więcej nic nie powiedziała.

Młody radny zamknął oczy, wplótł palce w gęste, czarne włosy kobiety i jęknął. Zaprawdę, zasłużył sobie na niewielką nagrodę. Przecież póki co wszystko układało się nawet lepiej, niż planowano. Trochę niepokoiło go milczenie filera Skorochodowa, który miał dostarczyć obiecane dokumenty. Może pojawiły się jakieś problemy? Tylko czemu on...

– Czort! – zagrzmiał Golicyn i gwałtownie usiadł, zapomniawszy o wszystkich przyjemnościach. – Zaginiony filer z ważnymi szkicami... Nierozwikłane morderstwo na wileńskim Cmentarzu Cholery... – wycharczał. – Czort!

Wilno,  
przed północą  
23.04.1905

Ci, co częściej podróżowali główną drogą przez Malaty, a w szczególności handlowcy czy bogobojni pielgrzymi ściągający w stronę kalwaryjskiej drogi krzyżowej, dobrze znali tę prawidłowość: jeśli dłużej posiedzą na granicy Aliansu, trafiwszy na wściekłego rosyjskiego celnika, który przetrzepie ich do gołej skóry, po zapadnięciu zmierzchu do Wilna już się lepiej nie śpieszyć. Na głównej drodze biegnącej przez Malaty bywało tak ciemno, że aż kłuło w oczy, a strome brzegi Wilii i posępny sośniak stanowiły świetną przystań dla rabusiów. Minąwszy rogatki, lepiej zatrzymać się w gospodzie Słomianka u podnóża Werek, zaraz pod pałacem, zjeść sytą kolację, przenocować i następnego ranka z pierwszymi skowronkami ruszyć do Wilna.

Słomiankę lubili też mieszczanie. W ciepłe wieczory przesiadywali w ogrodzie należącym do gospody, gdzie karczmarz wynosił ławki i stawiał je prawie nad samą rzeką. Wilnianie z zadowoleniem raczyli się piwem Lipskim lub Šopenasem, podążając wzrokiem za przepływającymi łódkami i barkami.

Jednak tej nocy gospoda, do której przybył legat wileński Srebro, ziała pustką – nie było w niej ani wilnian, ani handlowców szukających schronienia, ani obwieszonych różańcami pielgrzymów, przez okna nie wylewało się światło. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że w Słomiance nie ma żywej duszy.

Legat wysiadł z dyliżansu, zanim ten dojechał do gospody. Stłukł szyjkę butelki przymocowanej do przenośnej latarenki, zagwizdała para i lampa zaświeciła zielonym światłem. Noc nie stała się od tego dniem, ale drogę pod nogami legat miał oświetloną wystarczająco, by nie potknąć się o wystający korzeń. Sierżanci usiłowali namówić dowódcę, by wziął do kompanii choć kilku legionistów, ale Srebro się nie zgodził – Róża z Bied wyraźnie nakazała mu przyjść samemu. Prawda, u jednego boku wisiał mu twardy kij, a drugi bok ubezpieczał ulubiony amerykański kolt Bisley, do którego miał pełne zaufanie.

Znalazłszy się koło gospody, legat zatrzymał się i spojrzął na rzekę, starając się dojrzeć jakąś sylwetkę. Żwir zachrząścił i z karczmy wyłonili się dwaj

mężczyźni. Ich twarze zakrywały zaciągnięte aż po oczy chusty. Zatrzymali się na kilka kroków od radnego i podnieśli ręce, by pokazać, że nie są uzbrojeni.

– Czekają na was – wycharczał jeden z mężczyzn i machnął ręką w stronę rzeki. – Bądźcie tak mili i chodźcie za nami.

Nieznajomi zmierzali w stronę legata, gdy ten się uśmiechnął, podniósł lampę i gestem pokazał, że będzie szedł na końcu. Podążyli ścieżką wijącą się aż do brzegu rzeki. Tu na małych falach bujała się łódka. Mężczyzna, który otwierał pochód, wsiadł do niej i złapał za wiosła. Drugi pozostał na brzegu.

– Proszę być tak miłym – zaburczał. Wyglądało na to, że takie uprzejmości są mu obce.

Legat wsiadł do łódki i położył lampę z lewej strony, pozostawiając sobie wolną prawą. Mężczyzna, który został na brzegu, odepchnął łódkę nogą, a wiosłarz zamaszystymi ruchami skierował ją na środek Wilii. Teraz Srebro wyraźnie widział majaczącą na wodzie sylwetkę barki, jakich używa się do transportowania piasku, kamieni czy węgla. Łódka stuknęła w jej niewysoki bok, do którego przymocowano metalowe schodki. Srebro zwinnie wskoczył na pokład, zaś mężczyzna siedzący w łódce odepchnął się i zniknął w ciemności.

Radny wsłuchiwał się uważnie w dźwięki nocy. Dookoła było spokojnie, tylko przy brzegach ćwierkały nocne ptaszki i cicho pluskały wiosła oddalającej się łódki. Barkę spowijała ciemność, jedynie przez szparę zamkniętych drzwi przeciskała się strużka światła. Srebro podszedł do nich i je otworzył.

Kajuta była oświetlona lampami gazowymi, a wszystkie okna starannie zatkanie. Pośrodku pomieszczenia stał niewielki stolik zastawiony przystawkami i dwoma kryształowymi kieliszkami. W wiaderku chłodziło się kilka butelek. W miękkim fotelu siedział uśmiechnięty właściciel barki, filar wileńskiego podziemnego świata – Maciej Lewy.

Ten niewysoki, łysiejący mężczyzna z zaokrąglonym od piwa brzuszkiem na pierwszy rzut oka przypominał bardziej historyka z progimnazjum lub nauczyciela geografii niż zatwardziałego grabieżcę. Jednak wystarczyło dostrzec nieznikający z jego ust krzywy uśmiech i oczy koloru ciemnego żelaza spoglądające z pogardą, by zrozumieć, że ze szkolnictwem ten typek nie ma nic wspólnego. Potrafił zabić z zimną krwią każdego, kto stanął mu na drodze.

Jego lewa ręka, zakończona wielkim hakiem, ze spokojem spoczywała na oparciu fotela. Gdzie i kiedy rabuś stracił dłoń, nikt nie odważył się spytać, a on sam o tej starej historii nigdy nie mówił, ale wielu boleśnie zapłaciło za

insynuacje, że Lewy to rodowe nazwisko Macieja.

– Witaj w mojej skromnej pływającej siedzibie. – Lewy nie wstał, tylko wskazał hakiem na drugi fotel. – Mogę zaproponować lampeczkę wina. Białego, czerwonego?

– Po co cały ten cyrk? Po co ten melodramat? – Srebro uśmiechnął się, usiadł w fotelu i bez wahania nalał sobie do kieliszka białego wina. – I po co ten statek? Czyżby wszystkie twoje sale w biedowskich piwnicach zostały dziś wieczór powynajmowane na przyjęcia urodzinowe?

Maciej zadzwonił dzwoneczkiem. Po chwili barka zahuczała i niewidzialni marynarze zaczęli podnosić skrzypiącą kotwicę, a statek ruszył powoli z prądem.

– *Perpetuum mobile*, wiecznie ruchome – ryknął Lewy. – Człowiek musi się poruszać, w przeciwnym razie czymże się stanie? Spróchniałym drzewem, które prędzej czy później zeżrą korniki.

– Czyżbyś się zainteresował filozofią, czując na karku oddech śmierci, Macieju? – rzekł z przekąsem legat. – Niespodziewany obrót spraw.

– Gdzie mi tam filozofia w głowie z czterema skończonymi klasami. – Lewy lubił podkreślać, że brak mu wykształcenia. O jego dyplomie doktora Uniwersytetu Erfurckiego wiedziało niewiele. – Spróbuj wielkich morskich grzybków, nie krępuj się, legacie – zachęcił. – Dzisiaj dostarczono je prosto z Rewla. Za swoją wypłatę chyba nieczęsto możesz sobie pozwolić na taką przyjemność.

Srebro bez skrupowania sięgnął po owoce morza. Alians za uczciwość i wierność płacił legionistom bardzo hojnie, dlatego usłyszawszy dowcip Lewego, tylko się uśmiechnął.

Lewy wrzucił sobie do ust dużą oliwkę i hakiem sprawnie chwycił kieliszek.

– Słyszałem, że do Wilna zleci się sporo panów z zagranicy – powiedział i pochyliwszy się, uzupełnił oba kieliszki. – W takim razie rozkwitną burdele i gospody. Nie codziennie takie okazje na zarobek spadają z nieba.

– Co do tego sprzeczać się nie będę – odrzekł legat. – Ale jeśli ktoś spróbuje potraktować przyjezdnych tutejszą uprzejmością lub wpadnie na jeszcze gorszy pomysł, spotka się osobiście z moimi najsilniejszymi legionistami. I tak przekaz swoim. Tym razem dotyczy to także Bied.

– Też coś, zaraz przemoc, zaraz bić. – Lewy wyraźnie się zasmucił. – W Ameryce, tak słyszałem, najpierw na głos czytają ci prawa, potem kładą do miękkiej pościeli, a jeśli dasz te... jak im tam... dolareczki, to nawet do domu

puszczają. I dopiero wtedy decydują, czyś winny. A u nas od razu, że złapiemy, wystrzelamy, pobijemy.

Srebro postawił kieliszek i rozwalił się na fotelu.

– Macieju, twoje wino jest wyborne, na oliwki i grzybki pieniędzy również nie pożalowałeś, gratuluję. A teraz mów, dlaczego chciałeś się spotkać?

– Oj, legacie, rzucisz się i nieźle się potłuczysz. – Lewego trudno było wyprowadzić z równowagi. – Ja przecież chcę tylko z tobą porozmawiać jak z kolegą, o nowinkach, o pogodzie, może nawet o kobietach, a ty wciąż gdzieś lecisz, dokąds się śpieszysz. To nie po chrześcijańsku. – Ze smutkiem pokiwał głową. – Widać nadeszły takie czasy, no cóż. Chciałem zapytać, jak ci się wiedzie, może badasz jakąś nową sprawę?

Srebro zrozumiał, że gierki się skończyły. Przybrał znudzoną minę i wrzucił do buzi jeszcze jedną oliwkę.

– Spraw, dzięki tobie i temu miastu, wystarczy mi do końca życia – powiedział. – Jedne udaje się rozwikłać, inne się walą. A co, może chcesz się wypowiedzieć? Z chęcią wysłucham.

– Z przyjemnością, tylko koloratkę zapomniałeś założyć – odparł Lewy i skrzywił się, słowne przepychanki najwyraźniej i jemu były nie w smak. – Słyszałem, że ktoś oddał duszę Panu na Cmentarzu Cholery.

Udawać przed kimś, kto nic nie wie, byłoby głupotą, a odkrywać karty – nierozsądkiem, dlatego legat wybrał trzecią drogę: obojętność, i nawet nie drgnął.

– Nieznana ofiara, okrutne morderstwo – trzepnął ozorem Maciej Lewy. – I jeszcze na Biedach mówi się o jakichś zaginionych papierach, które niósł ze sobą ten biedak.

– Powinieneś się stąd wynieść i pracować dla nas – zaproponował Srebro z uśmiechem. – Takich wszystkowiedzących nosimy na rękach.

– Na rękach, mówisz?! – ryknął król wileńskich zbrodniarzy. – Może to nie taki zły pomysł. A co byś powiedział, jeśli bym ci podsunął to? – Zza pazuchy wyciągnął złożone papiery i położył na stole.

Legat zachował spokój. Lewy ledwie widocznym zerknięciem ocenił samokontrolę doświadczonego rozmówcy.

– Wczoraj rano pojawił się u nas zmęczony Sanitariusz, chyba słyszałeś o takim jegomościu? Ledwo powłóczył nogami. Mówił, że tego jeszcze nie było, żeby nikomu nie mógł tego wcisnąć, nikt nie chce tych śmieci. Więc przyniósł je do mnie, choć wiedział, że jestem cnotliwym kupcem i niczego kradzionego nie biorę. – Wzrok Lewego wbił się w legata. – No i co miałem



zrobić, wziąłem. Przewertowałem, popatrzyłem na te krzyżyki. Mówię sobie: a gdzie tam pojąć to z moim rozumem. Ale zatrzymałem papiery, myślę, potrzymam sobie dla pamięci Waneczki. A może przyjaciołom oddam. – Zobaczywszy, że Srebro ze zdziwienia uniósł brwi, Lewy trzepnął zdrową ręką o kolana i zaczął się śmiać. – Oho, czyżbyś nie wiedział, jak się nazywał ten biedak? A to ci! Bierz, legacie, nie szkoda mi. – Lewy pchnął papiery w stronę legionisty. – Wiedz zatem, to Waneczka Skoryk, ślusarz czwartej kategorii z Odlewni Żeliwa Zimmermanna. Tę informację daję ci w prezencie, a za papiery przyniesione przez Sanitariusza zapłać. Ja naprawdę nie bardzo się znam, ale one są, zdaje się, ważne.

– Od kiedy brakuje ci pieniędzy, Macieju? – zainteresował się Srebro.

– A kto mówi o pieniądzach? – zdziwił się Lewy. – Umówmy się tak: ja tobie papiery, a ty, legacie wileński, zostaniesz mi dłużny. Kiedyś wyświadczysz mi przysługę, kiedyś, gdy będzie mi potrzebna.

Za starych czasów szefowie policji, doczekawszy się takiej propozycji, byliby z dumą odmówili, niektórzy może nawet zrobiliby głupstwo i pojмали bezczelnego bandytę. Jednakże głowa przestępczego światka Wilna dotąd takich propozycji nikomu nie składała – po co prosić o przysługę, kiedy wszystkie siły policyjne można sobie kupić? Wystarczy mieć odpowiednią ilość rubli. Z legionistami było inaczej, nie brali łapówek, dlatego trzeba się było dogadywać. A i sami najemnicy nie sprzeciwiali się konszachtom z bandytami.

– Dobra. – Legat długo się nie zastanawiał. – Jeśli tylko to nie zaszkodzi naszej umowie z miastem.

– To się rozumie samo przez się. – Maciej znów pchnął dokumenty w stronę urzędnika. – Weź je sobie, na zdrowie.

Srebro pobieżnie przejrzał papiery, po czym napił się wina i skierował wzrok na Lewego.

– Mów, Macieju, może wiesz też, kto zamordował Waneczkę?

– Nie wiem. – Król zbrodniarzy nagle spowaźniał. – Nikt nie wie. Biedy na pewno nie mają z tym nic wspólnego. I to jest najdziwniejsze.

Lewy znów potrząsnął dzwoneczkiem i barka zaczęła się piąć w górę rzeki. Obie strony, zmęczone swoim towarzystwem, chciały się czym prędzej rozstać. Po chwili barka zahuczała i zatrzymała się.

– Dziękuję za poczęstunek i ciekawą rozmowę. – Legat wstał i podszedł do drzwi, nawet nie podając Maciejowi ręki.

Już prawie wychodził, gdy wstrzymał go głos gospodarza:

– Myślisz, że obchodzą mnie tylko pieniądze? Bardzo się mylisz. Naprawdę zależy mi na tym mieście. Bez takich jak wy i bez takich jak ja ono by nie przetrwało. A my nie przetrwalibyśmy bez niego.

Legat na chwilę przystanął, po czym wyszedł po cichu i zamknął za sobą drzwi kajuty.

Wilno,  
pierwsza w nocy  
24.04.1905

Nocne Wilno prezentowało się zupełnie inaczej w różnych dzielnicach. Na Antokolu, Tuskulanach i Zwierzyńcu światła gasły wcześniej. Na Paromieściu do pracy śpieszyła nocna zmiana. Na Niechrtach do rana rozbrzmiewały krzyki i piosenki, na Biedach zwinnie pracowały ledwie dostrzegalne cienie.

Szumny plac Ratuszowy pustoszał, zamykały się sklepy, właściciele kramików zmiierzali na Niechrtzy bądź Czernie, a za nimi w objęcia szeroko otwartych zajazdów i gospód rzucali się spragnieni uciech wilnianie. Spokój placu zaburzały tylko kroki byłych carskich policjantów strzegących nocą ratusza, ciche dzwonienie ostatniego tramwaju parowego i tęskne odgłosy dzwonów kościoła Świętego Kazimierza. Gdy wybijały godzinę pierwszą, latarnia stojąca na końcu placu Ratuszowego na ułamek sekundy oświetliła cztery postacie w krótkich płaszczach, które wyłoniły się z ciemnej bramy. Zwinnie przemknęły na ulicę Sawicz, wedle starego przyzwyczajenia nazywaną Andrejewską, wystraszyły szykującego się do spania kota i przyłgnąwszy do ściany, złąły się z cieniami rzucanymi przez budynki.

Zza ratusza wyszedł nocny stróż niosący ze sobą lampę i skierował się na swą zwyczajową trasę: plac Ratuszowy, potem ulicą Szklaną do Żydowskiej, a z niej na Niemiecką i z powrotem do ratusza. Stróż nigdzie się nie śpieszył, raz po raz zatrzymywał się, by zaciągnąć się dymem.

Pierwsza postać ostrożnie wystawiła głowę zza rogu i odprowadziła spojrzeniem stróża skręcającego w Szklaną. Następnie pomachała swojakom, by ci podążyli za nią, wynurzyła się z cieni, ściągnęła z twarzy chustę i w bladym świetle księżyca pokazała się młoda, jeszcze całkiem dziecięca twarz.

Salomon Klein miał zaledwie czternaście lat. W wieku dwunastu uciekł z sierocińca, po kryjomu przedostał się do carskiego Kowna i zatrudnił się u piekarza Leibowica. Tam starannie szorował podłogi, mył piece i ugniatał ciasto. Wprawił jednak swego dobroczyńcę w niemąłą konsternację, bo zamiast całować po rękach za wikt i opierunek, domagał się zapłaty. Obity

i wykopany przez piekarza za drzwi chłopiec dopiero później się dowiedział, że postępowanie Leibowica względem niego nie było wyjątkiem. Chłopak nie zamierzał się jednak skarżyć. Wyciągnął ze skrzynki zawinięty w szmatę pistolet własnej roboty, wrócił do piekarza i wystrzelił w sufit, żądając zarobionych pieniędzy. Wywołał tym spore zamieszanie, ale korzyści było niewiele. Leibowic co prawda narobił ze strachu w gacie, lecz pieniędzy Salomon nie dostał. Żandarmi zaalarmowani odgłosem wystrzału zaciągnęli go na posterunek. Znudzony sędzia również chłopca nie pożałował. Trzy lata katorgi z dala od oczu porządnych ludzi to sroga kara za niewielkie przewinienie. Gdyby nie przyjaciele, Salomon najpewniej gotowałby teraz pomyje drwalom w zarentujskim czy innym katorżniczym więzieniu. Na szczęście dwaj jego towarzysze niedoli, znani anarchiści, którzy również zostali zesłani na roboty na Sybir, mieli inne plany. Pewnego dusznego letniego wieczoru podczas przewożenia wszystkich trzech więźniów z fortecy na dworzec kolejowy w Kownie wymęczeni przez upał strażnicy stracili czujność, zaś chłopcy nie zamierzali czekać na kolejną okazję.

Salomonowi odpowiadało towarzystwo nowych kolegów – nikt go tutaj nie krzywdził ani się z niego nie wyśmiewał. Przeciwnie – towarzysze nauczyli go strzelać i konstruować bomby. Salomon Klein stał się członkiem grupy anarchistycznej o nazwie Utopia. Ludzie ci nie lubili cara w równym stopniu, co bogaczy z wolnych miast Aliansu.

Zdobywszy zaufanie członków gangu, Salomon został wysłany do Wilna, zatrzymał się na Czerniach, zebrał grupkę nastolatków szukających przygód i zaczął działać na rzecz Utopii.

Całkowita wolność, nocne życie, szacunek członków grupy i ruble spadające z nieba prosto do rąk – czegoż więcej potrzeba czternastolatkowi? Salomon już od kilku tygodni terroryzował wileńskich stróżów nocnych – na ścianach reprezentacyjnych budynków wymazywał na czerwono rewolucyjne hasła. Nie umiał co prawda czytać, ale nie zawracał sobie tym głowy. Karteczki z tekstem, farby i zwinięte w rulonik ruble znajdował w umówionym miejscu o umówionym czasie. Tylko tyle go interesowało. Praca była lekka, nocni stróże tępi jak dzidy, legionistów ani śladu. Salomon zaczął powątpiewać w krążące po czerniowskich gospodach plotki odnośnie do surowości właścicieli pałacu Słuszków. A zadania stawały się coraz ciekawsze: wczoraj ściany pałacu Chodkiewiczów, dzisiaj ratusz, pojutrze wielka katedra.

Salomon podbiegł do ratusza z pędzlem w ręku. Po chwili dołączyli do

niego jeszcze dwaj chłopcy. Jeden trzymał puszkę z czerwoną farbą, drugi małą latarenkę i kartkę z napisem do skopiowania. Czasu mieli niewiele – jeśli stróż nie zatrzyma się na papierosa, wróci do ratusza za kilka minut. Salomon pośpiesznie mazał znajome już kształty liter i nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się szczekanie psa – znak od trzeciego pomocnika, że stróż wraca i czas się wynosić. Na ścianie pomaju wyrastał napis „Pracy, chleba, sprawiedliwości”. Jeszcze kilka maźnięć i praca będzie skończona.

Rozległo się szczekanie psa, ale zaraz ucichło. Chłopcy podnieśli głowy, nasłuchując w napięciu, czy odgłos się powtórzy. Wtedy usłyszeli dudnienie biegnących kroków, a oczy oślepiły im żółte magnezowe błyski.

– Legion Wileński! Ręce za głowy i wszyscy na ziemię! – zagrzmiął głos przyćmiony przez mechaniczną syrenę.

Przestraszeni pomocnicy Salomona zakwiczeli cienkimi głosikami, padli na ziemię i zalali się łzami. Przyjemne nocne przygody obróciły się dla tych dzieci w koszmar. Tylko przezorny Salomon przewidział taki obrót spraw. Przed pójściem na nocną wyprawę za każdym razem uważnie oglądał miejsce ataku. Dzisiaj zauważył zardzewiałe żelazne kraty niedaleko kościoła Świętego Kazimierza przykrywające wjazd do miejskich kanałów. Przez kilka porannych godzin, jako uparty przestępca, wyłamywał najbardziej zardzewiałe pręty, dopóki kraty się nie poddały i nie udało się ich rozepchnąć na tyle, by powstała przerwa, przez którą bez trudu mógł się prześliznąć chudy nastolatek.

Oślepiony przez światło chłopak upuścił ociekający farbą pędzel i kierując się jedynie przeczuciem, rzucił się w stronę wejścia do kanału.

– Stać!

Legioniści już prawie mieli go w swych szponach, lecz w ostatnim momencie Salomon wywinął się z uścisku i rzucił się w bok. Dopadł do krat i nie zastanawiając się ni chwili, osunął się w dół kanału. Następnie puścił się pędem przez ciemny tunel, starając się ustabilizować oddech i nie odwracać za siebie.

Powrót został odcięty. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie może się stąd wydostać tą samą drogą, którą tutaj wszedł. Nawet jeśli nikt go teraz nie gonił, legioniści na pewno ustawią strażę przy włączu, w którym zniknął. Do swojej mety na Czerniach też nie mógł wrócić – gdyby legioniści postraszyli Słuszkami, jego kompani na pewno wszystko by wygadali i jeszcze dodali coś od siebie.

„Cóż, trzeba odwiedzić skrytkę z pieniędzmi i uciekać z miasta. Ale najpierw muszę znaleźć wyjście z tych cuchnących tuneli”, pomyślał Salomon.

A cuchnęło niemiłosiernie. Stare kamienne tunele podziemi Wilna niegdyś służyły za więzienne cele oraz katakumby. Przeplatały się z nowo wykopanymi odnogami, które wylewały do Wilii ścieki. W węższych miejscach sięgały młodemu rewolucjoniście aż po kolana.

Chłopak znalazł się w kompletnym mroku, ogarnął go strach. Rozbryzgując śmierdzące płyny, puścił się gdzie oczy poniosą. Ciemność rozjaśniały raz po raz ledwo dostrzegalny blask księżyca bądź światło miejskiej latarni gazowej przedzierające się przez jeden czy drugi właz szybu odpływowego. Salomon spróbował jednym z nich wspiąć się na górę, jednak wciąż się ześlizgiwał i o mało nie wpadł w gnojówkę. Do tego na szycie szybu czekały na niego jeszcze kraty. Koniec końców zawiedziony chłopak przestał szukać drogi na wolność, stanął i gorzko zapłakał. Jeszcze nigdy nie był tak przerażony.

Nagle dookoła zrobiło się trochę jaśniej. Chłopiec rozejrzał się. Pod jego nogami pojawiła się chmara mrugających, bladych koralików. Przybywało ich z każdą minutą.

Oczy!

Ścieki zbulgotały i coś przyczepiło się Salomonowi do nogi. Jęknął przestraszony, schylił się i zaczął wrzeszczeć.

Otaczały go szczury. Ale nie zwykłe wileńskie gryzonie, z których przebiegli karczmarze przygotowywali pieczenie dla swych gości, ani te spaślaki grasujące po wysypiskach Nowego Świata. Oczy szczurów hipnotyzowały, zlewały się w jedno, w sztucznym świetle istoty te wyglądały niczym nadprzyrodzone stwory. Władcy tuneli, przyciągnięci przez nieznaną odgłosy, przybiegli sprawdzić, któż wtargnął do ich królestwa.

Krzyk chłopca najwyraźniej zdenerwował poczwary, ich długie ostre zęby wbiły się w buty z taniej skóry. Trysnęły krople krwi, skapnęły w cuchnące ścieki. Czując krew, szczury oszalały – całą chmarą rzuciły się na swoją ofiarę, oblaży ją i żelaznymi ząbkami wbiły się Salomonowi w nogi. Ciało chłopca przeszył ból, oczy wytrzeszczyły mu się z przerażenia, a z ust wydobył się krzyk. Zachwiał się i już miał runąć w spływające nieczystości, gdy nagle coś się zmieniło.

– Aaauuuuuu! – Przerazliwe wycie przetoczyło się tunelami wileńskich podziemi. Było pełne szalonej wściekłości, gniewu i żalu, zmieniło się w *crescendo*, a po plecach chłopaka przeszedł dreszcz. – Aaauuuuuuuu! – I szczury jakby zdmuchnął wiatr. – Aaauuuuuuuuuuuuuuuuu! – Najprawdopodobniej zbliżało się do niego jakieś niewidzialne zwierzę.

Salomon rzucił się do ucieczki. W ciemności miotał się po tunelach, nie

mając pojęcia, dokąd trafi. Kanał zrobił się trochę szerszy, woda sięgała teraz tylko do kostek. W sercu Salomona rozbłysła iskra nadziei, że nareszcie wyjdzie z tego przekłętą labiryntu, lecz błędząc po omacku, nie zauważył kamiennego gzymsu, uderzył o niego czołem i padł jak kłoda.

– Aaaaauuu! – Po chwili znów rozległo się wycie, lecz tym razem dużo cichsze. Stwór się oddalał, a szczury nie powróciły. Została tylko ciemność, smród i nieprzytomny chłopiec.

Wtem rozległo się chlupanie. Ktoś ostrożnie brodził w wodzie. Tunel oświetliła świeca przytwierdzona do kapelusza przybysza.

Salomon ocknął się, poruszył delikatnie, jęknął. Blask świecy padł na leżącego w wodzie zakrwawionego chłopca. Przybysz zachwiał się, jakby był pijany. Drżącymi rękami wyciągnął z kieszeni szklaną butelkę i szybko wlał sobie do gardła całą jej zawartość. Następnie potrząsnął głową i przycupnął obok Salomona. Obejrzał krwawiące czoło młodzieńca, przycisnął mu do skroni dwa palce, sprawdził puls i uniósł mu powieki. A potem złapał go pod pachami i zaczął ciągnąć podziemnymi kanałami.

Kilka skrętów i tunel stał się szeroki, a jego kamienne sklepienia znacznie wyższe. Człowiek zatrzymał się przy jakiejś dziurze. Cegły powypadały z muru, a może je powyjmowano, w każdym razie zostało ich zaledwie kilka rzędów u dołu, tworzyły teraz prowizoryczny próg. Nieznajomy, ciężko sapiąc, przeszedł z chłopcem na ramionach na drugą stronę i znalazł się w kolejnym niewielkim korytarzu. Po obu jego stronach mieściły się liczne nisze.

Zatrzymał się obok obitych żelazem nowych, mocnych drzwi. Położył chłopca na ziemi, wyciągnął spod poły klucz, otworzył drzwi i wciągnął rannego do środka. Następnie dwoma palcami zgasił świecę, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Duże pomieszczenie oświetlała stojąca w rogu lampa gazowa. Wcześniej mogła się tu znajdować cela więzienna, a może kościelne katakumby, jednak wstawiono tu dość sprzętów, by można było to miejsce nazwać mieszkaniem. Maszyna wielkości metalowej szafy, łóżko, szafa, od której ciągnęły się kable, i kilka urządzeń. W pokoju znajdowały się jeszcze dwie pary drzwi – jedne były nowe, zapewne wstawione niedawno, obite żelazem tak jak te zewnętrzne, drugie stanowiły najzwyklejsze żelazne kraty.

Nieznajomy nie zagrzał tu długo miejsca. Zrzucił marynarkę, ściągnął buty z wysoką cholewą i założył niższe, po czym zaciągnął na wpół żywego Salomona za drzwi z krat – do następnego pokoju. Bliżej wejścia stało kilka

szerokich drewnianych ławek, oświetlonych przez blade światło wpadające z pierwszego pokoju. W tym pomieszczeniu nie było lamp, koniec pokoju tonął w zupełnej ciemności. Od samych drzwi do ciemnego kąta ciągnęły się niczym żmije liczne kable.

Mężczyzna położył Salomona na jednej z ławek, zdjął mu buty, podwinął nogawki spodni, obejrzał krwawiące rany na nogach, oblepione brudem i błotem, i zamyśliwszy się, cmoknął z niesmakiem. Wrócił do pokoju, w którym cicho pracowała dziwna maszyna, i wszedł do pomieszczenia znajdującego się za drzwiami obitymi metalem.

Tu światło dawały szklane latarenki ustawione w kątach. Tańczyły w nich pomarańczowe płomienie. Ujrawszy ten pokój, najlepsi uczeni z Dominium Uniwersyteckiego spaliliby się z zazdrości – był duży, przestronny, od podłogi aż po sufit obstawiony aparaturą.

Światło dobrze oświetliło i samego nieznanego. Niewysoki, na pierwszy rzut oka niestary mężczyzna o zbyt wczesnie pobielających włosach i pomarszczonej twarzy. Jego skóra miała niezdrową, szarą barwę, miejscami zwisała, jakby nie było pod nią ani jednego mięśnia, a miejscami sztywna naciągała się na wystające kości.

Mężczyzna wziął pod pachę dużą drewnianą skrzynkę i uważnie patrząc pod nogi, by nie nadepnąć na ciągnące się kable, wrócił do pokoju, w którym leżał Salomon. Podeszedłszy do posłania, usiadł na krześle, przyciągnął do siebie stolik i położył na nim skrzynkę. Otworzył ją, zaczął wyciągać potrzebne mu przedmioty. Na stole znalazły się dwie butelki (w jednej chlupotała biała ciecz, w drugiej znajdowały się ciasno upchnięte zielonkawe liście jakiejś rośliny), nożyczki, kilka kulek waty, bandaże. Starzec wciągnął rękawiczki na kościste ręce, których skórę pokrywały szare plamki, otworzył butelkę, wysypał na dłoń szczyptę liści, wrzucił je sobie do ust i zaczął żuć. Zwilżył kulkę waty w białym płynie, po czym starannie wyczyścił pokąsane nogi chłopca oraz rozcięte czoło. Następnie wypluł na stolik przeżutą papkę liści i nabrawszy jej na palec wskazujący, ze skupieniem smarował rany.

Chłopiec jęknął i zaczął się wiercić, a mężczyzna, nie odrywając się od pracy, drugą ręką wyciągnął ze skrzynki chusteczkę umoczoną w jakimś płynie i przycisnął ją Salomonowi do twarzy. Młodzieniec po chwili się uspokoił. W końcu nieznanomy owinał rany bandażami, mrucząc sobie coś pod nosem, uważnie obejrzał nogi i czoło uszkodzonego. Najwyraźniej był zadowolony ze swojej pracy, gdyż ściągnął rękawiczki, schował buteleczki, watę oraz bandaże z powrotem do skrzynki i zamknął ją.



Jego oczy zboczyły na skórzane kajdany zwisające z obu stron posłania. Zerknął na nieruchomego, leżącego spokojnie chłopca, westchnął, wcisnął sobie skrzynkę pod pachę i zostawiwszy dziecko samo, poczłapał do innego pokoju.

Wilno,  
ranek  
24.04.1905

Promień porannego słońca od wschodu powoli przesuwał się po parapecie, a teraz delikatnie musnął twarz śpiącej na łóżku dziewczyny. Miła otworzyła oczy. Przez jakiś czas patrzyła na biały sufit pokoju, próbując odgonić sen lub przypomnieć sobie, gdzie przebywa. Za oknem ćwierkały ptaki, głośno, ale niezbyt zdecydowanie zapiął kogut, jakby przepraszając, że robi to tak późno.

– Gdzie jestem tym razem? – Miła zapytała samą siebie półgłosem, a odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Do pokoju przedzierał się smakowity zapach naleśników znany jej od dzieciństwa. – W domu – szepnęła z uśmiechem i spróbowała się przeciągnąć, lecz nieoczekiwanie całe jej ciało unieruchomił tak ostry ból, że aż jęknęła. Działo się tak każdego ranka, a mimo to za każdym razem zaskakiwało.

Miła wiedziała jednak, co trzeba robić. Zaczęła głęboko oddychać, próbowała się odprężyć. Jeśli pozwoliłaby sobie na chwilę dekoncentracji, ból z miejsca by ją sparaliżował. Nie zważając na niego, dziewczyna zamknęła oczy, powoli wyciągnęła rękę i chwyciła stojące na stoliku niewielkie pudełko z masy perłowej. Palce wskazujący i środkowy wsunęła w przeznaczone dla nich dziurki, w środku pudełka coś zaszumiało i spod spodu wysunęła się obita aksamitem szufladka. Miła słabła z każdą sekundą, ból stawał się nie do zniesienia, ale ona, zacisnąwszy zęby, wyjęła z szufladki metalowy przedmiot i wykonała codzienną procedurę.

Ból zniknął, a siły zjawiły się jak fala przypływu i przed oczami zrobiło jej się jaśniej. Położyła się jeszcze na moment, by przywrócić spokojny oddech. Uniosła rękę nad głowę i ujrzała niewielką ranę koło nadgarstka. „Wczoraj wieczorem jej nie było”, pomyślała i od razu o niej zapomniała. Wstała z łóżka, otworzyła szafę i poczęła przerzucać kolejne suknie w poszukiwaniu najodpowiedniejszej toalety na dziś.

Miła lubiła ładnie się ubierać i mogła sobie na to pozwolić, bowiem jej opiekun, Nikodem Twardowski, był nie tylko dobry dla swojej przybranej córki, ale i niezwykle hojny. W żadnym odwiedzanym miejscu nie

przepuszczała okazji, by choć na chwilę wejść do sklepu z konfekcją damską, gdzie zdolni krawcy oferowali przepiękne suknie, które wystarczyło tylko nieco zwęzić, by pasowały do szczupłej figury dziewczyny. Miła uwielbiała francuski jedwab, batyst i wełnę, zachwycali ją falbanki, długie szerokie spódnice i wygładzone bluzki o wyszukanych, ozdobionych nićmi rękawach.

Jej szafę przepełniały ubrania, dlatego stanęła teraz przed niełatwym wyborem. Ostatecznie wyciągnęła ciemnoniebieską, długą, pomarszczoną na wysokości stanika, a u dołu szeroką spódnicę, bluzkę z różowego jedwabiu, która idealnie pasowała do jej czarnych włosów i ciemnoróżową marynarkę z mnóstwem guzików na rękawach.

Po podjęciu decyzji opadła z ulgą na łożę i rozejrzała się po pokoju. Był niewielki. Poza łóżkiem i szafą, obok której leżały przyniesione wczoraj bagaże, stał tu jeszcze śliczny stolik tuż przy otwartym oknie, przez które wciskał do środka swe gałęzie bujny krzew jaśminu, oraz wielka, przywalona poduszkami skrzynia, na której, powykręceni w różnorakie pozycje, leżeli Skaramusz, Pierrot i Kolombina.

Miła podeszła do skrzyni i zagryzła wargę, rozważając, z którą laleczką chciałaby spędzić ten dzień. Skaramusz na „Ikarze” zachował się bardzo bohatersko, ale jego wyskoki irytowały dziewczynę. Dzisiaj zamierzała pospacerować po mieście swojego dzieciństwa, dlatego wybrała najlepszą towarzyszkę – Kolombinę. Podniosła lalkę i delikatnie, ale zdecydowanie przycisnęła palce do jej mechanicznego serca. Pod opuszkami wyczuła przebiegający puls Kolombiny, zupełnie jakby dotknęła słupa Volty. Powoli całe ciało zabawki zaczęło pulsować, a dotykająca jej ręka się rozgrzała.

Miła uwielbiała to uczucie. Gdy była nastolatką, czytała po kryjomu skradzione książeczki o pożółkłych kartkach, z których dowiedziała się, co to orgazm, choć sama nigdy go jeszcze nie zaznała. W Krakowie miała swoją sympatię – syna bogatego szefa cechu masarskiego. Nocami uciekała na potajemne randki w ogrodach floriańskich. Tam, przy świetle księżyca i kumkaniu żab, które rozsiadały się dookoła fosy, jej chłopak, niestety bezskutecznie, próbował zapewnić jej najwspanialsze wrażenia. Teraz, trzymając w rękach budzącą się do życia lalkę, czuła się, jakby oddała część siebie, a w zamian dostała cały świat.

Jej dłoń rozgrzała się aż do bólu, a Kolombina otworzyła wielkie, błękitne oczy i szybko zamruwała.

– Dzień dobry, ślicznotko – rzekła uprzejmie Miła.

– Dzie-eń do-obry – odpowiedziała, trochę przeciągając słowa, Kolombina.

Miła uśmiechnęła się i zaczęła szybko ubierać. Pośpieszał ją zapach placków, od którego w ustach przybywało jej śliny.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Kolombina.

– W Wilnie. – Miła często opowiadała swoim milusińskim o mieście, w którym spędziła dzieciństwo.

– Co dzisiaj będziemy robić?

– Pójdziemy na spacer. Pokażę ci najpiękniejsze miejsca w mieście.

– Bedę mogła obrazkować? – zainteresowała się lalka.

– Koniecznie! – zaśmiała się Miła. Jej humor szybko się poprawiał. Poranne bóle wydawały się już tylko częścią nocnego koszmaru. – Co to za spacer, skoro nie przyniesiemy obrazków?

– A oni? – Lalka nie mogła kręcić głową, dlatego poruszyła tylko gałkami ocznymi, by wskazać pozostałe automatony.

– Niestety, póki co nie możemy ich obudzić. – Miła pokręciła głową. – Teraz wolno mi codziennie ogrzewać tylko jedno z was. Ale są tutaj wujek Nikodem i wujek Jan. Jestem pewna, że oni coś wymyślą.

– I wtedy będziemy mogli pójść na spacer wszyscy razem? – W głosie lalki nie było słyhać żadnych emocji, ale Miła odnalazła w nich nadzieję i radość.

– Oczywiście, malutka. A teraz chodźmy na śniadanie. Tam mogą być obcy, więc się nie zapomnij.

– Dobrze – obiecała Kolombina.

Miła wskoczyła w buty – skromne, czarne, z niewysokimi i trochę krzywymi obcasami, jeszcze raz rzuciła okiem w lustro stojące na stoliku i ruszyła w stronę schodów. Zapachy zaprowadziły ją prosto do jadalni, gdzie czekał już nakryty stół. Gospodyni Marta nakładała właśnie na wielki talerz stertę parujących, złocistych placków. Miła powoli podeszła do kobiety i dłońmi zakryła jej oczy.

– O Jezusie! – Sberta placków zachwiała się i już byłaby upadła na ziemię ku uciesze płaczącego się gospodyni między nogami grubego prążkowanego kota, ale Miła szybko cofnęła ręce i w ostatniej chwili zdążyła wyrównać wieżę z naleśników. Kot, pozbawiony zdobyczy, miauknął niezadowolony, zaś Miła znalazła się w mącznych objęciach Marty. – Witaj, kochana, moja dawno niewidziana piękności. Pozwól, niech no na ciebie spojrzę. – Marta dźwięcznie cmoknęła Miłę w oba policzki i wzięwszy ją za ręce, cofnęła się, by obejrzeć ją całą od stóp do głów. – Ależ ty się zmieniłaś, jak Boga kocham! Jakbym zobaczyła na ulicy, to bym nie poznała. Zagranica wyszła ci na dobre, teraz wszyscy wileńscy kawalerowie stracą głowę.

– A na co mi ich głowy, Marto – zażartowała Miła. – Wystarczy mi moja. Za to ty wcale się nie zmieniłaś. I Rolmops jest dokładnie taki sam, może tylko trochę bardziej go utuczyłaś.

Miła schyliła się, by pogłaskać kota, ale ten fuknął i się cofnął. Może nie rozpoznał swojej towarzyszki zabaw, a może gniewał się, że nie udało mu się zwędzić placków.

Nie zwlekając dłużej, dziewczyna zasiadła do stołu i zaczęła się zajadać smaczными plackami, malując je gęstą śmietaną, domowym dżemem porzeczkowym i syropem klonowym – przysmakiem Nikodema, którym zaraził swoją przyszywaną córkę.

Wileńskie damy zdążyły przejąć modę na odchudzanie, która przybyła z Londynu i Paryża, dlatego w „Wileńskiej Prawdzie” znalazła się stała rubryka z radami dla pragnących utrzymać smukłą figurę pań. Na Antokolu jak grzyby po deszczu wyrastały tak zwane pałace chudnięcia należące do różnego rodzaju szarlatanów. Głowa katedry alchemii, Jan Basanowicz, uważał to za kompletną bzdurę: „Każdy alchemik, który stworzy napój na idealną figurę i zacznie go sprzedawać, zostanie natychmiast wydalony z gildii, straci licencję Aliansu i swoim roztworem będzie mógł handlować w Piwoszunach podczas odpustów”.

Miła wcinała placki, aż jej się uszy trzęsły. Wiedziała, że nigdy nie będzie miała problemów z nadwagą. Choć na taki chętnie zamieniłaby swoje własne.

– Gdzie wujek Nikodem?

– A gdzież mógłby być? – odpowiedziała Marta. – Tam gdzie zawsze. Nic się nie zmieniło. Wstaje pierwszy, z pianiem koguta, zjada śniadanie i biegnie do tej swojej nory. Ile razy ja mu mówiłam: przyjdę wcześniej, przygotuję jedzenie, ale jak grochem o ścianę.

Jednym uchem słuchając gdakania gospodyni, Miła pochłonęła ostatnie placki, wypila szklankę mleka, złapała Kolombinę, cmoknęła Martę w policzek i ruszyła długim korytarzem prowadzącym w głąb starego domu, potem skręciła w lewo i podążyła schodami na dół do najciekawszego miejsca posiadłości – laboratorium Nikodema Twardowskiego, niedostępnego dla nikogo poza przybraną córką wynalazcy. Tu spędziła najpiękniejsze chwile dzieciństwa, tu zostawiła swoje serce. Nieważne, gdzie przebywała – w Pradze, Warnie czy Krakowie – zawsze pragnęła tutaj wrócić.

Laboratorium każdego alchemika, hipnomanty czy mistyka stanowiło prawdziwą twierdzę, do której obcych wpuszczano bardzo rzadko i niezbyt chętnie. Twardowski przestrzegał tej zasady z wyjątkową pieczołowitością.

Po odejściu z Dominium Uniwersyteckiego spędzał tutaj mnóstwo czasu i nawet Marcie surowo nakazał nie wścibiać tu nosa, a nawet nie schodzić po schodach wiodących do piwnic domu. Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać – bała się Twardowskiego jak diabeł krzyża, żegnała się na samą myśl o tajemniczych hieroglifach wrytych na drzwiach laboratorium, chronionych przez tajny kod. Miła jako jedyna osoba poza jej przybranym ojcem znała ów kod i mogła wchodzić do pomieszczenia, kiedy tylko chciała. Twardowski całkowicie ufał swej podopiecznej.

Miła z uśmiechem patrzyła na metalowe drzwi, na których jak żywe obracało się sześć przekrwionych oczu, otoczonych przez mistyczne symbole, a na dole mrugało sześć kolorowych kwadratów. Przed kilkoma setkami lat Twardowski na pewno zostałby oskarżony o konszachty z Szatanem i spalony na stosie, ale w obecnych czasach takich znaków bały się chyba tylko przesądne babcie, a za kilka lat te zabezpieczenia zaczną być powszechnie stosowane w domach mieszczan.

– *Beauty is the eye of the beholder*[15] – wypowiedziała Miła i nie wypuszczając Kolombiny z ręki, wcisnęła po kolei kilka kwadratów, odwzorowując określoną kombinację barw.

Oczy na drzwiach się zamknęły, kolorowe kwadraty zgasły, rozległ się szum i odgłos odskakujących zasuw.

Miła pchnęła drzwi i weszła do królestwa marzeń z dzieciństwa. Rozejrzała się. Pomieszczenie wyglądało, jakby nic się tu nie zmieniło od jej ostatniej wizyty. Jak wówczas stał tutaj wielki stół, tablica do pisania i półki ze zlewkami o najróżniejszych kolorach. Na każdej wolnej powierzchni walały się narzędzia, a podłoga była wyłożona szkicami i dokumentami pożółkłymi ze starości. Cały ten twórczy bałagan oświetlał masywny żyrandol ze zwisającymi gumowymi pompami. Wystarczyło jedno kliknięcie, a laboratorium zalewało krwistoczerwone lub upiorne niebieskie światło.

Jednak rozejrzawszy się uważniej, dziewczyna dostrzegła pewne różnice. W kącie, między wspaniałą kolekcją gogli a drabiną Jakuba podłączoną do słupa Volty, pojawił się dziwny, wydający szemrzące odgłosy przyrząd z bulgoczącą substancją, na stół roboczy padał nie wiadomo skąd prawdziwy, ostry promień światła słonecznego, a w centralnym miejscu laboratorium znajdował się najnowszy wynalazek matematyka Charlesa Babbage'a – maszyna analityczna. Stos kart perforacyjnych świadczył, że wynalazek stoi tu bynajmniej nie dla ozdoby. W laboratorium brakowało tylko właściciela.

– Czy mogę porobić obrazki? – ocknąwszy się po przymusowej ciszy,

przewracając oczami, spytała Kolombina.

– Lepiej nie – odpowiedziała Miła. – Wujek Nikodem z pewnością nie byłby zadowolony, że ktoś obrażował jego gabinet.

W pamięci Miły pojawiły się wspomnienia: specjalnie dla niej dopasowane przez wujka gogle z przyciemnianymi szklami, nieodparte pragnienie, by coś konstruować, i pierwszy stworzony przez nią automatonek – niezgrabne, podobne do królika stworzonko. Po dokręceniu do końca sprężyny potrafił tylko raz podskoczyć i upadał na głowę. Później tworzyła już bardziej zaawansowane lalki. Po Dniu, który Wszystko Zmienił, zbudowała swojego pierwszego automata – Księżycolicego potrafiącego grać na skrzypcach. Niestety Księżycolicy zaginął podczas ucieczki z Konstancyopolu. Pewnego dnia, gdy Miła poczuła się wyjątkowo samotna i smutna, stworzyła Pierrota, Kolombinę i Skaramusza, jej obecnych przyjaciół. Gdy je ogrzewała, zabawki zaczynały mówić, a nawet myśleć. Twardowski na ich widok doznał szoku. Doskonale wiedział, co się stało w Dzień, który Wszystko Zmienił, dlatego zamknął się z przybraną córką w laboratorium i długo rozważał, co może grozić Mile tworzącej tak wyjątkowe zabawki, gdyby ktokolwiek się o nich dowiedział. Dziewczyna rozumiała zagrożenie, obiecała, że będzie ostrożna, jednak nijak nie mogła się powstrzymać przed ogrzaniem którejś z zabawek, by umilić sobie czas. Prawdziwe nieszczęście zdarzyło się podczas balu noworocznego w Pradze, kiedy zauważyli ją wszędobylscy wskrzesiciele.

Z rozmyślań wyrwał Miłę nagły szum. Z drugiego pokoju wyleciała skrzydlata istota. Jak szalona obleciała pokój przy samych ścianach, o mało nie wplątała się Mile we włosy i zniknęła za drzwiami.

– Aj! – krzyknęły jednym głosem przestraszone Miła i Kolombina.

Rozległo się chrząknięcie i w drzwiach stanął Nikodem Twardowski. Miał na sobie cienki jedwabny kitel, na czoło naciągnął gogle z podwójnymi szklami, a na barku siedział mu ptak. Miła przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła, że jest metalowy. Dziwna istota zaćwierkała, pokręciła głową i wbiła wzrok w Kolombinę, która wytrzeszczyła oczy.

– Miła, kochanie – ucieszył się Twardowski – już wstałaś? Myślałem, że po wczorajszych przygodach będziesz spać do południa.

– To coś prawie urwało mi głowę – poskarżyła się Miła, wskazując na mechanicznego pupila wuja.

– Tak, tak, mógł ją urwać – przytaknął naukowiec z roztargnieniem. – Arkusik jeszcze nie umie się zachować, gdy wpada na niespodziewaną przeszkodę. Ale ja też jestem gapa, zupełnie zapomniałem, że możesz tu

przyjść.

– A co jeszcze potrafi? Do czego służy? – dopytywała Miła.

Twardowski wyciągnął rękę, a ptak zszedł aż na dłoń. Jeden skok i znalazł się na barku Miły, pokręcił główką, po czym wbił w nową właścicielkę błyszczące oczy podobne do guziczków.

– To wspólne dzieło – wyjaśnił Twardowski. – Alchemicy poprosili, by wypróbować nowy, szczególnie lekki stop metalu. Mechanicy tworzą części, które mają poruszać się jak skrzydła ptaka. Jeśli eksperyment się powiedzie, zostaną wykorzystane do budowania biplanów. A Dominium interesują ruszające się obrazy, to znaczy czy w latającym obiekcie można zamontować kamery obskury. To może się bardzo przydać. W zwiadzie, przy wykonywaniu badań, do ochrony miasta.

– A mnie mówiono, że odsunąłeś się od spraw uniwersyteckich. – Miła końcem palca wskazującego pogłaskała dziób Arkusika. Oczy automata rozszerzyły się i zmieniły barwę z zielonej na niebieską. – Podoba mu się! – wykrzyknęła zadowolona.

– Reaguje na dotyk – wyjaśnił Nikodem. – Tak, oszedłem z uniwersytetu, ale panuje tam kompletny brak komunikacji i ciągle waśnie, dlatego wciąż zwracają się do mnie o pomoc. Po cichu, żeby się władze nie dowiedziały. Jak mógłbym nie pomóc starym przyjaciołom?

Miła rozejrzała się po laboratorium.

– Widzę tu wiele nowości, wujku. Co to? – Wskazała na promienie słońca padające na stół.

– Ach, to nic wyjątkowego. Jak by to powiedzieli moi sąsiedzi ze Zwierzyńca, zabowy. – Twardowski zaprosił Miłę do stołu. – Gram ze słońcem. Jeśli udałoby mi się okiełznać jego energię, wychwalany prometyl byłby niczym dziecięca zabawka. Poprosiłem majstrów, by wycięli w dachu i w ścianach otwory, ustawiłem lusterka i proszę, światło słoneczne dociera prosto do piwnicy.

– Zamierzasz okiełznać słońce...

Uczony się zaśmiał.

– Tak, ale to wcale łatwe zadanie. Proszę, nawet ściągnąłem sobie z Krakowa maszynę Babbage'a. Niesamowita rzecz, muszę przyznać. Aż w głowie się kręci, jak się pomyśli, gdzie można by ją zastosować. I w fabrykach, i na statkach powietrznych, i na uniwersytetach. Oto przyszłość...

– Wujku, musimy porozmawiać – przerwała mu Miła. Wiedziała bowiem,



że gdy naukowiec zacznie snuć swoje wywody, mało prawdopodobne, że się zatrzyma.

Twardowski w mgnieniu oka zmienił oblicze – z rozmarzonego naukowca przeistoczył się w zatroskanego opiekuna.

– Oczywiście, kochanie. Chodźmy do mojego pokoju, usiądziemy, napijemy się gorącej herbaty, śniadanie zapewne już zjadłś.

O ile Miła sobie przypominała, w świątyni wujka, niewielkim pokoju zawalonym książkami, między którymi z trudem mieścił się stół i dwa miękkie fotele, zawsze stała gorąca herbata. Rzadkich gości laboratorium uczony zapewniał, że filiżanka aromatycznej herbaty, którą sprowadzał aż z dalekiego Darjeeling, to jego życiowy napęd.

Wszedłszy do pokoiku, Miła usiadła na fotelu, położyła obok siebie Kolombinę i obserwowała, jak wujek kuca przy stoliku herbacianym, pod którym niebieskawy płomyk tańczył wolny taniec. Wyciągnęła rękę, a Arkusik przedreptał z jej barku i usadowił się na oparciu jej fotela.

Nalewając herbaty, Twardowski kątem oka spojrzał na Kolombinę.

– Jak się miewasz, malutka? – spytał.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała lalka uprzejmie, a Nikodem cicho się zaśmiał.

Miła uniosła filiżankę do ust, zamknęła oczy, upiła trochę herbaty i jakby na falach magicznego eteru znów popłynęła w dzieciństwo. Otworzywszy oczy, zobaczyła wbite w nią spojrzenie Nikodema. Uczony kiwał znacząco głową.

– Przepis się nie zmienił.

– Ale życie się zmieniło.

– To prawda. – Twardowski mieszał herbatę w oczekiwaniu na dalsze słowa dziewczyny.

Miła zebrała się w sobie i zdecydowała się wreszcie przejść do sedna.

– Wujku, jak kazaliście, wróciłam do Wilna. Ale niech to będzie ostatni raz. Nie chcę tak dłużej żyć. Nie jestem sejfem, którego trzeba pilnować całą dobę. Ani borsukiem, żebym się cały czas ukrywała w norze. Ja...

– Miło – spróbował się wtrącić Nikodem, ale dziewczyna nie dała sobie przerwać.

– Chcę żyć jak normalni ludzie. Rozumiem, że nie jestem zwykłą nastolatką, tylko... wybrykiem natury! – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Kolombina wyczuła nastrój właścicielki i natychmiast zaczęła cichutko szlochać. – Ale dłużej tak nie mogę. Już lepiej ucieknijmy gdzieś do Australii, zamieszkajmy tam na stałe, co ma być, to będzie.

– Kochana, kochana... – Twardowski niepewnie wyciągnął rękę, starając się zatrzymać potok słów, choć nieszczególnie umiał uspokajać młode dziewczyny. – Wszystko w porządku, nie trzeba żadnych Australii. Zostajesz w Wilnie. I kropka. Nie będzie więcej ucieczek. Tu jest twój dom. I zapamiętaj sobie: jesteś normalną dziewczynką. Żyj, jak ci się podoba. Studiuj w Dominium. Jeśli chcesz, znajdź sobie mieszkanie, pracę, przyjaciół. Wilno jest naszym miastem, tutaj będziesz bezpieczna. – Serce Nikodema krwawiło, gdy okłamywał swoją przybraną córkę, jednak nie miał innego wyjścia. – I nie zapominaj, Miła, jesteś normalna – powtórzył stanowczym głosem.

– Ale co będzie, gdy... jeśli...

– Będziemy szukać mostu, gdy dojdziemy do rzeki – odparł grzecznie Nikodem.

– Ja już mam przyjaciół. – Miła wytarła łzy i uśmiechnęła się, to samo na jej podobieństwo uczyniła Kolombina. – Charlesa i Edwarda. Pamiętacie, wujku, zaprosiliśmy ich jutro na obiad.

– Jak mógłbym zapomnieć, najmilsza – odpowiedział Twardowski. – Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi – dodał, krzywo się uśmiechnąwszy, ale tego Miła już nie zauważyła.

Podskoczyła na równe nogi i chwyciła Kolombinę. Po smutku na twarzy dziewczyny nie pozostał najmniejszy ślad.

– To my już lecimy, wujku – powiedziała. – Chcę zobaczyć, jak się zmieniło Wilno, i pokazać Kolombinie najpiękniejsze miejsca.

Miła pocałowała Nikodema w elegancko ogolony policzek, porwała lalkę i wybiegła z laboratorium. Wkrótce jej kroki ucichły. Twardowski siedział jeszcze przez chwilę zamyślony w fotelu, po czym jednym haustem wypił herbatę i uzupełnił wodę w imbryku. Następnie wstał, podszedł do półek z książkami i wyciągnął trzy tomy – jeden po drugim.

Półka powoli, zgrzytliwie przekręciła się na sprytnie zainstalowanych zawiasach. Za nią znajdował się jeszcze jeden, mniejszy pokój. Nikodem wszedł do niego i zasunął półkę. Dotknął lampy i pomieszczenie rozświetliło zamglone światło. Tutaj również leżało mnóstwo książek. Jedne wyglądały, jakby niedawno ktoś je wertował, inne przykrywała warstwa kurzu. Zwyklej osobie ich tytuły z pewnością nic by nie mówiły, ale bibliotekarz Dominium Uniwersyteckiego doznałby wstrząsu na ich widok. Były to stare i ciężkie księgi. Złe. Zakazane.

Oprócz książek na stole stała jeszcze jedna maszyna Babbage’a, dużo

mniejsza od tej z laboratorium. Przestrzeń wokół niej spowijały porozrzucone perfokarty, a kilka grubych kabli łączyło maszynę dwiema obróconymi kolbami, ściśniętymi szponami miedzi, z jeszcze dziwniejszym urządzeniem.

Elektrolabium.

Twardowski jedną ręką pchnął dźwignię znajdującą się w kolbie, a drugą zgasił światło. Pokój zanurzył się w mroku, lecz nie na długo. W kolbach zaświecił się upiorny, zielonkawy dym – koncentrat prometylu. Naukowiec zaczął kręcić zamocowanym przy kolbach uchwytem. Otworzyły się zastawki, zielonkawy dym wypływał wąskimi rurkami skierowanymi na ścianę pokoju, a ta za chwilę zaczęła świecić na taki sam zielonkawy kolor. Twardowski wybrał kilka perfokart i wcisnął je do maszyny na stole, która również była wycelowana przodem do ściany. Na płaskiej powierzchni pojawiła się mapa Wilna. Antokol, Czernie, Niechrzty. Nieprzyjemnie świeciły Biedy zlewające się z Nowym Światem. Paromieście i Śnipiszki wyglądały jak spowite przez mgłę, a Wilia błyszczała jak żywe srebro.

Nikodem przez chwilę się wahał, ale w końcu zdecydował się otworzyć szufladkę. Wyciągnął małą buteleczkę z kilkoma kroplami krwi. Przypomniał sobie, jak nocą, z cieniutką igłą w ręku, podkradał się do śpiącej Miły i aż wzdrygnął się obrzydzony swoim postępkiem. Wilhelm Klokmacher, potomek sławetnych zegarmistrzów, który po kryjomu i za spore pieniądze przygotował w Berlinie elektrolabium dla Twardowskiego, rzekł jasno: mechaniczne chrząszcze mogą pomóc ustalić dzielnicę, a w najlepszym wypadku – osiedle, ale jeśli chce się dokładności, wtedy już potrzebna jest krew. Niewiele, wystarczy kilka kropli.

Nikodem obrócił kolby dnem do dołu i wyciągnąwszy okute miedzią korki, pokropił je krwią. Zielonkawy dym zmętniał i zaczął syczeć. Uczony pośpiesznie zatkał elektrolabium i znów obrócił kolby. Dym wystrzelił w rurki niczym spuszczone ze smyczy pies gończy i po chwili objął mapę na ścianie. Twardowski zagryzł wargę i uważnie obserwował kontury miasta. Pojawił się niewielki czerwony punkcik poruszający się powoli uliczką na Zwierzyńcu w stronę prospektu Świętego Jerzego. Naukowiec skinął z zadowoleniem, po czym wymienił perfokarty na puste, żeby maszyna Babbage'a zarejestrowała przechadzkę Miły – odwiedzone miejsca i czas. Wykonał swoje zadanie. Wyszedł z tajnego pokoiku ze zwieszoną głową, zastanawiając się, czy aby na pewno cel uświęca środki.

Wilno,  
przed południem  
24.04.1905

Ludzie śpieszyli do Wilna jak wiosenny potok spływający z gór. Bilety na pociągi i sterowce dawno wyprzedano i ci, którzy zorientowali się zbyt późno, mogli liczyć co najwyżej na jeden, może dwa bilety zwrócone po rozejściu się wieści o ataku piratów na „Ikara”. Bombardowano Radę Wileńską, żądając dodatkowych rejsów, jednak radny kierunku Fiodor Szczerbakow uparcie się temu sprzeciwiał. Jego zdaniem znacznie przybyło wielkich sterowców ładunkowych, więc na prywatne, gościnne statki powietrzne tym bardziej nie było miejsca, ponieważ w strefie powietrznej ponad Wilnem mogłyby się zacząć tworzyć korki. Poza tym Gildia Nawigatorów nieszczególnie pragnęła, by w przypadku jakiegoś błędnego błędu któryś zagraniczny książę koronny roztrzaskał się na wileńskich kościołach.

Niestety zawiązawszy jeden koniec, rozwiązywał się drugi. Rosjanie, którzy założyli żelazną uzdę na ludność żyjącą na ziemiach zajętych przez imperium rosyjskie, nie wiadomo czemu nagle ją popuścili i wstrzymali patrolowanie swoich opancerzonych pociągów zmierzających do Wilna. Carscy żołnierze, którzy rozlokowali się wygodnie w wieżyczkach, teraz leniwie obskubywali słoneczniki i rzucali łupinki na ludzi oszalałych ze szczęścia, że mogą wyruszyć do wolnego miasta Wilna.

Główne drogi Trok i Wiłkomierza przepelniali piesi i wozy, między którymi przeciskał się jeden czy drugi niecierpliwiec pędzący na rowerze. Jedni mieli nadzieję, że podczas Szczytu zabawią się tak, że będzie co wspominać do końca życia, zaś inni chcieli zarobić na cały rok. Jeszcze inni korzystali z okazji, jaka spadła im z nieba, i postanowili nie wracać już z miasta Aliansu. Wezwawszy do pomocy marudzących pod nosem przystawów, wileńskie siły ochrony pracowały w pocie czoła. W alianckich punktach kontrolnych utworzonych na granicy legioniści ledwie nadążali z robotą, a i tak wszyscy wiedzieli, że najgorsze trudności dopiero nadchodzą.

Przybyszów sprawdzonych przez legionistów witały stragany postawione po obu stronach drogi. Ich właściciele nawoływali, by się u nich odświeżyć, coś

przekąsić, kupić sobie jakieś cacuszko. Szczególnie popularna była nowość sezonu – mechaniczne pudełko, w którym po wstrząśnięciu umieszczony pod szklaną kopułą święty Krzysztof zabawnie podnosił żelazne nóżki i przenosił przez Wilię Dzieciątko[16]. Na drodze znaleźli się także i biedowscy krętacze, którzy przekrzykiwali sprzedawców, oferując asystę i usługi przewodnika. Właściciele hoteli i kamienic również przysyłali tutaj swych pracowników. Co bogatsi decydowali się na ich propozycje i jechali do eleganckich moteli, biedniejsi zmiierzali na Czernie, Nowy Świat czy Popławy, gdzie za przystępną cenę mogli się spodziewać umeblowanego pokoju albo przynajmniej łóżka. Cwani handlowcy zaczęli oferować zatyczki do uszu Wileński Spokój, wyczuwszy interes nawet w tym, że panował tu niesamowity zgiełk.

Legat Antoni Srebro stał obok punktu pierwszej kontroli na drodze z Wiłkomierza, żuł jeszcze ciepły waniliowy obwarzanek, który kupił od ulicznego kupca, i spoglądał na sunący drogą tłum. Jego prawa ręka, pierwszy porucznik Michał Wielholski, małomówny Polak z Lublina o majestatycznej budowie, uważnie obserwował harujących legionistów i nie przeszkadzał dowódcy w rozmyślaniach.

A Srebro miał o czym rozmyślać. Poszlaki dziwnego morderstwa rozciągały się niczym pajęczna sieć iskrząca się w świetle słońca, to znów znikwały z oczu. Wczesnym rankiem legat najpierw odwiedził pokój Waneczki Skoryka w Królikarni i porozmawiał z właścicielką kamienicy, którą nazywano babą Zofią. Niczego się tam nie dowiedział. Życie lokatorów nie obchodziło Zofii ani odrobinę, zawahała się, czy w ogóle wie, kim właściwie był ten Waneczka – stolarzem, a może lutowaczem. Wieść o śmierci lokatora jakby trochę ją ucieszyła. Kręciła się po pokoju i rozważała na głos, skąd wziąć dodatkowe łóżka, by w czasie Szczytu zamiast jednego zmarłego Waneczki ulokować w jego pokoju czterech czy pięciu nowych przybyszów.

Oględziny pokoju też na nic się zdały: robocze ubrania, miednica z wodą, przyrządy do golenia, resztki jedzenia. Wyglądało na to, że Skoryk przychodził tutaj tylko po to, by przenocować i coś zjeść. Jednym słowem – ślepy zaułek. Za to prezent od Macieja Lewego okazał się bardzo interesujący. Legat siedział nad dokumentami do późnej nocy, ale i tak nic z nich nie zrozumiał, w końcu się poddał. Bładym świtem poprosił dyżurnego, by skontaktował się z radnym pary, przewodniczącym Gildii Mechaników Piotrem Wilejszym. Ten zaś tak zainteresował się owymi szkicami, że był gotów na piechotę przylecieć do pałacu Słuszków, lecz Srebro zaproponował spotkanie na Paromieściu. Legat zamierzał dowiedzieć się za jednym zamachem, jak się

mają sprawy w przemysłowym sercu Wilna. Wilejszys wspomniał coś o niezadowolonych robotnikach.

Sprawa Skoryka ciągnęła legata na dno jak kamień uwiązany u szyi. Do tego pochłaniała masę czasu. Co prawda głównym jego obowiązkiem było dbanie o bezpieczeństwo miasta, szczególnie podczas Szczytu, ale przecucie podpowiadało mu, że to dochodzenie jest nie mniej ważne. A może i ważniejsze.

Połknął ostatni kęs, strzepnął okruszki z rąk i odwrócił się do porucznika Michała Wielholskiego.

– Czekają nas gorące dni, bracie – powiedział.

Michał przytaknął na znak, że dowódca ma całkowitą rację.

– Dziś ty odpowiadasz za bezpieczeństwo miasta – ciągnął legat. – Zaprzęgnij przystawów, zbierz stróżów nocnych, ale zwróć uwagę, by w każdej grupce było po jednym z naszych – rozkazał. – Wpuścimy tych carskich grzotników, ale bez zamieszek się nie obejdzie. Postaraj się rozproszyć ludzi po różnych dzielnicach i wyślij więcej naszych do Białych Słupów Pohulanki. Dziś wieczór na Biedy polezie tyle niedojd, że na pewno poleje się krew. Ja jadę na Paromieście. Jeśli będą jakieś nowiny, przekażę do Słuszków.

– Tak jest, legacie.

– I jeszcze jedno... – przypomniał sobie Srebro. – Jeśli przyjdą jakieś informacje odnośnie do grubaska Feliksa, czym prędzej mnie informujcie. To może być bardzo ważne.

Mężczyźni skinęli jeden drugiemu i się rozeszli. Srebro pośpieszył do czekającej na niego patrolowej karety parowej, a Wielholski – do punktu kontrolnego. Żaden z nich nie zauważył obserwującej ich pięknej młodej dziewczyny w wysokich, czarnych, sznurowanych butach i nierzucającym się w oczy szarym kostiumie – krótkiej marynarce i długiej, wąskiej spódnicy. Gdy legioniści się rozdzielili, Emilia odwróciła się i ruszyła swoją drogą.

Minąwszy Werki i znajdujący się tu punkt kontrolny, droga wilkomierska otrząsała się z okupujących ją handlarzy, w linii prostej prowadziła do najbliższego przedmieścia Wilna, a zbliżywszy się do Śnipiszek, rozwidlała się. Prawa odnoga prowadziła do żelaznego Zielonego Mostu. Lewa była dłuższa i ciekawsza, to nią zmierzali przybysze szukający pracy, tędy toczyły się wozy obładowane towarami, tu czekały na nie zajazdy i podwórza do parkowania. Za nimi rozciągały się zaś ponure magazyny rozsypane na przestrzeni kilku wiorst. Niektóre wozy czmychały między nie, inne skręcały

na znajdujący się na lewo wileński Wyścigowy Port Lotniczy, którego czerwone bąble ostrzegawcze zawieszono na niebie dało się dostrzec z bardzo daleka. Na lądowisku oko przyciągał jeszcze jeden cud alianckich mechaników – ciągnąca się nad ziemią jednotorowa kolejka. Wypuszczając kłęby pary, pociągi z hukiem przemykały ponad głowami ludzi, strasząc konie i wprawiając w osłupienie tych, co jeszcze nie widzieli podobnego dziwactwa. Punkt końcowy jednotorowej kolei, jak i głównej drogi prowadzącej z Wilkomierza, stanowiło metalowe serce miasta – Paromieście.

Tutaj droga znacznie się rozszerzała, otaczały ją fabryki wypluwające nieprzyjazną parę. Wpadłszy w tę pułapkę, traciła swoją nazwę i stawała się Pierwszą Ulicą, a do niej dołączały Druga i Trzecia, które prostopadle przecinała Czwarta, zaś od niej odchodziła otulona kłębem pary Piąta. Dla stale śpieszących się mieszkańców Paromieścia takie rozplanowanie i nazewnictwo ulic było jak najbardziej do przyjęcia. Prawdę mówiąc, na samym Paromieściu nikt nie mieszkał, choć życie kotłowało się tutaj przez całą dobę – powstałe na ulicy Siódmej Gazowej fabryki zasilają gazem odlewnie stali i żeliwa oraz najskrupulatniej strzeżoną wytwórnię prometylu. Ich rury niczym węże wiły się nad ulicami Paromieścia. Na Czwartej i Szóstej od wczesnego rana w fabrykach Rivkinda, Surowicza i Menki rozprzestrzeniał się smród obrabianej skóry, który ciągnął się aż do Ósmej i zlewał się z zapachami Fabryki Tytoniu Edelsteina. Jeszcze dalej znajdował się plac, gdzie wyładowywano transport przywieziony z lotniska, a za placem widniały wysokie kominy Paromiejskich Zakładów Przemysłu Ciężkiego. Tam ulokowano turbinę parową i warsztat Piotra Wilejszysa, tworzącego eksperymentalne elementy mechaniczne, Odlewnię Żeliwa Zimmermanna oraz filię Allgemeine Elektricitäts, niemieckiego olbrzyma przemysłowego, który po długich negocjacjach zaczął montować w Wilnie dynamy. W bardziej ustronnych zakątkach, również przyssawszy się do rur gazowych, mieściły się Fabryka Kopert Papa, Fabryka Wag Mechanicznych i Urzędzeń do Wypychania Papierosów Braci Rakowickich, drukarnia Zawadzkiego, Fabryka Korków Liwszycy i inne mniejsze przedsiębiorstwa. Do Paromieścia tuliła się i dzielnica zaściankowa, gdzie niedawno otwarto biuro kompanii Lloyds, z bacznie dogładanymi arsenałami i artelami mistrzów puszkarskich i płatnerzy.

Niosące się po Popławach nieco jaśniejsze kłęby pary wskazywały drogę do Wielkich Saun, gdzie po pracy zmywali z siebie sadzę i smród paromiejscy robotnicy, jednocześnie wychylając jeden czy dwa kufle piwa.

Przybysze szukający tutaj pracy najpierw śpieszyli obwąchać dwa miejsca – nigdy niezamykającą się oficjalną paromiejską giełdę pracy i drugą, znajdującą się bliżej rzeki, nieoficjalną giełdę, gdzie można było dostać pracę na czarno. Paromieście obracało się niczym w szalonym kole: parowymi rurociągami napędzano jego krew, wynalazki błyskały jak fajerwerki, podziemiami rozchodziła się zachłanność, ludzka nadzieja i wszędobylskie mieszanki zapachów potu, żelaza i smaru. W całym tym chaosie życie miało jednak swój własny rytm, własne zasady, a wszystkim dyrygowała Gildia Mechaników, serce Paromieścia, mieszcząca się w wieży z dachem pokrytym zieloną patyną, z olbrzymim zegarem, widocznym z każdego punktu dzielnicy. Na życzenie alianckich architektów i przewodniczących Dominium Uniwersyteckiego Gildia Mechaników stała się paromiejską alfą i omegą, dnem, po odepchnięciu od którego wznosiło się na wyżyny.

Gdy Srebro dotarł na centralny plac Paromieścia, znajdujący się naprzeciw wieży Gildii Mechaników zegar wybił dokładnie południe. Chcąc uniknąć zwrócenia na siebie uwagi, legat nakazał kapralowi prowadzącemu karetę zatrzymać się gdzieś na uboczu.

– W gildii zejdzie mi około godziny – rzekł do kaprała, wysiadając z powozu. – A ty w tym czasie wejdz sobie do saun, umyj się, napij się piwa, posłuchaj, co mówią ludzie. Świecąc mundurami, niczego rzetelnego się tu nie dowiemy.

Zdążając przez plac Gildyjny, legat zobaczył grupkę obdartusów tłoczących się wokół niewielkiego plakatu, na którym czerwonymi literami wypisano: „Pracy, chleba, sprawiedliwości”. Słowo „sprawiedliwość” zostało zapisane z błędem, ale i stojący tu biedacy nie wyglądali na takich, co by umieli pisać bez błędów. Ponuro wpatrywali się w człowieka w niebieskim mundurze, jednak nie odważyli się zbliżyć do legata.

Dotarłszy do wieży gildii, Srebro wbiegł po kilku schodkach. Zaświszczała para i drzwi budynku samodzielnie się otworzyły.

– Witajcie w Gildii Mechaników, legacie wileński – przywitał mężczyznę metaliczny głos.

Automaton ludzkiego wzrostu, ubrany w nienagannie czysty uniform członka gildii, uklonił się i machnął ręką, zapraszając do środka. Srebro pokręcił głową, nie wiedział, jak reagować na ten żart szalonych mechaników. Automaton okazał się jednak dopiero pierwszą z niespodzianek, jakie go tu czekały. Cała sala główna przypominała muzeum, w którym najbardziej zaszczytne miejsca zajęły najnowsze wynalazki i już działające maszyny bądź



odważniejsze prototypy: małe przykręcane aparaty słuchowe wsadzone do ucha, maszyny do elektroterapii oraz bezprzewodowe urządzenia najnowszej generacji.

Obok jednego z takich bezprzewodników stało kilku mężczyzn o wschodnim wyglądzie, noszących białe jak śnieg kimona. Najprawdopodobniej byli to przyjeżdżający z daleka wcześnie goście Szczytu. Gorliwie się kłaniali i uważnie słuchali mężczyzny z czarnymi wąsami o robiącej wrażenie posturze, ubranego w marynarkę z długimi połami oraz w brązową kamizelkę i takiej samej barwy cylinder z niewielkimi zębatkami. Wileński radny pary i szef Gildii Mechaników Piotr Wilejszys opowiadał o wynalazkach gildii, zamazyście gestykulując. Na pierwszy rzut oka nie dało się zauważyć, że prawą rękę zastępuje mu przymocowana do barku metalowa proteza z łokciem i tłokami poruszającymi palcami (jeszcze jedno genialne dzieło wileńskich mechaników). Radny stracił rękę kilkanaście lat temu w nieszczęśliwym wypadku podczas budowania mostu kolejowego niedaleko Krakowa.

– Witajcie w Gildii Mechaników – automatycznie przywitał kolejnego gościa. Najwyraźniej nie miał zainstalowanego portretu pamiątkowego tej osoby, dlatego ograniczył się do ogólnikowego komunikatu.

Na widok legata Wilejszys machnął metalową ręką, przeprosił towarzyszy i ruszył przywitać swego gościa.

– Przyjechali Japończycy z Yokohamy – szepnął. – Bardzo interesują się... wszystkim, chcą zobaczyć wystawę, ale na Szczycie nie zostaną. Rozumiesz, w końcu wojują z Rosjanami. Dlatego kręcimy się wokół nich jak wiewiórka w kole. Zaraz wyślę ich do sauniarzy, a ty idź na górę – polecił. – Znasz drogę.

„Więc to dlatego Wilejszys zaproponował spotkanie w gildii, a nie gdzieś na Paromieściu”, przeszło legatowi przez myśl. Zazwyczaj mechanik zapraszał do niewielkiego pokoiku w swoim warsztacie. Srebro przez chwilę patrzył na Japończyków oślepionych przez kamizelki z brązu należące do Wilejszysa, cicho się zaśmiał, po czym wjechał dźwigiem na szczyt wieży. Powyżej znajdował się już tylko olbrzymi zegar i obserwatorium z wielkim teleskopem (jego brat bliźniak stał w obserwatorium Dominium Uniwersyteckiego).

Pomocnik radnego na widok legata uprzejmie podskoczył, ale Srebro powstrzymał go gestem i bez słowa wszedł do gabinetu Wilejszysa. Podszedł do staromodnej sekretary – tajnego schowka na alkohol. Otworzył drzwiczki, wyciągnął butelkę i nalał do dwóch szerokich kieliszków francuskiego piwnicznego koniaku. Jedno szkło postawił na niewielkim stoliku, a drugie zatrzymał w dłoni i podszedł do okna.

Nawet w ponury dzień wileńskie widoki oszałamiały. Do obserwatorium wznosiły się tylko rzadkie resztki paromiejskiego smogu, dzięki czemu zadymiona panorama miasta wyglądała wstrząsająco, jakby wyszła spod pędzla impresjonistycznego malarza. Paromieście przypominało mrowisko. Droga wilkomierską, gdzie tylko sięgał wzrok, napływała ludność, sunące Wilią barki cumowały do paromiejskich doków, przy brzegach rzeki, aż do Zielonego Mostu i Śnipiszek, ciągnął się targ rybny i polanowy, a w oddali w dnie Wilii gmerały metalowymi ryjkami oczyszczające muł, podobne do mitycznych potworów morskich, wielkie metalowe krety.

W innej części miasta świeciły wieże Dominium Uniwersyteckiego z kamiennymi puchaczami i kaukasami[17] na czubkach. Ulicą Wielką napływały potoki ludności aż do ratusza. Legat uśmiechnął się na widok dwóch patroli legionu. Jeszcze dalej, na Czerniach, a może już na Nowym Świecie, do nieba unosił się czarny dym, w którego stronę pędził paromobil straży pożarnej. Srebro spojrzął na znajdujące się na prawo, opierające się o siebie nawzajem czerwono-brązowe dachy Bied – podpalacze najczęściej skrywali się właśnie tam. Tylko Antokol i Zwierzyniec pozostawały w tym mrowiu spokojne i dumnie obojętne tonęły w zieleni.

Legat upił koniaku i przycisnął głowę do szyby.

– Rozgościłeś się, prawda? – Za jego plecami rozbrzmiał głośny śmiech.

– *Arigato gozaimasu*[18]. – Srebro odwrócił się od szyby, złożył ręce i ceremonialnie się uklonił.

– Czyżby diabeł posłał cię i do dalekiej Japonii? – Piotr Wilejszys cisnął wytworny cylinder w kąt, padł na otomanę i zdrową ręką chwycił stojący na stoliku kieliszek koniaku.

Legat puścił uwagę radnego mimo uszu i usiadł naprzeciwko gospodarza. Rozmawiali dłuższą chwilę o japońskim przemyśle, o możliwościach technologicznych, o trwającej wojnie z Rosją i o tym, czego Japończycy szukają w Wilnie na wystawie, która podczas Szczytu zostanie otwarta w pawilonie na placu Łukiskim. Potem Wilejszys jeszcze raz polał obu koniaku i mężczyźni spoważnieli.

– Na placu naprzeciw widziałem próżniaczących się poszukiwaczy prawdy. Dużo tu takich? – zainteresował się Srebro.

– Niemało – odrzekł Wilejszys. – Ale jak dla ciebie to wcale. Z moimi chłopcami na Paromieściu nie ma problemów. Wynagrodzenia dostają dobre, godziny pracy również są uporządkowane. Złamaliśmy nawet tych sukinsynów, braci Rakowickich. Powiedzieliśmy: albo kończycie zatrudniać dzieci, albo

z wszystkimi swoimi maszynami do papierosów będziecie się musieli przenieść do Nowowilejska. Imigrantów również próbowaliśmy zatrudnić oficjalnie, jak należy, tylko co z tego? Zaraz potem z imperium rosyjskiego przyjechała za nimi jeszcze piątka krewniaków czy znajomych. Napływają i napływają, gdzie mamy ich wszystkich upchnąć? – Wilejszys wzruszył ramionami. – A w kantorze nad rzeką pracy nigdy nie brakuje. Na Paromieściu, Czerniach, Nowym Świecie, Popławach, gdziekolwiek. Praca, jasne, nielegalna, płacą kopiejki, godziny mają nieunormowane, bezpieczeństwa żadnego, ale ludzie się na to godzą i pracują. Bo tutaj, wiecie, tu jest Wilno, ich wymarzone miasto. Dlatego tacy jak Rakowiccy uważają, że nie ma potrzeby zatrudniać ludzi oficjalnie. Skoro można się obejść bez żadnych papierów, a płacić pod stołem, zwalniają miejscowych, a przyjmują imigrantów z imperium rosyjskiego. Ale ich też wymieniają jak znoszone rękawiczki. A jeszcze ludzie wrzeszczą, że podobno maszyny mechaników odbierają im kęs chleba. – Rozgorączkował się i stuknął mechaniczną ręką w oparcie fotela. – To nie nasze maszyny są winne, a zachłanność tych zasranych przemysłowców. Tylko że ludzie nijak tego nie rozumieją, choćbyś i dał pałką w łeb. Dziś wieczór proszę – spojrział w stronę okna – zgromadzenie robotnicze na placu, grozi nam strajk. A lada dzień rozpocznie się Szczyt, Rada Wileńska nas ciśnie. I co robić?

Legat potarł czubek nosa.

– Może przysłać wam tu legionistów?

– Nie trzeba. – Wilejszys machnął zdrową ręką. – Zejdą się, pohałasują trochę i się rozejdą. A gdyby zobaczyli twoich w mundurach, zamieszki gwarantowane. Myślę, że sami to uporządkujemy. Mało kto tych strajkujących popiera, szczególnie teraz, przed Szczytem, gdy pracy jest aż po szyję. Ale koniec o tym. – Wilejszys usadził się wygodniej i skierował rozmowę na inne tory. – Niesamowicie mnie zaciekawiłeś tymi szkicami. Pokazuj, szanowny panie.

Srebro wyciągnął zza pazuchy papiery i rozłożył je na stoliku. Mechanik włożył na lewe oko duży połączony monokl i zaczął z zainteresowaniem studiować kartki. Legat uważnie obserwował zmieniający się wyraz twarzy Wilejszysa. Ten w końcu wyprostował się, rozpiął sobie górny guzik od koszuli i dłonią pociągnął przez podbródek. Jego mina podpowiadała, że bardzo się zaniepokoił.

– Gdybym nie słyszał twojej historii, uznałbym, że to podstęp lub brednie, i zapomniał o sprawie, ale teraz... – Wilejszys się zamyślił.

– No gadaj, kolego, co to za szkice? – zapytał w końcu zniecierpliwiony legat.

– Bionik – odpowiedział Wilejszys zamyślony. – To jakby automat i golem jednocześnie. Automaty stworzone przez mechaników mogą wykonywać tylko jedną czynność, maksymalnie kilka. Umiejętności golemów też są dość ograniczone, mogą czegoś pilnować, nosić ładunki czy zabijać, jeśli wyda im się taki rozkaz. A to bionik, coś zupełnie innego. On potrafi prawie wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że ta rzecz... – Srebro wskazał palcem na szkice – ta rzecz myśli?

Przewodniczący mechaników pokręcił głową.

– Nie, nie. To niemożliwe – wymruczał, przecierając czoło zdrową ręką. – Brednie. – Spojrzał legatowi w oczy. – Rozumiesz, automaty nie myślą. To jest fakt. Ale bioniki... One są jakby połączeniem maszyny i żywego organizmu. Taki wyjątkowy automat, kontrolowany przez człowieka, ale mogący zachowywać się jak ludzie. Uczeń rozmawiają o nich już od dobrych dziesięciu lat, ale nic z tych rozmów nie wynika.

– Dlaczego? – zainteresował się Srebro.

Wilejszys wzruszył ramionami.

– Nikt jeszcze nie wpadł na to, jak kontrolować bionika. Jak to zrobić, żeby działał, jak chce jego właściciel. To już nie jakiś tam śpiewający ptaszek, któremu wystarczą nakręcane sprężynki. To są granice naszych możliwości... – Uniósł protezę i metalowe palce zaczęły się zginać jeden po drugim. Następnie zacisnął pięść, pozostawiając wyprostowany jedynie palec wskazujący, który wymierzył w papiery. – Takich szkiców widziałem dziesiątki – mówił dalej Wilejszys. – Ale działającego prototypu... – pokręcił głową – nigdy. I nie słyszałem, żeby ktoś miał jakieś genialne pomysły, jak takiego stworzyć.

„Te szkice były dla kogoś szczególnie ważne, skoro zostały skopiowane i ukradzione. Jakim cudem trafiły do zamordowanego w dziwnych okolicznościach ślusarza?”, rozważał ponuro legat.

– Pofantazjujemy przez chwilę – rzekł na głos. – Jeśli byłoby możliwe stworzenie, jak go nazywasz, bionika... Kto mógłby to zrobić?

– Z pewnością nie mechanicy – odpowiedział Wilejszys. – My moglibyśmy wyprodukować wspaniałą maszynę. Automata. Nic więcej.

– W takim razie kto?

Wilejszys zdjął monokl z oka, chuchnął na niego, wytarł szmatką i włożył go

do kieszeni marynarki.

– Źle zadajesz pytanie, legacie – odpowiedział. – Kto mógłby go stworzyć? Już ci mówię: nikt. Kto by się na to odważył? Odpowiedź znasz sam. Pracy zwyrodnialcy.

– Wskrzesiciele – bardziej potwierdził, niż spytał Srebro.

– W Wilnie loża wskrzesicieli jest słaba, ale mogę się założyć, że te projekty to praca ich rąk.

Srebro wstał, złożył szkice, wcisnął je za pazuchę i stanowczo odmówiwszy jeszcze jednego kieliszka koniaku, skierował się do drzwi. Otworzył je, by jak najszybciej opuścić pokój, ale zatrzymał się nagle i odwrócił do Wilejszysa.

– Jak ci się wydaje, Piotrze, jakie przeznaczenie mógłby mieć taki bionik? – zapytał.

Przewodniczący mechaników i wileński radny nie zastanawiał się długo.

– Na szkicach przedstawione są tylko podstawowe części i zasady działania. Rozumie je pewnie tylko sam rysownik – odrzekł. – Ale według mnie szkic wygląda jak golem, a ich przeznaczeniem jest zabijanie. Spójrz raz jeszcze, metalowe palce rąk są niezwykle ostre.

Legat skinął i wyszedł z gabinetu.

Wilno,  
po południu  
24.04.1905

Kareta dowódcy legionistów wyjechała z Paromieścia, po czym przecięła całe miasto i skierowała się na południowy wschód, do miejsca, gdzie do Wilii wpada Kaukysa.

– No i jak? – spytał Srebro, rzuciwszy okiem na mokre włosy kaprala prowadzącego karete. – Byłeś w saunie? Czego się dowiedziałeś?

– Niczego dobrego – zameldował legionista, nie spuszczać wzroku z drogi. – Wszyscy mówią tylko o nowych maszynach, które wykańczają mechanicy i przez które setki ludzi tracą pracę. Robotnicy obiecują, że się nie poddadzą i krzyczą o strajkach.

– Rozumiem, zatem w ten sposób... – mruknął legat, a jego myśli zboczyły na cel podróży.

W porównaniu z Pragą, gdzie loża urządziła się we wspaniałym pałacu Schwarzenbergów, dworek w Markucjach należący do Wileńskiej Loży Wskrzesicieli wyglądał bardzo skromnie: piętrowa drewniana willa składała się z trzech części. Towarzyszyło jej tylko kilka dodatkowych budynków. Oko cieszył tu jedynie piękny, duży, dębowy park ze stawami wciśniętymi między drzewa. Cały teren został otoczony murem wysokim na cztery metry. Taka ascetyczność u wskrzesicieli zadziwiała – w Pradze rządili miastem, za to w alchemicznym Wilnie pozostawali niemalże bez głosu. W poplątanej, pełnej intryg grze alianckiej intryg wskrzesiciele stali po jednej stronie planszy, a mechanicy wraz z alchemikami po drugiej.

Wejścia do siedziby wskrzesicieli strzegły masywne metalowe wrota, nad którymi widniał herb loży – wznoszący się z płomieni feniks i znajdująca się nad nim litera V, oznaczająca *vitae*, uniwersalny symbol życia. Niedaleko bramy zamontowano niewielkie okienko przeznaczone dla porzucanych niemowląt. Liczni nieszczęśnicy przychodzili tu, niosąc w ramionach łkające maleństwo, i zostawiali je w tym okienku, licząc, że spotka je tu lepszy niż przy rodzicach los. Noworodki trafiały właśnie tutaj, a nie do dobrodusznych sióstr, tylko dlatego, że podczas świątecznych parad wskrzesiciele chwalili

się swoimi wychowankami – czyściutkimi, sytymi, ubranymi w marynarki ze znakiem feniksa. Po mieście po cichu roznosiły się plotki o eksperymentach na dzieciach wykonywanych przez wskrzesicieli w podziemiach, ale liczba podrzutków z tego powodu wcale nie zmalała.

Zaparkowawszy karetę przy ulicy Subocz, legat wysiadł i rozprostował nogi. Następnie skierował się do metalowej bramy, po drodze uważnie oglądając mur otaczający siedzibę wskrzesicieli. Był bardzo zadbany, zapewne niedawno otynkowany, gdyż na gładkiej powierzchni nie dało się dostrzec ani zadrapań, ani pęknięć, które mogłyby się przydać, gdyby ktoś zechciał przedostać się na drugą stronę.

Obok bramy wisiał mosiężny dzwoneczek. Legat potrząsnął nim, chwilę odczekał, a w bramie otworzyło się małe, zakratowane okienko.

– Jesście umówieni? – spytał dziwnie syczący głos.

– Nie – odparł Srebro i zanim zdążył się przedstawić, głos poinformował:

– Starszy nie pszczykuje. – I okienko się zamknęło.

Legat westchnął, z kieszeni wyciągnął metalowy przedmiot, który biedowscy chuligani ze strachu i z szacunkiem nazywali mordołamaczem, założył go sobie na knykcie prawej ręki, napiął się, złożył obie ręce i ze wszystkich sił uderzył w kratki. Jeden raz, drugi... aż pręty się powyginały. Ze środka rozległo się wściekłe szczekanie. Legat naszykował się na trzeci cios, ale okienko znów się otworzyło.

– Legat wileński Antoni Srebro – powiedział dobitnie. – Wpuście czy mam wrócić z obstawą? – dodał cierpko.

Człowiek za okienkiem nic nie odpowiedział, za to rozległo się skrzypienie odsuwanych zasuw. Wrota uchyliły się i legat przekroczył bramę.

Przywitali go dwaj wysocy mężczyźni w identycznych szarych garniturach i o bezbarwnych spojrzeniach. Cali naprężeni, trzymali na smyczach cztery szczekające mastify, Srebro nigdy nie widział tak wielkich psów. Stał przed nim jeszcze trzeci mężczyzna – dużo niższy niż ci dwaj, długie włosy miał związane w warkoczek, ubrany był w typową dla wskrzesicieli, pomarańczowo-czarną szatę. Wszyscy trzej mieli zapięte pod szyją guziki przedstawiające wlatującego feniksa.

– Ładne pieski – pochwalił Srebro, na co mastify odpowiedziały, wyszczerzając podobne do piły zęby.

– To świątynia życia i broń jest tutaj zakazana, a wy jesteście uzbrojeni – rzekł jeden z ubranych na szaro mężczyzn.

Legat zmierzył go wzrokiem i lekko się uśmiechnął. Wygląda na to, że ich

zasady świątyni nie obowiązywały, bowiem obu mężczyznom poły marynarki lekko odstawały, jakby pod nimi, przypięte do pasków, kryły się kabury pistoletów.

– Chyba sobie żartujecie – rzekł legat.

Mężczyźni jednocześnie zwrócili głowy w stronę tego najniższego. Najprawdopodobniej to on tutaj decydował. Ten przez chwilę się zastanawiał, po czym skinął znacząco.

– Idźcie dróżką, a następnie skręćcie w prawo i nad staw. – Gestem wskazał kierunek. – I postarajcie się nie zboczyć z drogi.

Spotkanie ze starszym wileńskich wskrzesicieli było krótkie. Legat znalazł go siedzącego nad stawem na ławeczce i karmiącego czarne łabędzie. Pięknie posiwiały mężczyzna nosił pomarańczowy fartuch, a oczy skrywał pod okrągłymi szklami. Zobaczywszy intruza, ani się zdziwił, ani zdenerwował. Wręcz przeciwnie, wstał i uprzejmie zapewnił, że loża wskrzesicieli jest zawsze gotowa współpracować ze strażnikami miasta, w dzień czy w nocy.

Srebro, nie tracąc czasu, podał mu tajemnicze szkice.

– Może się domyślacie, kto mógłby być ich autorem? – spytał bez ogródek.

Przywódca wskrzesicieli wziął szkice i wbił w nie swe wielkie okulary. Wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony.

– Naprawdę w niczym nie mogę wam pomóc. – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie widziałem tych szkiców. Może... – Zastanowił się chwilę. – Może zostały narysowane w jakimś innym mieście Aliansu? A może wcale nie w Aliansie?

Zapewnił legata, że na pewno się z nim skontaktuje, jeśli tylko dowie się czegoś konkretnego na ich temat, po czym pożegnał się, usiadł z powrotem na ławeczce i zaczął karmić czarne łabędzie.

Legat, już za bramą, po cichu się zaśmiał. „Chyba nie sądził, że okulary zdołają mnie oszukać”, pomyślał. Podczas wojny przesłuchiwał setki jeńców – nawet nie patrząc człowiekowi w oczy, umiał rozpoznać, kiedy mówił prawdę, a kiedy kłamał lub coś ukrywał. Starszy wileńskich wskrzesicieli z całą pewnością nie był z nim szczery, co bynajmniej go nie zdziwiło. Dlatego znalazłszy się za wrotami, przemknął się do najbliższej bramy, i po prostu czekał. Na szczęście niedługo. Godzinę później otworzyły się wrota siedziby wileńskich wskrzesicieli i wytoczyły się przez nie dwa zaprojektowane przez Léona Serpoletta trzykołowce podobne do karety, które zamiast lejców miały ster, a zamiast konia – kocioł z parą i dwucylindrową maszyną parową. Przed deszczem pasażerów chronił brezentowy baldachim,



a przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów zasłony. Nie była to duża czy szczególnie szybka maszyna, ale za to zwrotna, dzięki czemu wspaniale nadawała się na miejskie ulice.

Dwa trójkołowce potoczyły się ulicą. Legat natychmiast dobiegł do swojej karety.

– Jedź za nimi – rozkazał kapralowi już ze środka. – Tylko zachowaj odległość, żeby nas nie zauważyli.

Serpoletty nieśpiesznie podążały ulicą Subocz, następnie Popławską, a potem skierowały się w stronę Starego Miasta. Kareta legionistów siedziała im na ogonie, zachowując odpowiedni dystans, czego kierowcy parowych powozów najwidoczniej nie zauważyli, dlatego legat trochę się rozluźnił i przeciągnął na siedzeniu. Jednak ledwie przejechali przez targ rybny niedaleko Niechrztów i znaleźli się na Safjaniki, pojazdy wskrzesieli rozjechały się w różne strony – jeden skręcił w prawo, przeciął Wilenkę i obrał kierunek na Niechrzty, a drugi udał się w stronę kościoła Świętej Anny. Tego Srebro się nie spodziewał.

– Dawaj za tym, który pojechał prosto! – krzyknął do woźnicy. – Potem polecisz z raportem do Słuszków.

Po wydaniu rozkazu Srebro wyskoczył z karety, rozejrzał się i wbiegł do stojącego zaraz obok piętrowego murowanego domu, po czym w kilku susach znalazł się na pierwszym piętrze, gdzie zobaczywszy drabinę, zwinnie wspiął się po niej na dach i wbił oczy w ziemię. Ulice były tutaj wąskie, nie udało mu się odnaleźć wskrzesieli. Zaklął cicho.

Nagle po dachach przemknął cień. Srebro ze zdziwieniem podniósł oczy. Nad jego głową wisiał balon pocztowy, a tuż za nim bujała się długa lina, po której listonosz wciągał lub opuszczał przesyłki. Balon powoli się wznosił, dlatego legat nie zwlekał ni chwili. Rozpędził się i przeskoczył przepaść między dwoma piętrowymi domami, w myślach dziękując nieznanemu architektowi za wąską ulicę. Znalazł się dokładnie pod pocztowym koszem. Dwoma rękami chwycił się liny. Balon przechylił się pod jego ciężarem, a zza kosza wyjrzała zdziwiona makówka pilota w czapce.

– Legion Wileński! – Srebro ryknął z całych płuc, gdyż pilot miał założone grube nauszники chroniące przed ostrym wiatrem.

Nawet jeśli nie usłyszał słów legata, zrobił na nim wrażenie niebieski mundur. Jego głowa zaraz zniknęła, a lina nawinięta na kołowrót zaczęła się podnosić. Liny pakułowe były mocne, ale nieprzystosowane do takich ciężarów, dlatego Srebro unosił się bardzo powoli – dziesięć piędzi w górę,

kilka piędzi w dół. Gdy nareszcie sięgnął kosza, nogami zaczepił się o spód, rękoma chwycił górną krawędź kosza i okropnie dysząc, wpadł do środka. Zamknął oczy, próbował unormować oddech, a gdy je otworzył, zobaczył pochyloną nad sobą zmartwioną twarz pilota z naciągniętymi na czoło goglami.

– I co teraz... – odezwał się listonosz, ale Srebro nie pozwolił mu skończyć zdania.

Podskoczył na równe nogi, wychylił się przez krawędź kosza i zaczął się gorączkowo rozglądać. Trójkołowiec już dawno mógł się ukryć w jakiejś wąskiej uliczce między domami, ale dziś szczęście sprzyjało legatowi. Śledzony przez niego pojazd jechał ulicą Zarzecze. Obróciwszy głowę, dostrzegł i drugi przejeżdżający przed kościołem Świętej Anny. Zaraz za nim posłusznie toczyła się prowadzona przez kaprała karetka.

– Jestem Antoni Srebro, legat wileński – rzekł do pilota z powagą. – Wykonuję szczególnie ważne zadanie. Śledźcie tamten trójkołowiec. – Wskazał palcem w stronę serpoletta wskrzesicieli. – Pod żadnym pozorem nie spuszczać go z oczu.

Oślupiały listonosz nie wydał z siebie nawet sylaby, ale łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

Balony pocztowe zostały wyposażone w potężny silnik napędzany koksem i w stabilizatory po bokach, by po uruchomieniu silnika leciały tam, gdzie trzeba, niezależnie od kierunku wiatru. Jednak by zaoszczędzić na paliwie, listonosze zazwyczaj unosili się ponad dachami Starego Miasta, uruchamiając silnik tylko w razie konieczności podniesienia pułapu lub zmiany kursu.

Mężczyzna pośpiesznie włączył silnik, a balon zadrżał, zmieniając kierunek. Przystosowany tylko dla jednego człowieka, po tym, jak wdrapał się tu dodatkowy pasażer, balon zaczął powoli opadać. Kiedy znaleźli się nad Niechrtami, mocny podmuch wiatru zniósł go na bok, prosto na sterczącą iglicę kościoła Świętej Anny.

– Rozbijemy się – pisnął listonosz i gorączkowo pociągnął za uchwyt palnika, by dopompować gorącego powietrza.

Balon wzniósł się co prawda odrobinę, lecz zbyt mało i za wolno, by uniknąć zderzenia z kościołem.

– Co to? – Legat kopnął metalowe skrzynki ułożone na podłodze kosza.

– Ważne listy.

– Za burtę!

– Ale przecież... – Listonosz z przerażenia rozdziawił usta. Taki postępek wydawał mu się gorszy od katastrofy powietrznej.

– Za burzę! Natychmiast! – ryknął Srebro.

Wilnianie idący uliczką Świętej Anny ujrzeli tego dnia przedziwny papierowy deszcz. Podniósłszy oczy do nieba, dostrzegli balon, z którego niczym białe gołębie wylatywały koperty. Ciężka skrzynka plusnęła do wody. Konie, które spokojnie ciągnęły karecę, spłoszyły się i pognały brukiem pokrytym listami w towarzystwie kobiecych okrzyków.

– Czyż to nie wspaniały widok? Redaktorzy „Wileńskiej Prawdy” ucieszyliby się, gdyby mogli tu być z aparatami – szepnął Srebro.

Poświęcenie pilota nie poszło na marne – balon zaczął się unosić i ostre iglice kościoła tylko delikatnie zadrapały dno kosza.

Srebro chwycił służbową lornetkę listonosza i wrócił do swoich obserwacji. Z każdą chwilą jego twarz stawała się coraz bardziej pochmurna. Z początku wydawało mu się, że wskrzesiciel zmierzał ulicą Holenderską, by przedostać się na spokojny Antokol, ale ten nagle skręcił w prawo.

– Czyżby wracał do siedziby?

Ale nie, trójkołowiec potoczył się dalej ulicą Połocką aż do Batorego. To kompletnie zbiło legata z tropu, gdyż teraz wyglądało na to, że wskrzesiciel zamierzał wyjechać poza miasto.

Zrozumiał to i listonosz. Spojrzał na legata zmieszany.

– Za nim! – rozkazał Srebro.

Dotarłszy do alianckiego granicznego punktu kontrolnego, trójkołowiec zatrzymał się na kilka minut, po czym ruszył w stronę, gdzie horyzont spowijały kłęby ciemnego dymu – do Nowowilejska, ponurej, nieudanej kopii Wilna.

Nowowilejsk,  
po południu  
24.04.1905

„Niech się udławią tym swoim czortogrodem. My tuż obok Wilna postawimy lepsze miasto, miasto marzenie”, wycedził zarządca Guberni Wileńskiej Jegor Steblin-Kamieński, gdy zgasła gwiazda jego sławy. To on przekazał Wilno Aliansowi.

Carskim urzędnikom niezwykle spodobał się pomysł budowy nowego miasta. Niedługo potem wybrano niewielką wieś leżącą na północ od Wilna, która wkrótce zaczęła rosnać w oczach. Jedna po drugiej powstawały tu fabryki, pociągnięto tory, którymi z Mińska, Petersburga czy nawet z Charkowa zdążyły wagony ładunkowe. Powstała największa na świecie fabryka kos oraz olbrzymia wytwórnia łożysk kolejowych. Rodzące się miasto nazywano Nowowilejskiem lub Nowym Wilnem, a zamieszkali w nim robotnicy przerzuceni z bardziej odległych zakątków okupowanej przez Rosję Litwy.

Udając handlarzy, robotników czy turystów, rosyjscy agenci przedostawali się do Wilna, obserwowali, jak miasto się rozwija jako część Aliansu, a zdobyte informacje przekazywali rządzącym Nowowilejskiem. Ci kierowali się prostą zasadą: zrobić więcej i szybciej. Właśnie przez ów pośpiech nowowilejskie fabryki plujące ogniem i sadzą zaczęły przypominać przedsionek piekła, bowiem zwiezione tu maszyny były przestarzałe i niebezpieczne. Robotnicy, których umieszczono w barakach, popijali wódkę i słuchając gwizdków pociągów, klęli na los. Gospody sąsiedzkiego Wilna, sauny i parki zaczęły im się jawić niczym raj.

Gdy alianccy alchemicy stworzyli prometyl, z Nowowilejska do Wilna ciągnęły się kolejki uciekinierów szukających pracy i schronienia. Władza carska spodziewała się napływu ludności z Wilna na swoją stronę, dlatego droga między starym i nowym miastem nie była strzeżona.

Zorientowawszy się w sytuacji, Rosjanie szybko zamknęli i poddali stałej kontroli wszystkie drogi do Wilna. Wojsko otoczyło Nowowilejsk pierścieniem, a pracujących tam ludzi zmieniło w zakładników imperium

rosyjskiego. Mimo to brakowało siły roboczej. Burmistrz wpadł więc na wspaniałą myśl, by w jedynym jeszcze niewyciętym parku miejskim postawić szpital psychiatryczny, w którym zwiezionym ze wszystkich okolicznych guberni chorym jako wspaniałe antidotum przepisywać się będzie terapię przez pracę.

Miasto cierpiało z powodu takich ambicji, w powietrzu wisiał nieopisany smród, który latem jeszcze bardziej przybierał na sile, zaś zimą wiecznie brakowało drewna na opał. Nawet i carscy żołnierze, którzy wartowali wokół miasta, przydział do Nowowilejska nazywali zesłaniem.

Władza wykorzystywała ten odór niemal jak broń, jak zemstę. Gdy powiał wiatr ze wschodu, w kierunku Wilna, nowowilejskie fabryki otwierały wszystkie zastawki i wielkie śmierdzące chmury trującego dymu posuwały się w stronę znienawidzonego konkurenta, zmuszając wilnian do ucieczki z ulic, zamykania okien i drzwi. Lecz Alians nie zamierzał milczeć – wileńscy alchemicy stworzyli tarczę przed smogiem. Wydatki poczyniono ogromne, ale nie to było najważniejsze. Każde wolne miasto miało w swoim budżecie rubrykę „Ochrona przed zagrożeniami zewnętrznymi” i wykorzystywało fundusze zgromadzone na ten cel, jak uważało za stosowne.

Do miasta marzenia wjechał właśnie trójkołowiec wskrzesicieli śledzony przez legata wileńskiego Antoniego Srebro.

– Ja nie mam prawa tam lecieć. Oni zaczną strzelać – jęknął zaniepokojony listonosz, dusząc się od kaszlu.

– Nie zaczną – mruknął Srebro.

Uważnie obserwował serpolett, do którego podeszli dwaj carscy żołnierze. Pozostali trzej, w obdartych szynelach, owinąwszy twarze merlami, siedzieli na kamieniach obok drewnianej budki. Sprawdzenie trójkołowca należącego do wskrzesicieli nie trwało długo. Żołnierze przewertowali dokumenty przybysza, zasalutowali mu i wpuścili go do miasta. Srebro ze zdumieniem pokręcił głową. Po dobrej wiorście droga się rozgałęziała, lewa odnoga prowadziła na dworzec kolejowy, a prawa – do fabryk. Teraz i legat zaczął kaszleć, gdyż dym stał się tak gęsty, że promienie słońca z trudem przebijały się do ziemi, farbując na brudny pomarańczowy upiorne sztuczne chmury. Osmolone kominy fabryk sterczące ponad kłębam dymu wyglądały jak pazury olbrzymiego potwora.

Trójkołowiec skręcił w prawo, przejechał przez fabryki i wykonawszy jeszcze jeden skręt, znalazł się w parku, niegdyś pięknym i zielonym, teraz – jedynie miejscami zarośniętym przez krzaki, uschnięte drzewa, poczerniałe

liście. W jego głębi stał duży budynek.

Legat podrapał się po podbródku.

– Dziwna budowla – rzekł cicho. – Cóż to właściwie jest?

– Szpital psychiatryczny – wyjaśnił zadowolony z siebie listonosz.

Trójkołowiec podjechał do szpitala i zatrzymał się przed wejściem. Z pojazdu wyskoczył wskrzesiciel w szarym garniturze i od razu wszedł do budynku.

Legat Antoni Srebro rozejrzał się po niebie.

– Skieruj balon tam. – Wskazał na drzewa. – Nie pozostaniemy tu długo niezauważeni. Opuść go najniżej, jak się da, ja zsunę się po linie, a ty czym prędzej wracaj do Wilna. I piorunem przekaz informację do pałacu Słuszków – rozkazał. – Czy wszystko jasne?

– Jasne, jasne. – Pilot balonu skinął. – A co z wami?

– O mnie się nie martw – rzekł legat. – Choć... – Zmierzył wzrokiem drobnego pocztowca. – Dobra, kolego... Może mógłbyś mnie poratować?

Zrozumiawszy, co legat ma na myśli, listonosz usłużnie zdjął marynarkę.

Gdy balon odleciał, Srebro podbiegł do szpitala i ukrył się za krzakiem. Pozapinał marynarkę listonosza, którą zarzucił sobie na koszulę, a rękawy podciągnął do góry. Miał nadzieję, iż nikt nie zauważy, że ubranie jest na niego za ciasne. Przez ramię przerzucił sobie torbę pocztową.

Dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły należący do nowowilejskiego szpitala wyglądał jak wydłużone murowane pudło, jak więzienie, tym bardziej że w oknach umieszczono kraty. Tylko niepasująca do reszty metalowa kopuła w kształcie cebuli z prawosławnym krzyżem miała przypominać, że tu ludzi chroni sam Bóg. I chyba tak właśnie było, gdyż ludzkiej łaski pacjenci tej instytucji raczej się nie doczekiwali. Co prawda pierwszy dyrektor szpitala, niejaki Kraiński, posiadał resztki przyzwoitości, ale i on znał prawdziwe przeznaczenie tego miejsca – zapewnić nowowilejskim smokom przemysłowym darmową siłę roboczą. Niestety gdy przemówił w obronie szacunku do ludzi chorych psychicznie, sam został okrzyknięty szaleńcem i wykopany precz. Obecny dyrektor, który go zastąpił, okazał się bardziej oddany carowi. Szczególnie nie lubił pacjentów, których przysyłano do szpitala z kartą oznaczoną nagłówkiem „Tajne”. Tych nieszczęśników – najczęściej byli to biedacy protestujący przeciwko reżimowi – dyrektor z przyjemnością posyłał do specjalnych sal szpitalnych bez okien.

Legat wileński cierpliwie czekał. Dookoła nie było żywej duszy, a przed drzwiami szpitala stał jedynie przybyły z Wilna serpolett. Po kilku minutach

z budynku wyszedł wskrzesiciel, połą płaszczą zakrył sobie twarz, by nie wdychać trującego dymu, skierował się prosto do trójkołowca, wsiadł do niego, nie oglądając się dookoła, i odjechał.

Legat nabrał powietrza w płuca i po chwili ze zdecydowaniem wpadł do budynku przez główne drzwi. W niewielkim pustym westybulu o dawno niemytych oknach siedzieli przy stoliku dwaj żołnierze i grali w karty. Legat demonstracyjnie wysunął torbę pocztową, mając nadzieję, że żołnierze nie powstrzymają zwykłego listonosza. Strażnicy połknęli haczyk, zerknęli tylko na zmęczonego pocztowca i wrócili do gry. Srebro rozejrzał się wokół, po czym skreślił w stronę jedynych otwartych drzwi, za którymi dostrzegł długi, prosty korytarz.

Szpital robił przygnębiające wrażenie. Niski hol, kafelki na ścianach i podłodze popękane, zasłony wiszące na kilku oknach brudne od sadzy. Po kilku krokach legat zauważył zagłębienie w ścianie, z przegódką. Za nią, pod zapaskudżonym portretem przedstawiającym gubernatora, a może ministra zdrowia, siedziała przysadzista kobieta w białym, spranym kitlu. Przegryzała coś odwrócona w stronę obsiadłego przez muchy, zakratowanego okna. Usłyszawszy kroki, odwróciła się przez ramię.

– Poczta – zameldował Antoni Srebro czystym rosyjskim. – Polecona depesza dla starszego lekarza.

– Idź prosto – zasepleniła kobieta między kęsami kanapki i odwróciła się z powrotem do okna.

Srebro podążył korytarzem, jak najciszej potrafił. Mijał kolejne drzwi. Na ostatnich, na końcu korytarza, wisiała tabliczka z napisem cyrylicą: „Wasył Chardin, starszy lekarz”.

– Właśnie ciebie potrzebuję, bracie – zamruczał Srebro pod nosem.

U wylotu ciasnego holu zauważył placyk i żelazne schody. Podejrzewał, że są przeznaczone dla strażaków, łączą wszystkie piętra i prowadzą aż na dach. Wdrapał się na kilka stopni, a upewniwszy się, że ma rację, wrócił do drzwi gabinetu starszego lekarza i zapukał. Nikt nie odpowiedział.

Legat ostrożnie szarpnął za klamkę i zajrzał do środka. W niewielkim gabinecie siedział za stołem siwy mężczyzna pokaźnych rozmiarów w oślepiająco białym kitlu i prawie leżąc, zajadał się wielką pieczenią. Obok stała opróżniona do połowy karafka z białawym płynem. Po gabinecie roznosił się zapach wieprzowiny i wódki. Policzki doktora się zaróżowiły. Wyglądało na to, że obiad starszego lekarza bardzo różnił się od tego, którym raczyła się pielęgniarka.

– Poczta – rzekł Srebro. – Depesza specjalna, wasza dostojność – dodał pierwszy tytuł, jaki mu przyszedł do głowy.

– Wynoś się, matole! – wydyszał Chardin z pełną buzią, nawet nie podnosząc głowy. – Nie wiesz, gdzie zostawia się listy, kretynie?

– Bardzo przepraszam, wasza dostojność. – Srebro się uklonił, po czym wślizgnął się do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i zaczął się zbliżać do lekarza. – Ale pomyślałem, że depesza... w końcu jest polecona... – Specjalnie drżał, jakby się przestraszył. – Może jest bardzo ważna, dlatego tak się zastanawiałem... mówię, chyba trzeba by dostarczyć waszej dostojności do rąk własnych, żeby nie było...

Po takiej tyradzie lekarz w końcu uniósł głowę i spojrzał na bezczelnego listonosza. Widelec w jego rękę zawisł w powietrzu, a wzrok wbił się w wyraźnie za małą marynarkę pocztowca. W małych oczkach doktora zabłysło podejrzenie. Pospiesznie przełknął kęs i już otworzył usta, by coś ryknąć, ale legat jednym skokiem znalazł się przy stole i krawędzią ręki lekko stuknął lekarza w gardło, powstrzymując przedzierające mu się przez krtań słowa. Drugą ręką chwycił go za włosy i gwałtownie odchylił mu głowę. Doktor zaczął nerwowo łykać powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg. Jeszcze jeden sprawny ruch i przy jego gardle znalazł się nóż.

– Sza, spokojnie! – powiedział Srebro. – Milcz albo poderżnę jak wieprza. Zrozumiałeś? – Puścił włosy Chardina, pozwalając mu gorączkowo przytakiwać. – Świetnie! A teraz porozmawiajmy. Przed chwilą był u ciebie gość. Do kogo przyszedł? Z kim rozmawiał?

– Skąd mam wiedzieć – wysapał Chardin. – Mamy tu setki chorych i setki gości. Idźcie do dyżurnej pielęgniarki, ona wszystkich rejestruje w dzienniku.

– A mnie się wydaje, że ten gość miał przyjść prosto do waćpana, do starszego lekarza – szepnął Srebro lekarzowi do ucha. – A może odświeżyć panu pamięć? – Ostrze noża dotknęło tłustego, drżącego gardła i na mlecznobiałej skórze pojawiło się różowe pasemko.

– Aj, nie trzeba, nie trzeba! – zapiszczał lekarz. Jego i tak czerwone policzki przybrały kolor buraka. – Był, był... u mnie. Z Wilna. Z loży wskrzesicieli.

– Kto taki? Nazwisko – naciskał legat.

– Nie przedstawił się. Pokazał tylko kartkę z pieczęcią. Pozwolenie na odwiedziny swoich chorych o dowolnej porze dnia lub nocy.

„Swoich chorych? Czyżby wskrzesiciele ukrywali tutaj ludzi? Ciekawe jakich?”, pomyślał legat, zaś na głos spytał:

– Kogo zamierzał odwiedzić?



– Nie wiem! – bronił się starszy lekarz. – Nie pytałem. Wypisałem zezwolenie i skierowałem go do lekarza dyżurnego, by go zaprowadził. Z nim rozmawiajcie.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wszedł kolejny mężczyzna w białym kitlu. Na jego piersi widniała mała plakietka z napisem „Lekarz dyżurny”.

Legat ledwo zdążył cofnąć nóż od gardła i przystawić go do pleców Chardina. Pochylił się nad biurkiem i udawał, że przekłada papiery.

– Kierowniku, ten pacjent, u którego był gość... – Doktor zaczął już od progu, ale zobaczywszy, że Chardin nie jest sam, zamilkł.

Srebro ostrzegawczo dźgnął starszego w plecy.

– Wszystko w porządku, Sidorowie, to... eee... swój... – wysapał Chardin i wytrzeszczył oczy.

– Ale kierowniku – Sidorow całkiem się zmieszał – sami mówiliście, że o takich pacjentach powinienem informować tylko was i nikogo innego...

– O, gołąbku, właśnie na ciebie czekamy! – Srebro przemówił niewróżącym niczego dobrego tonem rewizora i demonstracyjnie zmierzył doktora wzrokiem od stóp do głów. – Tajne służby – przedstawił się. – Na ubiór nie zwracajcie uwagi, to kamuflaż – dodał stłumionym głosem. – A zatem... – obrócił głowę do starszego lekarza – doszły nas słuchy, że trzymacie tutaj leni. A w fabrykach katastrofa, brakuje ludzi! – Spojrzał na drobiącego przy drzwiach lekarza. – No więc, ten pacjent... – przypomniał. – Mówcie, gołąbku. A może języka zapomnieliście?

Przestraszony lekarz dyżurny zauważył, że wszechmocnemu kierownikowi szpitala spływają po skroni wielkie krople potu, i zrozumiał, że papiery są mało istotne. Trzeba się jak najszybciej wykręcić z tego położenia, tak by Chardin po wpadce nie pociągnął za sobą na dno i innych.

– Tak, tak... wasza... wasza dostojność. Ten pacjent... to był ten ze specjalnych. Położony tutaj z pisemnego rozporządzenia pana kierownika Chardina. Pana Chardina, więc...

– Nazwisko! – warknął legat.

– Franciszek Baltrus... ee... Piotrowicz... z Wilna. Doktor Chardin sam kazał zaprowadzić gościa do chorego. – Sidorow natychmiast wczuł się w rolę skarżypyty. – Ale, ale...

– No? – ponaglił go Srebro.

– Ale chorego nie znaleźli – wybełkotał Sidorow.

– Co? – Chardin i Srebro wrzasnęli jednym głosem.

– Tego pacjenta już u nas nie ma – rzekł doktor jakby z poczuciem winy. – Niedawno został wypisany. Krewni go zabrali. Wywieźli do Wilna. A kto go wypisał, tego nie wiem.

Wzrok drepczącego w miejscu Sidorowa zsunął się na podłogę, następnie przebiegł po gabinecie i ostatecznie mimowolnie zboczył na torbę pocztową, którą legat przerzucił sobie przez ramię. Nagle strach na jego twarzy zastąpiło zdziwienie, bowiem doktor zobaczył emblemat Wileńskiej Służby Pocztowej. Kamuflaż nagle zaczął mu się wydawać niezbyt przekonujący.

– W porządku, Sidorowie – ryknął Srebro. – Podejdź tu, weź talerze kierownika i idź sobie.

Rosjanin przyzwyczajony do wykonywania rozkazów automatycznie ruszył w stronę stołu. Legat jednym susem znalazł się przy nim i pięścią uderzył go w skroń. Doktor tylko jęknął i runął jak kłoda na podłogę. Coś zagrzechotało i legat zobaczył wielki klucz wystający z kieszeni Sidorowa. Złapał go i na wszelki wypadek wrzucił sobie do kieszeni, po czym wrócił do Chardina.

– Co to za Franciszek? – spytał. – Gadaj szybko i jasno.

Chardin spojrzał z przerażeniem w oczach na Sidorowa.

– Jeden ze wskrzesicieli, z tych szalonych. – Lekarz pojął, że może go spotkać taki sam los jak jego kolegę, a tarzać się po podłodze bynajmniej nie zamierzał. – Uczony, wynalazca. Jakiś szaleniec. Wszystkie ściany nam porysował, łóżko zadrapał, trzeba go było pasami przywiązać i zatkać mu usta, bo tak wrzeszczał, że nijak nie dało się go uciszyć.

– Co rysował? – zainteresował się Srebro.

– Jakieś krzyżyki – posłusznie odpowiadał starszy lekarz. – Ale w końcu się uspokoił i wszyscy o nim zapomnieli. Nikt go nie odwiedzał.

– Więc kto go wypisał ze szpitala?

– Sam nie rozumiem, jak do tego doszło. – Lekarz prawie się rozrzewnił. – Jak Boga kocham. Myślałem, że on nie ma rodziny. A wskrzesiciele kazali go tutaj trzymać i nigdzie nie wypuszczać. – Wyglądało na to, że bałagan w szpitalu, z którego znikają pacjenci, martwił go mniej niż wściekłość wskrzesicieli.

Srebro spojrzał przez okno. Nie byłoby złym pomysłem zaciągnąć tego grubasa do sali tajemniczego pacjenta, żeby ją obejrzeć, ale przecucie odpowiadało legatowi, że najwyższa pora ulotnić się ze szpitala.

W tym czasie przez główne drzwi budynku wszedł wysoki, przygarbiony od ciężkiego plecaka stary mężczyzna. Nawet nie spojrzał na stróżujących żołnierzy, jakby ich tu w ogóle nie było, i ruszył przez długi korytarz.

– Poczta! – rzekł sucho, podszedłszy do przegródki, za którą siedziała przysadzista pielęgniarka, teraz już pogrążona w papierach. Zdjął plecak i postawił go na podłodze. W otwartej klapie szynela mężczyzny świecił herb: dwugłowy orzeł trzymający w szponach róg pocztowy.

Pielęgniarka Szpitala Psychiatrycznego w Nowowilejsku ze zdziwieniem uniosła głowę i wlepiała wzrok w przybysza.

– Przecież dzisiaj poczta już była... Depesza do starszego... – wymruczała i zmarszczyła brwi.

Wyciągnęła rękę i zaczęła kręcić jakimś uchwytem. Na korytarzach szpitala, dławiąc się i kaszląc, zawyła syrena. W mgnieniu oka podniósł się raban. Żołnierze grający w karty podskoczyli na równe nogi.

Usłyszawszy syrenę, Srebro złapał Chardina za kark i zaciągnął go do drzwi. Okazało się, że starszy lekarz sięga legatowi zaledwie do pach i wcale nie jest taki ciężki, jak się spodziewał. Legat otworzył drzwi, razem z nieszczęśnikiem wymknął się na korytarz i skierował się do żelaznych schodów. Ledwo zdążył wejść na pierwszy stopień, a podłoga na parterze aż zadrżała od łomotu – żołnierze biegli w swych podkuwanych butach. Kroki szybko się zbliżały.

– Dokąd prowadzą te schody?

– Na drugie piętro i na dach – wydyszał lekarz.

Legat przytaknął z zadowoleniem.

Gdy obaj wspięli się na drugie piętro, na dole schodów pojawili się trzej uzbrojeni w strzelby żołnierze i pielęgniarka.

– Tam są! – wrzasnęła kobieta, jakby ją ćwiartowano, i pokazała na górę.

– Stać! – ryknął jeden z żołnierzy.

– Po moim trupie! – mruknął Srebro, zakrywając się swoim zakładnikiem.

Jeden z żołnierzy podniósł broń, ale legat wraz z Chardinem w ostatniej chwili przemknęli na korytarz na drugim piętrze. Był długi i słabo oświetlony. Srebro dojrzał może sześć par drzwi z zewnątrz zablokowanych wielkimi zasuwami, a na końcu korytarza metalową drabinę zawieszoną w łuku prowadzącym na dach. Był tylko jeden problem – drogę blokowały im metalowe kraty.

Legat opuścił Chardina na podłogę i z całej siły kopnął w kraty. Te zazgrzytały, ale się nie poddały. Srebro schylił się i złapał doktora za gardło.

– Gdzie jest klucz? – wyszeptał.

Chardin coś wygulgotał i chwycił legata za poję płaszcza. Ten zdzielił go przez rękę.

– Gdzie klucz? – wrzasnął. – Mów albo zrzucę cię ze schodów.

– W waszej kieszeni. – Starszy lekarz z trudem łykał powietrze.

Dopiero teraz legat zrozumiał, co ten tchórz miał na myśli. Wyciągnął z kieszeni klucz, który upuścił lekarz dyżurny, i wsadził go do zamka. Ten zazgrzytał i się otworzył.

Legat zaciągnął Chardina do środka, a kraty zostawił otwarte. Następnie, przytrzymując doktora, chodził od drzwi do drzwi i otwierał zasuwę.

– Co wy robicie? – wysyczał starszy lekarz. Jego twarz była biała jak prześcieradło. – Przecież tam są szaleńcy.

Syrena nie przestawała wyć. Na schodach dudniły kroki.

Gdy obaj mężczyźni znaleźli się niedaleko drabiny, skrzypiące drzwi od sal zaczęły się otwierać i na korytarz, jeden po drugim, wychodzili ludzie w szarych obdartych piżamach. Twarze mieli poczerwiałe, włosy rozczochrane, oczy im błyszcząły, a rozwarte usta wydawały dziwne odgłosy. Niektórzy z nich byli boso. Wciąż ich przybywało. Kilku szaleńców zaczęło zbliżać się do Srebra.

W tym czasie trzech żołnierze dopadli do krat.

– Tam, tam! – wrzasnął legat, machnąwszy w stronę żołnierzy. – Oni was wyprowadzą na wolność.

Pacjenci jak na rozkaz obrócili się do żołnierzy i chwiejnym krokiem zaczęli zmierzać w stronę krat.

Legat odetchnął z ulgą. Szaleńcy przynajmniej na moment odgradzili ich od carskich żołnierzy. Jednak po chwili dotarło do niego, że ucieszył się przedwcześnie. Wyglądało na to, że kilku pacjentów było zupełnie świadomych. Gdy zobaczyli zniechęconego przez siebie Chardina, ich twarze wykrzywił złowróżbny grymas i szturchając się nawzajem, sunęli w ich kierunku. Zrozumiał, że za chwilę rachunki zostaną wyrównane, lekarz zapiszczał jak mysz i sam zawiesił się na legacie niczym na wybawcy. Srebro zwinnie wyciągnął rewolwer i wycelował.

– Cofnąć się! – wrzasnął. – Cofnąć się, mówię!

Jednak pistolet nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia.

Legat pchnął Chardina ze wszystkich sił w objęcia swych pacjentów, a sam rzucił się do drabinki. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak starszy lekarz niczym pocisk armatni przewraca dwóch chorych i ratując swoją skórę, pada na ziemię, a następnie merdając grubym tyłkiem, próbuje przemknąć obłąkańcom między nogami.

Srebro wspiął się po drabinie i westchnął zadowolony, gdy zobaczył, że na

klapie nie ma kłódki. Dach był płaski, tylko z jednej strony sterczała metalowa kopia z krzyżem na czubku. Legat ukrył się za nią i przykucnąwszy, zsunął się na skraj gintu. Spojrzał w dół i pojął, dlaczego kłapa nie była zamknięta. Nieszczęśnik, który jakimś cudem by się tutaj znalazł, miał tylko jedną drogę ucieczki i nie prowadziła ona do świata żywych – mógł tylko zeskoczyć z dachu i rozbryzgać się na kamieniach.

Na podwórzu zbierali się carscy żołnierze z nabitymi strzelbami. Zobaczywszy postać na dachu, zaczęli krzyczeć i pokazywać palcami.

Srebro pobiegł na drugą stronę dachu, próbując dostrzec choćby najlichszy karnisz, o który mógłby się zaczepić. Na nic. Dach był pułapką.

Niespodziewanie coś dotknęło jego głowy. Podniósł wzrok. Nad nim, na tle kłębiącego się dymu, wisiał balon z herbem poczty wileńskiej na gondoli.

– Szybciej! – Listonosz pomachał mu, spoglądając z kosza.

Srebro nie zwlekał ni chwili. Złapał się liny i usłyszał, jak ze zgrzytem zaczyna się kręcić kołowrót, jak burczy silnik. Pocztowiec zwinnie obrócił balon, tak by znaleźć się jak najdalej tego okropnego miejsca i by uniknąć pocisków.

We włązie pojawiła się głowa carskiego żołnierza. Jednak gdy mężczyzna wyszedł na dach, balon z trzymającym się liny legatem unosił się już daleko od szpitala. Funkcjonariusz wystrzelił, ale pocisk przeszył tylko cuchnący smog.

Srebro wturlał się do kosza, dusząc się od kaszlu wywołanego dymem.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał ze zmartwieniem pilot noszący dużo za dużą marynarkę urzędnika Aliansu.

Legat przytaknął.

– Dlaczego nie zastosowałeś się do rozkazu? – wysapał. – Przecież kazałem ci wrócić do Wilna.

– Wileńska Służba Pocztowa nie porzuca swoich!

Legat Antoni Srebro zaczął się śmiać, jednak śmiech przerodził się w kaszel, który nie opuścił go, dopóki wznoszący się balon nie wydostał się z cuchnących chmur Nowowilejska i nad głowami nie zaświeciło przedwieczne słońce. W oddali błysnęły dachy wileńskich kościołów.

Wilno,  
wczesny wieczór  
24.04.1905

Wiosenny zmierzch spowijał przejrzyste fioletowe niebo nad Wilnem. Słońce próbowało jeszcze pokazać majaczącemu księżycowi swoją moc, ale w końcu się poddało, zagrzebało się w stercie czerwonych promieni i zanurkowało za horyzontem. Miasto jednak nie śpieszyło się, by otworzyć drzwi opuszczającej się z góry nocy. Ciemność przeganiały tańczące płomienie gazowych latarni, pomarańczowe ślepie fabryk żarzyły się przerażająco, światło wylewało się przez uchylone drzwi gospód, restauracji, zajazdów, domów pobłażliwości, przez okna klubów bilardowych i domów iluzji. Na placu Łukiskim, gdzie budowlańcy wykonywali ostatnie tego dnia prace i jak zwykle mieli spore opóźnienie, światło nowych latarni Volty zalało złotem olbrzymią kopułę wystawy przygotowanej na Szczyt. W wieży nawigacyjnej uwijano się jak w ulu – wydawano pozwolenia na lądowanie, wstrzymywano okręty powietrzne bądź pośpieszano wiszące nad Wilnem sterowce. Pojedynczy mieszczanie sunący ulicą zatrzymywali się i unosili głowy, zachwycając się iskrzącą tęczą światła. Czy plotki ostatnich dni okażą się prawdą i posłańcy cesarza przybędą z Niemiec w nowoczesnym sterowcu nazywanym latającą fortecą? Wyścigowy Port Lotniczy niemalże płonął, a nie ustępował mu i ratusz, świątecznie przystrojony na balowe wieczory.

Wolne Wilno nie odpocznie tej nocy.

Po krótkim, acz burzliwym mityngu, zorganizowanym za dnia obok wieży Gildii Mechaników, paromiejscy robotnicy porozchodzili się po okolicznych gospodach. Gdy miasto pochłonał wieczorny zmrok, wileński radny pary Piotr Wilejszys czytał w swoim gabinecie przedłożone mu postulaty robotników, spisane z okropnymi błędami, i z zaniepokojeniem zagryzał wargę. Kierownik katedry alchemii Jan Basanowicz wrócił niedawno z posiedzenia w Dominium, na którym przedstawił nowe wynalazki alchemików. Nikodem Twardowski wiercił się w swoim tajnym pokoju w domu na Zwierzyńcu, od czasu do czasu rzucając nerwowe spojrzenie na czerwony punkcik poruszający się po migoczącej mapie Wilna. Punkcik zatrzymał się w ogrodzie

Bernardyńskim. Śliczna Kolombina mrugała oczami, obrazując przedstawienie na żywo. W wieży dworku w Markucjach zmartwieni wskrzesiciele debatowali, pochyliwszy się nad stołem głowa przy głowie. Tylko Charles Finley i Edward O'Braitis, adiunkci sterowca „Gwiazda Świętego Jerzego”, zdawali się korzystać z przyjemności wieczoru – siedzieli w prawie pustej restauracji hotelu, w którym się zatrzymali, i popijali piwo przy partyjce pokera.

W małej budce na Czerniach szewc Efraim, trzymając w zębach kilka gwoździ, z zadowoleniem stukął młotkiem. Reperował podeszwę buta Leiba Wołyńskiego. Redaktor „Wileńskiej Prawdy” wciąż naprawiał obuwie u Efraima, miał w tym bowiem swój ukryty cel – gawędząc sobie z naiwnym, gadatliwym starym Żydem, dowiadywał się różnorodnych pikantnych szczegółów, które później, odpowiednio opisane, umieszczał na pierwszych stronach „Prawdy”, nierzadko rujnując lub przynajmniej uprzykrzając komuś życie. Efraim przyznał Leibowi, że nie umie czytać. Redaktor dostawał spazmów śmiechu na samą myśl, co by było, gdyby szewc wiedział, jak bardzo przysłużyła mu się tą paplaniną. Bywało, że do budki Efraima podbiegał jeden czy drugi bosonogi chłopiec, podszeptując coś szewcowi do ucha, dostawał pięć kopiejek i pędził dalej, pochwycając kilka obwarzanków, które Efraim przygotowywał sobie do pracy, a które nieopatrznie zostawił gdzieś na boku.

Wolne Wilno naprawdę nie miało kiedy odpocząć tej nocy.

W bezimiennej paromiejskiej gospodzie siedzieli przy stoliku garbonosy mężczyzna i piękna kobieta.

– Wtedy wręczyliśmy mu nasze posu... postu... postulaty. Nu, i tyle – meldował Misza Susłow. Niepostrzeżenie rozpiął sobie koszulę i wsunąwszy za nią rękę, podrapał się po włochatej klatce piersiowej. Susłow czuł się jak nie w swoich butach. Nie był przyzwyczajony do wykonywania rozkazów kobiety.

Kochanica rzeczywistego radnego państwa rosyjskiego Aleksandra Golicyna, rosyjska agentka, piękność o imieniu Emilia, z gracją przełożyła nogę na nogę i trzymając w ustach długi ustnik, wydmuchała dym prosto w twarz swojego rozmówcy.

– Bardzo dobrze, Miszania – zamruczała z ledwie wyczuwalną drwiną. – Co byśmy bez ciebie zrobili? Teraz trzeba kuć żelazo, póki gorące. Jutro „Wileńska Prawda”... Ty przecież czytasz „Prawdę”, czyż nie? Jutro gazeta poinformuje o niespełnionych wymaganiach postawionych przez robotników

i o rozpoczętych strajkach. Zadbaj, by wolna prasa się nie pomyliła. Weź się za to już dzisiejszej nocy. Pierwsze strajki muszą wybuchnąć jutro i pojutrze, a w najważniejszy dzień Szczytu fabryki mają się kompletnie zatrzymać, robotnicy wyjdą wtedy na ulice. – Emilia z zainteresowaniem popatrzyła na Susłowa. – Przeciw komu będą protestować?

– Przeciw kapitalistom, wyzyskiwaczom, automatom i maszynom przemysłowym – wystrzelił Susłow, prawie się nie zacinając.

Emilia przytakująco skinęła głową i wypuściła jeszcze jeden kłęb dymu.

– Zuch chłopak. Dzięki temu pokażemy, że o zmęczonych ludzi pracy nie można wycierać nóg.

– Właśnie – niezbyt pewnie zgodził się Susłow. Nie dlatego, że ubrana w elegancki stój Emilia w ogóle nie przypominała przedstawicielki zmęczonych ludzi pracy, a dlatego, że do tej pory nie dostał obiecanej zapłaty.

Misza Susłow wykonał już kawał roboty. Siedział w przeróżnych więzieniach imperium rosyjskiego za rabunki i oszustwa, a teraz był profesjonalnym podlegaczem i buntownikiem. Odnalazłszy swoje powołanie, ten swobodnie posługujący się czterema językami mężczyzna stał się osobą niezbędną, by tak rozzarzyć iskrę niezadowolenia, aż przerodzi się w pożar zamieszek. Do Wilna przybył niedawno, ale starannie unikając uwagi legionistów, już zdążył niemało działać dla matki Rosji. Oczywiście nie za darmo.

Kobieta wyczuła niepewność w głosie Susłowa i zrozumiała, że musi szybko pozyskać jego przychyłność. Z niewielkiej kobiecej torebki wyciągnęła wąską kopertę i pod stołem wsunęła ją Susłowi w dłoń. Mężczyzna schylił się, otworzył kopertę, rzucił okiem na jej zawartość i od razu się rozpogodził.

– To nie tylko dla ciebie – ostrzegła Emilia. – Podziel się z... – ciągnęła ciszej – z najbardziej zmęczonymi. Nie bądź pazerny.

Ostatnie słowa zabrzmiały dość ostro, jak groźba. Kiedy Miszania się zastanawiał, jak wybrnąć z tej sytuacji, Emilia zgrabnie wstała z krzesła i ulotniła się z gospody. Wsiadła do zamkniętej karety ciągniętej przez jednego konia, a ta od razu ruszyła.

Po kwadransie wkroczyła do salki należącej do parafii kościoła Świętego Rafała przyległej do jego boku. W pomieszczeniu tłoczyły się skulone kobiety o zmęczonych spojrzeńiach. Usiłując nie rzucić się w oczy, Emilia usiadła na krześle w ostatnim rzędzie i zaczęła wpatrywać się w kobietę po pięćdziesiątce, noszącą brązową spódnicę o długim, rozszerzającym się dole i krótką ciemnozieloną marynarkę. Stała na podeście i zaciekle gestykulowała



rękomą. Na Paromieściu była znana jako Jadwiga Zaic.

– I co dalej? – przemawiała gorączkowo kobieta. – Już słyszałyście, że nasi mężowie, nasi żywiciela, zamierzają strajkować. Czy naprawdę nam tego trzeba? Czy tego trzeba naszym dzieciom? Jak wyjaśnimy głodnym maluchom, że nie ma chleba, bo tatuś nie pracuje? Już teraz wileńskie ulice są pełne głodujących dzieci. Czy chcemy, żeby i nasze pociechy chodziły z wyciągniętą rączką?

Emilia z niezadowoleniem zacisnęła usta. Agitatorka mocno zaangażowała się w przemowę, trochę podkoloryzowała to i owo – głodujących czy umierających z głodu dzieci w Wilnie już dawno nie było. Emilia postarała się przyciągnąć wzrok mówczyni i ledwo zauważalnie pokręciła głową. Zrozumiawszy sugestię, oratorka szybko zmieniła temat i złapała byka za rogi.

– Odpowiadam: nie, nie potrzeba strajku mężczyzn. Ale my, żony i matki, same możemy sprawić, by syci bogacze nie wyganiaли naszych mężów na ulicę bez kopiejki w kieszeni. Słyszałyście, że do Wilna zjeżdżają panowie z całej Europy. Zbierzmy się, stańmy ramię w ramię niczym jedna pięść, wmaszerujmy do ratusza, przedrzyjmy się tam i powiedzmy, że tak straszne położenie nie może być dłużej naszym losem. Nasi mężowie muszą dostać pracę, a dzieci chleb.

Nagle podniósł się rwetes. Kilkanaście kobiet podskoczyło i jedna przez drugą zaczęły trąkotać jak na targu.

– Posłuchajcie, posłuchajcie! – Oratorka machnęła ręką, a jej potężny głos bez trudu przekrzyczał hałas. – Wiem, że się niepokoicie, że się boicie sługusów zagranicznych bankowców, wileńskich legionistów i ich więzienia w Słuszkach. Ale posłuchajcie! Tak, oni są najemnikami, są okrutni, ale to nie zwierzęta! Co zrobią, gdy zobaczą, że na ulice wyszedł tłum kobiet? Jesteśmy odważne i prawe. Wy, matki, weźcie swoje dzieci, weźcie na ręce noworodki, przyprowadźcie podopiecznych – tu oratorka skinęła siedzącej w pierwszym rzędzie kierownicze sierocińca Małgorzacie Berg i kilku zakonnicom – i pomaszerujmy do ratusza. Pomaszerujmy! Kroczy pewnie! Niech cała Europa to zobaczy, jeśli wolne Wilno ośmieli się podnieść broń na swoje kobiety i matki walczące o sprawiedliwość. Maszerujmy!

Po sali poniosły się okrzyki i skandowania. Emilia z zadowoleniem skinęła Jadwidze i wymknęła się z sali. Pieniądze przekaże gorliwej mówczyni przy następnej okazji.

Trzecie miejsce, które dziś zamierzała odwiedzić rosyjska agentka, znajdowało się nieco dalej. Kareta wytoczyła się z Paromieścia i zaczęła

powoli przedzierać się przez tłum ludzi beztrosko przechodzących przez Zielony Most i obserwujących, jak po obu stronach rzeki robotnicy stawiają trybuny dla ważniejszych gości Szczytu, którzy będą tu oglądać Adama Gaber-Wołyńskiego, brawurowego pilota biplanu „Forman IV”, i jego lot pod mostem. Znalazłszy się w centrum Starówki, karetka minęła plac Katedralny i potoczyła się obok kościoła Świętej Anny oraz rozciągających się nad Wilenką Niechrztów. Za nimi Wilno zaczęło się nagle zmieniać. Wjechali na Czernie, do dawnej żydowskiej dzielnicy. I teraz mieszkało tu wielu Żydów, ale nie brakowało ich też w innych częściach Wilna. Miasto Aliansu, wywalczona wolność, dobre warunki dla handlu stały się obiecującym światłem dla Żydów z całej Europy. I nie tylko dla nich. W Wilnie urządzali się Węgrzy, Ormianie, Karaimi, Tatarzy, Turcy, a nawet Chińczycy, choć przybywali nie z odległej ojczyzny, a z miast carskiej Rosji. I prawie wszyscy osiadali na Czerniach, w zamkniętej dzielnicy, gdzie w prawie każdym budynku funkcjonowała manufaktura, zajazd czy sklep handlujący najróżniejszymi pierdólkami. W wąskich uliczkach Czerni, zaułkach z mnóstwem podwórzy i ukrytych komórek, z łączącymi domy bujającymi się drewnianymi mostkami czy podziemnymi norami dało się znaleźć też bardziej egzotyczne rozrywki – ściśnięci w dusznych salach Chińczycy, przekrzykując się, obserwowali walki kogutów i obstawiali zakłady, w sklepikach karaimskich można było kupić sławetne, złowione w jeziorze Galwe sielawy, w utrzymywanych przez Turków zajazdach zaciągnąć się słodkawym dymem wodnej fajki, a zanurzwszy się głębiej – spróbować opium, jeśli wyglądało się na godnego zaufania w oczach sprzedawcy spoglądającego przez wąskie okienko w drzwiach.

Mało który postronny wiedział, że tuż przy samej synagodze i meczecie, głęboko w podwórzu lub w komórce, kryły się palarnie, gdzie wpatrując się w alchemiczne opiumowe lustra, można było rozmawiać z dalekimi krajami – dowiedzieć się, jak się ma wujek Icchak czy ciocia Ming, albo przekazać ważną informację swojemu zwierzchnikowi z departamentu wywiadu.

Czernie były podejrzaną, żyjącą według własnych zasad, nieszczerze bogatą dzielnicą. Majętniejsi Żydzi czy Tatarzy starali się przenieść do lepszych miejsc w Wilnie, szczególnie po tym, jak rada miasta postanowiła odwołać dotyczący Żydów zakaz zamieszkiwania na terenach od Ostrej Bramy do kościoła Świętych Janów. Jednak nawet po wywalczeniu sobie miejsca pod słońcem Żydzi nie zerwali więzi z Czerniami, wspierali synagogi i jesziwy. Nie na darmo przed trzema laty znany żydowski pisarz Szolem

Alejchem, który przyjechał na premierę swojej sztuki w Warszawie, po czym odwiedził Wilno i Czernie, pełen wrażeń napisał opowiadanie *Gdybym był Rothschildem*.

*Gdybym był Rothschildem, dawałbym żonie trzyrublówkę, żeby w czwartki nie zawracała mi głowy. Wydawałbym za mąż córki i uczyłbym synów, by się nie martwili, skąd brać pieniądze. Zamówiłbym nowy dach, żeby modłącym się Żydom nie padał na głowy deszcz. Zburzyłbym zatęchłe schronisko i postawił szpital. Dobry byłby to szpital – z prawdziwymi doktorami i kitlami, i z bulionem z kury co dnia. Troszczyłbym się o dzieci, żeby nie chodziły z gołymi pępkami, założyłbym hawurę<sup>[19]</sup> dobroczynnych pożyczek, żeby każdy Żyd, mełamed, rzemieślnik czy zwykły kupiec mógł pożyczać i nie musiał oddawać ostatniej koszuli na odsetki.*

*Gdybym był Rothschildem, kto by tego wszystkiego dopilnował? Założyłbym jedną wielką hawurę, która dbałaby o wszystkich Żydów, cały Izrael, by Żydom dobrze się żyło, by zgodnie siedzieli w jesziwach i się uczyli. A gdzie założyłbym tę największą akademię akademii? Oczywiście tutaj, w Wilnie.*

Krażyły plotki, że Rada Wileńska zaczęła dbać o Czernie dopiero wtedy, gdy to opowiadanie trafiło w ręce nieformalnego zarządcy miast Aliansu, barona Natana Rothschilda.

Oto Czernie, do których zmierzała karetka Emilii. Przecisnąwszy się między przechodniami i innymi pojazdami, zatrzymała się w wąskiej uliczce przy obskurnym piętrowym budynku. Kobieta weszła do środka przez spróchniałe drewniane drzwi, które nieprzyjemnie zaskrzypiały, jakby się denerwowały każdym nieproszonym gościem, i wkroczyła do niewielkiego pokoju bez okien.

Przy maszynach do szycia siedziało kilkanaście bladych kobiet, które naciskały pedały, nie podnosząc wzroku znad igły. W niewietrzonym pokoju unosił się duszny zapach potu. Obok każdej pracownicy stała butelka białawego płynu, w której zanurzono szklaną rurkę. To jedna, to druga szwaczka, nie przerywając szycia, łapała tę rurkę, wsadzała ją sobie do ust i siorbała płyn. Wtedy jej oczy nagle się zaświecały, ramiona się prostowały, a ręce zaczynały pracować jeszcze szybciej. Gdy buteleczka pustoszała lub szwaczka musiała się udać za potrzebą, pociągała za wiszącą z boku linę i w drugim pokoju, do którego drzwi zasłonięto starą zasłoną ze zgrzebnego sukna, dzwonił dzwoneczek. Kotara się rozchyłała i do sali wchodził gruby, krzywiący się karzeł o krótkich, nienaturalnie umięśnionych rękach.

Obsługiwał szwaczki, ale i chronił je przed wzrokiem postronnych.

Teraz czekał przy drzwiach na Emilię. Ujął w dłoń wysunięty kapelusik i pierwszy zniknął za zasłoną. Agentka ruszyła za nim. Grubasek poprowadził ją wąskim korytarzem, a potem schodami w dół. Znalazłszy się w suterenie, oboje stanęli przy masywnych drzwiach. Człowieczek zapukał trzy razy. Po chwili rozległ się odgłos odciąganych zasuw. Karzeł poczekał, aż ucichną, otworzył drzwi i gestem pokazał, by Emilia weszła do środka, zaś sam został na korytarzu i przycupnął na krzeselku obok.

Pokój, do którego weszła Emilia, również nie miał okien. Na pierwszy rzut oka przypominał warsztat zegarmistrza. W półmroku błyskały wnętrzości zegarków: sprężynki, wskazówki, cyferblaty, różnorakie gwinty i tym podobne drobiazgi. Przy stole roboczym, jasno oświetlonym przez lampion, siedział stary zgarbiony karzeł z krótką siwą brodą. Włosy miał związane w warkoczyk, nosił skórzane rękawiczki bez palców, a na prawe oko założył zegarmistrzowskie szkło powiększające. Poza nim w pokoju nie było nikogo więcej, zatem to on odciągnął zasuwę i zdążył wrócić do stołu. Gdy jego gość wszedł do środka, potrząsnął głową i sprawnie złapał spadające z oka szkło.

– Jak zawsze punktualna, madame – rzekł uprzejmie, ostrożnie popychając jakiś przedmiot, nad którym przed chwilą pracował.

– Mam nadzieję, że i ty – odcięła się Emilia.

Rosyjska agentka nie siła się na uprzejmości, ale mężczyzny najwyraźniej to nie obchodziło. Ześlizgnął się z krzesła, przeszedł chwiejnym krokiem przez pokój, uklęknął przy stojącym w kącie łóżku i wyciągnął spod niego podłużny futerał. Ostrożnie go podniósł, położył na stole i otworzył. Błysnął ciemny przedmiot na pierwszy rzut oka wyglądający na metalowy. Jednak przypatrzywszy się lepiej, okazywało się, że to prawie czarna, palona glina.

Emilia podeszła do stołu. W futerale leżały cztery kule wielkości dwóch pięści, w czubek każdej z nich wbito niedługą rurkę z grubego szkła, do której wsączono fioletową galaretkę.

– Można się pozachwycać, wspaniała robota, prawda? – spytał mężczyzna, czekając na pochwałę.

Emilia ledwie się uśmiechnęła.

– Tak, Kniaziu.

Karla natura nie obdarowała ani wzrostem, ani zacnym wyglądem, ale za to nie pożałowała mu talentu. Niegdyś był wspaniałym zegarmistrzem, najlepszym w sławnej berlińskiej kompanii Klokmacherów, którzy nie starali się co prawda dorównywać najwybitniejszym na świecie Junghansom, ale

wytwarzali wyjątkowe zegary, a Kniaziowi, znanemu wówczas jako Fürst, to odpowiadało. Stworzonymi przez niego zegarami muzycznymi, z piejącymi kogutami lub trębaczami, z ciężarkami i sprężynkami lub nawet wskazującymi pogodę, cieszyła się niemiecka magnateria i bogaci kupcy, zamówienia napływały z Rosji, Anglii, Francji i nawet z dalekiej Ameryki. Ale po latach przyszło wypalenie zawodowe, znudził się. Zainteresował się alchemią, zaczął szukać iskierki mogącej urozmaicić życie. Wtedy poznał Johanna Mosta, znanego niemieckiego anarchistę. A dla tego jegomościa, publicznie głoszącego rewolucyjne idee oraz zachęcającego, by w walce posługiwać się przemocą i bombami, złote ręce Fürsta były niczym skarb. Garbaty karzeł zaczął wytwarzać bomby alchemiczne i wkrótce na ulicach Berlina, w fabryce chemicznej w Ludwigshafen i w porcie w Hamburgu rozpętały się zamieszki. Fürst znalazł swoje życiowe powołanie, lecz nie trwało to długo – anarchistom deptała po piętach tajna policja cesarska, musieli uciekać. Most wybrał Amerykę, a Fürst przeniósł się do Aliansu i jako Książ osiadł w Wilnie. Wciąż podtrzymywał kontakty z Mostem – wspólnymi siłami wydali jeszcze broszurę *Nauka wojny rewolucyjnej* zawierającą wskazówki, jak wyprodukować bombę. Narobiła ona wiele szumu w Ameryce i zapewniła autorowi przydomek „Dynamost”. U Kniazia zaś coraz częściej zaczęli się pojawiać anarchiści, rewolucjoniści i członkowie organizacji bojowej eserowców z Rosji. Carskim żandarmom w Mińsku, Warszawie czy nawet w Sankt Petersburgu bólu głowy przysporzyły bomby, których znaczna część narodziła się tutaj, w tym podziemnym warsztacie karłowatego zegarmistrza. Najbardziej znaną ofiarą bomb Kniazia stał się rosyjski minister spraw wewnętrznych i szef żandarmerii Plehwe. W Sankt Petersburgu, na prospekcie Izmajłowskim, eserowiec Sazonow wrzucił do jego karety bombę, wytworzoną w Wilnie, w cichej czerniowskiej uliczce. Lecz tym razem carska ochranka uderzyła w eserowców i podczas przesłuchań dowiedziała się o Kniaziu. Rzeczywisty radny państwa rosyjskiego Aleksander Golicyn już miał wydać rozkaz, by po cichu zlikwidować zegarmistrza, gdy pojął, że jemu samemu przydałyby się jego umiejętności. Wyposażył Emilię w pieniądze oraz rekomendacje organizacji rewolucyjnych i kobieta bez trudu zdobyła zaufanie starego karła. Tym bardziej że zamówienie, które mu przekazała, było niecodzienne.

– Czyli wysadzicie tatulka cara, aż się będzie kurzyło! – zachichotał Książ, gramoląc się na krzesło.

Emilia ostrożnie przeciągnęła palcem przez jedną z glinianych bomb.

Następnie obiema rękoma uniosła kulę i pokręciła nią pod lampą. Fioletowa galaretka zmętniała.

– Ostrożnie! – ostrzegł Książ. – Trzymajcie to z dala od ciepła. Gdy będziecie chcieli wysadzić, huknijcie kulę od spodu. Dno rurki się ułamie i fioletowa substancja wymiesza się z ładunkiem wybuchowym. Po tym trzymacie ją nie dłużej niż pięć sekund, rzucacie i dajecie nogę. Odbije się tak, że niebo z ziemią się zmiesza.

Zimne zielone oczy wbiły się w Książa.

– Jak mi się wydawało, wyraźnie powiedziałam, że mi... moim przyjaciółom... że chcemy kontrolować bombę na odległość, i to niemałą – rzekła kobieta.

Starzec podniósł ręce ubrane w rękawiczki.

– Oczywiście, oczywiście. – Stoczył się z krzesła, wziął od Emilii kulę, włożył ją do futerału i pstryknął zamknięciem. Następnie z szuflady wyciągnął zamiszowy woreczek i wytrząsnął jego zawartość na stół.

Emilia zobaczyła niewielki metalowy kamerton i srebrną różdżkę.

– Oto wasze narzędzia, madame. – Wskazał palcem. – Gdy różdżka uderzy w kamerton, wprawi go w wibrację, a rurki zbiją się we wszystkich bombach, które podłożycie w odległości nie większej niż sto sążni. – Książ z zadowoleniem zacmokał. – W innym wypadku trzymajcie bomby w futerale. Jest wykonany z materiału odpornego na wibracje. Wszystko działa bez zarzutu – zapewnił. – Jeśli mi nie wierzycie, zapytajcie swoich przyjaciół z wieży Nikolskiej.

Emilia przypomniała sobie potężny wybuch w Moskwie, gdy obok rzeczonyj wieży kareta generała-gubernatora rozbryzgała się z takim impetem, że mocno ucierpiały też okoliczne budynki.

Starzec dał jej jeszcze kilka instrukcji, które kobieta dokładnie zapamiętała.

– Musicie być bardzo szybcy, bardzo – rzekł Książ na pożegnanie.

Ale Emilia miała jeszcze jedno zadanie od Golicyna. Nagle w jej ręce pojawiła się broń.

– Obiecuję – rzekła i strzeliła staruszkowi w serce.

Wilno,  
wczesny wieczór  
24.04.1905

Finansista wileńskich wskrzesicieli, Tomasz Ujejski, przegryzał chleb z kiełbasą. Rozglądał się ze zniecierpliwieniem po niegdyś przyjemnym mieszkaniu w kamienicy. Spakowana walizka stała przy drzwiach, a w kieszeni marynarki spoczywały dwa bilety na nocny sterowiec „Sonata Blasku Księżycy”. Rano będą w Berlinie, a stamtąd już droga otwarta we wszystkie cztery strony świata – i do Ameryki obiecującej wielkie możliwości, i do plaż Rio wiecznie zalanych słońcem. Tomasz przymknął oczy zadowolony tą myślą – przynajmniej raz w życiu się odważył i poddał się namowom Feliksa.

Pewnego późnego wieczoru, popijając w łóżku szampana, wygadał się swojemu kochankowi, Feliksowi Porcyjance, o szczególnie tajnych szkicach, które widział w pracy. Po kilku dniach Feliks, rachmistrz Gildii Mechaników, sapiąc i jęcząc, przyznał mu się, że jest szantażowany, ale jednocześnie wyłożył mu plan, jak można się pozbyć prześladowcy i przy okazji zarobić spore pieniądze. Tomasz o mało nie dostał apopleksji. Jednakże możliwość porzucenia wszystkiego i życia we dwóch w jakimś wspaniałym zakątku świata okazała się tak pociągająca, że zdecydował się zaryzykować. Skopiowanie tajnych szkiców było śmiesznie łatwe. Zapewne zdążyły dotrzeć do Sankt Petersburga, Kijowa czy Moskwy, ale Ujejski miał to gdzieś – bo w kieszeni leżały już bilety do lepszego świata. Za chwilę zjawi się tu Feliks, a wtedy zacznie się nowy, wspaniały etap w ich życiu.

Ktoś zapukał do drzwi.

„Nareszcie”. Ujejski odetchnął z ulgą i poszedł do przedpokoju.

– Ile można czek... – zaczął, otwierając drzwi, i nagle urwał.

W wejściu nie stał jego druh Feliks Porcyjanko, tylko wysoki mężczyzna w szarym garniturze i kapeluszu. Tomasz zdziwił się na widok Gustawa Schachta, przyjaźnie nastawionego prawnika loży wskrzesicieli. Koledzy wiedzieli, że Ujejski wyjeżdża na zasłużone wakacje, dlatego pedantyczny Gustaw najprawdopodobniej pojawił się w jakiejś ważnej sprawie.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam w ostatniej chwili – odezwał się wesoło Gustaw. – Widzę, że jesteś już gotowy do podróży. – Wszedł do przedpokoju i powiesił kapelusz na wytwornym porożu jelenia przytwierdzonym do ściany. – A ja się dopiero zorientowałem, że nie mam odpisów twoich dokumentów na wyjazd, dlatego przyszedłem, żeby je wypisać.

Uspokoiwszy się, Ujejski podszedł do palta i sięgnął do kieszeni po rzucone dokumenty. W tym czasie Schacht władował się do salonu, podszedł do okna i odsłonił zasłony. Podwórce było puste. Poczekał pod budynkiem, aż się ściemni, zostawił swój trójkołowiec w pobliskiej uliczce, za bujnymi krzakami, zgubiwszy najpierw legionistów, po tym jak zanurkował w plątanie śnipszkowych uliczek, i dopiero wtedy udał się do mieszkania Tomasza.

Ujejski poczłapał do solanu.

– Proszę. – Położył na stole paszport obywatela miast Aliansu w tekturkowej okładce i złożone pozwolenie na podróż.

– Świetnie – ucieszył się brat Gustaw i wsadził rękę do kieszeni. – Bądź tak miły, wypisz swoje dane i znikam.

Ujejski zadrzał, wbił wzrok w rękę kolegi, ale zaraz nerwowo się zaśmiał – gość wyciągnął z kieszeni najzwyklejsze mechaniczne wieczne pióro i kartkę. Finansista wskrzesicieli usiadł na krześle, przyciągnął do siebie papier, wziął wręczone mu pióro, którego przykręcana sprężynka powoli ładowała atrament, i zerkając w swoje dokumenty na podróż, zaczął przepisywać dane.

Beztrosko pogwizdując, Gustaw Schacht stanął właścicielowi mieszkania za plecami i spojrzał mu przez ramię.

– Jaki ładny charakter pisma, kolego – pochwalił. – I pracujesz też sprawnie – zagadywał Ujejskiego. – A powiedz, kopie tajnych szkiców też robiłeś piórem? Czy może ołówkiem?

Ręka Tomasza zastygła w powietrzu.

– Co proszę? – zaczął, ale więcej nie zdążył powiedzieć, bowiem szyję owinął mu jedwabny sznurek.

Mało kto wiedział, że wesoły brat Gustaw jest nie tylko prawnikiem, ale i głównym katem Wileńskiej Łoży Wskrzesicieli. Tomasz otworzył szeroko usta, bezradnie złapał za sznurek, starając się odciągnąć go od gardła, ale siły były nierówne. Paznokcie finansisty na marne drapały skórę na szyi. Morderca skrzyżował ręce i jeszcze mocniej naciągnął sznurek.

– Zdradziłeś lożę, niegodziwcze – wykrztusił przez zęby. – Oddałeś nasz skarb legionowym psom. Nie pomyślałeś tylko, że oni przyniosą szkice



z powrotem i pokażą je naszemu starszemu. Nie wpadłeś na to, co? Nie wiedziałeś, że starszemu wystarczyło tylko pociągnąć palcem przez szkice i od razu rozumiał, kto ich dotykał. Za ile się sprzedałeś, zdrajco?

Odpowiedź nie nadeszła, ofiara tylko charknęła – po kilkunastu sekundach oczy Ujejskiego wywróciły się, a ciało zwiotczało. Przez otwarte usta buchnęła strużka krwi, z ust bezwładnie wysunął się język, ale Schacht nadal ciągnął za jedwabny sznurek. Dopiero gdy się upewnił, że finansista nie wyda już z siebie tchnienia, puścił go i ciało Ujejskiego padło na stół. Wieczne pióro podskoczyło w powietrzu i pozostawiło na dokumentach podróży łyżę z niebieskiego atramentu.

Schacht starannie zwinął sznurek, schował go do kieszeni i podszedłszy do okna, wyjrzał na podwórze. Przy zewnętrznych drzwiach wypróżniał się jakiś obywatel, który przeholował z trunkami w gospodzie. Morderca wziął wieczne pióro i pomazany dokument, wyszedł do przedpokoju, sięgnął po swój kapelusz, naciągnął go na oczy i opuścił mieszkanie. Zamknąwszy za sobą drzwi, zszedł spokojnie po schodach, po czym zniknął w ciemności.

Pod wieczór uwagę sterczących na ulicy podkomendnych legata wileńskiego, jałowo rozglądających się za grubaskiem Feliksem, przyciągnęła zbliżająca się kareta. Dwaj legionieści spojrzeli po sobie i ukryli się w zagłębieniu ciemnej bramy. Pojazd zatrzymał się dokładnie naprzeciw niej. Wysiadł z niego niewysoki grubasek, schylił się, sapiąc, wystawił tyłek z powozu i wyciągnął z niego wypakowaną walizkę oraz kosz, w którym coś brzęknęło. Gdy kareta odjechała, grubasek rozejrzał się bojaźliwie. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, złapał bagaże, czmychnął w bramę i pognął do jednej z kamienic stojącej na uboczu.

Legioniści ruszyli za mężczyzną. Gdy wchodzili na klatkę, nocną ciszę przeszył ściskający za serce krzyk. Najemnicy wbiegli na pierwsze piętro. Krzyk dobiegał z mieszkania po prawej.

Znaleźli w nim Feliksa Porcyjanę, klęczącego obok zmarłego i rwącego sobie włosy z głowy. Pod rzuconym w kąt koszem, z którego wystawało kilka potłuczonych szyjek od butelek szampana, rozrastała się spieniona kałuża.

Wilno,  
wieczór  
24.04.1905

Balon pocztowy z Antonim Srebro na pokładzie wleciał do Wilna i na chwilę zatrzymał się nad dachem pałacu Słuszków, po czym poleciał swoją drogą. Pilot przyrzekał ani słowem nie wygadać się o przygodzie w Nowowilejsku, ale legat nie wątpił, że w którejś niechrztońskiej gospodzie listonoszowi szybko rozwiąże się język i historia ta będzie nie tylko powtarzana w kółko od nowa, ale i zostanie doprawiona wieloma zmyślonymi detalami.

Srebro pochylił się nad kubłem stojącym w rozpalonej saunie w Słuszkach i zmywał z ciała sadzę oraz zapach, który przesiąknął jego skórę. Gorąca woda uspokajała, relaksowała stare gnaty nadwyrężone ćwiczeniami gimnastycznymi w balonie, a legat rozmyślał o tym, co się stało.

„Dość tego, i tak nikt nie uwierzy w takie rzeczy. Szkoda, że nie udało się dowiedzieć, dokąd pojechał drugi serpolett”.

O niepowodzeniu zameldował mu kapral, który swój cel stracił z oczu na Śnipiszkach. „Ale heca w Nowowilejsku zwróci się z nawiązką”, myślał Srebro. Do ludzi ukrywanych przez wskrzesicieli w wariatkowie będzie można wrócić później. Najważniejsze, że udało się złapać za koniec nitki.

Tajemniczy więzień szpitala w Nowowilejsku Franciszek Baltrus... Otoczony opieką wskrzesicieli, następnie zamknięty w przybytku zapomnianym przez Boga i ludzi. Ale żeby nikt go nie znalazł? Kto mógł go szukać? Kto zdołał go stamtąd wydostać? Dlaczego jest taki ważny? I dlaczego wskrzesiciele pognali szukać go zaraz po wizycie legata ze szkicami? Srebro nie wątpił, że wyścig się już zaczął: kto jako pierwszy znajdzie tajemniczego pacjenta w wileńskim mrowisku – wskrzesiciele czy legionieści? Póki co Legion Wileński miał przewagę. Miał maszynę. I Alojzego Nunewicza.

Po kąpieli legat zszedł do piwnicy pałacu Słuszków, do mało komu znanych pomieszczeń znajdujących się pod karczerami. Przywitał go podstarzały mężczyzna ze sterczącymi jak miotła bokobrodami i nosem ozdobionym grubymi okularami.

– Zatkajcie sobie uszy, legacie – powiedział i podał Antoniemu niewielkie

podłużne pudełeczko.

Srebro zerknął na opakowanie. Zatycki Wileński Spokój.

– Czy ty już do reszty postradałeś rozum, Alojzy? – odburknął z niezadowoleniem.

– Oczywiście, że nie, legacie. Sam bym się denerwował, gdybym ich nie używał – wystrzelił bez chwili zawahania właściciel bokobrodów i niezwłocznie zatkał sobie uszy.

Srebro wzruszył ramionami i podążył za jego przykładem, a wkroczywszy do następnego pomieszczenia, bardzo się ucieszył, że usłuchał rady.

Pokój, w którym sprawował rządy stary mechanik Alojzy, nie bez przyczyny został ulokowany w najgłębszych podziemiach Słuszków. Stojąca w pomieszczeniu ogromna maszyna dudniła i ryczała tak głośno, że przypominała zdychającego żubra. Podłoga i ściany wibrowały, z sufitu niczym deszcz sypał się tynkowy kurz. Samo urządzenie wyglądało jak kilkupiętrowa, szalona mieszanka gwintów, rur, zastawek, dynam i uchwytów, napędzana przez wielki, stary kocioł parowy. Para świszcząca przez szpary w kotle powiększała ogólną kakofonię. Dudniące monstrum było przemysłową maszyną analityczną Babbage'a. Maszyna nr 5. Oczy i uszy sił bezpieczeństwa wolnego Wilna. Jeszcze jeden wspólny cud alianckich mechaników i alchemików.

Alojzy lubił się pochwalić przy kieliszku gorzałki, że chcąc się dowiedzieć nowości, nie musi chodzić do miasta. O tym, co się dzieje w Wilnie, dowiaduje się, siedząc w swojej piwnicy i słuchając szumu maszyny nr 5. Z rozkazu Rady Wileńskiej to tutaj spływały wszystkie dane o nowo przybyłych obywatelach miast Aliansu, o tych, co zmienili miejsce zamieszkania lub pracę, o żonatyh i mężatkach, o ochrzczonych i przechodzących na inną wiarę, o narodzonych i zmarłych, o tych, co zdobyli spory majątek... Każde wydarzenie musiało być zaznaczone na perfokarcie i wysłane do piwnicy w pałacu Słuszków; tu mechanik Alojzy karmił kartą maszynę nr 5.

Takie udoskonalone maszyny Babbage'a stały we wszystkich wolnych miastach, z wyjątkiem Konstantynopola – Turcy unikali mechanicznych wynalazków Aliansu jak ognia. Przywódcy pozostałych wolnych miast chwalili się maszynami podczas każdego Szczytu, a londyńscy policjanci kręcili głowami, nijak nie mogąc zrozumieć, jak to się stało, że wynalazek Anglika znacznie lepiej przystosowali sobie nie inżynierzy imperium brytyjskiego, a parweniusze z Aliansu.

Jednak Rothschildowie nie śpieszyli się z opatentowaniem i sprzedażą tych urządzeń, zachęcali za to Gildię Mechaników, by je udoskonalą i czym prędzej usuwała wszelkie usterki. Prawda była bowiem taka, że maszyny nr 5 niczym legendarne cerbery strzegły niepojętej przez umysł ilości danych. Mechanicy spotkali się jednak z wieloma problemami. W miastach Aliansu szybko przybywało ludzi, a śledzące maszyny wraz z obsługującym je personelem nie nadążały z opracowywaniem ogromnego przepływu informacji. Zanim tysiące perfokart doczekiwały się swojej kolejki, by trafić do urządzenia, dane stawały się już przestarzałe. Zdarzało się, że gdy maszyna dostała wreszcie informację, iż, dajmy na to, Piotr z Popławów się ożenił, w rzeczywistości ten człowiek leżał już na Cmentarzu na Zakręcie, zabity przez ukochaną podczas rodzinnego konfliktu, gdy dostał przez łeb żelazną patelnię. Do tego maszyny rejestrowały tylko czyny właścicieli paszportu obywatela miast Aliansu (posiadania takiego dokumentu surowo wymagały miejskie siły bezpieczeństwa), ale między ludźmi, którzy napłynęli do wolnych miast, uciekając przed carem, cesarzem czy sułtanem, przewijało się mnóstwo osób, którym ten paszport by tylko zniszczył życie. Dlatego maszyna nr 5, jak i jej siostry w Krakowie, Rewlu i Pradze, była niedokładna, przestarzała, przeładowana i pomimo bohaterkich starań Alojzego ledwo zipała.

Mimo to legat wileński miał nadzieję znaleźć w tym stogu siana poszukiwaną przez siebie igłę. I jej krewnych.

Alojzy z zadowoleniem tańczył dookoła ukochanej maszyny. W pomarańczowym świetle przypominał przerośniętą małpę z bokobrodami. Mechanik zwinnie nakarmił maszynę nr 5 perfokartą z imieniem i nazwiskiem Franciszka Baltrusa, przystawił wysoką metalową drabinę na kółkach, wspiął się po niej pod sam sufit i zaczął kręcić uchwytami – to wyciągał, to wciskał dźwignie, stale spoglądając na tańczące wskaźniki.

Maszyna krztusiła się i stękała, ale posłusznie szukała w złożach swojej ogromnej i ociężałej pamięci odpowiedniego człowieka. Przedzierająca się przez szparę gorąca para o mały włos nie poparzyła Alojzemu rąk, jednak mechanik nie zwracał na to uwagi. Zeskoczył na dół, pchnął drabinę, nakarmił maszynę czystą perfokartą, zwiększył ciśnienie w kotle parowym i znów wspiął się pod sam sufit. Maszyna odkaszlnęła i wypluła kartę. Alojzy złapał ją, podniósł pod światło, wgapił się w wybite dziurki.

– Zuch dziewczynka, widzisz, jaka wspaniała! – ryknął triumfalnie, zupełnie zapominając, że legat go nie słyszy.

Srebro pociągnął mechanika za rękaw i wskazał na drzwi.

Opuściwszy królestwo maszyny nr 5, legat odetchnął z ulgą i wyciągnął z uszu zatyczki. Alojzy dreptał w miejscu ze zniecierpliwieniem, zupełnie jakby wykonywał jakiś rytualny taniec.

– Udało się, udało się! – zaśpiewał, wymachując kartą. – Zobaczcie, legacie! Oto ona! – Trzepnął w kilka dziurek. – Franciszek Baltrus. Obywatel Wilna. Uczony, zoolog. Pracował w Dominium Uniwersyteckim. Zarządzał laboratorium eksperymentalnym. Przed kilkoma laty zaczął pracować dla wskrzesicieli. Charakter pracy nieznany. Stałe miejsce pobytu nieznane.

„Szpital w Nowowilejsku”, rzekł w myślach Srebro. Teraz to jasne, dlaczego wskrzesiciele go tam ukrywali. Wszystkie oficjalne szpitale wileńskie przekazywały informacje o swoich pacjentach maszynie nr 5. Nowowilejska, oczywiście, te nakazy nie obowiązywały. Tylko dlaczego ukryto go w szpitalu psychiatrycznym? I kto go stamtąd wyciągnął?

– To jeszcze nie wszystko – poinformował Alojzy i stuknął w dziurki. – Mamy tu informację o jego najbliższej krewnej. Cioci ze strony ojca. Maryna Baltriene mieszka w Wilnie, na Oстрыm Końcu, niedaleko cmentarza na Rossie.

Legat skinął z zadowoleniem, odwrócił się na pięcie i pogrzał schodami w górę.

– Nie ma za co! – ryknął za nim Alojzy, wsadził sobie zatyczki do uszu, chwycił skrzynkę z narzędziami i wrócił do swej maszyny.

Srebro jeszcze nie zdążył wydostać się z piwnicy, a do jego uszu dotarł nowy hałas. Dobiegał z pałacowej sali przyjęć. Wszedłszy do niej, zamarł zdziwiony.

Na środku sali klęczał jakiś grubas, chlipał i pociągał nosem, po jego tłustych policzkach spływały wielkie łzy. Obok niego stał wstrząśnięty jeden z dyżurnych oraz porucznik Michał Wielholcki. Zobaczywszy legata, grubas wyciągnął rękę, potrząsnął głową i wycharczał przerywanym głosem:

– Ja nie chciałem nic złego! Rosjanin mówił, że szkice stąd wywiezie i nikt ich nie zobaczy. A teraz Tomasza już nie ma... nie ma!

Srebro potarł skronie, przez chwilę wpatrywał się w zrozpaczonego Feliksa Porcyjanę, po czym skinął głową Wielholskiemu, odwrócił się i pomaszerował w stronę cel śledczych.

Wilno,  
ranek  
25.04.1905

Dzwony wileńskich świątyń wybijały dziewiątą rano. Jako pierwsze zabrzmiały, nieco za wcześnie, dzwony kościoła Świętego Jana, a po chwili zawtórowały im dzwony kościołów Ducha Świętego i Bernardynów, tylko zegar w wieży Świętych Janów zbudził się równo o dziewiątej. Po nim zabrzmiały uderzenia dzwonów archikatedry, dołączyły się do nich kościoły Starego Miasta, a gdy i te zaczęły cichnąć, jako ostatni uzupełnił chór kościoł Świętych Piotra i Pawła. Niegdyś uderzenia dzwonów zagłuszało wycie żelaznego wilka stojącego na Wyścigowym Porcie Lotniczym, jednak po tym, jak prałat Masalski zagroził karą boską, Rada Wileńska kazała mechanikom uciszyć swoją statwę i włączać ją tylko w dni świąteczne.

Zapowiadał się pogodny, ciepły dzień. Przed świtem trochę popadało, ale wschodni wiatr przegonił deszczowe chmury i na przejrzystym niebie jaśniało słońce, tylko gdzieś tam sunęły po błękitach białe obłoczki.

Gdy patrzyło się z góry, poranne Wilno przypominało mrowisko. Na prospekcie Świętego Jerzego wyrastały jak grzyby po deszczu wszelkiego rodzaju stragany, które okupowały część chodnika, jeszcze nie tak dawno temu drewnianego, a obecnie wyłożonego kamiennym brukiem. Z okazji zbliżającego się Szczytu rada zażądała od sprzedawców podwójnego podatku, nawet dwóch hrywien za stół o długości dwóch sążni ulokowany na chodniku, ale sprzedawcy się nie sprzeciwiali – pragnęli zdobyć najlepsze miejsca przy prospekcie lub ulicy Wielkiej czy na Pohulance.

Ludzie wychodzili na ulice już wczesnym rankiem, nie mieszcząc się na chodnikach, jak fala powodziowa zalewali drogi, czym wprawiali w złość motorniczych tramwajów parowych, kierowców serpolettów oraz dyliżansów i wszędobylskich rowerzystów. Mieszczanie podążali w jednym kierunku. Na placu Łukiskim utworzyły się długie kolejki do olbrzymiej białej kopuły, w której dziś miała się rozpocząć wystawa przygotowana specjalnie na Szczyt.

Z góry wszystko było widać jak na dłoni.

Legat wileński trzymał w dłoniach wielki blaszany kubek z gorącą herbatą

przygotowaną wedle specjalnej receptury, którą kilku legionistów przywiozło z brazylijskich dżungli. Herbata podrażniała podniebienie, ale w głowie natychmiast robiło się od niej jaśniej. Srebro potrząsnął kubkiem, wyrzucił fusy za burtę sterowca i jeszcze raz spojrzął w dół.

Do wileńskich sił bezpieczeństwa należały dwa małe sterowce zwiadowcze „Wojsiełk” i „Szwarno”. Z rozkazu legata bladym świtem oba zawisły nad dachami Wilna. Nawigatorzy, którzy dowiedzieli się o tym poprzedniego dnia, przytakując radnemu kierunkowi, próbowali przekonać legata, by zrezygnował z tego pomysłu. Zapewniali, że podczas Szczytu korytarze powietrzne i tak będą zatkane jak składzik przewidującego chłopa przed zimą, ale legat nie poddał się tym nagabywaniom. Wilno było oblegane przez ludzi, powietrzni zwiadowcy musieli stać się oczami i uszami straży.

Z tego też powodu dookoła dzielnicy Dominium Uniwersyteckiego, gdzie miały się odbywać główne wydarzenia związane ze Szczytem, rozstawiono zapory bezpieczeństwa. Zderzywszy się z nimi, tłum rozszedł się po sąsiednich uliczkach, a załoga zwiadowczego sterowca zareagowała na to natychmiast i przekazała bezprzewodnikiem rozkaz, by skierować ludzi w inną stronę.

Legat odsunął się od poręczy sterowca i odwrócił się do swoich dwóch poruczników – Michała Wielholskiego i Justyna Wagnera. Po ciężkiej nocy spędzonej na przesłuchiwanie Porcyjanki Srebro zdecydował ustrzelić trzy zające za jednym zamachem: przewietrzyć głowę, skontrolować miasto z góry i ze swoimi zaufanymi ludźmi omówić dalszy plan działania.

Wczorajsza noc naprawdę nie należała do przyjemnych. Przesłuchanie Porcyjanki przeciągało się w nieskończoność, gdyż grubasek co chwila dostawał ataków hysterii i trzeba było wzywać lekarza dyżurnego. Legata zaś dopadło zmęczenie. Odezwało się i napięcie ostatnich dni, i skutki wyprawy do Nowowilejska. Wyciągnąwszy z Porcyjanki wszystko, co możliwe – szczególnie informacje o rosyjskim agencie, który przebywał w Wilnie pod nazwiskiem Skoryk i kupił tajne szkice – zostawił biedaka, by w komnacie pałacu Słuszków doszedł do siebie. Przed świtem wysłał jeszcze patrol na Ostry Koniec, by odnaleźć Marynę Baltriene, a w końcu padł na łóżko, stanowczo nakazawszy dyżurnemu obudzić go za dwie godziny.

Jednakże legatowi nie udało się zdrzemnąć. Rozmyślał o uczonym wskresicieli, który w tajemniczy sposób zniknął ze szpitala psychiatrycznego, i o ślusarzu, który nie był żadnym ślusarzem, a panoszącym się po Wilnie jak u siebie rosyjskim agentem. Przewracał się z boku na bok, a gdy usłyszał pukanie do drzwi, natychmiast wyskoczył z łóżka i niedługo potem pośpieszył

do swojego gabinetu.

Informacje przyniesione przez legionistów z Ostrego Końca również nie cieszyły.

– Przywitali nas miejscowi. Kijami i siekierami – meldował zwięźle sierżant dowodzący rajdem. – Myśleliśmy, że po dobroci się nie skończy, ale gdy zrozumieli, kim jesteśmy, od razu się uspokoili. Wygląda na to, że wczoraj wieczorem mieli już na Oстрыm Końcu gości. Zrujnowali całe mieszkanie, rozbili porcelanę, powywracali meble, śmiertelnie wystraszyli i pobili... – sierżant umilkł na chwilę, spuścił wzrok i spojrzął w swoje notatki – pobili obywatelkę Marynę Baltriene, żądając, by powiedziała, gdzie przebywa Franciszek Baltrus. Pewnie byliby ją zabili, gdyby Baltriene nie udało się uciec. Z krzykiem wybiegła na podwórze, a gdy zbiegli się sąsiedzi, po napastnikach nie został ani ślad. Uznali, że to bandyci, i zaraz się uzbroili, na wypadek gdyby tamci postanowili wrócić. Baltriene twierdzi, że nic nie wie o siostrzeńcu, nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów i nawet nie pamięta, kiedy widziała go po raz ostatni. Podobno to samo powiedziała napastnikom. Gdybyśmy aresztowali kobietę i spróbowali przywieźć ją do Słuszków, miejscowi by się tak wściekli, że połałaby się krew, dlatego podjąłem decyzję, by zostawić ją w domu, ale postawiłem tam dwóch obserwatorów.

– Dobrze zrobiłeś – pochwalił go Srebro. – Im mniej napięcia w mieście, tym lepiej. Udaj się na spoczynek.

Gdy sierżant wyszedł z gabinetu, legat potarł skronie i choć obiecał sobie, że nigdy więcej tego nie robi, otworzył najnowszy numer „Wileńskiej Prawdy”, której pierwsza strona wrzeszczała o zaczynających się w Wilnie masowych strajkach. Srebro rzucił okiem na nagłówki i uderzył pięścią w stół tak mocno, że aż podskoczył stojący na nim metalowy kałamarz, a jego pokrywka spadła na podłogę i poturlała się do kąta. Bardzo nie lubił, gdy coś go omijało. I to dwa razy w ciągu jednego dnia. Zadzwoił do dyżurnego, poprosił, by przygotowano mu wielki kubek z brazylijską herbatą, po czym wezwał pilota „Wojsiełka”.

Teraz stał na pokładzie sterowca i zamierzał porozmawiać z porucznikami Michałem Wielholskim i Justynem Wagnerem.

– Do diabła ze wszystkim – zaburczał pod nosem, machając tym dwóm, by się do niego zbliżyli. Czuł się jak zongler, który podrzucił w powietrze za dużo piłeczek i nagle pojął, że nijak nie zdoła ich wszystkich złapać, któraś musi się rozbić o ziemię.

Wielholski i Wagner podeszli do dowódcy. Ich posępne twarze zdradzały,



że obaj doskonale rozumieją nastrój szefa. Szczególnie nieprzyjemnie czuł się Wagner. W końcu to kapral z jego oddziału stracił z oczu serpoletta wskrzesicieli, gdyby stało się inaczej, być może Ujejski nadal by żył. Najemnicy nie wątpili, że jego śmierć to robota wskrzesicieli. A mężczyźni, którzy odwiedzili Marynę Baltriene, to ta sama banda – czciciele feniksa. Niestety nie mieli na to żadnych dowodów. Profesjonalista, który wykonał robotę w parowiejskiej kamienicy, nie pozostawił po sobie śladów. Znaleźć kogokolwiek na Ostrym Końcu także nie było szans. Na miejscowych nie mieli co liczyć – nie tylko nie pomogą, ale będą przeszkadzać.

Pilot sterowca podniósł maszynę nieco wyżej. Rozciągające się pod spodem Wilno było teraz widać wręcz doskonale, przypominało rozłożoną mapę.

– Czekają nas bardzo ciężkie dni – przemówił legat, spojrzawszy na obu mężczyzn. – Wsparcie już nadciąga, ale ludzi i tak będzie za mało.

Wolne miasta Aliansu przysyłały na Szczyty swoich legionistów, którzy mieli pomóc zapewnić porządek podczas zjazdu, ale robiono to bardzo niechętnie, więc przydzielano niewielkie wsparcie w ludziach. Usprawiedliwiano się tym, że żadne miasto nie może pozostać bez ochrony, ale tak naprawdę każdy naciągał prześcieradło na swoją stronę łóżka – nie chciał płacić wynagrodzenia legionistom pracującym na obcym terenie.

– Największą uwagę poświęcamy Dominium Uniwersyteckiemu – rozkazał legat Srebro. – Michale, ty będziesz dyżurować przy uniwersytecie i ratuszu. – Wychylił się przez burtę i spojrzął na miasto. – Oddziały pomocnicze rozstaw tu, tu i tu... – Wskazał na uliczki podwórka Dominium otaczające wieżę kościoła Świętych Janów i plac Ratuszowy. – Oddział uderzeniowy niech stoi na placu, przenośne działa ustawcie na dachach tam i tam, ale użyjemy ich tylko w ostateczności.

Sterowiec wisiał na wileńskim niebie, palec legata rysował w powietrzu niewidzialne kształty, a obaj porucznicy ze skupieniem obserwowali ruchy dowódcy i kiwali głowami na znak, że rozumieją rozkazy.

– A co z ochroną wielkich gości? – zainteresował się Wagner.

– Dzisiaj wieczorem, przed balem, spotykam się z szefami ochrony z wszystkich państw członkowskich. Gości witamy w Wyścigowym Porcie Lotniczym i odprowadzamy ich do hoteli, a potem sprawami ich bezpieczeństwa zajmie się ich własna ochrona. Pomożemy, na ile będziemy mogli, ale naszym najważniejszym obowiązkiem jest patrolowanie Wilna i pilnowanie porządku na ulicach – stanowczo podkreślił Srebro. – I jeszcze

coś. Barona Natana Rothschilda będzie strzec jego osobisty oddział, jednak my musimy ich otoczyć zewnętrznym pierścieniem. – Srebro odwrócił się do Wagnera: – Justynie, ty odpowiadasz za bezpieczeństwo miasta podczas świąt. Zorganizuj jak najwięcej oddziałów, mogą być mniejsze, ale bądźcie dobrze widoczni. Zaciągnij przystawów, najemników z innych miast Aliansu, ale w każdej jednostce musi być nie mniej niż po dwóch naszych. Czuwajcie tam, gdzie zbierze się najwięcej ludzi: na Łukiszkach przy kopule z wystawą, na prospekcje, na Niechrtach, na Pohulance. Postaw najzwawszych ludzi na wszystkich mostach, szczególnie na Zielonym. Dogadaj się z mechanikami, by udostępnili nam swoje bezprzewodniki, na każdym posterunku musi być po jednym łączniku, żeby umożliwić jak najszybszy przepływ informacji.

– Biedy? – zapytał Wagner lakonicznie jak każdy wojskowy.

Legat znów zerknął przez burtę sterowca i znalazł wzrokiem brązowo-czerwoną mieszaninę dachów. Nagle przypomniał sobie słowa Macieja Lewego: „Myślisz, że obchodzą mnie tylko pieniądze? Bardzo się mylisz. Naprawdę zależy mi na tym mieście. Bez takich jak wy i bez takich jak ja ono by nie przetrwało”.

– Biedy zostawmy w spokoju. Obok Słupów niech stoi potrójny patrol i kareta parowa. Kilku krętaczy ma donosić, co się tam dzieje. Naszym obowiązkiem będzie tylko wyciągnąć z Bied bardzo ważne osobistości, jeśli wpadną tam w kłopoty. – Legat odwrócił się w drugą stronę i spojrzał na Paromieście, gdzie ponad fabrykami jak zawsze unosił się szarawy smog. – Jeśli wierzyć gryziptórkom z „Wileńskiej Prawdy”, w mieście mogą wybuchnąć strajki. A może nawet już się zaczynają. Przewodniczący Gildii Mechaników zapewnia, że sami się z tym uporają, ale przygotujcie swoich ludzi na tłumienie zamieszek. Krótko mówiąc, w tej sprawie zachowajcie rezerwę. – Zamilkł na chwilę. – To jeszcze nie wszystko. Jadę na spotkanie Rady Wileńskiej, będę prosić burmistrza o pozwolenie na szturmowanie dworku w Markuciach. Coś za bardzo nas unikają. Najwyższy czas zamienić słówko z braćmi wskrzesicielami.

Porucznicy Wielholski i Wagner spojrzeli po sobie. Obaj myśleli o tym samym.

– Legacie – ostrożnie odezwał się Wielholski – nawet jeśli zbierzemy wszystkich, którzy kiedykolwiek służyli w policji, strażaków i przysłanych z innych miast legionistów, nie wystarczy nam sił, by wszystkiego dopilnować. My nie...

– Musi wystarczyć – uciął jak siekierą Srebro. – Powinno wystarczyć. Sami

pomyślcie, w Wilnie gromadzą się Rosjanie, Niemcy, Żydzi, Turcy, anarchiści, rewolucjoniści, piraci, strajkujący, że już nie wspomnę o bandytach. Wystarczy jedna iskra, żeby to miasto zapłonęło jak świętojańskie ognisko. A jeśli spłonie, z całą pewnością zostaniemy wysłani do Kalifatu Sokoto pilnować Tuaregów. Więc jeśli ktokolwiek spróbuje wykrzesać iskrę, obok musi być jakiś strażnik miejski, który natychmiast ją ugasi, póki się nie rozprzestrzeni.

Porucznicy milcząco przytaknęli.

Pilot sterowca zmienił kurs i mały zwiadowczy statek powietrzny ruszył w stronę starówki. Mężczyźni zobaczyli, jak nagle ożyła wieża nawigacyjna lotniska – rozbłysły różnokolorowe sygnały świetlne, gotowe powitać czarny punkt, który pojawił się na południowym widnokręgu.

– Rejs z Pragi – wyjaśnił pilot „Wojsielka”.

Legat Srebro spróbował sobie przypomnieć, czy przybywa nim ktoś z ważnych gości. Tak, hrabia László Szógyény-Marich, ambasador cesarstwa austro-węgierskiego w Aliansie. Ale największa wrzawa podniesie się, dopiero gdy przed obiadem wyląduje wielki sterowiec z Londynu. Przybędzie nim minister spraw zagranicznych imperium brytyjskiego lord Henry Petty-Fitzmaurice, ambasador Japonii w imperium brytyjskim Hayashi Tadasu i najzacniejszy gość – baron Natan Rothschild, nieformalny zarządca wszystkich wolnych miast Aliansu. Równie ważny punkt programu zaplanowano pod wieczór, kiedy odbędzie się pokaz cesarskiej niemieckiej latającej fortecy. „Przekłęci Prusacy i ich żelazko”, zaklął legat w myślach, które uleciały w inną stronę.

Szkice i morderstwo na Cmentarzu Cholery – to jego największy ból głowy. Legat zachodził w głowę, w jaki sposób projekty znalazły się w posiadaniu biednego ślusarza Waneczki Skoryka zamordowanego na Cmentarzu Cholery, a tymczasem okazało się, że ów robotnik to carski żołnierz. Starym przyzwyczajeniem Srebro zaczął wymieniać w myślach: po pierwsze, Skoryk dowiedział się od Porcyjanki o szczególnie tajnych szkicach wskrzesicieli. Rosjanie zainteresowali się nimi, kumpel Porcyjanki je skopiował i przekazał Skorykowi. Po drugie, wskrzesiciele nic nie wiedzieli o kradzieży szkiców, ponieważ dopiero po wizycie Srebra polecili na Paromieście i do Nowowilejska. Legat nie miał pojęcia, jak odkryli, że to Ujejski ukradł projekty, ale czuł, że to on zdradził go wskrzesicielom, gdy włożył im prosto w ręce ich własne szkice.

– Na wojnie jak to na wojnie – zamruczał pod nosem, kompletnie nie

współczując złodziejowi. W przeszłości zetknął się z jeszcze nieprzyjemniejszymi sytuacjami.

Po trzecie, Franciszek Baltrus pracował dla wskrzesicieli. Zapewne nie tylko z powodu tych tajnych szkiców uczoney znalazł się w Szpitalu Psychiatrycznym w Nowowilejsku. W końcu Wilejszys twierdzi, że przedstawionego na szkicach bionika nie można zbudować.

Po czwarte... tu pojawiły się już tylko pytania. Kto wyciągnął Franciszka z Nowowilejska? Na pewno nie Rosjanie i nie wskrzesiciele. Czyżby w tej skomplikowanej grze był jeszcze jeden, póki co nieznany gracz? Być może to on zamówił morderstwo szpiega Skorochodowa? W takim razie dlaczego zabójca nie zabrał szkiców? A może należy trzymać się mniej prawdopodobnej wersji, że morderstwo Skorochodowa to nieszczęśliwy wypadek? Nie, to niemożliwe. Ale... dlaczego szkice zostawiono przy zwłokach? Przecież to one powinny być celem. I gdzie przepadł Franciszek Baltrus?

Legat skrzywił się, czując, jak jego mózg zaczyna ścisnąć żelazna obręcz. Już wyciągał rękę do garnuszka z herbatą, gdy nagle się rozmyślił i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął stary wojskowy bidon, po czym od serca pociągnął łyk napoju. Gorzki płyn palił mu gardło, ale bolce ściskające głowę odpuściły. Srebro potrząsnął głową, nasłuchując, jak trzaskają mu kręgi szyjne, i podszedł do pilota okrętu powietrznego.

– Wysadź nas koło trzeciego posterunku i znów się wznieś – rozkazał. – Jakby co, od razu informuj bezprzewodnikiem. Tylko nie płacz się pod nogami wielkim sterowcom i nawigatorom. Oni już i tak toczą pianę z pyska.

„Wojsielk” zawisł z gracją nad trzecim posterunkiem zwiadowczym na Niechrztach i trzech mężczyźni zeszli po spuszczonej z pokładu drabinie, po czym z łatwością zeskoczyli na dach budynku.

– Jedźcie na swoje posterunki, a ja wybieram się do ratusza. Czekać na informacje ode mnie. Gdy tylko dostanę zezwolenie na szturmowanie dworku naszych przyjaciół w Markuciach, od razu dam znać.

Wilno,  
przed południem  
25.04.1905

Antoni Srebro przywykł do tego, że ludzie ustępują mu z drogi, jednak ci, co przybyli do Wilna, nie wiedzieli, jaki respekt wzbudza radny u miejscowych, dlatego musiał przepychać się w tłumie. Przypomniawszy sobie o graficiarzach, kręcił głową w obie strony, na szczęście ściany mijanych budynków były czyste. Wyglądało na to, że po zatrzymaniu przy ratuszu jakichś dzieciaków zapał chuliganów ostygł.

Po kilku minutach marszu Srebro wszedł do ratusza. A tu sprawy od razu zaczęły się układać źle. Usłyszawszy o zamiarze legata wileńskiego względem wskrzesicieli, burmistrz Witold Wensławski-Wenskus tak energicznie pokręcił głową, że aż mu grdyka zadyndała.

– Oszaleliście do reszty, Srebro! – zapiszczał. – Już lądują statki powietrzne z uczestnikami Szczytu, już jest otwarta wystawa, ludzie czekają na święto, patrzy na nas cała Europa – burmistrz podniósł palec, jakby wskazywał oko wszystkimwidzącej Europy – a wy wymyśliliście szturm na jakiś dworek? I to w dodatku czyj? Łoży wskrzesicieli! Czy ty sobie wyobrażasz, jaki by z tego wybuchł skandal? Co by powiedział baron Rothschild, gdyby się dowiedział, że w Wilnie ścinamy się między sobą?

Zdenerwowany burmistrz podskoczył z krzesła i zaczął zawiązywać sobie krawat, jednak ręce tak mu się trzęsły, że udało mu się to dopiero za trzecim razem. Następnie podbiegł do drzwi i wyskoczył z gabinetu. Legatowi nie pozostało nic innego, jak tylko iść za nim.

– Wskrzesiciele są podejrzani o morderstwo, napaść i próbę porwania – rzucił bez większej nadziei Wensławskiemu-Wenskusowi w plecy.

– Jak dla mnie mogą być podejrzani nawet o zgwałcenie kriwe kriwaitisa[20] – odciął się burmistrz. – Nie teraz! Poczekają, wszystko poczeka, póki Szczyt się nie skończy, a potem róbcie, co chcecie, choćbyście mieli stawać na głowie i fikać koziołki.

Legat dostrzegł Gerharda von Otto skręcającego z bocznego korytarza ratusza. Ten mały człowieczek był jak zwykle wystrojony wedle najnowszej

mody: czarny nowiućki smoking leżał na nim jak ulał, pod gardłem świeciła oślepiająco biała muszka, w jednej ręce kręcił czarnym melonikiem, w drugiej niósł plik papierów, a pod pachą ścisnął gazetę. Srebro wiedział, że radny finansów jest w stanie zmienić prawie wszystkie decyzje burmistrza i już otworzył usta, gdy nagle przypomniał sobie, że von Otto przybył do Wilna z Pragi, ze stolicy wskrzesieli.

Przedstawiciel Rothschildów skinął legatowi i przybliżył się do Wensławskiego-Wenskusa.

– Czy czytaliście dzisiejszą prasę, burmistrzu? – spytał cienkim, prawie kobiecym głosem i wyciągnął spod pachy „Wileńską Prawdę”.

Srebro nie musiał nawet wyciągać szyi, gdyż i tak wiedział, co jest nagryzmołone na pierwszej stronie. Ale dla burmistrza to była nowość.

Ledwie rzucił okiem, jęknął i odwrócił się do legata.

– Proszę, proszę, pozachwycajcie się! – Pomachał brukowcem niczym flagą. – Strajki w Wilnie! Strajki podczas Szczytu! Porządek, panie legacie. Rygorystyczny porządek, oto czym ma się zająć Legion Wileński, oto za co płacimy wam pensje. A wam się zachciało dworki szturmować!

Teraz do legata odwrócił się i Gerhard von Otto. Uważnie zmierzył go wzrokiem, ale niczego nie powiedział. W tym momencie dotarli do ratuszowej sali posiedzeń, a jako pierwszy wkroczył do niej machający gazetą Wensławski-Wenkus. Zebrani tu członkowie rady zamierzali omówić bieżące i zbliżające się wydarzenia.

Kilkadziesiąt lat temu stary Samuel Finn postawił na Piromoncie pierwszą niewielką parterową saunę. Gdyby Finn nadal żył, byłby bardzo zdziwiony, zobaczywszy, w co obrócił się jego mały biznes. Olbrzymi kompleks paromiejskich saun zajmował teraz trzy budynki, a ścieki spływały do Wilii szerokimi rurami i płynęły w dal aż do postawionych przez alchemików sieci, gdzie ostatecznie trafiały w pułapkę. Publiczne sauny, tak samo jak wielkie gospody z tanim piwem, stały się nieodłączną częścią życia paromiejskich robotników. Mężczyźni, którzy skończyli pracę, ustawiali się tam w długich kolejkach i cierpliwie czekali, kiedy będą mogli zostawić w skrzynce swoje rzeczy i gorącą wodą zmyć z siebie sadzę i oliwę. Sale oraz przebieralnie zostały urządzone w sposób prosty, ale uporządkowany. Nic tutaj nie przypominało starych saun carskiego Wilna z podgniętą podłogą i oknami oblepionymi pajęczynami, zniknęły brudne dzbany z wodą.

Zamożniejsi wilnianie i ci piastujący wyższe stanowiska chadzali do

prywatnych pokoi umiejscowionych w osobnym budynku. Tutaj można było zamówić sobie coś do picia, coś do przegryzienia i rozmawiać bez obaw, że zostanie się podsłuchanym przez jakieś ciekawskie obce uszy.

– Uuuch! – odetchnął głośno stary sauniarz, uderzając po mistrzowsku miotełkami z liści w czterech rozciągniętych na długich leżakach nagich mężczyzn.

Z miotełek tryskały kropelki wody, a w pomieszczeniu pachniało mięta i tymiankiem. Sauniarz pracował, nie szczczędząc sił. Profesjonalny prowokator Misza Susłow zamknął oczy rozmarzony. „Wspaniale, gdy pracę można pogodzić z przyjemnościami”, pomyślał.

Miał się z czego cieszyć, gdyż sprawy układały się gładko jak nigdy. Jak obiecała Emilia, ani carscy pogranicznicy, ani alianckie siły bezpieczeństwa nie przeszkodziły w dotarciu do Wilna jego poplecznikom, doświadczonym jak on buntownikom. Ludzie ci z miejsca zabrali się do pracy – od samego rana kręcili się po paromiejskich fabrykach, śnipiszkowych chatach, targach, a także nowoświatowych kamienicach, i robili tubylcom pranie mózgu. Objaśniali, pouczali, grozili, przekonywali. I płacili. Banknoty wpadały w ręce robotników niczym jesienne liście. A zaraz za nimi sypały się zachęty. „Daj sobie spokój z pracą i zostań w domu. Dołącz do naszych. Powiedz nie panom. Nie uginaj pleców. Niechaj staną te przekłete maszyny, to one odbiorą ci pracę. Za tego półrubla, rubla czy nawet całe trzy”.

Ale to były drobnostki. Należało przede wszystkim czym prędzej zapewnić sobie wsparcie liderów wspólnot pracowniczych, a to już cięższy kawałek chleba, choć grunt został tu już spulchniony wcześniej. Redaktorzy „Wileńskiej Prawdy” straszili nowymi maszynami i rosnącym bezrobociem, a ich zaufanych pracowników wypychano na stanowiska liderów. Tymczasem koperty stawały się coraz grubsze.

Susłow pokręcił głową i zerknął krzywo na leżących w błogostanie trzech kompanów – rozwalonego z lewej strony przywódcę wspólnoty cieśli Antona Kolwę, pracującego w fabryce mydła aktywistę wspólnot Jana Krażasa i dyszącego z prawej księgowego tej samej fabryki, Eustachego Pugisa. Po relaksie w saunie mężczyźni włożyli czyste ubrania, w których znaleźli po bardzo grubej kopercie. Już jutro przedsiębiorstwa wychwalanego wileńskiego Paromieścia zatrzymają się i dostojni goście Szczytu zobaczą wypływających na ulicę niezadowolonych robotników. Tysiące rozwścieczonych twarzy.

A to bynajmniej nie wszystko. Wieczorem na Susłowa czekało jeszcze jedno

ważne spotkanie – tam potrzebne będą już nie ruble, a czerwońce, ale mężczyzna nie wątpił w ich siłę. Wilno i jego goście bardzo szybko poczują, co znaczą słowa „prawdziwe zamieszki”.

Susłow zamknął oczy. Wszystko idzie po prostu cudownie, nieprzekupnych ludzi nie było, nie ma i nie potrzeba. Nawet sauniarzowi wcisnął dodatkową trzyrublówkę. Tak na wszelki wypadek.

Stary sauniarz odsunął się od leżaków i zanurzył miotelki w wiadrach z ciepłą wodą z mydłem. Następnie jedną ręką po cichu otworzył małe okienko w ścianie i szmatką wytarł parę z oczka kamery obrazującej.

– Co mamy robić? Strajki podczas Szczytu! Przecież to tragedia! – Wensławski-Wenskus nie mógł się uspokoić nawet w sali narad. – Piotrze, powiedz coś, rób coś.

Spojrzenia radnych skierowały się na człowieka w marynarce, z naciągniętym na głowę brązowym cylindrem. Przewodniczący Gildii Mechaników zamyślił się i zacisnął palce stalowej ręki.

– Ktoś bardzo się stara podłożyć iskrę w mieście, podburzyć robotników, wstrzymać paromiejskie maszyny – rzekł. – I to dokładnie podczas Szczytu. Strajkami nieustannie nam się grozi, ale o tak wielkich, jak pisze „Prawda”, jeszcze nie słyszałem. Niby skąd ten brukowiec wszystko wie? – Wilejszys palcami zdrowej ręki postukał w blat stołu. – Ja już od dawna uważam, że potrzebujemy własnej gazety.

– Takiej jak „Prawda” lejąca samo bagno? – zapytała radna wędrowców Faina Fryzel. – Czy może pięknej i prawej, piszącej o nowych klombach kwiatów w parkach? Jeśli pamiętacie, taka już była, tylko że nikt jej nie kupował.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział zamyślony Wilejszys – ale jeśli nie spróbujesz, to się nie dowiesz.

– A może sprawę gazety odłożymy na następny raz? – zaburczał burmistrz, wyciągnął z kieszonki jedwabną chusteczkę do nosa i wytarł sobie z górnej wargi drobne kropelki potu. Dzień był ciepły, ale w sali ratuszowej i tak palił się wielki kominek. – Może pomyślny o tym, jak uniknąć strajków? Może podnieśmy im płace?

– To nie jest wyjście. – Przewodniczący mechaników Wilejszys pokręcił głową. – Porządni robotnicy nie chcą strajkować, pomrukują i się uspokajają, bo wiedzą, że jak będą dobrze pracować, dostaną więcej. Podburzają ich ślamazarne lumpy, które zleciały się do Wilna i wynajęły się za butelkę



gorzałki. Oni pracują tak nieudolnie, że potem ktoś musi wszystko robić za nich od nowa. Jeśli nie znajdziemy sposobów, jak ukoić porządnych swojaków, wtedy już na pewno wybuchną strajki. Ale nie martwcie się, burmistrzu, coś wymyślimy. Podczas Szczytu paromiejskie kominy będą paliły jak oszalałe. Odpowiadam za to osobiście. Będę jednak potrzebować pomocy panów radnych. – Wilejszys zakończył swoją przemowę i odwrócił się do Srebra, a potem do Gimbutta, rektora uniwersytetu.

Legat od razu przytaknął, zaś Gimbutt, trochę zdziwiony, odchrząknął i dopiero potem skinął.

– W porządku, wierzymy w pana – rzekł dostojnie burmistrz, starając się ukryć radość wywołaną przez słowa: „Odpowiadam za to osobiście”.

Gerhard von Otto krzywo spojrział na burmistrza i wsadził nos w papiery. Nie dlatego, że był szczególnie pilny, tylko po to, by nie zacząć chichotać.

– Przejdźmy zatem do kolejnego punktu posiedzenia – ciągnął burmistrz. – Dziś wieczór w ratuszu miasto organizuje bal na cześć przybyłych gości. Chyba nie trzeba przypominać, że chciałbym tam widzieć wszystkich panów radnych.

– Ale ja... – zaczął Srebro.

– Żadnych ale, panie legacie – przerwał mu stanowczo burmistrz, w samą porę przypomniawszy sobie, co mu odpowiadała żona, gdy to on próbował się wykręcić z zaproszenia na herbatkę. – Żadnych ale – powtórzył i zmarszczył brwi. – Zaczyna się Szczyt, już zjechali się ministrowie, ambasadorzy, Rada Wileńska powinna wypełnić swój obowiązek.

– A ja myślałem, że moim obowiązkiem jest chronić miasto – zamruczał legat, jednak tak cicho, że usłyszał to tylko siedzący obok alchemik Jan Basanowicz.

– Bal zaczyna się równo o dziewiątej. Część gości już przybyła do Wilna. Jak się ma nasze niebo? – Wensławski-Wenskus obrócił głowę w stronę radnego kierunku.

– Zakorkowane – odpowiedział, wzruszając ramionami, Szczerbakow, niewysoki, krępy Rosjanin, który całe życie służył na sterowcach, od pomocnika mechanika począwszy i na kapitanie zakończywszy. Dopiero niedawno pokład statku powietrznego zamienił na fotel radnego miejskiego. – Nawigatorzy pracują jak szaleni, ale korki i tak się zdarzają. Port lotniczy nie jest w stanie przyjmować i wypuszczać aż tyle statków. Proszę – radny wyciągnął z kieszeni kartkę papieru – już dostałem informację, że nie zrozumiawszy sygnałów z wieży, o mały włos nie zderzyły się „Aurora”

i „Celsjusz” oraz dodatkowy sterowiec rejsowy, który przyleciał z Warszawy. Niestety udało się uniknąć, ale co będzie, gdy pojawi się „Parsifal”, sam nie wiem.

Członkowie rady ucichli na wzmiankę o „Parsifalu”, latającej fortecy cesarza Niemiec. Pierwszy lot tego statku powietrznego został skierowany właśnie do Wilna. Aluzja Niemców wydawała się całkiem jasna: zademonstrować swoją siłę i bojowy nastrój. Na Szczyt cesarz wydelegował Karla von Einema, pruskiego ministra wojny i jednego z orłów Cesarstwa Niemieckiego.

– Ponieważ nawet sobie nie wyobrażamy, jak mamy tego „Parsifala” zacumować, a sami Niemcy poradami się nie dzielą, zdecydowaliśmy się na wyczyszczenie całej przestrzeni nad miastem, żeby godzinę przed jego przybyciem i godzinę po odlocie nie było tam żadnego statku. Okręt popieści trochę publikę i znów się wznieś, w przeciwnym razie wstrzymałby całą pracę na lotnisku – poinformował Szczerbakow. – Baron Rothschild uprzejmie zgodził się przybyć trochę wcześniej. Za to Francuzi określili jako skandal to, że ich minister spraw zagranicznych zmuszony jest tańczyć, jak Niemcy zagrają. Burmistrz, chyba już dostaliście notę od Francuzów?

Wenślawski-Wenskus wgapił się w stół. Teraz wyglądał jak głodny pies, który wsadził sobie w pysk zbyt wielką kość i nie może jej przełknąć.

– Monsieur Delcassé zostawcie mnie – odezwał się Gerhard von Otto, zwinnie przechwytyjąc lejce rozmowy. – Może uda się wyjaśnić to dyplomatyczne nieporozumienie. W końcu nikt nie chce, żeby „Parsifalowi” coś się stało. Dobrze, że Rosjanie i Turcy postanowili nie lecieć, a podróżować drogą lądową.

– Tak – potwierdził Szczerbakow. – Za półtorej godziny przyjeżdża Izzet Pasza Al Abed, sekretarz Abdula Hamida, sułtana Imperium Osmańskiego. A za trzy godziny specjalny opancerzony pociąg z Sankt Petersburga dostarczy rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Władimira Nikołajewicza Lamsdorfa.

– Pasza będzie chciał porozmawiać z baronem Rothschildem o kolei hidżaskiej, dlatego przyjeżdża pociągiem – podkreślił von Otto. – Fiodorze Maciejewiczu – zwrócił się do Szczerbakowa – baron Rothschild zażyczył sobie, byście uczestniczyli w tym spotkaniu. Może mu być potrzebna rada zaufanego człowieka. – Szczerbakow aż się zarumienił z zadowolenia, a poseł Rothschildów mówił dalej: – Teraz co do ministra Lamsdorfa... Jego interesy są hm... – szukał odpowiedniego słowa – osobliwe.

– Sodomita! – wrzasnął nagle prałat Masalski. – Sodomita, oto cała prawda o Lamsdorfie! – Radny ducha nie przebierał w słowach. – Prawdziwa bolączka w oczach wierzących! Myślicie, że my nie czytamy petersburskich gazet? W carskim pałacu nazywają go madame i wyśmiewają się z niego, że na bale przychodzi z kochankiem. Przysyłają sodomitę, a my go mamy pozdrawiać i się kłaniać? We wszystkich wileńskich kościołach modlimy się za opętanych przez diabła, a jego przywitamy z wodą święconą i różańcem.

Burmistrz zamknął oczy. Spotkanie na Szczycie miało się stać ukoronowaniem jego kariery, ale teraz wszystko mogło wziąć w łeb.

Gdy posiedzenie się skończyło i radni się porozchodzili, Piotr Wilejszys dogonił na korytarzu legata kroczącego obok rektora Gimbutta.

– Ze strajkującymi moglibyśmy się uporać sami, ale jutro nie zaszkodziłaby i pomoc legionistów.

Srebro przytaknął. Ludzi mu, co prawda, brakowało, ale strajki stanowiły zbyt poważny problem, żeby Paromieście można było zostawić bez opieki.

– Was również chciałbym poprosić o przysługę – zwrócił się Wilejszys do rektora. – Czy nie przysłalibyście mi kilku pracowitych studentów, którzy dobrze piszą i nie przestraszą się nocnej pracy?

Gimbutt uniósł brwi.

– W porządku – odparł. – W Dominium jest wielu takich studentów. – Zamyślił się na chwilę. – Dopóki się nie napiją. Przyślę ich do gildii, ale muszę zapytać, do czego są panu potrzebni?

– „Czytajcie i dawajcie do rąk każdego dziecka, zarówno Żmudzina, jak i Litwina” – zacytował Maźwida[21] mechanik, po czym uśmiechnął się i puścił oczko. – Zobaczymy się na balu, panowie – rzekł i pośpieszył korytarzem.

Wilno,  
po południu  
25.04.1905

Gdy w wolnym Wilnie zaczynał się Szczyt, na publicznych drogach zagościło ogólne poruszenie, wręcz szal, jednak mieszkańcy Zwierzyńca jak zwykle reagowali na zaistniałą sytuację na swój sposób. Na moście Zwierzynieckim panował od wczesnego rana zgiełk. Jedni zmierzali na prospekt Świętego Jerzego, by najkrótszą drogą dostać się do kopyły z wystawą na placu Łukiskim, inni oglądali się za tramwajem jeżdżącym na lotnisko, a jeszcze inni niespiesznie zdążali wzdłuż Wilii w stronę Zielonego Mostu. Jednakże zdecydowana większość mieszkańców Zwierzyńca postanowiła pozostać wierna tradycjom swojej dzielnicy i nie ruszyła się z domu.

Zapowiadał się piękny dzień, dlatego niektórzy ładowali sobie do koszy przekąski, by się wyciągnąć nad rzeką na trawce, a Zwierzyniec najzwyczajniej w świecie nie wtrącał się i tego samego oczekiwał z drugiej strony – nie zamierzał wpuszczać Szczytu do siebie, dlatego przed obiadem przy moście Zwierzynieckim wyrosły dwa namioty, między którymi rozciągnięto linę. Gdy tylko zbliżali się do nich sprzedawcy, połykacze ognia, kuglarze bądź głosiciele słowa Bożego, kilku dyżurujących przy namiotach ochotników z zielonymi opaskami na rękawach uprzejmie zawracało ich z obranej drogi. W innych okolicznościach legionieści wileńscy może i patrzyliby krzywo na taką inicjatywę, jednak tego dnia porucznik Wagner nawet się ucieszył na wieść o zwierzynieckich barykadach – przynajmniej w tej dzielnicy będzie spokojnie.

Doktor nauk alchemicznych Jan Basanowicz tylko uśmiechnął się pod wąsem, gdy przemierzając most szybkim krokiem, dostrzegł zaporę przy Zwierzyńcu. Niósł niewielką walizkę. Miał dobry humor, wesoło kiwał głową spotkanym po drodze znajomym. Na widok alchemika ochotnicy z mostu uprzejmie podnieśli czapki.

– Szykujecie się na odparcie szturmowi czy co? – zachichotał alchemik, przechodząc pod rozciągniętą liną.

– A jakże, panie radny – zaseplenił siwy staruszek ubrany w starą

marynarkę munduru carskiego rekruta, specjalnie na tę okazję wyciągniętą ze skrzyni trzymanej na strychu. – Przyjechały tu różne typy. Tylko ich wpuść, a oskubią cię, nim się obejrzysz.

– Powodzenia na służbie! – powiedział Basanowicz i ukrył uśmiech w bujnej brodzie, machając walizeczką, po czym ruszył zwirową główną ulicą Zwierzyńca.

Następnie skręcił z niej, zanurkował w gęste gałęzie drzew, które zwisały, jakby pragnęły objąć każdego przechodnia, i znalazł się przy dobrze znanym podwórzu, na którym rosły piękne krzewy dzikiej róży. Drewniana furka była zamknięta, ale dało się przez nią zajrzeć na zadbaną łączkę, gdzie na bujanym fotelu siedział pogrążony w lekturze właściciel domu.

Basanowicz kilka razy pokręcił klamką od furki. Zamontowany nad nią metalowy człowieczek ożył, zaskrzypiał, podniósł rękę i małym młoteczkim zaczął uderzać w miniaturowy gong z brązu. Dźwięk rozszedł się po całym Zwierzyńcu.

Mężczyzna na bujanym fotelu odłożył książkę, wstał i już po chwili Jan Basanowicz mocno ścisnął rękę swego serdecznego przyjaciela, Nikodema Twardowskiego.

– Woleę, gdy przylatujesz „Ważką” – rzekł Nikodem, prowadząc gościa do domu. Przechodząc obok fotela, wsunął pod pachę książkę. – Robisz wtedy mniej hałasu.

– Wyreguluj swojego żołnierzyka, to pozbędziesz się hałasu – uśmiechnął się Basanowicz. – Dziś nie mogłem przylecieć. Wymęczeni nawigatorzy już i tak rozmawiają z bogami. Gdybym powiedział, że chcę wznieść „Ważkę” w powietrze, dostaliby zawału. Zostawiłem ją na Paromieściu, żeby ją mechanicy wyremontowali. Dotarły już do ciebie wieści, jakie przedstawienie zrobili wczoraj Niemcy?

– Pewnie – odpowiedział Nikodem. – Cała dzielnica mówi tylko o tym. Pomyśl, latająca forteca. Nie musieliście ocucać burmistrza amoniakiem?

– Prawie, prawie – mruknął Basanowicz, zawieszając kapelusz na wieszaku w przedsionku. – I nie tylko jego. Francuzi i Rosjanie już wrzeszczą, choć nie widzieli „Parsifala” na oczy. O takim początku Szczytu nawet żeśmy nie śnili.

– Tak, w obecnych czasach nie masz pojęcia, czego możesz się spodziewać – rzekł wnikliwie Twardowski, idąc po schodach do laboratorium.

Gdy podeszli do drzwi, krwistoczerwone oczy wbiły w nich spojrzenia. Nikodem wyuczonym ruchem nacisnął kilka przycisków, oczy się zamknęły,

a zamki otworzyły.

Znalazłszy się w laboratorium, Twardowski jednym ruchem ręki zepchnął leżące na stole zapisane drobnymi literkami papiery, by zrobić miejsce dla walizki Basanowicza. Kliknęły zabezpieczenia i w promieniach słońca błysnęła malutka, wykonana z ciemnego nieprzeźroczystego szkła buteleczka z korkiem przytrzymywanym metalowym uchwytem. Obok niej leżała niewielka strzykawka, jej igła została zakryta podłużną szklaną osłonką.

– Ja nadal nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – powiedział Basanowicz. – Serum prawdy to szczególnie niebezpieczny specyfik.

Nikodem Twardowski wziął buteleczkę, zachlupotał płynem i podniósł ją do oczu, jakby przez ciemne szkło próbował dojrzeć, jakiej barwy jest jej zawartość.

– Żyjemy w niebezpiecznych czasach – rzekł sucho i wsadził sobie buteleczkę do kieszeni długiego kitla. – Jeśli O’Braitis naprawdę jest tym, kim myślę, trzeba go jak najszybciej zneutralizować. Albo przynajmniej uważnie obserwować. Mogę sobie dać splunąć na kapelusz, że nowy Mistrz Praskiej Łoży Wskrzesicieli wymyślił coś bardziej wyrafinowanego, niż zaciągnięcie Mile worka na głowę i wciągnięcie do karety. Ale przede wszystkim sami musimy się upewnić, czy nasze podejrzenia mają mocne podstawy.

– Nie martw się o to – odparł Basanowicz. – Pięć kropli do napoju, a po godzinie chłopak źle się poczuje i osłabnie mu ogólna odporność organizmu. Wtedy trzeba poszukać ustronnego miejsca i podać serum prawdy. Zapadnie w drzemkę, a ty pytaj, o co tylko zechcesz, usłyszysz samą prawdę. Ale będziesz mieć na to tylko piętnaście minut. Potem się obudzi i niczego nie będzie pamiętać. Najważniejsze, żeby nie przesadzić z ilością kropel, bo... – Basanowicz na chwilę zamilkł. – Skutki uboczne... Nie będę owijał w bawełnę, mogą być trwałe.

– Co konkretnie może się stać? – zainteresował się Twardowski.

– Bywa różnie. – Alchemik wzruszył ramionami. – Jednemu zaczną się pokazywać białe konie, drugi cały dzień będzie siedział na nocniku. Dlatego też Alians nie chwali się tym wynalazkiem. Jasne, to nie skopolamina tego Amerykanina, jak mu tam, doktora House’a, niemało posunęliśmy się naprzód, ale preparatowi daleko do doskonałości. I mało kto dostałby pozwolenie na jego użycie. Gdyby w Dominium dowiedzieli się, że pożyczyłem sobie serum bez zgody rektora, z pewnością nikt by mnie nie pogłaskał po siwiźnie.

– Ale ty mnie popierasz, wiesz, że musimy się upewnić. – Twardowski spojrzał przyjacielowi w oczy.

Alchemik tylko odchrząknął i skinął potwierdzająco głową.

Miła, usłyszawszy dźwięk gongu przy furtce, natychmiast doskoczyła do okna. Kiedy zobaczyła wuja Basanowicza, odetchnęła z ulgą. To nie goście, na których czekała. W mgnieniu oka wyrzuciła obu wujków z głowy i wróciła do toaletki. Jej zawsze posłuszne loki dziś jakby specjalnie wiły się niczym włosy-węże Meduzy. Jeszcze jeden kosmyk wymknął się spod spinki i spadł jej na oczy. Miła trzymała w ustach kilka spinek i starając się ich nie upuścić, wymruczała słowa zupełnie nieprzystające osiemnastoletniej damie.

Za nic nie chciała przyznać przed samą sobą, że stara się tak dla gości, którzy wkrótce pojawią się w domu wuja.

– To dwaj brytyjscy żołnierze i tyle – wyjaśniła ciekawskiej gospodyni Marcie.

A jednak tego ranka wstała wcześniej, długo i kapryśnie przebierała między wieszakami w szafie, dopóki w końcu nie zdecydowała się na lekką sukienkę z błękitnego jedwabiu o szerokiej spódnicy i sporym dekolcie odkrywającym zgrabną szyję. Z włosami poszło jeszcze gorzej.

„Ten Litwin, który nie mówi po litewsku, jest całkiem sympatyczny”, myślała Miła. „I wygląda na to, że od razu przypadł do gustu wujkom”. Mimo że ten chłopak spodobał się jej bardziej, wciąż widziała ciemne oczy Charlesa Finleya, które przyciągały spojrzenie Miły jak magnes żelazo. Dziewczyna przypomniawszy sobie jego silne ręce, gdy pochwycił ją na pokładzie „Ikara”. Zdecydowała się spróbować wyczuć zapach jego wody kolońskiej i po ciele przebiegły ją dreszcze.

Wreszcie uparty kosmyk został przymocowany srebrną spinką. Miła pokręciła się przed lustrem, wystawiła język do swojego odbicia i odwróciła się do pudełka, w którym leżeli jej trzej najlepsi przyjaciele. Zastanowiła się przez chwilę, po czym pochwyciła drobne ciało Pierrota.

– Nie wiedziałem, że jedziemy na oświadczyń – rzekł kąśliwie Edward O’Braitis, spoglądając na siedzącego obok Charlesa Finleya.

Na siedzeniu karety leżał wielki bukiet białych róż owiniętych w biały przezroczysty papier oraz drewniane pudełeczko z pięknie zapakowaną butelką koniaku. Na prośbę Finleya sprowadził ją portier z Bristolu.

– Co proszę? – Anglik nie zrozumiał.

– To taki litewski zwyczaj. Gdy jedzie się do rodziców dziewczyny prosić o jej rękę, zapraszany jest i przyjaciel kawalera, żeby było mu różnie – wyjaśnił wesoło O’Braitis.

Finley uśmiechnął się na wzmiankę o przyjacielu. Jeszcze tydzień temu za nic by nie usiedli razem przy stole, lecz po kilku dniach spędzonych razem w bazie wojskowej w Farnborough, po podróży powietrznej i starciu z „Pogrzebaczem”, Edward zaczął Charlesa nazywać przyjacielem. Ten nadęty arystokratyczny łotrzyk z Królewskiej Akademii niespodziewanie w ciągu jednej nocy stał się kompanem, który zawsze był gotowy, by podać pomocną dłoń, który nie bał się wyskoczyć w ciemność na ratunek obcej dziewczynie. O’Braitis aż do teraz nie mógł zrozumieć, jak Finley zdołał się odważyć na takie szaleństwo. Próbował wypytać kolegę, ale Charles wciąż się wykręcał, zaś Edward nie naciskał, żeby ktoś nie pomyślał, iż zazdrości bohaterowi dnia sławy. W Wilnie Finley też zachowywał się dziwnie. Minionej nocy przepadł jak kamień w wodę i pojawił się dopiero nad ranem bez słowa wyjaśnienia, gdzie się podziewał. O’Braitis doszedł do wniosku, że chłopak najwyraźniej cieszy się ostatnimi wolnymi dniami, które kapitan Mabrey dał swoim adiunktom, nim zaczną się Szczyt. Już nazajutrz rano powinni się stawić na „Gwieździe Świętego Jerzego”.

– Dziwni jesteście, wy, Litwini, i te wasze zwyczaje – zamruczał Finley z roztargnieniem, jednak gdy wspomniano o dziewczynie, w głębi jego ciemnych oczu zabłyśły iskierki.

Poprzednią noc spędził na tułaczce po Czerniach – szukał zaufanej palarni alchemicznego opium, by za pomocą opiumowych luster zameldować o przybyciu londyńskim fetchom i praskim wskrzesicielom. Najłatwiej byłoby zapukać do miejscowych wskrzesicieli i skontaktować się bezpośrednio, ale praski Wielki Mistrz stanowczo nakazał trzymać się z daleka od wileńskiej loży. Wyglądało na to, że ta operacja nie jest przeznaczona dla wiadomości miejscowych.

Póki co wszystko układało się doskonale, a na pewno lepiej, niż Finley się spodziewał. Siedzący obok niego głupiec to doskonały kamuflaż, spektakl z wyrwaniem dziewczyny z pirackich szponów również się udał. Finley z przyjemnością przypominał sobie stłumiony wrzask Rickusa wykopanego za burtę okrętu. Wyobrażał sobie, jak pirat rozbija się o ziemię i w mgnieniu oka zamienia się w papkę z krwi i kości.

Finley nagle się skrzywił. Przedwcześnie zachwycił się wstrząsającym widokiem, gdyż kryjący się pod maską fetch z radością zaczął się wyrwać na wolność: skóra Finleya boleśnie się naciągnęła, zaboląły go dźiąsła – zaraz wyjdą mu dodatkowe zęby. Finley jął głęboko oddychać, musiał się uspokoić. Odsunął okienko, by do karety wpadło świeże powietrze.



Miejski hałas skierował jego myśli w inną stronę. Spojrzał na kwiaty oraz koniak. „Cóż, zaczyna się kolejny etap gry”.

Kareta dojechała do mostu Zwierzynieckiego i zatrzymała się przy rozciągniętej linie. Stróżujący tu ochotnik spojrzął przez otwarte okno, a zobaczywszy lśniące mundury brytyjskich żołnierzy, zaszalutował i szybko, acz niezgrabnie zaczął odwiązywać liny. Pasażerowie karety spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Wkrótce dotarli do celu podróży. Woźnica został hojnie obdarowany napiwkami i dostał wytyczne, by wrócić tu za kilka godzin.

Gości przywitał właściciel domu, Nikodem Twardowski. Ocenivszy prezent leżący w drewnianym pudełku, zaprosił przybyłych do środka. Kiedy przekraczali próg, po schodach sfrunęła Miła wystrojona w zapierającą dech suknię z błękitnego jedwabiu. Adiunktom odjęło mowę, dopiero po chwili byli w stanie wypowiedzieć komplementy. Miła zalotnie wyciągnęła rączkę, by dać się ucałować gościom, po czym uniosła do twarzy bukiet i za kwiatami schowała delikatny uśmiech.

Twardowski przedstawił młodzieńcom swego druha z Rady Wileńskiej, radnego alchemii Jana Basanowicza, który właśnie pojawił się w drzwiach. Brytyjscy żołnierze stuknęli obcasami. Finley pochylił głowę, by nikt nie zauważył czerwonych isker w głębi jego ciemnych oczu. Z alchemikami fetche mieli stare porachunki.

Miła opuściła towarzystwo, by poszukać odpowiedniego dla bukietu wazonu, a Nikodem zaprosił gości do swojej oficjalnej pracowni na piętrze na kieliszek koniaku. Mężczyźni przyjęli zaproszenie.

Adiunkci z ciekawością rozglądali się po pokoju, którego ściany podpierały gigantyczne półki wypełnione książkami oraz przeróżnymi staromodnymi i nowoczesnymi urządzeniami, pudełeczkami, figurkami. Twardowski odwrócił się od nich, nalał do kieliszków aromatycznego koniaku, zwinnie wyciągnął z kieszeni płaszczka buteleczkę z tajemniczym płynem i do jednego kieliszka wpuścił równo pięć kropli. Następnie stanął przodem do młodzieńców i podał odpowiedni kieliszek adiunktowi O'Braitisowi. Zaczął odliczać czas.

– Wspaniałe cacuszko – pochwalił Finley, spoglądając na wielki piaskowy zegar z obwódkami pokrytymi zieloną patyną.

– Prezent z Muzeum Kairskiego – wyjaśnił Nikodem i obrócił klepsydrę.

Po kilku minutach do towarzystwa dołączyła Miła wraz z Pierrotem, którego wcześniej pouczyła, by zachowywał się jak automat – mógł chodzić, wiercić się, ocierać łzy z policzków i niewiele ponad to. Jednak Pierrot

natychmiast wbił wzrok w Finleya, gwałtownie zaczął się trząść i trajkotać. Zebrani ze zdziwieniem spojrzeli na zabawkę, która chodziła w kółko i gestykulowała rękoma – w ogóle nie dało się nad nią zapanować. Jej powieki i usta szybko otwierały się i zamykały, wyglądało na to, że zaraz wydobędzie się z niej potok słów.

– A co to takiego? – zdziwił się Edward.

Miła zrozumiała, że Pierrot zaraz zacznie trajkotać pomimo jej zakazu. Chwyliła rozdygotanego żołnierzyka w objęcia i mrużąc coś o przerwanych sprężynkach, pognąła do swojego pokoju. Tam położyła go na półce i przycisnęła dłoń do jego klatki piersiowej. Pierrot uspokoił się, a jego głowa oklapła.

– Co ty sobie myślisz? Co ty wymyśliłeś? Odstawiasz scenę zazdrości na oczach obcych? – zdenerwowała się Miła, po czym obróciła się na pięcie i wypadła z pokoju, głośno trzaskając drzwiami. Figle zabawki teraz obchodziły ją najmniej na świecie.

Królująca w kuchni Marta rzuciła okiem na swoje włosy, cmoknęła z zadowoleniem i zadzwoniła dzwoneczkiem. Natychmiast odpowiedział mu jego miedziany brat z pracowni Twardowskiego, połączony z pierwszym cieniutkimi kabelkami.

– Obiad gotowy, zapraszam za mną. – Twardowski wskazał drogę ruchem ręki. Sam wstał z fotela i ruszył do jadalni z klepsydrą pod pachą.

Marta, mimo skarg na targowe pustki spowodowane napływem ludności na Szczyt, przygotowała prawdziwą ucztę. Strucla z ozora i uszu wieprzowych, kurczak nadziewany orzechami, faszzerowany karp, śledzik w cebuli, sałatka z borowikami i ogonkami raków, świeże i marynowane ogóreczki oraz jabłka. A do tego gorące pieczenie z boczku z ziemniakami i marchewkami, doprawione sosem kurkowym, tak na wszelki wypadek.

By goście nie czuli się nieswojo, przy stole rozmawiano po angielsku – rozmowa toczyła się swobodnie, gdyż i Twardowski, i Basanowicz, i Miła doskonale znali ten język. Adiunkci opowiedzieli o ataku na „Ikara” i o szczegółach wydarzeń podczas akcji odbicia sterowca. Wszyscy dziwili się niespodziewaną i niewyjaśnioną zuchwałością podniebnych piratów. Basanowicz z zainteresowaniem słuchał o studiach w Akademii Sandhurst i egzaminach końcowych, o „Gwieździe” i wojskowych siłach powietrznych imperium brytyjskiego. Edward O’Braitis uprzejmie odpowiadał na pytania. Finley jedynie uzupełniał jego wypowiedzi, a chętniej zerkał na Miłę, która z roztargnieniem dzióbowała jedzenie. Raz po raz podnosiła głowę, złapawszy

spojrzenie Charlesa, rumieniła się, jednak nie śpieszyła opuścić wzroku. Wyglądało na to, że Charles i Miła grali w grę spojrzeń. I najwyraźniej obojgu się to podobało. Konfrontację młodych dostrzegł i Nikodem, ale poświęcił całą swą uwagę Edwardowi. Miał nadzieję złapać nić wątpliwości czy kłamstwa, jednak wyglądało na to, że chłopak odrobił pracę domową doskonale. Piasek w klepsydrze nieprzerwanie się przesypywał. Rozmowa zaczęła się kręcić wokół Szczytu i latającej fortecy. Obaj młodzi goście kręcili głowami, nie rozumiejąc, po co Niemcy chcą się pochwalić swoją nową bronią, lecz zgodnie oświadczyli, iż pójdą zobaczyć wiszącego na niebie mocarza. Miła zaproponowała, że będzie im towarzyszyć.

– Potem pokażę wam Stare Miasto, znajdziemy do jakiejś gospody – planowała, jakby była doświadczonego krętaczem, a nie zagubioną córką, która po latach wróciła do rodzinnego miasta. – Na ulicach jest dużo ludzi, będzie wesoło. Wujku, chyba nie masz nic przeciwko? – zwróciła się do Twardowskiego.

Nikodem nie oponował, a nawet zarekomendował gospodę na Niechrtach, którą szczególnie lubili obcokrajowcy mieszkający i pracujący w wolnym Wilnie. Chłopcy zapewnili, że zaopiekują się dziewczyną i nie później jak o dwunastej odprowadzą ją do domu. Tym bardziej że im samym z rana zaczynała się służba. Twardowski przytaknął i po raz kolejny zerknął na piaskowy zegar.

Gdy opadło ostatnie ziarnko piasku, Nikodem ukradkiem spojrzął na Basanowicza. Alchemik ledwo dostrzegalnie skinął głową. Twardowski zadzwonił dzwoneczkiem. Po chwili Marta wpadła do pokoju i zaczęła zbierać naczynia. Miła przeprosiła towarzystwo i pobięła się przebrać na wieczorną zabawę, a Basanowicz zaprowadził Finleya do pracowni Nikodema, by przy filiżance kawy omówić ostatnie londyńskie nowinki.

W salonie zostali tylko Twardowski i O'Braitis. Gospodarz w milczeniu nalał do filiżanek herbaty i uważnie obserwował gościa. Nie musiał długo czekać, nim Edwardowi pojawiły się nad górną wargą drobne kropelki potu. Młodzieniec otworzył usta, wsadził dwa palce za kołnierz i odpiął górny guzik.

– Czy wszystko z wami w porządku, Edwardzie? – zapytał uczony z udawaną troską.

– Tak, dziękuję. Tylko trochę brakuje mi powietrza, jest duszno – odpowiedział O'Braitis. Coraz mocniej się pocił.

– Może wyjdziemy na podwórze? – zaproponował Twardowski. –

W ogrodzie jest wspaniała altanka.

Edward wstał, ale nagle się zachwiał. Żeby się nie przewrócić, oparł się o ścianę.

– Co się dzieje? – wybełkotał chłopak, intensywnie mrugając.

– To nic takiego, zaraz przejdzie – zapewnił Nikodem, złapał mocno Edwarda za łokieć i wyprowadził go na dwór.

Skierowali się na koniec ogrodu, gdzie rozciągał się piękny staw i stała drewniana, gęsto obrosnięta bluszczem altanka. Twardowski bardzo lubił ten letni domek. Gdy tu przychodził, siadał na ławeczce nakrytej miękką tkaniną, wyciągał nogi i słuchał śpiewu ptaków lub szukał odpowiedzi na dręczące go pytania.

Teraz przyprowadził problem ze sobą. Chłopak drżał jak motyl i chciwie łapał powietrze. Naukowiec ostrożnie posadził gościa na ławce, tak by plecami wygodnie oparł się o ściankę altanki.

– Proszę mi darować – rzekł, pochylił się do chłopaka i dwoma palcami ostrożnie podniósł mu powiekę jednego oka, a potem drugiego.

Źrenice Edwarda były tak rozszerzone, że zakrywały prawie całą tęczówkę. Według Basanowicza to znak, że serum działa. O’Braitis nie opierał się ani trochę, a gdy Twardowski się odsunął, zupełnie zamknął oczy.

Uczony wyciągnął z kieszeni strzykawkę, zdjął szklaną osłonkę i wbił igłę w ramię adiunkta, a ten wzdrygnął się, ale zaraz przestał się trząść – jego oddech się wyrównał, a głowa opadła mu na pierś, jakby spał.

– Edwardzie, chciałbym cię o coś spytać – powiedział cicho Twardowski. – Byłbym wdzięczny, gdybyś mówił prawdę.

Naukowiec czuł się dziwnie, zagadując drzemiącego człowieka. Nie był pewien, czy doczeka się odpowiedzi.

– Tak – przemówił tępo adiunkt jakby z głębi studni.

– W porządku. – Nikodem spojrzał na nakręcany zegarek kieszonkowy, miał piętnaście minut. – W porządku – powtórzył, dziwiąc się sam sobie, że nie czuje współczucia względem chłopaka. – Nazywasz się Edward O’Braitis, czy tak?

– Tak.

– Jesteś Litwinem?

– Tak.

– Służysz w korpusie brytyjskiej armii królewskiej?

– Tak.

– Znasz wskrzesicieli?

- Nie.
- Czy przybyłeś tutaj z tajnym zadaniem?
- Nie.
- Wykonujesz swoje obowiązki tylko jako żołnierz sił powietrznych?
- Tak.
- Czy słyszałeś wcześniej o Mile?
- Nie.
- Czy ktoś kazał ci ją śledzić?
- Nie.

Twardowski zamilkł i zmartwiony podrapał się po potylicy.

Najwyraźniej chłopak nie miał nic wspólnego z prześladowcami Miły. Uczony się zawstydził. Ujął dłonie chłopaka i mocno je potarł. Edward drgnął, wziął głęboki oddech. Twardowski spojrzał na zegarek. Za trzy minuty się obudzi.

Naukowiec podskoczył i pobiegł do domu. Gdy wrócił z tacą, na której stał imbryk i dwie filiżanki, Edward siedział zbudzony i pocierał oczy.

– Przepraszam – rzekł z poczuciem winy. – Dziwnie się czuję.

Twardowski postawił tacę na stoliku.

– Oto, młodzieńcze, wspaniała, chłodna herbata jaśminowa – powiedział, udając wesołość. – Napijcie się, a poczujecie się rześko, jakbyście się dopiero obudzili.

Edward O’Braitis uśmiechnął się i sięgnął po filiżankę z herbatą.

– Tu jesteście! – Zza domu wynurzyła się Miła. Obok niej, jak wierny ochroniarz, kroczył Charles Finley, który nareszcie wyrwał się z uścisku Jana Basanowicza. – Edwardzie, chodźmy już, bo przegapimy „Parsifala”.

– Ja... ja... – zająkał się O’Braitis.

Nikodem poklepał go po barku.

– Idźcie, idźcie, wszystko w porządku. – Zaśmiał się sztucznie, ale ani Miła, ani Finley nie zwrócili na to uwagi.

Jak na zawołanie pod dom podjechała karetka.

Miła chwyciła obu chłopców za ręce i wesoło ćwierkając, wyprowadziła ich przez furtkę. Edward wyglądał już lepiej, tylko jego krok wciąż nie był zbyt pewny. Nikodem Twardowski odprowadził ich kilka kroków, podniósł rękę i już miał zamiar coś powiedzieć, ale Miła go uprzedziła.

– O dwunastej, wujku, o dwunastej i ani minuty później.

Trzasnęły drzwiczki, a karetka wypuła biały kłębek pary, zazgrzytała i potoczyła się w stronę mostu Zwierzynieckiego. Twardowski wpatrywał się

jeszcze przez jakiś czas w trawę zamyślony. Potem wsunął obie dłonie we włosy i pociągnął tak mocno, że między palcami zostało mu kilka siwych kosmyków.

– No i? – usłyszał za plecami głos Basanowicza.

– Albo twoje serum prawdy wymaga udoskonalenia, albo ten chłopak naprawdę nie ma nic wspólnego ze wskrzesicielami. Wygląda na to, że nie pozostaje nam nic innego jak oglądać się przez ramię i szykować na niemiłe niespodzianki. Najwidoczniej nowy Wielki Mistrz Praskiej Łoży Wskrzesicieli jest sprytniejszy, niż myślałem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco. Gdyby choć jeden z nich odwrócił się w stronę domu, zobaczyłby przyklejonego do okna Pierrota, który odprowadzał wzrokiem odjeżdżającą karetę.

Wilno,  
późne popołudnie  
25.04.1905

Popołudniowe niebo spowiły różowawe mgławice. Gdy wylądował londyński sterowiec „Orion”, którym przyleciał baron Rothschild wraz z brytyjskimi i japońskimi delegacjami, nawigatorzy odetchnęli z ulgą.

Brytyjski minister spraw zagranicznych Henry Petty-Fitzmaurice z zadowoleniem spojrzął na zacumowaną w porcie lotniczym „Gwiazdę Świętego Jerzego”, po czym w obstawie żołnierzy odjechał do hotelu Bristol. Japończycy zatrzymali się w Sokołowskim, a zarządca Aliansu baron Rothschild wybrał hotel Europa niedaleko ratusza. Przestrzeń powietrzna nad Wilnem opustoszała, pracownicy wieży nawigacyjnej i Wyścigowego Portu Lotniczego zamarli w oczekiwaniu na „Parsifala”.

Plotki o zbliżającej się do miasta niemieckiej maszynie rozprzestrzeniały się szybciej od błyskawicy. Ludzie tłumnie przechadzali się ulicami, na placu Łukiskim kręcili się wokół pawilonu wystawowego, przepychali się w kolejkach po przekąski, ale cały czas zerkali w górę w niecierpliwym oczekiwaniu. Nawet drobny deszczyk, który siąpił z nieba, nikogo nie zniechęcił. Na pobliskim wzgórzu nieopodal wileńskiego lądowiska szumiało niczym w mrowisku, zjechało się tutaj tyle ludzi, że nawet komar nie wcisnąłby trąbki.

Łącznik dyżurujący w wieży wpadł do gabinetu, podbiegł do nawigatora kierującego zmianą Anatolija Kmita i podał mu najnowszą wiadomość otrzymaną przez bezprzewodnik. Kmit, jeden z najbardziej doświadczonych wileńskich nawigatorów, rzucił okiem na wręczony mu kawałek papieru.

– Uwaga! „Parsifal” przekazał swoje koordynaty. Za pięć minut pojawi się w polu widzenia. – Kmit był jak zawsze spokojny, tylko delikatne drżenie głosu zdradzało jego podenerwowanie.

Łącznik zaraz przekazał wiadomość do Wyścigowego Portu Lotniczego. Doczekawszy się potwierdzenia, że wiadomość została przyjęta, podniósł kciuk do góry. Kierownik zmiany pochylił się do wielkiej kręczonej lornetki, która wystawała przez otwór w wieży.

– Widoczność siedemdziesiąt pięć, korytarz powietrzny pusty – przekazał swoim podkomendnym. – Nie bardzo rozumiem, o co tyle hałasu – rzucił i znów pochylił się ku lornetce. – Przylatuje po prostu kolejny statek powietrzny, a tyle problemu...

Ale zdania nie skończył. Cofnął się odrobinę, zmarszczył czoło, znów przykleił się do lornetki, jakby nie wierzył własnym oczom. Kmit był przekonany, że latająca forteca to sterowiec udoskonalony przez niemieckich mistrzów i tylko dlatego został obdarzony nową nazwą, lecz to, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

„Parsifal” okazał się najprawdziwszą latającą fortecą.

Jej cztery olbrzymie kominy wypluwały biały dym i zielonkawe iskierki – resztki prometylu. Masywny, przypominający grzbiet góry korpus z małutkimi iluminatorami pokryto czarną stalą, z której wystawały niczym kolce jeża rozsiane gęsto działa. Siły jednego kotła parowego nie wystarczyłoby na podniesienie takiego olbrzyma, dlatego po bokach i na tyle okrętu kręciły się śmigła. A nad nimi wisiało... sześć... może osiem – Kmit stracił rachubę – wielkich pęcherzy. Majestatyczne widowisko wieńczył wysunięty do przodu mostek kapitana w kształcie dziobu orła – symbol Cesarstwa Niemieckiego – nad którym z dumą powiewał żółty proporzec z czarnym krzyżem. Przez lornetki dało się już dostrzec napis „Gott mit uns”[22].

Wilnianie stali zszokowani w milczeniu, a bardziej przesądni zaczęli się żegnać, by przegonić złego ducha opuszczającego się im na głowy.

– Wiadomość z „Parsifala”! – ryknął łącznik.

– Czytaj – szczechnął Kmit, wciąż jeszcze nie mogąc się pozbierać.

– Latająca forteca „Parsifal”, należąca do Jego Wysokości Cesarza Niemiec i Prus Wilhelma II, pozdrawia wolne miasto Aliansu Wilno i prosi o pozwolenie na opuszczenie się – wydyszał jednym tchem łącznik.

– Jak oni się opuszczają, do cholery? Zajmą całą przestrzeń lądowiska, jego pieprzona mać!

– Wasz port lotniczy jest dla nas za mały, nie zamierzamy lądować – ciągnął łącznik. – Wysadzimy delegację i ponownie się wzniesiemy. Prosimy wieżę o udostępnienie korytarza powietrznego i podanie koordynat do opuszczenia się.

Wieża nawigacyjna zaczęła natychmiast wypluwać różnokolorowe polecenia świetlne, „Parsifal” odpowiedział i wkrótce olbrzymia latająca forteca zawisła nad lotniskiem. Kmit w myślach podziękował radnemu kierunkowi za zapobiegliwość, dzięki której cała przestrzeń powietrzna nad



Wilnem została wyczyszczona.

Na wzgórzu rozległy się piski dzieci, kobiety z gracją mdlały, a mężczyźni drżącymi rękoma skręcali papierosy, patrząc na monstrum wiszące nad ich głowami, ale nikt nie ruszał się z miejsca. Ciekawość wygrywała z przerażeniem.

W spodniej części „Parsifala” otworzyły się luki i potężne mechaniczne gwinty wypchnęły dwie zamknięte platformy utrzymywane przez niezwykle gruby łańcuch. Platformy zatrzymały się tuż nad ziemią, otworzyły się ich drzwi, z sykiem wysunęły się schody. Jako pierwsi ukazali się barczyści, umundurowani młokosi, a za nimi pojawiła się niemiecka delegacja i jej główna osobistość – pruski minister wojny Karl von Einem. Polityk zszedł na ziemię i niespiesznie się rozejrzał, jakby chcąc zobaczyć, jakie wrażenie wywołał „Parsifal”. Do niemieckich gości ciągnął już poczet powitalny w towarzystwie legionistów odpowiedzialnych za ochronę.

Schody znów się wsunęły, platformy powoli ruszyły w górę. „Parsifal” wzniósł się w powietrze w kłębach dymu i zawisł nad przedmieściami Wilna.

Tłum zaczął rzednąć – jedni skierowali się do kawiarni i gospód, zamierzając omówić ujrane cudo, inni ruszyli do ogrodu Bernardyńskiego, pozostali, czekając na wieczorne rozrywki, oblegli sprzedawców proponujących przekąski i wino doprawione przyprawami.

Antoni Srebro pokręcił szyją ściśniętą przez ciasny kołnierz i z niezadowoleniem naciągnął rękawy smokingu, w który ratuszowy mistrz ceremonii kazał mu się wcisnąć. Upewniwszy się, że „Parsifal” opuścił się i wzniósł szczęśliwie, nie rujnując przy tym miasta, oraz że legioniści wyposażeni w bezprzewodniki postawili tymczasowe warty w najgorętszych jego punktach, skierował się do najbliższego z posterunków, który został utworzony przy Dominium Uniwersyteckim, w kawiarni Baltasis Štralis. Właściciele tego zakładu nie tylko się nie sprzeciwiali, by urządzili się tu legioniści, ale wręcz ucieszyli się dodatkową ochroną. Antoni Srebro pozwolił się ponieść przez tłum śpieszący na spektakl włoskiej grupy cyrkowej Truzzio, na którym mieli się pojawić pożeracze ognia, jeźdźcy, akrobaci, a nawet półnaga kobieta, signora Kezzi, podnosząca mężczyzn jak hantle. Przedstawienie rozpoczynało się już wkrótce na placu Katedralnym. Wyrwawszy się z uścisku tłumu, Srebro wkroczył do przytulnej kawiarni Baltasis Štralis, skinął do kasjerki i wpatrzył się w stoliki poustawiane za długą ladą załadowaną tortami.

Dyżurujący tutaj sierżant i łącznik, którzy zajęli ustronny stolik przy ścianie, na widok szefa podskoczyli na równe nogi i zaszalutowali. Srebro niedbale machnął ręką i przysiadł się do nich.

– Czy czegoś sobie życzyacie, panowie? – Kelnerka zjawiała się niemal natychmiast.

– Nie, nic... – odparł się Srebro, ale zaraz się rozmyślił. – Podwójną whisky. Czystą, bez lodu – poprosił.

Postanowił się trochę odprężyć przed balem w ratuszu, gdzie czekały go ponure rozmowy prowadzone przez nudne osoby. Po kilku chwilach kelner postawił na stoliku szklanę z zamówionym trunkiem. Właściciele kawiarni i gospód wyznawali w Wilnie jedną wspólną zasadę: im szybciej obsłużą się legionistów, tym szybciej przybędą na pomoc, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Świetnie wyglądacie, szefie – pochwalił dowódcę sierżant. Ledwo się powstrzymał, by się nie zaśmiać.

– Jeszcze słowo i po świętach będziesz mógł się cieszyć życiem przy szorowaniu karcerów – warknął Srebro i napił się whisky. – Jakie wieści? Co straciłem?

Uśmiech zaraz zniknął z twarzy sierżanta.

– „Parsifal” szczęśliwie się opuścił i wzniósł – zameldował. – Niemiecka delegacja już się rozgościła w hotelu, mieszczanie wracają z Wyścigowego Portu Lotniczego, tramwaje są pełne ludzi, ale nasi kontrolują sytuację. Łącznik na Zielonym Moście informował, że tam póki co też spokojnie.

– Dopiero co dostałem informację z placu Katedralnego – poinformował łącznik. – Rycerze Katedry szaleją.

Legat się skrzywił.

– Co tym razem?

– Otoczyli namiot włoskich cyrkowców, przekonują ludzi, by nie szli do gniazda bezbożników, głośno się modlą i palą świece.

– Nie przeszkadzają ludziom w przemieszczaniu się?

– Wygląda na to, że nie. Tłumy obchodzą ich łukiem. Teraz interesuje ich wyłącznie półnaga kobieta podnosząca mężczyzn, nie w głowach im modły.

– W takim razie możemy ich zostawić w spokoju. Przekaż posterunkowi przy katedrze, że mają uważnie śledzić wydarzenia, ale niech się nie wtrącają, chyba że rycerze zaczną utrudniać ludziom wchodzenie do cyrku. – Srebro westchnął. – Kiedy oni w końcu pojmą, że ich ukochane średniowiecze skończyło się dawno temu?

– Zrozumiałem – odpowiedział łącznik i ze skupieniem brzdąkał klawiszami

bezczepwodnika.

Legat pociaęnął kolejny łyk whisky. Najchętniej zostałby tutaj i kontrolował sytuację w mieście, a na bal wysłał swojego sobowtóra przebranego w smoking.

– To jeszcze nie wszystko. – Myśli Srebra przerwał sierżant. – Przed samym waszym przybyciem dostaliśmy wiadomość. Na placu przed ratuszem...

– Co się tam dzieje? Przecież dopiero tam byłem.

– Kilku łązęgów przyturlało na plac beczki ze smołą, podpalili je i krzyczą, że wyprawia bal dla wszystkich. Panowie w ratuszu się niepokoją, bo zaraz zaczną się tam zbierać przedstawiciele Szczytu. Mogą być nieprzyjemności.

„Zaczyna się”, przeszło przez myśl legatowi. Jednym haustem wypił resztki whisky, cisnął szklankę na stół i pognał na ulicę Wielką, aż się za nim kurzyło. Niedaleko placu Ratuszowego spotkał Michała Wielholskiego w towarzystwie dwóch legionistów. Wyraz twarzy porucznika nie wróżył nic dobrego.

– Nie rozumiem, skąd oni się wzięli. – Rozłożył ręce skonsternowany i ledwie nadążając, szedł za Srebrem. – Było spokojnie i nagle wysypali się ze wszystkich zapłoci jak karaluchy. Przyturlali beczki, łążą obwieszeni jakimiś brzękadłami i jeszcze pół prosiaka przywlekli.

– Pół prosiaka? – Legat przystanął.

– Tak. Mówią, że go będą piec, tańczyć, śpiewać i się zabawiać. Dużo ich tam, z pięćdziesiątką. A goście ratusza są już w drodze. Może zrobić bezpieczny korytarz?

– Zaraz ja im zrobię korytarz – warknął przez zęby Srebro, obejmując wzrokiem plac Ratuszowy.

W jednym rogu placu stały cztery duże metalowe beczki. Wyskakiwały z nich pomarańczowe języki ognia, a dookoła powiewał czarny dym. Koło beczek umiejscowiła się podejrzliwie chybcząca się prowizoryczna orkiestra – jakiś brzuchacz tarosił wielką harmonijkę, obok niego smukły i przygarbiony jegomość przygrywał, szarpiąc skrzypce. Wokół nich płały, trzymając się za ręce, obszarpane postacie. Co rusz się zatrzymywały, doskakiwały do małej beczki, która jako jedyna nie płała, po kolei łąpały chochlę, nabierały tajemniczego płynu i nalewały go sobie do gardeł. Wilnian najbardziej dziwiło jednak rozpalone na środku placu ognisko, nad którym nadziana na rożen obracała się połowa prosiaka. Dookoła ogniska tańcowali kolejni uczestnicy buntowniczego balu.

Legat rozpoznał jednego z tancerzy, Girszę Szybuka, darmożjada, włóczęęę

i skandalistę, który nie raz dał się legionistom we znaki. Jego towarzyszy Srebro nie widział wcześniej na oczy. Właściwie nie wyglądali na włóczęgów – byli postawni, wysocy, strzelali oczami na wszystkie strony, a na widok legata i legionistów wyszczerzyli zęby.

– Naczelnik! – zawołał Szybuk z rozpostartymi ramionami. Palce i twarz miał brudne od tłuszczu. – W samą porę! A my, o, mięsko pieczemy, tańczymy, muzykujemy i nie naruszamy porządku. Przecież Szczyt to święto nie tylko dla panów. I my, ubodzy, chcemy się zabawić.

Girsza wystawił język, beczelnie się uśmiechnął, po czym oblizał sobie tłuste palce. Skąd mu przyszło do głowy, że legioniści nic złego mu nie zrobią? Czyżby zyskał pewność za sprawą nieznanym postawnych mężczyzn stojących za jego plecami?

Legioniści spojrzeli na dowódcę, oczekując na rozkazy, ale Srebro milczał, co dodatkowo rozochociło Szybuka.

– Nie robimy nic złego, niczego nie niszczymy – ciągnął. – Pogramy, potańczymy, uniesiemy kapelusze, schylimy głowy przed panami Europy, a potem rozejdziemy się każdy w swoją stronę. – Odwrócił się do kompanów bujających się przy płonących beczkach. – Ej, Cypa! – ryknął. – Chodź tu, przywitaj się z panem naczelnikiem.

Kobieta gruba jak beczka ruszyła chwiejnym krokiem w stronę legionistów. Za nią, nie przestając grać, przemaszerowali też dwaj muzycy. Przeczuwając zbliżający się skandal, do zbiorowiska zaczęli podchodzić kolejni gapie, a nad tłumem pojawiło się kilka kamer obrazujących.

– Zaprosiłbym panów dowódców, żeby się poczęstowali – rzekł Szybuk i palcem wskazał na smoking legata – ale widzę, że zbyt prostacki byłby poczęstunek od ubogich. I baby nasze, widać, zbyt prostackie, ale nam odpowiadają. – Objął Cypę, głośno beknął i puścił oczko do legata. – Wiemy, wiemy, nadzorcom bardziej się podobają szlachcianki. Albo córeczki kupców... z przytułku. Pan naczelnik wiedział, że w jego norkę obce węże wściubiają języki? Już tyle razy wściubiały, że chyba więcej niż w Cypę. A może panu naczelnikowi to odpow... – Przerwał mu soczysty cios w szczękę.

Legat rozumiał, że Girsza go podpuszcza, ale mimo to się nie powstrzymał. Za dużo tego wszystkiego usypało się na jedną kupę. Najemnicy nazywali to uczucie czerwoną mgłą i wszyscy jak jeden zapewniali, że jeszcze nikomu nie przyniosła niczego dobrego. Ale oprzeć się czerwonej mgłę nie było łatwo.

Głowa Girszy zakręciła się niczym wiatrowskaz, który złapał nagły

podmuch. Splunął krwią, zachwiał się, po czym oberwał jeszcze raz i padł na ziemię jak długi. Cypa pisnęła na całe gardło i puściła się biegiem, za nią rzucił się do ucieczki mężczyzna z harmonijką. Skrzypek okazał się odważniejszy, odwrócił instrument, zamachnął się i zamierzał uderzyć legata, ale Srebro odparł cios, wyrwał mu skrzypce z rąk i tak go zdzielił w plecy, że instrument roztrzaskał się w drobny mak, a napastnik wyłożył się obok Szybuka. Ten spróbował się podnieść, ale dostał w zęby podkutym butem. Rozwścieczony legat odwrócił się do milczących osiłków, jednak ci tylko rozłożyli ręce i zaczęli się wycofywać, a po chwili zniknęli z placu.

Rozległy się piski i krzyki, oczy zebranych oślepiły bowiem magnezowe migawki. Zgromadzeni na placu podżegacze obleźli dookoła beczki, jakby na rozkaz wsadzili ręce za pazuchy i poczęli wyciągać ukryte dotąd noże i kamienie. Nagle rzucili się na legionistów, jednak ci pokazali ciężkie kije. Gwizdki funkcjonariuszy przeraźliwie zapiszczały, od strony ratusza nadciągało już wsparcie. Włóczędzy rzucili kamienie na ziemię i niczym spłoszone zające prysnęli w tłum. Zostały po nich tylko dymiące beczki, niedopieczony prosiak i wyciągnięty na bruku Szybuk w towarzystwie skrzypka.

Ludzie wrzeszczeli, wściekali się na okrucieństwo legionistów, ale nie znalazł się ani jeden odważny, który wyszedłby przed szereg. Między krzykaczami legat zauważył kilku spokojniejszych mężczyzn. Znów błysnęły magnezowe migawki. Gdzieś w oddali rozległy się odgłosy mechanicznych syren – wielcy goście zdążali na bal inauguracyjny Szczyt.

Srebro wziął głęboki oddech i odwrócił się do swoich. Wielholcki przez kilka sekund gapił się na legata, następnie skierował wzrok na rękawy smokingu, by pokazać dowódcy plamki krwi, które pojawiły się tam po ciosie w szczękę Szybuka. Oto dowód, że przekroczył granicę, legat doskonale to rozumiał.

– Wieźcie tych dwóch do Słuszków – rozkazał legionistom, zerkając na organizatorów balu ubogich walających się po chodniku. – Niech się tłumaczą odnośnie do okrucieństwa wobec zwierząt. – Wskazał na pieczonego przez nich prosiaka. – Chodźmy, poruczniku – zwrócił się do Michała Wielholckiego i ruchem głowy wskazał na ratusz. – Mam nadzieję, że mój smoking będzie na ciebie dobry.

Na schodach ratusza stał otoczony przez radnych burmistrz Wilna, z daleka przypominał czarnego kruką trzymającego się za serce. Tłum rozszedł się po uliczkach starówki w poszukiwaniu kolejnych rozrywek. Najbardziej

ciekawscy ścisnęli się przy samym ratuszu, by obejrzyć zbierających się na bal gości. Na opustoszałym placu dogasały niepilnowane przez nikogo beczki.

Za placem Ratuszowym przystanął w zaułku parowy dyliżans. Jego pasażer, który obserwował zajście z ubocza, upewnił się, że wynajęci mężczyźni bezpiecznie i szybko się oddalili, wślizgnął się do karety, zasunął zasłonki i z zadowoleniem się przeciągnął.

– Tylko piętnaście rubli, a ile korzyści – cieszył się Susłow. – W partii szachów Wilno zostało bez swojej wieży. Emilia powinna być bardzo zadowolona.

Zastukał w ściankę i kareta ruszyła. Na przywódcę buntowników czekało tego wieczoru jeszcze wiele spraw.

Wileńskie podziemia,  
wieczór  
25.04.1905

Salomon ocknął się i otworzył oczy. Powieki miał jak z ołowiu, głowa pękała mu jak wtedy, gdy świętując po udanym marszu, wychylił z kumplami po butelce nalewki. Chłopiec powoli rozwarł usta. Spuchnięty język rozłaził mu się w buzi niczym placek ziemniaczany, strasznie chciało mu się pić. Znów zamknął oczy i spróbował sobie przypomnieć, jak i gdzie się znalazł. Wymazywał slogany na ratuszu... tunele, szczury – chłopiec zdrzął na ich wspomnienie – i dziwny człowiek z podziemi... Później wszystko utonęło we mgle.

Salomon otworzył szerzej oczy i choć kręciło mu się w głowie, powoli usiadł. Rozejrzał się. Leżał na drewnianej ławce w blado oświetlonym pokoju. Światło wpadało przez zamknięte, zakratowane drzwi. Pozostała część pomieszczenia tonęła w ciemności. Spojrzał na swoje nogi. Tak samo jak i głowa były niezgrabnie, acz starannie zabandażowane. Zgramolił się z ławki, ale za kratami rozległy się głosy, więc z powrotem ułożył się na posłaniu i zamknął oczy. Z początku słyszał tylko mamrotanie, lecz po chwili zaczął rozróżniać głosy. Jeden z nich wydał mu się znajomy, drugi zaś słyszał po raz pierwszy w życiu.

– Kiedy będę mógł wrócić do szpitala? – zapytał cienki skrzypiący głos. – Tam jest ciepło i dają zupę, a tu jest zimno i mokro. Gdy mnie zabieraliście, mówiliście, że to tylko na próbę, zobaczymy, jak działa, i będę mógł wrócić. Tam mi się podobało.

– Wkrótce, już wkrótce, Franciszku – odpowiedział drugi głos, jaskrawy i delikatny, przyjemny. Salomon miał wrażenie, że nieco przewyciężył ból głowy. – Oni już prawie kończą urządzać twoje laboratorium. Wytrzymaj jeszcze trochę i będziesz mógł wrócić. Przecież obiecałem.

– Obiecaliście – wyrzekł starczy głos. – A napój przynieśliście, opiekunie? Moje zapasy już się kończą, a bez niego kompletnie nie mogę. Nie rozumiem, co się dzieje.

– Oczywiście, przyniosłem. Proszę – odpowiedział mężczyzna i coś

brzęknęło. – A to gorąca zupa dla ciebie, ciocia Maryna przesyła pozdrowienia. Troszczy się o ciebie, wypytuje, czy niczego ci nie brak.

– Nie, wszystko dobrze. – Głos zabrzmiał niewyraźnie, jakby mężczyzna mówił z pełnymi ustami. – Ale chcę wrócić do szpitala. Kiedy będę mógł?

– Wkrótce, wkrótce – powtórzył cierpliwie opiekun. – Ale przedtem będziesz jeszcze musiał zrobić to i owo.

– Znów? – charknął pierwszy. – Nie podoba mi się to, potem wszystko jest źle. A jeśli nie jest, nogi mi się płaczą. Czuję się wycieńczony, może zbyt często to robimy?

– Właśnie dlatego przynoszę napój. A gdy się go wypije, wszystko przechodzi i znów jest dobrze, prawda?

– Prawda. Ale to i tak straszne.

Salomon wyobraził go sobie jako jeszcze nie starego, ale już zgarbionego człowieka. Za to właściciela drugiego głosu nie udało mu się w żaden sposób zwizualizować.

– Nie obawiaj się – uspokajał wyraźny głos. – Wszystko będzie dobrze. Twoje dzieło jest prawie idealne, trzeba je tylko jeszcze kilka razy wypróbować. Choćby i dzisiaj. Czy zastanawiałeś się, jak to zrobić, by cięcia były dokładniejsze?

Głosy się oddaliły i Salomon nic więcej nie zrozumiał. Tym bardziej że po kilku minutach z pobliskiego pokoju rozległo się ledwo dosłyszalne burczenie. Coś zaszeleściło. Salomon odwrócił głowę i zobaczył wijące się po podłodze kable grubości liny pakułowej.

Chciał uciec z tego dziwnego miejsca, ale nie odważył się poruszyć. Przez kraty nie było widać, co znajduje się w pobliskim pokoju. Może ci mężczyźni specjalnie ucichli, a teraz czekają, kiedy spróbuje uciec. A co by wtedy zrobili, chłopiec wolał się nawet nie domyślać, zwłaszcza że wyobraźnia rysowała najstraszniejsze obrazy

Ostrożnie podniósł się na łokciach i jeszcze raz się rozejrzał. Następnie opadł na ławkę, już prawie uwierzył, że tych dwoje dawno odeszło, więc ma wolną drogę, gdy nagle z ciemnej części pokoju dobiegł go jeszcze jeden dźwięk, od którego przebiegł mu po plecach dreszcz.

Zza krat wydobywało się zgrzytanie, jakby w tym samym czasie zaczęło się kręcić kilkanaście wielkich zębatek. Osłupiały Salomon powoli obrócił głowę. W ciemności coś się ruszało, chłopiec dostrzegł dwa czerwone światełka. Ogarnął go paralizujący strach, zdołał jedynie zacisnąć powieki. Zgrzytanie nie cichło, mało tego, rozległo się głucho stuknięcie, jakby ktoś



wielką metalową laską uderzył w podłogę. Jeszcze jedno stuknięcie, i jeszcze, tym razem bliżej. Kroki. Coś zmierzało w jego stronę.

Przeżaszony chłopiec padł na kolana i zaczął się modlić słowami, których w dzieciństwie nauczyła go świętej pamięci babcia.

*Aniele Boży, stróżu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój.*

Stuk, stuk... Kroki były ciężkie, dołączyło do nich groźne warczenie. Chłopiec czuł, że to stworzenie jest już na wyciągnięcie ręki.

*Rano, wieczór, we dnie, w nocy  
Bądź mi zawsze ku pomocy.*

Salomon poczuł intensywny zapach oliwy, metalu i czegoś jeszcze...

Stuk – kroki ucichły. Istota zatrzymała się tuż obok. Coś zaskrzypiało. Chłopiec mógłby przysiąc, że stworzenie się na niego gapi.

*Strzeż mnie od wszelkiego złego.*

Rzęsy zaczęły mu niekontrolowanie drgać, jeszcze chwila, a Salomon byłby zeskoczył z ławki i na złamany kark puścił się biegiem donikąd.

Stuk. Stuk. Stuk. Istota ruszyła w stronę zakratowanych drzwi.

Poddając się niepojętemu instynktowi, chłopiec otworzył oczy i podniósł głowę.

*I zaprowadź do żywota wiecznego.*

W drzwiach stał wielki, przerażający potwór, wyglądał, jakby przybył z najgorszego koszmaru. Poczawszy dziecięce spojrzenie, powoli obrócił głowę i Salomon zrozumiał, czym były dwa czerwone światełka, które mignęły za kratami. Oczy bestii płonęły krwistoczerwonym ogniem. Wymęczony umysł dziecka tego już nie wytrzymał, cieniuteńka nić świadomości się przerwała i wypuszczona na wolność niekontrolowana karuzela myśli zaczęła kręcić się z szaloną prędkością.

Potwór odwrócił się i zgrzytliwym krokiem wyszedł przez okratowane drzwi. Salomon niczym lunatyk zeskoczył z posłania i chwając się, podążył za stworzeniem. Znalazł się w pokoju, z którego przedtem dobiegały głosy, ale nie zatrzymał się tam ani nie zwrócił uwagi na posłanie, na którym leżał jakiś człowiek. Z jego głowy i rąk rozciągały się kolorowe zmięte kabli, jedno wciśnięto w naczynia przepełnione jakimś ciemnym bulgoczącym płynem,

inne – w maszynę wielkości szafy, która cicho burczała, jeszcze inne wiły się po podłodze do pokoju Salomona. Rzęsy człowieka łopotały niezwykle szybko, ciało podrygiwało, a podniesione ręce poruszały się w powietrzu, jakby łapały bądź próbowały złapać coś niewidzialnego. Lecz Salomon tego wszystkiego nie zauważył – wyszedł z pokoju i podążył za potworem powoli zmierzającym w głąb tunelu.

Szczury z wileńskiej kanalizacji, które uciekały metalowemu stworowi z drogi, a potem znów ścisnęły się w kupę, lśniącymi oczami odprowadzały człapiącego jak lunatyk chłopca, który kilkakrotnie poślizgnął się na cuchnącej mazi, jednak tym razem nie odważyły się do niego zbliżyć.

Wilno,  
wieczór  
25.04.1905

W sali było tak zadymione, że w powietrzu dałoby się zawiesić siekierę. Kłęby dymu z tabaki nie najlepszej jakości kłębiły się pod sufitem i rozprzestrzeniały nad pocącym się karczmarzem, który ledwo nadał się nalewać piwo i nalewkę. Dym unosił się też wokół kul toczących się po zielonym płótnie. Nowicjuszom to ciężkie powietrze przeszkadzało w grze, ale doświadczone asy bilardu nie zawracały sobie tym głowy i uderzały z zamkniętymi oczami, nie wypuszczając z zębów papierosa sterczącego w kąciку ust.

– Trzecia od bandy, w piątą, piąta do luzy.

Alabastrowe kule odbijały się jedna od drugiej, a piąta trafiła do materiałowego koszyka. Rozległy się płynne oklaski i kolejny naiwniak, który złapał się na haczyk księcia, odliczał z ciężkim sercem przegrane pieniądze. Hazard w wolnym Wilnie był zakazany, ale w porównaniu z ruletką czy kośćmi bilard wydawał się wręcz niewinną zabawą. Dlatego ruletki kręciły się, a kości stukały jedynie w tajnych salach, do których wpuszczano tylko zaufanych ludzi, natomiast w bilard dało się zagrać w Wilnie niemal wszędzie.

Wersal – bar z bilardem i niewielki dom pobłażliwości – stał się jeszcze jednym symbolem Bied, o którym krążyły legendy. Tu przesiadywali tak zwani rozbijacze bil, a sprytni krętacze przyprowadzali im nowe ofiary. Owieczek chcących się pozbyć złotej wełny nie brakowało na co dzień, a co dopiero w błogosławionym przez karczmarzy okresie, gdy w mieście odbywał się Szczyt. Wersal był zapchany niczym beczka śledzi, a graczom chodzącym dookoła stołów obciążonych zielonym płótnem ledwie udawało się ustawić z kijem w tym ścisku.

– No i pięknie! Podejdz tu! – zawył jakiś brodac i uderzył pięścią w stół. Od napięcia, czy czegoś innego, jego policzki zapalały ogniem. – Dziewięć do sześciu! Partia! Ha! Nie wsadzajcie palców Wojciechowi Smarszałowi do gęby. W Lublinie nie z takimi mistrzami się uporałem!

– Macie rację – przytaknął uprzejmie Grześ Czczot, który zawsze

obstawiał najwięcej, ponieważ w Wersalu, a może i w całym Wilnie, nie miał sobie równego. Wyciągnął portfel, ciężko wzdychnął, odliczył banknoty i wręczył je brodaczowi. – Do Lublina lepiej nie wciskać nosa, jeśli są tam tacy gracze. Czuję, że nic dobrego z tego nie będzie, chyba mam już dość.

– Jak to dość, jak to dość? – ryknął któryś z kompanów. – Grzesiu, nie dawaj się jakiemuś Polakowi. Człowieku, teraz się chcesz poddać?

Brodacz wyszczerzył się z zadowoleniem.

– Dziś nie jest mój wieczór, już dwie partie przegrałem, nie chce mi się do domu na boso zapylać – odburknął Czeczot i opuścił ramiona.

– A ja czuję, że trzeci raz nie skłamię – rzekł ktoś przy barze.

Zebrani przy stole posłali tam spojrzenia. Niewysoki blondyn torował sobie drogę w stronę graczy. Podeszedłszy do nich, rzucił na stół kupkę złożonych banknotów.

– Grać nie umiem, ale stawiam na Grzesia. Czuję, że mu się powiedzie. Co wy na to, panie Wojciechu? – zwrócił się do Polaka, którego policzki stały się jeszcze czerwieniejsze.

– Ho, ho, ho, panie! – roześmiał się brodacz. Nawet nie myślał, że w Wilnie może być tak wesoło i przyjemnie. – Widzę, nie wiecie, że w bilardzie nie szczęście decyduje o wygranej, tutaj rządzi mózg, ale przyjmuję wyzwanie. No, uderzaj pierwszy – rozkazał Czeczotowi, po czym odwrócił się energicznie i machnął do karczmarza. Ten wyszczerzył się i zaczął szukać czystej szklanki.

Herszt buntowników Susłow, który obserwował tę scenę z daleka, zaśmiał się na głos. Strzelać w kule co prawda nie potrafił, ale doskonale umiał rozpoznawać oszustów i nie wątpił, że Czeczot, blondyn o przeciętnej twarzy, i karczmarz są ptakami z jednego gniazda, a wspaniały pan Wojciech z Lublina dziś wieczór zostanie rozebrany do naga i wróci do domu bez butów, nie rozumiejąc, jak to się mogło stać, że tak mu się nie poszczęściło mimo tak sprawnie działającego mózgu.

Jednakże Rosjanin zjawił się w Wersalu nie z powodu żartów biedowskich oszustów. Odwrócił się od mężczyzn i skierował się do schodów, przy których po obu stronach siedzieli w fotelach barczyści młokosi. Susłow skrzyżował z nimi spojrzenia, po czym w milczeniu wszedł na pierwsze piętro. Tu znajdował się jeszcze jeden bar, wygodny do rozmów i obserwowania grających na dole mężczyzn. Przy ladzie nudziło się kilka bogiń z domu pobłażliwości, gotowych grać w miłosne gry z każdym, kto zaprowadzi je do przytulnego pokoiku. Choć w budynku było jeszcze jedno piętro, osoba

postronna nigdy nie zdołałaby się na nie dostać, gdyż wejście tam uniemożliwiały zawsze zamknięte, ciężkie dębowe drzwi i dwaj umięśnieni mężczyźni o ponurych minach.

– Jestem oczekiwany – rzekł Susłow uprzejmie.

Jeden ze strażników wstał, napiął się, pokazując wciśnięty za pasek pistolet, otworzył dębowe drzwi i wsadził za nie głowę. Potem odwrócił się do Susłowa i machnął na niego.

Gabinet był niewielki, urządzone bez przepychu – żadnych obrazów na ścianach czy wykwintnych drobiazgów na półkach. Prosta szafa, dwa fotele, małe okienka, przez które było widać świecącą wieżę nawigacyjną, i stolik z poczęstunkiem.

– Siadźcie... eee... szanowny – zaczął król wileńskich zbrodniarzy Maciej Lewy. – Imienia zapomniałem, darujcie.

– Michaił Andrejewicz Susłow – przedstawił się Rosjanin uroczyście, po czym usiadł na skraju fotela. – Nasz wspólny przyjaciel przekazuje pozdrowienia.

– Tak, tak, wiadomo – mruknął Lewy z roztargnieniem. – Wspominał mi, że pracujecie ze ściągniętym paskiem. Znaczy w Wilnie czujecie się jak w domu – powiedział metalicznym głosem, ale Susłow, nawet jeśli to zauważył, ani trochę się nie zaniepokoił. Już nie raz miał okazję obcować z takimi nadętymi, ważniackimi królewiczami miejscowych bandytów, ale z każdym znajdował wspólny język. Powychwalał, pokupował, poobiecywał i załatwione. Prosta sprawa.

– Wspaniałe miejsce – zaśpiewał Susłow. – Bezpiecznie, stylowo. Gdybym ja był...

– Nie obchodzi mnie to – przerwał mu Lewy. Susłow bezwiednie drgnął, takiego początku rozmowy się nie spodziewał. – Nasz wspólny przyjaciel mówił, że chcecie się spotkać i omówić sprawy. Może korzystne. Spotkaliśmy się, mówcie więc, czego chcecie.

„Udajesz twardziela, bandziorku, może być i tak”, pomyślał Susłow.

– Bez wątpienia, bez wątpienia, czas to pieniądz, a szczególnie podczas Szczytu. Długo nie zabawię, tylko opowiem pewną historię.

Lewy przytaknął i nalał sobie napoju. Gościowi nie zaproponował. Oczywiście Rosjanina się zwięziły.

– W mieście żyją bogaci i biedni – zaczął. – Między nimi są mądrzy i głupi. Mądrzy bogacze... – skinął w stronę Macieja, dając do zrozumienia, kogo ma na myśli – kupują, sprzedają, śledzą sytuację i czerpią z tego korzyści. Głupi

bogacze garściami pobierają złoto, zasysają pieniądze, obdzierają biedaków ze skóry i myślą, że święto życia nigdy się nie skończy. Głupi biedacy pozwalają się wykorzystywać, gdyż sądzą, że taki świat stworzył Bóg i tak będzie przez wieki. Ale są jeszcze mądrzy biedacy, oni widzą, jaka niesprawiedliwość rządzi miastem, i nie mają zamiaru się z tym godzić. Mądrzy bogacze zdają sobie z tego sprawę i rozważają wyciągnięcie korzyści z niezadowolenia biednych.

Maciej postawił kieliszek i hakiem przytwierdzonym do lewej ręki potarł sobie podbródek.

– Jakaż ciekawa historia, panie Susłow – rzekł bezbarwnym głosem. – A wy, jak widać, umiecie przejrzeć ludzi na wskroś. Powiedzcie – zbrodniarz odchylił się na krzesło – do którejże to grupy przydzielacie mnie?

Susłow odetchnął z ulgą – Maciejowi zależało przede wszystkim na statusie. Te obżarte bufony są prymitywniejsze od dzieci. Pogłaszczesz, dasz cukierek i możesz zaprowadzić, gdzie chcesz.

– Dziwne pytanie, szanowny panie. – Uśmiechnął się. – Myślicie, że siedziałbym tu, gdybym nie sądził, że z tego, co wam opowiem, moglibyście mieć korzyść? – Rosjanin na chwilę zamilkł, by jego rozmówca zdążył zrozumieć, co ma na myśli, po czym mówił dalej: – W Wilnie jest teraz niespokojnie. A będzie jeszcze gorzej. Biedacy stają się mądrzejsi i już nie chcą nadstawiać karku za nędzne kopiejki. Załadają tego, co do nich prawnie należy. Fabryki staną, wybuchną strajki. Gdzie strajki, tam napięcie, a napięcie trzeba rozładować. Najrozsądniej byłoby skierować złość na głupich bogaczy, którzy już dawno zasłużyli sobie na nauczkę. Czas zepchnąć ich z piedestału i dać im poznać, że od tej pory muzykę w mieście będą zamawiać mądrzy ludzie. Czyż nie tak? Gdy wybucha pożar, zawsze coś się spala. Ale coś też zostaje. Jeszcze możesz kupić chatę sąsiada, czy nie tak?

Maciej Lewy nic nie odpowiedział. Podniósł się z krzesła, podszedł do okienka i spojrzął na błyszczące w półmroku mokre dachy Bied. Skorzystawszy z okazji, Susłow wyciągnął z kieszeni grubą kopertę i położył ją na stole. Stracił już rachubę, ile takich kopert dzisiaj rozdzielił.

Lewy długo milczał. W końcu przemówił, wciąż patrząc przez okno:

– Ciekawie opowiadacie, szanowny panie. Sprytnie to sobie wymyśliliście. Ale proszę mi wybaczyć, skończyłem tylko cztery klasy, dlatego nie wszystko rozumiem. Może moglibyście prościej, jaśniej?

– Wilno spłonie – powiedział Susłow bez ogródek. – A mądrzy ludzie będą mogli ogrzać sobie ręce. A nawet dorzucić jedno czy drugie polano. Pomóżcie

biedakom w walce o ich rację. W końcu są ludzie, którzy stoją wam w poprzek gardła. Którzy przeszkadzają w handlu. Którzy nie wiadomo po co się tutaj przywlekli. Złożmy im wizytę. Ja i wy. Wy tłumaczmy, jak należy postępować.

– A jeśli... – zaczął Lewy, ale Susłow pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Legion Wileński będzie chronić ambasadorów i wszelkich ksiąząt koronnych. Legioniści mają teraz na głowie zupełnie inne sprawy. Nadeszła doskonała okazja, by pokazać, komu trzeba, gdzie raki zimują, zarówno swojakom, jak i napływowym.

– Pożary i pogromy? – mruknął Lewy, wciąż jeszcze się nie odwracając.

– Środki dyscyplinujące – odrzekł Rosjanin. – Surowe, lecz konieczne. Gdy wszystko się uspokoi, pył opadnie, wszyscy zrozumieją, że lepiej nie kręcić się mądrym ludziom pod nogami.

– To prawda – zgodził się Lewy. – Nieźle to obmyśliliście. Gdybym odmówił udziału, tę opowiastkę o mieście dziś wieczór pewnie opowiadalibyście Gierkemu, prawda? – Wspomniawszy nazwisko konkurenta, w końcu odwrócił się od okna i powrócił do stołu. Na kopertę nawet nie spojrział, jakby jej w ogóle nie zauważył.

– Być może – nie oponował Susłow. – Ale ja przychodzę do najmądrzejszych. I bardzo rzadko kiedy do stojących na niższym stopniu. Mam nadzieję, że dobrze się zrozumieliśmy.

Lewy zamknął oczy. Owszem, zrozumiał gościa. Ale pojął przy tym jeszcze jedną rzecz: jeśli w odpowiednim momencie nie pokaże ostrych pazurów, tak przez niego umiłowany tytuł króla zbrodniarzy pęknie jak bańka mydlana. A w Wilnie jest naprawdę wiele kości, które stanęły mu w gardle. Maciej wiedział, że dobre okazje nie trafiają się zbyt często, dlatego należy je cenić.

– Zaczniemy od popławskich składów i kramików, potem Czernie – wymienił, nie otwierając oczu. – Tu będziemy walczyć o rację. Powiedzcie swoim, by byli gotowi. Ja dużo ludzi nie przydzielę, niech będzie jeden mój i dwaj wasi. Tyle wystarczy, wszyscy i tak rozumieją, w czym imieniu działają. A moi pokażą najlepsze miejsca i... – zrobił retoryczną pauzę – najbardziej dławiące kości.

– A co ja powiedziałem – zaśpiewał radośnie Susłow. – Mądrzy ludzie zawsze się dogadają, czy nie tak?

Lewy wciąż siedział z zamkniętymi oczami. Otworzył je dopiero wtedy, gdy Susłow zatrzasnął za sobą drzwi. Wtedy wziął zostawioną mu kopertę i wcisnął ją za pazuchę.

Wilno,  
późny wieczór  
25.04.1905

Jak we wszystkich karczmach w Wilnie, tak również u Ryksa, na uboczu Niechrtów, ściany pękały w szwach. Zajazd upodobali sobie zwłaszcza obcokrajowcy, którzy zatrzymali się w wolnym Wilnie. Nie Żydzi, nie Karaimi i nie Chińczycy czy Turcy albo Ormianie – oni mieli swoje mety na Czerniach – ale Anglicy, Rosjanie, Niemcy, jeden czy drugi Holender lub Francuz. Wszelkiego rodzaju przedsiębiorcy, fabrykanci, najemnicy, lekarze, guwernerzy, wykładowcy Dominium Uniwersyteckiego, rezydenci, cukiernicy, mechanicy i przedstawiciele innych zawodów, którzy na czas nieokreślony bądź tylko tymczasowo zarzucili kotwicę w mieście Aliansu, daleko od domu, w karczmie Ryksa znaleźli drugi dom.

Przy długim, wąskim barze szumiało jak w parowozie. Ustawily się przy nim trzy kolejki, a karczmarz i jego pomocnik pochylali się nad barem, by usłyszeć zamówienia klientów. Spoczone kelnerki manewrowały między gośćmi niczym doświadczeni nawigatorzy, przemykały przez tłum z podniesionymi rękoma, żonglując talerzami z duszonym grochem i golonkami wieprzowymi – najpopularniejszymi daniami w karczmie. Jednak większość klientów do piwa życzyło sobie nie grochu czy golonki, a nowinek, plotek zasłyszanych po litewsku, niemiecku, angielsku czy w innych językach. A plotkarzy tu nie brakowało. Grożące miastu strajki, Szczyt, następny lot Adama Gaber-Wołyńskiego pod Zielonym Mostem, złość Rycerzy Katedry wywołana spektaklem Truzzio z pożeraczami ognia i półnagimi kobietami na placu Katedralnym, latająca forteca i wreszcie najświeższa wiadomość – krwawa jatka pod ratuszem.

Właściciel gospody, przygarbiony, podstarzały Niemiec Hans Ryks, wtoczył za bar nową beczkę piwa pszennego. Wybijając korek, jednym okiem z ciekawością obserwował siedzącego w rogu gospody, niedawno przybyłego gościa – głównego bohatera najnowszych wileńskich pogłosek. Krzesło stojące przy stoliku zajęтым przez tego człowieka było jedynym wolnym tego wieczoru, ale nikt nie odważył się go zająć, by choć na chwilę wyciągnąć



zmęczone nogi. Kompania, która usadowiła się tuż obok, ani myślała pożyczyć krzesło, choć z całej zgrai tylko dwaj mężczyźni wygodnie siedzieli, natomiast pozostali sterczeli przy stole zastawionym kuflami i żeby słyszeć swoich rozmówców, wciąż pochylali się jak popławskie mietlice. Tylko raz po raz ktoś rzucał tęsknym spojrzeniem na wolne krzesło albo ciekawym na ponurego, rośłego mężczyznę.

Antoni Srebro kompletnie nie zauważył, że krzesło przy jego stole powoduje aż tyle emocji. Pograżony w myślach, głowę podnosił, tylko gdy chciał machnąć na kelnerkę, by przyniosła mu jeszcze jedną szklankę whisky. Po niedługim czasie kobiety przyzwyczyły się do tego rytmu i nowa szklanka ze złocistym płynem zaczęła pojawiać się pod ręką legata w samą porę.

Na dziś miał już tylko jedno zadanie – zalać się w trupa i choć na chwilę zapomnieć o troskach ściskających głowę. Właściwie tych oficjalnych trosk zostało mu niewiele, gdyż po przedstawieniu na placu Ratuszowym rozwścieczony do czerwoności burmistrz, fukając niczym kot przewożony tramwajem parowym, kazał Antoniemu oddać odznakę legata i aż do końca Szczytu nie pokazywać mu się na oczy. A potem nie pokazywać się nadal, dopóki nie zdecyduje, co z nim zrobić. Srebro w milczeniu przekazał odznakę porucznikowi Wielholkiemu. Na schodach ratusza zetknął się ze starszym loży wskrzesicieli.

– Czy szanowny legat nie chciałby spróbować kursu kontrolowania złości organizowanego przez lożę dla trudnych dzieci? – spytał wskrzesiciel złościwie.

Rozważny Wielholki szybko położył na ramieniu swemu zawieszonemu w obowiązkach dowódcy ważącą pud rękę, ale złość legata już zdążyła wyparować. Zmierzył wskrzesiciela pogardliwym spojrzeniem od stóp do głów i strąciwszy rękę porucznika, ruszył do ulubionego miejsca na Niechrtach – do karczmy Ryksa.

Na stoliku wylądowała kolejna szklanka whisky. Srebro wyciągnął rękę, ale szklanka się cofnęła. Smukłe kobiece palce objęły ją i odciągnęły jeszcze dalej od mężczyzny.

– Tak właśnie myślałam, że cię tu znajdę. – Małgorzata Berg bezceremonialnie usiadła na pustym krześle, zupełnie jakby Srebro na nią czekał.

Kiedy pojawiła się progę, a następnie przechodziła przez salę, przykuła wzrok niemal wszystkich gości zajazdu, którzy teraz ze zrozumieniem skinęli głowami i wrócili do swoich spraw.

– Uważaj, dzisiaj jestem zły i biję – ostrzegł legat, sięgając po whisky.

– To nic – odcięła się Małgorzata. – Przyzwyczaiłam się. Taka praca. – Uśmiechnęła się, puściła szklanę, a ta powędrowała na drugą stronę stołu.

– Pewnie uważasz mnie za idiotę – rzekł legat ponuro, unikając spotkania z kobiecym spojrzeniem.

– Antoni, miły mój, jakaż kobieta nazwie idiotą mężczyznę, który atakuje w obronie jej honoru, nie myśląc i nie patrząc, że leci prosto w zmyślnie zastawioną pułapkę. – Pokręciła głową. – Oczywiście, jest głupcem, ale nie idiotą.

– Nie ma różnicy. – Srebro siorbnął napoju. Nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego rozmawiając z Małgorzatą, czuje się coraz gorzej.

– Jest różnica i to spora. – Srebro podniósł wzrok. Teraz czuł się, jakby tonął. Kobieta to wyczuła i nie chcąc jeszcze bardziej pograżać towarzysza, odwróciła od niego spojrzenie, jakby nagle zainteresowała się zebraną w gospodzie kompanią. Patrząc w bok, rzekła: – Pójdę już, chciałam tylko cię zobaczyć, dowiedzieć się, czy wszystko w porządku. Nie angażuj się w to tak bardzo. – Przejechała palcem przez szklanę. – Jutro będzie długi dzień.

– Zostałem odsunięty od obowiązków, zapomniałaś? – odburknął Srebro.

– Kto wie, czy to ci przeszkodzi w chronieniu miasta – odparła Małgorzata. – Ale cieszę się, że jutro na marszu matek przeciw kobietom nie stanie legat wileński, o którego agresji już krążą legendy. W przeciwnym razie dla wielu matek zaraz znalazłaby się jakaś robota niecierpiąca zwłoki.

Małgorzata uśmiechnęła się, ucisnęła Antoniemu dłoń i niczym nocny ptak wyleciała z karczmy. Srebro cicho zaklął. Już prawie podnosił rękę, by machnąć na kelnerkę, gdy nagle się rozmyślił. Odechciało mu się picia. Znów zaklął, wyciągnął z kieszeni kilka monet i rzucił je na stół, a potem podniósł się z zamiarem powrotu do domu. Jednakże los na ten wieczór miał dla niego inne plany.

– Setka ryjów się zjawiła! – ryknął ochryply głos. – Aż się puszcza pochylała[23]!

Legat wileński spojrział na krzykacza i ciężko westchnął. Wyglądało na to, że gdziekolwiek się dzisiaj uda, wszędzie czekają go nieprzyjemności.

Wilno,  
późne poobiedzie i wieczór  
25.04.1905

Miła była bardzo zadowolona. Obiad w domu wujka wypadł doskonale, a obaj adiunkci „Gwiazdy Świętego Jerzego” wychodzili ze skóry, żeby się jej przypodobać. Dowcipkowali, prawili komplementy. Nie zwracając uwagi na krzyki wściekłego maszynisty tramwaju parowego, zatrzymali karete na środku prospektu, by kupić Mile smakołyki od ulicznego sprzedawcy. Ciastka okazały się zbyt słodkie i lepkie, ale Miła pierwszy raz od długich miesięcy nareszcie czuła się szczęśliwa. Gdy Charles, podając jej magdalenkę, dotknął jej ręki, dziewczyna aż drgnęła. Złapała się na tym, że prawie nie żałuje pozostawienia w domu trzech najlepszych przyjaciół – Kolombiny, Pierrota i Skaramusza – choć zdarzało jej się to bardzo rzadko. Puściła nawet w niepamięć dziwaczne zachowanie Pierrota.

Najpierw przyjaciele planowali wybrać się na lotnisko, by popatrzeć na nadlatującego „Parsifala”. Ale pragnęło tego poza nimi jeszcze kilka tysięcy wilnian i ich gości, dlatego kareta utknęła w beznadziejnym korku na drodze wilkomierskiej, którą ciągnęły tłumy z miasta. Również tramwaje i jednotorowa kolejka kursująca z Paromieścia, która na czas Szczytu stała się pasażerską, były całkiem zapchane.

Lecz wtedy Miła, do której powróciły wspomnienia z beztroskiego dzieciństwa spędzonego w Wilnie, wpadła na znakomity pomysł. Szepnęła coś do kierowcy i ten, zwinnie zawróciwszy karete, podążył w stronę Wilenki, a następnie wzdłuż rzeczki, do ogrodu Bernardyńskiego, w stronę Góry Bekieszowej.

Wreszcie kareta się zatrzymała i trójka przyjaciół wysiadła na łące. Obaj adiunkci z zainteresowaniem spoglądali na pionowe zbocza wzgórza obrośniętego kłującymi krzakami, a potem – na swoje nienagannie czyste mundury, jednak machnęli na to ręką, roześmiali się i urządzili wyścigi, kto pierwszy wdrapie się na górę. Miła nie wystraszyła się rzepów i ruszyła niewydeptaną ścieżką na wprost, dzięki czemu zdobyła szczyt jako pierwsza. Ale chłopcy nie pozostali w tyle. Drugi wspiął się Charles. A Edward,

zobaczywszy, że nie wyprzedzi kolegi, zatrzymał się w pół drogi, wyciągnął zza pazuchy wojskowy bidon i wypił łyk koniaku. Finley w tym czasie ukradkiem uściskał Mile rękę i doczekał się jej uścisku w odpowiedzi. Edward, który dołączył już do towarzyszy, poczęstował przyjaciół trunkiem. Miła napiła się aromatycznego koniaku, ale zaraz zakasłała. Młodzieńcy wybuchli śmiechem.

Na Górze Bekieszowej było znacznie mniej ludzi, a widok stąd okazał się dużo lepszy niż z lotniska. Miła jęknęła na widok potężnego „Parsifala” manewrującego nad Wilnem, zaś Edward patrzył na niemieckiego kolosa ze zmarszczonymi brwiami, i mocno zacisnąwszy wargi, myślał, jakież beznadziejnie małe byłyby szanse „Gwiazdy” czy nawet podniebnego krążownika „Niezwycięzonego” w starciu z tym kolosem i że chyba wszystkich zebranych w Wilnie europejskich przywódców wojskowych zaczęła nieznośnie boleć głowa. Tylko Finleya latająca forteca kompletnie nie obchodziła, kilka razy ledwie na nią zerknął, a potem nie spuszczał już wzroku z Miły.

Wesoła kompania popatrzyła z góry na Wilno. Miła przybrała minę znawczyni i palcem wskazywała chłopcom największe znakomitości: posąg żelaznego wilka, dumę Wyścigowego Portu Lotniczego, który został z okazji Szczytu uruchomiony, choć nieco przyciszony, żeby nie zagłuszył dzwonów kościelnych; wieżę nawigacyjną; Zamek Dolny, w którym rezydowali Rycerze Katedry; strażników Dominium zastygłych na dachach uniwersytetu; pokrytą zieloną patyną kopułę Gildii Mechaników na Paromieściu.

Powoli zapadał zmrok, ludzie zaczęli się rozchodzić. Miła i chłopcy zeszedli ze wzgórza od strony Niechrztów i skierowali się do lubianej przez przybyszów i polecanej przez wujka Twardowskiego karczmy Ryksa.

Ta była cała zapchana. Ludzie z kuflami piwa w rękach stali nawet w sieni i głośno omawiali nowinki dnia.

– Całkiem jak w Londynie – zdziwił się Edward, szykując się do potencjalnego szturm na karczmę.

Okazało się to jednak zbyt szybkie. Czerwone mundury brytyjskich adiunktów zostały natychmiast zauważone, ludzie rozeszli się, przepuszczając trójkę przyjaciół, a karczmarz zaczął poganiać obsługę, żeby znalazła wolny stolik i posadziła szanownych gości w najlepszym zakątku gospody. Miła zamówiła białe wino, chłopcy – dzbanek piwa i po legendarnej golonce.

– Wilno smakuje zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałem – powiedział Edward, któremu poprawił się od wczoraj humor, uznał bowiem, że

złośliwość generała Joffreya odniosła odwrotny skutek. Ilu kadetów Sandhurst mogłoby się pochwalić, że już trzeciego dnia służby walczyli z podniebnymi piratami, szturmowali sterowiec i jako pierwsi na własne oczy widzieli latającą fortecę Niemców?

– Przecież w Wilnie też można żyć – oburzyła się Miła.

Obaj adiunkci się roześmiali, nie do końca rozumiejąc, co chciała przez to powiedzieć, ale śmiałyby się z czegokolwiek, byleby tylko przypodobać się tej oszałamiającej dziewczynie.

Kelnerka przyniosła golonki. Edward spojrzął na talerz i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Teraz to Miła miała niezły ubaw. Charles za to nie zwracał uwagi na smakowite jedzenie, jak doświadczony szachista planował kilka następnych ruchów. Znów niby niechcący spojrzął Miła w oczy i szybko, jakby się zawstydził, spuścił głowę. Kluczyk do serca dziewczyny już wsuwał mu się do ręki.

Dziki tłumy wciąż napływały do karczmy. Oblegający bar zuchwalcy wbili wzrok w piękną kobietę, która właśnie wkroczyła do karczmy. Rozejrzała się i pewnym krokiem podeszła do stolika, przy którym siedział wysoki mężczyzna w mundurze legionisty. O’Braitis podążył wzrokiem za kobietą, ale zaraz wyrzucił ją z głowy i słuchając ćwierkania Miły, zajadał golonkę.

– Setka ryjów się zjawiała! Aż się puszcza pochylila!

– Kurwa – zaklął pod nosem Ryks, bo wiedział, że to mogło oznaczać tylko jedno: kłopoty.

Główny mężczyzna, wysoki i cienki jak nitka, wpadł z impetem przez drzwi wejściowe. Był jeszcze młody, a mimo to na czubku głowy świeciła mu łysinka, z której sterczało kilka samotnych włosów zaczesanych do tyłu, pod nimi koło uszu szarzyły się rzadkie kosmyki. Miał na sobie marynarkę o kroju podobnym do munduru, z pagonami własnej roboty na wąskich ramionach. Na klapie błyszczało kilka odznak, na ręce drab zawinął sobie szeroką czerwoną opaskę z namalowanym podwójnym krzyżem Jagiełły i wschodzącym nad nim słońcem. Była to ozdoba wspólnoty Promiennych, a nosił ją Jan Symaszko, za którym wpadli do karczmy podobnie do niego wystrojeni kompani.

Cele pałacu Słuszków nie raz już ich gościły, a jeśli śledczy potrzebował ich danych, legionowy archiwista przynosił nie kilka stron, a grube foldery, na których okładkach widniały fotoobrazy tych zuchwalców.

Carscy żandarmi pokonali wspólnotę Promiennych niespełna sto lat temu. Jednakże w ostatnich latach organizacja odnowiła swą działalność. Po przeformułowaniu postulatów opowiedzieli się po stronie prawa, a do

stowarzyszenia przyjmowali studentów Dominium Uniwersyteckiego oraz wszystkich, którym droga była tożsamość narodowa i litewski patriotyzm. Promienni przysięgali chronić i dbać o język litewski, kulturę i historię kraju. Jednakże gdy Wilno stawało się coraz bardziej kosmopolityczne, a na ulicach dało się słyszeć poza litewskim także polski, rosyjski czy nawet angielski, założycieli stowarzyszenia Promiennych na bok zaczęli spychać inni narodowcy i radykałowie. A im nie pasowało duszenie się w wielonarodowym kotle, którym powoli stawało się Wilno – z ich ust posypały się patriotyczne hasła: „Litwa dla Litwinów”, „Nasze Wilno!”. Anarchistom, prowokatorom czy po prostu chuliganom przeszkadzał podwójny krzyż Jagiełły otoczony przez promienie słońca. Na jego widok szczekali niczym wściekłe psy, a gdy pojawiała się najmniejsza okazja, w ruch szły i pięści. Dominium Uniwersyteckie nie raz próbowało odseparować się od Promiennych i udawało, że w stowarzyszeniu pozostali już tylko nieliczni studenci.

Za swych największych wrogów Promienni uznali barwną organizację, której trzon tworzyła zagraniczna młodzież studiująca w Wilnie, w filii Uniwersytetu Krakowskiego. Promienni szczególnie szaleli dwunastego kwietnia. Mieszczanie świętowali wtedy Dzień Wolności, kiedy Wilno wyrwało się z uścisku imperium rosyjskiego i znalazło się w objęciach Aliansu. Na to święto Legion Wileński szykował się wyjątkowo starannie. Srebro nie raz przekonywał burmistrza, by się odważył i zakazał pochodu Promiennych przez prospekt Świętego Jerzego, gdyż w jego trakcie notorycznie dochodziło do bójek. Jednak Wensławski-Wenskus nawet nie chciał o tym słyszeć. Promienni również posiadali w swych szeregach wpływowych ludzi szepczących władzy do ucha.

Dostojni przedstawiciele licznych państw, jacy ściągnęli na Szczyt, działali na Promiennych jak płachta na byka. A wielonarodowe towarzystwo przesiadujące u Ryksa okazało się najłatwiejszym celem.

– Gospodarzu, czego się gapisz? – ryknął Jan Symaszko. – Lej piwo, raz dwa! A może po litewsku nie rozumiesz?

Drab w dwóch krokach znalazł się przy barze, który natychmiast opustoszał. Stali bywalcy gospody dobrze wiedzieli, któż to taki zawitał w progi Ryksa, i zaraz wynieśli się na dwór. Za to nowicjusze ze zmieszaniem patrzyli na Jana i jego zgraję.

Promienni tylko na to czekali. Symaszko oparł się plecami o bar i zaczął strzelać wzrokiem po karczmie w poszukiwaniu celu. Legata, który umościł się

w kącie, nie zauważył, za to czerwone brytyjskie mundury aż krzyczały o uwagę.

Czekając na znak przywódcy, Promienni wlewali w siebie kolejne kufle piwa. Symaszko chwycił z baru dwie przepełnione szklanki i torując sobie drogę między ludźmi, skierował się w głąb sali. Dalej wszystko potoczyło się w mgnieniu oka: drab odwrócił się do swoich kamratów, potrącił kelnerkę, ta przewróciła się i ochlapała piwem mundur Symaszki. Odrobina trunku trafiła też na czerwoną opaskę na rękawie.

– Ej, szcurze! – wrzasnął watażka. – Może ślepaś, co? Otwórz swoje żydowskie gały! Widzisz, co mi zrobiłaś, krowo!

Zrozumiawszy, że to się dobrze nie skończy, karczmarz już sięgał po starą, acz zafaną dwulufkę skrywaną pod barem z zamiarem wystrzelenia w sufit i zagaszenia tym samym tłącego się już pożaru, niestety jeden z członków kompanii złapał starca za rękę, przycisnął ją do baru i wyszczerzył się, pokazując dziurawe zęby.

– Nie widzisz, że rozlałaś, ty polska szlundro? – pluł się drab, wycierając ochlapaną opaskę. Niezwłocznie przeszedł od słów do czynów: dobrą połowę kufła wylał karczmarce na twarz.

Tego było już za wiele. Jakiś stojący obok mężczyzna złapał Symaszkę za poję, ale on zamachnął się pustym kuflem i strzelił obrońcę kelnerki w czoło. Niedoszły bohater zalał się krwią i padł na ziemię. Nagle wszyscy mężczyźni podskoczyli bliżej. Towarzysz obrońcy uderzył draba, lecz natychmiast doskoczyli do nich dwaj studenci z odznakami Promiennych na klapach marynarki. Zgraja Symaszki stojąca przy barze radośnie zawyła i rzuciła się do walki.

Dookoła niosły się ryki i przekleństwa, jedni goście gospody wzięli nogi za pas, inni zakasali rękawy i dali nura w gęstą mieszankę głów, rąk i nóg. W powietrzu świsnął kufel, przewrócił się stół, po drewnianej podłodze potoczyły się poogryzane golonki. Symaszko zwinnymi ruchami unikał ciosów, podwinął nogi i ślizgiem znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał – obok stolika, przy którym siedzieli dwaj brytyjscy adiunkci i jakaś dziewczyna.

Edward i Charles zerwali się na równe nogi, lecz Miła chwyciła obu za ręce.

– Trzymaj, trzymaj swoje czerwonomundurkowe siusiaczki, kruszynko – wyszczerzył się Symaszko. – Nie daj Boże, jeszcze ci po wszystkim nie zapłacą, świnię – dodał po angielsku.

Dwa krzesła w mgnieniu oka odleciały na boki i do zawadiaków

przyłączyły się siły Królewskiego Korpusu Powietrznego. Edward złapał Symaszkę za klapy płaszcza, a szwy jego marynarki zatrzeszczały, gdy przycisnął go do drewnianej belki. Lider Promiennych kompletnie się tym nie przejął – podniósł ręce ponad głowę i spróbował uderzyć O’Braitisa w kark, jednak ten zrobił zwinny unik, uchwyciwszy rękę napastnika, złamał ją w połowie ramienia, obrócił Symaszkę niczym zabawkowego bączka i uderzył jego czołem w słup. Instruktor walki z Sandhurst byłby z niego dumny.

– Biją Litwinów! – zawył Symaszko. – Bracia, Litwinów biją!

Do karczmy wpadło jeszcze kilku Promiennych. Czerwone brytyjskie mundury przyciągały ich niczym magnesy. Dwaj barczyści mężczyźni runęli na O’Braitisa i oderwali go od Symaszki. Przywódca Promiennych wykręconą ręką starł krew spływającą mu z rozciętego czoła, rozejrzał się w poszukiwaniu nowego celu.

Finley wyglądał jak niedźwiadek otoczony przez psy gończe, ale tylko potrząsnął głową i kilku napastników odleciało w bok na kilka metrów. Twarz Charlesa dziwnie się poruszała, skórę miał napiętą jak membrana bębna, a pod nią przesuwwały się sporawe guzki. Coś próbowało się z niego wyrwać na wolność. Finley złapał się za policzki, jakby chciał sobie zedrzeć skórę, a może odwrotnie – starał się powstrzymać czającego się w środku potwora, który wyczuł zapach krwi. Oberwał w kark, potem w plecy. Promienni wykorzystali okazję, przewrócili Finleya i gdy padł na podłogę, zaczęli okładać go pięściami.

Miła pisnęła. Złapała kieliszek i uderzyła o stół, żeby ułamać jego krawędź. Już szykowała się do skoku, gdy karczmarz wreszcie wyciągnął dwulufkę i wystrzelił w sufit.

– Dosyć! – W tym samym momencie rozległ się władczy głos. Legat wileński Antoni Srebro odsunął krzesło i wstał. – Powiedziałem: dosyć! – zagrzmiał, nie szczędząc gardła.

Wszystkie oczy odwróciły się w jego stronę. Później, już w zajeździe Niedźwiedzie Leże, Symaszko, topiąc w piwie wspomnienie poniżenia, łamał sobie głowę, dlaczego postąpił w ten sposób, ale teraz nie zamierzał słuchać niczyich rozkazów. Złapał gołonkę, zamachnął się i ruszył na pyszałka, który śmiał go uspokajać. Dopiero w ostatniej chwili, gdy było już za późno, by powstrzymać cios, rozpoznał legata wileńskiego.

Antoni Srebro na widok szarżującego Szymaczki tylko się uśmiechnął. Chwycił go za tułowie, podniósł do góry niczym robaka i cisnął nim przez okno. Sekundę po tym poleciała za nim i gołonka.



Tymczasem przez Niechrzty szło dwóch przybyszów z Pernarowa, którzy dopiero dziś przybyli do Wilna, od rana zobaczyli jednak w wolnym mieście tyle cudów, że ani trochę się nie zdziwili, gdy przez okno zajazdu wyleciał jakiś facet i runął im pod nogi.

– Widzisz, Simutisie, w dzisiejszym Wilnie drzwi już nie są potrzebne, skoro można wychodzić przez okna – powiedział jeden z mężczyzn.

Jego przyjaciel ze zrozumieniem skinął głową, obaj minęli jęczącego Symaszkę i poszli dalej swoją drogą.

Gdy przywódca Promiennych z hukiem opuścił pole bitwy, jego podkomendni zaraz stracili chęć i zapał do walki. O’Braitis i Srebro doskoczyli do Finleya, odepchnęli oblegających go zabijaków. Twarz Charlesa wciąż drgała, ale guzki zniknęły.

Promienni chyłkiem zbliżali się do drzwi, lecz drogę zastąpił im karczmarz z dwulufką w rękach.

– Za okno trzeba będzie zapłacić, szanowni panowie – powiedział surowo. – I za wszystko, co wypiliście i co stłukliście.

Promienni spojrzeli na broń. Z głębi sali spoglądał na nich surowo legat wileński. Nie było rady, zaczęli szperać za pieniędzmi po kieszeniach.

Karczmarz pytająco spojrział na Antoniego Srebro, ale ten tylko machnął ręką. Lufa strzelby ani drgnęła. Promienni wyjęli portfele, na barze zabrzączały monety. Dopiero wtedy Ryks opuścił broń. Gdy awanturnicy wyszli z jego karczmy, odłożył strzelbę i począł podnosić przewrócone stoły. Okno będzie kosztować, stłuczonych naczyń również było niemało, ale Promienni zapłacili z nawiązką, więc wieczór nie był aż taki zły.

– W samą porę się wtrąciliście, legacie – powiedział, odzyskawszy humor. – Jeśli pozwolicie, poczęstuję was i waszych przyjaciół.

Srebro i adiunkci spojrzeli na Miłę, która wciąż trzymała w ręce stłuczony kieliszek.

– Poważna broń – nie kryjąc uśmiechu, ocenił Srebro. – Gdybyś, panienko, chciała się kiedyś u mnie zatrudnić, Legion Wileński będzie do waszych usług...

– Miła. Po prostu Miła. Czy to wy jesteście tym słynnym legatem wileńskim? Wiele słyszałam o panu od swoich wujków.

– Byłby to dla nas zaszczyt, gdybyście przyłączyli się do naszego towarzystwa, legacie – wtrącił się Edward.

Srebro spojrział niepewnie na czerwone mundury, po czym wzruszył ramionami.

– Czemuż by nie?

Pod karczmą nie panowała tak przyjazna atmosfera.

– Przeklęty legat – wycedził Symaszko, plując krwią, i obmacał się po żebrach. – Gdyby nie on, nieźle byśmy się zabawili.

– Co dalej? – zapytał jeden z kamratów.

– Wracajmy do Niedźwiedziego Leża – rozkazał drab. – Chcę się napić. Czuję się, jakby przejechał po mnie tramwaj.

Bar piwny Niedźwiedzie Leże znajdował się na drugim końcu Niechrtów i był jednym z tych miejsc, gdzie przypadkowi zagubieni goście są niepożądani. A i znaleźć tu wolny stolik stanowiło nie lada wyzwanie. Ulokowany w wąskim zaułku zajazd bez szyldu i bez szeroko otwartych drzwi znali tylko swojacy, stała klientela – anarchiści, nacjonaści i innego rodzaju radykałowie kręcący się tuż za granicą wolnego Wilna.

Promienni obsiedli wielki stół, opróżniali jeden za drugim kufle, w których chlupotało ciemne, mocne, ale tanie piwo. Plotka o ich porażce zdążyła już oblecieć Niechrtzy, więc inni goście karczmy starali się nie trafić na spojrzenie czerwonych opasek z paskudnym humorem.

– Idę się odlać – oświadczył Symaszko, dotknął zasklepiającej się rany na czole i z trudem wstał.

Od lotu przez okno i mocnego piwa nosiło go na boki. Opierając się o ściany, dotarł do drzwi, wyszedł na tylne podwórze. Było ciemno, księżyc zasłoniły chmury, tylko przez jedno ciemne od brudu okno przebijało się słabe światło. Podążył chwiejnym krokiem do najbliższego zaułku i znalazłszy bramę, wzdychnął i zaczął z błogością oddawać mocz. Na ulicy było pusto, jakby pozamiatano, główne atrakcje odbywały się gdzie indziej.

Nagle coś zaturkotało Symaszce za plecami. Księżyc, który wypełznął zza chmur, oświetlił dziwną postać, której oczy świeciły krwistą czerwienią. Poczawszy na sobie złowrogie spojrzenie, watażka odwrócił się. Z osłupieniem otworzył usta do krzyku, lecz było już za późno.

W dobrym towarzystwie czas płynie jak rzeka. Ryks nie pożałował poczęstunku, adiunkci głośno się śmiali z wojennych wspomnień legata, opowiadali o dziwnych zwyczajach w Sandhurst i o okropnych instruktorach, ale pilnowali zegarka. Gdy wybiła jedenasta trzydzieści, wstali prawie jednocześnie. Miła wydeła usta i próbowała się kłócić, udowadniała, że już nie jest dzieckiem i sama może decydować, kiedy wrócić do domu, ale

adiunkci byli nieugięci. Srebro dołączył się do młodzieńców.

– Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy mieszczenie byłiby o dwunastej w domach, wtedy w mieście panowałyby spokój i porządek.

Adiunkci wzbudzi ogólnie zaufanie legata, choć intuicja mu podszeptowała, że Finley nie jest zwyczajnym wojskowym, na jakiego wygląda, i musi coś ukrywać.

Pozegnali się z właścicielem karczmy, który nisko się kłaniając, zapewnił, że dla takich gości drzwi karczmy i winne piwnice są zawsze otwarte, po czym wyszli w orzeźwiająco chłodną wileńską noc. Tutaj drogi kompanii się rozchodziły. Chłopcy mieli nadzieję znaleźć dorożkarza, a legat zdecydował się na pieszą wędrówkę do pałacu Słuszków. Chciał przewietrzyć głowę, miał do przemyślenia sporo spraw.

Po kilku krokach jednak gwałtownie się zatrzymał. Prawdopodobnie kiedy indziej nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi i przeszedłby obok. Może dopiero później przypomniałby sobie o tym i rozkazał legionistom uważnie rozglądać się za graficiarzami. Lecz tym razem zatrzymał się i spojrzał na ścianę, którą szpeciło kolejne malowidło. Nie wypisano tu jednak żądania o pracę, chleb czy wyrzucenie złodziei z ratusza miejskiego. Legat patrzył na dziwny rysunek – wielki pysk potwora szczerzącego kły o strasznych oczach. Pod nim umieszczono napis: „Ja go WIDZIAŁEM”. Srebro podszedł do ściany i przeciągnął po niej palcami. Farba nie zdążyła jeszcze wyschnąć.

Parowy dylizans podjechał pod hotel Bristol, gdzie zatrzymali się obaj adiunkci, jednak wysiadł z niego tylko Edward. Charles zaproponował, że odprowadzi Miłę aż pod sam dom, a Edward nie oponował, tym bardziej że musiał nazajutrz jako pierwszy stawić się na „Gwieździe”.

Dylizans ruszył i potoczył się prospektem Świętego Jerzego. Choć zbliżała się północ, dookoła było pełno ludzi – oblegali stragany późnych sprzedawców wystających po ulicach i denerwujących śpieszących się dorożkarzy. Lecz bliżej Zwierzyńca już się przeredziło. Na Zielonym Moście ziało pustką. Widać ochotniczy strażnicy dawno temu wrócili do domów.

Woźnica zatrzymał dylizans przy furtce domu Twardowskiego i zaczął skręcać papierosa, czekając, aż pasażerowie zdecydują się wysiąść.

Charles stanął przed Miłą, delikatnie, acz zdecydowanie ujął ją za łokieć. Dziewczyna nawet nie zdążyła się zorientować, gdy ją objął, przyciągnął do siebie, po czym wpił się w jej usta. Zadrzała, próbując się uwolnić, lecz Brytyjczyk ścisnął ją mocniej. Usta Miły rozwarły się wreszcie w odpowiedzi

na pocałunek. Charles wplótł jej palce we włosy. Słodka chwila się przeciągała.

Woźnica głośno chrząknął, a Miła natychmiast się opamiętała. Odskoczyła od Finleya, jej policzki spłonęły czerwienią.

– Do zobaczenia – szepnęła.

– Do zobaczenia – odpowiedział grzecznie Charles i szarmancko się uklonił.

Trzasnęły drzwiczki dylizansu, dziewczyna weszła na swoje podwórze. Finley podązał za nią wzrokiem, a gdy drzwi domu się zamknęły, z zadowoleniem przeciągnął językiem po zębach. Zastukał w okienko.

– Do Bristolu – rozkazał kierowcy, jednak po chwili zmienił zdanie. – Albo nie. Najpierw na Czernie, dopiero potem do hotelu.

Woźnica skinął z zadowoleniem. Trafiło mu się intratne zlecenie. Finley nie był tak rozluźniony. Śpieszyło mu się, by przekazać praskim wskrzesicielom dobrą nowinę.

Dzwony wileńskich kościołów zaczęły wybijać północ w nierównym rytmie. Nocni stróże przystanęli, by sprawdzić swoje zegarki.

Miła leżała w łóżku. Patrzyła w sufit, lecz przed oczami widziała tylko wysokiego chłopaka w czerwonym mundurze żołnierza korpusu sił powietrznych.

Maciej Lewy obsłinił palce zdrowej ręki, liczył ruble przyniesione przez Susłowa. Z każdym banknotem szczerzył się coraz bardziej, widząc, jak drogo został wyceniony.

Charles Finley, wypowiedziawszy tajne hasło, został wpuszczony do palarni alchemicznego opium, o której w Wilnie wiedziało niewielu.

Wciąż myśląc o wstrząsającym, dziwnym malowidle, Srebro wmaszerował przez drzwi Słuszków i wpadł na sierżanta, który właśnie dostał sygnał wyjątkowego nieszczęścia – w gwarze legionistów oznaczało to morderstwo.

Tylko przywódca Promiennych Symaszko niczego nie widział, nie słyszał i nie myślał o niczym. Wygięty w nienaturalnej pozie leżał na ziemi, krew, która wypłynęła z przegryzionego gardła, już zakrzepła, a w szklistych oczach zastygł nieopisany lęk.

Dzwony kościołów ogłosiły nowy dzień i ucichły.

Wilno,  
przed świtem  
26.04.1905

Stary prognostyk pogody z Dominium Uniwersyteckiego, Mariusz Pelikan, stękając, wchodził po krętych schodach wieży obserwatorium astronomicznego. Coś zazgrzytało. Pelikan zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

– Przekłete kości – zaburczał z niezadowoleniem.

Już nie pierwszy raz przeszło mu przez myśl, że mógłby przewidzieć pogodę po łamaniu w kościach, bez potrzeby włożenia na tę nieszczęsną wieżę. Ale Dominium wymagało naukowo potwierdzonych danych i Pelikan każdego ranka wstawał nieznośnie wcześnie, wkładał na siebie gruby obsyty futrem płaszcz, chroniący od przewiewającego na wskroś porannego wiatru, i pocierając czerwone od bezsenności oczy, wdrapywał się na górę, sprawdzał trzy różne barometry, porównywał pomiary i wszystko starannie zapisywał, po czym długo wpatrywał się w dachy miasta i jeszcze to czy owo dodawał od siebie.

Pelikan przewidywał pogodę już od piętnastu lat. W niewyjaśnionych opinii publicznej okolicznościach pożegnał się z pracą w Obserwatorium Astronomicznym Dominium Uniwersyteckiego i przez trzynaście lat chował urazę, że jego trud jest mało komu potrzebny. Codzienne raporty, które starannie spisywał trudnymi do odczytania literami, butwiały w szufladach urzędników Dominium, a na uniwersytecie patrzono na niego jak na dziwnego, nikomu nic złego nieczyniącego staruszka, który o zachodzie słońca swojego życia otrzymał obowiązek, by nalewać z pustego w próżne. Oczywiście i sam Mariusz popełniał błędy – jeszcze wówczas, gdy jego prognozy były cenione. Staruszka zalewał zimny pot, gdy przypominał sobie wizytę prałata Masalskiego. Przed jakimś ważnym jubileuszem z pochodem rycerzy Pelikan przyrzekł prałatowi ciepły, słoneczny dzień, podczas gdy spotkała ich taka ulewa, że świąteczne płaszcze Rycerzy Katedry, uszyte z cienkiego weneckiego jedwabiu, zmieniły się w mokre szmaty. Prałat okropnie się wściekł, groził wiecznym cierpieniem w piekle, a zatroskany staruszek łamał sobie głowę, jak wybłagać przebaczenie i wprosić się chociaż do czyścica.

Jednakże przed dwoma laty życie Mariusza Pelikana nieznacznie się zmieniło i stary prognostyk pogody zaczął dużo chętniej wspinać się po skrzypiących schodach. Zrozumiał bowiem, że nadal są ludzie, którzy cenią jego pracę. Każdego ranka, popijając w swoim pokoju herbatę, rozkładał „Wileńską Prawdę” na ostatniej stronie i z dumą czytał dział „Prognoza dnia profesora Pelikana”. Trochę go dziwiło, że tak ważna informacja jak silny wiatr, deszcz czy zachmurzenie jest drukowana drobnymi literkami na samym dole strony, ale mimo wszystko jego nazwisko widniało w gazecie, a to najważniejsze.

Pelikan nie musiał właściwie patrzeć na stare barometry. Wystarczyło kilka minut poobserwować, w którą stronę wiatr niesie dym, i już wiedział, jakiej się spodziewać pogody. Gdy wieczorem dym z kominów wznosił się prosto w górę – szykował się piękny dzień; jeśli kładł się na ziemi – zimą będzie dużo śniegu, a latem przyjdą obfite deszcze. Dym rozciągający się długimi wstęgami zwiastował wilgotną, deszczową pogodę. A jeśli był krótki, zapowiadał sprzyjającą aurę. Jeśli echo dało się usłyszeć z daleka, a dzwony brzmiały głośniej – pogoda się popsuje. A jeśli można dojrzeć nawet najdalsze dachy i wyglądają na większe niż zazwyczaj, długo trzeba będzie czekać na deszcz.

Pelikan nastawił czajnik, usiadł za biurkiem i westchnąwszy, przyciągnął do siebie kartkę żółtawego papieru. „Dziś dzień będzie szczególnie ciepły i parny, a pod wieczór niebo się zachmurzy. Można się spodziewać gwałtownej wiosennej burzy. Parasole przydadzą się małym i dużym. Ochronią i przed promieniami słońca, i przed opadami”. Przeczytał tekst napisany jak kura pazurem i z zadowoleniem zachichotał.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

– O widzisz, nawet wcześniej niż zazwyczaj – zamruczał, spojrzawszy na wielki zegar ścienny z kukułką.

Wpół do czwartej rano. Właśnie o tej godzinie, co dzień z wyjątkiem niedziel, przychodził kurier „Wileńskiej Prawdy” i zabierał kartkę z „Prognozą dnia profesora Pelikana”. Jednak tym razem za drzwiami stał nieznamy młody mężczyzna w długiej ciemnej marynarce.

– W czym mogę pomóc, szanowny panie? – Zmieszany Pelikan zmrużył oczy.

– Czy wy jesteście Mariusz Pelikan, prognostyk pogody z Dominium? – zapytał uprzejmie nieznamy.

– Tak. A kim waćpan jest?

– Przysłał mnie rektor Gimbutt. Mam poinformować, że z nakazu rektora Dominium zrywamy wszelkie kontakty z gazetą „Wileńska Prawda” publikującą wierutne kłamstwa. Rubryka z waszymi prognozami również zostaje zamknięta.

Mina starego profesora zmieniła się, coś stuknęło mu w piersi, jakby przerwała się stara sprężyna, zachwiał się i byłby się przewrócił, gdyby niezajomy go nie złapał.

– Och, moje prognozy... – wydyszał Pelikan. – Znów nikomu niepotrzebne.

– No już, już, proszę się nie denerwować. – Młody mężczyzna uśmiechnął się i zaprowadził staruszkę do krzesła, po czym wziął ze stołu kartkę z prognozą. – Ja to wezmę. Nam się bardzo przyda – rzekł na odchodne.

Zbliżała się piąta rano. Z kamienic na Paromieściu wysypali się robotnicy. Zmierzali w grupach do Zielonego Mostu i wypiwszy po filizance gorącej mocnej herbaty, którą z bidonów nalewali im nadzorcy, znów zaczęli montować trybuny przeznaczone dla szczególnie ważnych gości, którzy będą oglądać lot brawurowego pilota Adama Gaber-Wołyńskiego.

Jeszcze przed świtem na ulicach pojawili się zamiatacze z latarenkami w rękach. Jedni sprząтали Wilno zaśmiecone po nocnych zabawach, inni pomagali stróżom nocnym – budzili wylegających się na chodnikach hulaków, prowadzili ich lub zanosili do powozów, które dostarczały ich do specjalnie w tym celu zorganizowanego miejsca niedaleko niechrtowskich stawów, nazywanego przez wilnian Pogirskim Dołem. Ocuciwszy się tam, gość z miasta nawet bez zachęty zanurzał pękającą głowę w mętnej wodzie stawu. Aby śpiący balangowicze nie zostali oskubani przez koleżków, porządku w Pogirskim Dole pilnował jeden legionista. Tę szczególnie przyjemną pracę porucznicy Antoniego Srebro zazwyczaj zlecali któremuś z podkomendnych, który im czymś podpadł. „Teraz dostaniesz doła” – żartowali najemnicy między sobą.

Nocny stróż zauważył dwóch mężczyzn zmierzających z Niechrtów na starówkę, ale machnął na to ręką. O tej godzinie jest tylu leżących, że jeśli tylko ktoś ma siłę się podnieść, niech sobie idzie.

– Widzisz, Simutisie, prawdziwe Wilno, stolica handlu i rozrywki – powiedział chwyt z Pernarowa i ledwo obracając językiem, głośno beknął.

– Otóż to – odrzekł jego towarzysz i zachwiał się. – A daleko jeszcze do łóżka, co? Strasznie żem się zmęczył, Mikelisie. Może się położyć.

– Nie kładź się tu, wytrzymaj, Simutisie, bo inaczej podniosą cię stąd,

zawiozą nie wiadomo gdzie, położą, oskubią, zostaniesz bez kopiejki w kieszeni.

– Z tym że teraz też nic w kieszeni mi nie zostało – pożalił się Simutis. – Nie sądziłem, że w Wilnie jest tak drogo.

Spuściwszy nosy, mężczyźni z Pernarowa ruszyli w stronę kamienic na Nowym Świecie. Nie zauważyli siedzącego na chodniku, bujającego się na boki pana w samej koszuli. Ranek był chłodny, dlatego objął się rękoma i potarł ramiona. Oprzytomniawszy nieco, pograżył się w smutku. Jak to się stało, że on, Wojciech Smarszał z Lublina, wspaniały gracz bilardowy, przegrał wszystkie pieniądze? I wyjściową marynarkę, i bilet na sterowiec do Warszawy.

Obok przejechał wóz. Smarszał uniósł głowę i podążył za nim wzrokiem.

Pojazd zmierzał w stronę Pogirskiego Dołu i wkrótce przejechał obok piętrowego domu. Kierowca ze zdziwienia uniósł brwi – o tak wczesnej godzinie we wszystkich oknach tego budynku paliły się światła.

W tym domu na pierwszym piętrze mieściła się redakcja „Wileńskiej Prawdy”. Redaktor Leib Wołyński z zadowoleniem pocierał ręce i przygotowywał skandaliczny numer. „Miasto obezwładniają strajki!”, „Szalony legat odsunięty od obowiązków!”, „Latająca niemiecka forteca wywołała zamieszanie i panikę!” – krzyczały gęsto rozsiane nagłówki, podczas gdy do redakcji wciąż napływały nowe wiadomości. Wysłuchawszy dopiero przybyłego kuriera, Wołyński się wyszczerzył. Jeszcze jeden nagłówek aż się prosił o pierwszą stronę: „Nowa ofiara! Maniakalny morderca znów uderza!”. To będzie najlepszy numer „Prawdy” w historii.

Wpół do szóstej rano legat Antoni Srebro patrzył na denata leżącego w kałuży zakrzepniętej krwi. Jan Symaszko przed kilkoma godzinami na jego oczach zabawiał się z kolegami w barze. Gardło nieszczęśnika niczym drugie usta ziało szarpaną raną. Spodnie miał rozpięte i opuszczone – wyglądało na to, że biedak nie zdążył załatwić nagłej potrzeby. Smutne ostatnie chwile życia.

– Ta rana jest inna niż Skoryka – oświadczył ekspert medycyny sądowej doktor Radziński. – Głębsza, szersza i czystsza, jeśli można tak powiedzieć, ale to zapewne sprawa tego samego napastnika. – Wyprostował się i odsunął na bok, żeby legat mógł się przyjrzeć nacięciu.

– Litwinów biją... – zamruczał Srebro. Zerknął na stojących na uboczu kilku Promiennych o białych i otrzeźwiających ze strachu twarzach.

Sierżant doniósł już legatowi o okolicznościach morderstwa. Nie



doczekawszy się powrotu swojego lidera, Promienni wyskoczyli z karczmy i zaczęli go szukać. Znaleźli go leżącego w bramie. Szczęście, że pijanym mężczyznom wystarczyło rozumu, by natychmiast wezwać stróża. Ten poinformował patrolujących legionistów, którzy ogrodzili miejsce zbrodni i teraz w skupieniu przepytawali kamratów Symaszki.

Na Niechrtach natychmiast rozprzestrzeniła się plotka o wydarzeniu i po pół godzinie w pobliżu Niedźwiedziego Leża pałętały się już sępy „Prawdy”. Jednak oni obchodzili Antoniego Srebro najmniej. Oficjalnie burmistrz odsunął legata od obowiązków, więc właściwie nie miał prawa tu być, ale mimo to sierżant patrolujący bardzo się ucieszył, ujrawszy swojego zawieszzonego w obowiązkach szefa.

Legat podniósł wzrok na Radzińskiego.

– Jesteście pewni, że to robota tego samego człowieka? – spytał, dotykając krawędzi rany. W myślach starał się obliczyć, ile czasu minęło od bójki w karczmie Ryksa do momentu, gdy Promienni znaleźli zwłoki.

– Że tego samego, w to nie wątpię – rzekł przekonująco Radziński. – Rana może jest trochę inna, ale to bardzo podobne do morderstwa. – Zamilkł i nadgarstkiem przetarł sobie czoło. – I cięcie... Pamiętacie, na cmentarzu mówiłem, że narzędzie dobre, tylko ręka niezgrabna. Za to tutaj... – Radziński machnął palcem w powietrzu i podekscytowany wywalił język. – Tutaj już cięcie jest sprawne, równiutkie.

– Nasz morderca robi postępy? – Legat uśmiechnął się krzywo.

– Można tak powiedzieć, ale mamy tu coś ciekawszego. Rana jest zbyt głęboka i szeroka, by można ją było zrobić jednym skalpelem czy nożem. Wygląda, jakby ktoś przeciągnął dwoma ostrzami w tym samym czasie od góry i od dołu, trzymając za gardło. Jakby ranę zadała jakaś paszcza. Ale jak można tak równo kogoś ugryźć... Legacie, czy wszystko z wami w porządku?

Srebro zamknął powieki. Nagle przed oczami pojawił mu się dziwny obraz, złożony z różnych twarzy. Dwaj denaci: Skorochodow i Symaszko; morderca pojawia się i znika; skradzione szkice bionicznego golema; Franciszek Baltrus, naukowiec, który zniknął w tajemniczy sposób; wymalowany na ścianie pysk potwora z rozwartą paszczą. Otworzył oczy i spojrzał na swoje palce, na których została krew nieszczęśnika. Przypomniał sobie położoną na ścianie wilgotną farbę, która jeszcze nie zdążyła zaschnąć.

Odwrócił się do legionistów.

– Światło! – Machnął i legioniści, którzy świecili Radzińskiemu, szybko podali lampę legatowi.

Przez wiele ciężkich i niebezpiecznych lat służby Srebro nauczył się kierować przecuciem. Rozejrzał się, podniósł lampę i wszedł w wąski, ciemny zaułek, a właściwie przerwę między dwoma domami kończącą się przy ślepej ścianie, obok której sterczała kupa cuchnących śmieci.

Przecucie i tym razem nie zawiodło szefa wileńskich legionistów. Światło lampy padło na ścianę i Srebro o mało nie zadrżał, zobaczywszy jeszcze jedno malowidło: pysk potwora z eksplodującymi oczami i rozwartą paszczą, z której kapały wielkie krople krwi. „Ja go WIDZIAŁEM”. Srebro dotknął malowidła palcami. Farba wciąż była wilgotna.

Podszedł do sterty śmieci. Obok niej zobaczył otwór na gnojówkę. Takie dziury, zakryte zardzewiałymi żelaznymi kratami, można było znaleźć przy prawie każdym domu. Tyle że tutaj kraty walały się z boku, wyłamane i powyginane, a z czarnej dziury przedostawał się smród miejskiej kanalizacji.

„Dwa dni temu w takim miejscu ukrył się graficiarz Salomon, który uciekł przed legionistami”, przypomniał sobie legat. Salomon – jeszcze jedna twarz na zagadkowym obrazie.

– Wilejszys się mylił – mruknął pod nosem. – Te szkice, które miał przy sobie zamordowany Skorochodow, to nie projekty golema. To w ogóle nie są projekty, a mordercą nie jest człowiek. To mechaniczne zwierzę. Bionik, już stworzony.

Legat szybkim krokiem wrócił na miejsce zbrodni. Legioniści wypuścili już Promiennych i kierowani przez Radzińskiego szykowali się, by wsunąć ciało Symaszki do karety parowej. Zobaczywszy wracającego szefa, sierżant już chciał coś powiedzieć, ale legat był szybszy. Wydał kilka krótkich rozkazów, a legioniści natychmiast ruszyli, by je wykonać.

Wilno,  
o świcie  
26.04.1905

O szóstej nad ranem czarne sklepienie nieba zaczęło się rozjaśniać – pomału, ostrożnie. Tak jak do zimnej Wilii wchodzi wilnianin. Mariusz Pelikan miał rację – ani śladu chmur, zapowiadał się piękny dzień.

Stary prognostyk z błogością chrapał w ciepłym łóżku. Owoce nocnej pracy oddał nieznanemu, nawet nie usłyszał, gdy niedługo po jego odejściu znów rozległo się pukanie do drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, kurier „Wileńskiej Prawdy” odszedł z niczym.

Redaktor Leib Wołyński o ciepłej pościeli mógł tylko pomarzyć. Ledwo zdążył wskazać, w którym miejscu dać najgorętszą wiadomość o drugim morderstwie i bezsilnych legionistach, a już dowiedział się od kuriera, że tym razem prognozy pogody nie będzie. Na ostatniej stronie zamiast „Prognozy dnia profesora Pelikana” pojawi się biała plama. Nie było czasu na wyjaśnienia, Leib rozkazał, by wypełnić lukę rysunkiem:

– Leżące w bramie ciało Symaszki i olbrzymia kałuża krwi wokół – zaordynował, nie wdając się w więcej szczegółów.

Rysownik próbował tłumaczyć, że taka plama krwi będzie bardzo nierealistyczna, ale Wołyński uciał jak siekierą:

– Krwi nigdy nie jest za wiele. – I wyleciał do drukarni na Paromieściu.

Leib czuł, że dzisiejszy numer „Prawdy” wstrząśnie miastem. Przecież każdy egzemplarz z trupem to kopiejka do kieszeni, a z nich zbierze się pokaźna kupka... Tym bardziej że mieszczanie są spragnieni skandalicznych wiadomości. A i dodatkowe pieniądze obiecane przez Golicyna nie zaszkodzą.

Dotarłszy do drukarni, złapał świeżuteńki, pachnący drukiem numer i zmarszczył nos. Musiał przyznać, że rysownik wykonał kawał dobrej roboty. Na pierwszej stronie widniała wykrzywiona twarz Antoniego Srebro, nad którą nagłówek krzychał: „Szalony legat zawieszony!”. Trochę niżej – groźnie wyglądający „Parsifal” i pytanie: „Czy należy szykować się na wojnę?”, do tego jeszcze nieszczęsny Symaszko w wielkiej kałuży krwi. Leib z zadowoleniem się oblizał.

Pracownicy drukarni pociągnęli paletę z dzisiejszym wydaniem „Wileńskiej Prawdy” w stronę drzwi, gdzie zwykle czekali na nie chłopcy Stefana Małachowskiego, wileńskiego nadzorca dróg. Małachowski miał na głowie najczarniejsze prace: setka jego smarkaczy wozila śmieci, doglądała miejskich parków i roznosiła „Wileńską Prawdę”. Chłopcy chudymi rączkami obejmowali tak duży stos gazet, że ledwie udawało im się go podnosić, i niedługo potem w całym Wilnie – od Antokolu po Zwierzyniec – rozbrzmiewały ich piskiwe głosiki: „Kupujcie, kupujcie! Najnowsza »Prawda«! Skandal w Radzie! Spowiedź kochanki hrabiego!”. Było ich wszędzie pełno, nie omijali nawet Bied. Maciej Lewy uważał, że „Prawda” to wychodkowa gazeta, najlepiej nadająca się do podcierania sobie tyłka, ale dzieciom zarobić jednej czy dwóch kopiejek nie przeszkadzało. Sprzedawszy wszystkie egzemplarze, chłopcy wracali do drukarni po następny stos i tak aż do zmroku. W dobry dzień udawało się sprzedać wspólnymi siłami nawet dziesięć tysięcy sztuk. Dzisiaj Leib miał nadzieję rozprowadzić trzy razy tyle.

Rozmarzony redaktor nie od razu pojął, że coś jest nie tak. Zazwyczaj po wyniesieniu gazet na ulicę podnosiła się wrzawa – małachowszczyki, choć nie umieli czytać, wertowali nowy numer i chichocząc, powtarzali, co tego dnia będą wykrzykiwać. Teraz było dziwnie cicho.

Leib odwrócił się na pięcie i wyszedł na dwór. Na ulicy leżały sterty gazet. Przy nich stało kilku pracowników drukarni i pomocnik Leiba, Grodek. Rozglądali się ze zmieszaniem. Nie było ani śladu smarkaczy Małachowskiego.

– Co się dzieje? – szepnął Leib.

– Nic nie rozumiem. Ani jednego małachowszczyka. Zaspali czy co? – wyjąkał Grodek.

– Znajdź Małachowskiego! – krzyknął Wołyński. – Zaraz! Wywał go z łóżka, wykop spod ziemi, rób, co chcesz, ale za pół godziny mamy zacząć sprzedawać gazety. Każda minuta jest cenna, jasne?

Grodek przytaknął i puścił się pędem wzdłuż drogi. Jednak nie minęła nawet jedna tak cenna dla Wołyńskiego minuta, a z daleka dobiegły ich dźwięczne głosy chłopców.

– Nareszcie! Ech, ci nieudacznicy! – mruknął Wołyński i zaczął w myślach obliczać, ile będzie Małachowskiego kosztować ten afront.

Redaktor wsłuchał się w krzyki chłopców i zmrużył oczy, nie mogąc zrozumieć, co to wszystko znaczy. Gdy dotarło do niego, że wykrzykują tytuł innej gazety, zlał go zimny pot i zaczął się dusić.

Nawet nie zauważył, że nieopodal, w bramie, już od dawna stoi młody jasnowłosy mężczyzna w długiej ciemnej marynarce i obserwuje drukarnię. Zobaczywszy wykrzywioną twarz Leiba, z zadowoleniem się uśmiechnął i chroniąc się przed porannym wiatrem, podniósł kołnierz marynarki.

W kamienicach na Paromieściu i Śnipiszkach każdy ranek zaczynał się tak samo. Mężczyźni, ziewając, wygrzebywali się z łóżek, myli się w letniej wodzie, zakładali wyprane wieczorem, jeszcze trochę wilgotne ubrania, wypijali gorącą herbatę, wrzucali do żołądka to, co zdążyły im przygotować żony i ucałowawszy śpiące dzieci, z pierwszymi promieniami jutrzeńki wychodzili do pracy. Ulice czerniły się od przygarbionych postaci w szynelach. Zamieniwszy słowo z idącymi obok, rozdzielali się i grupkami wchodzili do paromiejskich fabryk, żeby stanąć przy roboczym stole, nim zawyje pierwsza syrena.

Jednak dziś ranek zaczął się zupełnie inaczej. Słuchając okrucich rozmów we wspólnych kuchniach, obserwując wzrok zaniepokojonych żon i nerwowe ruchy rąk, można było wyczuć szerzącą się wokół niepewność. Odważą się czy się nie odważą? Jeśli nie teraz, to kiedy? Tego ranka z ust do ust, jakby przekazywane bezprzewodnikiem, roznosiło się jedno słowo: strajk, strajk, strajk.

– Nie idźcie do pracy, nie łamcie ustaleń, bądźcie z wszystkimi – nieprzerwanie zachęcali agitatorzy. – Zobaczycie, oni się wystraszą, odpuszczą, szczególnie teraz, gdy odbywa się spotkanie na Szczycie i skierowane są tu oczy całej Europy.

Ale robotnicy się wahali. Wiedzieli, w jakich warunkach ich bracia i siostry pracują w Nowowilejsku czy w okupowanym przez Rosję Kownie, a niektórym przed oczami migają cele pałacu Słuszków i kamienne twarze wileńskich legionistów. Wobec wrogów junkrzy byli bezlitośni, a robotnicy nie wątpili, że gdy złączą strajk, ich złość nie będzie miała granic. Jeszcze inni chcieli sumiennie odpracować dzień, następnie umyć się, przebrać w świeże ubrania i z rodziną pójść oglądać cuda obiecywane przez radnych na czas Szczytu. Mimo to słowo „strajk” pleniło się niczym zaraza, kusiło i obiecywało choćby urozmaicenie życia. Dlatego po śniadaniu robotnicy skierowali się nie do fabryk, a na centralny plac Paromieścia rozciągający się przed wieżą Gildii Mechaników.

Już o siódmej rano szumiał tutaj całkiem pokaźny tłum. Ludzie przestępowali z nogi na nogę, kręcili głowami i rozmawiali. Choć plotki

o strajku bez wątpienia dotarły i do uszu legionistów, droga do budynku Gildii Mechaników była całkowicie wolna. Nie przekrzykiwali się tu uzbrojeni po zęby, wyposażeni w tarcze funkcjonariusze, na dachach nie ustawili się strzelcy, nad wodą z parowymi działami nie tupali artylerzyści mogący szybko i bez większego wysiłku rozgonić tłum. Wywołało to ogólne zdziwienie.

Zegar gildii ogłosił za kwadrans ósmą. Tłum szumiał coraz głośniej. Najbardziej nieufni strajkujący zaczęli się domagać wyjaśnień, chcieli wiedzieć, co dalej, zażądali, by głos zabrali przywódcy. Wtedy z tłumy wyłonili się trzech mężczyźni: dwaj szczupli i przygarbieni, trzeci pulchny, z białymi rękami przyzwyczajonymi do noszenia papierów – aktywiści wspólnot pracowniczych Anton Kolwa, Jan Krazas i Eustachy Pugis. Wyszli na środek placu i odwrócili się do tłumy. Robotnicy natychmiast ucichli.

– Bracia – niskim głosem zadudnił robotnik z fabryki mydła Jan Krazas, lecz więcej powiedzieć nie zdążył. Rozległ się bowiem tupot małych stóp dobiegający ze wszystkich uliczek. Na plac wysypały się dwa tuziny dzieci, większych i mniejszych, o brudnych nogach i z ciekącymi nosami. Każde miało przerzuconą przez ramię wielką torbę, a w podniesionych rękach trzymało gazety. Dzieci wrzeszczały tak głośno, że z łatwością przekrzyczyłyby wszystkich woźniców czekających na dworcu na pasażerów.

– Nowa gazeta! „Wileńskie Wieści”!

– Za darmo! Biercie i czytajcie!

– Skandal! Przywódcy strajków przekupieni! Skandal! Za darmo!

Anton próbował dać znak kilku swoim ludziom, żeby powstrzymali natrętnie dzieciaki, ale nikt nawet nie drgnął, łatwiej byłoby gołymi rękoma złapać rybę w Wilence. Dzieci zanurkowały w tłum, rozdawały gazety, a gdy ich zabrakło, biegły do pobliskiej uliczki po zapasy i wracały z nową porcją.

Ucieszeni z darmowego prezentu robotnicy, nawet ci, którzy ledwo umieli czytać, wertowali gazetę i zmarszczywszy brwi, przeglądali zdjęcia na pierwszej stronie: na jednym wszyscy trzech przywódcy strajków, Kolwa, Krazas i Pugis, w towarzystwie jeszcze jakiegoś mężczyzny przebierali się w poczekalni do sauny, na innym wszyscy trzech raczyli się napojami i miłym towarzystwem dziewcząt, na kolejnym liczyli ruble wyciągnięte z kopert. Nad zdjęciami widniał nagłówek: „Kto zamówił strajki w Wilnie?”.

– To prowokacja! – zawył księgowy Pugis i spróbował chwycić za kark jednego z małachowszczyków, ale chłopiec zwinnie się wymknął i zniknął w tłumie.

Ludzie zaczęli powoli otaczać trzech bladych przywódców strajków.

– To obrzydliwe kłamstwo! – zapiszczał Pugis. – Skąd się wzięła ta gazeta? Nic nie wiem o żadnych zdjęciach! Nikt nas nie obrażował!

Jeden z jego kolegów boleśnie szturchnął go łokciem w bok, ale już było za późno.

– Za ile się sprzedaliście, parszywcy? Za trzydzieści carskich srebrników? – ryknął ktoś z tłumu.

– Chcieliście na naszym grzbiecie do raju dojechać, a nas puścić boso? Nie ma szans! – zawtórował mu drugi.

Kręcący się w tłumie wynajęci agitatorzy w mgnieniu oka wyparowali, a ludzie jeszcze mocniej napaarli na trzech liderów, pozostawiając im wolną tylko drogę do wieży Gildii Mechaników, ponieważ tam nie mieli dostępu. Nagle Pugis poczuł na barku metalową rękę. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w brązowej marynarce.

– Nie wszystko złoto, co się świeci – rzekł Piotr Wilejszys, patrząc na tłum. – Nie wszyscy przyjaciele życzą dobrego i nie wszystkie piękne obietnice są spełniane. Wspomnicie te słowa, koledzy. A teraz zademonstrujcie gościom Wilna, którzy przybyli na Szczyt, jacy są paromiejscy mężczyźni: pracowici i zjednoczeni. Niech nam zazdroszczą nie tylko inne miasta Aliansu, ale i cała Europa! A gdy skończy się zjazd na Szczycie, wszyscy razem siądziemy przy stole i po męsku omówimy sprawy. Bez saun i rosyjskich rubli! – Metalową ręką klepnął Pugisa w tyłek, a tłum wybuchnął śmiechem. Podniósł rękę, a robotnicy ucichli. – I jeszcze jedna sprawa. Wiem, że na Paromieściu kara się spóźniałstwo, ale dziś to niesprawiedliwe. Główny paromiejski zegar... – Wilejszys pokazał na wielki czasomierz gildii wskazujący minutę do ósmej – jakby specjalnie się zatrzymał i godzinę ósmą wybije dopiero wtedy, gdy wszyscy będziecie na swoich miejscach pracy! Miłego dnia!

Tłum ponownie zaszumiał i zaczął się szybko rozchodzić. Nie minęła nawet minuta, a przy budynku gildii został tylko Wilejszys, trzech zdeorientowali przywódcy strajku i kilku sprzedawców gazet.

Inicjator zamieszek Misza Susłow starannie zakrył sobie twarz „Wileńskimi Wieściami” i również zniknął z placu. Gdy się upewnił, że innym agitatorom nikt nie dobrał się do skóry, nie miał tu już nic do roboty. Susłow był zbyt doświadczony, by zwiesić nos z powodu jednej porażki. Nawet najlepsze plany często się walą z powodu nieprzemyślanej drobnostki czy niespodziewanego ruchu przeciwników. Takie rzeczy zdarzały się i w Sankt Petersburgu, i w Kijowie, i w Orenburgu. Lecz z doświadczenia zdobytego

w więzieniach Susłow wiedział, że grę wygrywa nie ten, który ma najmocniejsze karty, tylko ten, który skrywa w rękawie dodatkowego asa. A on miał przynajmniej trzy. Do tego pragnął zemsty, chciał, żeby wilnianie zapamiętali ten dzień. I wiedział już, jak tego dokona – wieczorem sprowokuje ciężką bójkę w pobliżu robotniczych kamienic na Paromieściu.

Rosjanin skręcił w boczny zaułek. Czekąco go pierwsze dziś spotkanie.

Księgowy fabryki mydła Pugis i jego wspólnicy kroczyli przez plac, zamierzając jak najszybciej się z niego wynieść, kiedy otworzyły się drzwi wieży Gildii Mechaników i na schodach pojawili się trzech legioniści.

– Gdzie się waćpanowie wybierają? – zapytał uprzejmie Wilejszys. – Poczekajcie, ktoś chce z wami porozmawiać. O łaźniach i innych przyjemnościach.

Legioniści podeszli do Kolwy, Krażasa i Pugisa, bezceremonialnie złapali ich za karki i zaprowadzili do karety parowej, która właśnie wtoczyła się na plac. Coś przeraźliwie gwizdnęło i gapiący się roznosiciele gazet pobiegli do pozostałych dzieci, a następnie kontynuowali swoją misję

– Najnowsze wieści! Najnowsze wieści! Właśnie aresztowano inicjatorów strajku!

– „Wileńskie Wieści”! Za darmo, za darmo!

Na placu, jeszcze przed chwilą przepełnionym wrzawą, został jedynie Piotr Wilejszys. Wynurzywszy się zza rogu domu, nieśpiesznie podszedł do niego młody jasnowłosy mężczyzna w długiej ciemnej marynarce.

– Czy jesteście zadowoleni? – zapytał uprzejmie.

Lider mechaników spojrzał na mężczyznę i uśmiechnął się półgębkiem.

– Zaprawdę, nieźle się ubawiłem. Szczególnie podobała mi się prognoza pogody Pelikana. Ładny elemencik. Przekaż moje podziękowania rektorowi Gimbuttowi i jego studentom. Będą z nich wspaniali dziennikarze. Podziękuj i panu Małachowskiemu, i oczywiście...

– Radnemu finansów – skończył zdanie Jan, asystent Gerharda von Otto. – Radny cieszy się... że przekonał pana Małachowskiego i że przynajmniej odrobinę pomógł wolnowileńskim mechanikom. Ma nadzieję na owocną współpracę w przyszłości.

– Innymi słowy, jesteście mu dłużni – odburknął Wilejszys. – Koła kręcą się w kołach, a w tych kołach małe zębátky. Wilno to skomplikowany mechanizm, tak samo jak moje maszyny.

Jan uklonił się w milczeniu.

– Radnego finansów interesuje dalszy los „Wileńskich Wieści”.



Zakończymy na jednym numerze czy może miasto zyska niezależną gazetę? – spytał.

– Naradzę się z rektorem Gimbuttem, ale myślę, że wolnemu miastu przydałaby się naprawdę wolna trybuna – odpowiedział Wilejszys. – W Wilnie już od dawna trudno oddychać, gdy opinia publiczna zna tylko jedną prawdę. Jeśli uda nam się jeszcze otworzyć własną drukarnię... Powstanie nie byle jaka konkurencja dla Zawadzkiego. Wielu skarży się na ich ceny. A jak najnowsze „Wileńskie Wieści” ocenia nasz wspólny znajomy z „Prawdy”?

– Słabo. Bardzo słabo. – Jasnowłosy mężczyzna uklonił się, pokazując, że rozmowa skończona, i kocim krokiem zniknął z placu.

Wilejszys przez jakiś czas patrzył za nim zamyślony, po czym palcami metalowej ręki podrapał się po policzku i wszedł do pałacu gildii.

Hurkot paromiejskich syren, który rozległ się o ósmej rano, wybudził Leiba Wołyńskiego z transu, w którym pozostawał przez ostatnie pół godziny. Redaktor siedział między niesprzedanymi stertami „Wileńskiej Prawdy”, w ręce ścisnął najnowsze „Wileńskie Wieści” i wpatrywał się w pierwszą stronę. Drukarze, popalając papierosy, przez jakiś czas z zainteresowaniem spoglądali na zamyślonego redaktora. Niedługo potem wrócił jego pomocnik Grodek i zameldował:

– Król ulic kazał wcisnąć sobie „Prawdę” w pewne miejsce i przypomniał, że kij ma dwa końce – zameldował Grodek, cytując Małachowskiego, który pomagał Leibowi za darmo, żeby gazeta przemilczała jedną nieprzyjemną historię o prawie do zbierania miejskich odpadów, które nadzorca dróg uzyskał nie całkiem legalnie.

Pomocnik Wołyńskiego złapał za kark paru dzieciaków, proponował im kopiejki, żeby tylko wyniosły „Prawdę”, ale to było jak łapanie przeszywających niebo jaskółek. Mali nicponie bezczelnie machali mu przed nosem „Wileńskimi Wieściami” z herbem Dominium Uniwersyteckiego umieszczonym pod nazwą gazety.

To był krach finansowy. Nawet gdyby Wołyński wysłał do miasta cały swój krzykliwy personel, w najlepszym wypadku mógł sprzedać kilkaset gazet. Tylko kto je kupi? Mieszczanie dużo chętniej sięgali po bezpłatne „Wileńskie Wieści”. Nawet nie chciał myśleć, co powie, gdy go zabiorą do kryjącego się wysoko ponad chmurami przerażającego monstrum „Ilji Muromieca”.

Wschodzące słońce oświetliło ulice i zaułki miasta, kilka promieni padło na stertę „Wileńskiej Prawdy” z krzykliwym nagłówkiem „Strajki obezwładniają

Wilno!”, lecz do popołudnia zostaną tu tylko cienie i stos nikomu niepotrzebnych papierów.

Wilno,  
ranek  
26.04.1905

Gdyby stary Mariusz Pelikan nie został tak długo w łóżku, naprawdę by się ucieszył, ponieważ jego prognoza się potwierdziła. O dziewiątej rano słońce przegoniło poranne mgły i rozświetlało wileńskie ulice pogrążone w świątecznym nastroju. Na przejrzystym niebie ciemniał jedynie „Parsifal”, który rozpląszczył się nad miastem jak wielka ropucha, lecz nikt na to nie narzekał, bowiem mieszczanie i goście jednomyślnie twierdzili, że ta latająca niemiecka forteca to widok robiący największe wrażenie wszech czasów.

Zieleniące się lipy na prospekcie Świętego Jerzego, kasztany w ogrodzie Bernardyńskim, bzy na Piromoncie, białe topole wokół wieży nawigacyjnej i placu Katedralnego cieszyły oko i jakby po cichu szeptały do ucha: „Gdy w sercu masz osiemnaście lat, życie jest niezwykle piękne”. Na placu Łukiskim przy kopule z wystawą znów utworzyła się kolejka, a przy Zielonym Moście robotnicy skończyli stawiać trybuny. Ludzie, którzy się tu zebrali, raczyli się chłodnym kwasem chlebowym i wgapiali się w legionistów, którzy starali się kontrolować co chwilę powiększający się tłum pragnących obejrzeć lot legendarnego pilota Adama Gaber-Wołyńskiego.

Miasto aż trzeszczało od ogromu ludzi. Każdy pokój hotelowy, każde łóżko w hostelu zostały wynajęte, choć – o ironio! – nikt nie miał zamiaru spać. Karczmy, zajazdy, kawiarnie i restauracje pracowały całą dobę, za to uliczni sprzedawcy dziś wstali później, gdyż wiedzieli, że będą harować do samego rana. Zamierzali sprzedać tyle, żeby przez następny miesiąc nie podnosić się z łóżka. W nowej gazecie „Wileńskie Wieści” Jan Basanowicz obiecywał, że w nocy alchemicy urządzą spektakl sztucznych ogni, jakiego świat nie widział. Zbliżające się do zenitu słońce zapowiadało upał, dlatego sprzedawcy ledwo nadążali obracać się z kwasem chlebowym i piwem.

Gorąco było i w ratuszu. Rosyjski minister spraw zagranicznych Władimir Lamsdorf walczył jak lew na kilka frontów – choć miasta Aliansu deklarowały, że są neutralne we wszystkich konfliktach zbrojnych, zaatakował barona Rothschilda, że ten zaprosił na Szczyt Tadasu, powściągliwego

ambasadora Japonii. Być może wściekł się też dlatego, że Japończyk popełnił fatalną gafę, tytułując „madame” rosyjskiego ministra, który jako jedyny nie wierzył, że zawinił tutaj jedynie niedoskonale opanowany język angielski ambasadora.

Prałat Masalski z zadowoleniem wyszczerzył się i zamruczał pod nosem:

– Dobrze tak temu otoczonemu kochankami zboczeńcowi.

Nadszarpnięte były też stosunki Rosji z Niemcami. Pruski minister wojny Karl von Einem, brzęcząc medalami i kręcąc dziarsko wywiniętymi, wywoskowanymi wąsami, jak nakręcony powtarzał w kółko jedno i to samo:

– Wyłączny cel Niemiec to Europa zjednoczona, silna i wytrwała w pokoju.

Niespodziewanie Lamsdorfowi na pomoc przyszedł minister spraw zagranicznych imperium brytyjskiego Henry Petty-Fitzmaurice, który zauważył ironicznie, że wisząca nad Wilnem latająca niemiecka forteca „Parsifal” jest najlepszym symbolem trwałego pokoju w Europie. Francuski minister spraw zagranicznych zgodził się z tym, prychnął, i wciąż podstawał sobie pod nos naczynko z solą zapachową.

Baron Natan Rothschild z całych sił starał się opanować sytuację, zachęcał panów do rozmowy o nowych technologiach, ich przeznaczeniu i sprzedaży do wszystkich krajów europejskich, lecz Lamsdorf odpowiedział wściekłą tyradą, jak to karłowaty Alians wyobraża sobie, że jest pępkiem Europy, i nie liczy się z potęgami światowymi. Do bezlitosnej kłótni o miastach Aliansu i miejscu na świecie dla technologii tworzonych przez Rothschildów wciągnęli się wszyscy uczestnicy spotkania na Szczycie z wyjątkiem przedstawiciela Imperium Osmańskiego, Izzeta Paszy Al Abeda. Ten cierpliwie czekał, kiedy rozmowa zejdzie na koleje w Europie i na jego wymarzony hidżaski projekt.

Burmistrz Wensławski-Wenskus czuł się jak leszcz, który trafił do zbiornika z rekinami, jak jeszcze mniejsza rybka niż w domu, gdzie rządziła energiczna pani Wenskiene. Starał się nie odzywać, pilnował za to gorliwie, by gościom nie zabrakło napojów i przekąsek, ciągle wzdychał, spotykał się wzrokiem z burmistrzami Pragi, Rewla i Krakowa, zerkał na zegarek i wyczekiwał końca spotkania. Miał nadzieję odprężyć się wieczorem w zamkniętym klubie na Antokolu, do którego zaprosił swoich kolegów z innych miast Aliansu. Zaplanował dyskretny wieczorek ze szczególnie dyskretnymi dziewczętami i, oczywiście, bez pani Wenskiene.

Legat wileński siedział na krześle, a po jego szyi powoli sunęło ostrze. Brzytwa minęła jabłko Adama. Srebro aż wstrzymał oddech i zamknął oczy.

Nóż jeszcze kilka razy dotknął skóry i golibroda ciepłym ręcznikiem ostrożnie wytarł mydliny. Następnie spojrzął na twarz legata i skinął z zadowoleniem.

Srebro otworzył oczy.

Po nocnym spotkaniu z ekspertem medycyny Radzińskim wrócił do pałacu Słuszków i zasnął na kilka godzin. Wstał tak jak zazwyczaj – z pierwszymi promieniami jutrzeńki, choć dziś nie miał dokąd się śpieszyć. Wczoraj dyżurny przekazał mu pismo od Rady Wileńskiej – on, Antoni Srebro, legat wileński i radny porządku, miał zakaz oficjalnego pokazywania się na którymkolwiek wydarzeniu Szczytu. Słowo „oficjalnego” zostało kilka razy podkreślone ołówkiem. Przeczytawszy je, Srebro się zaśmiał – wiedział, kto tak naprawdę przysłał mu tę wiadomość.

Legat miał zatem dziś więcej czasu niż kiedykolwiek i postanowił mądrze go wykorzystać. Najpierw wybrał się na przebieżkę, pobięgał po cienistych zaułkach parku Słuszków, następnie dał nura w wody Wilii i wiosłując długimi ramionami, dopłynął prawie do Zamku Dolnego, gdzie zawrócił. Wytrenowane ciało poruszało się niemal jak automat, a Srebro, pogrążony w myślach, planował dalsze zajęcia. Wyszedłszy na brzeg, miał więc wstępny harmonogram dnia, a przy śniadaniu i później na krześle u golibrody ułożył jego ostatnie elementy. Ani trochę się nie zdziwił na widok nowej gazety w zakładzie fryzjerskim. To był znak, że plan Wilejszysa i Gimbutta się powiódł i Legion Wileński mógł skreślić jedną pozycję z listy zadań na dziś – strajk na Paromieściu.

Wyszedłszy od golibrody, Srebro zajrzał do podziemi Słuszków – królestwa Alojzego Nunewicza. Zastał staruszka chrapiącego na kanapie. Trzeba było nieźle nim potrząsnąć, by się wybudził, ale odzyskawszy świadomość, tak się ucieszył, że znów może się przysłużyć dowódcy legionistów, że w samej piżamie poleciał włączać piekielny mechanizm – maszynę nr 5. Wdrapując się po drabinie, wyglądał jak napuszony gołąb, któremu dobroczyńcy w kilku miejscach posypali ziarna i biedak miotał się, nie wiedząc, gdzie zacząć ucztę.

Na pierwszy rzut oka pomysł legata wydawał się bardzo prosty – plan wileńskich ulic porównać z planem podziemnej kanalizacji i dowiedzieć się, czy na Ostrym Końcu, niedaleko domu Maryny Baltriene, ciotki Baltrusa, który zniknął ze szpitala w Nowowilejsku, nie ma jakiegoś zejścia do podziemi. Uporządkowawszy widziane obrazy, Srebro dodał do nich morderstwo Jana Symaszki i malowidło na ścianie. Był prawie pewny, że Baltrus, pracujący dla wskrzesicieli, czai się w podziemiach. I pewnie nie jest tam sam. Przecież ktoś musi zanosić mu jedzenie, picie, może i narzędzia, a tym troskliwym

człowiekiem z pewnością okaże się cioteczka Baltriene.

Jeśli zejście do podziemi rzeczywiście znajduje się koło jej domu, krąg poszukiwań od razu się zawęzi. Tej nocy legat rozkazał swoim ludziom zatrzymać i zaprowadzić do Słuszków każdego graficiarza, na jakiego się natkną, ale wiele nadziei w nich nie pokładał. Graficiarze pojawiali się na ulicach dopiero po zmierzchu, a znalezienie tego, który namalował potwory, nie wydawało się łatwiejsze od znalezienia igły w stogu siana. Zdekonspirowanie cioteczki obiecywało więcej.

Zadanie, które powierzono maszynie nr 5, okazało się jednak trudniejsze, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Wilno rozrastało się i zmieniało w takim tempie, że bardzo szybko dezaktualizowały się plany ulic, a co dopiero podziemia czy kanalizacji. Dokładne mapy tych miejsc w ogóle nie istniały.

Alojzy karmił maszynę perfokartami, ta warczała i dudniła jak największa parowiejska fabryka, wypluwała parę i dym, lecz wszystko na marne – podziemne labirynty były nie do odczytania. Alojzy wyłaził ze skóry, wypróbował najrozmaitsze warianty, złał się potem, rozdarł sobie koszulę nocną, ale w końcu zgramolił się z drabiny, wyłączył maszynę i z poczuciem winy, wbiwszy wzrok w podłogę, bezradnie rozłożył ręce.

Legat stał zawiedziony i obiecał sobie poważnie porozmawiać o tym na spotkaniu Rady Wileńskiej, gdy tylko zostanie „oficjalnie” przywrócony do obowiązków. Następnie wyciągnął zatyczki z uszu i opuścił podziemne włości Alojzego.

Wpół do jedenastej kilka okien dworku w Markucjach się uchyliło – w środku robiło się duszno. Gdyby jakaś ciekawsza osoba przybyła w te strony, by obejrzeć posiadłość wskrzesicieli otoczoną przez wysokie ogrodzenie, z pewnością byłaby zawiedziona. Siedziba wileńskiej loży nie wyróżniała się niczym szczególnym – ot, niewielki drewniany dom z werandą, ozdobiony drzeworytami. Piękna sala zebrań wyłożona dywanami, staromodne ręcznie robione meble i ledwie wyczuwalny zapach kadzidła – w takim miejscu przyjmowano gości. Jeśli był nim ktoś ważny, rozmawiał z nim sam starszy Wileńskiej Loży Wskrzesicieli, a do przeciętniaka wysyłano któregoś z członków loży. Zjawiali się tu rodzice pragnący oddać w ręce wskrzesicieli swe dziecko, tu bracia odbierali zamówiony napój i płacili za niego. Stąd gość był odprowadzany do pokoju przepowiedni. Wskrzesiciele zadbali o to, by nie ujrzał więcej, niż wypada zobaczyć postronnemu. A wszystko inne okrywała

mgła tajemnicy, szczególnie gęsta w laboratorium dworku w Markuciach, do którego mogło wejść tylko kilkoro ludzi.

Starszy Wileńskiej Łoży Wskrzescieli wkroczył do laboratorium, szurając po podłodze szatą. Lubił ubierać się staromodnie, świadczyło to o wieloletnich tradycjach i potędze łoży. Teraz miał na sobie sięgający do ziemi czarny żupan ze wspaniałego płótna w kolorze goździków, którego szerokie rękawy i dół ozdabiały obwódki związane jedwabnymi sznurkami, pod spodem nosił pomarańczową jedwabną koszulę, talię obwiązał sobie pasem wyszywanym złotem. Jego oczy jak zwykle skrywały się za okrągłymi okularami.

Zatrzymawszy się na progu, zmierzył wzrokiem swoją tajną celę. Tutaj w dzień i noc paliły się lampy, gdyż laboratorium znajdowało się głęboko pod ziemią. Chronili go nie tylko wartujący strażnicy, ale i wściekłe mastify oraz ukryte drzwi, o których wiedziało zaledwie kilku członków łoży.

Tutaj starszy zwykle osiągał spokój. Ale nie dzisiaj. Od dawna czuł na szyi żelazny uścisk praskiej łoży, domyślał się, że o każdym jego kroku, o każdej decyzji, ktoś po kryjomu melduje Wielkiemu Mistrzowi. Dlatego gdy Franciszek Baltrus pokazał mu swoje najnowsze szkice, utrzymując, że jest w stanie stworzyć bionika, starszy zdecydował się zataić pozwolenie na jego budowę, by cała sława, pieniądze i wpływy przypadły wileńskiej łoży. Pomysł, by ukrywać Baltrusa w szpitalu psychiatrycznym dopóty, dopóki łoża nie przygotuje się na stworzenie bionika, wydawał się bardzo sprytny. Lecz wszystko diabli wzięli, gdy do bram dworku zapukał legat wileński. Do tego zaraz po jego wizycie okazało się, że zniknął i sam Franciszek Baltrus.

Lampy oświetlały główny mebel laboratorium – wielki stalowy stół, przytwierdzony do podłogi masywnymi śrubami. Na blacie leżał nieboszczyk, a dokładniej to, co z niego zostało po tym, jak popracowali nad nim dwaj mężczyźni pochylający się teraz nad zwłokami. Nosili pomarańczowe kitle z wyszytym na plecach feniksem i rękawiczki, mieli założone wielkie gogle chroniące oczy przed płynami, które jeszcze zostały w ciele.

Praca w laboratorium trwała nieustannie, nieboszczyków również nie brakowało, ciała dostarczali wskrzescielom po kryjomu nadzorcy cmentarzy z Wilna i kilku pobliskich miasteczek.

Starszy spojrział beznamiętnym wzrokiem na pracujących mężczyzn i zakasłał. Wskrzesciele drgnęli i unieśli głowy. Ujrzawszy przełożonego, jakby na rozkaz ściągnęli z twarzy maski ochronne i zsunęli gogle na czoło.

– *Salve* – mruknął starszy.

– *Salve*, mistrzu – powiedzieli jednym głosem i ukłonili się.

– Wykonujemy bardzo ciekawy eksperyment, może dla was byłby... – zaczął pierwszy.

– Później, bracie Urcie, później. – Starszy pokręcił głową. – Teraz są ważniejsze sprawy. Potrzebuję ratusa. Czy jest gotowy?

– Jak zawsze, mistrzu. – Mężczyzna ściągnął rękawiczki i rzucił je na metalowy stół, po czym udał się do słabiej oświetlonego końca laboratorium. – Tak myślałem, że będzie potrzebny – dodał.

– Czyżby? – Starszy uniósł brew.

Urt był jednym z niewielu wileńskich wskrzesicieli, któremu starszy całkowicie ufał i który znał jego tajne plany.

– Właśnie tak – odrzekł Urt. – Przecież na Oстрыm Końcu nam się nie udało. Szukamy igły w stogu siana. Ratus jako jedyny może tę igłę znaleźć, choć i on szansę ma niewielką.

Rozległo się zgrzytanie i stukotanie. Urt coś otwierał. Starszy wskrzesicieli zamyślił się.

– Dlaczego wątpisz, że mu się powiedzie? – zapytał bardzo cicho, ale Urt dobrze go słyszał.

Wszedł w światło, trzymając w rękach niewielką metalową klatkę.

– Ponieważ ratus może śledzić tylko kogoś, kto posiada eterowe piętno i kogo zobrazkował. Baltrusa nie znajdzie zapewne dlatego, że mamy jedynie piętno. Nie obrazkowaliśmy go, nie myśleliśmy, że będzie taka potrzeba – odrzekł Urt.

– A kto powiedział, że ratus ma szukać Baltrusa? – Starszy szczerze się zdziwił.

Klatka, w której czaił się szczur, drgnęła. Na pierwszy rzut oka nie dało się dostrzec, że nie jest prawdziwy. Drobną sierść można było pomylić z prawdziwym szorstkim szczurzym futrem, choć wykonano ją z metalu. Błyszczące pazurki, długi pyszczek i wyszczerzone zęby również wyglądały niezwykle realistycznie. Ale wystarczyło bliżej się przyjrzeć oczom szczura, by pojąć, że stworzenie jest sztuczne. Laboratoryjny twór szalonych wskrzesicieli. Mechaszczur.

Oczy stworzenia stanowiły dwie rurki wysuwające się niczym teleskopy, na ich końcach zamontowano szklane gałki, za którymi skrywały się obrazujące kamery obskury. Od nich przez szyję, grzbiet i łapy stworzenia biegły ukryte pod sierścią cieniutkie kabelki. Mechaniczne szczury – ratusy – zostały stworzone w Pradze i były trzymane w najściślejszej tajemnicy. Wiedzieli



o nich tylko sami ich twórcy – wskrzesiciele, i kilkoro najbardziej zaufanych ludzi. Konstruktorzy nie mieli zamiaru chwalić się swoimi osiągnięciami. Pragnęli wykorzystać je w walce z obecnymi pupilkami Aliansu – alchemikami i mechanikami.

Szczury były w miastach tak pospolitym widokiem, że ludzie nie zwracali na nie uwagi, dlatego mechaszczury stały się doskonałymi szpiegami. Wystarczyło im maluteńkie eterowe piętno śledzonego człowieka i jedno spojrzenie, by zobrazkować ściganego. Prześladowując ofiarę, ratus deptał jej po piętach, a obserwatorzy za pomocą elektrolabium mogli śledzić małego szczura; stworzenie stale obrazkowało ofiarę, więc wskrzesiciele dokładnie wiedzieli, co i kiedy się z nią dzieje. Wileńska loża dysponowała tylko jednym egzemplarzem.

– Kto powiedział, że ratus będzie śledzić Baltrusa? – powtórzył starszy, podszedł do klatki i z kieszeni płaszcza wyciągnął niewielką kolbkę. – Będzie śledzić człowieka szukającego Baltrusa. Pana, który niedawno przekroczył nasze progi i którego doskonale znamy.

Starszy podniósł kolbkę. Była na niej przyklejona karteczka z odręcznym napisem: „Antoni Srebro”.

Urt skinął porozumiewawczo, postawił klatkę na stole, po czym zaczął się krzątać przy maszynie Babbage’a i elektrolabium, bardzo podobnym do tego, jakie stało w tajnym pokoiku Nikodema Twardowskiego. Wsadził rękę do klatki, wyciągnął ratusa i zaczął podłączać jego kabelki do maszyny.

– Pośpiesz się – odburknął starszy i podał kolbkę. – Nasz człowiek w Słuszkach poinformował, że legat wciąż jeszcze tam jest. Źle by było stracić go z oczu. A i feniksy się niecierpliwią.

Wilno,  
dochodzi południe  
26.04.1905

– Ożeż ty kurrro litewska – zaklął porucznik Michał Wielholcki, przeczytawszy wiadomość, którą pędzący na łeb na szyję kurier właśnie wręczył jemu i grupce legionistów dyżurujących przy ratuszu.

Wielholcki ściągnął mundurowy beret, drugą ręką przetarł sobie pot z czoła i jak przystało na prawdziwego Polaka, soczyście zaklął – aż powietrze zadrżało. Trudno stwierdzić, czym były spowodowane te wściekłe okrzyki: złym losem, oszalałymi wileńskimi mieszczanami czy szefem w gorącej wodzie kąpanym, którego odsunięto od obowiązków i który cholera wie gdzie się teraz włóczył, zamiast stać przed legionistami pilnującymi ratusza, by to jemu, a nie Michałowi, dostarczono tę wiadomość.

Porucznik jeszcze raz rzucił okiem na kartkę. Wcześniejsza informacja o odwołanych strajkach, uspokojonych paromiejskich robotnikach i pojmany podlegaczach podobała mu się dużo bardziej niż ta. Niepewnie spojrzął na legionistów, którzy potrójnym pierścieniem otoczyli ratusz, po czym odkaszlnął i splunął.

Michał Wielholcki był legendą wśród legionistów, służył w najniebezpieczniejszych miejscach świata. Trzęsąc się w dreszczach malarii, znalazł się wśród pierwszych, którzy szturmowali stolicę Madagaskaru Antananarywę. Razem z Drugim Zagranicznym Korpusem, po kolana brodząc we krwi, podczas wojen z ludem Mandinka niszczył imperium Wassoulou. Do tej pory nocami prześladowały go koszmary, w których pojawiały się wspomnienia z drugiej wojny burskiej, gdy uciekał razem z armią generała Cronje podczas nacisku elitarnych sił imperium brytyjskiego. Teraz Michał bez zawahania zgodziłby się wrócić do któregośkolwiek z tych miejsc. Ponieważ tam wszystko było jasne jak słońce, a tutaj...

Trzeci raz przeczytał wiadomość, ale nie znalazł w niej niczego pocieszającego. Zgniółszy kartkę, rzucił ją na ziemię i odwróciwszy się do swoich ludzi, zaryczał:

– Legioniści! Przygotować się na starcie!

Strażnicy ratusza rozstawili szeroko nogi, ręce odziane w skórzane rękawice zacisnęły się na ciężkich kijach. Pistolety, póki co, zostały w kaburach.

Michał Wielholcki podniósł zaciśniętą dłoń. Na dachach okolicznych domów ustawili się snajperzy i puszkarze obsługujący przenośne działa (dumą paromiejskiego arsenału), strzelające wodą i gorącą parą. Unieśli pięści na znak, że są gotowi do bitwy. Porucznik opuścił przyłbicę i wyczekiwał na starcie, którego jak sam przyznał, bał się najbardziej w życiu.

Wilnianie poczuli unoszące się nad placem Ratuszowym napięcie i wzięli nogi za pas. Przemknawszy do najbliższego zaułka, wystawiali głowy zza rogu i z bezpiecznej odległości obserwowali, co wydarzy się za chwilę, by mogli się potem pochwalić znajomym, że widzieli starcie na własne oczy i uszli z życiem.

– I zszedł bazyliszek do podziemi szukać jeszcze jednej ofiary, straszny był jego wzrok, każdy, na kogo spojrzał, zamieniał się w kamień. Wrzucali mu do podziemi ruty[24] i mieczem lśniącem próbowali go zwyciężyć, ale wszystko szło na marne. Wojownicy patrzyli mu w oczy i natychmiast obracali się w kamień – opowiadał stary Efraim, siedząc przy kościele Świętych Janów. Słuchacze, którzy go otoczyli w czterech kręgach, tak bardzo wczuli się w historię, że wzdrygali się za każdym razem, gdy kolejny nieszczęśnik zamieniał się w kamień. – Lecz znalazł się jeden młodzieniec, który do podziemi nie wziął ani miecza, ani halabardy, a jedynie lusterko. I ruszył młodzieniec na spotkanie z morderczym bazyliszkiem...

– I co dalej, co było dalej? – pospieszało go kilka niecierpliwych głosów.

Efraim odkaslnął, wziął wdech przed następną częścią opowieści, lecz nie zdążył wydusić ni słowa więcej.

Pilot sterowca zwiadowczego „Szwarno” sprawdził kurs i mały podniebny statek zawisł nad Wilnem w miejscu, z którego najlepiej było widać napływające rzeki ludzi. Jedna z nich poruszała się prospektem Świętego Jerzego na Łukiszki, by obejrzeć wystawę, zaś dookoła Zielonego Mostu szalał nieokiełznany wir. Tutaj wszystkie trybuny były już zajęte, na brzeg nie wcisnąłby się nawet komar. Kilku młodzieńców wypłynęło łódką na środek Wilii, ale parowiec patrolujący szybko ich dogonił i przegnał na brzeg.

Oczy patrolujących ze „Szwarna” legionistów z zainteresowaniem podążały za rzeką ludzi płynącą ulicą Zamkową w stronę ratusza. W tym tłumie nikt się

nie przepychał i nie tłoczył, nie deptał sobie wzajemnie nóg. Nadchodzący z naprzeciwka przechodnie szybko przywierali do ścian domów lub nurkowali w pobliskie uliczki i z ciekawością obserwowali maszerującą kolumnę. A popatrzeć było na co.

W marszu brały udział wyłącznie kobiety. Stare i młode. Niosły dzieci na rękach lub prowadziły je obok siebie. Wileńskie córki, żony i matki wyszły na ulice żądać tego, co do nich należy, i nie miały zamiaru ustąpić. Płonące oczy i niespokojne spojrzenia. Twarze zmęczone po bezsennej nocy, mocno zaciśnięte usta. Niebezpiecznie rozgrzana beczka prochu.

Kobiety idące na przodzie tłumu trzymały wieki plakat z napisem „Pracy, chleba, sprawiedliwości”, gdzieś tam kołysały się transparenty z żądaniami większych wynagrodzeń, świadczeń i miejsc pracy. Wiatr trzepotał białymi flagami ze świętym Krzysztofem niosącym przez rzekę Dzieciątka Jezus. Dziesiątki niemowląt, które matki trzymały w objęciach, wyglądały, jakby wyszły ze świętego obrazka. Starsze dzieci z dumą unosiły głowy i trzymały tańczące wesoło w powietrzu czerwone balony.

Gdy tłum kobiet dotarł do wieży kościoła Świętych Janów, duża część dzieci, które słuchały opowiadania o bazyliisku i młodzieńcu z lusterkiem, oderwała wzrok od gawędziarza i niechętnie przyłączyła się do nawołujących ich matek. Efraim tylko wzruszył ramionami i zastanowiwszy się chwilę, z czystej ciekawości podążył za tłumem. Kobiety maszerowały w górę prosto na plac Ratuszowy.

Pilot „Szwarna” wykrzyknął przez ramię krótkie polecenie do łącznika, a ten zaczął stukać w klawisze bezprzewodnika. Nie minęła minuta, a przy Michale Wielholskim znów stał kurier z wiadomością. Jednak porucznik nie potrzebował już raportu, sam widział, co się dzieje. Machnął tylko ręką i ciężko westchnął.

Misza Susłow siedział przy oknie w Baltasis Štralis i nie zwracając uwagi na wiercących się w końcu kawiarni legionistów, popijał mocną indyjską herbatę. Począł, aż za oknem przejdzie ostatnia uczestniczka pochodu o zmęczonej twarzy, po czym z zadowoleniem wstał, rzucił dziesięć kopiejek na blat stołu i wyszedł na ulicę. Trzymając się w bezpiecznej odległości, podążył za pochodem.

– Czego nie mogą pieniądze, zrobią bardzo duże pieniądze – zamruczał pod nosem i uśmiechnął się.

Jadwiga działała bardzo sprawnie, lepiej się tego wymyślić nie dało.

Kobiety zostały zwiezione z całego Wilna i okolic, przyłączyły się i dzieci, a na dodatek w tłumie bez problemu skryło się kilku wyborowych ludzi Susłowa, doświadczonych uczestników rozruchów, dla których przewidziano zadanie specjalne, gdy tylko tłum znajdzie się na placu Ratuszowym. Teraz gorliwie skandowali i trzymali za ręce małe włóczęgi, umyte i przywiezione z Bied, Popławów i Nowego Świata.

Susłow cmoknął radośnie. Położenie, w jakim się znalazł Legion Wileński chroniący ratusz, naprawdę było nie do pozazdroszczenia. Niech usadzą na dachach choćby i całą artylerię – co z tego? Jeśli legionieści użyją podczas Szczytu siły wobec kobiet, nad Wilnem zawiśnie tak czarna chmura, że zaciemni całe alianckie niebo. A jeśli wpuszczą protestujące kobiety do ratusza i uda im się wręczyć petycję delegacjom, wówczas do środka przedostaną się buntownicy Susłowa. Wtedy już bez rozlewu krwi nijak się nie obejdzie, ale to akurat obróci się na korzyść Wilna. Legion znalazł się więc w sytuacji bez wyjścia. Tym bardziej że jedyny człowiek, który mógłby jakieś wyjście znaleźć – Antoni Srebro – został wykluczony z gry.

Pierwsze kobiety dotarły do placu Ratuszowego i zatrzymały się. Dookoła nich zaczęły się gromadzić następne uczestniczki pochodu z plakatami i flagami. Do każdego okna wychodzącego na plac przykleiły się ciekawskie nosy, we wszystkich zaułkach i bramach ściskali się gapie, w każdej chwili gotowi do ucieczki, ale i zdeterminowani, by nie stracić ani jednego ciekawego momentu. Obok napinających ramiona legionistów ustawili się nieustraszeni obrazkowacze z gazet i zagranicznych agencji. Fotograf „Wileńskiej Prawdy” z niezadowoleniem spoglądał na konkurenta z „Wileńskich Wieści” i kręcąc się, niby przypadkiem, trącił go łokciem w bok.

Michał Wielholski zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie coś przyjemnego – choćby biegnących na niego i wymachujących zatrutymi toporkami dzikusów Wassoulou.

W ratuszu rosyjski minister spraw zagranicznych Władimir Lamsdorf pstryknął wieczkiem zegarka kieszonkowego, zerknął na cyferblat i przeciągnąwszy się, wstał, by rozprostować kości. Niby niechcący odchylił zasłonę, gdyż okna w ratuszu były zasłonięte, by chronić dostojników przed upalnym wileńskim słońcem.

– Cóż się tam dzieje, moi drodzy? – jęknął teatralnie, spojrzawszy przez okno na plac Ratuszowy pełen kobiet.

Na niebie nad ratuszem zawisł „Szwarno”, a jego łącznik jak szalony

przekazywał wiadomości innym miejskim patrolom.

Niespodziewanie na placu zrobiło się cicho. Zamilkły nawet kwilące na rękach matek niemowlęta. Tłum kobiet na przedzie zafalował, ale nie zbliżył się do ratusza ani o krok. To jedna, to druga kobieta ze strachem spoglądała na działa na dachach i ustawionych na placu legionistów.

Kryjąca się w tłumie Jadwiga zagryzła wargę aż do krwi – wszystko ustalone, wszystko poszło wedle planu, pozostał tylko ostatni krok. Czyżby te proletariackie kury miały się wystraszyć?

Na plac niczym cień wślizgnął się Susłow. On również zamarł w wyczekiwaniu, serce waliło mu jak młot.

– No, śmiało – szepnęła Jadwiga i pchnęła kilka stojących na przedzie kobiet. – Śmiało, dziewczyny. Chwyćcie dzieci i do przodu. Oni nam nic nie zrobią.

Może pchnięcie, a może słowo „nam” zbudziło protestantki z letargu.

– Pracy, chleba, sprawiedliwości! – Głosy z początku były ciche, ale zaczęły stopniowo rozbrzmiewać głośniejsze.

Kolumna znów poruszyła się do przodu. Prowadziły ją trzy prostacko ubrane kobiety tulące do piersi niemowlaki. Nie były to robotnice ani nawet wilnianki, a na rękach trzymały nie swoje dzieci, ale o tym wiedziały tylko one same i Jadwiga. Prawdziwych wilnianek pod żadnym pozorem nie postawiłaby na przedzie.

– Pracy, chleba, sprawiedliwości! – skandował tłum.

Gdy do łańcucha legionistów zostało kilkadziesiąt kroków, trzy przywódczynie, podniósłszy ręce, zatrzymały tłum i same zrobiły krok do przodu.

– W imieniu wszystkich wileńskich kobiet i matek – dźwięcznym głosem przemówiła jedna z nich – żądamy, abyście wpuścili nas do ratusza, do uczestników Szczytu! Chcemy ich poinformować o wielkich niesprawiedliwościach, jakie dzieją się w Wilnie, o ludziach cierpiących biedę, bezrobotnych i głodujących. O panach, którzy bogacą się naszym kosztem i których nie obchodzi, że nasze dzieci płaczą wieczorami. O bogaczach, którzy kupują sobie karety i automatomy, a naszych mężów wyrzucają na bruk. Chcemy spojrzeć im w oczy i powiedzieć prawdę. Tylko tyle. Przepuście nas do ratusza!

To była dobra przemowa. Powtarzana wcześniej, wypróbowana i wygłoszona przez profesjonalistkę. W tłumie rozległy się przytakujące okrzyki, zatrzepotały flagi, poruszyły się plakaty, w niebo wystrzeliło kilka

wypuszczonych przez dzieci balonów. Do gry włączyli się nawet niektórzy postronni uczestnicy zajścia.

Porucznik Wielholksi dotąd nie odezwał się słowem, wiedział już, że przegrał. Teraz podniósł do ust mechaniczną syrenę.

– Obywatele Wilna! – rozbrzmiał wzmocniony metaliczny głos dowódcy legionistów. – Rada miejska nie dała zezwolenia na mityng na placu Ratuszowym. Łamiecie zasady organizowania zgromadzeń na ulicach miasta ustalone przez radnego porządku. Do ratusza wejść wam nie zezwolę. Proszę się rozejść i w pokoju cieszyć się świętem.

– Czym tu się cieszyć, ścierwo, gdy dzieci są bose?! – zawył ktoś z tłumu.

Jadwiga przytaknęła z zadowoleniem. Kobiety na szczęście odzyskały odwagę. Z samymi agitatorkami daleko się nie zajedzie.

– Drogie panie, proszę się rozejść, w przeciwnym razie Legion Wileński użyje siły – ciągnął zmartwiony porucznik. – Nie chcemy...

– Wstyd! Wstyd! Wstyd! – zawołał tłum.

Kamień rzucony przez niewidzialną rękę uderzył w tarczę legionisty i upadł na ziemię. Po nim pojawił się jeszcze jeden, a potem kolejne.

– Naprzód! – szepnęła Jadwiga do jednej z kobiet stojących na czele.

„Naprzód!”, zachęcił w myślach Susłow.

– Naprzód, matki! Oni muszą nas wysłuchać! – krzyknęła dźwięcznym głosem mówczyni. – Do ratusza!

– Do ratusza! – podłapał w odpowiedzi chór i tłum powoli, acz nieubłaganie jak powódź zaczął się rozlewać po placu w stronę siedziby władz miasta.

Michał Wielholksi podniósł pięść z wciągniętą na nią czarną rękawiczką. Legioniści spięli się, puszkarze na dachach drgnęli. Tłum zatrzymał się, ale tylko na chwilę.

– Naprzód! – szepnęła Jadwiga. – Naprzód, a żeby was!

Kobiety prowadzące dzieci znów się poruszyły. Do ustawionych legionistów zostało pięć kroków.

Susłow wzrokiem znalazł swojaków, którzy mieli rozkaz wdrzeć się do ratusza, gdy tylko stalowa zapora legionistów się rozstąpi.

Pięść porucznika zamarała w powietrzu, zadrzała i...

Dużo później, siedząc w ulubionej karczmie legionistów, Michał Wielholksi będzie opowiadał towarzyszom broni, że nawet w tej ostatniej sekundzie jeszcze nie wiedział, jak postąpić. Odmówił tylko krótką modlitwę, powołując się na Bożą opatrzność. W pewnym sensie to pomogło.

Pięść zastygła w powietrzu, zadrzała i...

Zabrzmiały trąbki. Ich czysty dźwięk niczym strzała przeciął plac Ratuszowy. Kobiety zatrzymały się ze zdziwieniem. Pięść Michała została w górze. Wszyscy odwrócili głowy w stronę, skąd rozlegał się dźwięk. Pilot „Szwarna” tak nagle przeskoczył na drugą stronę sterowca, że z trudem utrzymał się na nogach, gdy zachwiała się gondola. Susłow rozdziawił usta.

W stronę ratusza od kościoła Świętego Kazimierza poruszał się niewielki, uporządkowany pochód mężczyzn. Nie zważając na upał, przywdziali długie czarne płaszcze, ich zgolone na łyso głowy błyszcząły od potu, na szyjach wisiały ciężkie białe metalowe krzyże, które w razie potrzeby służyły za broń. Mężczyźni z kamiennymi twarzami maszerowali po wojskowemu, uderzając nogami.

Rycerze Katedry.

Pierwszy na plac wkroczył prałat Masalski. Maszerujący za jego plecami dwaj trębacze znów przycisnęli instrumenty do ust, a wszyscy pozostali rycerze niczym krucze skrzydło wachlarzem rozłożyli się przywódcy za plecami. Znalazłszy się przy samych schodach ratusza, prałat Masalski zmarszczył brwi, powoli obracając głowę, zmierzył tłum wzrokiem. Następnie zwinnie przemieścił się na środek placu i machnąwszy połamami czarnego płaszcza, odwrócił się do przywódczyni marszu kobiet.

Nagle jego ręka podniosła się do góry i wszystkim się zdawało, że wypłynął z niej płomień. Stojące na przedzie kobiety krzyknęły i cofnęły się, dzieci pisnęły złężnione. I tylko stojący najbliżej gapie dostrzegli, że w ręku prałata świeci nie ogień, a zawiązany na ręce różaniec z krucyfiksem i wielkim klejnotem iskrzącym się w słońcu.

– Idźcie! – zagrzmiał prałat. – Wdzierajcie się do ratusza, mówię do tych, które nie ufają Bogu. Wdzierajcie się, które lepiej od Pana naszego wiecie, co jest wam przeznaczone. Idźcie jak banda, deptając wszystko dookoła. – Zamilkł i znów zmierzył tłum wzrokiem. – Czy zapomnieliście, co jest powiedziane w Ewangelii wg św. Mateusza? „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”[25]. „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię”[26]. Dlatego nie zadręczajcie się i nie pytajcie: co będziemy jeść, co będziemy pić, w co się ubierzemy? Za wszystkimi takimi sprawami uganiają się poganie. Wasz Ojciec Niebieski wie, że potrzebujecie tego wszystkiego! – Głos prałata stawał się coraz mocniejszy. Wziął wdech i wskazał palcem na dzieci. – Po co je tutaj przywiodłyście? Dlaczego nie przyszyście same? Bóg osądzi winnych, a wtedy będziecie



zgrzytać zębami! Wasze miejsce jest w kościołach. W oczach Boga prawi nie są ci, co łamią zakazy i podlegają do buntu, a ci, co prawo szanują. Tak więc idźcie z Bogiem. Upał i faryzeusze pomieszali wam rozumy, dlatego idźcie do kościoła Świętego Kazimierza, opłuczcie spragnione gardła czystą wodą, a niepewne dusze ocućcie szczerą modlitwą. – Prałat zamilkł, ponownie podniósł rękę, a dookoła niej znów rozblęły promienie światła.

Tłum przez chwilę stał w ciszy jak skamieniały. Następnie zafalował i zaczął się przeredzać. Kobiety wzięły dzieci za ręce i popychając jedna drugą, usunęły się z placu. Niektóre, tak jak było rozkazane, posłusznie skierowały się do kościoła Świętego Kazimierza. Wkrótce teren wokół ratusza opustoszał, tylko zza rogów budynków wciąż jeszcze wystawały twarze gapiów wykrzywione z wrażenia. Ale i one niedługo potem zniknęły. Darmowy spektakl się skończył.

Prałat odwrócił się na pięcie i prawie czołowo zderzył się z Michałem Wielholskim, który dopiero teraz się ocknął i opuścił pięść.

– Dziękuję za pomoc, panie radny – wymruczał niepewnie porucznik.

Prałat Masalski zmarszczył brwi.

– Nie dla was się staram, służę Wilnu – wycedził i skierował się w stronę kościoła Świętego Kazimierza. Za nim pomaszrowali i inni Rycerze Katedry.

– Noż ty kurwo litewska. – Michał Wielholski odetchnął.

Misza Susłow stał w bramie i trzymał się za serce. Zaklął soczyście. Już dawno nie doświadczył dwóch tak bolesnych ciosów z rządu. Wstrzymania zamieszek na Paromieściu można się było spodziewać, ale przewidzieć tak tragiczny koniec marszu matek – to już okazało się ponad jego siły. Posypał się wspaniały plan. Gdyby nie ci przekłęci rycerze... Wściekły Susłow odwrócił się i pięścią uderzył w murowaną ścianę.

– Trudno, odbiorę to sobie podczas wieczornego pogromu – wycedził przez zęby. – Tylko co powiem Emilii? I gdzie ją teraz znajdę?

Zbliżało się południe. Młoda kobieta zdjęła kitel i odwiesiła go do szafy. Przyciągnęła do siebie krzesło, położyła na nim torebkę, a sama usiadła na innym stołku. Z wdziękiem ujęła zaproponowaną jej filiżankę kawy, a napiwszy się trochę, starała się nie zmarszczyć. Kawa smakowała okropnie.

Siedzący po drugiej stronie stołu starszy lekarz poruszył się z niepokojem.

– Jak wrażenia... eee... szanowna pani rewizor? – spytał zmartwiony.

Wizyta rewizora u kierownika szpitala była całkiem niespodziewana. Zazwyczaj informowano o nich wcześniej i starszy lekarz miał czas, by się

należycie przygotować. Jednak dziś przez drzwi weszła nieznajoma kontroler z torebką na ramieniu, pomachała lekarzowi przed nosem przypieczętowanymi papierami i od razu zabrała się do pracy. Kierownik ledwo zdążył polecieć do sejfu i wziąć pieniądze przeznaczone na takie wypadki.

Oględziny okazały się dziwnie krótkie. Rewizor szybko obesza kilka sal, rzuciła okiem na kuchnię i stołówkę, pobieżnie obliczyła zapasy składziku z lekarstwami, cały czas krzywo patrząc w swoje papiery, i poinformowała:

– To już wszystko.

„Pieniędzy chce, suka”, rozgniewał się w myślach starszy lekarz, ale poczuł ulgę.

W szpitalu znajdowały się takie miejsca i rzeczy... że gdyby kontrolerzy je znaleźli, nie uchroniłaby go przed ciupą nawet cała zawartość sejfu.

– Hm... nieźle – rzekła kobieta, stawiając filiżankę na stole. – Tak, nieźle. Trzeba by się uważniej w to zagłębić, przewertować papiery, ale nie będę was dłużej męczyć.

– Oczywiście, oczywiście, szanowna pani. – Kierownik szpitala zrozumiał gościa w pół słowa. Słodko się uśmiechając, ukłonił się, wyrobionym ruchem przekręcił sterzący kluczyk i po cichu otworzył spodnią szufladę. Wyciągnął z niej drewniane pudełko z namalowanymi na nim czerwonymi różami i położył je na stole. – Czas jest dla wszystkich bardzo drogi. – Mówiąc „drogi”, pchnął pudełeczko w stronę kobiety. – Ale na chwilkę przeproszę, mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

Wstał i wciąż się uśmiechając, wymknął się z gabinetu. Gdy zamknął drzwi, Emilia przyciągnęła do siebie pudełko, otworzyła je i spojrzała na stosik starannie poukładanych banknotów.

– Takich typków nic już nie zmieni – mruknęła, ale pieniądze schowała do torebki, po czym wyciągnęła z niej podłużny futerał. W świetle dnia blado błysnęła ostatnia z czterech kul z czarnej gliny i zaiskrzyła się fioletowa galaretka. Emilia obesza stół i ostrożnie wsadziła kulę do spodniej szuflady. Następnie zamknęła ją na kluczyk i wrzuciła go sobie do torebki tuż obok pustego futerału.

Po chwili w futrynie pojawiła się głowa starszego lekarza.

– Przepraszam, że tak długo. Czy wszystko w porządku?

– O tak, jak najbardziej – zapewniła kobieta i kokieteryjnie skinęła głową. – Dziękuję waćpanu. Nie będę dłużej przeszkadzać. – Poprawiła sobie spódnice i chwyciła torebkę. – Sama znajdę drzwi, nie odprowadzajcie mnie – rzuciła, wychodząc na korytarz, i obdarowała kierownika szpitala czarującym

uśmiechem, który jednak nie wróżył niczego dobrego, choć lekarz nie zauważył w nim nic podejrzanego. Od razu po jej wyjściu rzucił się do drewnianego pudełka.

– A to suka – zamruczał, zobaczywszy, że jest zupełnie puste. – Przyzwyczyły się ropuchy.

Spojrzał przez okno, po czym usiadł przy stole i zaczął wertować jakieś papiery. Po kilku minutach dziwna pani rewizor wyparowała z jego myśli.

Emilia wyszła ze szpitala, przycisnęła do nosa wypachnioną jedwabną chustkę, wsiadła do karety i z błogością westchnęła. Szpital był ostatnim miejscem, które rewidowała. Przedtem odwiedziła jeszcze skład amunicji, fabrykę szyn i dość dużą kamienicę. Wszędzie zostawiła po małym prezenciku – kuli z ciemnej gliny ze szklaną rurką, w której falowała fioletowa galaretką. Teraz pozostało jedynie znaleźć miejsce mniej więcej po środku, między wszystkimi czterema obiektami, i doczekać decydującej godziny.

Emilia uśmiechnęła się złowieszczo. Jej ognisty spektakl zrobi dużo większe wrażenie niż ten, który obiecują wileńscy alchemicy.

– Jedziemy – rozkazała woźnicy, zaufanemu i cichemu jak ryba agentowi.

W wileńskim ratuszu podniecenie na krótko opadło. Członkowie Szczytu rozeszli się na przerwę obiadową. Wsiedli do dyliżansów pilnie strzeżonych przez legionistów i potoczyli się w stronę Zielonego Mostu, by obejrzeć lot brawurowego lotnika Adama Gaber-Wołyńskiego. Tylko baron Natan Rothschild postanowił odwiedzić inne miejsce. Obok kościoła Świętego Kazimierza zanurkował w lewo, w płataninę małych uliczek biegnących pod górę i w końcu opierających się o Wilenkę i Niechrzty – na Czernie. Tutaj miał do wykonania szlachetną misję: przeciął wstęgę, otwierając jeszcze jedną jesziwę postawioną za pieniądze Rothschildów.

– Mazeł tow! – wykrzyknęli zebrani tam Żydzi.

Baron poczuł, że poluzowała mu się podeszwa, i poprosił, by zaprowadzić go do dobrego szewca. Efraim wrócił już z placu Ratuszowego i z przyjemnością obsłużył wielkiego pana, który z ciekawością zagadywał biedaka.

Wilno,  
przed jedenastą rano  
26.04.1905

Kurierzy nie cieszyli się w wolnym Wilnie dobrą opinią. Byli leniwi, niegodni zaufania, lubili uczestniczyć w ulicznych kłótniach, wiercili się w kolejkach po lane piwo. Radny kierunku Szczerbakow nie raz błagał Jana Basanowicza i Piotra Wilejszysa, by stworzyli pocztowe automatony, które by nie piły, nie wszczynały awantur i nie gubiły poczty, ale prace utkwily w martwym punkcie i póki co miasto musiało się zadowalać usługami żywych kurierów. Podczas wielkich świąt, takich jak Szczyt, starano się niczego nigdzie nie wysyłać, gdyż listy najczęściej znikaly. Niekiedy razem z kurierem.

Jednak pocztowiec przedzierający się właśnie przez tłum był inny. Nie zatrzymywał się z byle powodu, nie gapił się na akrobatów, szerokim łukiem obszedł kopułę z wystawą na placu Łukiskim. Spotkany tego ranka w karczmie na Czerniach nieznajomy młody pan zapłacił mu tak dobrze, że kurier od razu wyrzekł się wszystkich pokus. Śpieszył się nie tylko z powodu brzęczących rubli. Spojrzenie młodego pana podpowiadało, że jeśli nie dostarczy pisma o dokładnie wskazanym czasie, spotkają go dotkliwe konsekwencje.

Kurier ukłonił się ochotnikom pilnującym mostu Zwierzynieckiego, a gdy znalazł się po drugiej stronie Wilii, zaczął się rozglądać za wskazaną ulicą i domem. Nakaz był jasny: przekazać panience do rąk własnych. Na odpowiedź nie czekać.

Furtkę otworzyła Marta. Zobaczywszy kuriera, już zamierzała wziąć list i czym prędzej pozbyć się nieproszonego gościa, jednak przybysz uparł się i nawet podniósł głos, żądając wezwania panienki. W obawie, że krzyki zbudzą wciąż śpiącego gospodarza, Marta poddała się i podreptała na górę, by obudzić Miłę. Kurier poszedł za nią.

Po kilku minutach zadowolony kroczył własną drogą, przegryzając gorący jeszcze placek, który zdążył zwinąć z kuchni.

Miła cesała sobie włosy i zamyślona po raz trzeci czytała krótki liścik.

„Wczorajszy wieczór był wspaniały. Pragnę cię zobaczyć. O dwunastej bądź na Górze Bouffałowej[27]. To bardzo ważne. Błagam. Od serca,

Charles”.

Dziewczyna zagryzła wargę, jakby znów chciała poczuć wczorajszy słodki pocałunek. Spojrzała na zegar. Do dwunastej nie zostało jej wiele czasu. Stała przed szafą. W co się ubrać na taką tajną randkę? Wciągnęła przylegającą piaskową spódnicę z kieszeniami, bluzkę w tym samym kolorze i wiśniową marynarkę.

Na podwórzu znów zrobiło się głośno – uderzający młotkiem kowal powiadomił o nadejściu kolejnego gościa.

„Czyżby przyjechał sam?“, zdziwiła się dziewczyna, włożyła liścik do kieszeni i wybiegła z pokoju. Jednak w przedpokoju zastała nie Charlesa Finleya, a Edwarda O’Braitisa. Był ubrany w mundur adiunkta, do pasa miał przyczepiony pistolet z długą lufą, w ręku ścisnął kapelusz z czerwoną kokardą.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam z samego rana – rzekł zmieszany. – Ale Charles nie stawił się na służbie, w hotelu również go nie ma, więc pomyślałem, że może...

– Czy przypadkiem, paniczu, nie pomyśleliście, że tu nocował? – wtrąciła Marta. – Jak wam nie wstyd? Jak wam nie wstyd przyjeżdżać i pytać o takie potworności? Dobrze, że gospodarz jeszcze śpi, w przeciwnym razie...

– Marto, to nic takiego. – Miła uspokoiła kobietę i odwróciła się do chłopaka. – Charles u nas nie nocował, przywiózł mnie karetą przed dwunastą i... – Miła się zaczerwieniła. – Rozstaliśmy się. Ale jeśli nie macie nic przeciwko, chciałabym zamienić z tobą parę słów. Chodźmy do ogrodu.

Marta odchrząknęła zniesmaczona, ale nic nie powiedziała.

Edward i Miła usiedli w altance koło stawu.

– Co się mogło stać, Edwardzie? – spytała zaniepokojona dziewczyna. – Nic nie rozumiem. Dopiero dostałam list od Charlesa.

O’Braitis uniósł brwi.

– List? Może... może pozwolisz, że na niego zerknę?

Miła wyciągnęła z kieszeni kawałek papieru i podała go mężczyźnie. Edward rzucił okiem na tekst i natychmiast zwrócił list dziewczynie.

– Dziwne – mruknął. – Charles doskonale wie, że kapitan ukręci mu łeb, jeśli się do południa nie stawi na „Gwieździe”. Gdzie on spędził tę noc? Wyznaczył wam spotkanie na Górze Bouffałowej... Skąd on w ogóle wie o tej górze?

– Jest tylko jeden sposób, by to wyjaśnić. – Miła złapała Edwarda za rękaw. – Bądź tak miły, zaprowadź dziewczynę na spotkanie. Wspólnie

rozwiązemy tę zagadkę.

W chwilę potem siedzieli w karecie i jechali w stronę Góry Bouffałowej.

Twardowski ubrany w ciemnoniebieski jedwabny szlafrok w białe groszki wyszedł z sypialni i już schodził do laboratorium, gdy nagle sobie przypomniał, że nie wypytał Miły o wczorajszy wieczór. Spojrzał na ścienny zegar i zaczął się wspinać na pierwsze piętro. Było już po jedenastej. Jego przyjaciel Basanowicz zaproponował, by rozejrzeć się po mieście, ale Twardowski stanowczo odmówił udziału w jakichkolwiek świątecznych wydarzeniach Szczytu – zamierzał spokojnie popracować w swojej podziemnej świątyni.

Nikodem wdrapał się na górę i już wyciągał rękę, by zapukać do drzwi sypialni Miły, gdy zauważył, że są uchylone. Ostrożnie zajrzał do środka. Łóżko było puste, wszystkie trzy zabawki dziewczyny stały na półce.

– Cóż to? – zapytał sam siebie zdziwiony.

Perfokarty wypłute przez elektrolabium wykazały, że Miła wczoraj, tak jak obiecywała, przed północą wróciła do domu. Poza tym jeśli dziewczyna dokądś się wybierała, prawie zawsze zabierała ze sobą przynajmniej jednego ze swoich ulubieńców. Z całą pewnością nie zostawiłaby ich dwa dni z rzędu.

– Marto! – krzyknął Twardowski, wybiegłszy na korytarz. – Gdzie się podziewa Miła?

Nagle w pokoju dziewczyny coś stuknęło. Uczony odwrócił się gwałtownie i zobaczył leżącego pod półką Pierrota. Kolombina i Skaramusz wpatrywali się w przyjaciela pytającym wzrokiem.

– Marto! – krzyknął do gospodyni, podszedł do Pierrota, podniósł go i odstawił na półkę. – Czy słyszysz, o co pytam?

Jednak nikt nie odpowiedział. Twardowski wzruszył ramionami i ruszył do wyjścia, gdy Pierrot znów runął na ziemię. Nikodem stanął jak wryty. Nie był zwykłym inteligentem ani pospolitym uczonym, a genialnym naukowcem mającym doskonałą intuicję i umiejącym zwracać uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Podniósł Pierrota z ziemi i uważnie zmierzył go wzrokiem. Zabawka nie była rozgrzana, miała bardzo mało energii, ostatkiem sił zamrugła oczami i zastygła.

– Chcesz mi coś powiedzieć, malutki? – Twardowski pokręcił głową. – Ale ogrzać cię może tylko Miła. Chociaż... – Podrapał się po głowie. – O ile wiadomość jest zachowana w twojej pamięci, może jeśli podłączę cię... choćby na krótko... – Wsadził Pierrota pod pachę i ruszył do laboratorium.

– Miła niedawno wyjechała. Nie powiedziała dokąd – krzyknęła Marta, gdy

szedł przez kuchnię, ale Twardowski nawet się nie zatrzymał. Teraz obchodziło go zupełnie co innego.

W laboratorium podłączył automata do maszyny Babbage'a, tak jak robił z Sobiepanem i Arkusikiem, i skierował na niego część zgromadzonej energii słonecznej. Zabawka odżyła. Oczywiście, nie było to ciepło Miły, ale wystarczyło, by się dowiedzieć, jaka informacja kryje się w pamięci Pierrota.

Automat zaczął szybko mrugać, jego wielkie oczy rozejrzały się wkoło, jakby starał się pojąć, gdzie się znalazł. Jego buzia się rozwarła, ale nie wydobył się z niej żaden dźwięk.

– Miła mnie zabije – mruknął Nikodem, zwiększając napięcie. – To naprawdę ryzykowne.

Jeśli przesadzi, z automata zostanie jedynie kupka sprężynek i metalowych części. Jednak uczony czuł, że Pierrot chce powiedzieć coś bardzo ważnego. I nie pomylił się.

Zabawka zadrżała. Nikodem mógłby przysiąc, że dojrzał w jej oczach strach.

– To on! On! – zapiszczała lalka cieniutkim głosikiem. – On! Niebezpieczeństwo! Ratujcie! Mamusiu!

– Co za on? Kto taki? – zaniepokoił się Twardowski, czuł, jak po ciele przechodzą mu ciarki.

– On! Niebezpieczeństwo! Strzeżcie! Przyszedł do nas! To nie człowiek!

– Pierrocie, sprawdziliśmy go za pomocą serum prawdy. Wszystko w porządku. Edward nie życzy Miłe niczego złego. – Nikodem zaczął uspokajać histeryzującą lalkę.

– Nie ten! Nie ten! – zaskomlał Pierrot. – Nie człowiek! Ten drugi! Niebezpieczeństwo! Mamusiu! Ratujcie! – wykrzyczał i zwiotczał. Jego buzia pozostała rozdziawiona, ale oczy się zamknęły.

Twardowski sprawnie odłączył kable i zostawiwszy zabawkę w laboratorium, wybiegł na zewnątrz.

– Jak mogłem być tak głupi? – warknął pod nosem. – Sprawdziliśmy Edwarda, a o tym drugim zapomnieliśmy. Jacy z nas głupcy! Tak, Litwin wydawał się podejrzany, ale powinniśmy się połapać, że to tylko mydlenie oczu! Najbardziej oświecone głowy Aliansu, a myślimy jak dupki! Marto, dokąd pojechała Miła? – zaryczał, wskoczywszy do kuchni.

– Nie wiem, gospodarzu, panienska nie mówiła. – Wystraszona kobieta prawie oblała się wrzącym bulionem.

– Szlag! – wrzasnął Nikodem i skacząc co cztery stopnie, zleciał

z powrotem do laboratorium.

W tajnym pokoju cicho brzęczało elektrolabium. Nikodem doskoczył do niego i wbił wzrok w mapę.

Kilka minut później Marta zobaczyła, jak sławny uczyony Nikodem Twardowski, złapawszy długą mocną laskę, wciska się w sandały i trzepocząc niebieskim szlafrokiem w białe groszki, wybiega przez drzwi wejściowe, otwiera furtkę i podpierając się na lasce, pędzi po ulicy. Kobieta przywykła już do dziwactw gospodarza, ale tym razem do wrzącego bulionu plusnęły nie tylko krojone krążki marchewki, ale i nóż.

Kareta wtoczyła się na Górę Bouffałową. O’Braitis poprosił woźnicę, by na nich zaczekał, wyskoczył jako pierwszy i pomógł Mile wysiąść. Rozejrzył się.

Niegdyś to miejsce nazywało się Górą Bouffałową, gdyż na jej szczycie stała hałaśliwa karczma, której właścicielem był niejaki Bouffał. Karczma spłonęła, a nazwa pozostała, tyle że została przetłumaczona na język litewski i tak oto wzgórze stało się Górą Turową. O karczmarzu wszyscy zapomnieli, a miejsce to zaczęli łączyć z piękną legendą o księciu Giedyminie i upolowanym przez niego turze[28].

Widok z Góry Bouffałowej był wspaniały. Wilno wyglądało na nieforemne i zapchane budynkami zastawiającymi sobie nawzajem, ale z Góry Bouffałowej dało się zobaczyć mnóstwo iglic kościołów, wieżę nawigatorów puszczającą promienie, kolumny ratusza, zamysłone kaukasy na Dominium Uniwersyteckim, a nawet znajdującą się na Paromieściu kopułę wieży Gildii Mechaników, świecącą w słońcu na zielono. Gdy dopisywała pogoda, ludzie tabunami ściągali na tę górę, rozsiadali się na trawie i urządzali sobie piknik, ani trochę nie obawiając się opowieści o rzekomych samobójcach, którzy odbierali sobie tutaj życie, a ich dusze błąkały się teraz po okolicy, nie mogąc znaleźć sobie miejsca w zaświatach.

Jednak dziś na górze ziało pustką. W ostatni dzień Szczytu w mieście odbywało się tyle ciekawych atrakcji, że nikomu nie przyszło na myśl, by gapić się z góry na dachy.

Edward wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i otarł sobie twarz. Mundur adiunkta Królewskiego Korpusu Powietrznego nie był odpowiednim strojem na tak parny dzień.

– Gdzież on jest? – O’Braitis się rozejrzył. – Mam nadzieję, że to nie jakiś żart, bo...

– Nie, to nie żart, Edwardzie. – Za jego plecami rozległ się głos.



Miła i Edward odwrócili się.

Charles Finley wyglądał, jakby wyszedł z fotografii: uszyty z jasnego lnu letni garnitur o nienagannym kroju, przerzucony przez ramię chlebaczek, w ręku kapelusz, włosy wysmarowane pomadą i wąskie wąsiki. W ich stronę kroczył nie młodszy adiunkt „Gwiazdy”, a pewny siebie młody arystokrata.

Nikt by nawet nie podejrzewał, że zeszłej nocy Charles oddawał się pijaństwu, bił się, całował, truł się w palarni nielegalnego alchemicznego opium, po czym, nie zdążywszy się zdrzemnąć, dostał pilny rozkaz: następnego dnia ma wywieźć Miłę z Wilna. Za wszelką cenę.

Po wczorajszym rozstaniu miał nadzieję zrobić to w romantyczny sposób, może za pomocą lekkiej hipnozy – fetche opanowali tę sztukę na tak wysokim poziomie jak starzy hipnomanci. W najgorszym wypadku użyłby pajęczych kropli, od których człowiek na kilka godzin traci świadomość, a ocknąwszy się, niczego nie pamięta i przez jakiś czas wierzy we wszystko, co się mu powie. Były szczególnie rzadkim i mało komu znanym preparatem, ale praskim wskrzesicielom i fetchom nietrudno je dostać.

– Spodziewałem się zobaczyć Miłę samą, ale ciebie też miło widzieć, Edwardzie – rzekł z uśmiechem Charles.

O’Braitis wystąpił do przodu i skrzyżował ręce na piersi.

– Gdzie byłeś całą noc? Nie wróciłeś do hotelu, u... hm... panienki... w domu Miły również nie nocowałeś, nie stawiałeś się rano na sterowcu. Mabrey jest wściekły. Co się dzieje, Charlesie? Co ty wymyśliłeś?

Skóra na twarzy Charlesa dziwnie się poruszyła, jakby coś ze środka próbowało się wydrzeć na zewnątrz. Edward zdziwiony zamrugał kilka razy, ale uznał, że mu się przewidziało.

– Edwardzie, mój miły przyjacielu, jestem niezmiernie wdzięczny, że przyprowadziłeś tu Miłę. – Finley uśmiechnął się jeszcze szerzej. – I że chodzisz po całym mieście i mnie szukasz. I będę bardzo wdzięczny, jeśli zostawisz nas teraz samych, pozwolisz spokojnie porozmawiać. Jedź i przekaz kapitanowi, że żałuję wszystkiego, co zaszło.

O’Braitis rozwarł usta.

– Charlesie, czy ty... jesteś gotów zdezerterować?

– Jestem dorosłym mężczyzną, a ty z całą pewnością nie jesteś moją niańką – odciął się Finley. – Dlatego bardzo proszę, nie wtrącaj się. Zostaw nas samych. Jedź do portu lotniczego. Uważaj, żebyś się nie spóźnił.

– Charlesie...

– Edwardzie, proszę. – Głos Finleya był uprzejmy, ale prośba zabrzmiała

jak rozkaz, a mięśnie twarzy znów zaczęły mu drgać.

Edward przez chwilę wpatrywał się w mężczyznę, potem spojrzał na Miłę, znów na Finleya, ciężko westchnął i przytaknął. Nie wypowiedziawszy już ani słowa, odwrócił się, poszedł do karety, a maszyna zahurkotała i potoczyła się w dal.

Charles odwrócił się od dziewczyny, by ukryć twarz, bo pod skórą znów pojawiły się guzki. Zaczął wachlować się kapeluszem.

Miła, która do tej pory nie wtrącała się do rozmowy, podniosła zdecydowanie głowę i podeszła do Finleya.

– Charlesie, ja również nic nie rozumiem. Co oznacza twój list? I czemu to takie pilne? Co miał na myśli Edward, mówiąc, że dezertujesz?

Młody Brytyjczyk odwrócił się tak gwałtownie, że dziewczyna od niego odskoczyła. Na jego twarzy jaśniał teraz szczerzy uśmiech.

– Miło, usiądźmy wygodnie, pozwól mi wszystko opowiedzieć. – Wskazał na ławeczkę, z której rozciągał się piękny widok na miasto. Ujął dziewczynę za rękę i ruszył w jej stronę. Miła posłusznie usiadła, a Charles położył chlebak na ziemi i zaczął chodzić w tę i z powrotem, po mistrzowsku grając rolę zmieszanego, aczkolwiek pragnącego powiedzieć coś ważnego młodzieńca. W końcu usiadł obok dziewczyny. – Miło, może to zabrzmie jak szaleństwo, może nieprawdopodobnie, może powiesz, że to zbyt szybko, ale ja już nie mogę dłużej cierpieć. Gdy tylko cię zobaczyłem na pokładzie „Ikara”, zrozumiałem, że jesteś mi przeznaczona. Nie wiem, czy podczas takiej burzy byłbym skoczył na ratunek kogoś innego. – Do swojego wyznania sprawnie wplótł wspomnienie bohaterskiego czynu. – Znamy się zaledwie kilka dni, ale jestem pewien, że nie mogę bez ciebie żyć. Teraz spoglądam w twoje oczy... – dziewczyna złapała hipnotyzujące spojrzenie Finleya – i mam nadzieję, że nie myślę się, sądząc, iż ty czujesz to samo. – Przynurzył się bliżej. Miła poczuła odświeżający miętowy zapach z jego ust. Odświeżający, ale i niezwykajny. – Najmilsza, jestem bogaty, pochodzę ze szlacheckiego rodu, nie muszę służyć w armii brytyjskiej. Oczywiście, jestem jej wdzięczny, że znalazłem się w Wilnie, że spotkałem ciebie, ale chcę być wolny. Ty również chcesz być wolna. Ucieknijmy z tej miejsciny, widzę, że czujesz się tu jak w klatce, że pragniesz swobody. Ucieknijmy w szeroki świat, jedźmy do Ameryki, Australii czy Japonii, polećmy balonem dookoła świata lub odkryjmy nieznanne ziemie. Zróbmy to razem. Kocham cię.

Któż mógłby się oprzeć tak płomiennemu mowcy... W dodatku doprawionej dozą hipnozy. Na pewno nie młoda dziewczyna, która doświadczyła w życiu

niewiele życzliwości. Słodkie słowa spływały jej do uszu powoli jak miód, kluczyk trafił prosto do serca. Finley pochylił głowę i Miła rozwarła wargi do pocałunku.

W tym czasie Edward siedział w karecie toczącej się do portu lotniczego i klepnął się dłonią w kolano. Dziwne myśli niczym natrętne muchy nie dawały mu spokoju. Niespodziewana przyjacielskość Charlesa. Szalony skok w ciemność podczas ratowania dziewczyny. Nocne zniknięcia. A do tego tak nagła decyzja, by zdezerterować, jakby trzy lata studiów w Sandhurst nie były nic warte. Coś tu jest nie tak.

– Zawróć! Wracajmy na Górę Bouffałową – rozkazał kierowcy. – Poczekasz na mnie na dole.

– Miło, miłości moja – szeptał Finley do ucha dziewczynie. – Wyjedźmy już dziś, wyjedźmy teraz.

– Teraz? Natychmiast? – zdziwiła się Miła.

– Tak, teraz. Wsiądźmy do pierwszego sterowca, jaki się trafi, i lećmy, gdzie wzrok nie sięga – powiedział Finley, choć miał na myśli sterowiec rejsowy do stolicy wskrzesicieli, odlatujący dziś przed zmierzchem.

– Nie, Charlesie, ja nie mogę... – wyszeptała niezbyt zdecydowanie Miła. – Chętnie bym z tobą pojechała, ale nie dziś... Muszę się przyszykować, muszę... Co powie wujek Nikodem?

Aksamitne spojrzenie Finleya głaskało, pieściło, usypiało, zatapiało.

– Dziś, Miło, dziś, wyjedźmy dziś, dziś...

– Charlesie...

– Miło, dziś, dziś – mrucał jej przy samym uchu. – Dzisiaj, wyjedźmy dziś, opuśćmy to miasto, niech je szlag, niech płonie czerwonym płomieniem...

Miła ocknęła się, jakby dostała w policzek. W jej myślach w jednej chwili odżyły obrazy z Dnia, który Wszystko Zmienił. Krzyki. Spadające ciała. Krzyczący ojciec. Mama. Czerwone języki ognia. Nieludzka gorączka. Smród palącego się ciała. Płomienie przed samymi oczami.

– Nie, Charlesie, nie. – Odsunęła się. – Nie wyjadę.

– Dlaczego, kochana? – Zaniepokojony Finley przysunął się bliżej.

– Ja nie mogę. Ani dziś, ani jutro, ani... kiedykolwiek. Wybacz. Ja też od razu cię pokochałam, ale nie mogę... ty... nie zrozumiesz. – Miła wyglądała na całkiem zbitą z tropu. – Nie mogę, nie jestem taka, jaką sobie mnie wyobrażasz, ja...

– Miło, dla mnie nie jest ważne, jak żyłaś, gdzie i z kim przebywałaś wcześniej – przekonywał Finley. – Zapomnijmy o wszystkim, wyjedźmy. Tylko ty i ja.

– Nie, ty nie rozumiesz, nie rozumiesz. – Po policzkach dziewczyny popłynęły łzy. – Od tego się nie da uciec, ja nie jestem taka... ja nie... – Zaczęła płakać.

„Dość tych gier”, pomyślał Finley i wyciągnął z chlebaka niewielką plecioną manierkę.

– Najdroższa, jesteś jakaś nieswoja – powiedział uprzejmie. – Może to z powodu tej przeklętej duchoty? Proszę, to zimny kruszon, wypij łyk, uspokój się i wszystko omówimy jeszcze raz.

Podał Miła manierkę. Dziewczyna pociągnęła łyk napoju. Gardło wypalił zimny, gryząco słodki płyn. Miła aż zakaszła.

– Jak się czujesz? – spytał Finley z udawaną troską, lecz nim Miła zdążyła odpowiedzieć, dobiegł ich skrzypiący, acz władczy głos:

– Ej, ty! Natychmiast się od niej odsuń!

Finley i Miła ze zdziwieniem unieśli głowy. Widok był naprawdę komiczny: podpierając się na lasce, na stromą Górę Bouffałową wczłapywał starszy mężczyzna ubrany w jedwabny szlafrok, zupełnie jakby dopiero wstał z łóżka. Posiwiałe włosy miał potargane, a w oczach czaił się obłęd. Ktoś inny dostałby zapewne ataku śmiechu, ale Finleyowi śmiać się wcale nie chciało.

– Wujku, co ty tu robisz?

– Odsuń się od niej! Do kogo ja mówię! – ryknął Nikodem Twardowski, szybko maszerując do ławeczki. – Natychmiast!

– Wujku, nie wtrącaj się. – Dziewczyna poderwała się na równe nogi. – Przecież obiecywałeś nie wtrącać się do mojego życia!

– Miło... – przerwał jej Twardowski.

– Miło, pozwól mi, ja wszystko załatwię – zamruczał Finley, który odzyskał rezon, podskoczywszy, rozłożył ręce i podszedł, by przywitać Twardowskiego. Uznał, że tego staruszka załatwi jednym palcem.

– Szanowny wuju, jeśli pozwolicie się tak do siebie zwracać – zaświergotał. – Nie zrozumcie mnie źle, wszystko w porządku. Tylko pozwólcie wytłumaczyć. – Finley wziął Nikodema za łokieć i poprowadził jak najbliżej Miły. Zmieszany Twardowski pozwolił się dotknąć. Finley odwrócił się do dziewczyny, by jej pokazać, że wszystko w porządku, po czym odciągnął uczonego. Teraz jego oczy wyglądały jak u żmii hipnotyzującej ofiarę. – Posłuchaj, starcze – wyszeptał, przewiercając Nikodema

wzrokiem. – Nie wiem, jak się tu znalazłeś, ale to nieistotne. Natychmiast podejdź do Miły i powiedz, żeby robiła, o co proszę. Dzisiaj wyjedziemy z Wilna. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. I dla mnie, i dla ciebie, i dla niej. Zrozumiałeś?

Nikodem milczał. Finley zazgrzytał zębami.

– Zrozumiałeś?! – szepnął Twardowskiemu do ucha.

– Będzie lepiej dla wszystkich. Dla mnie, dla ciebie, dla niej – wymamrotał Nikodem.

– I?

– I że czekają cię wszystkie kręgi piekieł – odciął się Twardowski zmienionym głosem, a w jego oczach zabłysnął dziwny ogień.

Finley ocknął się, twarz mu się wykrzywiła. Fetch w jego wnętrzu poczuł wroga, próbował wyrwać się na wolność.

– Uważasz, że jesteś twardy? – szepnął Charles, nabrawszy powietrza. – Myślisz, że możesz się opierać? Wiesz, jak kiedyś nazywała się ta góra? Sądzisz, że przypadkowo wybrałem to miejsce? To diabelska góra! Ludzie przysięgali, że widzieli tu złe duchy. Może i ty chcesz zobaczyć złego ducha? Chcesz się dowiedzieć, komu się przeciwstawiasz?

Skóra na twarzy Finleya się poruszała, jakby coś pod nią biegło.

– A może i ty – spytał Twardowski ze spokojem – chcesz zobaczyć, komu się przeciwstawiasz?

– Co proszę? – warknął Finley. Jego czarne oczy rozszerzyły się jak u szaleńca.

Nikodem na sekundę opuścił głowę. Nagle drgnął, jakby dostał batem, i znów podniósł wzrok. Spojrzawszy w jego oczy, Finley jakby się obudził i otworzył szeroko swoje. Twardowski uniósł odrobinę łaskę, a chłopak się cofnął. Ściągnięty przez skurcze, padł na czworaka, skulił się, a gdy w końcu wstał, był już innym człowiekiem. Przed uczonym stał nie adiunkt Królewskiego Korpusu Powietrznego, nie młody paniczek Charles Finley, a starzec o głowie gładkiej niczym kula bilardowa, bez brwi, z głębokimi oczodołami. Jego oczy płonęły nienawiścią, usta rozwarły się i ukazały szpiczaste zęby.

– Co tu się dzieje? – Miła osłupiała, chciała podbiec bliżej, ale nagle straciła siły.

– Nieźle się ukryłeś, stary przyjacielu. – Głos fetcha był zimny, zmęczony i szyderczy. – Jak to możliwe, że cię nie poznałem? Nie poczułem, że kryjesz się w tym ciele. Gdybym wiedział, postąpiłbym inaczej.

– Być może – odpowiedział Twardowski ze spokojem. – Ale nie jesteś mi przyjacielem. Dziwne, że ośmieliłeś się pokazać w Wilnie. Dobrze ci zapłacili, co?

– Nie inaczej – wyszczerzył się Fetch, znów pokazując ostre zęby. – Uwierz, dziewczyna będzie nasza.

– Dziewczyna jest chroniona – rzekł Twardowski. – Czyżby wskrzesiciele zapomnieli cię o tym powiadomić?

Fetch zrobił krok do przodu i rozłożył ręce.

– Twoje wiadomości na nasz temat są przestarzałe, stary przyjacielu. Nie zapominaj o postępie. Już nie jesteśmy tymi, którzy ukrywali się na bagnach, zachęcali do palenia magów i siali postrach w miastach. Teraz działamy nowocześnie. Ściskam w ręce kluczyk do twojego serca, ukochana... – rzucił do Miły i znowu się wyszczerzył. – Poezja... Aaa, drgnąłeś, stary przyjacielu. Zdziwiłeś się? Tak, wiemy o kluczyku. I uroczy Charles Finley go znalazł. Wobec miłości bezradne są nawet najmocniejsze mury, czyż nie?

– Wygląda na to, że Charlesa Finleya już nie ma – odrzekł Twardowski lodowatym głosem.

– Jest, jest. – Fetch skinął i piskliwie się roześmiał. – Istnieje we wspomnieniach Miły, więc nie będzie go trudno przywrócić. A tym, co tu teraz zobaczyła, zajmie się eliksir z pajęczych kropli. Natychmiast wyczyszczą jej pamięć. Czy widzisz, co się z nią dzieje?

Twardowski mimowolnie obrócił głowę w stronę Miły. I to był błąd. Fetch rzucił się do przodu. Z czubków jego palców wyskoczyły stalowe pazury, tak ostre, że mogłyby rozszarpać skórę na twarzy. Potwór zadrasnął Nikodemowi policzki. Twardowski w samą porę się cofnął, podniósł laskę i wymierzył cios. Mężczyźni upadli szczeni na ziemię i zaczęli się tarzać po trawie. Jedwabny szlafrok Nikodema przeszkadzał mu w poruszaniu się, do tego Fetch okazał się dużo silniejszy i Twardowski znalazł się pod nim, przyciśnięty przez swoją własną laskę. Fetch nachylił się nad twarzą przeciwnika.

– Nie masz pojęcia, jakie mamy możliwości. – Zachichotał i złożył usta, jakby szykował się do pocałunku. – Bądź zdrow, stary przyjacielu. – Odchylił się w tył niczym żmija zamierzająca zaatakować swą ofiarę.

Rozległ się głuchy wystrzał. Zaraz po nim jeszcze jeden. Trafić w jednego z mężczyzn, nie zraniwszy drugiego, było niezwykle trudno, ale Edward O'Braitis nie bez powodu nosił miano najlepszego strzelca wśród kadetów Akademii Sandhurst.

Fetch jęknął i przewrócił się na bok, trochę poniżej jego szyi rozkwitły dwa

krwiste kwiaty. Twardowski zepchnął go z siebie i zwinnie podskoczył na równe nogi. Jednak fetch nie zamierzał się poddać. Ukląkł, jedną ręką wytarł ciekącą krew, chwiejąc się, wstał i zaczął powoli odwracać się do przeciwnika.

– Matko przenajświętsza! – Edward O’Braitis zamarł na chwilę, po czym zakrył dłońmi oczy, jakby szczypał je dym.

W tej chwili do fetcha doskoczył Twardowski i zamachnął się laską, której czubek żarzył się jak rozgrzane żelazo. Fetch otworzył usta, lecz nie zdążył niczego powiedzieć. Laska wbiła mu się w brzuch, przedziurawiła na wskroś jego ciało, zupełnie jakby była wykonana z najostrzejszej stali. Fetch schylił się i spojrzał na ranę przypominającą krater miniaturowego wulkanu. Twardowski gwałtownie wyciągnął laskę. Fetch złapał się za brzuch, jakby chciał załatać dziurę, lecz osunął się i jak długi wyłożył na trawie. Jego twarz zaczęła się zmieniać, przyjmując dziesiątki niegdyś posiadanych oblicz: dżentelmena, żołnierza, zakonnika, żebraka, mechanika, kurtyzany, w końcu nieszczęsnego Charlesa Finleya. Zatrzymała się na tym ostatnim – fetch umarł jako młody mężczyzna w wymiętoszonym, zakrwawionym ubraniu strojnisia.

Twardowski oparł się na lasce i zakasłał.

– Czy ktoś mi wyjaśni, co tu się wyprawia? – wrzasnął Edward O’Braitis, podbiegając do Twardowskiego. – Gdzie jest ten łysy, którego postrzeliłem? Jak zdołał się podnieść po tym, jak dostał dwie śmiertelne kule? – Nagle adiunkt zauważył leżącego Finleya. – Charlesie! – krzyknął, przyklękając obok.

– Nie dotykaj go! – wycharczał Twardowski. – To nie Charles, to już dawno nie Charles. Zostaw go, słońce się nim zajmie.

Pozostawione bez warstwy ochronnej ciało fetcha w słonecznym gorącu topniało w oczach, zamieniając się w popiół. O’Braitis potrząsnął głową, odwrócił się do Nikodema i drgnął. Twarz uczonego zrobiła się biała jak kreda, oczy świeciły w nienaturalny sposób, a z zadrapanych ranek sączyła się krew.

– Jesteście ranni – zamruczał O’Braitis.

– To nic takiego. – Twardowski machnął ręką. Nagle się ocknął. – Miła! Miło, gdzie jesteś?

Dziewczyna wciąż jeszcze tkwiła przy ławeczce, wzrok wbiła nieruchomo w jeden punkt. Mężczyźni podbiegli do niej. Twardowski jedną ręką wymacał puls, drugą podniósł jej powieki.

– Miło! Miło? Słyszysz mnie? – pytał, nachyliwszy się do samej twarzy. –

Czy coś piłaś? Czy Charles ci coś dał?

– Dał kruszonu, było bardzo gorąco – odpowiedziała dziewczyna beznamiętnym głosem.

– Szlag – zaklął Nikodem. – Mimo wszystko zdążył, łajdak.

– Co zdążył, kto zdążył? Nic nie rozumiem – jęczał Edward.

Twardowski wbił wzrok w adiunkta.

– Czym przyjechaliście? Kareta? Gdzie ona jest?

– Zostawiłem ją u podnóża, żeby woźnica... żeby niczego nie zobaczył.

– Dobrze, dobrze – przytaknął uczony. – Zabierzmy Miłę do karety i jak najszybciej do domu. Musi wypić odtrutkę. Mnie również by się przydała – dodał cicho. – Jedziemy, po drodze wszystko wyjaśnię.

Po kilku minutach na Górze Turowej, Bouffałowej, a może Diabelskiej zostało tylko palące słońce i wiatr powoli roznoszący czarne popioły.

W karecie Twardowski krótko opowiedział Edwardowi, co zaszło, zanim się pojawił. Ani na sekundę nie odwrócił oczu od Miły. Ta zaś milczała, wyglądało na to, że zaraz zaśnie. Twardowski również czuł obezwładniającą senność. Żyłami rozprzestrzeniał się im po ciele jad fetcha i pajęcze krople.

Gdy dojechali na Zwierzyniec, O'Braitis wziął Miłę na ręce, a Nikodem ryknął do Marty, by ta przygotowała kołdry. Sam pobiegł do laboratorium. Wrócił po chwili, niosąc butelkę i Pierrota. Miłę zastał położoną do łóżka i przykrytą stosem kołder. Siedziała przy niej zaniepokojona gospodyni. Przyzwyczajona do dziwactw gospodarza, o nic nie pytała, tylko robiła to, co jej nakazano.

Twardowski przysiadł na skraju łóżka, otworzył Miłe usta i wlał jej do gardła przezroczysty płyn z buteleczki. Dziewczyna przekręciła się na bok i natychmiast mocno zasnęła.

– Powinna przespać cały dzień i noc. Ja idę na dół. Marto, zadbaj, by nikt nam nie przeszkadzał. Nikt, rozumiałaś? – rozkazał Nikodem i odwrócił się do chłopaka. – Edwardzie, wiem, że jeszcze wiele jest dla ciebie niejasne, ale teraz wróć na sterowiec. Zbliża się burza i kapitan nie powinien sądzić, że stracił obu adiunktów. Jeśli ktoś będzie pytać o Charlesa, powiedz, że zdezerterował, próbowałaś go powstrzymać, ale się nie udało. Jasne?

Wstrząśnięty do głębi serca Edward tylko przytaknął ruchem głowy. Czuł się jak kleń niesiony przez silny prąd rzeczny.

– Świetnie – rzekł Twardowski. – Bądź tak dobry i pomóż mi zejść do laboratorium, nogi już mnie dziś nie słuchają. Potem pędź na lotnisko. Przyjdź do mnie jutro, wszystko ci wytłumaczę.



– Powiedźcie przynajmniej, kim on był?

– Wrogiem. Starym, podstępny i bezlitosnym.

Znalazłszy się w swym tajnym pokoju, Twardowski chwycił buteleczkę z czarnym, lepkiem jak smoła płynem, padł na fotel i wlał sobie do gardła jej zawartość. Puste naczynie upadło z brzękiem, potoczyło się po podłodze, a Nikodem bez świadomości rozsiadł się w fotelu.

Wilno,  
poobiedzie  
26.04.1905

Mariusz Pelikan nie zawiódł swojego nowego pracodawcy – „Wileńskich Wieści”. Trafił w samą dziesiątkę. Okropna duchota otuliła Wilno. Po południu niebo zaczęło ciemnieć, a w miarę jak zbliżał się wieczór, przybyła kawaleria czarnych chmur, zadudnił grzmot i na horyzoncie błysnęły dalekie pioruny.

Latająca niemiecka forteca wzniosła się wysoko nad miastem. Gdy po niebie przebiegały błyskawice, ta wojskowa machina wyglądała tak niesamowicie, że ludzie przystawali na ulicach z uniesionymi głowami, pokazywali na nią palcami, niektórzy obrazkowali, żeby zachować dla dzieci i wnuków pamiątkę tego niesamowitego zjawiska. Robiło się ciemno. W powietrzu zapachniało wilgocią. Wystraszeni zbliżającą się ulewą wilnianie i goście wolnego miasta chronili się w gospodach, a w parkach miejskich kryli się pod gęstym listowiem drzew. Bardziej ciekawscy zostali jednak na ulicy, rozkładali parasole i mruzcili:

– Z cukru nie jesteśmy, nie rozpuścimy się.

Włoscy akrobaci na placu Katedralnym z niepokojem spoglądali to na niebo, to na długą kolejkę ludzi ciągnącą się od wozu z kasą. Na Górze Bekieszowej alchemicy toczący pojazdy załadowane sztucznymi ogniami również z niepokojem zagryzali wargi – trzy miesiące przygotowywali się do pokazu, a z powodu deszczu wszystkie starania mogą pójść na marne.

Tylko dwaj wileńscy legioniści czuwający na granicy Niechrtów i Czerni nie przejmowali się zbliżającym się deszczem, a może nawet na niego czekali. Im mokrzej, tym ulice miasta są spokojniejsze. Już teraz było pusto, tylko jeden czy drugi obywatel błąkał się, szukając karczmy lub zajazdu. Ściemniło się tak bardzo, że legioniści zapalili syczące lampy Volty.

– Słuchaj, mnie ten kwas chlebowy, co się go napiłem przy Zielonym Moście, wnętrzości wykręcił – powiedział jeden. – Zostań tu, ja skoczę za róg.

– To idź do budki od gospody, bo jak zawieje wiatr, to strasznie

zaśmierdzi – zaproponował drugi i głośno zarżał.

Miłośnik kwasu pokręcił głową.

– Nie, tam jest pełno ludzi, będzie kolejka. Zaraz wracam.

Znalazszy ustronną bramę, zsunął spodnie, wziął głęboki wdech i z błogą miną zaczął nawozić wileńską ziemię. Następnie ocknął się, obrócił głowę i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

Nieco dalej, kryjąc się w cieniu, stał chłopiec i ze skupieniem coś malował na ścianie domu.

– Graficiarz! – jęknął najemnik i od razu przypomniał sobie rozkaz legata, by zatrzymać każdego graficiarza, na jakiego się natkną.

Gdy jest się najemnikiem, choćby i z opuszczonymi spodniami należy być gotowym na wszystko. Dlatego legionista nawet nie pamiętał, jak wciągnął spodnie. W trzech podskokach znalazł się za plecami chłopaka, wyciągnął z kieszeni gwizdek i głośno zagwizdał, wzywając na pomoc swojego kompana. Na ten dźwięk każdy graficiarz wziąłby nogi za pas, ale ten nawet nie drgnął – jak malował, tak malował dalej.

„Może jest głuchy?”, pomyślał legionista.

Złapał chłopca za ramię i odwrócił do siebie. O mało nie odskoczył w tył. Twarz dziecka była zakrwawiona, oczy zapadnięte i podkrążone, jeden policzek drgał niespokojnie. Legionista spojrzał na ścianę, z której zerkał na niego potwór namalowany tak realistycznie, że wyglądał, jakby miał zaraz wyskoczyć na ulicę i ognistym spojrzeniem spalić wszystko dookoła.

– Cholera! – zaklął legionista, wciąż trzymając za ramię dziecko, które nie zamierzało nigdzie uciekać, nawet się nie szarpało.

– Ja go widziałem – zamruczał chłopiec i podniósł gołe, zakrwawione po łokcie ręce.

Dochodziła piąta po południu.

Legat wileński wychodził z siebie, ale dyżurny z pałacu Słuszków wcale nie miał się z tego powodu lepiej. Co kwadrans Srebro przybiegał do sali przyjęć, wymagał raportów dostarczanych z posterunków, czytał je, a jego twarz coraz bardziej pochmurniała. Nie dlatego, że najemnicy pracowali źle. W najcięższy dzień Szczytu legioniści harowali bez wytchnienia. Do strajków nie doszło, marsz matek, który zapewnił porucznikowi Wielholowskiemu chwile grozy, również się nie udał – dzięki pomocy Rycerzy Katedry (czytając ten raport, Srebro zagryzał wargi). As przestworzy Adam Gaber-Wołyński zanurkował

pod Zielonym Mostem i nikogo nie zabił, tysiące ciekawskich, którzy oblegli brzeg Wilii, nie powpadały do rzeki, nawet biedowskie rzezimieszki zachowywały się porządnie. Została już tylko ostatnia noc nieograniczonych uciech, podczas której nie zabraknie złamanych nosów i brwi osmalonych przez sztuczne ognie alchemików. Legat mógł poklepać się po ramieniu za dobrze wykonaną pracę przygotowawczą i poprosić o premię z kasy miejskiej, jednak nie pragnął gratyfikacji czy pochwał, tylko działania. Odmierzał gabinet krokami, przeklinając tych, co odsunęli go od obowiązków, a najbardziej siebie samego.

Ktoś ostrożnie otworzył drzwi. Cały pałac Słuszków wiedział o złym humorze szefa, dlatego nawet najokrutniejsi śledczy do gabinetu legata wchodzili na paluszkach.

– Czego, do cholery, chcecie!?! – warknął Srebro.

Jednakże już po chwili jak wiatr leciał po schodach w dół, przeskakując po kilka stopni. Po drodze zatrzymał się tylko w składzie broni, chwycił tępy kij z twardego drewna i wsadził go sobie w pętlę od pasa. Przy doczepionym tam magazynku bujał się pistolet. Legat zarzucił na siebie nieprzemakalny płaszcz patrolowy i wybiegł na ulicę.

Na dworze lało jak z cebra, zadudnił grzmot. Srebro dwoma susami znalazł się w szybkim dwumiejscowym dyliżansie, który czekał przy głównych drzwiach pałacu Słuszków.

– Jedź! – rozkazał kierowcy.

Ten skinął i sprawnie otworzył zawory kotła. Para buchnęła ze świstem i dyliżans wyjechał z podwórza. Woźnica kilkakrotnie pokręcił korbką, rozległa się głośna syrena.

Spod fundamentów wypełzło jakieś stworzonko i pośpieszyło za dyliżansem. Rozpędziwszy się, mechaszczur wskoczył na wystającą ramę pojazdu.

W dworku w Markuciach pochyleni nad elektrolabium wskrzesiciele odetchnęli z ulgą na widok niebieskiego punkciku mknącego ulicami Wilna.

– Legat dokądś się śpieszy – wymamrotał starszy. – Może tylko sprawdzić posterunki, a może...

Jego szpieg w Słuszkach niedawno go poinformował, że Srebro ma pomysł, jak znaleźć Baltrusa.

Wciąż nasilający się deszcz przepędził ludzi z ulic, dlatego wyjący dyliżans legionu zdążył przez prawie puste arterie. Ominął plac Katedralny i pognał do ogrodu Bernardyńskiego. W ulicę Zamkową nie odważył się skręcić, stamtąd

zaden deszcz nie przegoniłby wałęsających się wilnian i gości z zagranicy. Przy kościele Świętej Anny pojawiła się niespodziewana przeszkoda – dwa wozy tak się szczepiły orczykami, że nie dali rady ich rozdzielić ani obaj woźnice, ani ich czterej pomocnicy. Zaniepokojony kierowca zatrzymał dyliżans.

– Jedź chodnikiem! – ryknął legat. – I kręć syreną, kręć!

Dyliżans zawył i na wszystkie strony rozchlapując wilgotny żwir, władował się na drewniany chodnik. Jego deski zatrzeszczały, a stojący przy wozach mężczyźni aż się przeżegnali. Ominąwszy przeszkodę, dyliżans znów wyjechał na ulicę.

– Dobrze – rzekł sucho Srebro.

Posterunek legionistów został utworzony w gospodzie Czerwony Kogut, stojącej na granicy między Niechrtami i Czerniami. Koguta bardzo lubili strażacy, przystawowie, najemnicy i chroniący szczególnie istotne osoby strażnicy, których mieszczanie z drwiną nazywali apaczami. Jakiś prześmiewca dotkliwie zrugany przez pewnego bogacza zemścił się przyśpiewką: „Za paniczami będziesz człapać – ogon długo przyjdzie ci drapać”.

Legat wkroczył do gospody pełnej wszelkiego rodzaju przybłęd. Nie spodobało mu się to. Co gorsza jednak, wszyscy pijacy wyraźnie zainteresowali się dwoma przemoczonymi legionistami i młodzieńcem, jeszcze dzieckiem, posadzonym na taborecie w kącie sali. Srebro głośno odchrząknął i głowy w piorunującym tempie zwróciły się ku niemu.

– Wszyscy won! Teraz, natychmiast – zagrzmiął legat.

Ci, co znali legata wileńskiego, nie zamierzali się kłócić, a ci, co go nie znali, doszli do wniosku, że poznać się z nim nie chcą. Ani z legatem, ani z jego kijem czy pistoletem wiszącymi mu u boku.

– Na dworze pada – zajęczał jedyny odważny, wystawiwszy głowę za drzwi.

– Za to w Słuszkach jest sucho – odciął się Srebro. – Bierzcie kufle i won. Damy znać, kiedy będziecie mogli wrócić.

Czerwony Kogut natychmiast opustoszał. Właściciel karczmy, Narimantas, gorączkowo kłapnął językiem, ale nie powążył się sprzeciwić dowódcy legionistów, gdyż wiedział, że plotka o dziwnej wizycie legata rozniesie się w mgnieniu oka i jeszcze tej nocy gospoda będzie pękać w szwach.

Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma już nikogo postronnego, Srebro podszedł do graficiarza. Podsunął sobie krzesło, usiadł naprzeciwko chłopaka

i przez kilka minut wpatrywał się w niego w milczeniu. Ręce i buzia chłopca były wysmarowane czerwoną farbą. Ale oczy... wyglądały jak u szaleńca. Mętne, bezwiednie zawieszono gdzieś w dali spojrzenie.

Srebro machnął legionistom, by się odsunęli.

– Nie bój się – powiedział cicho do dziecka. – Nikt nie zrobi ci nic złego.

Chłopiec milczał. Legat poruszył się na krześle, przysunął się trochę bliżej.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Cisza.

Srebro pytająco popatrzył na legionistów. Ci bezradnie wzruszyli ramionami.

– Zaszył sobie usta – szepnął jeden. – Powiedział tylko: „Ja go widziałem”.

Wzrok legata znów padł na graficiarza.

– Co widziałeś, chłopcze? To stworzenie, które malujesz na ścianie?

Cisza. Tylko palce graficiarza zdrząły delikatnie. Nagle dreszcze przeszły na ręce, potem na ramiona i całe ciało dziecka zaczęło się trząść. Nogi ślizgały się po drewnianej podłodze. Chłopiec upadł i zaczął się rzucać jak ryba wyciągnięta z wody.

– Przytrzymajcie go! – wrzasnął legat.

Trzy pary rąk mocno złapały młode ciało, ale ono nagle przestało się miotać, bezsilne dłonie uderzyły o podłogę, a poruszyły się usta.

– Aniele Boży... – powiedział cicho chłopiec.

Legat uklęknął na jednym kolanie i pochylił się niżej.

– Co tam mamrocześ, dziecko?

– ...strózu mój, ty zawsze przy mnie stój... – Graficiarz wziął wdech. – Strzeż duszy, ciała mego, zaprowadź mnie do żywota wiecznego. – Jego głos stawał się coraz silniejszy, aż w końcu zamienił się we wrzask. – I nie zostawiaj mnie samego, Aniele Strózu! Ja go widziałem! ON TU JEST!

Wykrzyczawszy ostatnie słowa, chłopiec wytrzeszczył oczy, jego ciało się napięło, głowa uniosła. Srebro ledwie zdążył podłożyć mu rękę pod głowę i dziecko nagle zwiotczało. Z ust wydobyła mu się czerwona piana.

Karczmarz Narimantas bojaźliwie się przeżegnał i obiecał sobie, że w niedzielę zapali w kościele tyle świec, ile tylko zdoła unieść.

– Co robimy? – spytał jeden z legionistów w osłupieniu.

Legat miał już na to gotową odpowiedź. Złapał chłopca za ręce, przytulił sobie jego głowę do piersi. Dziecko było niewiele cięższe od szmacianej lalki.

– Wracajcie na swój posterunek. Tego wieczoru będzie w mieście gorąco –

powiedział automatycznie, nawet nie podejrzewając, jak blisko był prawdy.

– A ty, szefie?

– Ja wiem, kto tu pomoże – odpowiedział Srebro i w pośpiechu opuścił karczmę.

Na Biedy mieli z Koguta kawałek drogi, ale legionowy dyliżans pokonał go tak prędko, że byłby przytarł nos nawet sławnemu Léonowi Serpolletowi, który nie tak dawno poprawił światowy rekord prędkości.

Wypluwając kłęby pary, dyliżans przemknął między stawami, łukiem ominął Czernie i plac Ratuszowy, świsnął przez Pohulanekę i rozchlapując kałuże wody, znalazł się na Biedach, na Mokrym Placu. Jechać wąskimi podmokłymi uliczkami byłoby głupotą, więc Srebro wyskoczył z dyliżansu. Choć do Boga zwracał się rzadko, teraz w myślach gorąco się pomodlił, żeby tylko na czas odnalazł potrzebnego człowieka. Rozkazał kierowcy czekać. Niosąc chłopca przez kałuże, brodził w głąb Bied.

Mechaszczur zeskoczył z ramy dyliżansu i unikając głębszych kałuż, podążył za nim.

Po kilku minutach ciężka pięść legata potrząsała drewnianymi drzwiami obitymi żelazem. Okienko się uchyliło, a niedługo potem zostały otwarte i drzwi.

– Gdzie Małgorzata? Jest tu? – wysapał Srebro. Tym razem nie miał czasu na uprzejmości.

– Tak, jest – przytaknęła zakonnica i zdziwiona spojrzała na bezwładnego chłopca w rękach Srebra. – A co temu dziecku...

Antoni przepchnął się przed kobietę i puścił biegiem.

– Małgorzato! Małgorzato!

Ta wybiegła mu naprzeciw. Zobaczywszy, kogo niesie, machnęła do mężczyzny.

– Tutaj! – Pierwsza wbiegła do budynku, po czym puściła się korytarzem, na którego końcu znajdowała się lecznica sierocińca.

Srebro był częstym gościem przytułku, ale do lecznicy wszedł po raz pierwszy. Ostrożnie położył chłopca na łóżku posłanym oślepiająco białą pościelą. Rozejrzał się. W sporym pokoju stały tylko dwa łóżka, przy każdym znajdowała się szafka, za to szafy były tu aż cztery. We wszystkich mieściły się uporządkowane buteleczki i kolby, pudełka z łacińskimi napisami, wielkie słoiki z ziołami. W jednej świeciły srebrem jakieś narzędzia medyczne i miseczki. Z boku ustawiono metalowy stół nakryty płóciennym prześcieradłem, ogrodzony trzyczęściowym parawanem. W pokoju nie

pachniało chlorem, charakterystycznym dla szpitali, lecz lawendą.

– Nie gorzej tu u was niż u Dembowskiego[29] – zdziwił się Srebro.

– Może i lepiej, nie wiem – odrzekła Małgorzata. Siedziała na taborecie i uważnie patrzyła na twarz chłopca. – Nie chadzam do prywatnych lekarzy. Gdybyś ty musiał każdego dnia zbadać po kilkoro dzieci, nie takimi zapasami byś dysponował. A teraz mów, co się stało. Będzie mi potrzebna pomoc! – rzekła do dwóch zakonnicy, starszej i młodej, które weszły do pokoju. Siostry przytaknęły i zniknęły w korytarzu.

– Jesteś moją jedyną nadzieją – rzekł Srebro.

Słuchając relacji legata, Małgorzata rozsunęła powieki dziecka i obejrzała mu oczy, podniósłszy bezwładną rękę, sprawdziła puls, ostrożnie rozchyliła mu usta i zbadała język, następnie zerknęła pod paznokcie i z niepokojem pokiwała głową.

W tym momencie wróciły obie zakonnice, niosąc dwie wielkie miedziane miednice z gorącą wodą. Małgorzata machnęła do jednej z pomocnic, by postawiła miskę na szafce obok łóżka, i zaczęła ostrożnie rozcinać przy ciele brudne ubrania, które przykleiły się dziecku do ciała.

– A to co? – Pokazała na brudne bandaże. Delikatnie je ściągnęła i zaczęła oglądać długie krwawe nacięcia na nogach i rękach chłopca.

Legat podszedł bliżej.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Przypomina ugryzienia.

Małgorzata wstała z taboretu i odsunęła się od łóżka. Starsza zakonnica namaczała bandaże w gorącej wodzie i delikatnie przemywała półnagie ciało dziecka, które nie poruszyło się nawet wtedy, gdy bandaże oderwały się od nie do końca zaschniętych ran na rękach i nogach. Następnie Małgorzata nachyliła się do zakonnicy, by się naradzić, po czym obie siostry wyszły z pokoju.

Małgorzata wzięła legata za rękę i zaprowadziła do okna.

– Nie jest dobrze – powiedziała cicho, jakby się bała, że dziecko ją usłyszy. – Nie jestem lekarzem, ale na Biedach wiele się nauczyłam. Czasem bywam i chirurgiem, i alchemikiem, i dentystką, i psychiatrą. Myślę, że chłopiec doznał szoku. Coś go przestraszyło. Potwornie. Puls jest ledwie wyczuwalny.

– Nie da mu się jakoś pomóc?

– Gdybyś się zwrócił do Filipa i Jakuba, pewnie by ci powiedzieli, że nie. Przenieśliby chłopca do bonifratrów i czekali, co zadecyduje jego własne ciało. Będzie żyć czy nie będzie. Dojdzie do siebie po miesiącu, a może po roku. Dookoła takich dzieci nikt nie skacze. To nie syn kupca. Sam przecież



nie znasz nawet jego imienia. – Małgorzata umilkła na chwilę, spojrzała na legata, po czym ciągnęła dalej: – Siostra Łucja mówi, że można spróbować ożywić dziecko. Ale... jak by to powiedzieć... w nie całkiem zwyczajny sposób.

– Siostra Łucja? – Srebro ściągnął brwi. Już gdzieś o niej słyszał.

Kilka lat temu w szpitalu Filipa i Jakuba doszło do skandalu, za który obwiniano jakąś siostrę Łucję, która poiła umierających pacjentów eliksirem nieznanym lekarzom. „Wileńska Prawda” oskarżyła zakonnice, że składnikiem owego napoju są części ciał zmarłych, a sama pielęgniarka para się czarną magią. Radny zdrowia odniósł się do tych pogłosek z dystansem, jednak czytelnicy gazety zaczęli się domagać szczegółów, niemal zlinczowali siostrę. Wtedy Łucja zniknęła. Dla wszystkich stało się to dowodem potwierdzającym, że...

– To czarownica – powiedział legat.

– Co proszę? – Małgorzata podparła się pod boki i spojrzała spode łba na Antoniego. – Chcesz, żeby chłopiec umarł? Słuchaj mniej plotek!

Legat delikatnie dotknął jej ramienia.

– Uspokój się. Przecież powiedziałem, że jesteś moją ostatnią nadzieją. Pomóżcie dziecku.

– Z Łucji taka czarownica, jak ze mnie zonglerka – odburknęła Małgorzata, po czym spojrzała legatowi w oczy. – Poza tym będzie lepiej, jeśli będziesz trzymał język za zębami.

– Wiem – odpowiedział krótko Srebro.

Otworzyły się drzwi i do lecznicy znów weszła stara zakonnica – siostra Łucja. Wyglądała inaczej. Pod oczami pojawiły się jej wory, a czoło zrosił pot, który Łucja stale wycierała rękawem habitu. Srebro zauważył, że nadgarstek kobiety jest owinięty bandażem. W jednej ręce trzymała kolbę, w której chlupotał granatowy płyn, zaś w drugiej gruby srebrny patyczek.

– Dajcie mi kamfory! Najmocniejszej – rzekła i Małgorzata posłusznie zdjęła z półki metalową buteleczkę zatkaną korkiem. – Trzymajcie ręce i nogi. Mocno – poleciła legatowi, który usłużnie chwycił kończyny dziecka.

Zakonnica starła pot z czoła, złapała chłopca za podbródek i otworzywszy mu usta, wepchnęła między zęby srebrny patyczek. Małgorzata z buteleczką kamfory w ręku stanęła za jego głową, Srebro jedną ręką przycisnął cienkie niczym gałązki nogi dziecka, a drugą – ręce, obawiając się, żeby nie złamać kruchych kostek. Siostra Łucja odetkała kolbę. Gdy do naczynia dostało się powietrze, granatowy płyn zaczął bulgotać i syczeć.

– Kamfory – rozkazała ponownie Łucja.

Małgorzata otworzyła buteleczkę. Po pokoju rozszedł się ostry zapach, aż legatowi zaczęły łzawić oczy. Kobieta podsunęła dziecku naczynie pod nos. Na początku wydawało się, że nie wywoła to żadnego skutku, chłopiec leżał bez ruchu. Po chwili jednak jego nozdrza się rozchyliły. Małgorzata podsunęła buteleczkę jeszcze bliżej. Nagle oczy chłopca szeroko się otworzyły. Były mętne, a źrenice rozszerzone. Dziecko zaczęło się wyrywać, ale Srebro mocno trzymał je za ręce i nogi. Chłopiec zamuczał, spróbował językiem wypchnąć z ust srebrny patyczek, a gdy mu się nie udało, zaczął go gryźć. Jego oczy poruszały się szaleńczo, ciało aż dygotało – tak mocno waliło mu serce.

– Szybciej! – ryknęła Małgorzata.

Łucja przechyliła kolbę i zaczęła powoli wlewać dziecku do buzi syczący, gęsty jak żywica płyn. Uważała, żeby nie zmarnować ani jednej kropli. Przemiana dokonała się w mgnieniu oka. Srebro poczuł, że napięte ciało dziecka się rozluźnia, oczy mu się uspokoiły, zaczęły się pomału rozjaśniać, a rozszerzone źrenice się zwężyły. Zakonnica wlała chłopcu do buzi ostatnie krople i wyprostowała się. Małgorzata zatkała buteleczkę z kamforą. Legat ostrożnie rozluźnił uścisk.

Teraz chłopiec oddychał równo. Zamknął oczy, ale poleżawszy chwilę, znów je otworzył i pokręcił głową. Następnie podniósł się na łokciach, usiadł i rozejrzał się, po kolei spoglądając na troje stojących nad nim dorosłych. W mocno niebieskich oczach malowało się zdziwienie.

– Gdzie... gdzie... – zająknął się i oblizał sobie wysuszone usta. Małgorzata szybko podała mu szklanekę wody. Dziecko zachłannie ją wypilo i odetchnęło. – Gdzie jestem? – spytał już głośniejszym głosem.

– Jesteś bezpieczny – rzekła Małgorzata.

Legat odchrząknął, lecz kierowniczka przytułku posłała mu zimne spojrzenie. Postanowił więc poczekać na swoją kolej.

– Jak się nazywasz? – spytała Małgorzata.

Chłopiec się zmieszał.

– Sa... – Palcami dotknął swojego czoła. – Salomon. Salomon Klein.

Legat zamknął oczy. Proszę bardzo! Jeszcze jedna płytki mozaiki spoczęła na swoim miejscu. To ten sam chłopiec, którego legioniści ścigali przy ratuszu. Koledzy dzieciaka zdradzili, że ich watażka ukrył się w labiryncie kanalizacji.

– Ile masz lat? – spytała Małgorzata.

Salomon wzruszył ramionami.

– Gdzie mieszkasz?

Dziecko ponownie w milczeniu uniosło ramiona.

Srebro machnął do Małgorzaty.

– Co z nim? – zapytał, gdy oboje odsunęli się od łóżka dziecka. – Chcę mu zadać kilka pytań. Czy da radę na nie odpowiedzieć?

Małgorzata spojrzała na Łucję. Ta podeszła bliżej. Pot zniknął jej z twarzy, tylko ręce nadal jej drżały.

– Ten eliksir... hm... napój pomógł dziecku odżyć – rzekła cicho Łucja. – Teraz działa jak środki uspokajające. Możecie pytać. Ale nie przesadzajcie, w przeciwnym razie dziecko znów padnie. W głowie mu się pomieszało. Czy już się pobierał i czy powie prawdę, tego nie wiem – dodała szeptem.

Srebro skinął głową, wrócił do chłopca i usiadł na taborecie. Dziecko podniosło wzrok na mężczyznę. Jego spojrzenie było jak u niemowlęcia – naiwne, otwarte, niewiele rozumiejące ze świata. Legatowi ścisnęło serce.

– Słuchaj, Salomonie – przemówił. – Jesteś na Biedach, w sierocińcu. Nikt nie zrobi ci nic złego. Jesteś tu bezpieczny. – Srebro starał się mówić powoli i zrozumiale. – Ale i mnie potrzebna jest pomoc. I ty jako jedyny możesz mi jej udzielić. Salomonie, to bardzo, bardzo ważne. Czy pomożesz?

Cisza.

Cisza.

Cisza.

Legat westchnął, opuścił głowę. Wstał i podszedł do okna. Małgorzata ruszyła w jego stronę, położyła mu rękę na ramieniu.

– Dobrze, że doszedł do siebie – szepnęła.

Nagle Salomon odwrócił się do okna.

– Tak – rzekł wyraźnie. – Pomogę.

Srebro już chciał doskoczyć do dziecka, ale się powstrzymał. Spokojnie przysiadł obok niego na taborecie.

– Czy byłeś z dziećmi, które mazały ściany ratusza? – spytał najdelikatniej, jak potrafił.

Salomon kilka razy zdecydowanie przytaknął, jakby był z tego dumny.

– I uciekłeś do dziury kanalizacyjnej?

– Tak – potwierdził. – Oni mnie nie z... nie złapali.

– Czy możesz opowiedzieć, co się stało potem?

Salomon siedział przez chwilę ze spuszczoną głową.

– Biegłem... strasznie się bałem, bo zaatakowały mnie szczury. Były dziwne. Rozbiłem czoło. Potem... Obudziłem się w ciemnym pokoju na ławce.

Tam były drzwi z kratami. Chciałem uciec, ale było strasznie. Wtedy usłyszałem, jak w drugim pokoju rozmawiają dwie osoby.

– O czym rozmawiały?

– Nie bardzo zrozumiałem. O szpitalu, o labo... labo... laboratorium.

– Może powiedzieli jakieś imię?

– Tak. Jeden powiedział: „Wkrótce, już wkrótce, Franciszku”.

Legat głośno wypuścił powietrze z płuc.

– A potem? – zapytał.

– Potem wyszli. Kraty były otwarte i usłyszałem... – Dziecko westchnęło, ale mówiło dalej, jego głos stał się żywszy: – On podszedł bardzo blisko mnie. Ale on nie oddychał, tylko brzęczał.

– Kto? Jaki on, Salomonie? – zdziwił się Srebro.

– Potwór. Wielki i brzęczący. Nie dotknął mnie. Wyszedł przez drzwi obite metalem, a ja poszedłem za nim. Jeszcze widziałem... – potarł sobie policzek – widziałem wielki pokój z jakimiś aparatami i człowieka w łóżku.

– Gdzie wtedy poszedłeś?

Dziecko wzruszyło ramionami.

– Tunelami. Ja go widziałem. Ale nie zawsze. Czasami on zniknął.

– Dlaczego poszedłeś za potworem, Salomonie?

– Nie wiem.

– Nie bałeś się?

Chłopiec spojrzał na legata.

– Nie... bałem się... nie wiem... Ale on mnie wyprowadził z tunelu. Wyszedłem na ulicę... – Zamilkł.

Stara zakonnica podeszła do dziecka, pogłaskała je po głowie, okryła kołdrą i wyszła z pokoju.

– Co było potem, Salomonie? – ostrożnie zapytał legat.

Dziecko mocniej zawinęło się w kołdrę.

– Na ulicy było ciemno. W umówionym miejscu znalazłem wiaderko z farbą. Kazano mi pisać słowa na ścianach... Z kartki. Brałem farby i pisałem... Ale kartki nie było... Wtedy ja...

– Namalowałeś potwora – przypomniał Srebro.

Dziecko przytaknęło.

– Tak... nie... nie wiem. Ja pisałem... malowałem. Później znów go zobaczyłem. On zaatakował mężczyznę. Potem zniknął. Chyba wrócił do podziemi. Ale przyjdzie znowu. Zawsze wraca.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła Łucja z kubkiem w dłoniach.

Znacząco spojrzała na legata i podała chłopcu naczynie.

– To herbata – powiedziała do dziecka. – Wypij, ogrzejesz się. Chyba jesteś zmęczony? – Pogłaskała chłopca po głowie. – Musisz się przespać. Wyśpisz się i wszystko będzie dobrze.

Salomon przytaknął, wziął kubek i niespiesznie popijał herbatę. Oczy zaczęły mu się zamykać, głowa opadła na poduszkę. Po chwili chłopiec twardo spał.

Legat potarł twarz dłońmi. Teraz już nie wątpił, że potwór, bionik, istnieje. Jak powiedział przewodniczący mechaników Piotr Wilejszys – połączenie żywego organizmu i maszyny. Stworzenie, o którym marzono od stuleci, ale którego nikomu nie udało się skonstruować. Aż do teraz. Autor potwora – Franciszek Baltrus – nakreślił tajne szkice, których kopie znalazły się u Waneczki Skoryka, zabitego później na Cmentarzu Cholery. Co było potem? Widać wskrzesiciele nie mieli powodów, by się śpieszyć, i postanowili ukryć swojego geniusza tam, gdzie nikt nie będzie się nim interesował – w szpitalu psychiatrycznym. Ale w tej grze karty rozdaje ktoś jeszcze. Ktoś, kto bez wiedzy wskrzesicieli wyciągnął Franciszka ze szpitala i ukrył go w podziemiach. Najpewniej tam urządzono mu laboratorium i Baltrus kończył tworzenie swojego bionicznego arcydzieła. A później wypuścił je na nocne ulice miasta.

W tej historii pozostało jednak jeszcze kilka niewiadomych: kto jest tym tajemniczym graczem, z pomocą którego Baltrus zdołał przez dwa tygodnie skonstruować bionika, jakim cudem wydostał naukowca z Nowowilejska, jaki jest jego cel? Tylko jedną sprawę legat zrozumiał na pewno: koniecznie trzeba powstrzymać kolejne morderstwa.

Kilka razy głęboko nabrał powietrza i wypuścił je z płuc, po czym spojrział na Małgorzatę.

– Dziękuję – rzekł, ściskając jej dłoń. – Ale mam jeszcze jedną prośbę. Chcę, by chłopiec zaprowadził mnie do podziemi.

– Co? – Małgorzata zakryła sobie usta dłonią. – Czyś ty rozum stracił? – Zastawiła swoim ciałem Salomona, zupełnie jakby legat zamierzał wziąć śpiące dziecko za kark i wyciągnąć je na dwór.

– On jedyny zna drogę! – wyszeptał Srebro. – Bez niego będę błądzić po kanałach do końca świata.

– Mowy nie ma! – Małgorzata pokręciła głową. – Czy ty chociaż masz pojęcie, co się może stać dziecku, jeśli znów znajdzie się w tej strasznej dziurze?

– A czy ty chociaż sobie wyobrażasz, co się stanie, jeśli nie powstrzymam morderstw? Ten stwór zabije pół miasta! – warknął Srebro.

– Może to tylko twoje fantazje? – nie poddawała się Małgorzata.

Legat pokręcił głową.

– Nie, Małgorzato. To nie fantazje. Uwierz, mam doświadczenie w takich sprawach.

Oboje umilkli i przez chwilę patrzyli na siebie niepewnie.

– Dobrze – ustąpiła Małgorzata. – Ale tylko jeśli dziecko samo będzie cię chciało poprowadzić. I dopiero gdy się wyśpi.

Legat się uśmiechnął.

– Może poczęstowałabyś mnie herbatą? Jestem cierpliwy, poczekam.

Salomon obudził się dwie godziny później. Wyglądał tak jak kiedyś, przed spotkaniem z potworem – był ruchliwy i trochę zuchwały. Wysłuchawszy prośby Antoniego Srebro, nawet nie mrugnął.

– Pójdę z wami. Pokażę dziurę i podziemia. Poza tym mnie przecież potwór nie atakował.

Legat podrapał się po karku.

– Może nie atakuje dzieci, tylko starszych wujków? – powiedział niby żartobliwie, ale sam nie bardzo w to wierzył.

Wilno,  
godzina siódma wieczorem  
26.04.1905

O siódmej wieczorem lało jak z cebra, burza na dobre się już rozszalała.

Burmistrz Wensławski-Wenskus popatrzył w okno. „Dobrze by było nalać panom za kołnierze tego deszczu, żeby się ostudzili”, pomyślał, wracając spojrzeniem do urzędników, którzy zebrali się w sali ratuszowej.

Wrzało tu jak w rosyjskim samowarze. Po przerwie, w czasie której goście oglądali lot Adama Gaber-Wołyńskiego pod Zielonym Mostem, zaczęły się najważniejsze debaty o tym, jak mają być rozwiązywane międzynarodowe spory. Przedstawicielom Aliansu zależało na kilku sprawach: po pierwsze, jak przekonać potęgi europejskie, że Europa potrzebuje specjalnego organu, który zostałby nazwany Komisją Mediacyjną; po drugie, jak przekonać je, że Komisja Mediacyjna musi zostać założona właśnie w Aliansie; po trzecie, jak to zrobić, by decyzje Komisji obowiązkowo respektowano we wszystkich państwach europejskich.

Założenie takiej komisji właśnie w Aliansie powiększyłoby polityczne i ekonomiczne wpływy i wolnych miast, i samych Rothschildów, uchroniłoby Alians przed rozwijającymi się konfliktami i zapewniłoby mu niezależność, nie mówiąc o możliwości obracania się w samym centrum europejskich intryg, co stanowiło marzenie alianckich przywódców. Jednak dogadać się z wszystkimi naraz nie było łatwo.

Przedstawiciele niektórych państw wypominali, że miasta Aliansu są wolne tylko z nazwy, a tak naprawdę przywiązane są jak psy do budy do przynajmniej jednego z mocarstw: Wilno i Rewel do Rosji, Praga do cesarstwa austro-węgierskiego, Kraków do Niemiec, a Konstantynopol do Turków. Poza tym kilka państw, w szczególności Niemcy, stanowczo sprzeciwiało się idei ogólnoeuropejskiej Komisji Mediacyjnej, której decyzje obowiązywałyby wszystkich. I nie miało najmniejszego zamiaru zmienić swojego zdania.

– Jeszcze raz powtarzam, wszystkie państwa mają prawo bronić swoich interesów na wszelkie możliwe sposoby i żadna wasza komisja z nie wiadomo

skąd wziętymi sędziami nie zmusi nas do stosowania się do jej decyzji, jeśli się z tymi decyzjami nie zgodzimy. – Pruski minister wojny Karl von Einem szatkował dłonią powietrze.

Natan Rothschild zagryzał wargi. Niemcy nie bez powodu przysłali do Wilna „Parsifala” i swojego najbardziej znanego wojennego orła von Einema – to znak dla barona Rothschilda, że z cesarzem Niemiec należy się liczyć. Von Einem już blokował propozycje Brytyjczyków i Francuzów, by ograniczyć uzbrojenie w Europie.

– Wy, Francuzi i Brytyjczycy, próbujecie przekonać Niemców, że pragniecie pokoju, ale jesteście wilkami w owczej skórze – rzucił przez ramię von Einem. – Proponujecie zmniejszenie floty? Myślicie, że nie wiemy, ile okrętów sami wypuszczacie na wodę w swoich wielkich stoczniach w Plymouth czy Breście? Niemcy zawsze dążyli tylko do pokoju. Ale nie jesteśmy ślepi, widzimy, co się dzieje w innych państwach.

Brytyjczycy i Francuzi ucichli, Austriacy i Turcy wciąż się nie wtręcali, za to Lamsdorf złapał pruskiego ministra wojny za klapę marynarki:

– Mówicie o pokoju, a nad miastem zawisł wasz potwór. Po co go zbudowaliście? Dlaczego tutaj jest? Co cesarz Niemiec chce nam udowodnić? Chcecie nas nastraszyć? A może macie inne cele? – ryknął, potrząsając grdyką.

– A dlaczego wasze pociągi pancerne otoczyły Wilno żelaznym pierścieniem? Może szanowny baron Rothschild powie, po co kręci się tu wojskowy sterowiec imperium brytyjskiego? – Von Einem nie przebierał w słowach. – Dla pokoju i porządku? My również bronimy pokoju i porządku, szczególnie gdy odbywa się tak ważne spotkanie. „Parsifal” jest tu tylko po to, dla porządku i spokoju.

– Panowie, panowie! – Baron Rothschild spróbował się wtrącić. – Nie zebraliśmy się tutaj, by się obrzucać oskarżeniami. Myślmy trzeźwo. Cały Alians, a szczególnie nasz gospodarz, Wilno, bardzo się cieszy, że wasze kraje – baron po kolei skinął głową w stronę przedstawiciela imperium rosyjskiego Władimira Lamsdorfa, pruskiego ministra wojny von Einema i ministra spraw zagranicznych imperium brytyjskiego lorda Petty-Fitzmaurice’a – dbają o miasto i zapewniają mu bezpieczeństwo. Mam rację, burmistrzu? – zwrócił się do Wensławskiego-Wenskusa.

Wybudzony z zamyślenia burmistrz tylko przytaknął.

Temperatura w sali wyraźnie się podniosła. Deszcz za oknem jeszcze bardziej przybrał na sile, wysoko na niebie świsnął lśniący bat.

Głos zabrał poseł Austro-Węgier hrabia László Szógyény-Marich, a po nim



przemówił Izzet Pasza Al Abed, sekretarz sułtana Imperium Osmańskiego Abdul Hamida (ten zszedł z tematu – mówił o wspólnej kolei łączącej państwa europejskie, Alians i Imperium Osmańskie).

Rosyjski minister spraw zagranicznych Lamsdorf słuchał gadaniny Turka zdekoncentrowany, z ledwie zauważalnym krzywym uśmiechem na twarzy i wzrokiem skierowanym na pruskiego ministra wojny von Einema (ten zaś kręcił węża i udawał, że nie widzi Rosjanina), potem niepostrzeżenie spojrzął na złoty zegareczek. Do ósmej zostały trzy minuty.

– Za trzy minuty ósma – poinformował kierowca.

Emilia skinęła, wyciągnęła z zamszowego woreczka srebrną różdżkę oraz kamerton, wysiadła z karety parowej, przeciągnęła się i rozejrzała. Stała na niewielkim wzgórzu, z którego doskonale było widać wszystkie cztery obiekty, w których podłożyła bomby.

Rzeczywisty radny państwowy Aleksander Ignatiewicz Golicyn przebywał w tym czasie w kajucie kapitańskiej na „Ilji Muromiecu”. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i patrzył na wielki zegar wiszący na ścianie. Cierpliwie wyczekiwał. Wskazówka minutowa przeskoczyła do przodu i jeszcze bardziej zbliżyła się do ósemki.

– Uwaga! – ostrzegł cicho Golicyn.

Załoga „Muromieca” stanęła na swoich pozycjach.

Kapitan „Gwiazdy Świętego Jerzego”, Milton Mabrey, wylegiwał się w swojej kajucie, nogi wraz z butami położył na krześle i czytał ukochanego Barnes'a. Poezja uspokajała nerwy, a te już zdążyły mu się nadszarpnąć. Wczoraj „Parsifal”, dzisiaj historia z drugim adiunktem Finleyem. O'Braitis był tak zdenerwowany i tak plątał się w swojej opowieści, że Mabrey zrozumiał tylko jedno – Charles zdezerterował, Edward próbował go powstrzymać, ale się nie udało. Dlaczego Anglik się tego dopuścił, O'Braitis nie umiał powiedzieć, mełł coś o wolności i podróżach dookoła świata.

Kapitan najpierw złapał się za głowę i nie przebierając w słowach, nawrzeszczał na pierwszego adiunkta, pogroził mu nawet trybunałem wojennym. Później jednak ochłonał, zrozumiał, że O'Braitis nie jest niczemu winien, i go przeprosił, a sam zaczął nerwowo bazgrać po kartce – pisał do centralnego sztabu korpusu powietrznego. Brytyjski dezertor to już nie żarty, tym bardziej że stało się to podczas Szczytu, gdy w mieście jest pełno rosyjskich, niemieckich, austriackich, a nawet tureckich agentów. Adiunkt

O'Braitis przysięgał, że odejście Finleya nie ma nic wspólnego z polityką, dukał coś o zawróconej głowie i o *femme fatale*, która odebrała mu rozum, ale był tak zmieszany i tak się plątał, że Mabrey kazał mu odmaszerować na spoczynek, a sam wysłał naprędce sklecone pismo i wertując tomik Barnes'a, domniemywał, jakiego lania się jutro doczeka.

Szkot głośno ziewnął i oderwawszy oczy od książki, spojrzął na zegar ścienny – prezent pożegnalny od kolegów ze służby. Do ósmej została jedna minuta. Zaraz zacznie się wieczorny przegląd. Mabrey zagiął róg kartki i zamknął książkę. Wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu kapelusza.

Dzwony kościoła Świętego Kazimierza zaśpiewały miedzianymi głosami, w mgnieniu oka zagłuszając skłóconych urzędników w ratuszu. Za chwilę odpowiedziały im inne kościoły w mieście. Donośny dźwięk dzwonów niczym fale popłynął przez Wilno, doleciał nawet do wzgórza, na którym stała Emilia. Spojrzała na płaczące niebo, po czym odwróciła się w stronę swoich celów – ponurych budynków, które w czasie ulewnego deszczu wyglądały jeszcze bardziej złowieszczo. Ale kobieta wiedziała, że bomby są bezpieczne. Nowowilejsk za moment wyleci w powietrze.

Uniosła nad głowę kamerton w kształcie litery U i uderzyła w niego srebrną różdżką. Instrukcje Kniazia były bardzo jasne: wystarczy potrącić dwa razy i uciekać, nie wolno czekać na rezultat – podobno to zbyt niebezpieczne. Emilia uderzyła w kamerton po raz drugi.

Niewidzialne fale dźwiękowe rozpierchły się we wszystkie strony, biegly do swoich adresatów. Dno szklanych rurek brzęknęło i pękło, a fioletowa galaretka zaczęła wdzierać się do środka glinianych kul. Emilia wskoczyła do karety.

– Jedź! – krzyknęła do kierowcy.

Powóz zacharczał i potoczył się drogą prowadzącą do Wilna.

Nie zwracając uwagi na deszcz, kobieta wystawiła głowę za okno i spojrzała do góry – gdzieś tam nad Wilnem unosił się „Parsifal”. Schowała głowę, odwróciła się i przez tylne okienko zobaczyła oddalający się Nowowilejsk. Czas biegł bardzo wolno, jakby sekundy stały się minutami.

Galaretka dostała się do środka kul i właśnie mieszała się z chemikaliami przygotowanymi przez Kniazia wedle jego własnej tajnej receptury. Kule zaczęły drgać.

Starszy lekarz nowowilejskiego szpitala właśnie szykował się do opuszczenia gabinetu. Zatrzymał się jednak w drzwiach i spojrzął na stół, po

czym zawrócił i podszedł do niego...

W tym momencie nastąpiła eksplozja.

Fala wybuchu powaliła budynek jak podmuchi wiatru zniszczyłby domek z kart, wyrzuciła pacjentów z łóżek niczym lalki, wybiła okna szpitala.

Pozostałe trzy kule eksplodowały dokładnie w tej samej chwili. Cztery fale wybuchowe obijały się jedna o drugą, niczym promienie nowo narodzonej supernowej rozprzeczły się wokół, po drodze zmiatając z powierzchni ziemi wszystko, na co się natknęły. Tłukły się szkła, pękały kominy fabryk, pojedyncze cegły latały jak oszalałe, wokół rozbrzmiewały jęki i krzyki. Nowowilejsk runął niczym zamek z piasku rozmyty przez morską falę.

Kareta Emilii mknęła ile sił w kotle parowym, lecz bezlitosna fala wybuchów i tak ją doganiała.

– Szybciej! – krzyknęła, przypomniawszy sobie ostatnie słowa wypowiedziane przez Kniazia: „Musicie być bardzo szybcy, bardzo”.

„Czy on aby na pewno nie pomylił się przy liczeniu sążni?”, pomyślała Emilia, gdy fala gorącego powietrza dogoniła karete, uniosła ją w powietrze, przewróciła i cisnęła na pobocze. Drobinki okien wbiły się w jej delikatną skórę twarzy, kilka szkieł drasnęło ją w gardło.

W Wilnie nagle rozległo się dziwne dudnienie, zadrżały szyby okien ratusza, zakołysał się wielki żyrandol w sali ratuszowej. Uczestnicy Szczytu doskoczyli do okien.

– A to co znowu? – jęknął burmistrz Wensławski-Wenskus.

Bacniejsze oczy od razu dostrzegły dziwną czarną chmurę, to zagęszczającą się, to rozrzedzającą z powodu deszczu. Sala zabrzęczała i zaszumiała. Delegaci przekrzykiwali się i podskakiwali, by lepiej widzieć.

– Co jest z tej strony? – wrzasnął któryś z gości.

– Niechrzty – wybełkotał Wensławski-Wenskus stojący na krześle. – I... Markucie... siedziba wskrzesicieli... Co oni tam...

– Może spadł sterowiec? – jęknął ktoś. – Może to „Parsifal”? Na niebie go nie widać. A ten huk...

Wensławski-Wenskus złapał się za głowę, o mało nie runął z krzesła. Trzasnęły drzwi i kilku polityków zaczęło wydawać polecenia adiutantom czekającym na korytarzu. Tam również podniosła się wrzawa.

Na twarzy barona Rothschilda pojawiły się głębokie zmarszczki, oczy błysnęły mu ponuro. Przywódca Aliansu, który wiele już widział i doświadczył, czuł, że zbliża się jakaś tragedia. Gdyby przyjrzał się uważnie twarzom delegatów, z pewnością zauważyłby jednego człowieka, na którym

dziwne zdarzenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Rosyjski minister spraw zagranicznych spokojnie pstryknął wieczkiem zegarka kieszonkowego i wsadził go sobie do kieszeni.

Do sali wbiegł spocony łącznik, wymachując kartką papieru.

– Ekstradepesza! Do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, waszej dostojności Aleksandra Lamsdorfa.

– Jestem tutaj – odpowiedział Rosjanin i wyciągnął kartkę z ręki gońca. Rzucił na nią okiem i nagle jego twarz spochmurniała. Podniósł głowę, objął wzrokiem salę, utrzymując dramatyczną minę. Nie na darmo poszły lekcje w miejscowym teatrze.

Wszyscy ucichli.

– Dwie minuty temu bez ostrzeżenia i bez powodu został zaatakowany Nowowilejsk, miasto należące do imperium rosyjskiego. Zostały na nie zrzucone cztery bomby, jest wielu martwych, rannych. Szpital, koszary i jeszcze kilka budynków zostało doszczętnie zniszczonych. Według wstępnych danych zaatakowano z powietrza.

– Co!?! – ryknął ktoś z obecnych.

– Atak z powietrza – niespiesznie powtórzył Lamsdorf. – Z tego co wiem, jedyny wojskowy statek powietrzny wiszący nad Wilnem i mogący osiągnąć Nowowilejska to „Parsifal”.

Spojrzenia wszystkich polityków skierowały się na pruskiego ministra wojny von Einema. Jego twarz natychmiast nabrzmiała czerwienią.

– Wy chyba kompletnie postradaliście rozum, Lamsdorf! – ryknął. – Myślicie, że...

– Sam się wydałeś, parszywcu! – zawył rosyjski dyplomata. – Oto po co wam potrzebna latająca forteca! Żeby zademonstrować swoją siłę! Zastrany ten wasz pokój!

– Panowie, panowie! – próbował uspokajać baron Rothschild, ale Rosjanin go nie słuchał.

– Bez powodu, bez ostrzeżenia zaatakowaliście niewinne miasto imperium rosyjskiego! – ryczał. – Zbombardowaliście szpital!

– Szaleniec! – szczeknął von Einem.

Lamsdorf zacisnął pięści i doskoczył do niego, lecz burmistrz Krakowa i posłaniec tureckiego sultana zwinnie wcisnęli się między spierających się mężczyzn. Rosjanin nie zamierzał odpuścić.

– Mówicie, że Niemcy chcą pokoju? Łżecie! Na co wam pokój, skoro macie „Parsifala”? Myślicie, że wystraszy nas cień waszej fortecy czy kilka bomb?

Myślicie, że Rosja jest bezzębna? Mylicie się, Niemcze! – wrzeszczał, plując śliną. – Nie wierzycie? – Odepchnął burmistrza Krakowa i doskoczył do okna. – Proszę bardzo! – Wymierzył palcem w niebo. – Co powiecie teraz?

Niebo przeszła błyskawica.

– Panie najświętszy! – jęknął burmistrz Wensławski-Wenskus.

– Panie najświętszy! – zawtórował mu dyspozytor wieży nawigacyjnej Wyścigowego Portu Lotniczego i ze wszystkich sił zaczął kręcić korbką sygnału niebezpieczeństwa.

Wycie rozdzierające serce niczym nóż przeszło miasto. Mieszczanie zaczęli się rozglądać, z karczm na ulice wylali się ludzie, jedni drugich wypytywali, co się dzieje, dlaczego wieża ogłasza alarm. Lecz gdy wzniesli oczy do nieba, sami wszystko zrozumieli.

– Rosja nigdy nie pozostaje dłużna! – wykrzyczał triumfalnie Władimir Lamsdorf.

Niewiarygodnie wielki sterowiec przebił powłokę chmur i zawisł nad Wilnem. Spod olbrzymich śmigieł tryskały fontanny pary.

Dyżurni w wieży nawigacyjnej doskoczyli do binokli. Na podłużnej, obitej metalem kopule dojrzeli kilka wojskowych biplanów, dookoła których kręciły się małe punkciki.

– Koniec świata! – Burmistrz Wensławski-Wenskus złapał się za serce.

– Ludzie na kopule sterowca?! – Dyspozytor z wieży nawigacyjnej rozdziawił usta.

Do wolnego Wilna przybył „Ilja Muromiec”.

Syreny wciąż wyły. Dyspozytor próbował jasnymi sygnałami świetlnymi odwrócić uwagę sterowca, lecz groźny podniebny olbrzym, duma imperium rosyjskiego, kompletnie na nie nie zważał.

W tym czasie na mostku „Parsifala” pokazał się kapitan okrętu. Wydał kilka poleceń i latająca niemiecka forteca uzbrojona w działa, która do tej pory wisiała wysoko nad Wilnem, poruszyła się w kierunku „Muromieca”.

„Gwiazda Świętego Jerzego” w tym czasie stacjonowała w Wyścigowym Porcie Lotniczym. Gorączkowo popuszczano już przytrzymujące ją cumy, żeby statek mógł się wznieść. Alchemik sterowca usadził się na krześle, kręcił uchwytami, pospiesznie mieszając prometyl z innymi ważnymi składnikami. Kapitan Milton Mabrey stał przy sterze, za jego plecami zastygł Edward O’Braitis. Załoga „Gwiazdy” osłupiała na widok wynurzającego się z ciemnych przestworzy rosyjskiego olbrzyma, ale ten zastój trwał tylko kilka uderzeń serca. Natychmiast zapomnieli o Finleyu, gdy Mabrey zaczął

komenderować i załoga gotowała się do bitwy.

– Tu kapitan – powiedział Mabrey do rury umożliwiającej komunikację. – Wznosimy się i cała naprzód, panowie. Pokażmy, kto tu rządzi!

Plotka o bitwie nad Wilnem rozprzestrzeniła się szybciej niż pożar. Ludzie zalali ulice, młodszy i żwawszy wspinali się na drzewa, wdrapywali się na dachy. Wszyscy, trzymając się za głowy, gapili się w niebo, gdzie w ulewnym deszczu, w fantasmagorycznym tańcu wśród piorunów, kręciły się dwa podniebne olbrzymy.

Z Wyścigowego Portu Lotniczego dochodził promień białego światła – zbliżał się brytyjski sterowiec „Gwiazda Świętego Jerzego”.

W ratuszu panował chaos. Świty rosyjskich i niemieckich dyplomatów były oblegane przez tłumy ludzi, którzy gestykulując rękoma, krzyczeli jeden przez drugiego. Pruski minister wojny von Einem był wyraźnie skonsternowany. Rosyjski minister spraw zagranicznych z zadowoleniem szczyrzył zęby. Baron Rothschild i miejski radny finansów Gerhard von Otto zwarli głowy i szeptali między sobą. Burmistrz Wilna Wensławski-Wenskusz chciał coś powiedzieć, zrobić coś, żeby powstrzymać to szaleństwo, ale język miał jak z drewna, nogi i ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Widząc bezradność burmistrza, Piotr Wilejszys i radny kierunku Fiodor Szczerbakow zaczęli działać sami.

– Panowie, czy wy rozumiecie, co robicie? – ryknął na całe płuca Wilejszys, starając się przekrzyczeć hałas i gestykulując metalową ręką. – Chcecie sobie powojować setki tysięcy ludzi nad głową? Czy dociera do was, co się stanie, jeśli którykolwiek z waszych metalowych potworów spadnie na Wilno?

– Oni pierwsi rozpoczęli działania wojenne. W Nowowilejsku jest już mnóstwo ofiar – ryknął Lamsdorf, wymachując kolejną depeszą.

– Oszałeliście! – odciął się von Einem, również trzymając w ręce depechę. – To najnowsze wieści z „Parsifala”. Oni niczego nie bombardowali!

– Łżecie! – wykrzyknął Rosjanin.

Kapitan niemieckiego wojskowego sterowca „Parsifal” był skonsternowany. Już trzeci raz prosił pruskiego ministra wojny von Einema o wytyczne, lecz jak dotąd nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

Tymczasem rosyjski „Ilja Muromiec” trwał w gotowości do bitwy.

– Daj ostrzegawczy! – spokojnie rozkazał Golicyn kapitanowi „Muromieca”.

– Ostrzegawczy, kwadrat siedem cztery cztery jeden! – ryknął do rury kapitan okrętu powietrznego.

Po chwili jedno z dział rosyjskiego sterowca obróciło się i błysnąwszy ogniem, wypluło pocisk. Ten poleciał w stronę niemieckiej powietrznej fortecy i wybuchł w powietrzu, zasypując niebo fajerwerkiem dymu.

Kwadrat, w który celowano, znajdował się dość daleko od „Parsifala”, jednak siła uderzenia go dosięgnęła, sterowiec przechylił się na bok. Żołnierze ze statku powietrznego, którzy nie zdążyli się złapać poręczy, przewrócili się i zjechali w stronę burty. Nawigator zaczął wykrzykiwać stopnie kompensacji kąta nachylenia, a sternik gorączkowo kręcił kołem.

Tłum na ulicach wydał z siebie jęk przerażenia. Bardziej przewidujący już zaczęli pojmować, czym się to wszystko może skończyć, i zaczęli rozglądać się za bezpiecznym schronieniem.

– *Donnerwetter!* – zaklął kapitan niemieckiego sterowca. – Do pioruna! Gdzie wytyczne, co mamy robić? Wyślij jeszcze jedną depeszę! – rozkazał łącznikowi. – Migiem! Jeśli za chwilę nie dostanę odpowiedzi, będę działać wedle własnego uznania. Artylerzyści, przygotować się do bitwy!

– Dobry strzał, zuch chłopcy! – Golicyn cmoknął z uznaniem, klepiąc kapitana „Muromieca” po ramieniu. – A teraz biplany!

– „Witiazie”, uwaga! Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, przygotować się do startu! – rozkazał kapitan.

Po drugiej stronie „Muromieca”, w wieżyczce, dyżurny matros z ochronną maską na twarzy zaczął wymachiwać dwiema czerwonymi flagami. Piloci podnieśli pięści, dając znak, że zrozumieli polecenie, zaciągnęli gogle na oczy i włączyli silniki samolotów.

– Wy jesteście temu winni! – Lamsdorf wbił palec von Einemowi w klatkę piersiową.

– Od winnego to ja słyszę teraz obelgi! – odparł pruski minister wojny.

Podskoczył do niego adiutant i wręczył mu najnowszą depeszę.

– „Parsifal” z niecierpliwością czeka na wytyczne – szepnął ministrowi do ucha.

Niemiec odruchowo złapał się za wąsy i zaczął nimi nerwowo kręcić.

– Rosjanie są już gotowi do wypuszczenia biplanów! – ryknął ktoś, wbiegłszy do sali.

Von Einem natychmiast podjął decyzję. Nie odrywając wzroku od Lamsdorfa, zaczął dyktować adiutantowi rozkaz.

Rosjanin nie słyszał jego słów, ale wyraz twarzy von Einema pozwolił wszystko zrozumieć. Lamsdorf z drwiną patrzył na przeciwnika. Finał tej intrygi zależał od ruchu pruskiego orła wojennego.

– Użyć całej możliwej siły. Obezwładnić wroga, a jeśli będzie taka potrzeba... zabić – dyktował von Einem.

W tym momencie do gry włączył się baron Rothschild. Podskoczył do kręcącego się po sali porucznika Legionu Wileńskiego, Wielholskiego.

– Proszę pojmać tych dwóch. – Palcem wskazał na Lamsdorfa i von Einema. – Natychmiast.

Porucznik się zawahał.

– Ministrów? Pojmać?

– Wykonać!!! – zaryczał baron.

Porucznik Wielholski machnął do dwóch stojących przy drzwiach legionistów.

Rosyjskie biplany, malutkie „Witiazie”, nabrały prędkości i z gracją oderwały się od pasa startowego „Ilji Muromieca”.

Kapitan niemieckiego sterowca odwrócił się do łącznika.

– Przyszedł rozkaz?

Łącznik pokręcił głową.

– Biplany wystartowały – poinformował nawigator „Parsifala” lodowatym głosem. – Zmierzają w naszą stronę.

Kapitan zacisnął zęby.

– Sami się prosili – wymruczał. – Kurs dwa siedem cztery – rozkazał nawigatorowi i złapał za rurę komunikacyjną. – Dział maszynowy, naprzód, z pełną prędkością. Dział zbrojeniowy, naszykować koordynaty do salw. Słuchać moich rozkazów.

Piloci rosyjskich biplanów położyli dłonie na spustach karabinów maszynowych.

Legioniści porucznika Wielholskiego przedzierali się przez tłum w stronę pruskiego ministra wojny von Einema i rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Lamsdorfa. Tysiące gapiów na ulicach wstrzymało oddech.

Latająca niemiecka forteca „Parsifal” zaczęła się przekreślać na bok, czekając na nadlatujące rosyjskie biplany.

– Uwaga! – wykrzyknął kapitan „Parsifala”. – Dział zbrojeniowy...

– Ognia! – rzekł spokojnie Milton Mabrey. – Do wszystkich strzelców: ognia!



Z obu dział „Gwiazdy” posypały się salwy pocisków sygnałowych załadowanych alchemiczną mieszanką. Nagle niebo nad Wilnem zajaśniało jak w letnie południe. Brytyjscy artylerzyści ledwo zdążyli skorygować kierunek celów – wymierzili tak, by pociski wybuchły obok lub między rosyjskim a niemieckim sterowcem, ale żeby nie trafiły w żaden z nich.

Jeden pocisk, błysnąwszy oślepiającym światłem, wybuchł przed mostkiem kapitańskim rosyjskiego „Muromieca”. Golicyn i kapitan sterowca przykucnęli zaskoczeni.

„Gwiazda Świętego Jerzego” wpłynęła między malutkie biplany, a te, niczym wróble wystraszone przez jastrzębia, pouciekały z pola widzenia. Jednak znalazłszy się pomiędzy latającą niemiecką fortecą a dumą imperium rosyjskiego „Ilją Muromiecem”, brytyjska „Gwiazda” wyglądała jak zabaweczka. Salwy wystrzelone zarówno z niemieckich, jak i rosyjskich dział sterowców z łatwością zrobiłyby z niej sito.

– Tu korweta Królewskiego Korpusu Powietrznego Armii Brytyjskiej „Gwiazda Świętego Jerzego”! – zadudnił głos kapitana Mabreya wzmocniony przez potężną syrenę. Jego słowa w tym samym czasie zostały przekazane bezprzewodnikiem do obu okrętów i do znajdujących się na ziemi posterunków. – Do „Parsifala” i „Ilji Muromieca”! Znajdujecie się w przestrzeni powietrznej wolnego miasta Wilna, którą wedle generalnej umowy z miastami Aliansu ochrania i której broni imperium brytyjskie. Wasze pojawienie się tu i czynności wojskowe nie były uzgodnione, więc są bezprawne. Jakakolwiek agresja względem siebie nawzajem czy wobec miasta będzie rozumiana jako bezpośredni atak na imperium brytyjskie.

– I co dalej? – zapytał stojący obok O’Braitis, gdy kapitan zamilkł.

– Cierpliwości, chłopcze – mruknął Mabrey. – Zaraz zostanie z nas tylko mokra plama. Jeśli jesteś wierzący, możesz zacząć się modlić.

Rosyjskie „Witiazie” znów odzyskały odwagę i teraz niczym rekiny kręciły się po szerokim kole wokół „Parsifala”.

Kapitan niemieckiej fortecy przetarł czoło dłonią. Nadal nie wydał polecenia do ataku. Golicyn uśmiechał się pod wąsem, jakby usłyszał przed chwilą świetny dowcip.

– Panowie, w imieniu burmistrza wolnego miasta Wilna jesteście zatrzymani. – W ratuszu wyprostowany po wojskowemu legionista Michał Wielholski stał przed delegatami z Niemiec i Rosji.

– Co proszę? – krzyknęli jednym głosem von Einem i Lamsdorf.

– Że jak? – Burmistrzowi opadła szczęka.

Zza pleców porucznika Wielholskiego wynurzył się baron Rothschild.

– Natychmiast rozkażecie swoim maszynom wojskowym, żeby skończyły ten cyrk. W przeciwnym razie zostaniecie pojmani i osądzeni według alianckiego prawa.

– Chyba macie coś nie tak z głową, baronie? – ryknął von Einem. – Nas nie można pojmać, jesteśmy dyplomatami. Mamy immunitet!

– I co z tego? – Rothschild machnął ręką. – Nie pozwolę rozpocząć wojny nad Wilnem. Poruczniku, wykonać rozkaz.

Wielholski położył ciężką dłoń na barku von Einema, a pozostali dwaj legioniści stanęli po bokach Lamsdorfa. Pruski minister odwrócił się do swojej asysty – trzech mężczyzn w mundurach – lecz i oni zostali już otoczeni przez wileńskich legionistów. Wyglądało na to, że szykował się potężny skandal.

Von Einem wściekle zaświszczał przez nos i zazgrzytawszy zębami, odwrócił się do swojego pałętającego się bezradnie adiutanta.

– Czym prędzej przekażcie „Parsifalowi”, żeby się wycofali, mają natychmiast opuścić wileńską przestrzeń powietrzną – rozkazał stłumionym głosem i prowokująco spojrzął na Lamsdorfa.

Ten z dumą pochylił głowę i zwrócił się do swojego adiutanta:

– Bądźcie tak mili i przekażcie „Muromiecowi”, aby zawrócili wszystkie biplany i wycofali się z wileńskiej przestrzeni powietrznej.

Adiutanci zniknęli z ratusza w okamgnieniu.

Minister von Einem strącił sobie z ramienia rękę porucznika Wielholskiego i powoli rozejrzał się po wszystkich zebranych, po czym wbił wzrok w Natana Rothschilda.

– „Parsifal” nie zbombardował Nowowilejska – wycedził przez zęby. – Ale my z pewnością wyjaśnimy, czyja to sprawa. A wy, baronie, popełniliście wielki błąd, grożąc mnie, pruskiemu ministrowi. Niemcy wam tego nie zapomną. I nie myślcie, że następnym razem znów obroni was jakaś rozpadająca się brytyjska łajba. Do szybkiego zobaczenia. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali.

Za nim pośpieszyła i jego obstawa.

Lamsdorf dramatycznie wyciągnął rękę.

– Co? – ryknął. – I wy, baronie Rothschildzie, pozwolicie temu człowiekowi wyjść stąd jak gdyby nigdy nic? A kto odpowie za wybuchy w Nowowilejsku? Za krew i łzy niewinnych ludzi? Poza tym, baronie –

Lamsdorf troszeczkę obniżył głos – chcieliście mnie pojmać. Mnie! Rosyjskiego ministra spraw zagranicznych! Takie postępowanie nazywacie w Aliansie słusznym? Jeśli tak, panowie, to Rosja w takie gry grać nie zamierza! Sami znajdziemy i ukarzymy winnych. Żegnam! – Rosyjski poseł zamaszystym krokiem opuścił salę.

Niedługo potem „Witiazie” jeden za drugim wylądowały na pokładzie „Muromieca”. Przerazający rosyjski sterowiec okrył się kłębamii mgły i zaczął powoli się wznosić – zmniejszał się i zlewał z niebem, aż w końcu całkiem zniknął.

Latająca niemiecka forteca zamknęła luki armatnie i powoli się obracając, zaczęła się opuszczać w kierunku Wyścigowego Portu Lotniczego. Karl von Einem wysłał do statku powietrznego depezę, w której nakazał czym prędzej odebrać go z lotniska i dopiero wtedy opuścić Wilno.

Kwadrans później nad miastem wisiała już tylko „Gwiazda Świętego Jerzego”. Wilnianie zaczęli się rozchodzić, żywo omawiając niewiarygodny spektakl. Deszcz się uspokoił i jakby na pożegnanie zagrzmiał oddalający się grom.

Baron Natan Rothschild ciężko westchnął. Zawsze twierdził, że pożytek ze spotkania na Szczycie będzie marny.

– Przynajmniej uniknęliśmy wojny – mruknął.

– Dzisiaj tak – zauważył sucho minister spraw zagranicznych imperium brytyjskiego, lord Petty-Fitzmaurice.

– Skoro chwile grozy mamy już za sobą, może moglibyśmy kontynuować temat kolei? – Przedstawiciel Imperium Osmańskiego Izzet Pasza Al Abed radośnie potarł dłonie.

Wilno,  
zachód słońca  
26.04.1905

Po burzy zawsze wychodzi słońce. Gromy odeszły wraz z deszczem na południe, pozostawiając mieszczanom rześkie powietrze i pełne kałuż chodniki. Szalejący wiatr zdrapał powłokę chmur, by zachodzące słońce mogło po raz ostatni dziś pomachać zbierającym się na ulicach tłumom. Mokra dachy miasta i wieże kościołów wyglądały jak pozłacane, oczy kaukasów Dominium Uniwersyteckiego zalały się sztuczną krwią, na Paromieściu oślepiająco błyszczała kopuła wieży Gildii Mechaników.

Uradowani taką zmianą pogody alchemicy krzatali się na Górze Bekieszowej – żywo omawiając dopiero ujrzaną niewiarygodną bitwę nad Wilnem, zaczęli ładować przytaszczone tutaj pudła z fajerwerkami, żeby zdążyć przygotować się na czas do parady świateł o północy, tradycyjnie wieńczącej Szczyt.

W tym krótkim czasie, do zachodu słońca, miasto stało się trochę inne niż zwykle – jaśniejsze, wyraźniejsze, czystsze. Wreszcie jednak słońce posłało ostatnią wiązkę promieni i zanurkowało za widnokregiem. Jakby ogłaszając koniec spektaklu, zasłona z chmur zaciągnęła się i nad miastem zapanował zmierzch.

Lecz Wilno nie zamierzało tonąć w ciemności. Na ulice wysypali się latarnicy, którzy zapalali latarnie gazowe, a grupa gapiów podbiegła do dopiero co stworzonej przez alchemików Dominium Uniwersyteckiego reklamy tabaki – tańczącego płomienia, przedstawiającego wijącą się piękność przygryzającą cygaro. Lamy wywiesiły również karety parowe, kierowcy dyliżansów i maszyniści tramwajów. Przyjemne światło dobiegające z karczm, zajazdów i restauracji kusiło, by zejść do środka, przez okna domów pobłażliwości, zasłonięte ciężkimi aksamitnymi zasłonami, również przebijały się intymnie przygaszone światełka. W koronach stuletnich lip na prospekcie Świętego Jerzego zabłysły sztuczne robaczki świętojańskie – jeszcze jeden prezent dla miasta od alchemików Dominium Uniwersyteckiego. Wieża nawigacyjna wypuściła szeroką wiązkę żółtych promieni – powiadomiła, że

jest gotowa przyjąć opóźnione z powodu burzy sterowce z Pragi i Rewla. Na placu Katedralnym trupa Truzzio po raz ostatni pokazała swój spektakl, po przyjemnie oświetlonych ulicach Zamkowej i Wielkiej w tę i z powrotem kręcili się spacerowicze.

W ratuszu świeciło się we wszystkich oknach. Po ciężkim i męczącym dniu, po „bitwie nad Wilnem”, jak plotkarze nazwali starcie „Parsifala” i „Ilji Muromieca”, które napędziło mieszkańcom wolnego miasta niezłego stracha, odbyło się jeszcze jedno spotkanie. Tym razem bardzo uroczyste. W negocjacjach nie posunięto się ani o milimetr, nie podjęto żadnej decyzji, nawet w sprawie kolei hidżaskiej, na której tak zależało Paszy Al Abedowi. Uczestnicy spotkania na Szczycie znaleźli wspólny język dopiero przy suto zastawionym stole. Ani pruski minister von Einem, ani rosyjski minister spraw zagranicznych Lamsdorf nie pojawili się na uczcie.

Von Einem przebywał już w oddalającej się od Wilna latającej fortecy i ze zmarszczonymi brwiami spoglądał przez iluminatory. Gdzie się udał Lamsdorf, nie wiedział nikt. Według jednych liczył szkody zadane Nowowilejskowi, według drugich siedział w pociągu do Sankt Petersburga.

Im dalej od głównych arterii, tym robiło się ciemniej – wąskie uliczki oświetlała jedna czy druga latarnia gazowa i światło, które z trudem przebijało się przez brudne okna gospód. Za Niechrtami, bliżej Popławów, było ciemno choć oko wykol. Sterczało tu wiele opuszczonych magazynów, zapomnianych, chwiejących się chałup, a ulice prowadziły donikąd. Pozostała tu jedna latarnia gazowa, ale oświetlała tylko kręcące się muszki i marny kawałek bezimiennego placu otoczonego przez opuszczone budynki.

Dla organizatora zamieszek, takiego jak Misza Susłow, podobne miejsce wydawało się idealne. Siedział na trawie pod jedyną latarnią, w rogu placu, zamyślony skubał słonecznik i wypluwał łupinki na ziemię. Za jego plecami usadowili się dwaj rośli ochroniarze, zaufani ludzie, którzy towarzyszyli mu w niejednych zamieszkach.

Po zaznanych dziś niepowodzeniach Susłow był wściekły. Potwornie wściekły. Wszystkie jego starania poszły psu w zadek. Zamiast „Wileńskiej Prawdy” na ulicach pojawiły się „Wileńskie Wieści” i zostały natychmiast rozprowadzone, strajki się nie odbyły, choć plan wydawał się doskonały, poza tym pojmano i wywieziono do Słuszków trzech drogo opłaconych aktywistów. Mało tego, na pierwszej stronie nowej gazety Susłow prezentował się w pełnej krasie. A Misza nie mógł znieść publiczności. Marsz matek również się nie udał.

– Przekłęci białokrzyżowcy – złościł się Susłow – tak łatwo wystraszyli te kozy.

Postanowił następnym razem wykorzystać moc religii, która okazała się nad wyraz skuteczna, choć tym razem była to już musztarda po obiedzie. Może jedynie „bitwę nad Wilnem” mógł nazwać pomyślną, tylko że przy niej akurat niczym się nie zasłużył. Siedział potwornie wściekły. I gotów zorganizować taką nocną zabawę, jakiej Wilno dawno nie widziało. Zleceniodawcy nie popuszczą mu za niepowodzenia, ale przynajmniej serce się poraduje.

Właśnie dlatego przyszedł na bezimienny plac, dlatego siedział pod jedyną latarnią. Oczywiście najpierw zbadał okolice, rozstawił swoich ludzi. Czekał już tylko na partnera, z którego doświadczenia zamierzał skorzystać.

– Idzie – zadudnił jeden z ochroniarzy i machnął ręką.

Mimo panujących wokół ciemności Susłow od razu rozpoznał człowieka zbliżającego się niezgrabnym krokiem. Król wileńskich zbrodniarzy – Maciej Lewy. Misza wytarł sobie ręce o spodnie i podniósł się z trawy. Dziwił się, dlaczego całe Wilno kłania się takiemu typowi – małemu, grubemu, z rzadkimi włosami i do tego kalece. „Jaka wieś, tacy i bandyci”, pomyślał Rosjanin.

– Miło waćpana widzieć.

– Obietnica droższa od pieniędzy. – Maciej Lewy wzruszył ramionami. – Mówiłem, że przyjdziemy, więc oto i jesteśmy.

Z uliczki, którą nadciągnął Lewy, wynurzyło się sześciu mężczyzn i z szacunkiem zatrzymało na kilkanaście kroków od swojego herszta. W bladym świetle błysnęły wsadzone za pas noże i obite metalem kije oraz założone na knykcie metalowe kastety.

– Widzę, że jesteście nastawieni na poważną bitwę – zachichotał Susłow, mierząc wzrokiem nieliczną grupkę.

Następnie wsadził do ust dwa palce i gwizdnął przeciągle. Na skrajach placu coś zaszeleściło i w pustych zagłębieniach okien i drzwi okolicznych domów pojawili się mężczyźni. Pomachali podniesioną bronią i znów zniknęli.

– Dwunastu moich i sześciu waszych – powiedział Misza. – Tak jak się umawialiśmy.

– Tak jak się umawialiśmy. – Maciej Lewy skinął i ręką-hakiem podrapał się po podbródku. Na placu, oświetlonym przez ubogą latarnię, nawet i taki prosty gest wyglądał groźnie.

– Nie traćmy czasu – zaproponował Susłow, pocierając dłonie. – Wielu aż się prosi o czerwonego kura, a noc wcale już nie taka młoda. Wasi – skinął na

ludzi Lewego – niech pokazują, których głupców na Czerniach podsmażyć, a którym przedziurawić boki, może któremuś przyda się nożykiem przez gardło pociągnąć.

Maciej Lewy tylko ciężko westchnął i nic nie odpowiedział.

Cisza się przeciągała. Susłowowi wcale się to nie podobało, już zamierzał coś powiedzieć, lecz król zbrodniarzy w końcu przemówił:

– To są te środki dyscyplinarne? Surowe i konieczne, zdaje się, że tak mówiliście? – Lewy gapił się na swoje buty. – Nadeszła idealna okazja, by pokazać przybyszom, gdzie raki zimują. Przysmażyć ich? Czyż nie tak?

– Dokładnie – przytaknął Susłow i wyszczerzył się. – Jeden czy drugi pożar bardziej przemówią do rozumu niż wszystkie nauki katedralnych białokrzyżowców.

– W takim razie w porządku. – Maciej uniósł wreszcie głowę i podniósł metalową rękę.

Nagle przy opuszczonych domach coś zabrzmiało, zatrzeszczało, zagulgotało i kilka ciał ludzi Susłowa wyleciało przez okna, jak worki z kartoflami runęły na ziemię. Posypały się strzały – a po nich nastąpiła cisza.

Oczy stojącego pod latarnią Miszy Susłowa wytrzeszczyły się ze zdziwienia, a usta rozdziawiły. Ocknąwszy się w końcu, spojrzał w stronę, gdzie przed chwilą stali ludzie Lewego, lecz już ich nie było. Nad głową świsnęła mu cegła, posypały się skorupki i jedyna latarnia wyzionęła ducha. Susłow bezsilnie machał rękami zalany ciemnością. Usłyszał, jak tuż obok jęknął jeden ze strażników, jak zakaszał i zakrzuszył się drugi. Za plecami zaszeleściła trawa i ktoś w piorunującym tempie zarzucił Susłowowi na głowę mokry, śmierdzący oliwą worek. Zapalono zapałkę, materiał zapłonął. Przerażony Susłow ryknął na całe gardło, zdołał zedrzeć z siebie płótno, runął na czworaka i zaczął uderzać głową o ziemię. Na szczęście była jeszcze mokra i nie poparzył sobie twarzy. Gdy w końcu podniósł głowę z osmolonymi brwiami i przypalonymi włosami, zobaczył nad sobą kilku mężczyzn z pochodniami i uśmiechającego się Macieja Lewego. W zdrowej ręce trzymał grubą kopertę.

– Proszę – rzekł Lewy – trochę go podsmażyliśmy. Wystarczy, czy życzyacie sobie więcej? – Rzucił Susłowowi kopertę. – To są pieniądze twoich przełożonych, oddaj im je. Przekaż, że w Wilnie należy się trzymać naszych zasad. To bardzo nieuprzejme wciskać komuś swoje własne. A teraz wynos się, póki się nie rozmyśliłem. I pozdrów od nas swojego szefa.

Susłow wstał w milczeniu, spojrzał na kopertę, złapał ją i pokuśtykał w dal.

Gdy spowiła go ciemność, puścił się biegiem.

Maciej Lewy wskazał na dwóch ochroniarzy Susłowa leżących na trawie bez oznak życia.

– Uporządkujcie to tak, by nie zostały ślady – rozkazał swoim ludziom. – Legioniści niekoniecznie muszą wiedzieć o tym błahym nieporozumieniu.

Susłow biegł dopóty, dopóki starczyło mu tchu. W końcu zatrzymał się, schylił, podparł się rękoma o kolana i zaczął kasłać. Pomacał się po przypalonych włosach, wziął głęboki wdech, poczekał, aż serce przestanie mu walić, i podziękował szczęśliwej gwiazdzie. Nie spodziewał się, że uda mu się wyjść z tego bez szwanku.

– Mocny ten stary – zaburczał pod nosem. – Nie podejrzewałem nawet. Poczekaj no, jeszcze się policzymy! – zazgrzytał zębami.

Ale póki co należało uciekać z Wilna, zniknąć z oczu i legionistom, i bandytom, i tej suce Emilii, przeczekać gdzieś po cichu, aż wszystko się uspokoi, a potem się zobaczy.

Rozejrzał się. Uciekał, gdzie go oczy poniosły, nie wybierając ani dróg, ani zakrętów, nie miał więc pojęcia, gdzie się znalazł. Wilno zdawało mu się zawile za dnia, a co dopiero w nocy. Otaczały go ciemne podwórza, bramy i ciche zaułki. Dookoła nie było ani żywej duszy, tylko gdzieś w oddali grała muzyka. Zagryzł wargę. Plan miał prosty: iść w tę stronę, z której dobiegają odgłosy, znaleźć się na większej ulicy, złapać jakiś wóz, dostać się do Wyścigowego Portu Lotniczego i wsiąść do pierwszego odlatującego sterowca. Dokumenty i wiązanek banknotów miał w kieszeni. Najwyższy czas pomachać temu miastu na do widzenia.

Niespodziewanie coś zabrzączało, jakby na kamienny bruk spadł łańcuch. Susłow zamarł, wsłuchał się w dźwięki pustej ulicy ze zmrużonymi oczami. Znów zabrzączało i w ciemności zabłyśły dwa czerwone światełka. Zbliżyły się. Rosjanin zadrzał, zaczął się cofać.

W tej samej chwili wystrzeliły armaty i w nocne niebo nad Wilnem poleciało kilka pocisków alchemicznych fajerwerków. Po osiągnięciu najwyższego punktu, pociski wybuchły i deszcz kolorowych ogni posypał się na Wilno. Rozległy się zachwycone pomruki publiczności.

– Wspaniale, panowie! – krzyknął wesoło przewodniczący alchemików. – Uraczymy Wilno takimi sztucznymi ogniami, jakich miasto jeszcze nigdy nie widziało.

Susłow wrzasnął. Cienkim, łamiącym się głosem ryczał, póki nie zabrakło mu tchu. Gdy sztuczne ognie na chwilę przegoniły ciemność, ujrzał przed sobą



zwierzę.

– Wilk... wilk... z żelaza! – piszczał, idąc tyłem. – Ratunku! – krzyknął. – Ratunku! – wysapał, gestykulując rękoma, potknął się o kamień na bruku i uderzył głową o ziemię. Nawet nie przeczuwał, że stanie się pierwszą osobą, która zdąży nadać imię zwierzęciu z podziemi.

Metalowy potwór stanął parę metrów przed swą kolejną ofiarą i zwiesiwszy głowę, spojrział czerwonymi oczami na leżącego człowieka. Z niewiarygodną zwinnością doskoczył do niego, stalowa łapa opuściła się Susłowowi na klatkę piersiową, żebra połamały się z trzaskiem. Metalowa głowa obróciła się na bok.

– Nie!!! – wrzasnął Rosjanin, starając się zakryć twarz rękoma.

Głowa potwora zabujała się jak wahadło, paszcza się rozwarła i bestia poderżnęła Susłowowi gardło podwójnym cięciem od ucha do ucha. Tryskająca fontanna krwi ochlapała potwora, ciało mężczyzny zadrzało i się uspokoiło.

– Auuuuuuuuu!!! – przeciągle zawył Żelazny Wilk.

Na niebie znów zabłysnął pstrokaty deszcz sztucznych ogni. Potwór potrząsnął głową, odwrócił się i zniknął w mroku.

Wilno,  
północ  
27.04.1905

Antoni Srebro był jednym z nielicznych mieszkańców miasta, który nie widział „bitwy nad Wilnem”. W tym czasie znajdował się bowiem w podziemiach.

Coś głośno zadudniło mu nad głową, z sufitu tunelu posypały się grudki żwiru. Podniósł wzrok.

– Dość wcześnie zaczęli puszczać fajerwerki – zaburczał pod nosem i z troską spojrzął na swojego przewodnika.

Zakonnice wykąpały i przebrały Salomona (choć Srebro nie rozumiał, po co myć kogoś, kto wybiera się do kanałów), nakarmiły (chłopiec ledwo tknął jedzenie), napiły gorącą herbatą i kolejnymi eliksirami siostry Łucji, które miały utrzymać u chłopca stabilność emocjonalną w razie spotkania z potworem.

Legat kilkakrotnie zarzekał się, że do tego nie dojdzie. Salomon miał go poprowadzić tylko do dziury, przez którą wyszedł z podziemi, potem kawałek tunelami, by pokazać Antoniemu kierunek, a później chłopak zawróci do bezpiecznego schronienia. Legat samodzielnie sprawdzi podziemia bez niepotrzebnego ryzykanctwa.

Wyszli z przytułku jeszcze w czasie burzy, dotarli na Mokry Plac, gdzie czekała na nich karetka, i pognali na Niechrzty – do miejsca, gdzie potwór zabił Symaszkę. Przez całą podróż chłopiec nie odezwał się ani słowem. Legat również nie naprzykrzał się natarczywymi pytaniami, patrzył zamyślony przez okno dylizansu na podtopione ulice miasta.

Wejście do tuneli kanalizacyjnych znaleźli z łatwością. Legat przykucnął i obmacał wyłamane, a może pocięte pręty krat. „Ciekawe, czy kraty zostały wypchnięte już wcześniej, czy ktoś specjalnie zadbał o to, by potwór miał którądy wyjść na powierzchnię. I ile takich dziur jest w Wilnie?”, zastanawiał się Srebro. Zacisnął w dłoni niewielką lampę Volty, poklepał się po kieszeni, w której spoczywała manierka z whisky, a potem sprawdził, czy u boku wiszą mu mocny, ostro zakończony kij przeznaczony do obrony przed szczurami, o których opowiadał chłopiec, i jego ulubiony ciężki pistolet

o szerokiej lufie z legionowego składu broni. Na wszelki wypadek miał przygotowaną jeszcze jedną niespodziankę.

Legat spojrział na Salomona. Chłopiec zaglądał do ciemnej dziury.

– Nie boisz się? – Salomon wzruszył ramionami. – Poprowadzisz mnie? – Chłopiec zdecydowanie przytaknął. – W takim razie naprzód – rzekł legat, podniósł lampę, usiadł na skraju dziury i ześlizgnął się w wilgotną, śmierdzącą ciemność. Za nim podążył młody graficiarz.

Nie zauważyli, że w wileńskie podziemia zapuszczają się nie we dwoje, a we troje. W ciemności błysnął metalowy pyszczek. Ratus, brzęcząc pazurkami, podążył za światłem lampy.

– Uwaga! Inklinometr się pochylał. Ratus schodzi do podziemi – zameldował z podnieceniem brat Urt mistrzowi wskrzesicieli.

– Więc to tak... Wpełzasz do tuneli, legacie? – zamruczał starszy i zmrużył oczy. – Doprawdy, gdzież indziej mógłby się ukryć ten starzec Baltrus? Powinniśmy byli sami się połapać.

Brat Urt oderwał wzrok od elektrolabium.

– Jakie będą wytyczne, mistrzu? – spytał służalczo.

– Nie wolno zwlekać. Natychmiast wyślij feniksy. Nagroda musi przypaść nam, a nie jakiemuś urzędasowi. – Zatrzepotał połami płaszcza i wyszedł z pokoju.

Srebro wziął ze sobą do podziemi kawałek kredy, żeby się nie zgubić, na ścianach rysował kreskę wyznaczającą jego drogę, szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Stare tunele służyły niegdyś za więzienne cele, magazyny towarowe lub zbożowe i były niezwykle zawile, a teraz dodatkowo żłobiły je rowy kanalizacyjne, którymi spływały nieczystości. Gdzieniedzie pomieszczenia zmieniły się w doły z gnojówką. Salomon poszedł w złą stronę i skręciwszy za róg, o mało nie wpadł w taki dół. Szczęście, że Srebro zdążył złapać chłopca za kołnierz. Gdzieniedzie sklepienie tunelów było mocne, a gdzie indziej musieli przemykać pochyleni bądź szybko zanurkować, żeby na głowę nie spadły im sypiące się cegły. Legata gryzło sumienie, że ciągnie ze sobą chłopca, zamiast zostawić go w bezpiecznym miejscu, tak jak obiecał Małgorzacie, lecz bez jego pomocy nie dotarłby do wyznaczonego celu. Do tego przecucie nakłaniało go do pośpiechu.

Coś zachrobotło im pod nogami, coś przemknęło legatowi po butach. Zamachnął się w tył, wbił kolec w podłoże. Trafił. Podniósł zdobyc

i obejrzał ją. Skapywały z niej nieczystości pomieszane z krwią.

Szczury nie odważyły się zaatakować intruzów, wybrały sobie inny cel. Jeden z nich, wielki, gruby i doświadczony, radośnie zapiszczał, gdyż wyczuł łatwy łup – nadbiegającego, dużo mniejszego i wątlejszego szczura. Grubas wyskoczył do przodu, zamierzając wbić się w przybysza pazurami i ostrymi zębami.

Wskrzesciele dobrze obmyślili nawet sposób reakcji ratusa na wypadek zetknięcia się z prawdziwym gryzoniem. Pazury szczura z podziemi z chrobotem prześlizgnęły się po metalowym boku mechaszczura. Nie udało mu się też zaczepić o niego zębami. Ratus odwrócił się do napastnika, otworzył pyszczek i niczym szczurołap z Hameln wydał z siebie dźwięk słyszalny tylko przez gryzonie. Szczury z piskiem rozpierzchły się w różne strony, a mechaszczur spokojnie podążył dalej za swoim celem.

Salomon zatrzymał się nagle, zorientował się, że zbłądził. Drogę zagrodził im stos cegieł. Srebro zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd zapuścili się w podziemia. Godzina? Dwie? A może chłopiec wodzi go za nos?

Zawrócili, skręcili w prawo. Tunel stał się węższy. Niedługo potem legat zauważył jakieś przejście. Przekroczywszy je, znalazł się na korytarzu, po którego bokach były rozmieszczone liczne wnęki.

Zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni manierkę i upił kilka łyków. Płyn wypalił mu gardło i mężczyzna zakasłał. W tej samej chwili chłopiec złapał go za rękę, przyłożył palec do ust i machnął w lewo. Legat podniósł lampę. Zobaczył drzwi obite metalem. Schylił się do dziecka.

– To tu? – spytał, a gdy Salomon przytaknął, dodał: – Dalej pójdę sam. Ty się schowaj... – rozejrzał się – tam gdzie przecinają się tunele – machnął w stronę przejścia – i ani się rusz, zrozumiałeś? Niedługo wrócę. Tylko się rozejrzę i przyjdę po ciebie. A jeśli przez dłuższy czas się nie pokażę, wróc tą samą drogą, którą przyszliśmy, leć do zakonnic i wszystko im opowiedz. Jasne?

Salomon przytaknął i szybko poszedł do wnęki. Srebro przyciemnił lampę i ostrożnie pchnął drzwi. Uchyliły się odrobinę. Przyłgął do ściany i wsłuchał się. Dziwny szum. Ściskając w dłoni kij, pomału otworzył drzwi. Zajrzał do pokoju tonącego w półmroku. Ostrożnie wemknął się do środka.

Małe laboratorium oświetlała bladym blaskiem samotna lampa gazowa stojąca na stoliku w rogu pomieszczenia. Legat zgasił swoją lampę i rozejrzał się. W pokoju znajdowały się jeszcze dwie pary drzwi: jedne, obite żelazem, były zamknięte, drugie, za kratami – otwarte na oścież. Po boku poustawiano

kilka wąskich szaf z buteleczkami, obok nich, prawie na środku, stało łóżko. Na nim leżał człowiek. Legat podszedł bliżej. Głowa i nadgarstki tej osoby były owinięte kolorowymi kablami. Część dochodziła do wielkiej, cicho szumiącej maszyny stojącej na podgłówniku, część biegła do naczyń z bulgoczącym czarnym płynem, jeszcze inne kable ciągnęły się po podłodze. Oczy leżącego były zamknięte, ale gałki oczne pod powiekami szybko się poruszały. Całym ciałem wstrząsały delikatne dreszcze.

Srebro sprawdził puls. Serce człowieka biło jak oszalałe.

– Franciszek Baltrus – mruknął legat.

Obszedł łóżko, próbując dociec, jak działa i co pokazuje urządzenie, do którego podłączono mężczyznę, ale nic z tego nie rozumiał. Maszyna cicho brzęczała, jej wskaźniki skakały i trącały jakieś liczby.

„O co tu chodzi?”, zastanawiał się Srebro, patrząc na bladą twarz naukowca.

Podszedł do obitych drzwi i ostrożnie je uchylił. Wcisnął głowę do drugiego pomieszczenia i... rozdziawił usta ze zdumienia. Tam również urządzono laboratorium, ale nie było jakie! O takim marzył niejeden uczonec z Dominium Uniwersyteckiego. Pokój również tonął w półmroku, ale nie było w nim żywej duszy.

Srebro wrócił do pierwszego pomieszczenia, zamknął drzwi i podszedł do drugich. Tutaj ciągnęły się kable przyłączone do Baltrusa. Za zakratowanymi drzwiami mieścił się jeszcze jeden pokój, zupełnie ciemny. Srebro zapalił lampę, która oświetliła szerokie drewniane ławki – zwisały z nich skórzane kajdanki. Zapewne o tym miejscu opowiadał Salomon. Koniec pokoju został odgradzony podwójnymi kratami i zamieniony w klatkę, lecz teraz klatka była pusta, a kraty odsunięte. Kable ciągnęły się do jakiejś skrzynki stojącej na podłodze.

Srebro wsunął głowę do pokoju-klatki, ale niczego ciekawego nie zauważył. Pachniało metalem, olejem i czymś jeszcze. Może krwią? To, co trzymano w klatce, ani jedzenia, ani wody nie potrzebowało.

– Czas polowania – zaburczał pod nosem Srebro.

Zastanowiwszy się chwilę, wrócił do pokoju, w którym leżał Baltrus. Jego uwagę przyciągnął stolik, na którym stała lampa. Leżał na nim także brudny talerz, miska z resztkami zupy i kromka chleba, a obok spora chustka.

– Wałówka – mruknął Srebro. – Widać dobra cioteczka troszczy się o swojego Franciszka.

Na stoliku stała jeszcze buletka z przezroczystego szła, na dnie której

zostało trochę niebieskiego płynu. Wyglądało na to, że Baltrus coś zapisywał, gdyż z boku leżała sterta papierów. Legat podniósł kartki i znalazł pod nimi zeszytik w skórzanej okładce. Postawił lampę i otworzył go, rzucił okiem na kilka stron zabazgranych drobnymi literkami. Na niektórych widniały daty. „Czyżby Franciszek sporządzał dziennik?” Srebro wsadził go sobie za pazuchę. I nagle poczuł, że nie jest już sam.

– My również chcielibyśmy poczytać sobie to, co schowaliście za pazuchą – dobiegł go od futryny uprzejmy głos.

Legat podniósł głowę. Cztery cienie bezszelestnie wślizgnęły się do laboratorium. Dostrzegł krótkie płaszcze niekrępujące ruchów, kaptury zarzucone na oczy, rękawiczki na dłoniach i trzymane w nich błyszczące pistolety oraz pomarańczowe amulety na klatkach piersiowych, przedstawiające powstającego z popiołów ptaka.

Feniksy. Przyprawieni przez mechaszczura skrytobójcy należący do wskrzesicieli. Pojawiali się zawsze wtedy, gdy komuś kończył się czas i miał obrócić się w popioły.

– Bądźcie tak mili, połóżcie na stole to, co sobie przywłaszczyliście – poprosił jeden z nich. – I rzućcie pistolet. Tylko nie wykonujcie gwałtownych ruchów, bardzo proszę.

Legat wyciągnął zza pazuchy zeszytik i położył go na krawędzi stołu.

– Czy wiecie, kim ja jestem? – spytał spokojnie, rzucając pistolet na podłogę.

– Odsunięty od obowiązków szefem Legionu Wileńskiego – odpowiedział ten sam mężczyzna. – Człowiekiem, który z rozżalenia upił się i niechcący wpadł do Wilii. – Uniósł podbródek. – Podnieście rękę.

Srebro głośno westchnął.

– Cieszę się, że groźny legat wileński jest taki ugodowy – rzucił inny mężczyzna. – No już, rękę!

– Wedle rozkazu – odpowiedział Srebro i wykonał polecenie.

Coś pstryknęło i w obu jego dłoniach znalazły się niewielkie pistolety, które z rękawów wypchnęły sprytnie zamontowane sprężyny. Srebro skrzyżował ręce. Odgłos dwóch wystrzałów zlał się w jeden dźwięk. Feniksy nawet nie zdążyły jęknąć, dwa z nich już leżały na ziemi. Legat przeskoczył przez łóżko Baltrusa, ślizgiem dostał się w róg pokoju, gdzie stała metalowa szafa i kilka krzeseł. Jednak feniksy, pomimo że straciły dwóch ludzi, nawet się nie zawahały – w stronę legata poleciały dwie kule. Srebro poczuł gorąco w goleni i skrzywił się. Trafili go. Druga kula rykoszetem odbiła się od

metalowej szafy i świsnęła mu przed samym nosem. Jemu zostały tylko dwie, nie mógł spudłować.

Lufy broni obu feniksów skierowały się ku niemu.

Nie było już czasu, lecz wytrenowany żołnierz wcale go nie potrzebował. Wystrzelił z pistoletu, który trzymał w prawej ręce, i jednocześnie kopnął stojące obok krzesło. Jeszcze jeden feniks padł na ziemię, a stołek uderzył w nogi ostatniego żywego napastnika, który już pociągał za spust.

Ręka feniksa zbczyła pod wpływem uderzenia i tnąca kula wbiła się w ścianę tuż obok ucha Srebra. Broń ściskana przez legata w lewej ręce głucho zakaszła, wypływając ostatnią kulę. Czwarty skrytobójca runął na podłogę.

Srebro wypuścił powietrze z płuc i skrzywił się z bólu. Czuł, jak krew płynie mu po nodze. Nie tracił chwili, przeszedł nad ciałami i wybiegł z laboratorium szukać dziecka.

– Salomonie! – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. – Salomonie! – Cisza. – Małgorzata ukręci mi łeb.

Miał jednak nadzieję, że chłopiec w porę wyniósł się z kanału.

Wrócił do laboratorium. Wszedłszy do pomieszczenia, usłyszał dziwne sapanie. Jednym skokiem znalazł się przy łóżku Baltrusa i zaklął. Klatka piersiowa uczonego aż podskakiwała, a koło szyi powiększała się czerwona plama. Któraś kula odbita rykoszetem znalazła wygodny cel.

– Nie, nie, nie! – Srebro przycisnął ucho do klatki piersiowej Baltrusa.

Serce naukowca jeszcze biło, lecz z każdą sekundą słabiej. Legat pochylił się nad samą twarzą staruszka. Nagle oczy Baltrusa szeroko się otworzyły. Srebro drgnął.

– Ja... ja... go już nie powstrzymam – wysapał Baltrus. – Biada... Biada wszystkim. Ja miałem, rozkazałem... on miał wrócić do domu. Ale teraz... bardzo mi przykro... przekażcie opiekunowi... mnie... ja umieram.

– Jak go powstrzymać? Jak? – krzyknął legat, potrząsając starcem. – Jak wyłączyć potwora?

– Nijak – wysapał Baltrus i wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Maszyna na podgłówniku po raz ostatni pisnęła i również ucichła.

W tej chwili metalowy potwór przemieszczający się podziemnym tunelem stanął jak wryty. Rozkaz brzmiący w jego głowie ucichł. Wszędobylskie szczury z zainteresowaniem wbiły oczka w dziwnego intruza o krwawej paszczy, lecz nie ważyły się zbliżyć.

Żelazne monstrum powoli pokręciło głową. Jego pysk uniósł się do góry jak

u łapczywie wężącego głodnego wilka. Upiór czekał na polecenie. Jednak w jego głowie nie zabrzmiał żaden rozkaz, skierował więc wzrok do najbliższej studzienki, przez którą było widać niebo. Żywa część jego mózgu przypomniała sobie ostatni wykonany czyn. I spodobało mu się to.

Kończyło się spotkanie na Szczycie, a całe Wilno świętowało, jakby jutro miał nadejść koniec świata. Mieszkańcy miasta, niby napędzani przez niewidzialne miechy, to wybiegali na ulice zachwycać się puszczanym przez alchemików tańcem sztucznych ogni na nocnym niebie, to znów wracali do gospód. Piwo, wino i gorzalka lały się strumieniami, przemęczone boginie z domów pobłażliwości nakładały sobie na policzki kolejne warstwy makijażu, a madame dbały o to, by obsłużeni zostali wszyscy goście. Uliczni muzykanci, akrobaci, połykacze ognia i iluzjoniści pracowali, nie szczędząc sił – nieprzerwany potok monet sypał się do sporych skrzynek leżących na ziemi. Kieszonkowcy kręcili się w tłumie niczym motyle wkoło światła, zwinnie wsuwali ręce w sakiewki gapiów, nie zapominając o tym, by obejść łukiem patrolujących ulice legionistów. Strażnicy porządku, nawet najbardziej leniwi policjanci i przystawowie, wylewali siódme poty. Z posterunków na Czerniach, Niechrztach czy Pohulance ruszały w stronę Słuszków karety parowe o zakratowanych oknach tylko wtedy, gdy załadowano w nie tylu rzezimieszków, że robiło się w nich ciasno jak w puszkach sardynek. Niedługo potem cele pałacu Słuszków pękały w szwach, z trudem mieszcząc kieszonkowców, drobnych rabusiów, awanturników i obywateli z niewyparzoną gębą. Legioniści kłęli jak szewcy, choć z drugiej strony po cichu się cieszyli, że nie doszło do masakry. Zakrwawionych, pobitych, a nawet połamanych mieli na pęczki, ale specjalna karetka eksperta medycyny Radzińskiego przynajmniej póki co nie ruszyła się z podwórza.

W okolicy placu Katedralnego zamówiony tramwaj parowy toczył się z gwizdem, a przez jego okna wystawili głowy studenci i dmuchali w dudy oraz rogi. Towarzystwo Jeździeckie Dominium Uniwersyteckiego świętowało zwycięstwo wywalczone na hipodromie w Pośpieszce.

Na Biedach krętacze również padali z nóg, a bardziej zaradni, ci sami, którzy niegdyś próbowali przeforsować Tramwaj Wykrętu kursujący od Mokrego Placu aż po Żelaznego Puchacza, rozciągnęli żywy łańcuch – witali każdego klienta i kierowali go w pożądane miejsce lub do innego krętacza, stojącego nieco dalej.

Dzwony kościołów ogłosiły pierwszą w nocy, a później drugą, jednak



hulaków godziny absolutnie nie obchodziły. Noc była pełna wrażeń i wyglądało na to, że święto nie skończy się nigdy.

Wpół do czwartej nad ranem z dziury ukrytej za walącym się domem wyłonił się metalowy pysk, w ciemności błysnęły czerwone oczy. Następnie wysunęła się masywna głowa, a w końcu całe ciało. Żelazny Wilk zardzewiałe kraty przegryzł już wcześniej, dlatego z łatwością wydostał się na zewnątrz. Pokręcił głową i nawet nie spojrzawszy na zwłoki przywódcy buntowników Susłowa, ruszył przed siebie. Dotarł do zaułka i się zatrzymał.

Simutis i Mikelis, którzy przybyli do Wilna z Pernarowa, zostali tej nocy wyrzuceni z hotelu na Nowym Świecie. Nie spuścili jednak nosów. Podziwiali „bitwę nad Wilnem” i alchemiczne sztuczne ognie, a resztę nocy spędzili, włączając się chwiejnym krokiem po ulicach. Spotkali znajomego rolnika, który obiecał zawieźć ich swoim wozem do domu. Umówił się z przybyszami na drodze wilkomierskiej. Uradowani mężczyźni sprzedali na Czerniach marynarkę Simutisa, by w pięknym stylu uczcić ostatnią noc w Wilnie. W gospodach było dla nich zbyt drogo, ale na ulicach nie brakowało handlarzy proponujących gorzałkę w buteleczkach, kromkę ciemnego chleba i ćwiartkę główki cebuli.

– Aleśmy dobrze zrobili, żeśmy się wybrali do Wilna, Simutisie – powiedział Mikelis i odbiło mu się cebulą. – Wszystkośmy widzieli i wszystkośmy zrobili.

– Ano, wszystkiegośmy spróbowali – dodał Simutis, ledwo utrzymując się na nogach, i wesoło się roześmiał.

Nagle Mikelis złapał przyjaciela za obdartą koszulę. Simutis tak się zachwiał, że mało nie uderzył nosem o chodnik.

– Patrzaj, patrzaj, Simutisie – rzekł podekscytowany Mikelis, pokazując ręką w dal. – Tam, patrzaj. Jeszcze jedno wileńskie чудо!

Simutis odwrócił głowę. W bezimiennym zaułku sąsiadującym z ulicą Przekopową stało metalowe stworzenie podobne do wilka, tylko dużo od niego większe. Olbrzymia głowa powoli się obróciła i czerwone oczy wbiły się w obu mężczyzn.

– Ojej, Simutisie – jęknął Mikelis. – Widzisz? To przecie ten automoto... automatu... no, jedno z tych żelastw, cośmy je na wystawie widzieli. Obejrzyjmy je z bliska. Ale się nam poszczęściło! A to cuda. Na wystawie z trudem przebiliśmy się przez ludzi, a tu proszę, patrzaj se do woli i nikt nie przeszkadza.

Potwór szeroko otworzył pysk, pokazując ostre i długie zęby. Uniósł głowę.

– Aaaaauuuuuuuuuuuuu!!! – Mrożące krew w żyłach wycie potoczyło się ulicami Wilna, ogłaszając wszem wobec, że zaczęła się wilcza godzina.

Kolana ugięły się pod mężczyznami, jednocześnie zamknęli oczy i jak dłudzy runęli na ziemię. Wilk przeskoczył przez omdlałych przyjaciół i pobiegł ulicą Przekopową w stronę miejskich świateł. Znalazł się na placu, gdzie zbiegały się ulice Przekopowa, Pralniowa i idąca przez mostek nad Wilenką Popławska, zatrzymał się na chwilę. Zamontowane w jego głowie zębatki zaczęły trzeszczeć, ale nie odnalazły polecenia do powrotu, zostało tylko samo: „Zabij!”, jakby kręciła się zdarta płyta.

Potwór szeroko otworzył paszczę. Żywa część jego mózgu jakby przez mgłę zrozumiała, że więcej komend już nie uzyska, że od tej pory nie musi być nikomu posłuszny.

Żelazny Wilk pokręcił głową i podążył w stronę, z której dochodziło do niego najwięcej dźwięków, w jeszcze niezbadane tereny łowieckie.

– Aaaaauuuuuuuuu! – Nad Wilnem rozległo się ogłuszające wycie. – Aaaaauuuuuuuuu!

– Co to, do cholery? – zaklął jeden z legionistów patrolujący Niechrzty.

– Chyba studenci szaleją – odpowiedział jego partner. – Jeżeli jeszcze hałasujących studentów zaczniemy łapać, areszty pękną w szwach.

Ale pierwszy legionista tylko machnął ręką i jał nasłuchiwać.

– Aaaaauuuuuuuuu! – znów rozbrzmiało wycie, tym razem trochę bliżej.

– Sprawdź, co tam się dzieje – rzekł legionista i ulicą Zarzecze pośpieszył w stronę mostu.

– Patrzcie, jaki wielki psiak! – krzyknął jakiś mężczyzna, który ze swą kompanią wyszedł z gospody mieszczącej się na niewielkim placu Rybnym i wyciągnął rękę do zwierzęcia.

Wilk skoczył z rozwartym pyskiem i ręka w mgnieniu oka znikła, a z ramienia wytrysnęła fontanna krwi. Żelazne pazury przecięły gardło mężczyzny i o mało nie odcięły mu głowy. Ciało nieszczęśnika głucho rąbnięto o ziemię.

Kompania zamarła. Wilk podniósł głowę. Jakaś dziewczyna wrzasnęła histerycznie i zaczęła uciekać w stronę ulicy Safianiki, przez Wilenkę, do wielkiej cerkwi. Wszyscy pozostali rzucili się za nią galopem.

Wilk stał w miejscu, jego zębatki się obracały, oczy z trudem nadążały z rejestrowaniem przyszłych ofiar.

– Ożeż kurwa! Ki diabeł? – Legionista, który przybiegł aż z Niechrztów,

rozdziawił usta na widok szalejących ludzi.

Legioniści, którzy patrolowali ulicę Bakszta, usłyszawszy krzyki, natychmiast zanurkowali w Zbawiciela, wijącą się w dole, by sprawdzić, co się dzieje. Spostrzegłszy ludzi nadbiegających od strony placu Rybnego, usunęli się im z drogi – i ujrzeli bestię. Wytrzeszczyli oczy, lecz zaraz się otrząsnęli i jednocześnie wystrzelili wiązkę strzałów. Wszystkie kule odbiły się od metalowego pancerza.

Żelazny Wilk bez pośpiechu sunął ulicą Safianiki i zawiesił czerwone spojrzenie na legionistach.

– Uciekaj! Nadaj alarm bezprzewodnikiem do wszystkich posterunków! – ryknął do kolegi jeden z legionistów. – Szybko! Ja spróbuję odciągnąć jego uwagę!

Najemnik dał nura z powrotem w ulicę Zbawiciela, następnie pognął Zamkową do kawiarni Baltasis Štralis, gdzie mieścił się posterunek legionu, i chwycił wiszący mu u szyi gwizdek, jakie nosili strażnicy uliczni – małe syreny z trzema sygnałami: rozsadzającym uszy ostrzegawczym dla zbrodniarzy, melodyjnym wzywającym pomocy, na który musieli niezwłocznie odpowiedzieć znajdujący się najbliżej legioniści, i przeraźliwie piszczącym, używanym bardzo rzadko. Sygnał ten, oczywiście tylko dla legionistów, oznaczał, że niebezpieczeństwo grozi całemu miastu. Każdy najemnik po usłyszeniu nieznośnego pisku powinien niezwłocznie pośpieszyć na miejsce zdarzenia lub na najbliższy posterunek, przekazując jednocześnie sygnał pozostałym patrolom.

Chwyciwszy gwizdek drżącą ręką, legionista wziął głęboki wdech. Przerażliwy pisk przeszył noc. Ludzie na okolicznych ulicach zatkali sobie uszy, zaczęli kląć i rozglądać się, nie rozumiejąc, co tak hałasuje. Gwizd nie cichnął, odbijał się echem o ściany, leciał dalej ulicami.

„Do wszystkich, do wszystkich, niebezpieczeństwo, miastu grozi niebezpieczeństwo, do wszystkich, do wszystkich!”

Najemnicy czuwający na ulicach ze zdziwieniem podnieśli głowy, po czym złapali za swoje gwizdki.

„Do wszystkich, do wszystkich, niebezpieczeństwo, miastu grozi niebezpieczeństwo, do wszystkich, do wszystkich!”

Zasapany legionista wpadł do kawiarni Baltasis Štralis. Tu zastał porucznika Justyna Wagnera, łącznika, kilku najemników i przystawów. Wkrótce zeszli się i pozostali legioniści, którzy usłyszeli sygnał niebezpieczeństwa.

– Zwierzę! Metalowe zwierzę niedaleko cerkwi na Niechrtach! – wykrzyczał. – Wilk z żelaza! Potwór! Zabija ludzi! Niebezpieczeństwo! Przekaż każdemu, kto nas słyszy! – rozkazał łącznikowi.

Ten ze zdziwieniem zmarszczył brwi. Siedzący obok niego przystaw głupkowato się wyszczerzył.

– A może ty po prostu powinieneś otrzeźwieć?

Legioniści uważali inaczej. W madagaskarskich dżunglach i na meksykańskich pustyniach napatrzyli się już na tyle dziwnych rzeczy, że od razu uwierzyli swojakowi. Porucznik Wagner wypytał legionistę, gdzie teraz mógłby się znajdować potwór i dokąd zmierza, następnie odwrócił się do łącznika.

– Ogłoś powszechne zagrożenie! Niech ze Słuszków wyślą w powietrze „Wojsielka” i „Szwarna”. Przekaż wszystkim patrolom, że na ulicach ma nie zostać ani jeden cywil. Przygotować się do starcia zbrojnego.

– Nasze bronie nie mają się tego potwora! Kule się od niego odbijają! – jęknął patrolowiec.

– Jeszcze zobaczymy – rzekł chłodno Wagner i znów zwrócił się do łącznika. – Przekaż do arsenału paromiejskiego, by wysłali tu natychmiast przenośne działa. Do Rycerzy Katedry, żeby zadzwoniły wszystkie dzwony kościołów. Ludzie sami zrozumieją, że coś się stało. Wszyscy pozostali za mną!

Łącznik zaczął stukać w klawisze, wiadomość zaczął od słów: „Stopień trzeci”.

W Słuszkach zawyły syreny. Wyciągnięci z łóżek piloci sterowców po kilku minutach biegli po schodach na dach pałacu, po drodze zapinając guziki mundurów i naciągając gogle. Kroki rozbrzmiewały i w arsenale, po chwili odezwały się dzwony Zamku Dolnego, a zaraz po nich odpowiedziała katedra.

Różne mieli sny uczony ze Zwierzyńca i jego przybrana córka, różne leki połknęli przed położeniem się do łóżek. I z różnych powodów się zbudzili.

Miła otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Za oknem panowała noc, szumiały krzewy. Daleko w mieście trwały nocne uciechy, ale ich hałas nie zakłócał zwierzynieckiego spokoju. Jednak mimo to czuła, że coś się działo. Wysłuchała się w dźwięki nocy.

Kwilenie. Ledwo słyszalne kwilenie. Nie jeden, a od razu kilka głosów. Podniosła wzrok na półkę.

Pierrot, Skaramusz i Kolombina, jej trzy zabawki, powinny być spokojne,

a jednak teraz wszystkie się chygotały, oczka miały szeroko otwarte, a przez rozwarte buźki wydobywało się cichuteńkie kwilenie.

„Ale to niemożliwe, przecież nie są ogrzani”, zdziwiła się Miła.

Nagle poczuła jakieś zagrożenie. Gdzieś działały się bardzo złe rzeczy. Zabawki to czuły. Zsunęła się z łóżka, ubrała się w lekką letnią sukienkę, wzięła wygodne buciki, a w wolną rękę – Skaramusza, na paluszkach wymknęła się z pokoju i zeszła na dół.

Gdy wyszła na podwórze, chłodny nocny wiaterek delikatnie smagnał jej policzki. Dziewczyna wzięła buciki i nagle się zamyśliła. Ostatnie, co sobie przypominała, to nieznośna duchota. I góra. A później? Później wszystko utonęło we mgle.

„Nie czas o tym myśleć”, zdecydowała i niosąc wciąż kwilącego Skaramusza, skręciła w stronę centrum miasta. Kierowała się jedynie przeczuciem, jakby przyciągał ją niewidzialny magnes. Gdy znalazła się na prospekcie Świętego Jerzego, odezwały się dzwony wileńskich kościołów.

Dzwony świątyni zbudziły i Nikodema Twardowskiego. Potrząsnął głową, jakby chciał sobie ten natrętny dźwięk wyrzucić z głowy, i rozejrzał się, próbując pojąć, gdzie się znajduje. I wtedy jak fala powodziowa napłynęły mu do głowy wydarzenia dnia. Wstał chwiejnie, przetarł ręką twarz. Lekarstwa jeszcze nie zdążyły zaleczyć śladów po pazurach fetcha, ale przynajmniej zatrzymały działanie jadu.

Podpierając się o ścianę, wyszedł z tajnego pokoiku, zamknął drzwi laboratorium i powoli wspiał się po schodach. Miał zamiar dostać się do sypialni, paść na łóżko i chrapać aż do samego południa. Tylko najpierw sprawdzi, jak się czuje Miła, czy dzwony nie zakłócają jej snu.

Nikodem ostrożnie uchylił drzwi pokoju dziewczyny i zamarł – znów zastał tylko puste niezaścielone łóżko. Wzrok uczonego przemknął po półkach. Pierrot i Kolombina. Brakowało Skaramusza.

Dzwony nie cichły.

– Zupełnie poszaleli ci dzwonnicy – burknął Twardowski.

Wtedy usłyszał kwilenie. Ciche, zatrważające, pełne lęku i niepokoju kwilenie wydobywające się z zabawek.

Zmarszczył czoło. Miły nie ma. Niezwykle długo bijące dzwony wileńskich kościołów. Kwilące ze strachu wyłączone automaty.

Nikodem biegiem wrócił do laboratorium. Tam doskoczył do elektrolabium. Gdzie jest Miła?

W Wilnie działały się złe rzeczy.

Po zabawie w ratuszu goście się porozchodzili, ale nikt nie udał się prosto do hotelu. Burmistrz Wensławski-Wenskus razem z kolegami z innych miast pospieszył napawać się długo wyczekiwanymi pieszczotami najlepszych, najdrożej opłacanych wileńskich piękności, inni postanowili koniec Szczytu świętować nieco skromniej. Wilejszys zaprosił do Gildii Mechaników na kieliszek wina radnych miejskich, organizatorów wystawy, wynalazców i kolegów, z którymi toczył interesujące rozmowy. Z tej okazji zaproszenia nie odmówił i Jan Basanowicz, choć zwykle dość wcześnie chadzał spać. Nie pił mocnych trunków, ale ciekawa konwersacja odurzała go niczym najlepszy szampan i główny wileński alchemik nawet nie zauważył, jak zegary stojące w sali przyjęć Wilejszysa wybiły godzinę czwartą nad ranem.

Rozmowa kręciła się wokół zastosowań cudownego prometylu po wymieszaniu go z różnymi ekstraktami alchemicznymi, gdy za drzwiami rozległ się tupot i do środka, nie zapukawszy nawet, wpadł dyżurny gildii pilnujący bezprzewodnika. Ledwie zdążył poinformować o strasznych nowinach, gdy zaczęły bić dzwony kościołów. Goście, którzy doskoczyli do okien, zobaczyli dwa jaskrawe promienie powoli wznoszące się z podwórza stojącego po drugiej stronie rzeki pałacu Słuszków – piloci „Szwarna” i „Wojsielka” uruchomili wielkie lampy Volty.

Wyrazy twarzy zebranych natychmiast się zmieniły. Wilejszys zbladł, nagle przypomniał sobie wizytę legata wileńskiego sprzed kilku dni i przyniesione przez niego szkice, które na pierwszy rzut oka wyglądały na bujdy.

– Piotrze, co z wami? – zaniepokoił się gość z Niemiec, jeden z najlepszych inżynierów cesarskiego olbrzyma przemysłowego Allgemeine Elektrizitäts. – Wiecie, co to za potwór?

– Zdaje mi się, że tak – odpowiedział Wilejszys, pocierając czoło. – Bionik.

– Co? – jęknął inżynier. – Ale przecież to niemożliwe!

– Jeszcze wczoraj byłbym powiedział dokładnie to samo – rzekł Wilejszys i zwrócił się do gości: – Panowie, słyszeliście prośbę legionistów? Czasu jest mało, pośpieszmy się.

– Jak możemy pomóc? – odezwało się kilku mężczyzn.

– Przyda się każda para rąk – odpowiedział Wilejszys. – Ktoś musi pobiec do arsenału puszkarskiego i pomóc załadować jedno, a może dwa działa do odkrytych legionowych dylizansów, które już jadą ze Słuszków.

– Trzeba będzie na nie poczekać, bo ulice są pełne ludzi – poinformował radny kierunku Szczerbakow, zerkając przez okno.

– Jeśli to naprawdę jest bionik, działa nie pomogą – odburknął Wilejszys. – Bionik powinien być bardzo szybki. I mimo to... – Wszedł do windy. – Kto idzie ze mną do arsenału? Janie?

Jan Basanowicz oderwał wzrok od ciemnego nieba i dwóch wbijających się w ziemię promieni, z pomocą których zwiadowcze sterowce legionu przeszukiwały miasto.

– Wydaje mi się, że mam lepszy pomysł – odpowiedział alchemik.

Wilk niespiesznie podążał ulicą Zbawiciela. Legionista zatrzymał się. Wyglądało na to, że kule nie czynią potworowi żadnej krzywdy, ale mimo to szybko wsadził do pistoletu nowy magazynek.

Nagle z karczmy znajdującej się niedaleko ulicy Lotoczek wysypała się grupka studentów i głośno śpiewając, skręciła w ulicę Bakszta. Szli prosto na Żelaznego Wilka. Zamarli na kilka chwil, po czym przepychając się i wrzeszcząc jakby nieswoimi głosami, całą gromadą rzucili się z powrotem w ulicę Lotoczek.

Zębatki zainstalowane w głowie Wilka zaczęły się obracać. „Więcej niż jeden”, ocenił potwór błyskawicznie ilość celów i skoczył za grupką. Dogonił uciekających w dwóch susach, pochwycił najwolniejszego, żelaznym bokiem zderzył się z pozostałymi. Rozbili się jak kule bilardowe, rozległ się trzask łamanych kości i jęki. Trzymając w paszczy ofiarę, potrząsnął głową i puścił ciało, które z głuchym plaśnięciem uderzyło o ścianę. Młodzieniec osunął się na ziemię i już się nie poruszył. Wilk znów się zatrzymał i opuścił pysk. Miał przed sobą łatwy łup – jęczących, rannych i sparaliżowanych strachem ludzi, którzy jeszcze chwilę temu myśleli, że to ich najlepsza noc w tym roku.

– Aaaaauuuuuu! – Żywa część mózgu triumfowała, wilk eliminował swoich naturalnych wrogów.

Potworowi zawtórował drażniący uszy pisk gwizdka. Zwierzę odwróciło się w stronę dźwięku. Legionista ustawił się do strzału, opróżnił cały magazynek. Ciało bionika wykonano ze specjalnego stopu metalu, kule odbijały się od niego, nie czyniąc żadnej szkody, lecz jedna z nich trafiła prosto w czerwone oko potwora. Posypały się odłamki, legionista ryknął triumfalnie, ale jego radość nie trwała długo. Szkło pokrywające oko stanowiło jedynie ochronę – czerwony ogień nie zgasł.

Za to teraz wilk całą uwagę poświęcił upartemu funkcjonariuszowi. Zapomniawszy o bezsilnych ofiarach leżących na ulicy, patrzył spode łba na strzelca. Ten cel wzbudzał w nim niepokój, należało go niezwłocznie

zlikwidować.

– Uciekajcie! Ludzie, uciekajcie! Schowajcie się w domach! – krzyknął legionista z całych płuc i sam rzucił się do ucieczki.

Od zwierzęcia dzieliło go kilkadziesiąt metrów. Zyskał jeszcze kilka sekund, póki w głowie wilka kręciły się mechaniczne kółeczka. Mimo to szanse na ucieczkę były znikome – funkcjonariusz widział, z jaką prędkością porusza się potwór i z jaką siłą rozbryzguje ludzi.

Legionista doskoczył do pierwszych drzwi, jakie się trafiły, i spróbował je otworzyć. Zamknięte. Kolejne tak samo.

Wilk ruszył za pędzącym mężczyzną. Gdy metalowe łapy obijały się o brukowe kamienie, na wszystkie strony sypały się iskry. Legionista śmignął w stronę bramy, lecz dudnienie za plecami wciąż się przybliżało. Potwór z pewnością zdoła go dogonić, zanim on zdąży się ukryć.

Wilk biegł z rozwartą paszczą umorusaną w świeżej i już skrzepniętej krwi, rozpędził się i przyszykował do skoku.

Nagle otulił go jaskrawy promień spadający z ciemnego nieba. Zwierzę zatrzymało się, uniosło pysk i spojrzało w górę. Jasne światło oślepiło potwora. W głowie wilka uruchomiły się mechaniczne filtry do blokowania promieni świetlnych. Jedno oko zostało pozbawione szkła ochronnego, dlatego zwierzę zaczęło się wiercić, starając się odwrócić od reflektorów.

Legionista szczęśliwie dotarł do bramy i odetchnął z ulgą.

– Utrzymuj światło! – ryknął pilot „Wojsielka” wiszącego nad żelaznym potworem i odwrócił się do strażnika, który skierował na wilka potężną lampę Volty. – Poinformuj bezprzewodnikiem wszystkie posterunki, że potwór jest na Bakszcie.

– Coś ty wymyślił, Janie? – krzyknął Wilejszys, ledwie nadążając za alchemikiem.

Zdawało się, że niebezpieczeństwo grożące miastu odjęło Basanowiczowi jakieś dziesięć lat. W towarzystwie kilku gości Szczytu Wilejszys i Basanowicz, świecąc sobie lampami, biegli pomiędzy ciemnymi i cichymi magazynami Paromieścia. Szczerbakow i jeszcze kilku mężczyzn pośpieszyli na pomoc puszkarzom z arsenału.

– Sam mówiłeś, że działami bionika się nie powstrzyma. A bomb na ulice przecież nie będziemy rzucać – mówił zasapany alchemik, gorączkowo się rozglądając po numerach magazynów. – Noż, można tu u was zabłądzić. W dzień to wygląda zupełnie inaczej – wymamrotał.



– W dzień wszystko wygląda inaczej – odparował Wilejszys. – Byłoby prościej, gdybyś powiedział, czego szukasz.

W tym momencie alchemik znalazł swój magazyn. Zwinnie otworzył podwójne drzwi i szeroko je rozwarł. Wilejszys poświecił do środka.

„Ważka”, trzepotacz Basanowicza, stał na drewnianej platformie z kołami przywiązanymi pasami do wszystkich czterech jej rogów. Alchemik rzucił się do latającej maszyny. Baterie parowe były pełne, zapasowe leżały za siedzeniem pilota.

– Posadziłem go na platformie i końmi zaciągnęliśmy go do mechaników. Poprosiłem, żeby wyremontowali to i owo, uzupełnili baterie – wyjaśnił Basanowicz. – Myślałem, że odbiorę go sobie jutro, pojutrze, gdy miasto się uspokoi, ale potrzebny jest dzisiaj.

– Co zamierzacie zrobić? – spytał jeden z mężczyzn.

– Czy to nie jest jasne? – Bujna broda alchemika zadrżała ze złości, nie lubił tracić czasu na głupie pytania. – Karety legionu nijak nie nadążą za bionikiem, a „Ważka” jest szybka i zwinna. Trzeba tylko czym prędzej zaciągnąć ją do puszkarzy i przymocować na przedzie działa.

– Janie, ale czy ona się uniesie z działem? – zapytał Wilejszys. – Czy utrzyma się w powietrzu?

– Nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy – odciął się Basanowicz i złapał za orczyki. – Nie traćmy czasu, pomóżcie mi.

Sześciu mężczyzn – radni miejscy, naukowcy i słynni alianccy mechanicy – wypchnęli platformę z „Ważką” z magazynu, po czym zaczęli ciągnąć ją paromiejskimi uliczkami w stronę arsenału.

Legionista, który uciekł przed potworem, przecisnął się przez wąską bramę i dopiero teraz, gdy przestało mu szumieć w uszach, zorientował się, jaki hałas panuje na ulicach. Dzwony kościołów biły jak szalone, na niebie pilot sterowca „Wojsiełk” nakazywał przez syrenę czym prędzej ukryć się w budynkach. Tylko ktoś zupełnie głuchy lub kompletnie głupi nie zrozumiałby, iż w mieście dzieje się coś strasznego i że lepiej nie wystawiać nosa na ulicę.

Ale głupców w Wilnie nie brakowało. Nie zważając na ostrzeżenia, syreny i niecichnące bicie dzwonów, a może właśnie z ich powodu, ludzie przepychali się, by na własne oczy zobaczyć potwora szalejącego w mieście. Strażnicy nie tracili czasu na przekonywania. Złapali kije i wpychali ludzi do karczm i zajazdów. Wkrótce ulice Starego Miasta opustoszały.

Wiązka światła przez pewien czas nie pozwalała wilkowi wyraźnie widzieć, lecz gdy zadziałały filtry, potwór szybko się przyzwyczaił do oświetlenia. Zwierzę powoli ruszyło ulicą Bakszta, ciężka głowa kołysała mu się na boki, żelazne pazury z łoskotem uderzały o brukowe kamienie.

Przeszedłszy kawałek, wilk stanął i się zasłuchał. Jego uwagę przykuł jakiś hałas z prawej strony. Skręcił w ulicę Sawicz.

Na końcu bocznej uliczki tłoczyła się grupka odważniaków chcących na własne oczy zobaczyć potwora. Wilk zatrzymał się i odwrócił ku nim. Opuścił głowę, poczekał chwilę, aż znów zabrzmie powtarzające się polecenie ataku, po czym skoczył na nowe ofiary.

– Doktorze, czy ta rzecz na pewno się uniesie? – zapytał zbrojmistrz arsenału. Właśnie przytwierdził karabin maszynowy Vickersa do dziobu „Ważki” i odsunąwszy się, z miną znawcy ocenił swoją pracę.

– Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć – rzucił Basanowicz, wdrapując się na krzesło pilota i naciągając na oczy gogle.

– A strzelać umiecie?

Alchemik włączył turbinę parową.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz! – zawołał.

Śmigło zaturkotało, obróciło się raz, drugi, potem zaczęło kręcić się coraz szybciej, aż w końcu jego łopaty zwały się w jednorodne koło. Radny nacisnął pedał i obiema rękoma złapał liny od skrzydeł: naciągał i popuszczał, znów naciągał i znów popuszczał. W niebo wystrzelił gęsty kłęb pary, „Ważka” rzuciła się do przodu, jej wielkie skrzydła zatrzepotały raz, drugi, trzeci. Maszyna latająca oderwała się od ziemi i kołami o mało nie zahaczywszy o słup latarni, wzbiła się w powietrze. Basanowicz napiął liny, starając się czym prędzej osiągnąć największą wysokość.

W dole rozciągało się przerażone miasto. Alchemik przechylił skrzydła trzepotacza i szerokim łukiem wyminął wieżę nawigacyjną, która wysyłała we wszystkie strony sygnały niebezpieczeństwa. Oto i cel jego podróży – wiszący nad Starym Miastem sterowiec wskazywał sygnałami świetlnymi, gdzie znajduje się potwór.

Wymachując pałkami, legionieści wygonili z podwórzy zgraję bawiących się studentów, upchnęli ich w pałacu uniwersyteckim i solidnie zastawili drzwi. Można było meldować, że rejon Dominium jest bezpieczny.

Porucznik Michał Wielholcki mocniej ścisnął strzelbę w dłoni, splunął

z wściekłością i spojrzał w górę. Zbliżał się „Wojsielk”. A to oznaczało, że zbliża się i zwierzę. Taka wiedza nie cieszyła porucznika, ale gdyby ktoś mu kazał wybierać między marszem kobiet a potworem, bez zawahania wybrałby starcie z Żelaznym Wilkiem.

– Poruczniku! – Machając depeszą, podbiegł do niego zasapany kurier. – Poruczniku, plac Katedralny! – Chłopakowi brakowało tchu, dlatego kilka razy wziął solidny wdech, żeby odzyskać mowę. – Na placu Katedralnym jest pełno ludzi! I wciąż ich przybywa!

– Przecież nasi wyczyścili cały plac!

– Rycerze Katedry i zakonnicy... – Chłopak wciąż chciwie łapał powietrze. – Oni wyprowadzili ludzi, ukłękli i kazali się głośno modlić. Mówią, że modlitwy powstrzymają diabelski pomiot. Boska opatrność nie pozwoli mu postawić nogi na placu przykościelnym.

– Ilu ich tam jest? – odburknął porucznik.

– Może tysiąc. Cały czas ich przybywa. Nadchodzą z prospektu. Rycerze wzywają wszystkich, aby modlitwa zyskała na sile.

Wielholksi zaklął tak soczyście, że kurier aż poczerwieniał, i uniósł oczy do nieba. Sterowiec tropiący bestię kręcił się w pobliżu ratusza, tuż przy ulicy Wielkiej. Ale na placu Ratuszowym ludzi nie było. Najpewniej ta maszyna do zabijania skręci w stronę Zamkowej, a stamtąd... A stamtąd pogna na plac Katedralny, by się zabawić.

– To poczwara – zawarczał porucznik i zaczął wydawać rozkazy. – Legioniści mają zablokować ulicę Zamkową, żeby potwór nie przedostał się na plac Katedralny. Niech wezmą wszystko, co jest pod ręką, postawimy barykadę przy aptece Kędzierskiego. Jasne? – Gdy kurier przytaknął, dodał: – Ruchy, ruchy, pośpiesz się!

Łącznik, ile sił w nogach, pognał na Zamkową. Wielholksi spojrzał na swoich ludzi. Zmęczeni, ponurzy, cisi. Ale ani jeden nie odwrócił wzroku w bok.

– Naprzód! – zakomenderował.

Po krwawej uczcie w wąskiej uliczce Żelazny Wilk odwrócił się, cofnął, a następnie skręcił w lewo.

Na ulicy Sawicz nie znalazł ani żywej duszy. Ruszył dalej. Po kilku minutach wyszedł na opustoszałą Wielką, zostawiając za sobą krwawy trop. Szedł bez pośpiechu, dumnie jak prawdziwy pan Wilna. Czuł zapach lęku, który wydzielali drżący za drzwiami i oknami ludzie, czerpał z niego

przyjemność. Nie zwracał uwagi na wiszący mu nad głową sterowiec. Oczy bestii przyzwyczyły się do światła, a ta latająca rzecz nie mogła jej bardziej zaszkodzić.

Wilk objął wzrokiem pusty plac Ratuszowy i skręcił w prawo, tam gdzie w oddali, na końcu ulicy, panował rwetes.

W domu pobłażliwości Lei Trockiej na rogu ulic Zamkowej i Lotoczek przy oknach na pierwszym piętrze tłoczyło się kilka młodszych i starszych jaskrawo umalowanych dziewczyn. Przepychały się jedna przez drugą, skakały, wyciągały się, żeby tylko zobaczyć powoli przemierzającego się po ulicy Zamkowej potwora otoczonego wiązką światła. Zobaczywszy Wilka – błyszczący w świetle masywny pancerz, potężne łapy, przerażający zakrwawiony pysk – rękami zakryły sobie oczy. Ale kilka z nich się nawet nie skrzywiło. One widziały w życiu jeszcze gorsze stworzenia.

W domu Barszcza, gdzie mieścił się hotel i sklepik, do okna przykleili się bladzi ze strachu gapie. Ze znajdującej się w domu Wiktorii restauracji Romejki wydobywały się smakowite zapachy, na stołach stygły niedokończone potrawy. A potwór powoli podążał ulicą Zamkową na własną krwawą ucztę.

Nagle pochylił głowę i groźnie zawarczał, bo w oddali dostrzegł przeszkodę. Koło domu Kędzierskiego, znajdującego się naprzeciwko ulicy Skopówka, sześciu legionistów z pomocą kilku odważniejszych wilnian zdążyło skonstruować zaporę – z pobliskich kamienic znieśli stoły i krzesła, ustawili w poprzek wóz, po czym sami zajęli pozycje za barykadą. Uchwyty tarcz ściskali tak mocno, że aż im pobladły knykie. Skopówką przybiegł porucznik Wielholksi ze swoimi ludźmi, z drugiej strony przybyło czterech strzelców i porucznik Wagner.

Barykada została wzniesiona w wąskim punkcie ulicy, ale mimo to nie posiadała silnej konstrukcji, a legionistów było za mało, by zatrzymać mechanicznego potwora. Dylizans z działem nie dotarł jeszcze na ulicę Zamkową, być może utknął na Zielonym Moście, którym z centrum miasta uciekali przerażeni mieszkańcy.

Legionistów było zbyt mało, ale to oni stali się ostatnią nadzieją miasta. W przeciwnym razie zwierzę dotrze na plac Katedralny i zacznie rozszarpać modlących się bezbronnych ludzi.

– Aaaaauuuuu! – od ścian domów odbiło się wycie Żelaznego Wilka.

Tym razem głos zwierzęcia był inny – zabrzmiał jak komenda. Rozległo się kliknięcie i ukazały się metalowe kosy przymocowane do przednich łap, zaśniły naostrzone brzeszczoty. Rozpędziwszy się, potwór mógł teraz od razu

podciąć nogi kilku wrogom.

– Auuuuuuu! – Wilk się zatrzymał.

Krwawy potwór oświetlony z góry przez reflektory sterowca wyglądał, jakby przybył z najgorszego koszmaru.

– Panno przenajświętsza – jęknął młody legionista stojący za barykadą i zaczął się wycofywać. Ręce tak mu drżały, że z trudem utrzymywał strzelbę.

Za jego przykładem poszedł jeszcze jeden strażnik, potem kolejny. Zaturkotała rzucona na bruk tarcza, upadła strzelba.

– Stać! – ryknął Wielholksi na widok dezercerujących podkomendnych.

Ale najemnicy to zawsze najemnicy. Dostają dobre pieniądze i sumiennie za nie pracują, ochraniają, bronią, walczą, a nawet, jeśli to konieczne, przelewają krew. Jednak jeśli wrogów jest nazbyt wielu lub są nie do pokonania, najemnicy jako pierwsi uciekają z pola bitwy, żeby tylko ratować swoją skórę. Sprzedają swoje usługi, ale nie życie.

Szeregi legionistów zachwiały się, mężczyźni zaczęli się rozglądać za zaułkiem, w który mogliby uciec przed czającą się na ulicy śmiercią. Wilk wyraźnie czerpał przyjemność z tego widowiska – chwilę stał w miejscu i niespiesznie zaczął się zbliżać do barykad. Jeszcze parę tarcz i strzelb spadło na ziemię – minie kilka chwil i ostatnia linia obrony miasta runie. Dzwony były jak oszalałe.

– Legion Wileński! – rozległ się gromki, wzmocniony przez megafon głos.

Porucznicy ze zdziwieniem odwrócili się w jego stronę.

Od placu Katedralnego, szumiąc i gwizdząc, zbliżał się otwarty dylizans. Na lawecie stało działo obrotowe, za nim siedział skulony puszkarz, który naciągnął sobie na głowę wielką i grubą uszatkę. A obok, cały brudny, z czapką na głowie i strzelbą w ręce, stał legat wileński Antoni Srebro.

– Legioniści, tutaj! Nie wycofujemy się! – zakomenderował, przekrzykując świszczanie dylizansu.

– Dzięki Najświętszej Maryi Pannie – zamruczał pod nosem Michał Wielholksi, który nagle stał się bardzo religijny.

Przerażone twarze rozjaśniły się, zagubione dłonie zwinnie podniosły porzucone tarcze i strzelby, mężczyźni wrócili na swoje miejsca.

Dylizans zatrzymał się tuż przy zaporze. Puszkarz przykleił się do celownika działa.

– Gotów! – ryknął na całe gardło.

– Na moją komendę! – Srebro podniósł pięść i opuścił sobie uszy skórzanej czapki. – Dopuśćmy go bliżej! Strzelcy, celujcie w oczy, puszkarz – w korpus!

Zwierzę było tuż-tuż. Patrząc prosto w lufę działa, pochyliło się i rzuciło do przodu.

Jeden skok, drugi...

– Jeszcze nie! – ryknął legat.

Wilk odbił się od ziemi...

– Ognia! – wykrzyczał i przyłożył strzelbę do policzka.

Pocisk spowity dymem leciał prosto w Żelaznego Wilka, lecz bionik przekręcił się w powietrzu, uchylił się przed nim i krzesząc iskry, opadł na nogi. Nawet go nie drasnęli.

– A żeby go... – jęknął puszkarz.

Pocisk roztrzaskał róg restauracji Romejki.

Żelazny Wilk uderzył w barykadę. Jej centralna część przewróciła się na karete, a na krańcach rozbryzgnęła się w różne strony. Legioniści stojący z boku w ostatniej chwili zdążyli odskoczyć i przyłgnąć do ścian domów, używając tarcz do obrony przed kosami, zaś ci, co stali pośrodku, zostali stratowani. Dylizans złamał się na pół, działo, które z niego spadło, zmiażdżyło kilku legionistów. Srebro i puszkarz wylecieli w powietrze i przeturlali się po ziemi wśród kupy złomu.

Potwór lekko opuścił się na nogi po drugiej stronie barykady. Jedno z jego oczu świeciło blado, drugie, to bez szkła ochronnego, zgąsło, odłamała się jedna kosa, ale ostrze nadal było całe. Ciężka głowa przechyliła się na bok, a jedyne oko wpatrzyło się w leżącego na ziemi legata.

Jego nogę, ranną po strzelaniu z feniksami, przycisnął ciężki stół. Srebro usiłował go zepchnąć drugą nogą, żeby móc się podnieść. Zrozumiawszy, że to się może nie udać, zaczął szybko ładować broń, którą cudem utrzymał w ręce.

Wilk niespiesznie się zbliżał.

Zamek strzelby jak przeklęty nie odpuszczał, zaciął się, Srebro poczuł obrzydliwy zapach krwi, pochyliła się nad nim potworna paszcza. Legat po raz ostatni szarpnął ładunek, zamek trzasnął, lecz było już za późno. Paszcza się rozwarła, pokazały się dwa rzędy metalowych zębów i Srebro całym ciałem poczuł odór śmierci.

W tej samej chwili dziesięć kul uderzyło w Żelaznego Wilka. Jedne odbiły się od korpusu, nie czyniąc szkody, inne przecięły metal i utkwiły w ciele potwora. Wilk zachybotał się. Jeszcze jedna seria, potem jeszcze jedna i jeszcze – i zwierzę zostało zepchnięte na środek ulicy Zamkowej.

Zacinający z karabinu Jan Basanowicz zwolnił spust dopiero wtedy, gdy potwór przewrócił się na bok. „Ważka” mknąca z zawrotną prędkością między

domami przeleciała nad zburzoną barykadą, nad przewróconym działem, nad rozłożonym na bruku potworem i wystrzeliła w górę.

Alchemik już niemal stracił nadzieję, że zdąży na czas. Jeszcze nigdy nie leciał nad miastem tak szybko. Na początku mierzył w plac Ratuszowy i o mało nie zahaczył o hełm kopuły kościoła Świętego Kazimierza. Plac zastał jednak pusty, opuszczając się pod niebezpiecznym kątem, skręcił więc w stronę ulicy Wielkiej, gorączkowo pociągając za liny skrzydeł. Alchemikowi zdawało się, że domy poprzytulały się do siebie, zostawiając między sobą jedynie małą szparę. I wtedy usłyszał odgłosy wystrzałów.

Krańcem skrzydła smagnął wystający balkon domu, zrzucając wazony z kwiatami, z daleka zobaczył rozbitą barykadę, kilkoma ruchami zamocował liny skrzydeł i zdecydowanie chwycił spust karabinu. Dostrzegł roztrzaskany dyliżans obok barykady i najważniejsze – stojącego na środku ulicy metalowego potwora.

Lecąc ze związanymi skrzydłami, trzepotacz niebezpiecznie pikował w dół. To jasne: jeśli alchemik pomylił się przy obliczaniu odległości do celu, „Ważka” spadnie, zanim zdąży wystrzelić i szybko się wznieść.

W dole zamigotały kamienie brukowe, ale cel – mechaniczny potwór – był już w zasięgu broni. Odetchnąwszy z ulgą, szanowany alchemik, który w życiu nie skrzywdził nawet muchy, kolekcjonujący motyle meloman, nacisnął na spust. Karabin zazgrzytał i wypluł kilka serii kul prosto w Żelaznego Wilka. Lufa broni się rozżarzyła. Gdy długi pas nabojów się skończył, Basanowicz puścił spust, a kiedy potwór runął na ziemię, naukowiec gwizdnął w dal.

– Właśnie tak! – ryknął Banasowicz triumfalnie, jednym kopnięciem wepchnął trzpienie w zapasowe baterie parowe, uwolnił liny skrzydeł, ze wszystkich sił za nie pociągnął, a później popuścił. Śmigło, które prawie się zatrzymało, dźwięcznie zaturkotało, a skrzydła poruszyły się i trzepotacz wystrzelił w górę. Wzniósłszy się ponad dachy domów, alchemik obrócił „Ważkę” bokiem i przez lornetkę popatrzył w dół. A wtedy jęknął, nie wierząc własnym oczom.

Żelazny Wilk powoli unosił się na nogi. Wstał i jakby oszołomiony pokręcił głową. Metalowe płytki korpusu podziurawione przez kule z karabinu zwisały w powietrzu, coś się iskrzyło, paliły się kable, tylna łapa ledwo się trzymała, zwierzę opierało się o ziemię tylko na trzech nogach. Przez dziurawe boki wypływał jakiś płyn.

– Nie może być! To niemożliwe – jęknął Srebro, któremu wreszcie udało się podnieść.

Przy strzelaniu omal nie ogłuchnął. Potrząsnął głową i odłamał spust swojej strzelby. Rozumiał, że jego kule nie wyrządzą bestii najmniejszej szkody, jednak nie miał innego wyjścia, jak strzelać.

Zwierzę znów rozwarło pysk, jednak tym razem z jego gardła wydobyło się przeciągłe charczenie. Wilk wycofał się, żeby nabrać rozpędu, lecz metalowe łapy już go nie słuchały, potwór o mała się nie potknął. Odwrócił się i utykając, ruszył w stronę katedry. Jego ciało było pokiereszowane, ale polecenie „Zabij!” nieustannie gnało go naprzód. Jego kroki robiły się coraz pewniejsze.

– Nie może być! – burknął w brodę doktor Basanowicz i zawrócił „Ważkę” nad ulicę Zamkową.

Naboje w karabinie się skończyły, baterie parowe się wyczerpały, ale alchemika to nie obchodziło. Poleciał do wieży kościoła Świętych Janów, zawrócił i Zamkową zaczął gonić uciekające zwierzę. Skierował „Ważkę” prosto na nie. Turbina parowa zawyła i zaczęła wibrować, jakby zbliżała się jej ostatnia godzina. Basanowicz z całych sił trzymał liny napięte, by skrzydła pozostały nieruchome. Trzepotacz drugi raz przefrunął nad rozsypanymi legionistami i legatem, który uniósł głowę do góry. Alchemik pragnął zamknąć oczy, ale chciał być pewien, że trafi prosto w zwierzę. Jakby coś przeczuwając, Żelazny Wilk się zatrzymał, odwrócił, uniósł łeb i ochryple zawarczał. Jan Basanowicz zacisnął zęby.

Ni stąd, ni zowąd na Zamkowej pojawiła się dziewczyna w długiej czerwonej letniej sukience. Miła przyszła tu od strony katedry.

– Neeeeee! – ryknął alchemik i tak mocno pociągnął liny skrzydeł do siebie, że o mała nie stoczył się z siedzenia pilota w tył.

Skrzydła „Ważki” zatrzepotały, maszyna wzniosła się w powietrze i przeleciała nad głowami wilka i dziewczyny, targając tej ostatniej włosy. Resztkami sił doleciała do ujścia placu Katedralnego, z hukiem uderzyła o bruk, kilka razy się od niego odbiła i obróciła w kupę złomu.

Potwór powoli odwrócił się w stronę hałasu. Naprzeciw niego, w odległości kilku kroków, stała Miła. Zdrowym okiem spojrzał na dziewczynę.

– *En garde!* – zawołał podskakujący obok Miły Skaramusz, który w porównaniu z potworem wyglądał jak mrówka, i wymachując mieczykiem, rzucił się na zwierzę.

Wilk nie odrywał wzroku od dziewczyny, leniwie machnął przednią łapą, a Skaramusz rozbił się o ścianę domu. Miła nawet nie zauważyła, co się stało



z jej ulubieńcem. Nieruchoma, nie odrywała oczu od wilka.

– Oto jaki jesteś – rzekła ze spokojem. – W moich snach wyglądałeś inaczej. Stróż miasta, a nie potwór, jakim cię uczynili.

Wilk najpierw cicho zawarczał. Potem wydał z siebie głośniejsze warknięcie, a na koniec zawył pełnym głosem i od tego przeraźliwego dźwięku ludziom obserwującym zdarzenie po całym ciele przeszły ciarki. Legat wileński jak zahipnotyzowany śledził fantasmagoryczną scenę: czarne, żelazne, wyjące monstrum i smukłą niczym trzcina dziewczynę, która wyszła mu naprzeciw.

– Ale jeszcze można wszystko zmienić – jak gdyby nigdy nic powiedziała Miła. – Ty czujesz, kim jestem, tworem Mistrza. Córką Mistrza. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Wilk pochylił nisko głowę, uniósł żelazny grzbiet. Nagle z jego gardła wydobyło się kwilenie, teraz metalowy potwór wyglądał jak smutny pies, który zgubił właściciela albo go opłakiwał. Czerwone światło w jedynym oku przygasło.

Miła wyciągnęła rękę.

– Podejdź – przywołała delikatnie. – Podejdź.

Zwierzę zaczęło drzeć, jego metalowa głowa obracała się i kręciła jak szalona. Żywe jestestwo bionika walczyło z maszyną, starając się wyrwać z sideł zastawionych w jego głowie – próbując zbić wciąż kręcącą się, popsutą płytę, powstrzymać polecenie „Zabij!”.

Nagle ciało wilka przestało się trząść, jego łeb się uniósł, w oku błysnęła krwista czerwień. Groźnie zawarczał, rozwarł wielką paszczę i zaatakował dziewczynę.

– Nie! – ryknął Srebro i wreszcie się ocknąwszy, utykając, ruszył na ratunek.

Miła wysunęła dłonie do przodu. Wyglądało na to, że wyższy od niej o dwie głowy potwór roztrzaska dziewczynę, lecz zwierzę zatrzymało się, zupełnie jakby czołem oparło się o niewidzialną ścianę. Wyciągnięte ręce Miły zaczęły drgać. Drżał również Wilk – coraz mocniej. Forsował łbem niewidzialną ścianę, nogami odpychał się od bruku, na który sypały się iskry.

– Ty nie jesteś taki, nie jesteś potworem! – ryknęła Miła, zebrawszy wszystkie siły, a jej ręka wniknęła w stalową klatkę piersiową niczym nóż w miękkie masło.

Błysnęło oślepiająco białe światło, potwór zawył i całym swoim ciężarem padł na dziewczynę, przyciskając ją do ziemi. Czerwone światło w jego

jedynym oku zamrugało i powoli zgasło.

Powłócząc ranną nogą, jako pierwszy doskoczył do Miły Antoni Srebro. Zaraz za nim dobiegli Wagner, Wielholksi i kilku innych legionistów. Od strony katedry, kuśtykając, śpieszył Jan Basanowicz. Para wydzielająca się przez popękane od zderzenia turbiny osmaliła mu pół twarzy i spaliła brodę. Lewa ręka bezwładnie zwisała mu wzdłuż ciała, ale alchemik się tym nie przejmował, widział tylko kruchą sylwetkę dziewczyny i żelaznego potwora, który na nią upadł.

Srebro próbował zepchnąć wilka. Legioniści, którzy do niego dobiegli, pchnęli cielsko monstrum i koniec końców metalowy potwór z brzękiem padł na bruk, jednym bokiem przylegając do dziewczyny.

– Niewiarygodne! – jęknął Wagner.

Miła leżała na ziemi cała i zdrowa, zupełnie jakby spadł na nią listek drzewa, a nie ważący kilka pudów kawał żelastwa. Sukienka w kilku miejscach była porwana, ale jej właścicielka nie uroniła ani kropli krwi. Oświetlona przez lampę twarz Miły wydawała się spokojna i pogodna, jakby ulepiona z wosku.

Porucznik Wagner padł na kolana i przyłożył ucho do klatki piersiowej dziewczyny, chcąc sprawdzić, czy bije jej serce. Nagle skrzywił się, poczuwszy ostre klucie w skroni.

– Co do cholery? – Rozwarł usta.

– Odsuńcie się, odsuńcie się, jestem lekarzem! – Przez stłoczonych ludzi przepychał się Jan Basanowicz. – Na bok, na bok, przepuście mnie.

Uklęknął przy Mile, ostrożnie obmacał powierzchnię jej klatki piersiowej, szukając rany, i palcami wyciągnął ostry przedmiot, na który nabił się Wagner. Zdrową ręką sprawnie odpiął guziczki sukienki przy klatce piersiowej i wziął głęboki wdech. Zgromadzeni wokół legioniści jęknęli.

Mile z piersi wystawał miedziany kluczyk. Był wygięty, sterczał w szerokiej ranie o wytopionych metalowych krawędziach. Na wskroś widać było wykrzywione i połamane zębaki. Przerwane kabelki łączyły się w metalowej skrzyneczce w formie serca, tkwiącej w miejscu, gdzie u każdego człowieka znajduje się ten narząd. Miła każdego ranka musiała ją nakręcać. Mosięzna skrzyneczka była zakopcona, ale i tak dało się zauważyć, że jest to dzieło doskonałego rzemieślnika. Prawdziwy majstersztyk.

Poczuwszy na sobie wzrok gapiów, Basanowicz wstał, stęknął i odwrócił się.

Na końcu ulicy zastygła niczym statua ciemna sylwetka. Nikodem Franciszek

Twardowski wyglądał, jakby niósł wielki kamień, i kroczył ciężko w stronę dziewczyny, która przylegała bokiem do żelaznego potwora.

Legioniści się rozstąpili. Twardowski podszedł do Miły, uklęknął i objąwszy ją obiema rękami, podniósł lekką jak puch postać. Wstając, spotkał się spojrzeniem z Janem Basanowiczem. Prawie niepostrzeżenie skinął w odpowiedzi na nieme pytanie o tajemnicę chronioną przez tyle lat i przygarbiony pomału się oddalił.

Zaczynało świtać. Dzwony kościołów już dawno przestały bić i miasto tonęło w ciszy. Gdzieś daleko, może na Nowym Świecie, a może na Popławach, zapiał kogut – donośnym głosem przywitał nowy ranek.

Wilcza godzina dobiegła końca.

Poranek w Wilnie był przejrzysty jak rzadko kiedy. Ulica Zamkowa została dokładnie wyczyszczona – nie został na niej nawet kawałek złomu i zmyto wszystkie plamy krwi znaczące drogę potwora od Popławów niemal do placu Katedralnego.

– Pogoda jak wino – cieszyli się obywatele, którzy uniknęli nocnych koszmarów i pośpieszyli, by zgarnąć rozdawane za darmo „Wileńskie Wieści”. Na pierwszej stronie widniał zobrazkowany z lotu ptaka, kroczący dumnie ulicą Żelazny Wilk – tuż nad nim unosiła się „Ważka” Basanowicza. Wilnianie wzruszali ramionami, nie rozumiejąc, kiedy udało się uchwycić tak świetne ujęcia, ale znawcy uśmiechali się i wskazywali na dzwonnice kościoła Świętych Janów.

Tego dnia nie ukazał się numer „Wileńskiej Prawdy”.

Ludzie, którzy zetknęli się z potworem oko w oko i cudem uszli z życiem, napływali do kościołów, zapalali świeczki, monetami i papierowymi rublami hojnie karmili puszki przeznaczone na ofiarę. Księża odprawiali msze za bohaterów, którzy uratowali miasto, na kazaniach wspominali świętego Krzysztofa, świętego Kazimierza i innych, którzy o czarnej godzinie przybyli chronić miasto Giedymina.

Z kościołów wilnianie kierowali się do karczm i zajazdów. Tu tworzono i opowiadano w kółko coraz to nowsze wersje wydarzeń minionej nocy. Wszystkie niby podobne, ale zarazem różniące się, szczególnie zakończeniem, nikt bowiem nie potrafił z całą pewnością stwierdzić, cóż to za bohater wykończył szalejącego po mieście żelaznego potwora. Gdy tylko Twardowski zabrał Miłę do domu, Srebro przykazał legionistom milczenie aż do grobowej deski.

Imienia wybawiciela nie poznał i zarządca Aliansu, baron Natan Rothschild. Na zwołanym pospiesznie posiedzeniu rady miejskiej zadowolili się wyrażeniem oficjalnego podziękowania Legionowi Wileńskiemu, który reprezentowali porucznicy Michał Wielholski i Justyn Wagner. Przyjmując podziękowanie, legioniści zameldowali, że legat Srebro leczy rany w pałacu Słuszków, choć tak naprawdę nie mieli zielonego pojęcia, gdzie przepadł ich szef.

Pożegnawszy się z legionistami, baron z nieukrywaną pogardą spojrzął na stojącego przed nim Wensławskiego-Wenskusa. Burmistrz, poszukiwany przez kilka godzin i dopiero nad ranem wyciągnięty z domu pobłażliwości na Antokolu, na wieść o wydarzeniach tej nocy najpierw zemdłał, a gdy odprowadzono go do ratusza i kiedy zobaczył barona, zaczął się trząść jak liść osiki.

– Zawiedliście nasze zaufanie, burmistrzu – wycedził przez zęby Natan Rothschild. – Miasto w niebezpieczeństwie, a wy się zabawiacie z dziwkami? Zbzcześciliście tytuł, jaki nosicie, i żeby zmyć ten grzech...

Urzednicy zebrani w małej salce ratuszowej niestety nie dowiedzieli się, co zamierzał zrobić baron Rothschild, gdyż na korytarzu wybuchło straszne zamieszanie.

– Gdzie ten knur? Gdzie ten cudzołożnik? – Do sali wtargnęła krągła kobieta o pulchnych ustach, krótkich, modnie najeżonych, farbowanych na żółto włosach, w szmaragdowej bluzce ze ściągaczami podkreślającymi jej imponującą klatkę piersiową i w długiej, czarnej, przylegającej spódnicy gwałtownie rozszerzającej się u dołu, przez co wyglądała jak ryba. Mierzyła ratuszowych strażników musztrującym spojrzeniem, dopóki się nie poddali i nie zeszli jej z drogi. – Gdzie on jest?

– A kim wy jesteście? – zapytał lekko zmieszany baron.

– Pani Wenskiene, żona tego bydlaka!

Pani burmistrzowa podparła się pod boki i zalała swojego skulonego męża niczego dobrego niewróżącym spojrzeniem.

– W takim razie jest cały dla was – powiedział z uśmiechem baron Rothschild, który od razu zrozumiał, że okrutniejszej kary dla burmistrza sam by nie wymyślił.

Baron rozesłał oficjalną wiadomość do miast Aliansu, w której wyraził współczucie rodzinom ofiar „nieszczęsnego incydentu, który w najbliższym czasie zostanie zbadany, a winnych czekają najsurowsze kary”. W wiadomości wspomniano również, że „burmistrz Wilna Witold Wensławski-Wenkus

wziął na siebie całą odpowiedzialność za nocną tragedię i niezwłocznie podał się do dymisji. Nowego zarządcę miasta rada powinna wybrać w najbliższym czasie”.

– Boli! – jęknął Antoni Srebro, gdy posmarowano mu ranę śmierdzącą zieloną mazią.

– Pocierpisz, nie jesteś małym dzieckiem – odpowiedziała Małgorzata Berg, bandażując mu nogę, a w jej oczach błysnęły szelmowskie iskierki. – Do wesela się zagoi. – Uśmiechnęła się i ukrywając zmieszanie, odeszła umyć ręce.

Srebro osunął się na miękką poduszkę i zamknął powieki. Przed oczami wirowały mu szalone wydarzenia ostatniego dnia i nocy. Wciąż niewyjaśnionych pozostało wiele tajemnic, nie wykonał mnóstwa zadań: nie złożył wizyty w dworku w Markuciach, nie przeszukał dokładnie podziemnych tuneli... Ale zadania mogą poczekać, miasto tak łatwo nie wyjawí swych tajemnic. Jedyne, czego teraz pragnął, to poleżeć tutaj w ciszy, odpocząć.

Małgorzata usiadła na krawędzi łóżka. Antoni, nie otwierając oczu, ostrożnie ujął ją za rękę.

– Przepraszam, że zgubiłem Salomona. Szukałem go... – wymruczał. – Obiecałem przyprowadzić go całego i zdrowego, a teraz nie mam pojęcia, gdzie się podział. Wybacz mi.

Małgorzata ścisnęła mężczyznę za rękę.

– Nie sądzę, żeby mu się spodobało w przytułku. To miejsce nie jest dla takich jak on. Ważne, żeby nic złego mu się nie stało. Może chłopcu jest dużo lepiej tam, gdzie jest teraz.

Cisza się przeciągała, ale oboje czerpali z niej przyjemność, zupełnie jakby znaleźli spokojną przystań.

Coś zaszeleściło. Siostra Łucja przyłożyła ucho do drzwi. Chwilę nasłuchiwała, ale żaden dźwięk nie dotarł do jej uszu, więc cicho uchyliła drzwi, zajrzała do środka, następnie równie dyskretnie je zamknęła i odeszła bez słowa.

Salomon stał obok stosu dziwnych przedmiotów. Zobaczywszy niewielką skrzyneczkę, podniósł ją, przekręcił wystający z boku kluczyk i stojący na niej święty Krzysztof ożył – zabawnie podnosząc metalowe nogi i zgrzytając, zaczął maszerować przez falujące mu pod stopami fale Wilii. Tylko Dzieciątka Jezus brakowało w jego rękach – figurka była popsuta i w objęciach świętego

został jedynie mały bolec, dlatego też mechaniczna zabawka zawędrowała na wysypisko. Salomon się ucieszył, to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostał.

– Super to cacuszko, czyż nie, młody chłopcze, khe, khe – zaskrzypiał nieopodal jakiś głos. – Jeszcze nie takie skarby ludzie wyrzucają ku uciesze takich jak my, khe, khe.

Róża z Bied spojrzała na staromodny rosyjski samowar z gotującą się wodą i niegdyś białym parasolem stuknęła w sterczącą w rogu pokoju kupkę dóbr, w której buszował chłopiec, zapomniawszy o całym świecie.

Gdzie się ta dwójka spotkała, nikt tego nie stwierdzi na pewno. Może w wileńskich podziemiach, gdzie z sufitu kapią krople wody, a między nogami przemykają szczury, a może w opuszczonym ślepych zaułku, do którego niechlujni i leniwi mieszczanie wyrzucają śmieci i któredyś przez wąską dziurę z ciemnych podziemi wydostał się Salomon Klein, pierwszy świadek poczynań Żelaznego Wilka. Ale czy to ważne? Dwie samotne dusze błądzące po wielkim mieście znalazły wspólną drogę. I tak jest dobrze.

Samowar głośno zaszumiał, wypływając dookoła białą parę. Róża zaczęła dreptać wokół stoliczka, zaraz znalazły się na nim dwie porcelanowe filiżanki z nadłuszczonymi uszami i talerzyk z ciasteczką. Pewien sklepikarz z ulicy Ogrodowej niekiedy obdarowywał nimi Różę.

Dom starej kobiety składał się jednego pokoju z dwoma brudnymi okienkami. Przez dziury w ścianie świszczął wiatr – Salomon obiecał je załatać, gdy tylko oboje z Różą nazbierają więcej szmat. Zasiedli do stolika. Chłopiec westchnął z błogością i uniósł filiżankę do ust. Zapachniało miętą. Młodzieniec aż zamknął oczy, tak mu było błogo, tak dobrze. Znalazł dom.

W towarzystwie kłębow pary i obłoków potężny „Ilja Muromiec” pruł na północ, do Sankt Petersburga. Do domu. Okręt powietrzny pochłaniał niepojęte ilości prometylu, ale mechanicy i alchemicy nie zawracali sobie tym głowy.

W kabinie kapitańskiej zabrzączały kieliszki pełne dobrze schłodzonej wódki.

– Za Rosję i za zwycięstwo! – wzniosł toast minister spraw zagranicznych imperium rosyjskiego Władimir Nikołajewicz Lamsdorf, który późną nocą został przetransportowany biplanem na „Ilję Muromieca” i o ostatnich wydarzeniach w Wilnie dowiedział się dopiero z wiadomości przekazanej bezprzewodnikiem.

– Za Rosję i za zwycięstwo! – powtórzył za nim rzeczywisty radny Aleksander Ignatiewicz Golicyn.

Mężczyźni wypili do dna, zagryzli kiszonymi ogórkami i postawili puste kieliszki na srebrnej tacy.

– Wspaniale się zaprezentowaliście – pochwalił Lamsdorf i ugryzł chrupiącego ogórka. – I „Iljuszka” także. Pokazaliśmy tym cesarskim świniom, że z Rosją należy się liczyć. Koniecznie przypomnijcie, że w Petersburgu przedstawił Jego Imperatorskiej Mości całą załogę, przyzna wam medale.

Golicyn w zamyśleniu spojrział przez iluminator. W oddali powiewały kłęby czarnego dymu, który wciąż unosił się znad zniszczonego Nowowilejska.

– Myślicie, że odnieśliśmy zwycięstwo, Władimirze Nikołajewiczu? Możemy zawiesić sobie medale? – spytał. – Czy nie za drogo za to zapłaciliśmy? W końcu zniszczyliśmy własne miasto. A i zwycięstwo... takie, powiedziałbym... dziwne. Zamieszki nie wybuchły, miasto nie spłonęło, pozycja Aliansu jeszcze się wzmocniła. Gdyby nie ten żelazny potwór, który wystraszył całą Europę, i gdyby nie likwidacja Kniazia... ponieśliśmy porażkę.

Lamsdorf dźwięcznie się zaśmiał i poufale poklepał młodego radnego po łokciu.

– Miły Aleksandrze Ignatiewiczu, bardzo mi się podobacie – powiedział, sięgając po kieliszek, który już zdążył uzupełnić automat. – Rosja potrzebuje młodych i krytycznie myślących ludzi. Już dosyć nadętych żartownisiów, niesięgających wzrokiem dalej niż własny brzuch. Ale pomyślcie sami, dlaczego by to nie miało być zwycięstwo? Niemcy zobaczyli, że z Rosją lepiej nie żartować, a gdy wybuchnie dyplomatyczny skandal z powodu ataku na nasze miasto, jeszcze będziemy mieć z tego korzyści. Tak, musieliśmy sami wysadzić Nowowilejsk, ale to miasto i tak jest potępione, więc to nic takiego, a panowie rewolucjoniści będą musieli sobie łamać głowy, skąd wytrzasnąć drugiego takiego Kniazia. Wilno... No, tu się udało może trochę mniej, ale przecież człowiek nie zawsze dostaje wszystko natychmiast. Pozycja Aliansu wcale nie jest taka mocna, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Czas pokaże, jakimi medykamentami trzeba leczyć ten nowotwór. Głowa do góry, panie radny. Uznajcie to za gambit. – Lamsdorf wychylił kieliszek, po czym wytarł sobie usta rękawem marynarki. – Jak się ma wasza czarnowłosa podopieczna?

– Przeżyła – odpowiedział lakonicznie Golicyn. Nie chciał rozmawiać o tym, w jakim stanie załoga biplanu znalazła Emilię, ilu potrzebowała leków i jak teraz wyglądała.

– Wspaniale! A ten działacz, który się chwalił, że spali Wilno, jeśli tylko dobrze mu zapłacimy, co z nim?

– On nie przeżył.

– No proszę! – Minister spraw zagranicznych z zadowoleniem przeciągnął się na krześle. – Za Rosję, za jej świetlaną przyszłość i za szybki rozpad Aliansu!

Kieliszki znów zabrzęczały. Oświetlony przez ostre południowe słońce „Ilja Muromiec” leciał do domu.

Zwierzyniec był wspaniałym miejscem do ukrywania się. Tutaj zjawiali się kupcy spragnieni spokoju, tych, co zapragnęli płatnej miłości, z przyjemnością przyjmowały liczne domy pobłażliwości, pod szumiącymi dębami nad brzegiem Wilii w tajemnicy gruchali zakochani. Nawet bezpańskiemu psu Mitkowi udzielił się zwierzyniecki duch – chował się przy płotach i groźnie szczekając, straszył rozwozicieli mleka.

Na Zwierzyncu można było też ukryć bezgraniczny smutek. I najskrytsze sekrety.

Marta postawiła tacę z drugim śniadaniem na ogrodowym stoliku w altance i ukradkiem wycierając sobie fartuszkami kąci oczu, pośpieszyła do swojego pokoiku. W altanie siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden wysoki, przygarbiony, jego włosy posiwiały w ciągu jednej nocy. Drugi z twarzą usianą siniakami, złamaną ręką i spaloną, rzadką jak zerwana sieć pająka brodą, która jeszcze wczoraj była bujna i zadbana. Siedzieli ponurzy i nie podnosili na siebie wzroku. Wyglądali dziwnie, ukryli się w końcu ogrodu jak najdalej od postronnych oczu.

W końcu Twardowski przemówił i zaczął wylewać, co mu leżało na sercu. Mówił o tym, co ukrył przed przyjacielem i co być może powinien był powiedzieć mu wcześniej, ale jego stary druh tylko potakiwał ze zrozumieniem. Twardowski opowiadał o małej dziewczynce, której rodzice zginęli podczas pożaru, a jemu udało się uratować tylko ją. O tym, że była skazana na śmierć i że dla niej porzucił karierę, postanowił uratować ją sposobami, o których nie wolno głośno mówić. Stworzył dla dziewczynki metalowe serce. Musiała każdego ranka nakręcać je specjalnym miedzianym kluczykiem. Zafascynowana pracą wuja dziewczynka sama zaczęła tworzyć niezwykle mechaniczne zabawki. Twardowski opowiadał o złych zamiarach Wielkiego Mistrza Wskrzescieli, o kluczyku do serca Miły, o fetchu podszywającym się pod adiunkta Finleya.



Wreszcie zamilkł i obaj mężczyźni długo podpierali się rękami o podłokietniki foteli, nie patrząc jeden na drugiego, żeby nie widzieć wzajemnego cierpienia i płynących po policzkach łez.

Gdy już całkiem się ściemniło, Jan Basanowicz ulotnił się cicho, zostawiając przyjaciela samego. Nikodem nawet nie podążył za nim wzrokiem. Serce przygniatała wina. Dużo mówił, ale to, co opowiedział, było dalekie od czystej prawdy.

Podpierając się na lasce, Twardowski wrócił do domu. Zatrzymał się w przedpokoju, rozważając, w którą pójść stronę. Wejść na górę, gdzie w swoim łóżku spokojnie leżała Miła, a z półki patrzyli na nią Pierrot i Kolombina, nie miał siły. Stukając laską, zszedł na dół, wypowiedziawszy tajne hasło, otworzył drzwi do laboratorium, wziął z półki trzy książki i poszedł do ukrytego pokoju. Osunął się ciężko na krzesło naprzeciwko lustra, które nic nie odbijało.

Przez jakiś czas zwierciadło było ciemne. Twardowski przyłożył dłoń do jego powierzchni i zaczęło się mienić. Powoli coraz wyraźniej zaznaczały się ciemne kontury ledwo dostrzegalnej postaci. Uczony wyciągnął rękę, a ta aż po łokieć zanurzyła się w tafli lustra.

– Wróciłeś – rzekł zduszonym głosem.

– Nigdzie nie odszedłem – zaprzeczyła postać w lustrze. – Kamienie mojej wieży od dawna opłukuje Wilia, ale ty jesteś mną, a ja jestem tobą.

Nikodem już miał coś powiedzieć, ale w ostatnim momencie się rozmyślił. Zamarł ze wzrokiem wbitym w mieniącą się tafnię lustra.

Praga płynęła. Wełtawa wystąpiła z brzegów i przystrojona w białe spienione fale płynęła ulicami Starego Miasta. Prascy legioniści nakazali mieszkańcom czym prędzej opuścić stolicę. Przy rogatek rozciągały się długie kolejki niezadowolonych, zdenerwowanych i wciąż uchodzących z wolnego miasta prażan. I tylko patrolujące granice golemy wstrzymywały napad wściekłości.

Mistrza Łoży Wskrzesicieli Konrada von Wittgensteina praskie powódzie i problemy mieszkańców w ogóle nie obchodziły. Zajmowały go zupełnie inne sprawy. Nic, nawet szalejąca Wełtawa, nie mogło wedrzeć się do pałacu strzeżonego przez gargulce.

Konrad von Wittgenstein siedział w wygodnym, miękkim fotelu, popijał ulubioną, aromatyczną herbatę z bergamotką i rozmyślał o tym, jakie figle potrafi płatać los. Zaufani agenci poinformowali go o szarzy Żelaznego Wilka i o dziewczynie z nakręcanym sercem, która go powstrzymała. Londyńscy

fetche donieśli o operacji zakończonej niepowodzeniem i o agencie, który zginął w Wilnie w niejasnych okolicznościach. Wileńscy wskrzesiciele – o laboratorium w podziemiach, które odkrył mechaszczur i o czterech straconych feniksach. Jedna zła wiadomość goniła następną. Ale Mistrz Praskiej Łoży Wskrzesicieli nie martwił się z tego powodu.

– Wyrocznio, nie okłamałaś mnie. Wzięłaś złoto i powiedziałaś prawdę. „Szukaj klucza do serca dziewczyny” A żeby cię! – Mistrz głośno się roześmiał. – Przebiegła wiedźma. A my zmusiliśmy fetche, by zajęli się intrygami miłosnymi! Fetche! Tymczasem wystarczyło znaleźć zwykły, najzwyklejszy kluczyk.

Mistrz upił łyk herbaty. Już chciał się zamachnąć i cisnąć filiżanką w ścianę pokoju ozdobioną gipsowymi zlepkami, ale powstrzymał się, powściągnął gniew. Odstawił filiżankę, podniósł się i podszedł do wielkiego okna, za którym rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na potęgę szalejącej Wełtawy.

– Jakież ja jestem głupi – wymamrotał Konrad von Wittgenstein. – Szukałem lalki, podczas gdy należało szukać lalkarza.

Zaśmiał się, odwrócił od okna i wyszedł z pokoju.

– I pokonał złego wilka, odcinając mu głowę. Zaciągnął ją na najwyższą w mieście wieżę, by wszyscy ją widzieli, by pamiętali i jeszcze swoim dzieciom opowiadali tę historię ku przestrodze – rzekł stary Efraim i z zadowoleniem się rozsiadł.

Wystraszone dzieci przez jakiś czas trwały w milczeniu. Bajka skończyła się szczęśliwie, więc niedługo potem jedno przez drugie zaczęły błagać o kolejną, podobną historię.

– Nie, nie, kochani, wujek Efraim musi odpocząć, zobaczcie, jak słońce przypieka. – Starzec ruchem ręki wskazał na niebo, podniósł się niedołąźnie, chwycił laskę podaną mu przez najmłodszego słuchacza i podpierając się na niej, chwiejnym krokiem ruszył do swojego skromnego mieszkanka na Czerniach. Dziś jego bajki słuchały jedynie dzieci. Dorośli mieli ważniejsze sprawy.

Wróciwszy do domu, zamknął drzwi i starannie zaczepił żelazny haczyk. Drzwi były byle jakie, a haczyk równie lichy, ale staruszek wciąż zapewniał, że jeśli samemu się nie zabezpieczy, to i Bóg go nie uchroni. Szczerze w to wierzył. Sąsiedzi zgodnie mu przytakiwali, lecz gdy tylko Efraim nie słyszał, od razu brali go na języki.

– Co tam można znaleźć u tej biednej myszy. Chyba tylko zakurzony Talmud pamiętający czasy Matuzalema.

Postawiwszy laskę w kącie, staruszek zaczął ostrożnie schodzić po skrzypiących schodach do swojego tajnego pałacu. „Pałac dla ziemniaków i rzodkiewek”, chichotali za jego plecami sąsiedzi. Jednak bardzo się mylili. Efraim w domu nie trzymał ani ziemniaków, ani rzodkiewek. Z każdym krokiem jego plecy stawały się coraz bardziej wyprostowane. Laskę zostawił na górze. Znalazłszy się w piwnicy, zatrzymał się przy końcowej ścianie, wymamrotał coś, nacisnął kilka wymacanych kamieni i ściana się obróciła. Wiedział o niej tylko Efraim, choć nie on ją skonstruował, a pewien mistrz, który od lat dzielił czas ze Stwórcą.

Efraim wszedł do niewielkiego pokoiku i rozejrzył się.

– Kto wie, czy w Wilnie jeszcze zostały domy bez ukrytych pomieszczeń i tajnych laboratoriów – zaśmiał się po cichu.

Nie tak dawno temu zatrzymał się w Wilnie i zaczął udawać starego, trochę ogłupiałego, ale dobrodusznego szewca i gawędziarza.

„Stary Żyd”, jak go na ulicy nazywali ludzie, cudownie odmłodniał, usiadł przy stole i palcem przeciągnął przez leżące na nim szkice. Te prawdziwe, nakreślone przez Franciszka wyciągniętego z Nowowilejska dzięki staraniom Efraima, który urządził mu laboratorium w wileńskich podziemiach i poił go alchemicznymi eliksirami, żeby Baltrus czym prędzej stworzył i udoskonalił Żelaznego Wilka – bionika. Efraim lubił każdą operację planować bardzo szczegółowo, dlatego nie ucieszył się, gdy się dowiedział, że kopia szkiców znalazła się w rękach rosyjskiego agenta Iwana Skorochodowa. Rozprawienie się z Rosjaninem okazało się dla wilka dziecinnie proste, jednak nie udało się tej nocy odzyskać szkiców, popleczników Efraima ubiegł Sanitariusz. Wtedy się zaczęło... Iluż ludzi straciło głowy: Iwan Skorochodow, Tomasz Ujejski, feniksy wskrzesicieli, Symaszko, podżegacz Susłow i wielu innych, którzy stali się ofiarami nocnego polowania bestii.

Efraim westchnął. Podejrzewał, że rozleje się wiele krwi, dlatego o swoim planie nie poinformował nawet Natana Rothschilda, jedyne człowieka, który wiedział, że pod maską ogłupiałego szewca kryje się prawdziwy zarządca Aliansu i jego mózg. „Natan to dobre dziecko – rozmyślał Efraim – ale jest zbyt naiwny, jeszcze nie dorósł do tego, by przejąć moją wiedzę i by wziąć w swoje ręce władzę nad Aliansem”.

Czuł się zmęczony, eliksiry odmładniające działały zbyt krótko, ale nie mógł teraz usunąć się w cień – świat stał na krawędzi wojny, podobny do beczki

prochu, i gdyby nie Rosjanie, Niemcy czy Brytyjczycy pośpieszyliby podpalić lont. Efraim widział, że wojna jest nieunikniona. Alians musi się na to przygotować.

Żelazny Wilk. Niezwyciężona, niemożliwa do zestrzelenia machina wojenna prawie nie do pokonania, tej nocy pokazała, co potrafi. Efraim nie wątpił, że wszystkie wielkie państwa i wszystkie korporacje już zaczęły gorączkowo szukać twórców mechanicznego potwora. Wilk został zniszczony, ale to nic. Wkrótce pojawią się ich dziesiątki, setki, a może i tysiące. Gdy tak się stanie, zaczną się sypać miliardy. A pieniądze – to potęga. Natan potrzebował jeszcze czasu, by zrozumieć, co jest prawdziwą siłą napędową Aliansu. Pieniądze i potęga. Dopiero gdy to do niego dojdzie, będzie mógł zająć miejsce Efraima, a jemu pozwoli opowiadać dzieciom bajki.

Efraim odchrząknął i zamknął oczy. Czekąco go wiele pracy – musiał czym prędzej zlikwidować laboratorium Franciszka, zanim wrócą do niego wskrzesiciele lub legioniści, dobra cioteczka Baltriene również wiedziała zbyt wiele, trzeba się będzie zainteresować śmiercią wilka i dziewczyną w czerwonej sukience, którą zabrał Twardowski. Ale wszystko to może jeszcze chwilę poczekać. Chwileczkę.

Efraim wstał i wspiąwszy się po schodach na górę, znów wyszedł na dwór.

Dzieci, które zobaczyły na ulicy starego gawędziarza, natychmiast go otoczyły i zaczęły się domagać nowej bajki. Jedne zaproponowały ponieść łaskę, inne, przytrzymując staruszkę, usłużnie zaprowadziły go do ławeczki. Podrostki już niosły filiżankę gorącej, słodkiej, tak lubianej przez staruszkę herbaty.

– No dobrze – odchrząknął Efraim i przysiadł na ławce. Siorbnął trochę słodkiego napoju, postawił filiżankę obok siebie, po czym machnął na dzieci. – Niech będzie, opowiem jeszcze jedną historię.

KONIEC

## SŁOWNICZEK

**Alchemia** – nurt w filozofii przyrody, który z kultury arabskiej przedostał się również do Europy. W średniowieczu alchemicy dążyli przede wszystkim do odkrycia metody przemiany dowolnego metalu w złoto, stworzenia eliksiru nieśmiertelności i sztucznego życia. W późniejszych wiekach od alchemików odłączyli się wskrzesiciele tworzący golem, a nowocześni alchemicy, którzy starą wiedzę dostosowali do tworzenia nowych technologii, zyskali duże wpływy w jednostkach uniwersyteckich miast Aliansu. Ich główny wynalazek, nazywany największym wynalazkiem XIX wieku, to gaz prometylowy.

**Alessandro Volta** – włoski fizyk, wynalazca baterii. Alianccy mechanicy, którzy stworzyli przenośną lampę zasilaną małymi, lecz długo działającymi bateriami, nazwali ją lampą Volty.

**Alians** – organizacja stworzona przez ród Rothschildów, łącząca pięć miast: Wilno, Rewel, Kraków, Pragę i po części Konstantynopol. Wedle uzgodnień z państwami europejskimi miasta Aliansu były niezależne, miały własną władzę i ustawy. Pierwszym wolnym miastem stała się w 1868 roku Praga, w tym samym roku także Kraków, w 1870 roku dołączyły do nich Wilno i Rewel, a w 1871 uzgodniono częściowe zarządzanie Konstantynopolem.

**Antokol** (lit. *Antakalnis, Antokolis*) – spokojna, prestiżowa dzielnica Wilna.

**Automaton** – mechaniczny twór potrafiący wykonać jedną lub więcej z góry zaprogramowanych czynności. Automatomy mogą przyjmować różne formy – od latającego i śpiewającego ptaka po lokajów witających gości. Bardziej złożone automatomy są w stanie wykonywać różne czynności zależnie od zmieniającej się sytuacji.

**Bezprzewodnik** – aparat pozwalający przekazywać informacje na odległość. Szeroko stosowany w Aliansie, najczęściej przez legionistów.

**Biedy** (lit. *Bėdos*) – dzielnica Wilna rozciągająca się za Białymi Słupami Pohulanki. Ma szczególnie złą reputację, znajduje się w niej wiele zarówno legalnych, jak i nie do końca legalnych miejsc rozrywek, które przyciągają mieszczan.

**Charles Babbage** – angielski uczoney i wynalazca, który stworzył maszynę różnicową, nazywaną też maszyną Babbage'a – pierwszy prototyp współczesnego komputera.

**Czernie** (lit. *Juodėsiai*) – dzielnica Wilna mieszcząca się między Popławami, Starym Miastem i Niechrtami, zamieszkiwana głównie przez Żydów, Chińczyków, Armeńczyków, Karaimów i innych imigrantów z odległych krajów.

**Czynownicy** – funkcjonariusze rosyjskich urzędów państwowych.

**Dominium Uniwersyteckie** – dzielnica Wilna wokół Uniwersytetu, obejmująca również plac Ratuszowy wraz z ratuszem miejskim. Polityczny i alchemiczny rdzeń miasta.

**Domy pobłażliwości** – kwitujące w Wilnie legalne domy publiczne.

**Fetche** (ang. *fetch*) – członkowie tajnej organizacji okultystów i zabójców. Nazwa nawiązuje do postaci z folkloru irlandzkiego, nazywanych fetchami – nadprzyrodzonych istot, podobnych jak dwie krople wody do ludzi. Ich pojawienie się zwiastowało złe wydarzenia, najczęściej – śmierć. Fetche potrafią przybrać postać swojej ofiary, jednak jak im się to udaje, póki co nie wiadomo. Jedna z wersji mówi, że fetche są hipnomantami mogącymi stworzyć wokół siebie potężne pole hipnotyczne i zmusić ludzi do widzenia tego, czego się od nich wymaga. Inna legenda głosi, że są to wampiry energetyczne – wysączywszy z człowieka energię, na krótko przyjmują jego postać.

**Gogle** – specjalne przylegające okulary z dużymi szklami chroniące oczy przed pyłem, małymi drobinkami i silnym wiatrem. Noszą je alchemicy, mechanicy i piloci statków powietrznych.

**Golem** – istota stworzona z gliny alchemicznymi metodami, potrafiąca wypełniać proste rozkazy. Najczęstszy twór praskich wskrzesicieli. Według legendy golem były tworzone w Pradze od XVI wieku i używane do obrony żydowskiego getta przed pogromami czy atakami antysemitów.

**Hipnomanci** – badacze snu i hipnozy. O działalności hipnomantów wiadomo niewiele, ale uważa się, że to właśnie oni stworzyli opiumowe lustra i eliksir z pajęczych kropli, pod wpływem którego człowiek przez jakiś czas wierzy we wszystko, co mu się mówi.

**Jęczyki salamandry** – wynalazek alchemików, źródło światła wykorzystywane na sterowcach, w kopalniach i wszędzie, gdzie zabrania się stosowania otwartego ognia.

**Krętacze** – ciemne typki z Bied, które zwiedzającym dzielnice osobom proponują różne usługi: pilota, przewodnika, doradcy, kompana, osobistego strażnika czy towarzysza w powrocie do domu.

**Legion** – organizacja najemników, której przeznaczeniem jest utrzymanie

porządku i bezpieczeństwa w miastach Aliansu. Poszczególnym Legionom przewodniczą legaci i ich podkomendni – porucznicy, kaprale i sierżanci.

**Matrosi** – członkowie załogi rosyjskich sterowców.

**Nawigator** – funkcjonariusz odpowiedzialny za planowanie lotów w wieżach kontrolnych i na statkach powietrznych.

**Nekromanci** – badacze czarnej magii według legend potrafiący przywrócić martwych do życia.

**Niechrzty** (lit. *Nekrikštai*) – dzielnica Wilna rozciągająca się nad Wilenką, w której znajduje się mnóstwo zajazdów, gospód, klubów bilardowych i domów pobłażliwości czynnych dzień i noc. Szczególnie umiłowana przez studentów i innych młodzieńców.

**Nowy Świat** (lit. *Naujasis Pasaulis*) – buntownicza dzielnica Wilna, w której żyje najwięcej uchodźców z innych krajów, przybyszów i rewolucjonistów. Cechy szczególne: zawile uliczki i bloki, w których można wynająć mieszkanie, pokój, a nawet samo łóżko.

**Opiumowe lustra** – narzędzie komunikacyjne stworzone przez hipnomantów i mistyków z Konstantynopola. Po wypaleniu specjalnego alchemicznego opium wpada się w trans i przy wykorzystaniu specjalnych lusterek można się porozumiewać ze sobą bez względu na odległość. Stały się bardzo popularne w dzielnicach europejskich miast, gdzie gromadzą się przybysze z dalekich krajów.

**Paromieście** (lit. *Garmiėstis*) – dzielnica Wilna, w której skupione są wszystkie fabryki i manufaktury. Z Wyścigowym Portem Lotniczym Paromieście łączy przeprowadzona nad ziemią jednotorowa kolej. Najślawniejsze budynki: Gildia Mechaników, paromiejskie sauny, arsenał puszkarSKI.

**Pohulanka** (lit. *Pohulianka*) – wileńska dzielnica restauracji, zajazdów, kawiarni i teatrów.

**Prometyl** – gaz wynaleziony przez alianckich alchemików, lżejszy od wodoru i helu, najczęściej używany w statkach powietrznych. Prometyl jest prawie niepalny, może być łączony z gorącym powietrzem, gorącą parą, a nawet z różnymi alchemicznymi ekstraktami. Ze względu na różne właściwości użytkowe prometyl niekiedy nazywany jest magicznym gazem, jego formuły starannie strzegą alchemicy. Produkuje się go tylko w miastach Aliansu. Ilość i cenę prometylu sprzedawanego innym krajom ustalają Rothschildowie.

**Rada Wileńska** – wileński organ rządzący, którego skład stanowią radni

odpowiedzialni za różne aspekty życia miasta. Obecnie Radę Wileńską tworzą radni: oświaty, finansów, ducha, porządku, kierunku, wędrowców, zdrowia, pary i alchemii. Władze nad miastem sprawuje burmistrz Witold Wensławski-Wenskus.

**Rothschildowie** – założyciele jednej z najbardziej wpływowych organizacji finansowych w Europie; rodzina Rothschildów uważana jest za najbogatszą na świecie. Jej interesy obejmują wiele dziedzin – od górnictwa po produkcję win. Zaniepokojeni możliwym wybuchem wojny i zwiększającymi się wpływami państw europejskich na ich interesy, Rothschildowie w 1870 roku założyli Alians – związek wolnych miast – po tym, jak wykupili kilka z nich od państw europejskich.

**Rubel** – waluta wolnych miast Aliansu: Krakowa, Rewla i Wilna. Chcąc zachęcić do handlu i uniknąć niepotrzebnych wydatków, przywódcy Aliansu pozostawili dawne waluty – korony (w Pradze) i liry (w Konstantynopolu).

**Rycerze Katedry** – wileńska organizacja fanatycznie broniąca wartości i prawd chrześcijańskich, nazywana też Pięścią Kościoła Katolickiego. Rycerze zamieszkują Zamek Dolny, przewodzi im prałat Masalski, radny ducha.

**Skopolamina** – substancja chemiczna uzyskiwana z łulka czarnego lub bielunia dziedzierzawy, blokuje centralny system nerwowy, używa się jej w położnictwie oraz jako znieczulacza. W połowie XIX wieku amerykański położny, doktor Robert House, twierdził, że skopolamina może być stosowana jako serum prawdy.

**Steampunk** – gatunek fantastyki, w którym akcja dzieje się w epoce wiktoriańskiej bądź w obrębie historii alternatywnej, gdzie dużą rolę odgrywają przedmioty stworzone za pomocą technologii mechanicznej i przy użyciu pary.

**Sterowce** – wynaleziony przez alchemików prometyl uczynił sterowce jednym z głównych powietrznych środków transportu. Sterowce dzielimy na pasażerskie, ładunkowe i wojskowe. Sterowce wojskowe posiadają pięć klas: ogromne powietrzne krążowniki, mniejsze fregaty, średnie korwety, szybkie rajdery i najmniejsze, przeznaczone do obserwacji zwiadowce.

**Szczyt** – coroczne spotkanie posłów i ministrów spraw zagranicznych odbywające się w którymś z miast Aliansu. Podczas Szczytu zazwyczaj odbywa się święto miasta i wystawa najnowszych wynalazków. W 1905 roku Szczyt zorganizowano w Wilnie.

**Śnipiszki** (lit. *Šnipiškės*) – dzielnica Wilna, skupisko niewielkich



sklepików i bloków, w których mieszkają ludzie pracujący na Paromieściu.

**Utopia** – jedna z największych organizacji anarchistycznych działających na terytorium carskiej Rosji. Otwiera swoje oddziały i rozwija działalność nie w Moskwie czy Sankt Petersburgu, lecz w mniejszych miastach prowincji imperium, między innymi w Kownie.

**Wieża nawigacyjna** – centrum zarządzania lotami utworzone w Zamku Giedymina, które za pomocą sygnałów świetlnych kontroluje ruch powietrzny nad Wilnem.

**Wskrzesciele** – wpływowa, wspierana przez Alians organizacja, której celem jest stworzenie myślących istot, jakie można by wykorzystywać w przemyśle, zwiadzie i na wojnie. Póki co największym osiągnięciem wskrzescieli są golemy, z którymi konkurują tworzone przez mechaników automatony. Łoże wskrzescieli działają we wszystkich miastach Aliansu i w innych wielkich miastach europejskich, ale za swoją stolicę uważają Pragę, której są faktycznymi zarządcami.

**Wyścigowy Port Lotniczy** – dawny hipodrom, obecnie główny port lotniczy Wilna.

**Zwierzyniec** (lit. *Žvėrynas*) – dzielnica, która zachowała urok starego, spokojnego Wilna, odpowiednia dla tych, którzy chcą uciec od miejskiego zgiełku.

## PODZIĘKOWANIA

Dzieło literackie, nawet jeśli jest to powieść fantastyczna, owoc wyobraźni, rzadko kiedy rodzi się jedynie na podstawie obmyślonej fabuły, wykreowanych w głowie postaci i dzięki wysiedzianym przed komputerem godzinom. Być może to się zdarza, ale zapewne wyłącznie doświadczonym pisarzom. Dla debiutanta ważna jest jednak pomoc i porady. Dlatego chcę szczerze podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie podczas pisania powieści *Wilcza godzina* i pomagali, doradzając, a czasem szczypiąc, żebym nie zboczył z kursu.

Przede wszystkim dziękuję fantastycznej redaktorce Lorecie za to, że prowadziła mnie za rękę, zachęcała kijem i marchewką, pokazała najprostszą drogę, którą powinien iść debiutujący pisarz. Bez jej pomocy zgubiłbym się w gąszczu własnych słów i nigdy nie odnalazł właściwej drogi.

Dziękuję wspianiałej ekipie z wydawnictwa Alma Littera – Danguole, która zaraz po Jarmarku Książkowym w 2012 roku postawiła mi ultimatum: „albo piszesz, albo...”, Ugne, z której e-maili pełnych wsparcia i porad można by stworzyć jeszcze jedną grubą książkę, oraz wszystkim innym, którzy pomogli mi podczas pisania *Wilczej godziny*, a których nie sposób wymienić w krótkich podziękowaniach.

Dziękuję też wspianiałej ilustratorce Egle, której prace zdobią powieść i z którą wspólny język znalazłem w mgnieniu oka – w końcu fantasta rozpozna fantastę z daleka. Inne jej prace możecie zobaczyć tutaj: [daywish.deviantart.com](http://daywish.deviantart.com).

Choć już tego nie przeczyta, dziękuję Antanasowi Rimvydasowi Čaplinskisowi, którego książka *Historie i legendy Wilna* stała się jednym z najważniejszych źródeł pozwalających zagłębić się w życie miasta pod koniec XIX wieku. Osobne podziękowania składam autorom wspianiałego bloga o zapomnianym Wilnie: [vilniusguide.wordpress.com](http://vilniusguide.wordpress.com).

Co prawda to im dedykuję tę książkę, ale jeszcze raz dziękuję swojej rodzinie – Violecie, Valeriji, Laimonasowi, Rasie, Vasarze, Vakarasowi. Dla najważniejszych ludzi podziękowań nigdy za wiele.

Osobne podziękowanie ślę do szorstkowłosego jamnika Arasa. Gdy w głowie wyczerpywały się słowa, to on wyciągał mnie na spacer do lasu, a tam wyrazy powracały.

Jeszcze raz dziękuję wszystkim! Do następnej niezwykłej przygody!

## KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA

Przetłumaczenie *Wilczej godziny* nie było prostym zadaniem, ale ostatecznie uważam, że efekt jest bardzo dobry. W tej jednej książce spotkałem się z wieloma przeszkodami utrudniającymi pracę translatorską. Po pierwsze pewne kłopoty rodziło tłumaczenie imion i nazwisk litewskich – ze względu na to, że Litwa i Polska są ze sobą blisko już od dawien dawna, nasze kultury i zwyczaje przenikały się, więc i imiona, i nazwiska adaptowaliśmy wzajemnie do własnych języków. Na początku chciałem zachować oryginalną pisownię litewską, ale im dalej brnąłem w tłumaczenie, tym gorzej wyglądał tekst, dlatego ostatecznie zdecydowałem się na spolszczenie, by uczynić lekturę przystępniejszą, łatwiejszą do odczytania i wymówienia dla polskiego czytelnika.

Jednakże koniecznie muszę dodać kilka wyjaśnień dotyczących postaci, z jakimi spotykamy się w powieści. Niektóre z nich istniały naprawdę, lecz nie były tymi, kim stały się w tej książce. Pozwolę sobie wymienić dwie najważniejsze z nich.

Jan Basanowicz tak naprawdę nigdy nie przedstawiał się polskim imieniem i nazwiskiem, po litewsku nazywał się **Jonas Basanavičius**. To bardzo ważna postać dla Litwinów. Jonas Basanavičius był litewskim lekarzem, redaktorem naczelnym pisma „Ausra” (*Aušra*), prekursorem litewskiego odrodzenia narodowego.

Piotr Wilejszys, a właściwie **Petras Vileišis**, to kolejna niezwykle ważna postać w litewskiej historii. Był inżynierem, mecenasem, działaczem społecznym i politycznym, a razem z Jonaszem Basanavičiusem zorganizował tak zwany Wielki Sejm Litewski w Wilnie.

Za pomocą przypisów starałem się uzupełnić polskie wydanie o niezbędne informacje pozwalające polskiemu czytelnikowi na lepsze zrozumienie świata przedstawionego. Dotyczy to nie tylko imion i nazwisk, ale i prawdziwych miejsc w Wilnie, jak i związanych z nimi legend.

Mam nadzieję, że dzięki mojej pracy i pojawieniu się polskiego wydania *Wilczej godziny* literatura litewska stanie się w Polsce popularniejsza i pomoże zbliżyć do siebie Litwinów i Polaków.

Laurynas Candravičius

- [1] Lit. *aljansas*, od ang. *alliance* – sojusz, przymierze (przyp. tłum.).
- [2] Zob. słowniczek na końcu książki.
- [3] Dawna nazwa Tallinna, stolicy Estonii (przyp. tłum.).
- [4] Główna, większa ulica (przyp. tłum.).
- [5] Uniesie zdobycz ten, kto zjawia się pierwszy (łac.).
- [6] Lit. *lupeta* lub *lupata* – szmata, ścierka (przyp. tłum.).
- [7] Lit. *šliundra* – w socjolekcie młodzieży polskiego pochodzenia w Wilnie rozpustnica, prostytutka (przyp. tłum.).
- [8] Ros. *pristav* – funkcjonariusz publiczny w dawnym Księstwie Moskiewskim lub w Rosji, odpowiednik policjanta (przyp. tłum.).
- [9] Szpieg, informator rosyjski.
- [10] W mitologii angielskiej fetch to sobowtór, upiór. Jeżeli człowiek spotka go po zachodzie słońca, grozi mu śmierć, a jeżeli przed zachodem słońca – nieprzyjemności.
- [11] W języku litewskim, tak jak w polskim, kobietom do rdzenia nazwiska męża lub ojca dodaje się końcówki *-ienė* (dla mężatki, odpow. pol. -owa) lub *-aitė* (dla panny, odpow. pol. -ówna), tak więc żona Wenskusa (lit. *Venskus*) to Wenskiene (lit. *Venskienė*), a po polsku – Wenskusowa (przyp. tłum.).
- [12] Dobrze płatna posada niewymagająca wiele wysiłku (przyp. tłum.).
- [13] Jarmark odpustowy w Wilnie obchodzony w dzień św. Kazimierza, 4 marca (przyp. tłum.).
- [14] Przekręcone *laba diena*, „dzień dobry” po litewsku (przyp. tłum.).
- [15] Piękno jest pojęciem względnym (ang.) – powiedzenie, którego autorką jest XIX-wieczna angielska pisarka Margaret Wolfe Hungerford, wydająca swe dzieła pod pseudonimem Księżna.
- [16] Według jednej z legend o założeniu Wilna święty Krzysztof przeniósł Dzieciątko Jezus na drugi brzeg Wilii (przyp. tłum.).
- [17] Kaukas – chochlik, skrzat. W mitologii litewskiej istota uważana za ducha płodności, plonów i bogactwa. Wierzono, że kaukasami stają się zmarłe nieochrzczone niemowlęta (przyp. tłum.).
- [18] Bardzo dziękuję (jap.).
- [19] Towarzystwo, zgromadzenie, wspólnota.
- [20] Lit. *krivių krivaitis* – najwyższy pogański kapłan w dawnej Litwie (przyp. tłum.).
- [21] Marcin Mażwid (lit. *Martynas Mažvydas*), autor pierwszej książki napisanej w języku litewskim, której tytuł to *Catechismusa prasty szadei* (lit. *Katekizmo prasti žodžiai*), czyli *Proste słowa katechizmu* (przyp. tłum.).

[22] Bóg z nami (niem.).

[23] Parafraza dwóch pierwszych wersów litewskiej wierszowanej bajki ludowej o zwierzętach: „Setka zajęcy się zjawila, az się puszcza pochyliła” (lit. *Šimtas zuikių susirinko, net žalia girelė linko*; przyp. tłum.).

[24] Narodowy kwiat Litwy. Według legendy bazyliszek bał się tych kwiatów, gdyż nie tylko neutralizowały i leczyły jego jad, ale i były w stanie go osłabić, a nawet zabić (przyp. tłum.).

[25] Mt 5, 3.

[26] Mt 5, 5.

[27] Lit. *Taurakalnis* (dosł. Góra Turowa lub Góra Tura) – wzgórze w Wilnie (przyp. tłum.).

[28] Według legendy o założeniu Wilna wielki książę Giedymin zmęczył się podczas polowania i uciął sobie drzemkę w pobliżu tejże góry. Przyśnił mu się żelazny wilk. Znaczenie tego snu objaśnił później księciu pogański kapłan Lizdejko – w tym miejscu miało powstać wielkie, niezwyciężone miasto (przyp. tłum.).

[29] W owym czasie niedaleko obecnego miejsca akcji, w istniejącej naprawdę willi Tadeusza Dembowskiego, znajdowała się nowoczesna prywatna klinika, która jako pierwsza na Litwie dysponowała aparatem rentgenowskim (przyp. tłum.).

## Vilko valanda

Copyright © by Andrius Tapinas 2013

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Copyright © for the translation by Laurynas Candravičius 2017

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Piotr Królak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Bartek Fedyczak

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-65836-53-3

ISBN MOBI: 978-83-65836-54-0



[wsqn.pl](http://wsqn.pl)



[WydawnictwoSQN](https://www.facebook.com/WydawnictwoSQN)



[wydawnictwosqn](https://www.instagram.com/wydawnictwosqn)



[SQNPublishing](https://twitter.com/SQNPublishing)



[wydawnictwosqn](https://www.linkedin.com/company/wydawnictwosqn)



[WydawnictwoSQN](https://www.youtube.com/WydawnictwoSQN)



[Sprzedaż internetowa labotiga.pl](http://Sprzedaz.internetowa.labotiga.pl)



[E-booki](#)



[Zrównoważona gospodarka leśna](#)



[Panta rhei](#)

# Spis treści

Okładka  
Strona tytułowa  
Drogi czytelniku  
Dramatis personae  
Rozdział I  
Rozdział II  
Rozdział III  
Rozdział IV  
Rozdział V  
Rozdział VI  
Rozdział VII  
Rozdział VIII  
Rozdział IX  
Rozdział X  
Rozdział XI  
Rozdział XII  
Rozdział XIII  
Rozdział XIV  
Rozdział XV  
Rozdział XVI  
Rozdział XVII  
Rozdział XVIII  
Rozdział XIX  
Rozdział XX  
Rozdział XXI  
Rozdział XXII  
Rozdział XXIII  
Rozdział XXIV  
Rozdział XXV  
Rozdział XXVI  
Rozdział XXVII  
Rozdział XXVIII  
Rozdział XXIX



Rozdział XXX  
Rozdział XXXI  
Rozdział XXXII  
Rozdział XXXIII  
Rozdział XXXIV  
Rozdział XXXV  
Rozdział XXXVI  
Rozdział XXXVII  
Rozdział XXXVIII  
Rozdział XXXIX  
Rozdział XL  
Rozdział XLI  
Słowniczek  
Podziękowania  
Kilka słów od tłumacza  
Strona redakcyjna



## Brawurowa, łotrzykowska opowieść

Zachwycający debiut Tomasza Marchewki – jednego ze scenarzystów głośnej gry Wiedźmin 3. Dzikie Gon – w którym awanturniczy klimat powieści łotrzykowskiej miesza się z historiami o szulerach w stylu Wielkiego Szu, a wszystko osadzone w mrocznym świecie ogarniętym rewolucją alchemiczną.

Jeśli nie brakuje ci odwagi, a gra o wysokie stawki jest twoim życiem, zapraszamy do bezlitosnego Hausenberga, w którym o dobrą szulernię równie łatwo, co o stragan z owocami. Prawdziwy as w rękawie!

*Niezwykłe, oryginalne, świeże.*

Jarosław Grzędowicz

Szukaj w dobrych księgarniach

t o m a s z  
MARCHEWKA

Niezwykłe,  
oryginalne,  
świeże.  
JAKOŚĆ  
GRZEDOWICZ

— MIASTO SZULERÓW —

WSZYSCY PATRZYLI  
NIKT NIE WIEZIAŁ

WSZYSCY PATRZYLI  
NIKT NIE WIEZIAŁ  
MARCHEWKA

SCN  
imaginatio

SCN  
imaginatio

Czy ludzie różnią się od samoświadomych maszyn?

W XVII wieku Christiaan Huygens opracowuje sposób na tchnięcie życia w mechaniczny konstrukt. W ten sposób powstaje pierwszy klakier, mosiężny człowiek, bezwzględnie posłuszny rozkazom swojego pana. Nie trzeba długo czekać, żeby Królestwo Niderlandów wykorzystało wynalazek Huygensa i powołało niepokonaną armię mechanicznych żołnierzy. Holandia z powodzeniem najeżdża Londyn, a chwilę później dźrzy już niepodzielną władzę w całej Europie. Trzysta lat później Jax, jeden z mechanicznych służących holenderskiej rodziny kupieckiej, w wyniku nieoczekiwanego splotu wydarzeń odzyskuje wolną wolę.

Wojny alchemiczne to niezwykle oryginalny świat i trzymającą w napięciu opowieść.

Szukaj w dobrych księgarniach

# WOJNY ALCHEMICZNE MECHANICZNY

Niezwykle oryginalny  
świat i trzymająca  
w napięciu opowieść.  
Krzysztof Piskorski



Nowy wielki talent!  
George R.R. Martin

## IAN TREGILLIS

SON  
imaginatio

MECHANICZNY

WOJNY ALCHEMICZNE

IAN TREGILLIS

SON  
imaginatio



WOJNY ALCHEMICZNE

# POWSTANIE



*Nowy wielki  
talent!*  
George R.R. Martin

IAN TREGILLIS

SON  
imaginatio



POWSTANIE

WOJNY ALCHEMICZNE

IAN TREGILLIS







WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:



WydawnictwoSQN



SQNPublishing



wydawnictwosqn



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)





POD SZTANDAREM CZERWIEGO KWIATU

# KRÓLOWIE DARY



LAUREAT HUGO, NEBULA & WORLD FANTASY AWARDS

## KEN LIU

SON  
imaginacja

KEN  
LIU

KRÓLOWIE DARY



JACEK ŁUKAWSKI

# KREW I STAL

KRAINA MARTWEJ ZIEMI



# PIĄTA PORA ROKU

KAZDA ERA MA SWOJ KRES

N.K. JEMISIN

TRZYKROTNA NAGRODA

HUGO

NOMINACJA

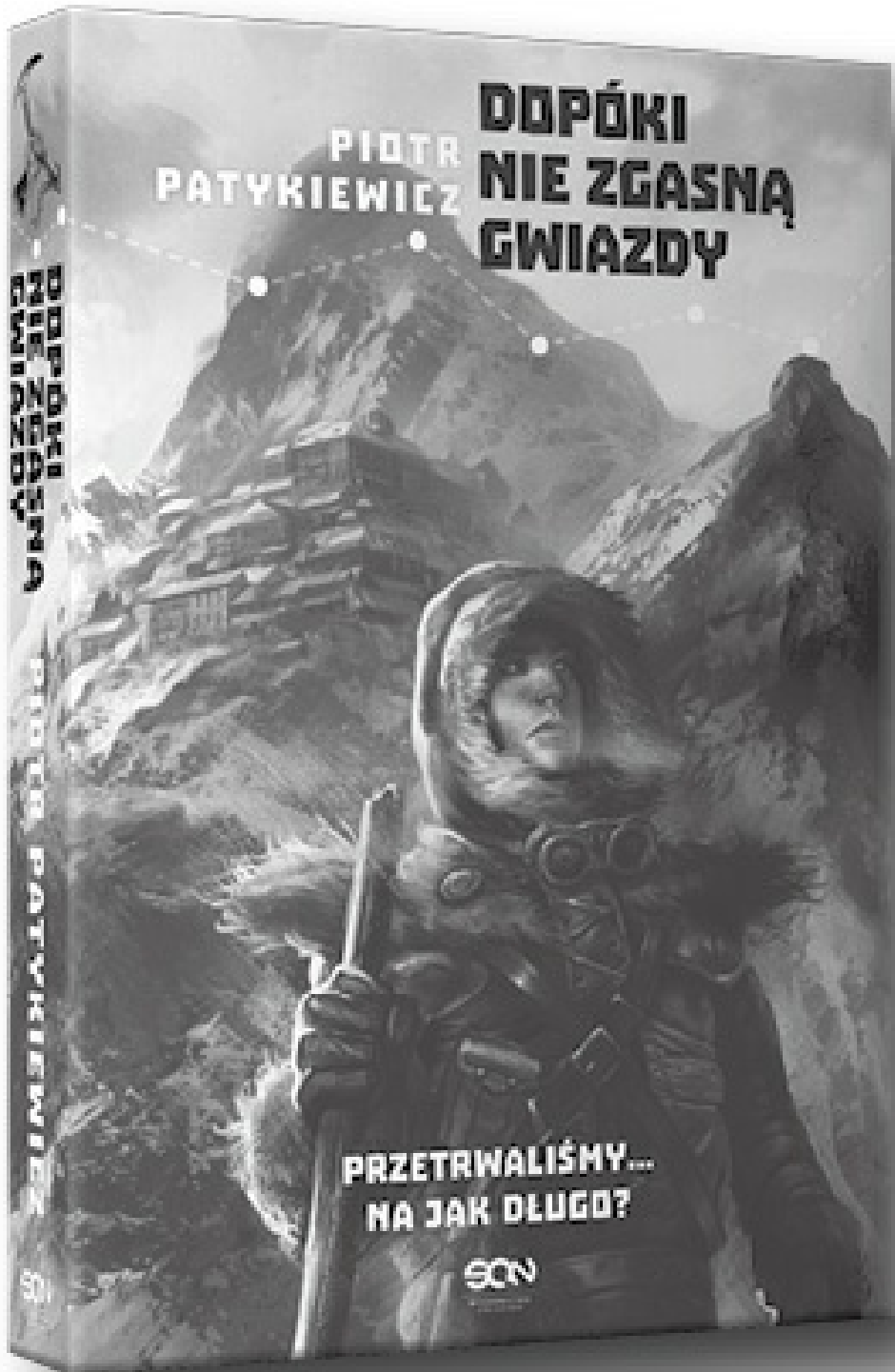
DO NAGRODY

NEBULA LEONDA



SON  
magnum

PIĄTA PORA ROKU  
PIĄTA PORA ROKU  
PIĄTA PORA ROKU  
N.K. JEMISIN  
SON



PIOTR  
PATYKIEWICZ

# DOPÓKI NIE ZGASNA GWIAZDY

PRZETRWAŁIŚMY...  
NA JAK DŁUGO?

SCN

DOPÓKI  
NIE ZGASNA  
GWIAZDY

PIOTR PATYKIEWICZ

SCN

PYŁ ZIEMI

RAFAŁ CICHOWSKI



RAFAŁ CICHOWSKI

# PYŁ ZIEMI



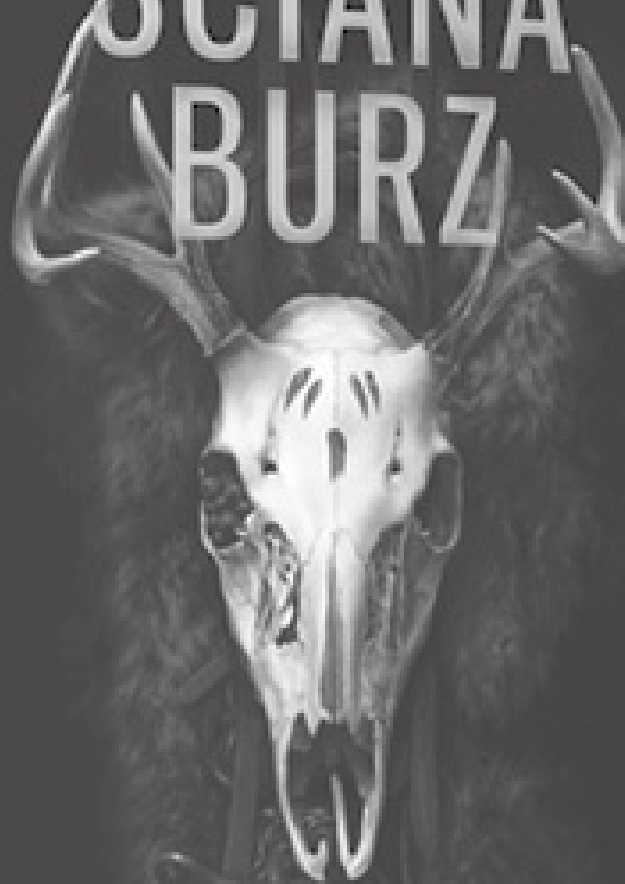
CZAS WYRÓWNUJE WSZYSTKO DO ZERA

SON

WYDAWNICTWO

POD SZTANCIAMI CZARNEGO KWIASTU

# ŚCIANA BURZ



LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

# KEN LIU

SON  
magnum

KEN  
LIU

ŚCIANA  
BURZ



SON  
magnum

JACEK ŁUKAWSKI

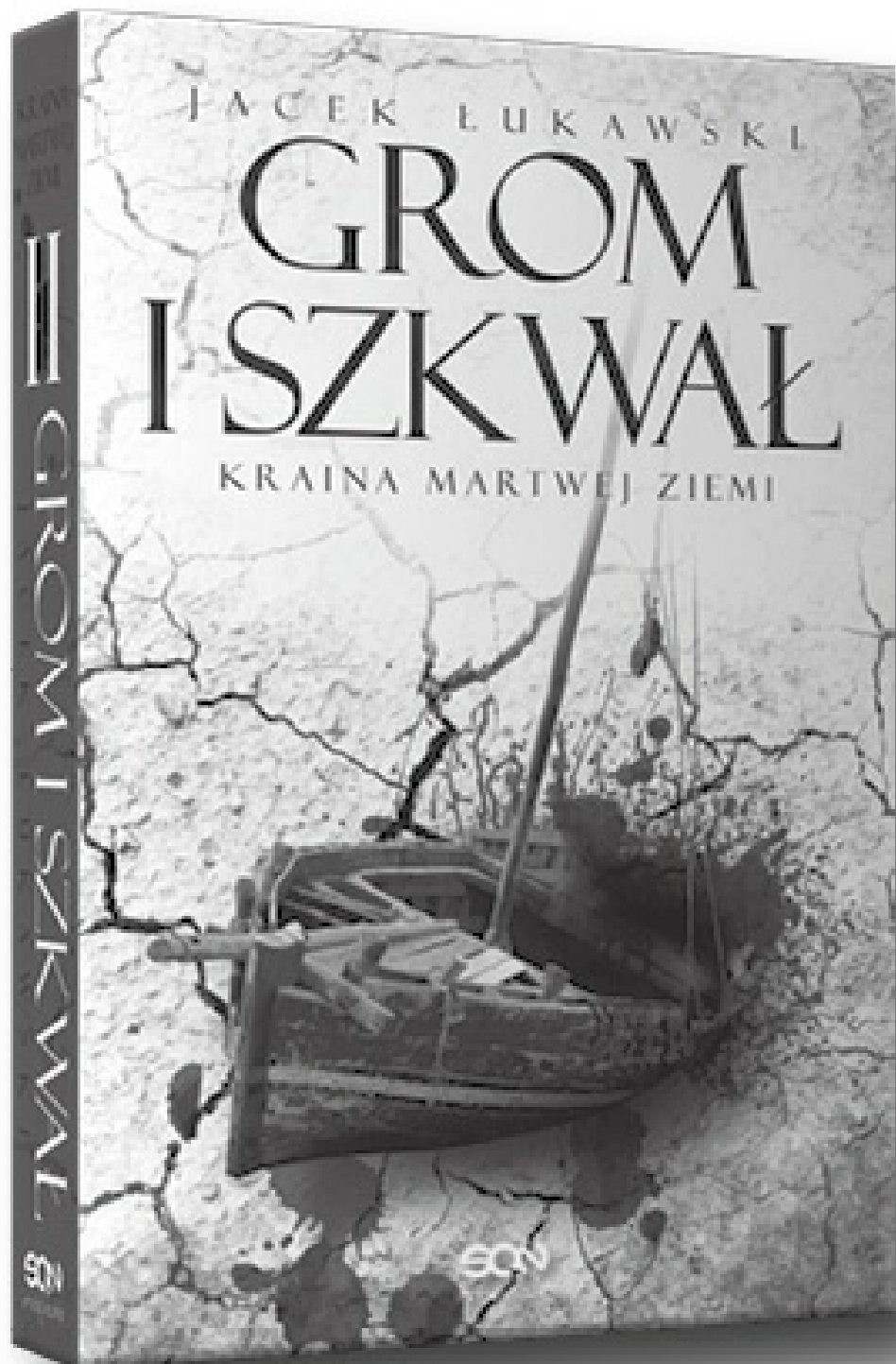
# GROM I SZKWAŁ

KRAINA MARTWEJ ZIEMI

GROM I SZKWAŁ

59

SON



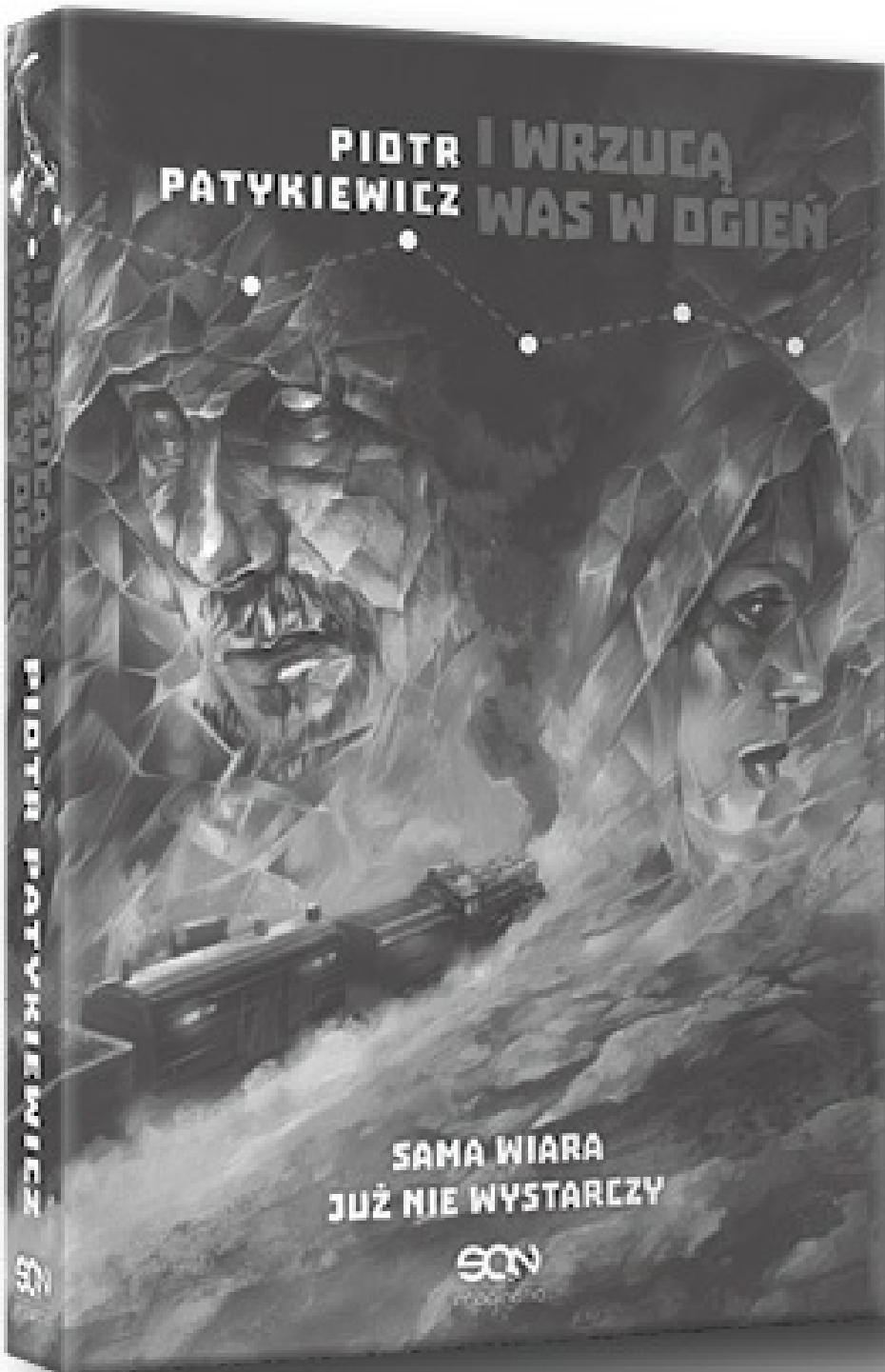
**PIDTR I WRZUCA  
PATYKIEWICZ WAS W OGIEŃ**

**PIDTR PATYKIEWICZ**

**SAMA WIARA  
JUŻ NIE WYSTARCZY**

**SON**

**69**





ZIEMIA ZAWSZE UPOMNI SIĘ O SWOJE

N.K. JEMISIN

LAUREATKA NAGRODY

HUGO

ZA NAJLEPSZĄ

OPOWIADANKA

W FANTASY

WROTA  
OBELISKÓW

SON  
imaginacja

WROTA  
OBELISKÓW

N.K. JEMISIN

SON

ANDRIUS TAPINAS

# Wileczy Godzina

*Pełna rozmachu, zachwyca  
od pierwszych stron.*

ADAM WIECZOREK, Interia

